

**LEE CHILD**

**NIEPRZYJACIEL**

**Tytuł oryginału: THE ENEMY**

**Z angielskiego przełożył ANDRZEJ SZULC**

To chyba nie atak serca. Może taka była ostatnia myśl Kena Kramera, gdy ogarnięty paniką przestał oddychać i runął w otchłań. Naruszył wszelkie możliwe zasady i wiedział o tym. Znajdował się w miejscu, w którym nie powinien się znajdować, spotykał z kimś, z kim nie powinien się spotykać, i miał przy sobie rzecz, którą powinien trzymać w bezpieczniejszym miejscu. Ale uchodziło mu to na sucho. Podejmował ryzyko i wygrywał. Był w szczytowym momencie gry. Prawdopodobnie się uśmiechał. Aż do tego nagłego łupnięcia w piersi, które go zdradziło. Wtedy wszystko obróciło się wniwecz. Sukces stał się katastrofą. Nie miał czasu, żeby cokolwiek naprawić.

Nikt nie wie, jak wygląda śmiertelny atak serca. Nikt go nie przeżył, żeby nam opisać. Medycy mówią o nekrozie, zakrzepach, niedotlenieniu i zablokowanych naczyniach krwionośnych. Twierdzą, że poprzedza je migotanie komór albo nic w ogóle. Używają słów w rodzaju „zawał” albo „migotanie”, a powinni po prostu powiedzieć: padasz trupem. Tak to właśnie wyglądało w przypadku Kena Kramera. Po prostu padł trupem, zabierając do grobu wszystkie sekrety, a w aferze, jaka potem wybuchła, ja też o mało nie straciłem życia.

Siedziałem sam w cudzym gabinecie. Na ścianie wisiał zegar. Nie miał sekundnika. Wyłącznie wskazówki godzinową i minutową. Był elektryczny. Nie tykał. Pracował cicho i w pokoju też panowała cisza. Wpatrywałem się uważnie we wskazówkę minutową. Nie poruszała się.

Czekałem.

W końcu się przesunęła. Skoczyła do przodu i kąt między wskazówkami wzrósł o całe sześć stopni. Jej ruch był mechaniczny, ograniczony i precyzyjny. Poruszyła się, zadrżała lekko i znieruchomiała.

Minuta.

Jedna minęła, jedna została.

Jeszcze sześćdziesiąt sekund.

Dalej ją obserwowałem. Zegar trwał w bezruchu bardzo, bardzo długo. A potem wskazówka znowu się przesunęła. Kolejne sześć stopni i kolejna minuta. Stanęła dokładnie na godzinie dwunastej i rok 1989 zmienił się w rok 1990.

Odsunąłem do tyłu krzesło i stanąłem za biurkiem. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Pomyślałem, że ktoś chce mi życzyć szczęśliwego Nowego Roku. Myliłem się jednak. To był gliniarz, który dzwonił, ponieważ w motelu trzydzieści mil od bazy miał martwego żołnierza.

- Chcę mówić z oficerem dyżurnym żandarmerii - powiedział.

Usiadłem z powrotem za biurkiem.

- Przy telefonie.

- Mamy jednego z waszych. Jest martwy.

- Jednego z naszych?

- Żołnierza - wyjaśnił.

- Gdzie?

- W motelu, w mieście.

- Jak umarł? - zapytałem.

- Najprawdopodobniej na atak serca - odparł facet.

Przez chwilę milczałem. Obróciłem kartkę wojskowego kalendarza na biurku z trzydziestym pierwszym grudnia i pokazała się z pierwszym styczniem.

- Nie ma nic podejrzanego?

- Nie widzę.

- Widział pan wcześniej ataki serca?

- Wiele razy.
- Okay. Niech pan zadzwoni do dowództwa bazy - powiedziałem i dałem mu numer. - Szczęśliwego Nowego Roku - dodałem.
- Nie powinien pan tu przyjechać? - zapytał.
- Nie - odparłem i odłożyłem słuchawkę. Nie musiałem tam jechać. Armia to duża instytucja, trochę większa od Detroit i trochę mniejsza od Dallas i równie beznamietna jak oba te miasta. Jej obecny stan osobowy wynosi 930 tysięcy osób, mężczyzn i kobiet, które stanowią wprost idealną próbkę całej populacji Stanów Zjednoczonych. Średni wskaźnik umieralności w Stanach wynosi około 865 osób na 100000 mieszkańców rocznie, a ponieważ nie trwały właśnie działania wojenne, żołnierze nie umierali ani częściej, ani rzadziej od normalnych ludzi. Są na ogół młodszy i bardziej wysportowani od przeciętnego obywatela, za to więcej palą, więcej piją, gorzej się odżywiają, są bardziej podatni na stresy i robią masę niebezpiecznych rzeczy w trakcie szkolenia, w związku z czym wskaźnik ich umieralności przewyższa nawet lekko średnią. Umierają w takim samym tempie jak cała reszta. Wystarczy zatem dokonać kilku prostych obliczeń, by przekonać się, że średnio każdego dnia dwudziestu dwóch żołnierzy umiera w wyniku wypadków, samobójstw, chorób serca, nowotworów, udarów, chorób płuc, marskości wątroby i chorób nerek. Tylu samo, ilu umiera cywili w Detroit albo Dallas. Dlatego nie musiałem tam jechać. Jestem gliną, nie grabarzem.
- Zegar ożył. Wskazówka przesunęła się, zadygotała i znieruchomiała. Trzy minuty po północy. Telefon zadzwonił ponownie. Ktoś telefonował, by życzyć mi szczęśliwego Nowego Roku. To była sierżant dyżurująca w sąsiednim gabinecie.
- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziała.
- Wzajemnie - odparłem. - Nie mogłaś wstać i zajrzeć do mnie?
- A ty nie mogłeś zajrzeć do mnie?
- Rozmawiałem przez telefon.
- Kto dzwonił?
- Nikt ważny. Po prostu jakiś żołnierz wykitował tuż przed początkiem nowej dekady.
- Chcesz kawy?
- Jasne. Czemu nie? - odparłem i odłożyłem słuchawkę. Służyłem w armii od ponad sześciu lat, a wojskowa kawa należała do rzeczy, dzięki którym było mi tam dobrze. Jest najlepsza na świecie, bez dwóch zdań. Podobnie jak sierżanci. Ta była góralką z północnej Georgii. Znałem ją od dwóch dni. Mieszkała poza bazą w przyczepie kempingowej na jakimś typowym dla Karoliny Północnej wygwizdowie. Miała małego synka. Opowiedziała mi o nim wszystko. Nie dowiedziałem się za to nic o mężu. Była koścista, żyłasta i twarda jak dziób dzięcioła, ale polubiła mnie. Doszedłem do tego wniosku, bo przynosiła mi kawę. Kiedy cię nie lubią, nie przynoszą ci kawy. Wbijają ci za to nóż w plecy. Drzwi mojego gabinetu otwarły się i weszła z dwoma kubkami kawy, jednym dla siebie, drugim dla mnie.
- Szczęśliwego Nowego Roku - powtórzyłem. Postawiła oba kubki na moim biurku.
- Będzie szczęśliwy? - zapytała.
- Czemu nie?
- Nie ma już połowy muru berlińskiego. Pokazywali to w telewizji. Urządzili tam sobie wielką balangę.
- Cieszę się, że ktoś gdzieś balanguje.
- Mnóstwo ludzi. Olbrzymi tłum. Wszyscy śpiewają i tańczą.
- Nie oglądałem wiadomości.
- To było sześć godzin temu. Różnica czasu.
- Pewnie nadal nad nim pracują.
- Mają młoty kowalskie.
- Wolno im. Ich połowa to wolne miasto. Walczyliśmy o to przez czterdzieści pięć lat.

- Wkrótce nie będziemy już mieli żadnego wroga.

Spróbowałem kawy. Gorąca, czarna, najlepsza na świecie.

- Wygraliśmy - powiedziałem. - To chyba dobrze?

- Niekoniecznie, jeśli płaci ci Wuj Sam.

Ubrana była podobnie jak ja w standardowy mundur polowy w leśnym kamuflażu. Miała równo podwinięte rękawy bluzy i idealnie poziomą opaskę z literami MP. Domyśliłem się, że przypinają agrafkami w niewidocznym miejscu z tyłu. Jej buty były wyglansowane na wysoki połysk.

- Masz jakiś mundur w pustynnym kamuflażu? - zapytałem.

- Nigdy nie byłam na pustyni.

- Zmienili jego wzór. Umieścili na nim duże brązowe plamy. Pięć lat badań. Piechociarze mówią na nie „czekoladki”. To nie jest dobry wzór. Będą musieli go z powrotem zmienić. Ale dojdą do tego po kolejnych pięciu latach.

- I co z tego?

- Skoro pięć lat zajmuje im zmiana wzoru munduru, twój dzieciak będzie już na studiach, zanim dojdą do wniosku, że trzeba zredukować siły zbrojne. Więc niech cię o to głowa nie boli.

- W porządku - odparła, nie wierząc mi. - Myślisz, że dostanie się na studia?

- Nie miałem przyjemności go poznać. Milczenie.

- Armia nienawidzi zmian - ciągnąłem. - Zawsze będziemy mieli wrogów.

Nic na to nie odpowiedziała. Telefon zadzwonił ponownie. Pochyliła się i odebrała go za mnie. Słuchała rozmówcy może przez jedenaście sekund i podała mi słuchawkę.

- Pułkownik Garber, majorze. Dzwoni z Waszyngtonu - oznajmiła, po czym zabrała kawę i wyszła z pokoju.

Pułkownik Garber był moim szefem, lecz choć miał opinię równego faceta, nie sądziłem, że dzwoni osiem minut po północy w sylwestra, by złożyć mi życzenia. To nie było w jego stylu. Niektórzy wyżsi oficerowie robią takie rzeczy. Przyjeżdżają w święta cali w uśmiechach, jakbyśmy byli ulepiani z tej samej

gliny. Ale Leonowi Garberowi coś takiego nie przysłoby do głowy. Nie zachowałby się tak w stosunku do nikogo, a już na pewno nie wobec mnie. Nawet gdyby wiedział, że tam będę.

- Reacher przy telefonie - powiedziałem. W słuchawce zapadła długa cisza.

- Myślałem, że jesteś w Panamie - rzucił w końcu.

- Dostałem rozkazy.

- Z Panamy do Fort Bird? Dlaczego?

- Nie do mnie należy zadawanie pytań.

- Kiedy to było?

- Dwa dni temu.

- To musiało być przykre, prawda?

- Dlaczego?

- Panama jest chyba bardziej ekscytująca.

- Była w porządku.

- I zdążyli ci wyznaczyć dyżur w sylwestra?

- Sam się zgłosiłem - odparłem. - Chcę, żeby ludzie mnie polubili.

- Chyba wierzysz w cuda.

- Moja sierżant właśnie przyniosła mi kawę. Garber na chwilę umilkł.

- Ktoś dzwonił do ciebie w sprawie martwego żołnierza w motelu?

- Przed ośmioma minutami. Kazałem mu zwrócić się z tym do dowództwa.

- A oni przekazali to komuś innemu i właśnie musiałem wyjść z balu, żeby wysłuchać dokładnego raportu.

- Dlaczego?

- Ponieważ martwy żołnierz jest dwugwiazdkowym generałem.

W słuchawce zapadła cisza.

- Nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać - przyznałem. Cisza trwała nadal.
- Generalowie są śmiertelni - dodałem. - Jak wszyscy. Bez odpowiedzi.
- Nie zdarzyło się nic podejrzanego - kontynuowałem. - Facet po prostu odwalił kitę. Atak serca. Miał pewnie podagrę. Nie widziałem powodu, żeby się podniecać.
- To kwestia godności - stwierdził Garber. - Nie możemy pozwolić, żeby dwugwiazdkowy generał leżał w publicznym miejscu brzuchem do góry. Nie wolno nam nie zareagować. Ktoś musi być obecny.
- I to mam być ja?
- Wolałbym kogoś innego. Ale w tym momencie jesteś prawdopodobnie najwyższym rangą trzeźwym żandarmem na świecie. Więc owszem, to będziesz ty.
- Dotarcie tam zajmie mi godzinę.
- Facet nigdzie się nie wybiera. Jest martwy. I nie udało im się jeszcze znaleźć trzeźwego lekarza sądowego.
- Okay - odparłem.
- Potraktuj tę misję z szacunkiem.
- W porządku - powtórzyłem.
- I bądź grzeczny. Poza bazą jesteśmy zdani na nich. To cywilna jurysdykcja.
- Wiem, jacy są cywile - odparłem. - Kiedyś nawet jednego poznałem.
- Ale kontroluj sytuację. Rzecz jasna, jeśli będzie wymagała kontroli.
- Facet prawdopodobnie zmarł w łóżku. Jak większość ludzi.
- Dzwoni do mnie, jeśli będziesz musiał.
- Dobrze się bawisz? - zapytałem.
- Wspaniale. Przyjechała do nas córka.

Rozłączył się, a ja zadzwoniłem do cywilnej dyspozytorki i poprosiłem ją o nazwę i adres motelu. Następnie zostawiłem kawę na biurku, powiedziałem mojej sierżant, co jest grane, i poszedłem na kwaterę, żeby się przebrać. Uznałem, że szacunek wymaga, bym przebrał się z munduru polowego w leśnym kamuflażu w wyjściowy w kolorze oliwkowym.

Pobrałem hunwee z kolumny transportu żandarmerii i wyjechałem z bazy przez główną bramę. Dotarłem do motelu po pięćdziesięciu minutach. Znajdował się trzydzieści mil na północ od Fort Bird. Po drodze mijałem centra handlowe i pogrążone w mroku lasy i pola, na których, jak się domyślałem, rosły słodkie ziemniaki. Wszystko to było dla mnie nowe. Nigdy wcześniej nie służyłem w Karolinie Północnej. Drogi były puste. Wszyscy nadal bawili się na sylwestra. Miałem nadzieję, że wrócę do Fort Bird, zanim ludzie wyjdą z przyjęć i siądą za kółkiem, choć z drugiej strony dość wysoko oceniałem szansę hunwee w czołowym zderzeniu z cywilnym pojazdem.

Motel wchodził w skład kompleksu niskich zabudowań wzniesionych w pobliżu dużego węzła drogowego. Był tam parking dla ciężarówek, tania restauracja otwarta w dni świąteczne i stacja benzynowa dość duża, by mogły na niej tankować osiemnastokołowce. Obok, w budynku z gazobetonu bez jednego okna, mieścił się bezimienny nocny klub. Miał różowy neon EGZOTYCZNE TANCERKI oraz parking wielkości boiska futbolowego, na którym mieniły się wszystkimi kolorami tęczy plamy oleju napędowego. Słyszałem dobiegającą ze środka głośną muzykę. Samochody parkowały dookoła w trzech rzędach. Cały teren skąpany był w żółtym świetle ulicznych latarni. Nocne powietrze było zimne, nad ziemią unosiła się mgła. Sam motel, obskurny półkolista budynek z mniej więcej dwudziestoma pokojami, stał naprzeciwko stacji benzynowej, po drugiej stronie ulicy. Robił wrażenie pustego, ze ścian w wielu miejscach obłaziła farba. Z lewej strony była recepcja z brzęczącym automatem coca-coli i malutką wiatą na samochód.

Pierwsze pytanie brzmiało: dlaczego dwugwiazdkowy generał nocował w takim miejscu? Byłem pewien, że gdyby zameldował się w Holiday Inn, Departament Obrony w ogóle nie zarządziłby dochodzenia.

Przy przedostatnim pokoju zaparkowały byle jak dwa policyjne

radiowozy. Między nimi stał zwykły, czerwony, czterocylindrowy ford z szybami pokrytymi szadzią, łysymi oponami i plastikowymi kołpakami. Z całą pewnością wypożyczony. Postawiłem humvee obok radiowozu po prawej stronie i wysiadłem. Usłyszałem lepiej muzykę dobiegającą z drugiej strony ulicy. Drzwi do przedostatniego pokoju były otwarte; nie paliło się w nim światło. Domyśliłem się, że gliniarze nie chcą, by w środku zrobiło się zbyt ciepło. Starają się nie dopuścić, by starszek dojrzał. Nie mogłem się doczekać, żeby rzucić na niego okiem. Dałbym głowę, że nigdy przedtem nie widziałem martwego generała.

Trzej gliniarze zostali w swoich samochodach, a jeden wysiadł, żeby się ze mną przywitać. Miał brązowe spodnie od munduru, krótką skózaną kurtkę zapiętą aż pod brodę i gołą głowę. Przypięte do kurtki plakietki powiedziały mi, że nazywa się Stockton i jest zastępcą szefa. Nie znałem go. Nigdy wcześniej tutaj nie służyłem. Był siwy, około pięćdziesiątki, średniego wzrostu, trochę miękki i ciężki, ale po wzroku, jakim zmierzył odznaki na mojej kurtce, poznałem, że podobnie jak wielu gliniarzy jest chyba weteranem.

- Majorze - odezwał się w charakterze powitania. Skinąłem głową. Weteran, to jasne. Major ma na epoletach

małe, szerokie na cal, złociste dębowe liście, po jednym z każdej strony. Facet patrzył na moje z dołu, co nie ułatwiało mu zadania. Ale wiedział, co oznaczają. I poznałem go po głosie. To on do mnie zadzwonił pięć sekund po północy.

- Jestem Rick Stockton - powiedział. - Zastępca szefa. Był spokojny. Widział już wcześniej ofiary zawału.

- Jack Reacher - przedstawiłem się. - Oficer dyżurny żandarmerii.

Teraz to on poznał mnie po głosie. Uśmiechnął się.

- Postanowił pan jednak przyjechać.

- Nie powiedział mi pan, że denat jest dwugwiazdkowym generałem.

- To prawda.

- Nigdy nie widziałem martwego generała.

- Niewielu ludzi widziało - odparł i pomyślałem, że był w wojsku podoficerem.

- Piechota? - zapytałem.

- Piechota morska - powiedział. - Starszy sierżant.

- Mój stary był w piechocie morskiej - poinformowałem go. W rozmowie z marines zawsze to mówię. Daje mi to coś

w rodzaju genetycznej legitymizacji. Nie pozwala im dojść do wniosku, że jestem zwykłym tremem. Nie stawiam jednak kropki nad i. Nie mówię, że mój stary dosłużył się stopnia kapitana. Podoficerowie i wyższe szarże niekoniecznie patrzą sobie prosto w oczy.

- Hunwee - powiedział. Patrzył na moją brykę. - Lubi pan nim jeździć? - zapytał.

Pokiwałem głową. Hunwee to najlepszy sposób wymówienia HMMWY, który to skrót oznacza High Mobility Multipurpose Wheeled Vehicle, Wieloczynnościowy Pojazd Kołowy Wysokiej Mobilności. Ta nazwa mówi o nim w zasadzie wszystko. Podobnie jak wszędzie indziej w wojsku dostajesz to, co ci powiedzieli.

- Działa zgodnie z instrukcją obsługi - oznajmiłem.

- Trochę szeroki. Wolałbym nie poruszać się nim po mieście.

- Z przodu jadą czołgi - wyjaśniłem. - Przecierają drogę. Taka była chyba zasadnicza koncepcja.

Muzyka z baru nie przestawała dudnić. Stockton się nie odezwał.

- Chodźmy zobaczyć trupa - zaproponowałem. Wprowadził mnie do środka i przekręcił kontakt, który zapalał

lampę w holu. Potem następny, który oświetlił cały pokój. Zobaczyłem standardowe motelowe wnętrze. Szeroki na jard przedpokój z szafą po lewej i łazienką po prawej stronie. Za nim prostokątny pokój o wymiarach cztery na sześć jardów z wbudowanym biurkiem tej samej szerokości co szafa i podwójnym łóżkiem tej samej długości co łazienka. Niski sufit. Szerokie okno w drugim końcu, z wbudowanym pod nim klimatyzatorem. Większość rzeczy w pokoju była

sfatygowana, podłej jakości i brązowego koloru. Całe wnętrze robiło wrażenie ciemnego, wilgotnego i żalnego.

Na łóżku leżał na brzuchu martwy mężczyzna.

Był nagi, biały, całkiem wysoki, dobiegający chyba sześćdziesiątki. Zbudowany jak kończący karierę profesjonalny sportowiec. Jak trener. Nadal miał porządne mięśnie, ale również schaby na plecach, jak wszyscy starzy faceci, nawet ci wysportowani. Blade, bezwłose nogi. Stare blizny. Kręcone siwe włosy przycięte blisko skóry i popękana, ogorzała skóra na karku. Typowy oficer. Można by go pokazać dowolnej setce osób i wszyscy twierdziliby bez cienia wątpliwości, że to wojskowy.

- Tak go znaleziono? - zapytałem.

- Tak - odparł Stockton.

Drugie pytanie: dlaczego tak wcześnie? Facet, który wynajmuje pokój na noc, oczekuje prywatności przynajmniej do chwili, kiedy rano pojawi się pokojówka.

- Jak? - zapytałem.

- Jak co?

- Jak odkryto, że nie żyje? Zadzwoił pod dziewięćset jedenaście?

- Nie.

- Więc jak?

- Zobacz pan.

Przez chwilę milczałem. Nic jeszcze nie zobaczyłem.

- Obróciliście go na plecy?

- Tak. A potem obróciliśmy go z powrotem.

- Mogę zerknąć?

- Niech pan się nie krępuje.

Podszedłem do łóżka, wsunąłem lewą rękę pod pachę zmarłego i przewróciłem go na plecy. Był zimny i trochę sztywny. Zaczęło się stężenie pośmiertne. Ułożyłem go równo na wznak i zauważyłem cztery rzeczy. Po pierwsze, jego skóra miała wyraźny szary odcień. Po drugie, na twarzy widniał grymas szoku i bólu. Po trzecie, złapał się prawą ręką za lewe ramię tuż przy bicepsie. Oraz po czwarte, miał założony kondom. Ciśnienie jego krwi dawno już opadło, nie miał erekcji i prawie pusty kondom zwiślał niczym przezroczysta fałda bladej skóry. Zmarł przed osiągnięciem orgazmu. To było jasne.

- Atak serca - powiedział stojący za mną Stockton. Pokiwałem głową. Wskazywał na to szary odcień skóry.

A także szok i zdumienie na twarzy, kiedy złapał go ból w lewym ramieniu.

- Rozległy - mruknąłem.

- Ale przed penetracją czy po? - zapytał Stockton. W jego głosie pobrzmiewało rozbawienie.

Spojrzałem na poduszki. Łóżko było zasłane. Trup leżał na kołdrze naciągniętej na poduszki. Na pościeli widać było jednak wgłębienia, które zostawiła głowa, a także poruszające się w przód i w tył łokcie i stopy.

- Leżała pod nim, kiedy to się stało - powiedziałem. - To oczywiste. Musiała się spod niego wydostać.

- Kurewska śmierć dla mężczyzny. Odwróciłem się.

- Znam gorsze.

Stockton tylko się do mnie uśmiechnął.

- Co? - zapytałem. Nie odpowiedział.

- Żadnego śladu kobiety? - zapytałem.

- Najmniejszego - odparł. - Zapadła się pod ziemię.

- Nie widział jej recepcjonista? Stockton znowu się uśmiechnął.

Spojrzałem na niego i zrozumiałem. Tani motel blisko skrzyżowania autostrad, z parkingiem dla ciężarówek i nocnym klubem, trzydzieści mil od bazy wojskowej...

- To była prostytutka - powiedziałem. - Dzięki temu go znaleźniono. Znał ją recepcjonista. Zobaczył, jak wybiega o wiele za wcześnie. To go zaciekawiło i poszedł sprawdzić.

Stockton pokiwał głową.

- Od razu do nas zadzwonił. Pani, o której mowa, od dawna już oczywiście nie było. A on zaprzecza, że w ogóle przebywała w pokoju. Twierdzi, że to nie jest tego rodzaju miejsce.

- Byliście tu już wcześniej wzywani?

- Od czasu do czasu - odrzekł. - I zapewniam pana, że to jest tego rodzaju miejsce.

„Kontroluj sytuację”, powiedział Garber.

- Atak serca, tak? - powiedziałem. - Nic więcej.

- Prawdopodobnie - mruknął Stockton. - Ale będziemy musieli zrobić sekcję, żeby wiedzieć na pewno.

W pokoju było cicho. Słyszałem tylko trzaski radia ze stojącego na zewnątrz radiowozu i muzykę z baru po drugiej stronie ulicy. Odwróciłem się z powrotem w stronę łóżka. Przyjrzałem się twarzy zmarłego. Nie znałem go. Popatrzyłem na jego ręce. Miał sygnet West Point na prawej i obrączkę ślubną na lewej, starą, szeroką, chyba dziewięciokaratową. Spojrzałem na jego pierś. Identyfikatory miał schowane pod prawą pachą, tam gdzie złapał się lewą ręką za biceps. Uniosłem z pewnym trudem jego rękę i wyciągnąłem je. Były w gumowych osłonach. Podniosłem je, aż napiął się łańcuszek. Nazywał się Kramer, był katolikiem, miał grupę krwi 0.

- Moglibyśmy zrobić za was sekcję - oświadczyłem. - W Wojskowym Centrum Medycznym Waltera Reeda.

- Poza granicami stanu?

- To generał.

- Chcecie wyciszyć sprawę. Pokiwałem głową.

- Jasne, że chcemy. Wy byście nie chcieli?

- Pewnie tak - odparł.

Puściłem identyfikatory i sprawdziłem nocne szafki oraz wbudowane biurko. Nic tam nie znalazłem. W pokoju nie było telefonu. Domyśliłem się, że w tego rodzaju miejscu trzeba korzystać z automatu w recepcji. Minąłem Stocktona i sprawdziłem łazienkę. Przy umywalce ujrzałem własność prywatną -

czarną skórzaną kosmetyczkę Doppa, zamkniętą na suwak. Widniały na niej inicjały KRK. Otworzyłem ją i znalazłem w środku szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia oraz małe podróżne tubki pasty do zębów i kremu do golenia. Nic więcej. Żadnych leków. Żadnych recept na leki nasercowe. Żadnych paczek z kondomami.

Zajrzałem do szafy. Był tam mundur wyjściowy, elegancko umieszczony na trzech oddzielnych wieszakach: spodnie złożone kaniem na poprzeczce pierwszego, kurtka na drugim, koszula na trzecim. Krawat nadal wsunięty był pod kołnierzyk koszuli. Na półce nad wieszakami leżała pośrodku oficerska polowa czapka ze złotym wężykiem na otoku. Po jej jednej stronie leżał złożony biały podkoszulek, po drugiej złożone białe bokserki.

Obok opartej o tylną ściankę torby frakowej w kolorze spłó-wiałej zieleni na podłodze szafy stały dwa wyglansowane czarne buty ze zwiniętymi skarpetkami w środku. Torba frakowa nie należała do wyposażenia wojskowego i miała skórzane wzmocnienia po bokach. Nie była zbyt pełna.

- Dostaniecie raport - oznajmiłem. - Nasz patolog da wam kopię, do której nic nie zostanie dodane i z której nic nie zostanie usunięte. Jeśli coś wam się nie spodoba, możemy bez gadania oddać wam piłkę.

Stockton nie odpowiedział, ale nie wyczułem z jego strony żadnej wrogości. Niektórzy gliniarze są całkiem w porządku. Duża baza w rodzaju Fort Bird w sporym stopniu wpływa na otaczający ją cywilny świat. Z tego względu żandarmi kontaktują się często ze swoimi cywilnymi kolegami i czasami jest to dość bolesne, a czasami nie. Miałem wrażenie, że Stockton nie będzie robił problemów. Był zrelaksowany. W gruncie rzeczy wydawał mi się trochę leniwy, a lenie zawsze wolą zwalić robotę na kogoś innego.



- Ile? - zapytałem.
- Co ile?
- Ile kosztuje tutaj dziwka?
- Wystarczy dwadzieścia baksów. W tej okolicy nie może pan liczyć na nic egzotycznego.
- A pokój?
- Koło piętnastu.

Obróciłem zwłoki z powrotem na brzuch. Nie było to łatwe. Ważyły co najmniej dwieście funtów.

- I co pan na to? - zapytałem.

- Na co?

- Na to, żeby sekcję wykonano w centrum Waltera Reeda. Przez chwilę trwała cisza. Stockton gapił się w ścianę.

- To jest do zaakceptowania - mruknął.

Ktoś zapukał w otwarte drzwi. Jeden z gliniarzy z radiowozu.

- Dzwonił właśnie lekarz sądowy - powiedział. - Dotrze tu najszybciej za dwie godziny. Jest sylwester.

Uśmiechnąłem się. „Do zaakceptowania” mogło się zmienić w „wysoce pożądane”. Za dwie godziny Stockton będzie musiał być gdzie indziej. Skończy się cała masa imprez i na drogach rozpęta się piekło. Za dwie godziny będzie mnie błagał, żebyśmy zabrali gdzieś starego. Nie odezwałem się. Gliniarz wrócił do radiowozu, a Stockton przeszedł przez cały pokój i stanął przy zasłoniętym firanką oknie, plecami do zwłok. Wyjąłem z szafy wieszak z kurtką mundurową i powiesiłem go na drzwiach łazienki, gdzie padało na nią światło z przedpokoju.

Oględziny munduru wyjściowego to jak czytanie książki albo słuchanie faceta w barze, który opowiada ci o swoim życiu. Ten pasował na ciało leżące na łóżku i miał nazwisko Kramer na plakietce - to samo, które zobaczyłem na identyfikatorze. Była na nim wstążka Purpurowego Serca z dwoma brązowymi pękami dębowych liści, które oznaczały drugie i trzecie przyznanie medalu - zgadzało się to z liczbą blizn. Na epoletach były dwie srebrne gwiazdy, co potwierdzało, że był generałem dywizji. Insygnia rodzaju sił zbrojnych wskazywały wojska pancerne, naszywka na ramieniu dwunasty korpus. Poza tym na kurtce było sporo odznaczeń korpusowych i cała masa baretek jeszcze

z czasów Wietnamu i Korei, z których niektóre zdobył z ciężkim trudem, a inne z mniejszym. Było też kilka zagranicznych odznaczeń, których eksponowanie było dozwolone, lecz nie obowiązkowe. To był bardzo ciekawy mundur, względnie stary, bardzo zadbane, standardowy, nie szyty na miarę. Mówił mi, że jego właściciel był próżny - ale wyłącznie na polu zawodowym.

Przeszukałem kieszenie. Były puste z wyjątkiem jednej, w której znalazłem kluczyk do wynajętego samochodu. Doczepiono do niego plastikowy breloczek w kształcie jedyńki, w który wsunięta była karteczka z złotym nadrukiem Hertz i numerami rejestracyjnymi wpisanymi ręcznie czarnym długopisem.

Nie było portfela. Ani drobnych monet.

Powiesiłem z powrotem kurtkę mundurową w szafie i sprawdziłem spodnie. Puste kieszenie. Sprawdziłem buty. Nic poza skarpetkami. Sprawdziłem czapkę. Nic schowanego pod otokiem. Wyjąłem z szafy torbę frakową i otworzyłem ją na podłodze. Był w niej mundur polowy i czapka typu M43. Skarpetki i bielizna na zmianę oraz wyglansowane polowe buty z czarnej skóry, a także pusta przegródka, w której Kramer trzymał pewnie kosmetyczkę. Nic więcej. Kompletnie nic. Zapiąłem torbę i wsadziłem ją z powrotem do szafy. Ukucnąłem i zajrzałem pod łóżko. Nic nie zobaczyłem.

- Czy jest coś, co powinno nas niepokoić? - zapytał Stockton.

Podniosłem się i potrząsałem głową.

- Nie - skłamałem.

- Więc może pan go zabrać - oznajmił. - Ale chcę mieć kopię raportu.

- Zgoda - powiedziałem.

- Szczęśliwego Nowego Roku - odparł.

Poszedł do swojego radiowozu, a ja do hunwee. Zgłosiłem 10-5, „potrzebny ambulans”, i powiedziałem mojej sierżant, żeby przyjechali poza tym dwaj funkcjonariusze, którzy spiszą i zapakują wszystkie osobiste rzeczy Kramera i przewiozą je do

mojego biura. Następnie usiadłem za kierownicą i czekałem, aż odjadą ludzie Stocktona. Kiedy zniknęli we mgle, wróciłem do pokoju, zabrałem z kurtki Kramera kluczyk do samochodu i otworzyłem nim forda.

Nie było w nim nic oprócz zapachu płynu do czyszczenia tapicerki i fotokopii umowy wynajmu. Kramer odebrał samochód

o trzynastej trzydzieści dwie na lotnisku Dullesa w Waszyngtonie. Zapłacił za wypożyczenie prywatną kartą American Express

I otrzymał zniżkę. Licznik mil przy wydaniu samochodu wynosił 13 215. Teraz było na nim 13 513 mil. Jeśli nie pomyliłem się w liczeniu, oznaczało to, że przejechał 298 mil, co odpowiadało mniej więcej odległości między lotniskiem i miejscem, w którym się znajdowaliśmy.

Wsadziłem kopię umowy do kieszeni i zamknąłem samochód. Zajrzałem do bagażnika. Był kompletnie pusty.

Schowałem kluczyk do kieszeni i przeszedłem przez ulicę, kierując się do baru. Im bardziej się do niego zbliżałem, tym głośniejsza stawała się muzyka. W odległości dziesięciu jardów poczułem wyrzucane przez wentylatory opary piwa i dym papierosowy. Przecisnąłem się między zaparkowanymi samochodami i odnalazłem drzwi. Były z litego drewna, zamknięte, żeby wewnątrz się nie wychłodziło. Otworzyłem je i w twarz uderzył mnie łomot muzyki i fala gęstego, gorącego powietrza. Cały lokal pulsował. Zobaczyłem może z pięćset osób, pomalowane na czarno ściany, purpurowe reflektory i lustrzane kule. Na scenie w głębi spostrzegłem tancerkę na rurze, całą naga, jeśli nie liczyć kowbojskiego kapelusza. Chodziła na czworakach, zbierając dolarowe banknoty.

Przy kasie za drzwiami siedział wielki facet w czarnym T-shircie. Jego twarz skrywała się w cieniu. W blasku jednego z reflektorków spostrzegłem, że ma klatkę piersiową wielkości baryłki z ropą. Muzyka była ogłuszająca, ludzie stali ściśnięci ramię przy ramieniu, od ściany do ściany. Cofnąłem się i drzwi same się zatrzasnęły. Przez chwilę stałem nieruchomo na chłodzie, a potem odwróciłem się i ruszyłem w stronę recepcji motelu.

Było to ponure miejsce ze stojącym przy drzwiach brzęczącym automatem z coca-colą i jarzeniówkami, które rzucały wszędzie zielonkawy poblask. Na ścianie wisiał automat telefoniczny, na podłodze leżało linoleum. Wysoki kontuar obito drewnopodobną płytą, której ludzie używają w piwnicy. Recepcjonista siedział za nim na wysokim stołku - biały facet około dwudziestki, z długimi niemytymi włosami i wąskim podbródkiem.

- Szczęśliwego Nowego Roku - rzuciłem. Nie odpowiedział.

- Zabrał pan coś z pokoju tego zmarłego mężczyzny? - zapytałem.

Facet potrząsnął głową.

- Nie.

- Niech pan powtórzy.

- Niczego nie zabrałem. Pokiwałem głową. Uwierzyłem mu.

- Dobrze. O której się zameldował?

- Nie wiem. Przyjechałem o dziesiątej. Już tu był. Ponownie pokiwałem głową. Kramer wylądował na lotnisku

Dullesa o pierwszej trzydzieści dwie, a liczba przejechanych mil świadczyła, że raczej nie zbaczał z drogi. To oznaczało, że zameldował się około wpół do ósmej. Może wpół do dziewiątej, jeśli zjadł gdzieś po drodze obiad. Może o dziewiątej, jeśli był wyjątkowo ostrożnym kierowcą.

- Czy korzystał z płatnego telefonu?

- Jest zepsuty.

- Więc jak zamówił dziwkę?

- Jaką dziwkę?

- Dziwkę, którą posuwał, kiedy wykitował.
- Nie ma tu żadnych dziwek.
- Czy wyszedł i sprowadził ją sobie z baru?
- Miał pokój w drugim końcu. Nie widziałem, co robi.
- Ma pan prawo jazdy?

Facet przez chwilę się zastanawiał.

- Dlaczego pan pyta?
- To proste pytanie. Albo pan je ma, albo nie ma.
- Mam.
- Niech pan mi pokaże.

Byłem większy od jego automatu z colą i cały obwieszony odznakami i wstęgami, w związku z czym zrobił, co mu kazałem, jak większość dwudziestolatków, kiedy używam tego tonu. Podniósł tyłek ze stolka, sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął z niej portfel i otworzył go. Prawo jazdy schowane było za plastikowym okienkiem. Zobaczyłem na nim jego fotografię, nazwisko i adres.

- W porządku. Teraz wiem, gdzie mieszkasz. Wrócę tu jeszcze, żeby zadać ci parę pytań. Jeśli cię tu nie znajdę, przyjadę do ciebie do domu.

Nic na to nie odpowiedział. Odwróciłem się i wróciłem do swojego hunwee, żeby tam poczekać.

Po czterdziestu minutach pojawił się wojskowy ambulans i drugi hunwee. Kazałem moim podwładnym zabrać wszystko łącznie z wynajętym samochodem, ale nie czekałem, żeby popatrzeć, jak to robią. Zamiast tego wróciłem od razu do bazy. Zameldowałem się przy bramie, wróciłem do cudzego gabinetu i poprosiłem moją sierżant, żeby połączyła mnie z Garberem. Zajęło jej to niecałe dwie minuty.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytał.
- Nazywał się Kramer - odparłem.
- To wiem - powiedział. - Po telefonie do ciebie rozmawiałem z policją. Co mu się stało?
- Atak serca. W trakcie stosunku płciowego z prostytutką. W motelu, którego starałyby się unikać co wybredniejsze karaluchy.

W słuchawce zapadła długa cisza.

- Cholera - mruknął w końcu Garber. - Był żonaty.
- Owszem. Widziałem jego ślubną obrączkę. I sygnet West Point.
- Rocznik pięćdziesiąty drugi. Sprawdziłem - rzekł Garber i znowu umilkł. - Cholera - powtórzył. - Dlaczego inteligentni ludzie robią takie głupoty?

Nie odpowiedziałem, bo nie miałem pojęcia.

- Musimy być dyskretni - stwierdził Garber.
- Nie martw się - odparłem. - Zamiatanie pod dywan już się zaczęło. Miejscowi zgodzili się, żebym wysłał zwłoki do centrum Waltera Reeda.
- To dobrze - powiedział. - Opowiadaj od początku - dodał po chwili.
- Miał naszywki dwunastego korpusu. To oznacza, że stacjonował w Niemczech. Wczoraj przyleciał na lotnisko Dullesa. Prawdopodobnie z Frankfurtu. Na pewno lotem cywilnym, bo miał na sobie mundur wyjściowy, pewnie liczył, że dadzą mu lepsze miejsca. Gdyby leciał transportem wojskowym, włożyłby mundur polowy. Wynajął tani samochód, przejechał nim dwieście dziewięćdziesiąt osiem mil, wziął w motelu pokój za piętnaście dolarów i sprowadził sobie dziwkę za dwadzieścia.
- Wiem o locie - powiedział Garber. - Zadzwoń do dwunastego korpusu i rozmawiałem z jego ludźmi. Powiedziałem im, że nie żyje.
- Kiedy?
- Kiedy skończyłem rozmawiać z policją.
- Poinformowałeś ich, jak i gdzie umarł?
- Powiedziałem, że miał atak serca, nic więcej, żadnych szczegółów. I nic na temat miejsca, co było chyba trafną decyzją.

- Co to za lot? - zapytałem.
  - Liniami American Airlines, wczoraj. Przyleciał z Frankfurtu na lotnisko Dullesa o trzynastej zero zero. Dziś o dziewiątej rano miał lecieć z krajowego do Los Angeles. Wybierał się na konferencję wojsk pancernych w Fort Irwin. Był dowódcą wojsk pancernych na Europę. Ważnym. Z widokami na stanowisko zastępcy szefa sztabu za dwa lata. Teraz kolej na pancerniaków, bo obecny zastępca jest z piechoty, a stanowisko jest jakby rotacyjne. Więc miał pewne szanse. Ale teraz nic z tego nie wyjdzie, prawda?
  - Chyba nie - przyznałem. - Skoro umarł i w ogóle. Garber nic na to nie odpowiedział.
  - Na jak długo tu przyjechał? - zapytałem.
  - Miał wrócić do Niemiec w ciągu tygodnia.
  - Jak miał na imię?
  - Kenneth Robert.
  - Założy się, że znasz jego datę urodzenia - powiedziałem. - I miejsce.
  - I co z tego?
  - A także numer lotu i miejsce w samolocie. I ile rząd zapłacił za jego bilety. I czy zamówił zwykły, czy wegetariański posiłek. I w którym dokładnie pokoju mieli go zakwaterować w Fort Irwin.
  - O co ci chodzi?
  - Chodzi mi o to, dlaczego ja tego wszystkiego nie wiem?
  - A dlaczego miałbyś wiedzieć? Ja wykonałem kilka telefonów, a ty sprawdzałeś motel.
  - Wiesz co? Za każdym razem, kiedy gdzieś się wybieram, mam cały plik biletów lotniczych i voucherów podróży, a jeśli wyjeżdżam za granicę, zabieram ze sobą paszport. A jeśli jadę na konferencję, mam przy sobie teczkę z różnymi materiałami.
  - Co chcesz przez to powiedzieć?
  - Chcę powiedzieć, że niczego takiego nie ma w tym pokoju w motelu. Nie ma biletów, rezerwacji, paszportu, marszruty. Czyli rzeczy, które ktoś taki jak on powinien mieć w teczce.
- Garber nie odpowiedział.
- Miał torbę frakową - podjąłem. - Z zielonego brezentu, ze skórzanymi wzmocnieniami. Założę się, że była również pasująca do niej teczka. Obie rzeczy wybrała mu pewnie żona. Zamówiła je prawdopodobnie w sprzedaży wysyłkowej. Może na Gwiazdkę, dziesięć lat temu.
  - I tej teczki brakuje?
  - Miał w niej pewnie portfel, skoro paradował w mundurze wyjściowym. Z tyłoma baretkami i medalami wewnętrzna kieszka musiała być bardzo wypchana.
  - Więc?
  - Moim zdaniem dziwka zobaczyła, gdzie schował portfel, kiedy jej zapłacił. Potem przeszli do rzeczy i facet wykitował, a ona zorientowała się, że może mieć dodatkowy dochód. Przypuszczalnie ukradła teczkę.
- Garber przez chwilę milczał.
- Czy będziemy z tym mieli problem? - zapytał w końcu.
  - Zależy od tego, co w niej było.

2

Odłożyłem słuchawkę i zobaczyłem karteczkę, którą zostawiła mi moja sierżant. Dzwonił pański brat. Nie zostawił wiadomości. Złożyłem ją i wyrzuciłem do śmieci. Następnie poszedłem na kwaterę i przespałem się trzy godziny. Wstałem pięćdziesiąt minut przed świtem. O brzasku byłem już z powrotem przed motelem. O poranku okolica nie wyglądała wcale lepiej. Była pusta i opustoszała w promieniu wielu mil. I cicha. Nic się nie poruszało. Świt pierwszego dnia w roku to pora, kiedy w każdym zamieszkanym miejscu panuje całkowity bezruch. Droga nic nie jechała. Kompletnie nic.

Knajpa przy parkingu dla ciężarówek była otwarta, ale pusta. Recepcja motelu także. Podeszedłem do przedostatniego pokoju. Pokoju Kramera. Drzwi zamknięto na klucz. Oparłem się o nie plecami i wyobraziłem sobie, że jestem dziwką, której klient właśnie umarł. Wysunąłem się spod niego, szybko się ubrałem, złapałem teczkę i dałem nogę. Co zrobię teraz? Sama teczka nie miała dla mnie żadnej wartości. Interesowała mnie wyłącznie forsa w portfelu i być może karta American Express. Powinienem więc zajrzeć do środka, zabrać pieniądze i kartę i wyrzucić teczkę. Ale gdzie bym to zrobił?

Najlepiej w pokoju. Jednak z jakiegoś powodu tam tego nie zrobiłem. Może wpadłem w panikę. Może byłem zszokowany

i wystraszony i chciałem się stamtąd czym prędzej wynieść. Więc gdzie jeszcze? Spojrzałem na bar ze striptizem. Tam prawdopodobnie zmierzałem. Tam znajdowała się moja baza. Nie zaniósłbym tam jednak teczki. Zauważyłyby ją moje koleżanki, ponieważ i tak miałem przy sobie dużą torebkę. Dziwki zawsze noszą duże torebki. Mają w nich sporo rzeczy. Kondomy, olejki do masażu, być może pistolet lub nóż, być może terminal do kart kredytowych. Nie ma lepszego sposobu, żeby rozpoznać dziwkę. Szukajcie dziewczyny ubranej, jakby wybierała się na bal, dźwigającej torbę, jakby wybierała się na wakacje.

Zerknąłem w lewo. Może obszedłbym dookoła motel. Miałbym tam spokój. Na tę stronę wychodziły wszystkie okna, ale w nocy zasłony byłyby pewnie zasunięte. Skręciłem w lewo i jeszcze raz w lewo. Za oknami sypialni na szerokości mniej więcej dwudziestu stóp rosły chwasty i niskie zarośla. Wyobraziłem sobie, że idę tędy szybko, zatrzymuję się w głębokim cieniu i przetrząsam po omacku teczkę. Wyobraziłem sobie, że znajduję to, co chciałem, i wyrzucam ją. Mogłem ją cisnąć na odległość trzydziestu stóp.

Stanąłem tam, gdzie mógłbym stanąć, i zakreśliłem krąg wyimaginowanym cyrklem. To dało mi ponad trzysta jardów kwadratowych do przeszukania. Ziemia była kamienista i stwardniała po nocnym przymrozku. Znalazłem mnóstwo rzeczy. Używane igły, foliowe fifki do cracku, dekiel od buicka i kółko od deskorolki. Nie znalazłem jednak teczki.

Przy końcu zarośli był drewniany płot wysokości mniej więcej sześciu stóp. Podciągnąłem się na nim i zobaczyłem kolejne kamieniste pole zarośnięte chwastami. Nie zobaczyłem teczki. Zeskoczyłem i podeszedłem od tyłu do recepcji. Domyśliłem się, że za oknem z brudną matową szybą jest służbowa łazienka. Pod parapetem leżało kilkanaście przerdzewiałych klimatyzatorów. Od lat nikt ich nie ruszał. Ruszyłem dalej, skręciłem w lewo w zarośniętą chwastami żwirową alejkę, przy której stał kontener na śmieci. Otworzyłem klapę. Był wypełniony w trzech czwartych. Nie zobaczyłem w nim teczki.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy, po czym minąłem pusty parking i spojrzałem na bar ze striptizem. Był nieczynny i zamknięty na trzy spusty. Wszystkie neony zostały wyłączone. Poskręcane cienkie rurki wydawały się zimne i martwe. Bar miał własny kontener na śmieci, stojący przy ścianie niczym zaparkowany pojazd. W nim również nie znalazłem teczki.

Zajrzałem do taniej knajpy. Nadal była pusta. Sprawdziłem podłogę wokół stolików i siedzenia w boksach. Zajrzałem za kasę. Stało tam tekturowe pudło z kilkoma zapomnianymi przez klientów parasolami, nie było w nim jednak teczki. Zajrzałem do damskiej toalety. Nie było w niej kobiet. Teczki też nie.

Zerknąłem na zegarek i wróciłem do baru ze striptizem. Musiałem tu zadać kilka konkretnych pytań, ale wiedziałem, że lokal będzie zamknięty jeszcze co najmniej przez osiem godzin. Odwróciłem się i spojrzałem na motel. W recepcji nadal nikt nie siedział, w związku z czym ruszyłem w stronę mojego hunwee. Kiedy do niego wsiadłem, usłyszałem w radiu wezwanie 10-17. Wracaj do bazy. Potwierdziłem odbiór, zapaliłem wielki silnik Diesla i ruszyłem z powrotem do Fort Bird. Po drodze nie było żadnego ruchu i wyrobiłem się w czterdzieści minut. Na parkingu zobaczyłem wynajęty przez Kramera samochód. Za biurkiem w sekretariacie siedziała nowa osoba. Kapral. Dzienna zmiana. Niewielki śniady facet wyglądał, jakby pochodził z Lui-zjany. W jego żyłach płynęła na pewno francuska krew. Wyczuwam francuską krew na odległość.

- Dzwonił znowu pana brat - oświadczył.
- Powiedział, w jakiej sprawie?
- Nie zostawił wiadomości.
- O co chodziło z tym dziesięć-siedemnaście?
- Pułkownik Garber prosi o dziesięć-dziewiętnaście.

Uśmiechnąłem się. Można przeżyć całe życie, mówiąc wyłącznie dziesięć-to i dziesięć-tamto. Czasami miałem wrażenie, że tak właśnie je przeżywam. Kod 10-19 oznaczał kontakt przez telefon albo radio. Jest mniej poważny od kodu 10-16, który oznacza kontakt przez bezpieczne połączenie naziemne. Pułkow

nik Garber prosi o 10-19 znaczyło po prostu Pułkownik Garber chce, żeby pan do niego zadzwonił. Niektórzy żandarmi mają zwyczaj mówić po angielsku, jednak ten najwyraźniej do nich nie należał.

Wszedłem do swojego gabinetu i zobaczyłem opartą o ścianę torbę frakową Kramera oraz stojące obok pudło z jego butami i bielizną. Mundur generała zawieszono na moim wieszaku na płaszcze. Podeszedłem do biurka i wykręciłem numer Garbera. Słuchając sygnału dzwonka, zastanawiałem się, czego chciał ode mnie mój brat. Zastanawiałem się, jak mnie namierzył. Przed sześćdziesięcioma godzinami byłem w Panamie. Przedtem jeździłem po całych Stanach. Musiał się porządnie natrudzić, żeby mnie znaleźć. Więc może to było ważne. Wziąłem do ręki ołówek, napisałem na kartce Joe i podkreśliłem dwa razy.

- Tak?! - ryknął mi do ucha Leon Garber.
- Mówi Reacher - odparłem, spoglądając na zegar na ścianie. Było kilka minut po dziewiątej. Samolot, którym Kramer miał polecieć do Los Angeles, był w już w powietrzu.
- To był zawał - powiedział Garber. - Nie ma co do tego wątpliwości.
- W centrum Waltera Reeda szybko się uwinęli.
- Był generałem.
- Ale generałem z wybrakowanym sercem.
- Ściśle rzecz biorąc, z wybrakowanymi tętnicami. Miał ciężką arteriosklerozę, która doprowadziła do śmiertelnego zaburzenia rytmu serca. Tyle się od nich dowiedzieliśmy. I jestem skłonny im wierzyć. Prawdopodobnie wykitował, kiedy tylko dziwka zdjęła biustonosz.
- Nie miał przy sobie żadnych tabletek.
- Arteriosklerozy chyba nie zdiagnozowano. To typowe. Czujesz się dobrze i nagle odwalasz kity. Swoją drogą, nie sposób tu niczego sfingować. Można, jak się zdaje, porazić denata prądem, tak żeby to wyglądało na zawał, ale nie sposób doprowadzić w krótkim czasie do tak rozległych zmian miażdżycowych w arteriach.
- Czyżbyśmy się obawiali, że objawy zawału mogły być sfingowane?
- Mogło tym być zainteresowane KGB - odparł Garber. - Kramer i jego czołgi to największy taktyczny problem, z jakim ma do czynienia Armia Czerwona.
- W tym momencie Armia Czerwona ma chyba inne problemy.
- Za wcześniej oceniać, czy ta tendencja okaże się trwała. Nie odpowiedziałem. W słuchawce zapadła cisza.
- Nie mogę pozwolić, żeby zajmował się tym ktoś inny - powiedział w końcu Garber. - Jeszcze nie. Z powodu okoliczności. Chyba to rozumiesz?
- Co z tego wynika?
- Że będziesz musiał zawiadomić wdowę.
- Ja? Pani Kramer mieszka chyba w Niemczech?
- Jest w Wirginii. Przyjechała na święta. Mają tam dom. Dał mi adres, który zapisałem na kartce, dokładnie pod podkreślonym dwa razy słowem Joe.
- Ktoś z nią jest? - zapytałem.
- Nie mają dzieci. Jest prawdopodobnie sama.

- W porządku - powiedziałem.

- Jeszcze o niczym nie wie - poinformował mnie Garber. - Trochę trwało, zanim ją namierzyłem.

- Czy mam ze sobą zabrać kapelana?

- Nie poległ na polu bitwy. Możesz wziąć ze sobą żandarma kobietę. Pani Kramer może się okazać uczuciowa.

- W porządku.

- Naturalnie oszczędź jej szczegółów. Zmierzał do Irwin, to wszystko. Zmarł w hotelu. To nasza wersja oficjalna. Nikt oprócz ciebie i mnie nie wie, że było inaczej, i tak powinno pozostać. Ale musisz chyba poinformować swoją towarzyszkę. Pani Kramer może jej zadać jakieś pytania i musicie nadawać na tych samych falach. Co z miejscowymi gliniarzami? Nie puszcza pary z gęby?

- Facet, z którym rozmawiałem, służył w piechocie morskiej.

- Semper fidelis - mruknął Garber.

- Nie znalazłem jeszcze teczki - poinformowałem go.

- Najpierw zawiadom wdowę - odparł. - A potem szukaj dalej.

Kazałem kapralowi z dziennej zmiany przenieść rzeczy Kra-mera do mojej kwatery. Chciałem, żeby były w bezpiecznym miejscu. W którymś momencie zapyta o nie wdowa. A w tak dużej bazie jak Fort Bird rzeczy czasem giną, i to mogłoby okazać się kłopotliwe. Następnie udałem się do klubu oficerskiego i przyjrzałem żandarmom jedzącym pierwsze albo drugie śniadanie. Zwykle trzymają się z daleka od innych oficerów, ponieważ wszyscy ich nienawidzą. Zlokalizowałem czteroosobową grupkę: dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Wszyscy mieli na sobie oliwkowe mundury polowe, standardowy ubiór na służbie. Jedna z kobiet była kapitanem i trzymała prawą rękę na temblaku. Miała trudności z jedzeniem. Z czego wynikało, że trudno jej będzie również prowadzić samochód. Druga miała belki porucznika na klapach kurtki i Summer na naszywce z nazwiskiem. Niska i szczupła, wyglądała na jakieś dwadzieścia pięć lat. Jej skóra miała ten sam kolor co mahoniowy stół, przy którym jadła.

- Porucznik Summer - powiedziałem.

- Majorze?

- Szczęśliwego Nowego Roku.

- Wzajemnie, majorze.

- Jesteście dziś zajęci?

- Ogólne obowiązki, majorze.

- W porządku, za trzydzieści minut przed budynkiem dowództwa, w mundurze wyjściowym. Chcę, żeby utuliła pani wdowę.

Ja też włożyłem ponownie mundur wyjściowy i zadzwoniłem do kolumny transportu, żeby podstawili mi sedana. Nie chciałem jechać aż do Wirginii w hunwee. Zbyt hałaśliwy, zbyt niewygodny. Szeregowiec podstawił mi nowego oliwkowozielonego chev-roleta. Podpisałem odbiór i podjechałem pod budynek dowództwa.

Porucznik Summer pojawiła się w połowie dwudziestej ósmej minuty z przyznanych jej trzydziestu. Przystanęła na chwilę, a potem ruszyła wprost do samochodu. Wyglądała dobrze. Była bardzo niska, ale jednocześnie szybka i gibka. Przypominała miniaturowe wydanie modelki. Wsiadłem z samochodu, zostawiłem otwarte drzwi od strony kierowcy i przywitałem ją na chodniku. Miała odznakę strzelca wyborowego z wiszącymi pod nią belkami na karabin, karabin małokalibrowy, karabin automatyczny, pistolet, pistolet małokalibrowy, karabin maszynowy i pistolet maszynowy. Tworzyły niewielką, długą na dwa cale drabinkę. Dłuższą niż moja. Ja mam tylko karabin i pistolet. Strzeliła przede mną obcasami i wzorowo zaszalutowała.

- Panie majorze, porucznik Summer melduje się na rozkaz.

- Spokojnie - odparłem. - Zwracamy się do siebie nieformalnie, dobrze? Mów mi Reacher, bez stopnia. I bez salutowania. Nie lubię tego.

Summer nie odpowiedziała od razu. Wyraźnie się odprężyła.

- W porządku - mruknęła. Otworzyłem drzwi od strony pasażera.
- Ja prowadzę? - zapytała.
- Nie spałem prawie przez całą noc.
- Kto zmarł?
- Generał Kramer - odpowiedziałem. - Wielki spec od czołgów w Europie.

Przez chwilę znowu milczała.

- Co go do nas sprowadziło? - zapytała. - Mamy tu wyłącznie piechotę.
- Był przejazdem - odparłem.

Wsiadła z drugiej strony i przesunęła maksymalnie do przodu fotel kierowcy. Ustawiała lusterko. Ja przesunąłem swój fotel maksymalnie do tyłu i usadowiłem się jak najwygodniej.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.
- Do Green Valley w Wirginii - powiedziałem. - Powinno nam to zająć jakieś cztery godziny.
- Tam mieszka wdowa?
- Wróciła do domu na święta.

- A my przekazemy jej wiadomość? Życzymy szczęśliwego Nowego Roku, a tak przy okazji: zmarł pani mąż.

Pokiwałem głową.

- Mamy fart.

W gruncie rzeczy jednak niespecjalnie się martwiłem. Nie ma twardszych kobiet od żon generałów. Albo przez trzydzieści lat wspierają wspinających się po śliskim słupie mężów, albo na trzydzieści lat idą w odstawkę, kiedy mężowie wspinają się nań sami. Tak czy inaczej niewiele rzeczy może je potem wzruszyć. Na ogół są twardsze od samych generałów.

Summer zdjęła czapkę i cisnęła ją na tylne siedzenie. Miała bardzo krótkie włosy przycięte prawie do samej skóry. Kształtną głowę i ładne kości policzkowe. Gładką skórę. Podobał mi się jej wygląd. I umiała szybko jeździć. To jedno nie ulegało wątpliwości. Zapięła pasy i ruszyła na północ, jakby ścigała się w formule Nascar.

- Czy zginął w wypadku? - zapytała.
- Zawał serca - odparłem. - Jego tętnice były w fatalnym stanie.
- Gdzie to się stało? W naszym hotelu oficerskim? Potrząsnąłem głową.
- W zapłutym motelu poza bazą. Dokonał żywota, mając pod sobą dziwkę za dwadzieścia dolarów.
- Tego akurat nie powiemy wdowie?
- Nie, nie powiemy jej. Tego akurat nie powiemy nikomu.
- Dlaczego tedy przejeżdżał?
- Nie przyjechał do samego Fort Bird. Przyleciał na lotnisko Dullesa z Frankfurtu, a dwadzieścia godzin później miał wylecieć z krajowego do Los Angeles. Wybierał się do Fort Irwin na konferencję.
- Rozumiem - odparła i od tej chwili przestała się odzywać.

Jechaliśmy dalej na północ. Byliśmy mniej więcej na wysokości motelu, ale o wiele dalej na zachód. Zbliżaliśmy się do autostrady. - Mogę o coś szczerze zapytać?

- Proszę bardzo.
- Czy to jest test?
- Dlaczego miałby to być test?
- Jesteś ze sto dziesiątej specjalnej, tak?
- Owszem - odparłem. - Jestem.
- Złożyłam podanie o przyjęcie do tej jednostki.
- Do sto dziesiątej?
- Tak. Więc czy to odbywa się w ramach oceny?
- Oceny czego?
- Mojej osoby. Jako kandydatki.
- Potrzebna mi była jakaś partnerka. Na wypadek gdyby wdowa była uczuciowa. Wybrałem cię



zupełnie przypadkowo. Kapitan ze zwicznęną ręką nie mogłaby prowadzić samochodu. I czekanie z oceną personelu do chwili, gdy będziemy mieli martwego generała, świadczyłoby o naszej nieudolności.

- Chyba tak - odparła. - Ale zastanawiam się, czy nie czekasz, żebym zadała oczywiste pytania.
  - Moim zdaniem każdy żandarm z jajami powinien zadawać oczywiste pytania niezależnie od tego, czy się stara, czy nie o przyjęcie do jednostki specjalnej.
  - W porządku, więc pytam. Generał Kramer miał dwudziestogodzinną przerwę w podróży, chciał się odspermić i był gotów zapłacić za tę przyjemność. Ale po co przyjechał aż tutaj, żeby to zrobić? Z Waszyngtonu jest tu chyba trzysta mil?
  - Dwieście dziewięćdziesiąt osiem.
  - Musiałby przejechać tyle samo z powrotem.
  - Na to wygląda.
  - Więc po co?
  - To ty mi powiedz - odparłem. - Jeśli wpadniesz na coś, na co sam nie wpadłem, dam ci rekomendację.
  - Nie możesz. Nie jesteś moim dowódcą.
  - Może i jestem. Przynajmniej w tym tygodniu.
  - Dlaczego tu się w ogóle pojawiłeś? Czy dzieje się coś, o czym powinnam wiedzieć?
  - Nie mam pojęcia, dlaczego tu jestem. Dostałem rozkaz przeniesienia. Tyle wiem.
  - Naprawdę jesteś majorem?
  - Byłem nim, kiedy ostatnio sprawdzałem.
  - Wydawało mi się, że śledczy ze sto dziesiątej są na ogół chorążymi. Pracują po cywilnemu albo pod przykrywką.
  - Na ogół tak.
  - Więc po co cię tu sprowadzali, skoro mogli przysłać chorążego i przebrać go za majora?
  - Dobre pytanie. Może któregoś dnia poznam na nie odpowiedź.
  - Mogę zapytać, jakie otrzymałeś rozkazy?
  - Tymczasowe przeniesienie do Fort Bird i objęcie tam funkcji komendanta żandarmerii.
  - Komendanta nie ma w bazie.
  - Wiem. Zdażyłem się zorientować. Został przeniesiony gdzie indziej w tym samym momencie, kiedy ja zostałem przeniesiony tutaj. Również tymczasowo.
  - Więc sprawujesz jego funkcję.
  - Tak jak powiedziałem.
  - Dowodzenie jednostką żandarmerii nie należy do obowiązków jednostki specjalnej - powiedziała.
  - Potrafię sobie z tym poradzić. Zaczynałem jako zwykły żandarm, dokładnie tak jak ty.
- Summer nie odpowiedziała. Jechała dalej.
- Wracając do Kramera - powiedziałem. - Dlaczego zdecydował się na sześćsetmilową przejażdżkę? To mu zajęło dwanaście godzin z wolnych dwudziestu. Zrobił to tylko po to, żeby wydać piętnaście dolców na pokój i dwadzieścia na dziwkę?
  - Dlaczego to takie ważne? Atak serca to atak serca, tak? Czy były co do tego jakieś wątpliwości? Potrząsnąłem głową.
  - Zrobili już sekcję w centrum Waltera Reeda.
  - Więc nie ma znaczenia, gdzie i kiedy to się stało.
  - Zginęła jego teczka.
  - Rozumiem - odparła.
- Widziałem, że ostro główkuje. Lekko zmrużyła oczy.
- Skąd wiesz, że miał teczkę? - zapytała.
  - Nie wiem. Ale widziałaś kiedyś generała, który wybiera się na konferencję bez teczki?
  - Nie - odparła. - Myślisz, że zabrała ją ta dziwka? Pokiwałem głową.

- Taką mam aktualnie roboczą hipotezę.
- Więc znajdź dziwkę.
- Kim była?

Jej powieki się poruszyły.

- To nie ma sensu - stwierdziła. Pokiwałem ponownie głową.
- Zgadza się.
- Są cztery możliwe powody, dla których Kramer nie został w Waszyngtonie - powiedziała. - Po pierwsze, mógł podróżować z innymi oficerami i nie chciał narobić sobie wstydu, sprowadzając dziwkę do pokoju. Mogliby zobaczyć ją na korytarzu albo usłyszeć przez ścianę. Wymyślił więc jakąś wymówkę i pojechał gdzie indziej. Po drugie, nawet jeśli podróżował sam, mógł mieć voucher podróży Departamentu Obrony i bał się, że recepcjonistka zobaczy dziewczynę i zadzwoni do „Washington Post”. Takie rzeczy się zdarzają. Wolał więc zapłacić gotówką w jakimś anonimowym hoteliku. Po trzecie, nawet jeśli nie miał vouchera, mógł być dobrze znanym gościem w porządnym hotelu albo bał się, że zostanie tam rozpoznany. W związku z tym podobnie jak w punkcie drugim szukał anonimowości gdzieś poza miastem. Po czwarte, jego seksualne upodobania wykaczały poza to, co można znaleźć na żółtych stronach w Waszyngtonie, w związku z czym musiał pojechać tam, gdzie wiedział, że na pewno dostanie to, czego chce.

- Ale?

- Problemy pierwszy, drugi i trzeci można rozwiązać, przejeżdżając się dziesięć albo piętnaście mil, może nawet mniej. Dwieście dziewięćdziesiąt osiem mil to zdecydowanie za dużo. I chociaż mogę uznać, że istnieją upodobania, których nie można zaspokoić w Waszyngtonie, nie sądzę, by można je było łatwiej zaspokoić w Karolinie Północnej. Poza tym wydaje mi się, że coś takiego kosztowałoby o wiele więcej niż dwadzieścia dolców, nawet gdyby udało mu się to znaleźć.

- Więc dlaczego zdecydował się na przejechanie prawie trzystu mil?

Summer nie odpowiedziała. Po prostu jechała dalej i główkowała. Zamknąłem oczy. Nie otwierałem ich mniej więcej przez trzydzieści pięć mil.

- Znał tę dziewczynę - powiedziała. Otworzyłem oczy.

- Skąd?

- Niektórzy mężczyźni mają swoje ulubienice. Może poznał ją dawno temu. Miał do niej słabość. Takie rzeczy się zdarzają. Mogą nawet przerodzić się w miłość.

- Gdzie mógł ją poznać?

- Tutaj.

- W Fort Bird stacjonuje wyłącznie piechota. On był pan-cerniakiem.

- Może pancerniacy mieli wspólne ćwiczenia z piechotą. Powinieneś to sprawdzić.

Nie odpowiedziałem. Piechota i wojska pancerne stale prowadzą wspólne ćwiczenia. Ale prowadzą je tam, gdzie są czołgi, nie tam, gdzie stacjonują piechociarze. O wiele łatwiej jest przewieźć przez kontynent ludzi niż ciężki sprzęt.

- A może poznał ją w Fort Irwin - dodała Summer. - W Kalifornii. Może pracowała w Irwin i musiała z jakiegoś powodu wyjechać z Kalifornii. Ale lubiła obsługiwać bazy wojskowe, w związku z czym przeniosła się do Bird.

- Jaka dziwka lubi obsługiwać bazy wojskowe?

- Taka, która lubi pieniądze. Czyli praktycznie każda. Bazy wojskowe wspierają miejscową gospodarkę na najróżniejsze sposoby.

Nic na to nie odpowiedziałem.

- A może zawsze obsługiwała Fort Bird, ale ruszyła w ślad za piechotą do Fort Irwin, kiedy mieli wspólne manewry. Takie ćwiczenia mogą trwać miesiąc albo dwa. Nie ma sensu siedzieć w domu, jeśli brakuje klientów.

- Na co byś stawiała? - zapytałem.

- Poznali się w Kalifornii - odparła. - Kramer co jakiś czas wpadał do Fort Irwin. A potem ona

przeniosła się do Karoliny Północnej, ale on polubił ją do tego stopnia, że przyjeżdżał tutaj za każdym razem, kiedy odwiedzał Waszyngton.

- Babka nie robi nic specjalnego. Nie za dwadzieścia dolarów.
- Może on nie potrzebuje nic specjalnego.
- Zapytamy o to wdowę? Summer się uśmiechnęła.
- Może po prostu ją polubił. Może się o to postarała. Dziwki są w tym dobre. Najbardziej lubią starych klientów. Czują się o wiele bezpieczniej, jeżeli znają faceta.

Zamknąłem ponownie oczy.

- I co? - zapytała Summer. - Wpadłam na coś, co nie przyszło ci do głowy?
- Nie.

Zasnąłem, zanim przekroczyliśmy granicę stanu, i obudziłem się cztery godziny później, kiedy Summer skręciła zbyt szybko w zjazd do Green Valley. Moja głowa przesunęła się w prawo i uderzyła w szybę.

- Przepraszam - powiedziała. - Powinieneś sprawdzić billingi Kramera. Musiał zadzwonić wcześniej, sprawdzić, czy ją zastanie. Nie przejeżdżałby tylu mil, nie mając pewności.
- Skąd by dzwonił?
- Z Niemiec - odparła. - Jeszcze przed wylotem.
- Bardziej prawdopodobne, że skorzystał z automatu na lotnisku Dullesa. Ale sprawdzimy to.
- Sprawdzimy?
- Możesz mi partnerować. Nic na to nie odpowiedziała.
- To byłby rodzaj testu - dodałem.
- Czy to ważne?
- Pewnie nie. Ale nie można tego wykluczyć. Zależy, czego dotyczy ta konferencja. Zależy, jakie na nią zabrał papiery. Mógł mieć w teczce cały plan działań wojennych w Europie. Albo projekt nowej taktyki, analizę słabych punktów, najróżniejszego rodzaju tajne materiały.
- Armia Czerwona jest w defensywie. Pokiwałem głową.
- Bardziej martwię się o media. Gazety albo telewizję - powiedziałem. - Jeśli jakiś reporter znajdzie tajne dokumenty w śmietniku niedaleko tego baru, będziemy mieli niezłą chryję.
- Może wdowa coś będzie wiedziała. Moglibyśmy to z nią przedyskutować.
- Nie możemy jej o to zapytać - rzekłem. - Dla niej Kramer zmarł grzecznie podczas snu, z rączkami na kołdrze. Nikt poza mną, tobą i Garberem nie powinien wiedzieć o zagrożeniach, jakie niesie za sobą ta sprawa.
- Jest w to zaangażowany Garber?
- Ja, ty i on.

Zobaczyłem, że się uśmiecha. Sprawa była trywialna, ale dla osoby starającej się o przyjęcie do 110. jednostki specjalnej praca z Garberem była z pewnością nie lada okazją.

Green Valley było ślicznym jak z obrazka miasteczkiem w stylu kolonialnym. Dom Kramerów znaleźliśmy w jego starszej, bardziej eleganckiej części. Wiktoriański budynek z dachówkami w kształcie rybiej łuski oraz pomalowanymi na biało wieżyczkami i werandami stał na kilku akrach szmaragdowozielonego traw

nika, na którym rosły stateczne iglaki. Wyglądały, jakby ktoś zaplanował z wielką troską ich rozkład i tak zapewne było przed stu laty. Zatrzymaliśmy się przy krawężniku i przez chwilę przyglądaliśmy się domowi. Nie wiem, o czym myślała Summer, ale ja rejestrowałem całą scenę w pamięci i umieszczałem ją pod literą A, jak Ameryka. Miałem jak każdy obywatel numer ubezpieczenia społecznego i srebrny paszport, ale między końcem służby mojego ojca i początkiem mojej mieszkałem tylko pięć lat w kontynentalnych Stanach. W związku z tym znałem kilka elementarnych faktów, na przykład, jakie są stolice stanów i ile wielkich szlemów zaliczył Lou Gehrig. W szkole średniej nauczyli mnie, ile jest poprawek do konstytucji i jakie znaczenie miała bitwa nad Antietam, ale nie wiedziałem, ile kosztuje mleko, jak obsługiwać automat telefoniczny i jak wyglądają i pachną różne miejsca. W związku z tym uczyłem się tego, kiedy tylko miałem

okazję. A skąpany w promieniach rozmytego słońca dom Kramerów był tego wart. To nie ulegało kwestii. Lekka bryza niosła zapach palonego drewna i spowijała nas intensywna cisza chłodnego popołudnia. Człowiek chciałby, żeby w takim miejscu mieszkali jego dziadkowie. Mógłby ich odwiedzać jesienią, grabić liście, popijać jabłecznik, a potem wrócić w lecie, załadować kanoe na dach dziesięcioletniego kombi i pojechać nad jezioro gdzieś w pobliżu. Przypominało mi to obrazki w książkach, które dostawałem w prezencie w Manili, Seulu i na Guam. Aż do momentu, kiedy weszliśmy do środka.

- Gotowi? - zapytała Summer.

- Jasne - odparłem. - Miejmy to za sobą. Poinformujmy wdowę.

Nie odpowiedziała. Byłem pewien, że robiła to już wcześniej. Ja też, i to nieraz. Nie było w tym nigdy nic zabawnego. Ruszyła z miejsca, skręciła w podjazd, podjechała powoli do drzwi frontowych i stanęła dziesięć stóp od nich. Otworzyliśmy jednocześnie drzwiczki, wysiedliśmy i obciągnęliśmy kurtki od mundurów. Czapki zostawiliśmy w samochodzie. To powinien być pierwszy sygnał dla pani Kramer, jeśli nas przypadkiem obserwowała. Para żandarmów na twoim progu nigdy nie zapowiada nic dobrego, ale jeżeli mają gołe głowy, wieści są z pewnością fatalne. Te konkretne drzwi były matowoczerwone i miały w środku małą szybkę. Wcisnąłem dzwonek i odczekaliśmy dłuższą chwilę. Przyszło mi na myśl, że nikogo nie ma w domu. Zadzwoiłem ponownie. Wiatr był zimniejszy i silniejszy, niż sądziłem.

- Powinniśmy wcześniej zatelefonować - doszła do wniosku Summer.

- Nie mogliśmy. Nie mogliśmy powiedzieć: proszę być w domu za cztery godziny, ponieważ chcemy pani osobiście przekazać pewną ważną wiadomość. Nie sądzisz, że dawałibyśmy w ten sposób zbyt wiele do zrozumienia?

- Przejechałam taki kawał drogi i nie mam kogo utulić.

- To brzmi jak tekst piosenki country. A potem psuje ci się ciężarówka i zdycha pies.

Ponownie nacisnąłem dzwonek. Bez odpowiedzi.

- Powinniśmy sprawdzić, czy jest jakiś samochód - rzekła Summer.

Znaleźliśmy jeden w zamkniętym dwustanowiskowym garażu obok domu. Zobaczyliśmy go przez szybę. To był mercury grand marquis, w kolorze metalicznej zieleni, długi jak transatlantyk. Idealny samochód dla pani generałowej. Nie za nowy, nie za stary, ekskluzywny, ale niezbyt drogi, w odpowiednim kolorze, w stu procentach amerykański.

- Myślisz, że to jej? - zapytała Summer.

- Chyba tak. Dopóki nie awansował na podpułkownika, mieli prawdopodobnie forda. Potem zmienili go na grand marquisa. Czekali pewnie na trzecią gwiazdkę, żeby przesiąść się do lincolna.

- To smutne.

- Naprawdę? Nie zapominaj, gdzie był ostatniej nocy.

- Ale gdzie jest ona? Myślisz, że wyszła na spacer?

Kiedy się odwróciliśmy, wiatr uderzył nas w plecy i usłyszeliśmy, jak drzwi walą we framugę na tyłach domu.

- Wyszła przez kuchenne drzwi - stwierdziła Summer. - Może pracuje w ogrodzie?

- Nikt nie pracuje w ogrodzie w Nowy Rok - odparłem. - Nie na tej półkuli. Nie ma czego uprawiać.

Mimo to wróciliśmy do drzwi frontowych i jeszcze raz zadzwoniliśmy. Lepiej, żeby to ona wyszła nam na spotkanie, lepiej jej nie zaskakiwać. Znowu usłyszeliśmy dobiegający z tyłu dźwięk walących o framugę drzwi. Tak jakby łomotał nimi wiatr.

- Powinniśmy to sprawdzić - stwierdziła Summer. Pokiwałem głową. Odgłos walących o framugę drzwi ma

w sobie coś niepokojącego. Sugeruje najróżniejsze rzeczy.

- Tak. Chyba powinniśmy - przyznałem.

Idąc pod wiatr, ruszyliśmy ramię w ramię wokół domu. Wykładana kamiennymi płytami alejka prowadziła do kuchennych drzwi. Otwierały się do środka i musiały mieć z tyłu sprężynę, która je

zamykała. Sprężyna najwyraźniej jednak osłabła, bo podmuchy wiatru szarpały drzwiami i od czasu do czasu uchylały je na osiem, dziewięć cali. A potem wiatr cichł i sprężyna przyciągała drzwi, które waliły o framugę. Na naszych oczach powtórzyło się to trzy razy. Wiatr mógł szarpać drzwiami, ponieważ osadzony w nich zamek został wyłamany.

To był porządny stalowy zamek. Otaczające go drewno okazało się jednak słabsze od stali. Ktoś posłużył się łomem. Zamek został raz, a może dwa razy mocno podważony i wytrzymał, ale pękło drewno. Drzwi otworzyły się i zamek po prostu wypadł na zewnątrz. Leżał teraz na płycie alejki. W drzwiach została po nim dziura w formie półksiężyca. Wiatr rozsypał dokoła drzazgi.

- Co teraz? - zapytała Summer.

Nie było żadnego alarmu antywłamaniowego, żadnych czujników ani kabli. Wiadomość o włamaniu nie dotarła do najbliższego posterunku policji. Nie sposób było stwierdzić, czy sprawców od dawna już nie ma, czy nadal przebywają w środku.

- Co teraz? - powtórzyła Summer.

Byliśmy nieuzbrojeni. Nie zabiera się broni na oficjalną wizytę w mundurach wyjściowych.

- Zabezpieczaj dom od frontu - poleciłem. - Na wypadek gdyby ktoś wyszedł.

Odeszła bez słowa i dałem jej minutę na zajęcie pozycji. Następnie pchnąłem łokciem drzwi i wszedłem do kuchni. Zamknąłem za sobą drzwi i oparłem się o nie, żeby same się nie otworzyły. Przez chwilę stałem bez ruchu i nasłuchiwałem.

Nie usłyszałem żadnego dźwięku. Zupełnie żadnego.

W sporej, dawno nieodnawianej kuchni unosił się niewyraźny zapach gotowanych jarzyn i parzonej kawy. Panował w niej umiarkowany bałagan. Po prawej stronie naprzeciwko mnie były otwarte drzwi. Ujrzałem za nimi trójkątny fragment wyfroterowanej dębowej podłogi. Korytarz. Powoli się wyprostowałem i ruszyłem do przodu, skręcając lekko w prawo, żeby więcej widzieć. Za moimi plecami znowu walnęły drzwi. Widziałem coraz większą część korytarza. Domyśliłem się, że biegnie aż do wejścia od frontu. Po lewej stronie ujrzałem zamknięte drzwi. Prawdopodobnie do jadalni. Po prawej stronie znajdował się gabinet. Drzwi do niego były otwarte. Zobaczyłem biurko, krzesło i ciemne regały z książkami. Dałem ostrożnie krok do przodu i przesunąłem się jeszcze bardziej w prawo.

Na podłodze korytarza zobaczyłem zwłoki kobiety.

3

Martwa kobieta miała długie siwe włosy i była ubrana w ozdobną koszulę nocną z białej flaneli. Leżała na boku. Jej stopy znajdowały się blisko drzwi gabinetu, ręce i nogi były rozłożone tak, że wyglądała, jakby biegła. Leżała na strzelbie, w połowie ją zakrywając. Miała rozbitą z boku głowę i włosy sklezione krwią i mózgiem. Krew poplamiała również dębową podłogę. Była ciemna i kleista. Wszedłem z kuchni i zatrzymałem się pół jarda od kobiety. Przykucnąłem i ująłem jej nadgarstek. Miała bardzo zimną skórę. Nie wyczułem pulsu.

Kucając, przez chwilę nasłuchiwałem. Niczego nie usłyszałem. Pochyliłem się i przyjrzałem jej głowie. Uderzono ją jakimś twardym i ciężkim przedmiotem. Tylko raz, ale mocno. Rana miała kształt wgniecenia o szerokości cala i długości mniej więcej czterech. Zadana została z lewej strony, z góry. Kobieta musiała stać przodem do kuchni. Rozejrzałem się dokoła, puściłem jej nadgarstek, wstałem i wszedłem do gabinetu. Prawie całą podłogę przykrywał perski dywan. Stałem na nim i wyobraziłem sobie, że słyszę ciche kroki zaniepokojonej osoby zbliżającej się do mnie korytarzem. Wyobraziłem sobie, że wciąż ściskam w ręku łom, którym wyламаłem zamek. Wyobraziłem

sobie, że biorę zamach, kiedy moja ofiara pojawia się w polu widzenia, mijając otwarte drzwi do gabinetu.

Spojrzałem w dół. Na dywanie była smuga krwi i włosy. Ktoś wytarł o niego łom.

Poza tym w pokoju nic nie zostało tknięte. Gabinet miał zupełnie bezosobowy wygląd, jakby

urządzono go, ponieważ gospodarze dowiedzieli się, że w domu powinien być gabinet. Nie dlatego, że rzeczywiście go potrzebowali. Biurko nie było przygotowane do pracy. Stały na nim wszędzie fotografie w srebrnych ramkach. Choć było ich mniej, niż można by się spodziewać po tak długim małżeństwie. Na jednym ze zdjęć martwy mężczyzna z motelu oraz martwa kobieta z korytarza stali razem na tle wyrzeźbionych na Mount Rushmore twarzy. Generałostwo Kramerowie na wakacjach. On był znacznie wyższy od niej. Robił wrażenie silnego i pełnego wigoru. Przy nim wyglądała na drobną.

Inna, mająca już kilka lat oprawiona w ramki fotografia przedstawiała samego Kramera w mundurze. Stał na szczycie schodków prowadzących do samolotu transportowego C-130. Zdjęcie było kolorowe. Mundur generała był zielony, samolot brązowy. Kramer uśmiechał się i machał ręką na pożegnanie. Domyśliłem się, że odlatuje, żeby objąć jednogwiazdkowe dowództwo. Obok stało drugie zdjęcie, prawie identyczne, trochę nowsze. Uśmiechnięty Kramer na szczycie schodków, odwracający się i machający. Zapewne w drodze do objęcia dwugwiazdkowego dowództwa. Na obu fotografiach machał prawą ręką. Na obu w lewej trzymał tę samą torbę frakową, którą widziałem w szafie w motelu. A pod pachą, na obu zdjęciach, miał pasującą do niej brezentową teczkę.

Wyszedłem z powrotem na korytarz. Przez chwilę uważnie nasłuchiwałem. Nic nie usłyszałem. Mógłbym przeszukać dom, ale nie musiałem tego robić. Byłem przekonany, że nikogo w nim nie ma, i wiedziałem, że nie muszę w nim niczego szukać. Dlatego spojrzałem po raz ostatni na wdowę po generale Kramerze. Widziałem podeszwy jej stóp. Nie była wdową zbyt długo. Godzinę, może trzy. Zgadywałem, że krew wypłynęła na podłogę ze dwanaście godzin wcześniej. W tej chwili nie mogłam jednak tego dokładnie ustalić. Trzeba z tym poczekać do przyjazdu lekarzy.

Wyszedłem przez kuchnię na dwór i okrążyłem dom, żeby odnaleźć Summer. Uznałem, że zamiast jej wszystko opowiadać, wyślę ją po prostu do środka. Tak będzie szybciej. Po czterech minutach pojawiła się z powrotem, spokojna i opanowana. Punkt dla Summer, pomyślałem.

- Lubisz zbiegi okoliczności? - zapytała. Nie odezwałem się.

- Powinniśmy jechać do Waszyngtonu - powiedziała. - Do centrum Waltera Reeda. Muszą przeprowadzić jeszcze raz sekcję Kramera.

Nie odezwałem się.

- W tym momencie jego śmierć staje się automatycznie podejrzana. Jakie jest prawdopodobieństwo, że konkretny żołnierz umrze danego dnia? Jeden do czterdziestu lub pięćdziesięciu tysięcy. Ale żeby jego żona zginęła tego samego dnia? Żeby padła ofiarą zabójstwa?

- To nie było tego samego dnia - odparłem. - To nie było nawet w tym samym roku.

Summer pokiwała głową.

- W porządku, sylwester i Nowy Rok. Ale to tylko potwierdza moje podejrzenia. Trudno uwierzyć, że dyżurował tam wczoraj lekarz sądowy. Musieli kogoś ściągnąć. Skąd? Prawdopodobnie z przyjęcia.

Lekko się uśmiechnąłem.

- Chcesz, żebyśmy tam pojechali i powiedzieli: hej, czy wasz doktor na pewno dobrze widział zeszłej nocy? Jesteście pewni, że był wystarczająco trzeźwy, żeby odróżnić zawał serca od zabójstwa?

- Musimy to sprawdzić. Nie lubię zbiegów okoliczności.

- Co twoim zdaniem tu się wydarzyło?

- Intruz - odparła. - Panią Kramer obudził hałas przy drzwiach, wstała z łóżka, złapała strzelbę, którą trzymała pod ręką, zeszła na dół i ruszyła do kuchni. Dzielną kobietą.

Pokiwałem głową. Nie ma twardszych kobiet od żon generałów.

- Ale spóźniła się - dodała Summer. - Intruz zdążył już wejść do gabinetu i uderzył ją z boku. Łomem, którym wylał zamek. Zrobił to, kiedy koło niego przechodziła. Był od niej wyższy, i to

sporo, i prawdopodobnie praworęczny.

Nie odezwałem się.

- Więc jedziemy do Waltera Reeda?

- Chyba musimy - odparłem. - Pojedziemy, kiedy tylko skończymy tutaj.

Zadzwoniliśmy do gliniarzy w Green Valley z telefonu, który wisiał na ścianie w kuchni. Następnie zadzwoniliśmy do Garbera i przekazaliśmy mu wiadomość. Odparł, że spotka się z nami w szpitalu. Potem zaczekaliśmy. Summer obserwowała dom od frontu, ja od tyłu. Nic się nie wydarzyło. Gliniarze nadjechali po siedmiu minutach. Mieli zapalone światła i włączone syreny. Słyszeć ich było z odległości mili. Zajechali z wyciem syren na podjazd i dopiero wtedy je wyłączyli. Summer i ja odsunęliśmy się na bok, kiedy koło nas przebiegali. Nie mieliśmy do odegrania żadnej roli. Żona generała jest cywilem i dom podlegał cywilnej jurysdykcji. Normalnie nie zwracam uwagi na takie subtelności, ale zobaczyłem już wszystko, co chciałem wiedzieć. Byłem więc gotów wycofać się i zarobić parę punktów za trzymanie się regulaminu. Punkty mogły mi się przydać później.

Policjant w mundurze obserwował nas przez dwadzieścia długich minut, podczas gdy jego koledzy szperali w środku. W końcu z domu wyszedł detektyw w garniturze, żeby odebrać od nas zeznania. Powiedzieliśmy mu o ataku serca Kramera, podróży do wdowy i walących o futrynę drzwiach. Nazywał się Clark i gładko wysłuchał tego, co mieliśmy do powiedzenia. Nie spodobało mu się to samo, co nie spodobało się Summer. Oboje

Kramerowie zmarli daleko od siebie tej samej nocy, co stanowiło zbieg okoliczności, a on nie lubił zbiegów okoliczności w podobnym albo nawet większym stopniu niż Summer. Zrobiło mi się żal Ricka Stocktona, zastępcy szefa policji w Karolinie Pomocnej. W świetle najnowszych wydarzeń jego zgoda na przejście przeze mnie zwłok Kramera nie będzie wyglądała najlepiej. W rezultacie połowa zagadki znalazła się w rękach wojskowych. Mogło dojść do konfliktu.

Daliśmy Clarkowi numer telefonu, pod którym mógł się z nami skontaktować w Fort Bird, i wsiedliśmy do samochodu. Oceniałem, że do Waszyngtonu mamy około siedemdziesięciu mil. Kolejna godzina i dziesięć minut. Może mniej, biorąc pod uwagę styl jazdy Summer. Wjechała ponownie na autostradę i wcisnęła gaz do dechy. Chevrolet dygotał, jakby miał się zaraz rozlecieć.

- Widziałam teczkę na fotografiach - powiedziała. - Ty też?

- Tak - odparłem.

- Czy stresuje cię widok zmarłych?

- Nie.

- Dlaczego?

- Nie wiem. A Ciebie?

- Trochę mnie stresuje.

Nic na to nie odpowiedziałem.

- Uważasz, że to zbieg okoliczności?

- Nie - odparłem. - Nie wierzę w zbiegi okoliczności.

- Czyli sądzisz, że lekarz sądowy czegoś nie zauważył?

- Nie - odparłem ponownie. - Uważam, że wyniki sekcji są prawdopodobnie trafne.

- Więc po co jedziemy do Waszyngtonu?

- Ponieważ muszę przeprosić lekarza. Oddałem mu niedźwiedzią przysługę, wysyłając zwłoki Kramera. Teraz przez cały miesiąc będzie miał na karku cywili. To go cholernie wkurzy.

Ale patolog okazał się kobietą o tak pogodnym usposobieniu, że wątpię, by cokolwiek zdołało ją na dłużej wkurzyć. Spotkaliśmy się z nią w holu wojskowego szpitala Waltera Reeda w dzień Nowego Roku o czwartej po południu. Z sufitu wisiały świąteczne dekoracje, które już teraz wydawały się lekko sfatygowane. Garber przyjechał przed nami. Siedział na plastikowym krześle. Był niedużym mężczyzną i nie powinno mu na nim być niewygodnie. Mimo to milczał. Nie przedstawił się Summer. Stała obok niego, ja oparłem się o ścianę. Lekarka stanęła naprzeciwko nas z plikiem papierów, jakby miała wykład przed grupą pilnych studentów. Na naszywce z

nazwiskiem miała napisane Sam McGowan; była młoda, śniada, energiczna i otwarta.

- Generał Kramer zmarł z przyczyn naturalnych - powiedziała. - Atak serca, wczoraj wieczorem, po jedenastej, przed północą. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jeśli chcecie, możecie zamówić drugą opinię, ale to strata czasu. Wyniki badań toksykologicznych są jednoznaczne, dowody świadczące o migotaniu komór nie do podważenia, zmiany zwyrodnieniowe w ścianach tętnic masywne. Więc można co najwyżej spekulować, czy ktoś za pomocą impulsu elektrycznego spowodował u tego mężczyzny migotanie, które przypuszczalnie i tak nastąpiłoby w ciągu kilku minut, godzin, dni albo tygodni.

- Jak można by tego dokonać? - zapytała Summer. McGowan wzruszyła ramionami.

- Skóra denata musiałaby być mokra na dużej powierzchni. Co oznacza, że powinien siedzieć w wannie. Włożenie kabli pod napięciem do wody spowodowałoby migotanie, ale nie pozostawiłoby śladów po oparzeniu. Jednak denat nie siedział w wannie i nie ma dowodów, że siedział w niej wcześniej.

- A jeśli nie miał mokrej skóry?

- Wtedy zauważyłabym oparzenia. A ja ich nie zauważyłam, mimo że oglądałam każdy cal jego ciała przez szkło powiększające. Żadnych oparzeń, żadnych śladów po nakłuciu, w ogóle nic.

- Czy możemy wykluczyć szok, zaskoczenie, strach? Lekarka ponownie wzruszyła ramionami.

- Nie możemy, ale chyba wiemy, co wtedy robił? Nagłe seksualne pobudzenie to klasyczny czynnik sprawczy.

Nikt się nie odezwał.

- Przyczyny naturalne, moi drodzy - powiedziała McGo-wan. - Po prostu stary rozległy zawał serca. Każdy patolog na świecie może go obejrzeć i zgodzi się ze mną na sto procent. Zaręczam wam.

- W porządku - mruknął Garber. - Dziękuję, pani doktor.

- A ja muszę panią przeprosić - odezwał się. - Codziennie, przez kilka tygodni będzie pani to musiała powtarzać kilkudziesięciu cywilom.

McGowan się uśmiechnęła.

- Wydrukuję oficjalne oświadczenie - powiedziała. Spojrzała kolejno na każde z nas, żeby upewnić się, czy nie

mamy więcej pytań, po czym ponownie się uśmiechnęła i wyszła przez wahadłowe drzwi, które się za nią zamknęły. Zawieszona pod sufitem dekoracje poruszyły się z szelestem, a potem w holu ponownie zapadła cisza.

Przez chwilę się nie odzywaliśmy.

- No dobrze - rzekł w końcu Garber. - Co do Kramera nie ma żadnych kontrowersji, a jego żonę zajmują się cywile. To nas nie dotyczy.

- Znałeś Kramera? - zapytałem. Garber potrząsnął głową.

- Tylko ze słyszenia.

- I co o nim słyszałeś?

- Arogancki. Był pancernikiem. Czołg Abramsa to najfajniejsza zabawka w całej armii. Ci faceci rządzą światem i wiedzą o tym.

- Wiesz coś o jego żonie? Garber się skrzywił.

- Z tego, co słyszałem, spędzała bardzo dużo czasu w ich domu w Wirginii. Bogata, ze starej miejscowej rodziny. Robiła

to, co do niej należało. Dotrzymywała mu towarzystwa w bazie w Niemczech, tyle że jeśli zsumuje się wszystkie jej pobyty, nie trwały zbyt długo. W dwunastym korpusie powiedzieli mi na przykład, że wróciła do kraju na święta, co wydaje się normalne, ale w rzeczywistości wróciła już na Święto Dziękczynienia i miała do męża dojechać dopiero na wiosnę. Więc tak naprawdę Kramerowie nie byli ze sobą zbyt blisko. Nie mieli dzieci, wspólnych zainteresowań.

- To wyjaśnia, dlaczego spotykał się z dziwką - powiedziałem. - Skoro żyli osobno.

- Chyba tak - zgodził się Garber. - Myślałem, że to normalne małżeństwo, ale teraz widzę, że ich



związek był fikcją.

- Jak miała na imię? - zapytała Summer. Garber spojrział na nią.

- Dla nas to pani Kramer - powiedział. - To wszystko, co musimy wiedzieć.

Summer uciekła spojrzeniem w bok.

- Z kim Kramer jechał do Fort Irwin? - zapytałem.

- Z dwoma podwładnymi - odparł Garber. - Jednogwiazd-kowym generałem i pułkownikiem, Vassellem i Coomerem. Tworzyli prawdziwy triumwirat. Kramer, Vassell i Coomer. Wizytówka wojsk pancernych.

Wstał i przeciągnął się.

- Zaczynij od północy wczorajszego dnia - powiedziałem. - Opowiedz mi o wszystkim, co robiłeś.

- Po co?

- Bo nie lubię zbiegów okoliczności. Podobnie jak ty.

- Nic nie robiłem.

- Każdy coś robił - odparłem. - Z wyjątkiem Kramera. Garber spojrział mi prosto w oczy.

- Patrzyłem, jak bomba idzie w górę. Potem wypłem kolejnego drinka. Ucałowałem córkę. Z tego, co pamiętam, całowałem się z wieloma ludźmi. Potem zaśpiewałem Auld Lang Syne.

- Co dalej?

- Później zadzwonili do mnie z biura. Powiedzieli, że do

wiedzieli się okrezną drogą, że mamy martwego dwugwiazd-kowego generała w Karolinie Północnej. Powiedzieli, że oficer dyżurny w Fort Bird nie chciał się tym zająć. Więc zadzwoniłem tam i trafiłem na ciebie.

- Co dalej?

- Pojechałeś, żeby załatwić to, co do ciebie należy, a ja zadzwoniłem do miejscowych gliniarzy, od których dowiedziałem się, że generał nazywał się Kramer. Sprawdziłem jego dane osobowe i odkryłem, że jest z dwunastego korpusu. W związku z tym zadzwoniłem do Niemiec i powiadomiłem jego jednostkę, nie wtajemniczając ich jednak w szczegóły. Już ci to mówiłem.

- Co dalej?

- Dalej nic. Czekałem na twój raport.

- Okay - powiedziałem.

- Okay co?

- Okay, panie pułkowniku.

- Nie chrzań - burknął. - Co o tym myślisz?

- Teczka. Nadal chcę ją znaleźć.

- Więc jej szukaj - odparł. - Dopóki nie znajdę Vassella i Coomera. Mogą nam powiedzieć, czy jest się czym przejmować.

- Jeszcze ich nie znalazłeś? Garber potrząsnął głową.

- Nie. Wymeldowali się z hotelu, ale nie polecieli do Kalifornii. Wygląda na to, że nikt nie wie, gdzie się, do diabła, podzieli.

Garber wrócił do miasta, a ja i Summer wskoczyliśmy do samochodu i ruszyliśmy z powrotem na południe. Było zimno i robiło się ciemno. Zaproponowałem, że ją zastąpię, ale Summer nie chciała. Jazda samochodem stanowiła najwyraźniej jej główne hobby.

- Pułkownik Garber był jakiś spięty - zauważyła.

W jej głosie zabrzmiało rozczarowanie, jakby była aktorką, która nie wypadła najlepiej na przesłuchaniu.

- Czuł się winien - odparłem.

- Dlaczego?

- Bo to on zabił panią Kramer.

Summer wlepiała we mnie wzrok. Jechała z szybkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę i patrzyła na mnie z ukosa.

- W pewnym sensie - wyjaśniłem.

- Jak to?
- To nie był zbieg okoliczności.
- Lekarka powiedziała nam coś innego.
- Kramer zmarł z przyczyn naturalnych. Tak powiedziała nam pani doktor. Ale coś związanego z tym wydarzeniem sprawiło, że pani Kramer padła ofiarą zabójstwa. A doprowadził do tego Garber. Gdy zawiadomił dwunasty korpus. Przekazał informację i w ciągu dwóch godzin wdowa też była martwa.
- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytała.
- Nie mam zielonego pojęcia.
- I gdzie się podzieli Vassell i Coomer? Podróżowali we trzech. A teraz Kramer nie żyje, jego żona nie żyje, a ci dwaj zaginęli?
- Słyszałaś, co powiedział Garber. Ta sprawa już nas nie dotyczy.
- Nie zamierzasz nic zrobić?

- Mam zamiar poszukać prostytutki.

Udaliśmy się najkrótszą możliwą trasą z powrotem do motelu i baru ze striptizem. Nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru. Najpierw obwodnicą Beltway, potem międzystanową I-95. Świat za oknami robił wrażenie mrocznego i cichego, zimnego i sennego. Wszędzie zapalały się światła. Summer jechała najszybciej, jak się odważyła, czyli bardzo szybko. To, co Kramerowi zajęło sześć godzin, nam mogło zająć niecałe pięć. Zatrzymaliśmy się dość wcześnie, kupiliśmy nieswieże kanapki, które przyrządzono jeszcze w poprzednim roku kalendarzowym, i pędząc na południe, wbiliśmy je w siebie. Następnie przez dwadzieścia minut obserwo wałem Summer. Miała małe zgrabne dłonie. Opierała je lekko na kierownicy. Prawie nie mrugała. Miała leciutko rozchylone usta i co kilka minut przesuwiała językiem po zębach.

- Porozmawiaj ze mną - powiedziałem.
- O czym?
- O czymkolwiek. Opowiedz o swoim życiu.
- Dlaczego?
- Bo jestem zmęczony. Żeby nie zasnął.
- Moje życie nie jest zbyt interesujące.
- Pozwól, że sam to ocenię.

Summer wzruszyła ramionami i zaczęła od początku, czyli od miejscowości w pobliżu Birmingham w Alabamie, gdzie urodziła się w połowie lat sześćdziesiątych. Nie powiedziała złego słowa na temat rodzinnych stron, odniosłem jednak wrażenie, że już wówczas zdawała sobie sprawę, że dorastając w tamtym czasie w Alabamie jako biedna i czarnoskóra dziewczyna, nie wygrała losu na loterii. Zawsze była drobna, ale zwinna, a dzięki talentowi do gimnastyki i tańca zwróciła na siebie uwagę w szkole. Uczyła się też całkiem nieźle i udało jej się otrzymać kilka stypendiów i dostać do college'u w Georgii. Przystąpiła do Programu Szkolenia dla Oficerów Rezerwy i kiedy na drugim roku skończyło jej się cywilne stypendium, wojsko przejęło pałeczkę w zamian za pięć lat przyszłej służby. Obecnie odsłużyła już dwa i pół roku. Ukończyła z wyróżnieniem Wojskową Akademię Policyjną. Sprawiała wrażenie zadowolonej z życia. Integracja rasowa w wojsku trwała od czterdziestu lat i Summer była zdania, że to jedno z najmniej uwrażliwionych na kolor skóry miejsc w Ameryce. Frustrowało ją jednak trochę powolne tempo własnej kariery. Wydawało mi się, że traktuje wstąpienie do sto dziesiątej jednostki jako rodzaj przełomu. Jeśli ją przyjmą, zostanie w wojsku do końca życia tak jak ja. Jeżeli nie, odejdzie po pięciu latach.

- A teraz opowiedz mi o sobie - powiedziała.

- O sobie? - zdziwiłem się. Moje życie było odmienne pod każdym możliwym względem. Jeśli chodzi o kolor skóry, płeć, geografii, powiązania rodzinne. - Urodziłem się w Berlinie. W tamtych czasach matka wychodziła z dzieckiem ze szpitala po tygodniu, więc wstąpiłem do wojska jako siedmiodniowy berbec.

Dorastałem we wszystkich możliwych bazach. Skończyłem West Point. Nadal jestem w wojsku. To wszystko, naprawdę.

- Masz rodzinę?

Przypomniałem sobie wiadomość od mojej sierżant: Dzwonił pański brat. Nie zostawił wiadomości.

- Matkę i brata - odpowiedziałem.

- Byłeś kiedyś żonaty?

- Nie. A ty miałś męża?

- Nie - odparła. - Spotykasz się z kimś?

- Aktualnie nie.

- Ja też nie.

Przejechaliśmy kolejną milę, a potem jeszcze jedną.

- Potrafisz sobie wyobrazić życie poza służbą? - zapytała.

- A jakieś w ogóle istnieje?

- Ja tam dorastałam. Mogę tam wrócić.

- Wy, cywile, jesteście dla mnie zagadką - powiedziałem.

Niespełna pięć godzin po wyjeździe ze szpitala Waltera Reeda Summer zaparkowała przed pokojem Kramera, żebyśmy, jak sądzę, poczuli powiew autentyczności. Wydawała się zadowolona ze swojej średniej prędkości. Zgasiła silnik i uśmiechnęła się.

- Ja zajmę się barem - powiedziałem. - Ty porozmawiaj z chłopakiem w recepcji. Graj rolę dobrego policjanta. Powiedz mu, że ten zły zaraz przyjdzie.

Na dworze było zimno i ciemno. Mgła wróciła. Przeświecały przez nią uliczne latarnie. Zdrętwiałem w samochodzie i było mi duszno. Przeciągnąłem się, ziewnąłem, wygładziłem kurtkę od munduru i patrzyłem, jak Summer mija automat z coca-colą. Jej skóra załśniła czerwienią, gdy padło na nią jego światło. Przeszedłem przez jezdnię i ruszyłem do baru.

Parking był tak samo zapełniony jak poprzedniej nocy. Samochody osobowe i pick-upy otaczały cały budynek. Wentylatory znowu pracowały na pełny regulator. Zobaczyłem dym i poczułem w powietrzu odór piwa. Słyszałem głośną muzykę. Neon raził mnie w oczy.

Otworzyłem drzwi i wkroczyłem w łoskot muzyki. Tłum znowu szczelnie wypełniał całe wnętrze. Pod sufitem paliły się te same reflektory. Na scenie była inna naga dziewczyna. Za kasą siedział w półcieniu ten sam facet z wielką klatą. Nie widziałem jego twarzy, ale domyślałem się, że patrzy na moje kłapy. Tam gdzie u Kramera był symbol wojsk pancernych, skrzyżowane kawaleryjskie szable, na które nacierał czołg, ja miałem skrzyżowane skałkowe pistolety, złote i lśniące. Symbol żandarmerii, niezbyt popularny w takim jak to miejscu.

- Oplata za wstęp - powiedział facet przy kasie.

Nie słyszałem go zbyt dobrze. Muzyka była bardzo głośna.

- Ile? - zapytałem.

- Sto dolarów - powiedział.

- Nie sądzę.

- No dobrze, dwieście dolarów.

- Zabawne.

- Nie chcemy tutaj gliniarzy - mruknął.

- Nie mam pojęcia dlaczego.

- Spójrz na mnie.

Spojrzałem na niego. Nie było dużo do oglądania. Lampa oświetlała wielki brzuch, wielką klatę i grube, krótkie, wytatuowane przedramiona. Oraz ręce wielkości i kształtu mrożonych kurczaków z ciężkimi srebrnymi sygnetami na prawie wszystkich palcach. Ramiona i twarz znajdowały się w głębokim cieniu. Tak jakby był w połowie zasłonięty kurtyną. Rozmawiałem z facetem, którego nie widziałem.

- Nie jesteś tu mile widziany - powiedział.

- Przeżyję. Nie jestem przesadnie wrażliwy.
- Nie słuchasz mnie. To mój klub i nie chcę cię tu widzieć.
- Szybko się uwinę.
- Spadaj stąd.
- Nie.
- Spójrz na mnie.

Facet pochylił się do przodu. Powoli. W kręgu światła znalazła się najpierw jego klatka piersiowa. Potem szyja. A potem twarz. Robiła niesamowite wrażenie. Była szpetna już na samym początku, ale im dłużej się jej przyglądałem, tym stawała się szpetniejsza. Miał na niej proste blizny po brzytwie. Przecinały ją niczym siatka, głębokie, białe i stare. Jego nos był złamany i źle naprostowany, potem wielokrotnie znowu łamany i źle składany. Pod gęstymi brwiami również widać były blizny. Zerkał na mnie spod nich małymi oczkami. Mógł mieć około czterdziestki. Z pięć stóp dziesięć cali wzrostu, może trzysta funtów wagi. Wyglądał jak gladiator, który przetrwał dwadzieścia lat głęboko w katakumbach.

Uśmiechnąłem się.

- Ta facjata ma zrobić na mnie wrażenie? W tym dramatycznym oświetleniu i w ogóle?
- Powinna dać ci coś do zrozumienia.
- Mówi mi, że przegrałeś wiele bójek. Jeśli chcesz przegrać kolejną, nie mam nic przeciwko.

Nie odezwał się.

- Albo mogę zakazać tutaj wstępu wszystkim żołnierzom z Fort Bird. Wyobrażam sobie, jak to się odbije na waszych zyskach.

Nie odezwał się.

- Ale nie chcę tego robić - powiedziałem. - Nie ma powodu, żebym odgrywał się na moich żołnierzach tylko dlatego, że jesteś dupkiem.

Nie odezwał się.

- Więc chyba cię po prostu zignoruję.

Odsunął się do tyłu. Ciężko wrócił na swoje miejsce niczym kurtyna.

- Spotkamy się później - odezwał się z ciemności. - Gdzieś kiedyś. Możesz być tego pewien. To obietnica. Masz to jak w banku.

- No, teraz to się boję - odparłem i wszedłem w tłum. Przecisnąłem się przez zatłoczony korytarzyk i znalazłem się w głównej części lokalu. W środku wydawał się o wiele większy niż z zewnątrz. Duże, niskie kwadratowe wnętrza wypełniali ludzie i hałas. Było tu kilkanaście oddzielnych części. Wszędzie głośniki. Ogluszająca muzyka. Migające światła. Całkiem sporo cywili. I całkiem sporo wojskowych. Poznawałem ich po fryzurze i strojach. Żołnierze, którzy mają wolne, ubierają się zawsze w szczególny sposób. Starają się wyglądać jak wszyscy inni i nigdy im się to nie udaje. Zawsze są trochę zbyt schludni i niemodni. Patrzyli na mnie, kiedy ich mijałem. Nie byli zadowoleni, że mnie widzą. Szukałem wzrokiem jakiegoś sierżanta. Wypatrywałem zmarszczek wokół oczu. Zobaczyłem czterech prawdopodobnych kandydatów, sześć stóp od skraju głównej sceny. Trzej z nich zobaczyli mnie i odwrócili wzrok. Czwarty zobaczył mnie, przez sekundę się wahał, a potem spojrzał mi prosto w oczy. Tak jakby wiedział, że został wybrany. To był krępy facet, mniej więcej pięć lat starszy ode mnie. Prawdopodobnie z sił specjalnych. W Bird było ich sporo, a ten na takiego wyglądał. Świetnie się bawił. To nie ulegało wątpliwości. Na twarzy miał uśmiech, w ręku trzymał zroszoną butelkę zimnego piwa. Podniósł ją, jakby wznosił toast, jakby mnie zapraszał. Podeszedłem do niego bliżej.

- Niech pan przekaże innym - powiedziałem mu do ucha. - To nic oficjalnego. Nic, co by się wiązało z naszymi ludźmi. Coś z zupełnie innej beczki.

- To znaczy? - zapytał.

- Ktoś coś zgubił - odparłem. - Nic ważnego. Wszystko jest w porządku.

Nie odpowiedział.

- Siły specjalne? - zapytałem. Facet pokiwał głową.

- Ktoś coś zgubił? - powtórzył.  
- W zasadzie drobiazg. To się stało po drugiej stronie ulicy. Przez chwilę się nad tym zastanawiał, a potem ponownie uniósł butelkę i udał, że stuka nią w piwo, które trzymałbym w rękę, gdybym je kupił. Był to wyraźny znak akceptacji. Rodzaj pantomimy, w całym tym hałasie. Mimo to część ludzi zaczęła się wycofywać, kierując się ku wyjściu. W ciągu pierwszych dwóch minut mojego pobytu w tym miejscu bar opuściło mniej więcej dwudziestu trepów. Żandarmeria ma taki wpływ na ludzi. Nic dziwnego, że facet z paskudną gębą nie chciał, żebym tam wchodził.

Podeszła do mnie kelnerka. Była ubrana w czarny T-shirt przycięty mniej więcej cztery cale poniżej szyi, czarne szorty przycięte mniej więcej cztery cale poniżej pasa i czarne buty na bardzo wysokich obcasach. Nie miała na sobie nic innego. Stała w miejscu, spojrzała na mnie i czekała, że coś zamówię. Poprosiłem o budweisera i zapłaciłem za niego osiem razy więcej, niż był wart. Pociągnąłem kilka łyków, po czym udałem się na poszukiwanie dziwek.

Znalazły mnie pierwsze. Myślę, że chciały, żebym zniknął z widoku, zanim lokal kompletnie opustoszeje. Zanim zredukuję liczbę ich klientów do zera. Dwie z nich ruszyły prosto w moim kierunku. Jedna była platynową blondynką. Druga brunetką. Obie miały na sobie krótkie, obcisłe sukienki, mieniające się kolorami najróżniejszych sztucznych włókien. Blondynka wyprzedziła brunetkę i zablokowała jej drogę, stukając absurdalnie wysokimi plastikowymi obcasami. Brunetka odpłynęła i ruszyła w stronę sierżanta sił specjalnych, z którym rozmawiałem wcześniej i który odprawił ją z wyrazem autentycznego niesmaku na twarzy. Blondynka dotarła do mnie, oparła się o moje ramię i stanęła na palcach, aż poczułem w uchu jej oddech.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziała.

- Wzajemnie.

- Nie widziałam cię tu wcześniej - rzekła, jakby tylko mnie brakowało jej w życiu. Nie miała miejscowego akcentu. Nie pochodziła z Karoliny Północnej ani Południowej, jak również z Kalifornii. Urodziła się prawdopodobnie w Georgii albo Alabamie. - Jesteś nowy w mieście? - zapytała podniesionym z powodu muzyki głosem.

Uśmiechnąłem się. Byłem w większej liczbie burdeli, niż potrafiłbym zliczyć. Wszyscy żandarmi odwiedzają je nader często. Wszystkie są takie same i każdy jest inny. W każdym obowiązuje inny protokół. Lecz odżywka, jesteś nowy w mieście" jest standardową zagrywką - zaproszeniem do negocjacji. Chroni prostytutkę przed oskarżeniem o nagabywanie.

- Jaka tu jest stawka? - zapytałem.

Uśmiechnęła się nieśmiało, jakby nikt jeszcze nie zadał jej takiego pytania. Następnie poinformowała mnie, że mogę ją oglądać na scenie za dolarowe napiwki albo mogę wydać dziesięć, żeby obejrzeć prywatny pokaz na zapleczu. Wyjaśniła, że podczas prywatnego pokazu dozwolone jest dotykanie, i żeby upewnić się, że zwracam uwagę na to, co mówi, przejechała palcami po wewnętrznej stronie mojego uda.

Widziałem, że potrafi skusić faceta. Była miła. Wyglądała na jakieś dwadzieścia lat. Z wyjątkiem oczu. Miała oczy pięć-dziesięćlatki.

- A gdybym chciał czegoś więcej? - zapytałem. - Chciał pójść z tobą w jakieś miejsce?

- Możemy o tym pomówić w trakcie prywatnego pokazu. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do garderoby, a stamtąd do

oddzielonej aksamitną zasłoną ciemnej sali za sceną. Pomieszczenie nie było małe. Miało może dziesięć na siedem jardów. Wzdłuż wszystkich ścian biegły wyściełane ławki. Atmosfera też nie była zbyt intymna. Na ławkach siedziało mniej więcej sześciu facetów, każdy z nagą kobietą na kolanach. Blondynka podeszła ze mną pod ścianę i pokazała, żebym usiadł. Poczekała, aż wyjmę portfel i zapłacę jej dziesięć dolców. Wtedy usiadła mi na kolanach i cała się do mnie przykleiła. Siedziała w taki sposób, że nie mogłem nie położyć jej ręki na udzie. Miała ciepłą, gładką skórę.

- Więc gdzie możemy pójść? - zapytałem.

- Widzę, że ci się spieszy - powiedziała, po czym odwróciła się i podwinęła wyżej skraj sukienki. Nic pod nią nie miała.

- Skąd jesteś? - zapytałem.

- Z Atlanty.

- Jak się nazywasz?

- Sin. Pisze się S, i, n.

Byłem pewien, że to jej zawodowy pseudonim.

- A ty? - zapytała.

- Reacher - odparłem.

Nie musiałem wymyślać sobie żadnego pseudonimu. Byłem świeżo po odwiedzinach u wdowy, nadal w mundurze wyjściowym, z wielką jak wół naszywką z nazwiskiem na prawej kieszeni kurtki.

- Ładne nazwisko - rzekła machinalnie.

Byłem pewien, że mówi to każdemu. Quasimodo, Hitler, Stalin, Poi Pot, wszyscy mieli ładne nazwiska. Odpięła najwyższy guzik mojej kurtki, a potem całą resztę. Położyła dłoń na mojej piersi, wsunęła ją pod krawat i dotknęła najwyższego guzika koszuli.

- Po drugiej stronie ulicy jest motel - powiedziałem. Pokiwała głową przytuloną do mojego ramienia.

- Wiem.

- Szukam dziewczyny, która poszła tam wczoraj wieczorem z żołnierzem.

- Robisz sobie żarty?

- Nie.

Pchnęła moją pierś.

- Przyszedłeś tu, żeby się zabawić czy zadawać pytania?

- Zadawać pytania - odpowiedziałem. Przestała się poruszać. Nie odzywała się.

- Szukam osoby, która poszła zeszłej nocy do motelu z żołnierzem.

- Zejdź na ziemię - powiedziała. - Wszystkie chodzimy do motelu z żołnierzami. Na chodniku są wyłobione ślady naszych stóp. Jak się uważnie przyjrzyysz, to je zobaczysz.

- Szukam dziewczyny, która wróciła stamtąd trochę szybciej, niż się normalnie wraca.

Nie odezwała się.

- Była może trochę wystraszona - dodałem. Nadal milczała.

- Może spotkała się z tym facetem od razu w motelu - powiedziałem. - Może dostała od niego wcześniej telefon.

Dziewczyna uniosła się lekko z moich kolan i obciągnęła maksymalnie sukienkę, czyli w sumie niewiele. Następnie przesunęła palcami po mojej naszywce z nazwiskiem.

- Nie odpowiadamy na pytania - powiedziała.

- A to dlaczego?

Spostrzegłem, że zerka w stronę aksamitnej zasłony. Jakby dostrzegła przez nią ustawioną daleko przy drzwiach kasę.

- Chodzi ci o grubasa? - zapytałem. - Zadbam o to, żebyś nie miała z nim problemów.

- Nie lubi, kiedy rozmawiamy z gliniarzami.

- To ważna sprawa - powiedziałem. - Ten facet był ważnym wojskowym.

- Wszyscy uważacie się za ważniaków.

- Jest tu jakaś dziewczyna z Kalifornii?

- Pięc, może sześć.

- Czy któraś z nich pracowała wcześniej w okolicy Fort Irwin?

- Nie wiem.

- Umówmy się tak. Pójdę teraz do baru. Zamówię kolejne piwo. Będę je przez dziesięć minut saczyć. Ty przyprowadzisz mi dziewczynę, która miała wczoraj w nocy problemy. Albo pokażesz, gdzie mogę ją znaleźć. Powiedz jej, że nie grożą jej żadne kłopoty. Że nikomu nie grożą żadne

kłopoty. Zobaczysz, że to zrozumie.

- Albo?

- Albo wygonię stąd wszystkich i spalę tę budę do szczętu. Wtedy będziecie musiały wszystkie poszukać roboty gdzie indziej.

Dziewczyna ponownie spojrzała na aksamitną zasłonę.

- Nie przejmuj się grubasem. Jeśli będzie ci się naprzykrzał, złamię mu znowu nos - zapewniłem ją.

Siedziała nieruchomo. W ogóle się nie poruszała.

- To ważne - powtórzyłem. - Jeśli to załatwimy, nikomu

nie stanie się krzywda. Jeżeli nam się nie uda, ktoś będzie miał wielkie problemy.

- No nie wiem... - mruknęła.

- Przekaż to innym. Dziesięć minut.

Pomogłem jej zeskoczyć z moich kolan i patrzyłem, jak znika za zasłoną. Minutę później ruszyłem w ślad za nią i przecisnąłem się do baru. Nie zapiąłem kurtki od munduru. Uznałem, że w niezapiętej wyglądam, jakbym nie pełnił służby. Nie chciałem psuć wszystkim wieczoru.

Przez następne dwanaście minut piłem zdecydowanie zbyt drogie krajowe piwo. Patrzyłem, jak kelnerki i prostytutki obsługują klientów. Widziałem, jak grubas z paskudną gębą przeciska się przez tłum, zerkając tu i tam i sprawdzając sytuację. Czekałem. Moja nowa przyjaciółka zniknęła. Nigdzie jej nie widziałem. W lokalu panował wielki tłok. I było ciemno. Huczała muzyka. Błyskało stroboskopowe i ultrafioletowe światło i na scenie działy się dziwne rzeczy. Wentylatory ryczały głośno, ale w środku było gorąco i śmierdziało. Czułem zmęczenie i zaczęła mnie boleć głowa. Wstałem ze stołka i obszedłem całą salę. Nie mogłem nigdzie znaleźć mojej blondynki. Obszedłem salę ponownie. Nie znalazłem jej. Sierżant z sił specjalnych, z którym rozmawiałem wcześniej, zatrzymał mnie w połowie trzeciego obchodu.

- Szuka pan swojej przyjaciółki? - zapytał. Pokiwałem głową. Wskazał drzwi do garderoby.

- Miała chyba przez pana drobne kłopoty - powiedział.

- Jakie kłopoty?

Nie odpowiedział. Zamiast tego uderzył po prostu prawą pięścią w otwartą lewą dłoń.

- Nic pan w tej sprawie nie zrobił? - zapytałem. Facet wzruszył ramionami.

- To pan jest gliniarzem, nie ja.

Drzwi do garderoby zrobione były z prostokątnej, pomalowanej

na czarno dykty. Nie zapukałem w nie. Uznałem, że kobiety, które z niej korzystają, nie są nieśmiałe. Po prostu otworzyłem i wszedłem do środka. W oświetlonym gołymi żarówkami pomieszczeniu piętrzyły się ubrania i unosił zapach perfum. Przy ścianach stały toaletki z lustrami. Sin siedziała na starej pluszowej sofie i płakała. Miała wyraźny czerwony ślad po dłoni na lewym policzku i podbite prawe oko. Domyśliłem się, że oberwała dwa razy, raz z forhendu, raz z bekhendu. Dwa mocne ciosy. Była w szoku. Lewy but spadł jej z nogi. Między palcami stopy widziałem ukłucia po igle. Kobiety, które zarabiają ciałem, często wstrzykują tam sobie narkotyki. Na ogół tego nie widać. Modelki, prostytutki, aktorki.

Nie zapytałem, czy dobrze się czuje. To byłoby głupie pytanie. Widziałem, że przeżyje, ale przez tydzień nie będzie mogła pracować. Musiała poczekać, aż skóra pod okiem zrobi się fioletowa, a potem żółta i można będzie zamaskować to makijażem. Stałem w miejscu do chwili, kiedy zauważyła mnie zdrowym okiem.

- Wynoś się - powiedziała, odwracając wzrok. - Sukinsyn.

- Znalazłaś tę dziewczynę? - zapytałem. Spojrzała mi prosto w oczy.

- Nie było żadnej dziewczyny - oświadczyła. - Pytałam wszędzie. Pytałam wszystkie dziewczyny.

I to właśnie usłyszałam. Nikt nie miał problemów zeszłej nocy. W ogóle nikt.

Przez chwilę milczałem.

- Może nie ma dziś którejś z dziewczyn? - zapytałem.

- Jesteśmy wszystkie. Musimy odpracować Boże Narodzenie.

Nie odezwałem się.

- Przez ciebie zdrowo oberwałam. I to za nic.
- Przykro mi -na kłopoty.
- Wynoś się -
- W porządku
- Sukinsyn.

odparłem. - Przykro mi, że naraziłem cię  
powtórzyła, nie patrząc na mnie. - mruknąłem.

Zostawiłem ją siedzącą na sofie i przecisnąłem się przez tłum wokół sceny, tłum wokół baru i tłum w korytarzyku prowadzącym do wyjścia. Facet z paskudną gębą siedział ponownie w cieniu za kasą. Domyśliłem się, gdzie może być jego głowa, i trzasnąłem go otwartą dłonią w ucho, dość mocno, żeby się zakochał.

- Czekam na zewnątrz - oznajmiłem i wyszedłem na dwór. Na parkingu stała zwarta grupa ludzi. Sami żołnierze. Ci, którzy zrejterowali, kiedy tam wszedłem. Stali na chłodzie, opierając się o samochody i popijając piwo z butelek z długimi szyjkami, które ze sobą zabrali. Nie stanowili większego problemu. Musieliby być bardzo pijani, żeby zadrzeć z żandarmerią. Ale nie zamierzali również mi pomagać. Nie należałem do nich. Byłem zdany tylko na siebie.

Za moimi plecami otworzyły się z traskiem drzwi. Grubas wyszedł z baru. Towarzyszyło mu kilku miejscowych. Wyglądali na farmerów. Weszliśmy wszyscy w krąg żółtego światła latarni i stanęliśmy naprzeciwko siebie. Nasze oddechy zmieniały się w obłoczki pary. Nikt się nie odzywał. Nie były potrzebne żadne wstępy. Zgadywałem, że ten parking oglądał już wiele bójek. Zgadywałem, że ta nie będzie się różnić od innych. Skończy się tak samo jak tamte: ktoś wygra i ktoś przegra.

Zdjąłem kurtkę od munduru i powiesiłem ją na wstecznym lusterku najbliższego samochodu. To był dziesięcioletni plymouth z zadbaną karoserią i chromami. Bryka jakiegoś entuzjasty. Zobaczyłem, że sierżant sił specjalnych, z którym rozmawiałem, wychodzi na parking. Przyglądał mi się przez chwilę, a potem cofnął w cień i stanął przy swoich ludziach obok samochodów. Zdjąłem zegarek, schowałem go do kieszeni kurtki i odwróciłem się, żeby ocenić swojego przeciwnika. Chciałem mu dać porządną nauczkę. Chciałem, by Sin wiedziała, że stanąłem w jej obronie. Jednak nic bym nie osiągnął, przestawiając mu facjatę. Była już wystarczająco poprzestawiana. Nie mogłem pogorszyć w znacznym stopniu jej stanu. Poza tym chciałem go wyłączyć na jakiś czas z akcji. Nie chciałem, żeby tu wracał i wyładowywał frustrację na dziewczętach tylko dlatego, że nie może mnie dorwać.

Miał potężną klatę i dużą nadwagę, w związku z czym przewidywałem, że nie użyję w ogóle rąk. Chyba że wobec farmerów, jeśli rzucą się na mnie kupą. Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. Nie było potrzeby zaczynać wielkiego konfliktu. Z drugiej strony wszystko zależało od nich. Każdy ma w życiu jakiś wybór. Mogli trzymać się z boku albo przyjść z pomocą znajomkowi.

Byłem o jakieś siedem cali wyższy od faceta z paskudną gębą, ale mniej więcej o siedemdziesiąt funtów od niego lżejszy. I o dziesięć lat młodszy. Widziałem, że oblicza swoje szansę. Widziałem, że dochodzi do wniosku, że są duże. Uważał się chyba za prawdziwego zapaśnika. A mnie za szlachetnego przedstawiciela Wuja Sama. Mój mundur wyjściowy przekonał go chyba, że będę się zachowywał jak oficer i dżentelmen. Poprawnie i powściągliwie.

Jego błąd.

Ruszył na mnie, wymachując ramionami. Wielka klata, krótkie ręce, niezbyt duży zasięg. Zrobiłem unik i poleciał bezwładnie do przodu. Ponownie mnie zaatakował. Odepchnąłem jego rękę i trzepnąłem go w twarz łokciem. Niezbyt mocno. Chciałem po prostu, żeby przestał się pchać i choć na chwilę stanął przede mną bez ruchu.

Facet przeniósł cały ciężar ciała na wysuniętą do tyłu nogę, szykując się do zadania mi ciosu w twarz. To miało być potężne uderzenie. Gdyby doszło celu, na pewno by mnie zabolalo. Ale zanim wyprowadził cios, dałem krok do przodu i kopnąłem go prawą piętą w prawe kolano. Kolano jest



kruchym stawem. Zapytajcie jakiegokolwiek sportowca. Z góry naciskało na nie trzysta funtów, z boku uderzyło dwieście trzydzieści. Rzepka pękła i noga złożyła się do tyłu. Tak jak to się dzieje w normalnym stawie kolanowym, tylko w odwrotną stronę. Facet runął do przodu i przód jego buta dotknął przedniej części jego uda. Wrzasnął naprawdę głośno. Cofnąłem się do tyłu i uśmiechnąłem. Kto sieje wiatr, zbiera burzę.

Przyjrzałem się uważnie kolanu faceta. Było porządnie roz

walone, lecz do uratowania. Złamana kość, zerwane więzadło, rozbita chrząstka. Zastanawiałem się, czy znowu go kopnąć, ale naprawdę nie było takiej potrzeby. Zaraz po wypisaniu z kliniki ortopedycznej czekała go wizyta w sklepie z laskami. Powinien kupić ich tyle, żeby starczyło mu do końca życia. Drewniane, aluminiowe, krótkie, długie, do wyboru, do koloru.

- Wróć i załatwię ci drugie - powiedziałem - jeżeli wydarzy się coś, co mi się nie spodoba.

Nie sądzę, by mnie słyszał. Wił się w oleistej kałuży, sapiąc i jęcząc, próbując ustawić kolano w pozycji, w której tak strasznie by go nie bolało. Było to raczej niewykonalne. Musiał z tym zaczekać do operacji.

Farmerzy zastanawiali się, czy przyjść z pomocą swojemu znajomemu. Obaj byli raczej głupi. Ale jeden był głupszy od drugiego. Wolniejszy. Zaciskał i rozprostowywał wielkie czerwone dłonie. Podeszedłem do niego i strzeliłem go bykiem w twarz, żeby przyspieszyć proces podejmowania decyzji. Runął jak długi na ziemię obok grubasa, a jego kumpel szybko zrej-terował, chowając się za najbliższym pick-upem. Zdjąłem kurtkę od munduru z bocznego lusterka plymoutha i z powrotem włożyłem. Wyjąłem z kieszeni zegarek i zapiałem na nadgarstku. Żołnierze popijali piwo i patrzyli na mnie beznamiętnie. Nie byli ani zadowoleni, ani rozczarowani. Nie zainwestowali żadnej sumy w wynik. Było im wszystko jedno, czy wygram ja, czy ci drudzy.

Na obrzeżach tłumu zobaczyłem porucznik Summer i ruszyłem w jej stronę, przeciskając się między ludźmi i samochodami. Wydawała się spięta. Szybko oddychała. Domyśliłem się, że oglądała bójkę. Domyśliłem się, że była gotowa wkroczyć i mi pomóc.

- Co się stało? - zapytała.

- Grubas pobił kobietę, która zbierała dla mnie informacje. Jego kumpel nie zrejterował dość szybko.

Popatrzyła na nich, a potem na mnie.

- Co powiedziała kobieta?

- Że żadna z dziewczyn nie miała wczoraj w nocy problemów.

- Chłopak w motelu nadal zaprzecza, że u Kramera była prostytutka. Jest tego raczej pewien.

„Przez ciebie zdrowo oberwałam. I to za nic”, powiedziała Sin.

- Więc dlaczego zajrzał do pokoju? Summer się skrzywiła.

- Tak dokładnie brzmiało moje pytanie.

- Odpowiedział na nie?

- Z początku nie. A potem oznajmił, że zajrzał tam, bo usłyszał szybko odjeżdżający pojazd.

- Jaki pojazd?

- Z potężnym silnikiem, dodający ostro gazu i ruszający z piskiem opon, tak jakby kierowca wpadł w panikę.

- Widział go? Summer potrząsnęła głową.

- To nie ma sensu - powiedziałem. - Pojazd oznacza, że to była dziewczyna na telefon, a wątpię, czy w tej okolicy są jakieś dziewczyny na telefon. I po co Kramer ścigałby dziewczynę przez telefon, skoro w barze są te wszystkie dziwki?

Summer znowu pokręciła głową.

- Chłopak powiedział, że pojazd miał bardzo charakterystyczny odgłos. Bardzo głośny. Silnik Diesla, nie benzynowy. Powiedział, że trochę później usłyszał dokładnie taki sam dźwięk.

- Kiedy?

- Kiedy odjeżdżałeś swoim hunwee.

- Co takiego?

Summer spojrzała mi prosto w oczy.

- Powiedział, że zajrzał do pokoju Kramera, bo usłyszał, jak sprzed motelu odjeżdża z piskiem opon wojskowy pojazd.

4

Wróciliśmy do motelu i kazaliśmy chłopakowi opowiedzieć jeszcze raz całą historię. Był opryskliwy i niezbyt rozmowny, ale okazał się znakomitym świadkiem. Niezyczliwi często okazują się dobrymi świadkami. Nie próbują cię zadowolić. Zrobić na tobie wrażenia. Nie wymyślają różnych rzeczy, nie starają się powiedzieć tego, co chcesz usłyszeć.

Powiedział, że siedział sam w recepcji, nic nie robiąc, i mniej więcej o jedenastej dwadzieścia pięć usłyszał trzask zamykanych drzwiczek samochodu i odgłos zapalanego potężnego diesla z turbodoładowaniem. Opisał dźwięki, które wskazywały, że kierowca wrzucił tylny bieg i napęd na cztery koła. Następnie rozległ się pisk opon, chrzęst żwiru i jakiś duży pojazd oddalił się w wielkim pośpiechu. Recepcjonista powiedział, że wstał ze swojego stołka i wyszedł na dwór. Nie zdążył zobaczyć pojazdu.

- Dlaczego sprawdziłeś pokój? - zapytałem. Chłopak wzruszył ramionami.

- Myślałem, że może wybuchł pożar.

- Pożar?

- Ludzie robią czasem takie rzeczy. Podpalają pokój. A potem wieją. Dla jaj. Albo sam nie wiem. To odbiegało od normy.

- Skąd wiedziałeś, który sprawdzić pokój?

W tym momencie chłopak nabrał wody w usta. Summer

zaczęła go cisnąć. Potem ja. Odegraliśmy numer z dobrym i złym gliniarzem. W końcu przyznał, że był to jedyny pokój wynajęty na całą noc. Cała reszta była wynajmowana na godziny i goście nie przyjeżdżali tam, lecz przychodzili z baru po drugiej stronie ulicy. Właśnie dlatego wiedział, że w pokoju Kramera na pewno nie było prostytutki. To on zajmował się ich wprowadzaniem i wyprowadzaniem. Brał pieniądze i wydawał klucze. Pilnował, kto wchodzi i kto wychodzi. Dlatego zawsze dobrze wiedział, kto gdzie przebywa. Stanowiło to część jego obowiązków. Część, o której nikomu nie wolno było pisać ani słowa.

- Teraz stracę robotę - zmartwił się.

Był bliski łez i Summer musiała go pocieszać. Następnie powiedział nam, że po znalezieniu zwłok Kramera i zawiadomieniu policji kazał na wszelki wypadek opuścić motel wszystkim wynajmującym pokoje na godziny. Mniej więcej po piętnastu minutach pojawił się zastępca szefa Stockton. Potem pojawiłem się ja i jakiś czas później rozpoznał te same dźwięki, które słyszał wcześniej. Ten sam odgłos silnika, przekładni, opon. To, co mówił, brzmiało przekonująco. Przyznał już, że prostytutki stale korzystają z tego motelu, więc nie miał powodu kłamać. A humvee były względnie nowe. Nadal względnie rzadkie.

i odgłos ich silnika był niepodobny do innych. W związku z czym mu uwierzyłem. Zostawiliśmy go siedzącego na stołku i wyszliśmy na zewnątrz w zimną, czerwoną poświatę automatu do coli.

- Nie było prostytutki - rzekła Summer. - To była kobieta z bazy.

- W stopniu oficera - powiedziałem. - Chyba wyższego. Kobieta, która ma stały dostęp do własnego humvee. Nikt nie bierze w takim celu samochodu z kolumny transportowej. I ta kobieta ma jego teczkę. Musi mieć.

- Łatwo ją będzie znaleźć. Na wartowni będą mieli czas jej wyjazdu i przyjazdu.

- Niewykluczone, że minąłem ją po drodze. Jeżeli wyjechała stąd dwadzieścia pięć po jedenastej, nie mogła dotrzeć do Fort

Bird wcześniej niż kwadrans po dwunastej. Mniej więcej wtedy stamtąd wyjeżdżałem.

- Jeżeli wracała prosto do bazy.

- Owszem - zgodziłem się. - Jeżeli.

- Widziałeś innego hunwee?  
- Nie sędzę - odparłem.  
- Kto to może być? Wzruszyłem ramionami.  
- Sytuacja jest podobna jak w przypadku naszej wyimaginowanej dziwki. Ktoś, kogo poznał gdzieś wcześniej. To mogło się stać w Fort Irwin lub gdzie indziej.  
Spojrzałem na stację benzynową. Na przejeżdżające drogą samochody.  
- Mogą ją znać Vassell i Coomer - powiedziała Summer. - Rozumiesz: jeżeli ona i Kramer byli ze sobą od dawna związani.  
- Owszem, mogą ją znać.  
- Gdzie twoim zdaniem teraz są?  
- Nie mam pojęcia - odparłem. - Ale na pewno ich znajdę, jeżeli będą mi potrzebni.  
Nie znalazłem ich. To oni mnie znaleźli. Czekali w moim biurze, kiedy wróciliśmy. Summer wysadziła mnie przy wejściu i pojechała zaparkować samochód. Przeszedłem przez sekretariat. Dyżur pełniła ponownie sierżant z nocnej zmiany. Góralka, która miała małego synka i bała się, że zwolnią ją w ramach redukcji. Wskazała wewnętrzne drzwi, żeby dać mi do zrozumienia, że ktoś tam jest. Ktoś znacznie przewyższający nas rangą.  
- Masz kawę? - zapytałem.  
- Nastawiłam ekspres - odparła.  
Nalałem sobie filiżankę. Nadal miałem rozpiętą kurtkę od munduru i potargane włosy. Wyglądałem dokładnie jak facet, który wdał się w bójkę na parkingu. Podszedłem prosto do biurka i postawiłem na nim kawę. Na wysokich krzesłach pod ścianą siedziało, patrząc na mnie, dwóch facetów. Obaj ubrani byli w mundury polowe w leśnym kamuflażu. Jeden miał na kołnierzu gwiazdkę generała brygady, drugi orzełka pułkownika. Na naszywce generała widniało nazwisko Yassell, na naszywce pułkownika Coomer. Vassel był łysy, Coomer nosił okulary i obaj byli wystarczająco starzy, niscy, miękcy, różowi i nabzdyczeni, żeby wyglądać trochę śmiesznie w mundurach polowych. Można by ich wziąć za rotarian wybierających się na bal przebierańców. Nie polubiłem ich od pierwszego wejrzenia.  
Usiadłem za biurkiem i spostrzegłem dwie leżące na podkładce karteczki. Na pierwszej było napisane: Znowu dzwonił pański brat. Pilne. Tym razem do wiadomości dołączony był numer telefonu. Poprzedzał go numer kierunkowy 202. Waszyngton.  
- Nie salutuje pan wyższym stopniem oficerom? - zapytał mnie ze swojego krzesła Vassell.  
Druga wiadomość brzmiała: Dzwonił płk Garber. Policja z Green Valley ustaliła, że pani K. zmarła około godziny 2.00. Złożyłem oddzielnie obie kartki, wsunąłem je pod podstawkę telefonu i poprawiłem tak, żeby widzieć dokładnie połówkę każdej z nich. Podniosłem wzrok i spostrzegłem, że Vassell piorunuje mnie wzrokiem. Poczzerwieniła mu łysa czaszka.  
- Przepraszam - powiedziałem. - O co pan pytał?  
- Nie salutuje pan wyższym stopniem oficerom, kiedy wchodzi pan do pomieszczenia?  
- Tylko jeżeli podlegam im służbowo - odparłem. - Panu nie podlegam.  
- To dla mnie żadna odpowiedź.  
- Niech pan spojrzy na to z innego punktu widzenia - powiedziałem. - Należę do sto dziesiątej jednostki specjalnej. Strukturalnie jesteśmy niezależni od reszty armii. Jeśli się nad tym zastanowić, nie może być inaczej. Gdybyśmy panu podlegali, nie moglibyśmy prowadzić przeciwko panu śledztwa.  
- Nie przyjechałem tu, żebyś prowadził przeciwko mnie śledztwo, synu.  
- Więc po co pan przyjechał? Trochę późno na towarzyską wizytę.  
- Przyjechałem, żeby zadać kilka pytań.  
- Niech pan je zadaje - odparłem. - A potem ja zadam panu kilka moich. I wie pan, czym będą się różnić moje od pańskich?  
Vassell milczał.

- Ja odpowiem na pańskie z grzeczności. A pan odpowie na moje, ponieważ wymaga tego od pana ujednolicony wojskowy kodeks karny.

Vassell milczał. Piorunował mnie tylko wzrokiem. A potem spojrzał na Coomera. Coomer spojrzał na niego, a później na mnie.

- Jesteśmy tu w sprawie generała Kramera. Jesteśmy jego podwładnymi.

- Wiem, kim jesteście - odparłem.

- Proszę nam opowiedzieć o generale.

- Nie żyje.

- Wiemy o tym. Chcielibyśmy poznać okoliczności.

- Miał zawał serca.

- Gdzie?

- Wewnątrz klatki piersiowej. Vassell spojrzał na mnie spode łba.

- Gdzie zmarł? - zapytał Coomer.

- Nie mogę tego powiedzieć. Ze względu na dobro toczącego się śledztwa.

- To znaczy?

- To znaczy, że ta informacja jest tajna.

- To stało się gdzieś w tej okolicy - powiedział. - To już powszechnie wiadomo.

- No widzi pan. Czego dotyczyła konferencja w Fort Irwin?

- Co?

- Konferencja w Fort Irwin - powtórzyłem. - Tam, dokąd wszyscy się wybieraliście.

- O co panu chodzi?

- Muszę poznać jej program.

Yassell spojrzał na Coomera, który otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie zadzwonił telefon. Telefonowała moja sierżant. W sekretariacie zameldowała się Summer. Sierżant nie była pewna, czy może ją wpuścić do środka. Odparłem, żeby ją natychmiast przysłała. Rozległo się pukanie do drzwi i Summer weszła do gabinetu. Przedstawiłem ją gościom, a ona przysunęła wolne krzesło do mojego biurka i usiadła przy mnie, twarzą do nich. Dwoje przeciwko dwóm. Wysunąłem drugą kartkę spod telefonu i pokazałem jej. Dzwonił płk Garber. Policja z Green Valley ustaliła, że pani K. zmarła około godziny 2.00. Summer rozłożyła kartkę, przeczytała ją, po czym złożyła z powrotem i oddała mi. Wsunąłem ją z powrotem pod telefon i ponownie zapytałem Vassella i Coomera o program konferencji w Irwin. Spostrzegłem, że ich nastawienie się zmieniło. Nie chcę przez to powiedzieć, że stali się bardziej pomocni, że była to zmiana na lepsze. Polegała bardziej na przesunięciu akcentów. Ponieważ w gabinecie pojawiła się kobieta, nie okazywali teraz otwartej wrogości i zastąpili ją protekcyjną uprzejmością. Takie odebrali wychowanie i z takiej wywodzili się generacji. Nienawidzili żandarmerii i byłem pewien, że nienawidzą kobiet w mundurze, lecz nagle uznali, że muszą być grzeczni.

- To czysto rutynowe spotkanie - powiedział Coomer. - Zwyczajna nasiadówka. Nic, co miałoby jakieś większe znaczenie.

- Co tłumaczy, dlaczego nie wzięliście w końcu w niej udziału - skomentowałem.

- Naturalnie. Bardziej stosowne wydawało się pozostanie tutaj. Rozumie pan, w tych okolicznościach.

- Jak dowiedzieliście się panowie o Kramerze?

- Zadzwoniono do nas z dwunastego korpusu.

- Z Niemiec?

- Tam właśnie stacjonuje dwunasty korpus, synu - odezwał się Vassell.

- Gdzie spędziliście ostatnią noc?

- W hotelu - odparł Coomer.

- Którym?

- W hotelu Jefferson. W Waszyngtonie.

- Prywatnie czy na voucher Departamentu Obrony?
- W tym hotelu zatrzymują się wyżsi oficerowie.
- Dlaczego nie zatrzymał się tam generał Kramer?
- Ponieważ miał inne plany.
- Kiedy?
- Kiedy co?
- Kiedy zdecydował, że będzie miał inne plany?
- Przed kilkoma dniami.
- Więc nie zrobił tego pod wpływem chwili?
- Nie, nie zrobił.
- Wiecie, jakie to były plany?
- Oczywiście, że nie - odparł Vassell. - Gdybyśmy wiedzieli, nie pytalibyśmy pana, gdzie zmarł.
- Nie przyszło wam do głowy, że pojechał odwiedzić żonę?
- A zrobił to?
- Nie - odparłem. - Dlaczego musicie wiedzieć, gdzie zmarł?

Zapadła długa cisza. Ich nastawienie znowu się zmieniło. Protekcyjny ton zniknął i zastąpiło go coś w rodzaju ujmującej szczerości.

- Tak naprawdę nie musimy tego wiedzieć - oświadczył Vassell, po czym pochylił się do przodu i spojrzał na Summer, jakby wolał, żeby jej tam nie było. Jakby chciał, żebyśmy korzystając z tego, że nasze stosunki weszły w tę nową intymną fazę, mogli porozmawiać jak mężczyzna z mężczyzną. - Nie mamy żadnych konkretnych informacji, ale boimy się, że prywatne plany generała Kramera mogą w świetle zaistniałych okoliczności postawić nas w kłopotliwej sytuacji.
- Jak dobrze go panowie znaliście?
- Na poziomie profesjonalnym naprawdę bardzo dobrze. Na poziomie osobistym mniej więcej tak samo jak wszyscy znamy kolegów ze służby. Innymi słowy, chyba niezbyt dobrze.
- Podejrzewacie jednak w ogólnym zarysie, na czym mogły polegać jego prywatne plany?
- Tak - odparł. - Mamy pewne podejrzenia.
- Nie zaskoczyło więc was, że nie zamieszkał z wami w hotelu.
- Nie, nie zaskoczyło.
- I nie zaskoczyło was, kiedy powiedziałem, że nie wybrał się z wizytą do żony.
- Niezupełnie.
- Podejrzewaliście więc z grubsza, co może robić, nie wiedzieliście tylko gdzie.

Vassell pokiwał głową.

- Z grubsza.
- Wiecie, z kim mógł to robić? Vassell potrząsnął głową.
- Nie mamy dokładnych informacji.
- No dobrze - mruknąłem. - Tak naprawdę nie ma to większego znaczenia. Na pewno wystarczająco dobrze znacie panowie wojsko, żeby wiedzieć, że zatuszujemy sprawę, jeśli stwierdzimy, że może postawić nas w kłopotliwej sytuacji.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał.

- Czy wszystkie ślady zostały usunięte? - zapytał Coomer. - Z miejsca, gdzie to się wydarzyło?

Pokiwałem głową.

- Zabraliśmy jego rzeczy - powiedziałem.
- To dobrze.
- Potrzebny mi jest program konferencji w Irwin. Znowu zapadła cisza.
- Nie było żadnego programu - oznajmił Vassell.
- Na pewno był - odparłem. - Jesteśmy w wojsku, a nie w Actors Studio. Nie improwizujemy.

Kolejna cisza.

- Nie było nic na piśmie - wyjaśnił Coomer. - Mówiłem już panu, majorze, to nie było nic ważnego.

- Jak spędziliście panowie dzisiejszy dzień?
  - Sprawdzaliśmy plotki o generale.
  - Jak dojechaliście tutaj z Waszyngtonu?
  - Wynajęliśmy samochód z kierowcą w Pentagonie.
  - Wymeldowaliście się z hotelu?
  - Owszem.
  - Więc wasze bagaże są w samochodzie należącym do Pentagonu?
  - Tak jest.
  - Gdzie jest ten samochód?
  - Czeka przed budynkiem pańskiego dowództwa.
  - To nie jest moje dowództwo. Zostałem tu tylko czasowo oddelegowany - odparłem, po czym kazałem Summer przynieść ich bagaże z samochodu.
- Bardzo ich to zdenerwowało, lecz wiedzieli, że nie mogą na to nic poradzić. Cywilne pomysły w rodzaju nieuzasadnionego zatrzymania bądź też nakazu rewizji po przekroczeniu bramy bazy nie mają zastosowania. Po wyjściu Summer popatrzyłem im w oczy. Byli poirytowani, ale się nie przejęli. Więc albo mówili prawdę o konferencji w Irwin, albo pozbyli się już ważnych papierów. Mimo to zdecydowałem się dokonać przeszukania. Summer wróciła z dwiema identycznymi teczkami. Wyglądały dokładnie tak samo jak ta, którą Kramer trzymał na oprawionej w srebrne ramki fotografii. Podwładni potrafią się podlizywać na wszelkie sposoby.
- Przeszukałem obie tecki na biurku. Znalazłem w nich paszporty, bilety lotnicze, vouchery i plany podróży. Nie było jednak programu konferencji w Fort Irwin.
- Przepraszam za kłopot - powiedziałem.
  - Jesteś zadowolony, synu? - zapytał Vassell.
  - Żona Kramera też nie żyje - oświadczyłem. - Wiedzieliście panowie o tym?
- Przyjrzałem im się uważnie i odniosłem wrażenie, że nie wiedzieli. Popatrzyli na mnie, potem na siebie i na ich pobladłych twarzach odmalowało się przygnębienie.
- Jak to się stało? - zapytał Vassell.
  - Kiedy? - zapytał Coomer.
  - Zeszłej nocy - odparłem. - Padła ofiarą zabójstwa.
  - Gdzie?
  - W swoim domu. Ktoś tam wtargnął.
  - Wiemy, kto to był?
  - Nie, nie wiemy. Nie prowadzimy tej sprawy. Podlega cywilnej jurysdykcji.
  - Co to było? Włamanie?
  - Być może od tego się zaczęło.
- Nie powiedzieli nic więcej. Summer i ja odprowadziliśmy ich pod budynek dowództwa i patrzyliśmy, jak wsiadają do swojego samochodu z Pentagonu. Był to mercury grand marquis, model o kilka lat młodszy od landary pani Kramer, czarny, nie zielony. Ich kierowcą był wysoki facet w mundurze polowym. Miał zasłonięte odznaki wojskowe i po ciemku nie mogłem odczytać jego nazwiska i rozpoznać stopnia. Nie wyglądał jednak na szeregowca. Zawrócił gładko na pustej drodze i wywiózł Yassella i Coomera w siną dal. Patrzyliśmy, jak światła samochodu oddalają się na północ, zatrzymują przy bramie i znikają w mroku.
- I co myślisz? - zapytała Summer.
  - Myślę, że chrzanią głupoty - odparłem.
  - Głupoty, które dają do myślenia, czy normalne generalskie głupoty?
  - Oni kłamią - wyjaśniłem. - Ukrywają coś, kłamią i są głupi. Dlaczego przejmowałem się teczką Kramera?
  - Bo były w niej ważne papiery, które wiozł do Kalifornii. Pokiwałem głową.

- Właśnie je dla mnie zdefiniowali. Chodzi o program konferencji.
  - Jesteś pewien, że istniał?
  - Zawsze jest jakiś program. I zawsze na piśmie. Na wszystko musi być jakaś podkładka. Jeśli chcesz zmienić żarcie w wojskowym ośrodku szkoleniowym dla psów, musisz odbyć czterdzieści siedem konferencji i każda musi mieć swój program. Więc istniał również program konferencji w Fort Irwin, to nie ulega kwestii. Opowiadanie, że go nie było, to głupota. Jeśli chcieli coś ukryć, mogli po prostu powiedzieć, że dotyczył spraw, do których nie mam dostępu.
  - Może ta konferencja naprawdę nie była taka ważna.
  - Nieprawda. Była bardzo ważna.
  - Dlaczego?
  - Bo wybierał się na nią dwugwiazdkowy generał. Oraz jednogwiazdkowy. I ponieważ działo się to w sylwestra. Kto leci w sylwestra samolotem i spędza noc w zawoszonym motelu? A w tym roku w Niemczech działy się ważne rzeczy. Zburzyli mur. Po czterdziestu pięciu latach wygraliśmy. Wyobrażasz sobie, jak tam świętowali? Kto zrezygnowałby z tego, żeby brać udział w czymś nieważnym? Skoro ci faceci tukulili się samolotem w sylwestra, konferencja w Irwin musiała naprawdę dotyczyć czegoś kluczowego.
  - Byli przygnębieni wiadomością o pani Kramer. Bardziej niż samym Kramerem.
- Pokiwałem głową.
- Może ją lubili.
  - Kramera też musieli lubić.
  - Nie, Kramer to dla nich wyłącznie problem taktyczny. Na tym poziomie nie ma miejsca na sentymenty. Ich kariery były z nim związane, a teraz facet nie żyje i zastanawiają się, co to dla nich oznacza.
  - Możliwość awansu?
  - Niewykluczone - odparłem. - Ale jeśli sprawa Kramera postawi nas w kłopotliwej sytuacji, mogą pójść na dno razem z nim.
  - W takim razie powinni poczuć się pewniej. Obiecałeś, że wszystko zatuszujesz.
- W jej głosie zabrzmiało coś w rodzaju zgorszenia. Jakby uważała, że nie powinienem im czegoś takiego obiecywać.
- Chronimy armię, Summer - wyjaśniłem. - Jak rodzinę. Do tego jesteśmy powołani. Ale zauważyłaś, że wcale się po tym nie przymknęli? - dodałem po chwili. - Powinni zrozumieć aluzję. Prosił o ukreślenie sprawie Iba, a ja obiecałem, że to zrobię. Misja wykonana.
  - Chcieli wiedzieć, gdzie są jego rzeczy.
  - Owszem - odparłem. - I wiesz, co to znaczy? To znaczy, że oni też szukają teczki Kramera. Z powodu programu konferencji. Kopia Kramera jest jedyną, która pozostaje poza ich kontrolą. Przyjechali tutaj, żeby sprawdzić, czy ją mam.
- Summer spojrzała w kierunku, w którym odjechał samochód. Czulem jeszcze w powietrzu smród spalin. Kwaśną woń z katalizatora.
- Jak pracuje cywilna służba zdrowia? - zapytałem. - Przypuśćmy, że jesteś moją żoną i dostaję ataku serca. Co wtedy robisz?
  - Dzwonię pod dziewięćset jednaście.
  - I co się wtedy dzieje?
  - Przyjeżdża karetka. Zabiera cię do szpitala.
  - I powiedzmy, że umieram, zanim tam trafię. Gdzie ty wtedy jesteś?
  - Powinnam pojechać do szpitala razem z tobą.
  - A gdzie będzie mojateczka?
  - W domu - odpowiedziała. - Tam, gdzie ją zostawiłeś. Co? Myślisz, że ktoś wszedł wczoraj do domu pani Kramer, żeby znaleźć teczkę? - zapytała po chwili.
  - To całkiem przekonująca hipoteza. Ktoś dowiadyuje się, że Kramer zmarł na atak serca, zakłada, że stało się to w karetce albo na izbie przyjęć, zakłada, że osoba, z którą był, mu towarzyszyła, i

jedzie pod adres zamieszkania, bo spodziewa się znaleźć pusty dom, a w nim teczkę.

- Ale jego w ogóle nie było w domu.
- Takie było pierwsze rozsądne przypuszczenie.
- Myślisz, że to byli Vassell i Coomer? Nie odpowiedziałem.
- To obłąd - mruknęła Summer. - Nie wyglądają na ludzi, którzy...
- Nie daj się zwieść pozorom. Są z wojsk pancernych. Przez całe życie uczyli się miażdżyć wszystko, co staje im na drodze. Wydaje mi się jednak, że nie mieli czasu, żeby to zrobić. Powiedzmy, że Garber zadzwonił do dwunastego korpusu najwcześniej piętnaście po dwunastej. Powiedzmy, że z korpusu zadzwonili do hotelu w Stanach najwcześniej o dwunastej trzydzieści. Do Green Valley dojedzie się z Waszyngtonu w siedemdziesiąt minut, a pani Kramer zginęła o drugiej. To dałoby im maksimum dwadzieścia minut na reakcję. Właśnie przyjechali z lotniska, nie mieli więc żadnego środka lokomocji. Zorganizowanie jakiegoś musiałoby trochę potrwać. I na pewno nie mieli przy sobie łomu. Nikt nie podróżuje, wioząc na wszelki wypadek łom w walizce. I wątpię, czy w Nowy Rok zaraz po północy znaleźliby jakiś otwarty hipermarket budowlany.

- Więc te czki szuka ktoś inny?

- Musimy odnaleźć program tej konferencji - powiedziałem. - Musimy mieć go w rękę.

Wysłałem Summer, żeby zrobiła trzy rzeczy: po pierwsze, spisała wszystkie kobiety służące w Fort Bird i mające dostęp do własnego hunwee; po drugie, spisała wszystkie z nich, które mogły poznać Kramera w Fort Irwin w Kalifornii, i po trzecie, skontaktowała się z hotelem Jefferson w Waszyngtonie i wzięła od nich dokładną godzinę zameldowania się i wymeldowania Vassella i Coomera oraz wszystkie ich przychodzące i wychodzące połączenia telefoniczne. Następnie wróciłem do swojego gabinetu, dołączyłem do akt notatkę od Garbera, rozłożyłem na podkładce kartkę z wiadomością od mojego brata i wykręciłem numer. Odebrał po pierwszym dzwonku.

- Cześć, Joe - powiedziałem.
- Jack?
- Co?
- Miałem telefon.
- Od kogo?
- Od lekarza mamy.
- W jakiej sprawie?
- Ona umiera.

5

Zakończywszy rozmowę z bratem, zadzwoniłem do Garbera, do biura. Nie zastałem go. Zostawiłem więc wiadomość, informując go, gdzie się wybieram, i obiecując, że wrócę po siedemdziesięciu dwóch godzinach. Nie podałem powodu. Odłożyłem słuchawkę i siedziałem odrętwiały za biurkiem. Pięć minut później weszła do mnie Summer. Przyniosła ze sobą dokumenty z kolumny transportowej. Miała chyba zamiar sporządzić listę kobiet z własnymi hunwee w mojej obecności.

- Muszę lecieć do Paryża - powiedziałem.
- Do Paryża w Teksasie? - zapytała. - Do Paryża w Ken-tucky czy do Paryża w Tennessee?
- Do Paryża we Francji.
- Po co?
- Moja mama jest chora.
- Twoja mama mieszka we Francji?
- W Paryżu.
- Dlaczego?
- Bo jest Francuzką.



- Czy to coś poważnego?
- Bycie Francuzką?
- Nie, to, na co jest chora?

Wzruszyłem ramionami.

- Tak naprawdę nie wiem. Ale chyba tak.

- Bardzo mi przykro.

- Będzie mi potrzebny samochód - powiedziałem. - Muszę jechać na lotnisko Dullesa, natychmiast.

- Zawiozę cię - zaproponowała. - Lubię prowadzić. Zostawiła papiery na moim biurku i poszła po chevroleta,

z którego korzystaliśmy wcześniej. Ja poszedłem na kwaterę i zapakowałem do wojskowego worka wszystko, co miałem w szafie. Następnie włożyłem długi płaszcz. Było zimno i nie spodziewałem się, że w Europie będzie ciepłej. Nie na początku stycznia. Summer podjechała pod moje drzwi. Na terenie bazy nie przekraczała trzydziestki. Za bramą wystartowała jak rakieta i ruszyła na północ. Przez jakiś czas milczała. Zastanawiała się. Poruszały się jej powieki.

- Jeżeli uważamy, że pani Kramer została zabita z powodu teczki, powinniśmy o tym powiedzieć gliniarzom z Green Val-ley - oświadczyła.

Potrząsnąłem głową.

- Ta informacja nie przywróci jej życia. A jeśli rzeczywiście została zabita z powodu teczki, to my będziemy tymi, którzy odnajdą sprawcę.

- Co chcesz, żebym zrobiła, kiedy ciebie nie będzie?

- Popracuj nad rejestrami. Sprawdź wjazdy i wyjazdy na bramie. Znajdź kobietę, znajdź teczkę, ukryj program konferencji w bardzo bezpiecznym miejscu. Potem sprawdź, do kogo Vassell i Coomer dzwonili z hotelu. Może wysłali kogoś do pani Kramer.

- Myślisz, że to możliwe?

- Wszystko jest możliwe.

- Przecież nie wiedzieli, gdzie jest Kramer.

- Dlatego wysłali tego kogoś w złe miejsce.

- Kogo mogliby wysłać?

- Kogoś, komu leży na sercu ich sprawa.

- Dobrze - odparła.

- I dowiedz się, kto ich teraz wozi.

- W porządku.

Nie odzywaliśmy się już więcej przez całą drogę na lotnisko.

Spotkałem mojego brata w kolejce do kasy biletowej Air France. Zarezerwował dla nas obu bilety na pierwszy poranny lot. Teraz stał w kolejce, żeby za nie zapłacić. Nie widziałem go od ponad trzech lat. Ostatni raz spotkaliśmy się na pogrzebie ojca. Potem każdy z nas poszedł swoją drogą.

- Dzień dobry, braciszku - powiedział.

Miał na sobie palto, garnitur i krawat i całkiem dobrze w nich wyglądał. Był ode mnie dwa lata starszy, to już nie ulegnie zmianie. Jako dziecko przyglądałem mu się i myślałem, że tak będę wyglądał, kiedy dorosnę. Zorientowałem się, że teraz robię to samo. Z daleka można by nas ze sobą pomylić, ale kiedy stawaliśmy przy sobie, było jasne, że jest ode mnie o cal wyższy i nieco smuklejszy. Przede wszystkim jednak nie ulegało wątpliwości, że jest starszy. Tak jakbyśmy zaczęli razem, ale on pierwszy zobaczył przyszłość i to go zużyło, sprawiło, że się postarzał.

- Jak się miewasz, Joe? - zapytałem.

- Nie mogę się skarżyć.

- Masz dużo roboty?

- Nie uwierzyłbyś ile.

Pokiwałem w milczeniu głową. Prawdę mówiąc, nie wiedziałem dokładnie, jak zarabia na życie. Chyba mi kiedyś powiedział. To nie była jakaś wielka tajemnica. Miał coś wspólnego z

Departamentem Skarbu. Opowiedział mi chyba o tym ze szczegółami, ale go nie słuchałem. Teraz było za późno, żeby go pytać.

- Byłeś w Panamie - powiedział. - Operacja „Just Cause”, Słuszna Sprawa, tak?

- Operacja „Just Because”. Po Prostu Dlatego - odparłem. - Tak ją nazwaliśmy.

- Co po prostu dlatego?

- Po prostu dlatego, że mogliśmy to zrobić. Po prostu dlatego, że musieliśmy się wszyscy czymś zająć. Po prostu dlatego, że mamy nowego głównodowodzącego, który chce sprawiać wrażenie twardziela.

- Dobrze wam idzie?

- To tak jakbyś postawił naprzeciwko siebie uczniów elitarniej szkoły i grupkę niepełnosprawnych. Jak może nam iść?

- Złapaliście już Noriegę?

- Jeszcze nie.

- Więc dlaczego cię tu z powrotem oddelegowali?

- Wysłaliśmy tam dwadzieścia siedem tysięcy ludzi. Moja rola nie była aż tak ważna.

Uśmiechnął się, a potem popatrzył na mnie, mrużąc oczy. Zapamiętałem to spojrzenie z dzieciństwa. Oznaczało, że układa jakąś pedantyczną i pokrętną linię rozumowania. Zanim jednak miał czas mi ją przedstawić, dotarliśmy do czoła kolejki. Joe wyjął kartę kredytową i zapłacił za bilety. Może spodziewał się, że zwrócę mu za swój. A może nie. Nie dał mi odczuć ani jednego, ani drugiego.

- Teraz napijemy się kawy - powiedział.

Był prawdopodobnie jedyną osobą na naszej planecie, która lubiła kawę w podobnym stopniu jak ja. Zaczął ją pić, kiedy miał sześć lat. Natychmiast poszedłem w jego ślady. Miałem wtedy cztery lata. Od tego czasu żaden z nas z tym nie zerwał. Przy nałogu kofeinowym braci Reacherów uzależnienie od heroiny może się wydawać zabawnym hobby, które można w każdej chwili porzucić.

Znaleźliśmy miejsca przy prawie pustym barze, wygiętym w kształcie litery W i oświetlonym jaskrawymi jarzeniówkami. Stały przy nim lepiące się do siedzenia winylowe stołki. Usiedliśmy obok siebie i oparliśmy przedramiona o kontuar w uniwersalnej pozie porannych podróżników. Facet w fartuchu postawił przed nami bez pytania dwa kubki i nalał do nich kawę z termosu. Była świeża. W barze zmieniali menu z nocnego na śniadaniowe. Słyszałem, jak smażą jajka.

- Co się stało w Panamie? - zapytał Joe.

- Ze mną? - odparłem. - Nic.

- Jakie dostałeś rozkazy?

- Miałem nadzorować.

- Co?

- Postępowanie - wyjaśniłem. - Cała ta historia z Noriegą ma wyglądać prawidłowo z prawnego punktu widzenia. Facet ma stanąć przed sądem tu w Stanach. Więc musimy go aresztować w formalny sposób. Żeby można to było zaakceptować, kiedy siądzie na ławie oskarżonych.

- Macie zamiar przeczytać mu formułę Mirandy?

- Niezupełnie. Ale to nie może się odbyć w kowbojskim stylu.

- Skrewiłeś?

- Nie sądzę.

- Kto cię zastąpił?

- Jakiś inny facet.

- W jakim stopniu?

- Takim samym.

- Wschodząca gwiazda?

Wypiłem łyk kawy i potrząsnąłem głową.

- Nigdy wcześniej go nie spotkałem. Ale zrobił na mnie wrażenie dupka.

Joe pokiwał głową i wziął do ręki swój kubek. Nic nie powiedział.

- Co? - zapytałem.

- Fort Bird to nie jest mała baza - stwierdził. - Ale nie jest też bardzo duża, prawda? Nad czym pracujesz?

- W tym momencie? Zmarł jakiś dwugwiazdkowy generał i nie mogę odnaleźć jego teczki.

- Zabójstwo? Potrząsnąłem głową.

- Atak serca.

- Kiedy?

- Wczoraj w nocy.

- Po tym, jak cię tam oddelegowali? Nie odpowiedziałem.

- Na pewno niczego nie schrzaniłeś? - zapytał Joe.

- Nie sądzę - powtórzyłem.

- Więc dlaczego cię odwołali? Jednego dnia nadzorujesz postępowanie w sprawie Noriegi, a następnego ładujesz w Karolinie Północnej i nie masz nic do roboty? I nadal nie miałbyś nic do roboty, gdyby nie wykitował ten generał.

- Dostałem rozkazy - powiedziałem. - Wiesz, jak to jest. Trzeba zakładać, że twoi przełożeni wiedzą, co robią.

- Kto podpisał rozkaz?

- Nie wiem.

- Powinieneś się dowiedzieć. Dowiedzieć się, komu tak bardzo zależało, abyś znalazł się w Fort Bird, że odwołał cię z Panamy i zastąpił jakimś dupkiem. I powinieneś się dowiedzieć, dlaczego mu zależało.

Facet w fartuchu dolał nam kawy i podsunął pod nosy plastikowe karty dań.

- Jajka - złożył zamówienie Joe. - Mocno wysmażone, z bekonem i grzanką.

- Naleśniki - powiedziałem. - Z jajkiem sadzonym na górze, bekonem z boku i dużą ilością syropu.

Facet zabrał karty dań i odszedł, a Joe przekręcił się na stołku i usiadł tyłem do baru, wyciągając nogi przed siebie.

- Co dokładnie powiedział jej doktor? - zapytałem. Joe wzruszył ramionami.

- Niewiele. Żadnych szczegółów, żadnej diagnozy. Właściwie nic konkretnego. Europejscy lekarze nie potrafią przekazywać złych wiadomości. Przez cały czas kluczą. No i jest jeszcze kwestia tajemnicy lekarskiej.

- Ale nie jedziemy tam bez powodu? Joe pokiwał głową.

- Zasugerował, że powinniśmy przyjechać. A potem dodał, że powinniśmy się raczej pośpieszyć.

- A co mówi ona?

- Że robimy wiele hałasu o nic. Ale zawsze miło jej będzie nas gościć.

Zjedliśmy śniadanie, za które zapłaciłem. Następnie Joe dał mi mój bilet, tak jakbyśmy zawierali transakcję. Byłem pewien, że zarabia więcej ode mnie, ale z pewnością nie aż tyle, żeby bilet lotniczy stanowił dla niego równowartość jajecznicy z bekonem i grzanką. Zgodziłem się jednak na wymianę. Wstaliśmy ze stołków i ruszyliśmy w stronę stanowiska odprawy.

- Zdejmij płaszcz - powiedział Joe.

- Po co?

- Chcę, żeby facet na stanowisku odprawy widział twoje baretki. Nasze wojska biorą udział w misji za granicą i możemy dostać lepsze miejsca.

- Lecimy samolotem Air France. Francja nie jest nawet wojskowym członkiem NATO.

- Facet na stanowisku odprawy będzie Amerykaninem - odparł. - Nie zaszkodzi spróbować.

Zdjąłem płaszcz, zarzuciłem go na rękę i wypiąłem lekko lewą pierś.

- Teraz dobrze? - zapytałem.

- Doskonale - odparł i uśmiechnął się.

Ja też się do niego uśmiechnąłem. W najwyższym rzędzie miałem, patrząc od lewej do prawej, Srebrną Gwiazdę, Service Medal oraz Legię Zasługi. W drugim rzędzie Soldier's Medal, Brązową

Gwiazdę i Purpurowe Serce. Ostatnie dwa rzędy wypełniał chłam. Zasłużyłem na wszystkie porządne medale przez czysty przypadek i żaden z nich nie znaczył dla mnie zbyt wiele. Nadawały się w sam raz do tego, żebyśmy dostali lepsze miejsce w samolocie. Ale Joemu podobały się dwa najwyższe rzędy. Służył pięć lat w wywiadzie wojskowym i dostał wyłącznie chłam.

Kiedy dotarliśmy do czoła kolejki, położył na ladzie swój paszport, bilet i legitymację Departamentu Skarbu i stanął za

mną. Położyłem na blacie swój paszport i bilet. Joe trącił mnie w plecy. Obróciłem się nieco w bok i popatrzyłem prosto w oczy facetowi na stanowisku odprawy.

- Czy mógłby nam pan znaleźć miejsca, gdzie jest więcej miejsca na nogi? - zapytałem.

Był niedużym zmęczonym mężczyzną w średnim wieku. Spoglądając na nas, musiał zadzierać głowę. Razem mieliśmy prawie trzysta stóp wzrostu i wazyliśmy ponad czterysta pięćdziesiąt funtów. Przyjrzał się legitymacji Departamentu Skarbu, zerknął na mój mundur, postukał w klawiaturę i uśmiechnął się z przymusem.

- Posadzimy panów z przodu - oznajmił.

Joe trącił mnie ponownie w plecy i wiedziałem, że się uśmiecha.

Siedzieliśmy w ostatnim rzędzie kabiny pierwszej klasy i rozmawialiśmy, unikając jednak oczywistego tematu. Mówiliśmy o muzyce, potem o polityce. Zjedliśmy kolejne śniadanie. Napiliśmy się kawy. W pierwszej klasie Air France podają całkiem dobrą kawę.

- Jak się nazywał ten generał? - zapytał Joe.

- Kramer. Dowódca wojsk pancernych w Europie.

- Pancernych? Więc dlaczego znalazł się w Fort Bird?

- Nie był w bazie, ale w motelu, trzydzieści mil dalej. Spotykał się tam z kobietą. Naszym zdaniem uciekła z jego teczką.

- To cywil? Potrzęsnałem głową.

- Naszym zdaniem służy w Fort Bird. Kramer miał nocować w Waszyngtonie w drodze na konferencję w Kalifornii.

- Przejechał trzysta mil, żeby się z nią spotkać?

- Dwieście dziewięćdziesiąt osiem.

- Ale nie wiecie, kto to jest.

- Musi być oficerem wyższego stopnia. Przyjechała do motelu własnym hunwee.

Joe pokiwał głową.

- Musi być wyższym oficerem. Kramer musiał ją znać od dłuższego czasu, skoro chciało mu się przejechać pięćset dziewięćdziesiąt sześć mil.

Uśmiechnąłem się. Każdy inny powiedziałby „sześćset mil”. Ale nie mój brat. Podobnie jak ja nie miał drugiego imienia. Gdyby je miał, brzmiałoby Pedant. Joe Pedant Reacher.

- W Bird stacjonuje nadal piechota, tak? - zapytał. - Trochę jednostek rangersów i Delty, ale z tego, co pamiętam, w większości piechociarze. Więc ile macie kobiet wyższych stopniem?

- Mieści się tam teraz szkoła psychologii pola walki - powiedziałem. - Połowa instruktorów to kobiety.

- W jakim stopniu?

- Trochę kapitanów, trochę majorów, dwie panie podpułkownik.

- Co było w teście?

- Program konferencji w Kalifornii - odparłem. - Bezpośredni podwładni Kramera utrzymują, że nie było żadnego programu.

- Zawsze jest jakiś program - stwierdził Joe.

- Wiem.

- Sprawdź te w stopniu majora i podpułkownika - powiedział. - Taka jest moja rada.

- Dziękuję.

- I dowiedz się, kto chciał, żebyś znalazł się w Bird - dodał Joe. - I dlaczego. Powodem nie mogła być ta historia z Kramerem. To pewne. Kiedy wydano rozkaz twojego przeniesienia, Kramer był

zdrów i cały.

Przeczytaliśmy „Le Matin” i „Le Monde” z poprzedniego dnia. Mniej więcej w połowie lotu zaczęliśmy mówić po francusku. Z początku szło nam niesporo, ale rozkręciliśmy się. Raz nauczone język zostaje w głowie. Joe zapytał mnie o dziewczyny.

Uznał pewnie, że to odpowiedni temat rozmowy, którą prowadzi się w języku francuskim. Odparłem, że spotykałem się z pewną dziewczyną w Korei, ale od tego czasu przeniesiono mnie na Filipiny, potem do Panamy, a teraz do Karoliny Północnej, więc raczej nie spodziewam się jej znowu zobaczyć. Opowiedziałem mu o porucznik Summer. Wydawał się nią zainteresowany. Poinformował mnie, że z nikim się nie widuje.

Następnie przerzucił się z powrotem na angielski i zapytał, kiedy byłem ostatnim razem w Niemczech.

- Sześć miesięcy temu - odparłem.

- To koniec pewnej epoki. Niemcy się zjednoczą. Francja wznowi próby nuklearne, ponieważ zjednoczenie Niemiec obudzi złe wspomnienia. A potem zaproponują wspólną walutę dla Unii Europejskiej, żeby utrzymać nowe Niemcy w ryzach. Za dziesięć lat Polska będzie w NATO, a Związek Radziecki przestanie istnieć. Zostanie jakiś kadłubowy naród. Może też wstąpią do NATO.

- Może - mruknąłem.

- Więc Kramer wybrał dobry moment, żeby się odmeldować. W przyszłości wszystko będzie wyglądało inaczej.

- Chyba tak.

- Co zamierzasz robić?

- Kiedy?

Joe obrócił się w fotelu i spojrzał na mnie.

- W wojsku dojdzie do redukcji, Jack. Musisz sobie z tego zdawać sprawę. Nie będą utrzymywali milionowej armii, kiedy przeciwnik padł na deski.

- Jeszcze nie padł na deski.

- Ale padnie. To stanie się w ciągu roku. Gorbaczow nie przetrwa. Dojdzie do przewrotu. Starzy komuniści spróbują po raz ostatni postawić na swoim, ale to się nie uda. Górę wezmą zwolennicy reform. Najprawdopodobniej Jeley. Facet jest w porządku. Więc w Waszyngtonie nie zdołają się oprzeć pokusie oszczędności. To będzie tak, jakbyśmy naraz obchodzili sto

Świąt Dziękczynienia. Nie zapominaj, że twój głównodowodzący jest przede wszystkim politykiem. Przypomniałem sobie moją sierżant z małym synkiem.

- To się będzie działo powoli - powiedziałem. Joe potrząsnął głową.

- Dojdzie do tego szybciej, niż myślisz.

- Zawsze będziemy mieli jakichś wrogów - odparłem.

- Ależ oczywiście. Ale to już będą inni wrogowie. Nie będą mieli dziesięciu tysięcy czołgów ustawionych w szyku na niemieckich równinach.

Nic na to nie powiedziałem.

- Powinieneś dowiedzieć się, dlaczego znalazłeś się w Bird. Albo nic się tam nie dzieje i w takim wypadku pójdziesz w dół, albo dzieje się tam coś ważnego i chcą, żebyś się tym zajął. W takim wypadku pójdziesz w górę.

Milczałem.

- Musisz się tego dowiedzieć. W wojsku zbliżają się redukcje i musisz wiedzieć, czy idziesz w dół, czy w górę.

- Zawsze będą potrzebowali gliniarzy - stwierdziłem. - Nawet jeśli zredukują wojsko do dwóch osób, jedna z nich będzie żandarmem.

- Powinieneś mieć jakiś plan.

- Nigdy nie robię planów.

- Musisz go mieć.

Przesunąłem palcami po baretkach na mojej piersi.

- Dali mi lepsze miejsce w samolocie - powiedziałem. - Może nie zwolnią mnie z roboty.

- Może nie zwolnią - zgodził się Joe. - Ale nawet jeśli tego nie zrobią, nie wiesz, czy to będzie robota, na której ci zależy. Wszystko stanie się straszliwie dziadowskie.

Spojrzałem na mankiety jego koszuli. Były czyste, wyprasowane i połączone dyskretnymi spinkami ze srebra i czarnego onyksu. Jego jedwabny krawat był w stonowanym odcieniu. Starannie się ogolił. Miał idealnie skrócone baczki. Był człowiekiem, którego przerażało wszystko, co nie było w najlepszym gatunku.

- Robota to robota - podsumowałem, wybredny.

Nie jestem aż taki

Resztą lotu przespaliśmy. Obudził nas głos pilota informujący, że zaczynamy schodzić do lądowania na Roissy-Charles de Gaulle. We Francji była już ósma wieczorem. Prawie cały drugi dzień nowej dekady jakimś cudem się ulotnił, kiedy pokonywaliśmy kolejne strefy czasowe, przelatując nad Atlantykiem.

Wymieniliśmy trochę pieniędzy i ustawiliśmy się w kolejce do taksówki. Była długa chyba na milę i prawie się nie przesuwała. Zamiast tego wsiedliśmy więc do navette, czyli do autobusu wożącego ludzi z lotniska do miasta. Musieliśmy stać przez cały czas, kiedy autobus mijał ponure północne przedmieścia i wjeżdżał do centrum Paryża. Wysiedliśmy na Place de L'Opera o dziewiątej wieczorem. Paryż był chłodny, mokry i cichy. Za zamkniętymi drzwiami i zaparowanymi oknami kawiarni i restauracji paliły się ciepłe, żółte światła. Przy krawężnikach parkowały małe samochody, pokryte kropelkami nocnej rosy. Ruszyliśmy razem na południowy zachód, przeszliśmy Sekwanę mostem de la Concorde i skręciliśmy na zachód w Quai d'Orsay. Rzeka była ciemna i mętna. Nic się w niej nie poruszało. Ulice były puste. Nikt po nich nie spacerował.

- Nie powinniśmy kupić kwiatów? - zapytałem.

- Za późno - stwierdził Joe. - Wszystko pozamykane. Na Place de la Resistance skręciliśmy w lewo w Avenue Rapp.

Przecinając Rue de l'Universite, zobaczyliśmy po prawej stronie skąpaną w złotym świetle wieżę Eiffla. Nasze kroki po pustym chodniku brzmiały niczym wystrzały z karabinu. W końcu stanęliśmy przed domem matki. Była to skromna sześciopiętrowa kamienica wciśnięta między dwie bardziej jarmarczne fasady w stylu belle epoque. Joe wyjął rękę z kieszeni i otworzył drzwi od ulicy.

- Masz klucz? - zdziwiłem się.

- Zawsze miałem klucz - odparł, kiwając głową.

Za drzwiami ciągnęła się brukowana alejka, która prowadziła na podwórko. Po lewej stronie był pokój konsjerżki. Za nim niewielka alkowa z małą, powolną windą. Pojechaliśmy nią na piąte piętro. Wysiedliśmy na wysoki, słabo oświetlony korytarz z ozdobnymi płytkami na podłodze. Na podwójnych dębowych drzwiach mieszkania z prawej strony widniała dyskretna mosiężna tabliczka z napisem M. & Mme Girard. Drzwi z lewej strony pomalowane były na kolor złamanej bieli i opatrzone tabliczką Mme Reacher.

Zapukaliśmy do nich.

6

Usłyszeliśmy szuranie stóp i po dłuższym czasie moja matka otworzyła drzwi.

- Bonsoir, maman - powiedział Joe. Ja wlepiłem w nią po prostu wzrok.

Była bardzo chuda, bardzo siwa i bardzo zgarbiona. Wyglądała, jakby postarzała się sto lat od czasu, kiedy ją ostatnio widziałem. Na lewą nogę miała założony bardzo długi gips i wspierała się na aluminiowym balkoniku. Ścisnęła go drżącymi dłońmi tak mocno, że widziałem wystające kości, żyły i ścięgna. Jej skóra wydawała się przezroczysta. Tylko oczy były takie same, jak zapamiętałem. Niebieskie, wesołe i rozbawione.

- Joe - powiedziała. - I Reacher.

Zawsze zwracała się do mnie po nazwisku. Nikt nie pamiętał dlaczego. Może to ja wprowadziłem ten zwyczaj w dzieciństwie. Może przejęła go, jak to bywa w rodzinie.

- Moi chłopcy - powiedziała. - Spójrzcie tylko na siebie. Mówiła powoli i z trudem, ale na jej ustach widniał radosny

uśmiech. Weszliśmy do środka i uściskaliśmy ją. Wydawała się chłodna, krucha i niematerialna. Jakby ważyła mniej niż jej aluminiowy balkonik.

- Co się stało? - zapytałem.

- Wchodźcie, wchodźcie - odparła. - Rozgośćcie się.

Obróciła balkonik krótkimi niezgrabnymi szarpnięciami i podreptała z powrotem korytarzem. Idąc, sapała i rzęziła. Ruszyłem w ślad za nią. Joe zamknął drzwi i poszedł za mną. Korytarz był wąski i wysoki i prowadził do salonu z drewnianą podłogą, białymi sofami, białymi ścianami i lustrami w ramach. Matka podeszła do sofy, powoli się odwróciła i ciężko na nią opadła, znikając niemal między poduchami.

- Co się stało? - powtórzyłem.

Nie odpowiedziała, zbywając moje pytanie niecierpliwym ruchem ręki. Joe i ja usiedliśmy ramie przy ramieniu.

- Będziesz nam musiała powiedzieć - rzekłem.

- Przejechaliśmy taki kawał drogi - dodał Joe.

- Myślałam, że chcieliście mnie po prostu odwiedzić.

- Nie, wcale tak nie myślałaś - odparłem. Matka wbiła wzrok w ścianę.

- To nic takiego.

- Nie wygląda na nic takiego.

- Przytrafiło mi się w złym momencie.

- To znaczy?

- Miałam pecha.

- Dlaczego?

- Potrącił mnie samochód. Złamał mi nogę.

- Gdzie? Kiedy?

- Dwa tygodnie temu - odparła. - Tu obok, na Avenue Rapp. Padał deszcz, miałam parasolkę i zasłoniła mi widok. Przechodziłam przez ulicę, kierowca zobaczył mnie i zahamował, ale pawa była mokra, samochód wpadł w poślizg i najechał na mnie, bardzo powoli. To wszystko działo się jakby w zwolnionym tempie, lecz ja po prostu zamarłam i nie mogłam się poruszyć. Poczułam, jak uderza mnie w kolano. Zrobił to bardzo delikatnie, ale pękła mi kość. Cholernie bolało.

Przypomniałem sobie grubasa na parkingu przed barem, wijącego się w oleistej kałuży.

- Dlaczego nas nie zawiadomiłaś? - zapytał Joe. Matka nie odpowiedziała.

- Ale kość się zrośnie? - zapytałem.

- Oczywiście - odparła. - To drobiazg. Joe tylko na mnie spojrzał.

- Co jeszcze? - zapytałem.

Matka nadal wpatrywała się w ścianę. Znowu zbyła moje pytanie lekceważącym ruchem ręki.

- Co jeszcze? - zapytał Joe. Spojrzała na mnie, a potem na niego.

- Zrobili mi prześwietlenie - powiedziała. - Według nich jestem starą kobietą. Według nich starym kobietom, które łamią kości, grozi zapalenie płuc. Bo leżą w łóżku, nie ruszają się i płuca są podatne na infekcję.

- I co?

Matka nie odpowiedziała.

- Masz zapalenie płuc? - zapytałem.

- Nie.

- Więc co się stało?

- Wykryli. Na prześwietleniu.

- Co takiego wykryli?

- Że mam raka.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał.

- Ale ty już o tym wiedziałaś - powiedziałem. Uśmiechnęła się do mnie tak jak zawsze.

- Tak, kochanie - odparła. - Ja już wiedziałam.

- Od jak dawna?

- Od roku.

Nikt się nie odezwał.

- Co to za nowotwór? - zapytał Joe.

- Teraz już każdego rodzaju.

- Da się go wyleczyć? Matka potrząsnęła głową.

- Czy był uleczalny wcześniej?

- Nie wiem. Nie zapytałam.

- Jakie były objawy?

- Bolał mnie brzuch. Nie miałam apetytu.

- A potem się rozprzestrzenił?

- Teraz boli mnie wszędzie. Jest w kościach. I w dodatku to głupie złamanie...

- Dlaczego nam nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami. W galijski, kobiecy, uparty sposób.

- A o czym tu mówić? - zapytała.

- Dlaczego nie poszłaś do lekarza? Przez jakiś czas nie odpowiadała.

- Jestem zmęczona - oświadczyła w końcu.

- Czym? - zapytał Joe. - Życiem? Uśmiechnęła się.

- Nie, Joe, mam na myśli, że jestem po prostu zmęczona. Jest późno i chcę iść do łóżka. To mam na myśli. Porozmawiamy jutro. Obiecuję. Dzisiaj nie róbmy z tego afery.

Pozwoliliśmy jej pójść do łóżka. Musieliśmy. Nie mieliśmy wyboru. Była najbardziej upartą kobietą, jaką można sobie wyobrazić. Znaleźliśmy coś do jedzenia w jej kuchni. Zrobiła dla nas zapasy. To nie ulegało wątpliwości. W jej lodówce pełno było rzeczy, na które nie spojrzalaby kobieta bez apetytu. Zjedliśmy pate i ser, zaparzyliśmy kawę i siedliśmy przy stole, żeby ją wypić. Pięć pięter niżej Avenue Rapp była nadal spokojna, cicha i pusta.

- Co myślisz? - zapytał mnie Joe.

- Myślę, że ona umiera - odparłem. - Dlatego tu przecież przyjechaliśmy.

- Możemy ją namówić, żeby poddała się leczeniu?

- Jest już za późno. To byłaby strata czasu. I nie możemy jej do niczego zmusić. Czy komuś udało się kiedykolwiek nakłonić ją do czegoś, czego nie chciała?

- Dlaczego nie chce?

- Nie mam pojęcia. Joe spojrzał na mnie.

- Jest fatalistką - powiedziałem.

- Ma dopiero sześćdziesiąt lat.

Pokiwałem głową. Miała trzydzieści lat, kiedy się urodziłem, i czterdzieści osiem, kiedy przestałem mieszkać w miejscu, które nazywaliśmy domem. Nie zauważałem w ogóle jej wieku. W wieku czterdziestu ośmiu lat wyglądała młodziej niż ja w wieku dwudziestu ośmiu. Ostatni raz widziałem ją przed półtora rokiem. Zatrzymałem się w Paryżu na dwa dni w drodze z Niemiec na Bliski Wschód. Czują się świetnie. Wyglądała wspaniale. Była już wtedy od dwóch lat wdową i jak wielu innych ludzi po tych dwóch latach przekroczyła jakby pewien próg. Wyglądała jak ktoś, kto ma przed sobą długie życie.

- Dlaczego nam nie powiedziała? - zapytał Joe.

- Nie wiem.

- Żałuję, że tego nie zrobiła.

- Życie jest podłe - mruknąłem. Joe pokiwał tylko głową.



Matka zaopatrzyła pokój gościnny w świeżą pościel i ręczniki i wstawiła kwiaty do stojących na nocnych szafkach porcelanowych wazonów. Dwa podwójne łóżka prawie w całości wypełniały mały pachnący pokoik. Wyobraziłem sobie, jak walcząc z balkonikiem, ścieli łóżka, wygładza i podwija pod materac prześcieradła i kołdry.

Joe i ja nie rozmawialiśmy. Powiesiłem mundur w szafie i umyłem się w łazience. Nastawiłem zegar w głowie na siódmą, wskoczyłem do łóżka i przez godzinę leżałem w nim, wpatrując się w sufit. A potem zasnąłem.

Obudziłem się punktualnie o siódmej. Joe był już na nogach. Może w ogóle nie spał. Może był bardziej ode mnie przyzwyczajony do regularnego trybu życia. Ewentualnie zmiana czasu bardziej mu przeszkadzała. Wziąłem prysznic, po czym wyjąłem z mojego worka spodnie od munduru i T-shirt i włożyłem je na siebie. Znalazłem brata w kuchni. Nastawił już kawę.

- Mama nadal śpi - powiedział. - Pewnie przez leki.

- Kupię pieczywo - powiedziałem.

Włożyłem płaszcz i poszedłem do patisserie przy Rue Saint Dominique, którą znałem. Kupiłem croissanty ipain au chocolaty i przyniosłem je w woskowanej torbie do domu. Kiedy wróciłem, matka była nadal w swoim pokoju.

- Ona popełnia samobójstwo - stwierdził Joe. - Nie możemy jej na to pozwolić.

Nie odezwałem się.

- No? - zapytał. - Nie powstrzymałbyś jej, gdyby wyciągnęła pistolet i przystawiła sobie do głowy?

Wzruszyłem ramionami.

- Już wcześniej przystawiła go sobie do głowy. Pociągnęła za spust rok temu. Spóźniliśmy się. Dopilnowała, żeby tak się stało.

- Dlaczego?

- Musimy poczekać, aż sama nam powie.

Powiedziała nam w trakcie rozmowy, która trwała z przerwami przez większą część dnia. Zaczęliśmy przy śniadaniu. Wyłoniła się ze swojego pokoju, wykąpana, ubrana i wyglądająca tak dobrze, jak może wyglądać chora na raka pacjentka ze złamaną nogą i aluminiowym balkonikiem. Zrobiła świeżą kawę, wyłożyła kupione przeze mnie croissanty na porcelanę i obsłużyła nas przy stole. Sposób, w jaki objęła dowodzenie, cofnął nas wszystkich w czasie. Joe i ja zmieniliśmy się z powrotem w chudych chłopaków, a ona przedzierzgnęła się w matronę. Żona żołnierza nie ma łatwego życia i niektóre sobie z tym radzą, a inne nie. Ona zawsze sobie radziła. Wszędzie tam, gdzie mieszkaliśmy, mieliśmy prawdziwy dom. Zadbala o to.

- Urodziłam się trzysta metrów stąd - powiedziała. - Na Avenue Bosquet. Z mojego okna widziałam Les Invalides i Ecole Militaire. Miałam dziesięć lat, kiedy Niemcy weszli do Paryża.

Myślałam, że to koniec świata. Miałam czternaście, kiedy wyszli. Myślałam, że to początek nowego. Joe i ja milczeliśmy.

- Od tego czasu każdy dzień był jak darowany. Poznałam waszego ojca, miałam was, chłopcy, zjeżdżałam kawał świata. Nie ma chyba kraju, w którym bym nie była.

Nadal się nie odzywaliśmy.

- Jestem Francuzką - powiedziała. - Wy jesteście Amerykanami. To kolosalna różnica. Kiedy Amerykanin zapada na jakąś chorobę, jest wściekły. Jak to mogło mi się zdarzyć? Musi natychmiast skorygować ten błąd. Natomiast Francuzi rozumieją, że najpierw się żyje, a potem umiera. Nie ma się co wściekać. To coś, co dzieje się od początku świata. Musi się dziać, rozumiecie? Gdyby ludzie nie umierali, żylibyśmy w cholernym tłoku.

- Chodzi o to, kiedy się umiera - wtrącił Joe. Matka pokiwała głową.

- Tak, o to właśnie chodzi - przyznała. - Umiera się, kiedy przychodzi twój czas.

- To zbyt pasywne podejście.

- Nie, to realistyczne podejście, Joe. Człowiek wybiera bitwy, które chce stoczyć. Oczywiście można wyleczyć drobne sprawy. Jeśli miałeś wypadek, musisz dać się załatać. Ale niektóre bitwy

są nie do wygrania. Nie myślcie, że dokładnie tego wszystkiego nie przeanalizowałam. Przeczytałam książki. Rozmawiałam z przyjaciółmi. Kiedy mamy wyraźne objawy, szansę na sukces są naprawdę znikome. Dziesięć procent dożywa pięciu lat, dwadzieścia procent dwóch lat. Komu to potrzebne? I to po naprawdę strasznych kuracjach.

Chodzi o to, kiedy się umiera. Przez cały ranek wracaliśmy do głównego pytania Joego. Przedyskutowaliśmy je z każdej możliwej strony. Dochodziliśmy zawsze do tych samych wniosków. Niektóre bitwy są nie do wygrania. W gruncie rzeczy było to jednak przelewanie z pustego w próżne. Ta dyskusja powinna się odbyć rok wcześniej. Teraz stała się bezprzedmiotowa. Ja i Joe zjedliśmy lunch. Matka nie. Czekałem, aż Joe zada następne oczywiste pytanie. Wisiało po prostu w powietrzu. W końcu do tego przeszedł. Joe Reacher, trzydzieści dwa lata, sześć stóp i sześć cali wzrostu, dwieście dwadzieścia funtów wagi, absolwent West Point i szycha w Departamencie Skarbu, oparł płasko dłonie o blat stołu i spojrzał matce prosto w oczy.

- Nie będzie ci nas brakowało, mamu? - zapytał.

- Błędne pytanie - odparła. - Będę martwa. Nie będzie mi niczego brakowało. To wam będzie brakowało mnie. Tak jak brakuje wam ojca. Jak mnie go brakuje. Tak jak brakuje mi mojego ojca, mojej matki i mojego dziadka. Takie jest życie: brakuje nam naszych nieżyjących bliskich.

Nie odezwaliliśmy się.

- Tak naprawdę chcesz mi zadać inne pytanie - powiedziała. - Chcesz zapytać, jak mogę was porzucić. Chcesz zapytać, czy nie obchodzą mnie już wasze sprawy. Czy nie chcę zobaczyć, jak ułożyło się wasze życie? Czy już mnie nie obchodzicie?

Nie odezwaliliśmy się.

- Rozumiem to. Naprawdę rozumiem. Sama zadawałam sobie te same pytania. To tak, jakby się wychodziło z kina. Było się zmuszonym wyjść z kina, z naprawdę fajnego filmu. To jest w tym smutne. Nigdy się nie dowiem, jak się skończył. Nigdy się nie dowiem, jak wam się ułożyło życie, chłopcy. To mnie naprawdę wkurzało. Ale w pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że prędzej czy później i tak musiałabym wyjść z tego kina. Nikt nie żyje wiecznie. Nigdy nie będę do końca wiedziała, jak wam się ułożyło. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Zdałam sobie sprawę, że to nie jest aż takie ważne. To zawsze będzie jakaś arbitralna data. Zawsze będę chciała więcej.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Ile ci zostało? - zapytał Joe.

- Niewiele - odparła. Nie odezwaliliśmy się.

- Już mnie nie potrzebujecie - powiedziała. - Jesteście dorośli. Zrobiłam, co do mnie należało. To jest naturalne i to jest dobre. Takie jest życie. Więc dajcie mi odejść.

O szóstej po południu powiedzieliśmy już wszystko, co było do powiedzenia. Przez godzinę nikt się nie odzywał. W końcu matka wyprostowała się w fotelu.

- Chodźmy na kolację - powiedziała. - Chodźmy do Polidoru, na Rue Monsieur le Prince.

Wezwaliśmy taksówkę i pojechaliśmy do Odeonu. Pozostały odcinek przeszliśmy piechotą. Chciała tego matka. Opatulona w palto, wisiała na naszych ramionach i szła powoli i niezgrabnie, ale chciała chyba odetchnąć świeżym powietrzem. Rue Monsieur le Prince łączy Boulevard Saint Germain i Bou-levard Saint Michel w szóstym arrondissement. To chyba najbardziej paryska ulica w całym mieście. Wąska, różnorodna, trochę zaniedbana, z wysokimi rzeźbionymi fasadami, tętniąca życiem. Polidor to stara słynna restauracja. Czuje się, że jadali tam najróżniejsi ludzie. Smakosze, szpiedzy, malarze, uciekinierzy, gliniarze, włamywacze.

Wszyscy zamówiliśmy te same trzy dania. Chevre chaud, porc aux pruneaux, dames blanches. Kazaliśmy sobie podać dobre czerwone wino. Ale matka nic nie jadła i nic nie piła. Po prostu na nas patrzyła. Na jej twarzy widać było ból. Joe i ja jedliśmy skrzepowani, a ona opowiadała. Wyłącznie o przeszłości, lecz bez smutku. Wspominała dobre czasy. Śmiała się. Dotknęła blizny na czole Joego i tak jak to robiła zawsze, upomniała mnie, że go skaleczyłem. Ja podwinąłem, tak jak to robiłem zawsze, rękaw i pokazałem, że w odwecie dziabnął mnie dłutem. Wtedy upomniała

również i jego. Mówiła o rzeczach, które robiliśmy w szkole. Mówiła o przyjęciach urodzinowych, które urządaliśmy w posępnych dalekich bazach, w gorących albo zimnych krajach. Mówiła o naszym ojcu, którego poznała w Korei i za którego wyszła w Holandii, o jego nienadzwyczajnych manierach,

o dwóch bukietach kwiatów, które kupił jej w ciągu całych trzydziestu trzech lat wspólnego pożycia, raz, kiedy urodził się Joe, i drugi, kiedy ja się urodziłem.

- Dlaczego nie powiedziałaś nam rok temu? - zapytał Joe.

- Przecież wiesz - odparła.

- Bobyśmy się z tobą spierali - powiedziałem. Matka pokiwała głową.

- To była moja decyzja - oświadczyła.

Wypiliśmy kawę i Joe i ja zapaliliśmy papierosy. A potem kelner przyniósł rachunek i poprosiliśmy, żeby wezwał nam taksówkę. Wróciliśmy w milczeniu na Avenue Rapp i prawie się do siebie nie odzywając, poszliśmy spać.

Czwartego dnia nowej dekady obudziłem się wcześniej i usłyszałem, że Joe mówi w kuchni po francusku. Zajrzałem tam i zobaczyłem go z jakąś kobietą. Była młoda i energiczna. Miała krótko ostrzyżone włosy i błyszczące oczy. Powiedziała mi, że jest prywatną pielęgniarką mojej matki, której przysługiwało takie świadczenie na mocy starej polisy ubezpieczeniowej. Normalnie przychodziła siedem razy w tygodniu, ale poprzedniego dnia nie pojawiła się na prośbę matki, która chciała spędzić ten dzień wyłącznie ze swoimi synami. Zapytałem, jak długo trwa jej wizyta. Odparła, że tak długo, jak długo jest potrzebna. Jeśli okaże się to potrzebne - a jej zdaniem mogło się to stać już wkrótce, stara polisa ubezpieczeniowa pokrywała tego rodzaju opiekę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Dziewczyna z błyszczącymi oczyma wyszła, a ja wróciłem do sypialni, wziąłem prysznic i spakowałem swój worek. Jack wszedł i patrzył, jak to robię.

- Wyjeżdżasz? - zapytał.

- Obaj wyjeżdżamy. Wiesz o tym.

- Powinniśmy zostać.

- Przyjechaliśmy. Tego właśnie chciała. Teraz chce, żebyśmy wyjechali.

- Tak sądzisz? Pokiwałem głową.

- Wczoraj w Polidorze to było pożegnanie. Teraz chce, żeby zostawiono ją w spokoju.

- Potrafisz to zrobić?

- Jeśli tego chce. Jesteśmy jej to winni.

Ponownie kupiłem pieczywo na Rue Saint Dominique i wszyscy troje zjedliśmy razem francuskie śniadanie. Matka włożyła swoją najlepszą sukienkę i zachowywała się tak, jakby była młodą, sprawną kobietą, czasowo unieruchomioną przez złamaną nogę. Wymagało to sporej siły woli, ale domyślałem się, że chciała, byśmy ją taką zapamiętali. Nalewaliśmy sobie kawy i podawaliśmy uprzejmie talerzyki. To był cywilizowany posiłek. Podobny do tych, które spożywaliśmy dawno temu. Rodzaj rodzinnego rytuału.

A potem odprawiliśmy jeszcze jeden rodzinny rytuał. Matka zrobiła coś, co robiła już wcześniej tysiące razy, przez całe nasze życie, odkąd byliśmy dość duzi, żeby wiedzieć, kim jesteśmy. Wstała z trudem z krzesła, stanęła za Joem, położyła mu ręce na ramionach, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Czego nie musisz robić? - zapytała go.

Joe nie odpowiedział. Nigdy tego nie robił. Nasze milczenie stanowiło część rytuału.

- Nie musisz rozwiązywać wszystkich problemów na tym świecie, Joe. Tylko niektóre. Starczy ich dla ciebie - powiedziała i pocałowała go jeszcze raz w policzek. A potem, trzymając jedną ręką oparcie jego krzesła, drugą oparła o moje i stanęła za mną. Słyszałem jej chrapliwy oddech. Pocałowała mnie w policzek, a potem tak, jak to czyniła przez wszystkie lata, oparła dłonie na moich ramionach. Zmierzyła je. Była drobną kobietą i fascynowało ją to, że jej malec zmienił się w giganta.

- Masz siłę dwóch normalnych chłopców - stwierdziła, a potem przyszła pora na skierowane do mnie pytanie. - Co zrobisz z całą tą siłą? - zapytała.

Nie odpowiedziałem. Nigdy tego nie robiłem.

- Będiesz postępował właściwie - powiedziała, po czym pochyliła się i znowu pocałowała mnie w policzek.

Czy to ostatni raz? - zapytałem sam siebie.

Trzydzieści minut później wyszliśmy. Uściskaliśmy się mocno w drzwiach, powiedzieliśmy, że ją kochamy, a ona odparła, że też nas kocha i zawsze kochała. Zostawiliśmy ją stojącą w progu, zjechaliśmy małą windą i ruszyliśmy z powrotem na piechotę do Opery, żeby wsiąść do autobusu jadącego do Roissy-Charles de Gaulle. Mieliśmy łzy w oczach i w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy. Moje medale nie zrobiły żadnego wrażenia na dziewczynie na lotnisku, która posadziła nas z tyłu samolotu. Mniej więcej w połowie lotu wzięłem do ręki „Le Monde” i zobaczyłem, że Noriega został złapany w Panama City. Przed tygodniem żyłem tą misją. Teraz z trudem ją sobie przypominałem. Odłożyłem gazetę i próbowałem wybiec myślami do przodu. Próbowałem sobie przypomnieć, dokąd się wybieram i co będę robił, kiedy już tam się znajdę. W głowie miałem pustkę. Nie wiedziałem, co się wydarzy. Gdybym wiedział, zostałbym w Paryżu.

7

Lot na zachód przez kolejne strefy czasowe wydłużył dzień zamiast go skrócić. Odzyskaliśmy godziny, które straciliśmy przed dwoma dniami. Wylądowaliśmy na lotnisku Dullesa o drugiej po południu. Pożegnałem się z Joem, który stanął w kolejce do taksówki, żeby pojechać do miasta. Ja udałem się na poszukiwanie autobusu i zostałem aresztowany, zanim go znalazłem.

Kto strzeże strażników? Kto aresztuje wojskowego policjanta? W moim przypadku było to trio chorążych podległych bezpośrednio komendantowi głównemu żandarmerii. Dwóch chorążych sztabowych oraz jeden starszy chorąży sztabowy. Starszy chorąży pokazał mi swoje upoważnienie i rozkazy, dwaj chorążowie pokazali mi swoje beretty i kajdanki, po czym starszy dał mi do wyboru: albo będę grzeczny, albo skopią mi tyłek. Uśmiechnąłem się lekko. Podobało mi się jego zachowanie. Dobrze to rozgrywał. Wątpiłem, czy sam zrobiłbym to lepiej.

- Jest pan uzbrojony, majorze? - zapytał.

- Nie - odparłem.

Martwiłbym się o armię, gdyby mi uwierzyli. Niektórzy chorążowie sztabowi uwierzyliby. Byliby speszeni. Aresztowanie wyższego oficera własnego korpusu to niełatwa misja. Ale ten konkretny starszy chorąży sztabowy robił wszystko jak trzeba. Wysłuchał mojego „nie” i skinął na swoich podwładnych, którzy

przystąpili do przeszukania tak szybko, jakbym powiedział „tak, w głowicę jądrową”. Jeden obmacał mnie od stóp do głów, a drugi przetrząsnął mój worek. Obaj byli bardzo dokładni. Dopiero po kilku minutach uznali, że wszystko jest w porządku.

- Czy muszę panu zakładać kajdanki? - zapytał starszy chorąży.

Potrząsnąłem głową.

- Gdzie jest samochód? - zapytałem.

Nie odpowiedział. Chorążowie stanęli po moich obu stronach, trochę z tyłu. Starszy chorąży ruszył przodem. Przecieliśmy chodnik, mineliśmy zatoczkę, gdzie czekały autobusy, i skręciliśmy na pas zarezerwowany dla pojazdów oficjalnych. Stał tam zaparkowany oliwkowozielony chevrolet caprice. To był moment, kiedy groziło im największe niebezpieczeństwo. Zdesperowany aresztant mógł w tym miejscu spróbować zwiać. Wiedzieli o tym i podeszli do mnie bliżej. Stanowili zgrany zespół. Trzech na jednego: to dawało mi mniej więcej pięćdziesiąt procent szans. Ale pozwoliłem się zapakować do samochodu. Później zastanawiałem się, co by było, gdybym zaryzykował. Chwilami żałowałem, że tego nie zrobiłem.

Zanim wojsko przemałowało chevroleta na zielono, był biały. Zobaczyłem oryginalny kolor po

wewnętrznej stronie drzwiczek. Winyłowe siedzenia, szyby otwierane korbką. Typowe wyposażenie cywilnego radiowozu. Wsiadłem z tyłu i usadowiłem się za fotelem pasażera. Jeden z chorążych wsunął się w ślad za mną, drugi siadł za kierownicą. Starszy chorąży siadł koło niego. Nikt się nie odzywał.

Pojechaliśmy na wschód główną autostradą prowadzącą do miasta. Joe przejechał nią prawdopodobnie pięć minut wcześniej taksówką. Skręciliśmy na południowy wschód i minęliśmy Tysons Corner. W tym momencie wiedziałem już, dokąd jedziemy. Po paru minutach pojawiły się drogowskazy do Rock Creek. Ta mała miejscowość położona dwadzieścia pięć mil na północ od Fort Belvoir i czterdzieści kilka mil na pomocny wschód od ośrodka piechoty morskiej w Quantico była dla mnie czymś

w rodzaju portu macierzystego. Mieściło się tam dowództwo sto dziesiątej jednostki specjalnej. Wiedziałem więc, dokąd jedziemy. Nie miałem tylko pojęcia dlaczego.

Dowództwo sto dziesiątej jednostki to w zasadzie biuro i ośrodek zaopatrzeniowy. Nie ma tam aresztu. Nie ma cel, w których można by kogoś zatrzymać. W związku z tym zamknęli mnie w pokoju przesłuchań. Rzucili mój worek na stół, zamknęli drzwi na klucz i zostawili mnie. Było to pomieszczenie, w którym zamykałem wcześniej innych. Wiedziałem, na czym to polega. Jeden z chorążych zostawał na posterunku na korytarzu. Może nawet dwóch. W związku z czym przechyliłem po prostu krzesło do tyłu, położyłem stopy na stole i czekałem.

Czekałem godzinę. Byłem zmęczony, głodny i odwodniony po locie. Podejrzywałem, że gdyby o tym wiedzieli, kazaliby mi czekać dwie godziny. Albo jeszcze dłużej. A tak przyszli już po sześćdziesięciu minutach. Starszy chorąży wskazał podbródkiem, że powinienem wstać i wyjść z nim na korytarz. Dwaj chorążowie ruszyli za mną. Zaprowadzili mnie na drugie piętro, a potem w lewo i prawo szarymi korytarzami. W tym momencie wiedziałem dobrze, dokąd idziemy. Szliśmy do gabinetu Leona Garbera. Nie miałem tylko pojęcia dlaczego.

Kazali mi się zatrzymać przed drzwiami z szybką z grawerowanego szkła, na której namalowane było złotymi literami KOMENDANT. Przechodziłem przez nie wiele razy. Ale nigdy jako aresztant. Starszy chorąży zapukał, otworzył drzwi i cofnął się, żeby wpuścić mnie do środka. Następnie zamknął za mną drzwi i pozostał po ich drugiej stronie, na korytarzu ze swoimi podwładnymi.

Za biurkiem Garbera siedział facet, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Był pułkownikiem i miał na sobie mundur polowy. Na naszywkach widniał napis: Willard, siły zbrojne USA. Szpakowate włosy miał zaczesane w szkolnym stylu, z przedziałkiem. Wymagały przystrzyżenia. Poza tym miał okulary w drucianych oprawkach i ziemistą obwisłą twarz, która musiała wyglądać staro, kiedy miał dwadzieścia lat. Był niski i raczej przysadzisty. Opadające ramiona, które nie wypełniały do końca kurtki munduru, powiedziały mi, że nie spędza dużo czasu na siłowni. Nie potrafił usiedzieć spokojnie w miejscu. Przechylał się w lewo i skubał nogawkę spodni w miejscu, w którym napinała się na jego prawym kolanie. W ciągu dziesięciu sekund, które tam spędziłem, poprawił ją trzy razy. Może miał hemoroidy. Może był nerwowo. Miał miękkie ręce. Nierówne paznokcie. Nie dostrzegłem ślubnej obrączki. Z pewnością rozwiedziony. Wyglądał na rozwodnika. Żadna żona nie pozwoliłaby mu chodzić z takimi włosami. I żadna żona na dłuższą metę nie wytrzymałaby tego kołysania się i wiercenia.

Powinienem stanąć elegancko na baczność, zsalutować i powiedzieć: „Major Reacher melduje się na rozkaz”. Byłoby to zgodne z wojskową etykietą. Ale prędzej bym się pochlastał, niż to zrobił. Rozejrzałem się po prostu leniwie dokoła i stanąłem w niedbalej pozie przed biurkiem.

- Żądam wyjaśnień - oznajmił facet o nazwisku Willard i znowu poruszył się na krześle.

- Kim pan jest? - zapytałem.

- Widzi pan, kim jestem.

- Widzę, że jest pan pułkownikiem sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych i nazywa się pan Willard. Ale nie mogę panu niczego wyjaśnić, dopóki nie wiem, czy podlegam panu służbowo.

- Podlegasz mi służbowo, synu. Co jest napisane na tych drzwiach?

- Komendant - odparłem.
- I gdzie jesteśmy?
- W Rock Creek, w Wirginii.
- W porządku, sam sobie odpowiedziałeś.
- Jest pan nowy. Jeszcze się nie spotkaliśmy.
- Przejąłem to stanowisko czterdzieści osiem godzin temu. Właśnie się spotykamy. I żądam wyjaśnień.
- W jakiej sprawie?

Na początek w sprawie nieusprawiedliwionej absencji. Nieusprawiedliwionej absencji? - zdziwiłem się. - Kiedy?

- W ciągu ostatnich siedemdziesięciu dwóch godzin.
- To nieprawda - odparłem.
- Jak to?
- Mój wyjazd został zatwierdzony przez pułkownika Garbera.
- Nie został.
- Zadzwoń do jego biura - powiedziałem.
- Kiedy?
- Przed wyjazdem.
- Otrzymał pan jego zgodę?
- Zostawiłem wiadomość - odparłem po chwili. - Twierdzi pan, że odmówił zgody?
- Nie było go tam. Kilka godzin wcześniej dostał rozkaz przenoszący go do Korei.
- Do Korei?
- Objął tam dowództwo żandarmerii.
- To stanowisko dla generała brygady.
- Na razie jest pełniącym obowiązki. Na jesieni czeka go z pewnością awans.

Nic na to nie odpowiedziałem.

- Garbera nie ma - stwierdził Willard. - Jestem ja. Wojskowa karuzela kręci się dalej. Niech pan się do tego przyzwyczai.

W pokoju zapadła cisza. Willard uśmiechnął się do mnie. Nie był to miły uśmiech. Powiedziałbym raczej, że szyderczy. Wyciągnął mi spod nóg dywanik i patrzył, jak padam na ziemię.

- Dobrze, że poinformował pan nas o swoich planach podróży - powiedział. - Ułatwiło nam to dzisiejszą reakcję.

- Uważa pan, że aresztowanie jest odpowiednią reakcją na nieusprawiedliwioną absencję?

- A pan tak nie uważa?

- To było zwykle nieporozumienie.

- Opuścił pan bez zezwolenia swój posterunek, majorze. Takie są fakty. Wprawdzie spodziewał się pan, że zezwolenie zostanie udzielone, ale to nie zmienia faktów. Jesteśmy w wojsku. Działamy na podstawie wydanych rozkazów i zezwoleń. Czekamy, aż zostaną przyjęte i potwierdzone. W przeciwnym razie czeka nas anarchia i chaos.

Nic na to nie odpowiedziałem.

- Dokąd pan pojechał?

Przypomniałem sobie matkę wspartą na aluminiowym balkoniku. Przypomniałem sobie twarz brata patrzącego, jak się pakuje.

- Zrobiłem sobie krótkie wakacje - powiedziałem. - Wskoczyłem na plażę.

- Nie został pan aresztowany za nieusprawiedliwioną absencję - wyjaśnił Willard. - Aresztowano pana, ponieważ miał pan na sobie mundur wyjściowy w sylwestra.

- To teraz wykroczenie?

- Miał pan na nim naszywkę z nazwiskiem. Nie odezwałem się.

- Pokieroszował pan dwóch cywili tak poważnie, że wyładowali w szpitalu. Zrobił to pan w

mundurze z naszywką z nazwiskiem.

Wbiłem w niego wzrok, intensywnie się zastanawiając. Nie wierzyłem, żeby donieśli na mnie grubas i farmer. Niemożliwe. Byli głupi, ale nie aż tak. Zdawali sobie sprawę, że wiem, gdzie można ich znaleźć.

- Kto tak twierdzi? - zapytałem.
- Miał pan dużą publiczność na tym parkingu.
- Ktoś od nas? Willard pokiwał głową.
- Kto?
- Nie musi pan wiedzieć. Nie odezwałem się.
- Ma pan coś do powiedzenia? - zapytał mnie Willard.

Facet nie będzie zeznawał przed sądem wojennym, pomyślałem. To pewne. Tyle mam do powiedzenia.

- Nie mam nic do powiedzenia.
- Co mam teraz z panem zrobić? Nie odezwałem się.
- Co pana zdaniem mam teraz zrobić?

Powinieneś się dowiedzieć, jaka jest różnica między twardzielem a głupim dupkiem, brachu. Powinieneś się tego dowiedzieć jak najszybciej.

- Pański wybór. Pańska decyzja. Willard pokiwał głową.
- Mam również raporty od generała Vassella i pułkownika Coomera - oświadczył.
- Jakiej treści?
- Obaj twierdzą, że nie okazał pan im należytego szacunku.
- W takim razie te raporty są nieprawdziwe.
- Tak jak nieprawdziwe było to, że samowolnie oddalił się pan z posterunku?

Nie odpowiedziałem.

- Baczość - powiedział Willard.

Spojrzałem na niego. Policzyłem do dziesięciu i stanąłem na baczość.

- Zrobił to pan bardzo powoli - stwierdził.
- Nie startuję w konkursie musztry.
- Dlaczego zainteresował się pan Vassellem i Coomerem?
- Zaginał program konferencji wojsk pancernych. Chciałem się dowiedzieć, czy były w nim tajne informacje.
- Nie było żadnego programu - rzekł Willard. - Vassell i Coomer poinformowali o tym jasno i dobitnie mnie i pana. Wolno zawsze zapytać. Formalnie rzecz biorąc, ma pan takie prawo. Ale uparte zarzucanie wyższemu oficerowi, że udzielił kłamliwej odpowiedzi, jest okazaniem mu braku szacunku. Ociera się o nękanie.

- Zajmuję się tym zawodowo, panie pułkowniku. Uważam, że konferencja miała program.

Teraz to Willard się nie odezwał.

- Mogę zapytać, gdzie pan wcześniej służył? - zapytałem. Willard poruszył się na krześle.
- W wywiadzie.
- Był pan agentem terenowym czy gryzpiórkem? Nie odpowiedział. Gryzpiórek.
- Zdarzyło się panu brać udział w konferencjach bez programów?

Willard spojrzał mi prosto w oczy.

- Oto pańskie rozkazy, majorze - powiedział. - Po pierwsze, przestaje się pan interesować Vassellem i Coomerem. Ze skutkiem natychmiastowym. Po drugie, przestaje się pan interesować generałem Kramerem. W związku z zaistniałymi okolicznościami nie chcemy robić z tego afery. Po trzecie, przestaje pan wciągać porucznik Summer w sprawy jednostki specjalnej. Ze skutkiem natychmiastowym. Jest żandarmem niższego stopnia i po przestudiowaniu jej akt osobowych doszedłem do wniosku, że powinna nim pozostać. Po czwarte, niech pan nie próbuje kontaktować się z miejscowymi cywilami, którzy zostali przez pana poszkodowani. I po piąte, niech pan nie próbuje ustalić tożsamości świadka, który złożył przeciwko panu zeznania.

Nie odezwałem się.

- Zrozumiał pan swoje rozkazy? - zapytał.
- Chciałbym je otrzymać na piśmie - odparłem.
- Forma ustna w zupełności wystarczy. Zrozumiał pan swoje rozkazy?
- Odmaszerować.

Policzyłem do dziesięciu, po czym zaszalutowałem i odwróciłem się do niego plecami. Zdążyłem dojść do drzwi, kiedy wystrzelił swój pożegnalny pocisk.

- Mówią, że jesteś gwiazdą, Reacher - powiedział. - Musisz teraz zdecydować, czy chcesz być nadal gwiazdą, czy zostać aroganckim, przemądrzałym sukinsynem. I musisz pamiętać, że nikt nie lubi aroganckich sukinsynów. Znaleźliśmy się w momencie, kiedy to, czy ludzie cię lubią, czy nie, będzie miało kolosalne znaczenie. Kolosalne. Nie odezwałem się.

- Czy wyraziłem się jasno, majorze?
- Krystalicznie - odparłem, kładąc dłoń na klamce.
- Ostatnia rzecz - dodał. - Nie będę nadawał biegu skardze na brutalne zachowanie. Tak długo, jak to będzie możliwe. Z szacunku dla pana dokonań. Ma pan dużo szczęścia, że trafiło to do nas wewnętrzną drogą. Ale niech pan pamięta, że skarga nie została oddalona i zawsze możemy do niej wrócić.

Wyjechałem z Rock Creek przed piątą po południu. Złapałem autobus do Waszyngtonu, a potem kolejny, który jechał na południe autostradą I-95. Następnie zdjąłem insygnia i ostatnie trzydzieści mil do Fort Bird przejechałem stopem. Dzięki temu zajęło mi to trochę mniej czasu. Większość ludzi poruszających się tymi drogami to żołnierze, rezerwiści bądź też członkowie ich rodzin, którzy nie darzą wielkim zaufaniem żandarmerii. Doświadczenie nauczyło mnie, że lepiej się z nimi dogadać, gdy insygnia MP schowa się do kieszeni.

Udało mi się złapać okazję i wysiadłem dwieście jardów od głównej bramy Fort Bird tuż przed jedenastą wieczorem czwartego stycznia, po niespełna sześciu godzinach jazdy. W Karolinie Północnej było ciemno i zimno. Bardzo zimno, w związku z czym ostatnie dwieście jardów przebiegłem truchtem, żeby się rozgrzać. Gdy dobiegłem do bramy, byłem zdyszany. Zameldowałem się i pobiegłem do mojego biura. W środku było ciepło. Dyżur pełniła sierżant z nocnej zmiany, ta z małym synkiem. Miała świeżą kawę. Dała mi filiżankę, a ja wszedłem do gabinetu i znalazłem czekającą na mnie na biurku kartkę od Summer, przypiętą do cienkiej zielonej teczki. W środku były trzy spisy.

Spis kobiet z własnymi humvee, spis kobiet, które służyły kiedyś w Fort Irwin, oraz rejestr wjazdów i wyjazdów w sylwestra. Pierwsze dwie listy były względnie krótkie. Rejestr z głównej bramy był potwornie długi. Ludzie przez całą noc wjeżdżali i wyjeżdżali. Jednak tylko jedno nazwisko pojawiło się w trzech miejscach: podpułkownik Andrea Norton. Summer zakreśliła jej nazwisko na wszystkich trzech listach. Zadzwoń do mnie w sprawie Norton. Mam nadzieję, że z twoją mamą wszystko w porządku, napisała.

Znalazłem starą karteczkę z numerem telefonu Joego i zadzwoniłem do niego w pierwszej kolejności.

- Trzymasz się? - zapytałem.
- Powinniśmy byli zostać - odparł.
- Dała pielęgniарce dzień wolnego. Chciała spędzić z nami tylko jeden dzień.
- Mimo to powinniśmy zostać.
- Nie są jej potrzebni widzowie.

Nie odpowiedział. Trzymałem przy uchu gorącą słuchawkę.

- Mam do ciebie pytanie - powiedziałem. - Kiedy pracowałeś w Pentagonie, spotkałeś może dupka o nazwisku Willard?

Przez dłuższą chwilę milczał, przestawiając się na inny tryb, przeczesując pamięć. Przez jakiś czas służył w wywiadzie.

- Przysadzisty niski facet? - zapytał. - Nie może usiedzieć w spokoju? Stale wierci się na krześle,



skubie spodnie? Siedział za biurkiem. Był chyba majorem.

- Teraz jest pułkownikiem - poinformowałem go. - Właśnie objął dowództwo sto dziesiątej specjalnej. Jest moim komendantem w Rock Creek.

- Z wywiadu wojskowego do sto dziesiątej? To ma sens.

- Dla mnie zupełnie nie ma sensu.

- To nowa teoria - powiedział Joe. - Kopiują jakąś doktrynę z sektora prywatnego. Ich zdaniem ludzie niezorientowani w układach są dobrzy, bo nie będą walczyli o utrzymanie status quo. Uważają, że wnoszą nowe spojrzenie.

- Jest coś, co powinienem wiedzieć o tym facecie?

- Nazwałeś go dupkiem, więc chyba coś o nim wiesz. To bystry gość, ale rzeczywiście jest dupkiem. Złośliwy, małostkowy, dbający o dobre imię firmy, dobry w zakulisowych rozgrywkach, zainteresowany wyłącznie tym, co mówi szef. Wyjątkowy wa-zeliniarz, zawsze wie, skąd wieje wiatr.

Nie odezwałem się.

- Beznadziejny w stosunkach z kobietami - dodał Joe. - Zapamiętałem to.

Nie odezwałem się.

- Idealny przykład tego, o czym mówiliśmy - powiedział Joe. - Pracował w sekcji sowieckiej. Monitorował, o ile pamiętam, produkcję czołgów i zużycie paliwa. Opracował, zdaje się, jakiś algorytm, który na podstawie ilości zużywanego paliwa mówił nam, jakiego rodzaju szkolenia przechodzą sowieckie wojska pancerne. Przez rok czy dwa był na świeczniku. Ale teraz chyba zobaczył, jaka czeka go przyszłość. Odszedł stamtąd, dopóki miał dobre notowania. Ty powinieneś zrobić to samo. Przynajmniej o tym pomyśl. O tym, o czym mówiliśmy.

Nie odpowiedziałem.

- A tymczasem bądź ostrożny - dodał Joe. - Nie chciałbym mieć Willarda za szefa.

- Poradzę sobie - powiedziałem.

- Powinniśmy byli zostać w Paryżu - mruknął i rozłączył się.

Znalazłem Summer w klubie oficerskim. Popijała piwo, opierając się o ścianę razem z dwoma chorążymi. Gdy mnie zobaczyła, odeszła od nich.

- Garber wyjechał do Korei - powiedziałem. - Mamy nowego szefa.

- Kogo?

- Pułkownika Willarda. Z wywiadu.

- Nadaje się do tej roboty?

- Nie nadaje się. To dupek.

- Czy to cię nie wkurza? Wzruszyłem ramionami.

- Powiedział, żebyśmy nie zajmowali się sprawą Kramera.

- I nie będziemy się zajmować?

- Powiedział, żebym z tobą nie rozmawiał. Powiedział, że odrzuci twoje podanie.

Summer znieruchomiała. Uciekła w bok wzrokiem.

- Cholera - mruknęła.

- Przykro mi. Wiem, że ci na tym zależało. Ponownie na mnie spojrzęła.

- Mówił serio o sprawie Kramera? - zapytała. Pokiwałem głową.

- Wszystko traktuje serio. Kazał mnie aresztować na lotnisku, żeby dać mi to do zrozumienia.

- Aresztować? Ponownie pokiwałem głową.

- Ktoś doniósł na mnie w związku z tymi facetami na parkingu.

- Kto?

- Jeden z trepów, którzy to oglądali.

- Jeden z naszych? Kto?

- Nie wiem.

- To fatalnie. Pokiwałem głową.

- Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. Znowu umilkła.

- Jak się czuje twoja mama?
- Złamała nogę - odparłem.
- Może dostać zapalenia płuc. Ponownie pokiwałem głową.
- Zrobili jej prześwietlenie. Nie ma zapalenia płuc. Zmrużyła oczy.
- Czy mogę zadać oczywiste pytanie? - zapytała.
- zapytała w końcu. - To nic wielkiego.
- Są jakieś oczywiste?
- Pobicie cywili to ciężkie wykroczenie. I skoro cię aresztowali, mamy najwyraźniej do czynienia z raportem i naocznym świadkiem. Więc dlaczego jesteś na wolności?
- Willard nie nadał biegu tej sprawie.
- Dlaczego to zrobił, skoro jest dupkiem?
- Z szacunku dla moich dokonań. Tak mi powiedział.
- Uwierzyłeś mu? Potrząsnąłem głową.
- Coś musi być nie w porządku z tą skargą - powiedziałem. - Dupek pokroju Willarda skorzystałby z niej, gdyby mógł, to pewne. Ma gdzieś moje dokonania.
- Ze skargą jest wszystko w porządku. Żołnierz to najlepszy świadek, jakiego można mieć. Zzna wszystko, co mu każą. To tak jakby Willard sam pisał na ciebie skargę.
- Nie odezwałem się.
- A w ogóle dlaczego tu się znalazłeś? - zapytała.
- Przypomniałem sobie słowa Joego: „Powinieneś się dowiedzieć, komu tak bardzo zależało, żebyś znalazł się w Fort Bird, że odwołał cię z Panamy i zastąpił jakimś dupkiem”.
- Nie wiem, dlaczego się tu znalazłem - powiedziałem. - Nic nie wiem. Opowiedz mi o pani podpułkownik Norton.
- Nie zajmujemy się już tą sprawą.
- Więc opowiedz mi, żebym zaspokoił ciekawość.
- To nie ona. Ma alibi. Była na przyjęciu w barze niedaleko bazy. Przez całą noc. Było tam z nią około stu osób.
- Kim ona jest?
- Instruktorem psychologii pola walki. Zrobiła doktorat z psychoseksuologii. Specjalizuje się w atakowaniu wewnętrznej równowagi emocjonalnej przeciwnika poprzez podważanie jego poczucia męskości.
- Zabawowa kobitka.
- Zaproszono ją na przyjęcie. Widocznie ma opinię zabawowej.
- Dowiedziałaś się, kto przywiózł tutaj Yassella i Coomera?
- Summer pokiwała głową.
- Nasi wartownicy zapisali go jako majora Marshalla. Sprawdziłam go. To sztabowiec dwunastego korpusu oddelegowany czasowo do Pentagonu. Czyjś ulubieniec. Jest tutaj od listopada.
- Sprawdziłaś rozmowy prowadzone z ich hotelu w Waszyngtonie?
- Summer ponownie kiwnęła głową.
- Nie było żadnych połączeń wychodzących. Do pokoju Vassella dzwoniło raz, o godzinie dwunastej dwadzieścia osiem w nocy. Zakładam, że z dwunastego korpusu w Niemczech. Ani Vassell, ani Coomer nigdzie nie dzwoniли.
- Ani jednej rozmowy?
- Ani jednej.
- Jesteś pewna?
- Całkowicie. To elektroniczna centrala. Kiedy wykręca się dziewiątkę, żeby wyjść na miasto, komputer automatycznie to rejestruje. Musi, żeby doliczyć połączenie do rachunku.
- Ślepa uliczka.
- Dobra - powiedziałem. - Zapomnij o wszystkim.
- Naprawdę?

- Rozkaz to rozkaz. W przeciwnym razie czeka nas anarchia i chaos.

Wróciłem do mojego gabinetu i zadzwoniłem do Rock Creek. Zakładałem, że Wi Harda od dawna tam nie ma. Należał do ludzi, którzy przez całe życie trzymają się urzędowych godzin pracy. Zostałem jakiegoś dyżurnego i poprosiłem go, żeby znalazł mi kopię rozkazu przynoszącego mnie z Panamy do Fort Bird. Dopiero po pięciu minutach wrócił do telefonu. Spędziłem je, czytając sporządzone przez Summer listy. Pełno było na nich nazwisk, które nic dla mnie nie znaczyły.

- Mam tu pana rozkaz, majorze - powiedział facet.

- Kto go podpisał?

- Pułkownik Garber, majorze.

- Dziękuję - odparłem i odłożyłem słuchawkę. A potem przez dziesięć minut siedziałem, zastanawiając się, dlaczego ludzie mnie okłamują. Następnie przestałem się tym trapić, ponieważ mój telefon zadzwonił ponownie i młody szeregowiec z żandarmerii oznajmił, że podczas rutynowego patrolu natrafił w lesie na ofiarę zabójstwa. Było chyba naprawdę paskudne. Mój rozmówca musiał dwa razy przerwać, żeby wymiotować, zanim złożył mi do końca raport.

8

Większość baz położonych na terenach wiejskich jest dosyć duża. Nawet jeżeli wszystkie zabudowania i infrastruktura zajmują niewielki obszar, to cały teren bazy jest spory. W Fort Bird byłem po raz pierwszy, ale podejrzewałem, że nie stanowi wyjątku i przypomina niewielkie, schludne miasteczko otoczone przez należące do państwa, zbliżone wielkością do hrabstwa, piaszczyste grunty z niskimi pagórkami i płytkimi wąwozami, które porastają rachityczne drzewa i zarośla. W ciągu długiego okresu funkcjonowania bazy te zagajniki naśladowały już z pewnością szare jesiony Ardenów, potężne jodły środkowej Europy i kołyszące się palmy Bliskiego Wschodu. Urodziła się tu i umarła niejedna teoria szkolenia piechoty. Na usianym starymi okopami, wilczymi dołami i śladami ognisk terenie powinno się trafić na wały strzelnic, przeszkody z drutu kolczastego oraz odosobnione chatki, w których psycholożki poddawały żołnierzy ciężkim próbom, podważając ich poczucie męskości. Były tu betonowe bunkry i dokładne repliki budynków rządowych, w których siły specjalne ćwiczyły odbijanie zakładników. Były trasy wyścigów przełajowych, na których pozbawieni formy rekruci wyciskali z siebie siódme poty, a niektórzy padali i umierali. Cały teren został zapewne ogrodzony milami starej zardzewiałej siatki i przypisany po wsze czasy Departamentowi Obrony, o czym świadczyły stosowne tablice na co trzecim słupku.

Wezwałem na miejsce specjalistów, po czym udałem się do kolumny transportu i wybrałem sobie humvee z reflektorem osadzonym na specjalnym uchwycie. Następnie odpaliłem silnik i zgodnie ze wskazówkami szeregowca z patrolu ruszyłem na południowy zachód. Po jakimś czasie znalazłem się na prowadzącej w głąbę piaszczystej drodze. Było zupełnie ciemno. Po przejechaniu mniej więcej mili zobaczyłem w oddali zapalone światła drugiego hunwee. Pojazd szeregowca stał pod ostrym kątem, jego reflektory oświetlały zagajnik. Pnie drzew rzucały długie, diabelskie cienie. Sam żołnierz opierał się o maskę. Miał pochyloną głowę i wbijał wzrok w ziemię.

Pierwsze pytanie: jak to możliwe, że jadący samochodem żołnierz zauważył zwłoki ukryte głęboko w lesie, między drzewami?

Zaparkowałem koło niego, zdjąłem reflektor z uchwytu i natychmiast zrozumiałem, jak to możliwe. Pośrodku drogi zaczynał się znaczony garderobą trop. Na wzniesieniu między koleinami stał standardowy but z czarnej skóry, stary, znoszony i niezbyt czysty. Mniej więcej jard na zachód od buta leżała skarpetka. A potem kolejny but, kolejna skarpetka, kurtka od munduru polowego oraz oliwkowy podkoszulek. Garderoba rozrzucona była wzdłuż prostej linii w groteskowej parodii erotycznej fantazji, kiedy wraca się do domu i widzi porzuconą bieliznę, która prowadzi do sypialni. Z tą różnicą, że kurtka i podkoszulek były poplamione krwią.

Sprawdziłem grunt przy skraju drogi. Był twardy jak kamień i przemarznięty. Nie mogłem

zadeptać żadnych śladów, ponieważ sprawcy ich nie zostawili. Wzięłem więc głęboki oddech i ruszyłem śladem ubrań. Dotarwszy do celu, zrozumiałem, dlaczego facet dwa razy się porzygał. W jego wieku mógłbym porzygać się trzy razy.

Ciało leżało twarzą w dół na zmarzniętych zeschniętych liściach pod drzewem. Nagie. Średniego wzrostu, krępe. To był biały

facet, ale prawie cały pokryty krwią. Na jego ramionach i barkach widniały głębokie do kości rany zadane nożem. Patrząc z tyłu, mogłem spostrzec, że ma poobijaną i spuchniętą twarz. Ktoś ściągnął mu z szyi identyfikator. Zamiast tego miał na niej mocno zadzierzgnięty wąski skórzany pasek z mosięzną klamrą i długą końcówką odsuniętą od głowy. Na plecy ktoś wylał mu gęsty, różowobiały płyn. Miał wbitą w odubyt złamaną gałąź. Ziemia pod spodem była czarna od krwi. Domyślałem się, że kiedy obrócimy go na plecy, odkryjemy, że ma ucięte genitalia. Cofnąłem się szlakiem rozrzuconych ubrań do drogi i podszedłem do szeregowca. Nadal wbijał wzrok w ziemię.

- Gdzie dokładnie jesteście? - zapytałem.

- Słucham, majorze?

- To na pewno teren bazy? Chłopak pokiwał głową.

- Do ogrodzenia mamy milę. W każdą stronę.

- W porządku - odparłem. - Nie ma wątpliwości co do jurysdykcji. Wojskowy na wojskowym terenie. Zaczekamy tutaj. Nikomu nie wolno do niego podchodzić bez mojego pozwolenia. Jasne?

- Tak jest - powiedział.

- Dobrze się spisałeś.

- Tak pan myśli?

- Nadal stoisz - odparłem.

Wróciłem do hunwee i połączyłem się przez radio z moją sierżant. Powiedziałem, co i gdzie się wydarzyło, i poprosiłem, żeby znalazła porucznik Summer i przekazała jej, że ma się ze mną skontaktować na kanale awaryjnym. Potem czekałem. Karetka przyjechała dwie minuty później. Chwilę potem pojawiły się dwa hunwee z technikami kryminalistycznymi, których wezwałem przed wyjściem z gabinetu. Wysypali się z nich faceci. Kazałem im poczekać. Nie spieszyło się. Summer zgłosiła się po pięciu minutach.

- Trup w lesie - powiedziałem jej. - Chcę, żebyś znalazła tę instruktorkę z psychologii pola walki, o której mi mówiłaś.

- Podpułkownik Norton.

- Przywieź ją tutaj.

- Willard powiedział, że nie możesz ze mną pracować.

- Powiedział, że nie mogę cię wciągać w sprawy jednostki specjalnej. A to jest zwykła policyjna robota.

- Do czego ci tam potrzebna Norton?

- Chcę ją poznać.

Summer rozłączyła się, a ja wysiadłem z samochodu i podszedłem do sanitariuszy i techników. Przystanęliśmy wszyscy razem w kręgu, na chłodzie. Silniki nadal pracowały, żeby akumulatory nie rozładowały się przy działającym ogrzewaniu. Obłoki spalin połączyły się i sformowały poziomą mgiełkę podobną do smogu. Powiedziałem technikom, żeby zaczęli spisywać garderobę na drodze, ale nie dotykali jej i nie wchodzili w głąb lasu.

Czekaliśmy. Na niebie nie było księżycy ani gwiazd. Żadnego światła poza światłami naszych reflektorów i żadnych odgłosów poza odgłosami silników. Pomyślałem o Leonie Garberze. W Korei jest jedno z największych biur żandarmerii, jakie ma do zaoferowania amerykańska armia. Może nie najbardziej prestiżowe, ale chyba najaktywniejsze i z całą pewnością najtrudniejsze. Objęcie tam stanowiska dowódcy to wielki zaszczyt. To oznaczało, że najprawdopodobniej przejdzie na emeryturę w stopniu dwugwiazdkowego generała, o wiele wyżej, niż kiedykolwiek marzył. Jeśli mój brat się nie mylił i miały polecieć głowy, Leona to nie dotyczyło. To mnie ucieszyło. Moja radość trwała mniej więcej dziesięć minut. Następnie spojrzałem na sytuację z

drugiej strony. Martwiłem się tym przez kolejne dziesięć minut, ale do niczego nie doszedłem. Kiedy pojawiła się Summer, przestałem się zastanawiać. Prowadziła humvee. Obok niej, na fotelu pasażera siedziała ubrana w mundur połowy blondynka bez czapki. Summer zatrzymała się pośrodku drogi i została w samochodzie, kierując na nas reflektory. Blondynka wysiadła, przyjrzała się nam, po czym weszła w krzyżujące się światła i podeszła prosto do mnie. Zasalutowałem jej z grzeczności i spojrzałem na naszywkę z nazwiskiem. Było na niej napisane Norton. Na klapach miała naszyte dębowe liście podpułkownika. Była ode mnie trochę starsza, ale niewiele. Wysoka i chuda, miała twarz, z którą mogła zrobić karierę aktorki albo modelki.

- W czym mogę panu pomóc, majorze? - zapytała. Jej głos świadczył, że pochodzi chyba z Bostonu i nie jest zadowolona z tego, że wyciągnięto ją z łóżka w środku nocy.
- Chciałbym, żeby pani coś zobaczyła - powiedziałem.
- Dlaczego?
- Może będzie pani miała na ten temat profesjonalną opinię.
- Dlaczego akurat ja?
- Bo jest pani tutaj, w Karolinie Pomocnej. Zajęłoby mi parę godzin ściągnięcie kogoś z innej bazy.
- Kogo dokładnie pan potrzebuje?
- Kogoś, kto pracuje w pani branży.
- Wiem, że pracuję w szkole - powiedziała. - Nie trzeba mi tego stale przypominać.
- Co?
- Odnoszę wrażenie, że to tutaj popularny sport: przypominanie Andrei Norton, że jest tylko mołem książkowym, podczas gdy cała reszta zajmuje się poważnymi rzeczami.
- Nie mam o tym pojęcia. Jestem tutaj nowy. Chcę po prostu poznać pierwsze wrażenie kogoś, kto specjalizuje się w pani dziedzinie.
- Nie stara się pan niczego udowodnić?
- Staram się uzyskać pomoc. Norton wyduła wargi.
- W porządku. Podałem jej moją latarkę.
- Niech pani idzie śladem garderoby. Proszę niczego nie dotykać. Zapamiętać tylko swoje pierwsze wrażenie. Potem będę chciał o tym z panią porozmawiać.

Nie odpowiedziała. Wzięła po prostu ode mnie latarkę i odeszła. Przez pierwsze dwadzieścia stóp oświetlały ją reflektory szeregowca, który nas zawiadomił. Jego hunwee nadal stał przodem do lasu. Jej cień tańczył przed nią. A potem wyszła poza zasięg reflektorów i zobaczyłem podskakujący przed nią i migający w mroku snop światła z latarki. Chwilę później straciłem go z oczu. Daleko i wysoko widać było tylko jego słaby odbłask na bezlistnych gałęziach.

Nie było jej mniej więcej dziesięć minut. W końcu zobaczyłem zbliżającą się do nas z powrotem latarkę. Norton wyszła z lasu po własnych śladach. Podeszła prosto do mnie. Była blada. Zgasła latarkę i oddała mi.

- W moim biurze - powiedziała. - Za godzinę. Wsiadła do hunwee Summer, która cofnęła się, wykręciła, dodała gazu i znikła w ciemności.
- W porządku, panowie, zabierajcie się do roboty - rzekłem, po czym wsiadłem do samochodu i popatrzyłem na unoszące się w powietrzu spaliny, krzyżujące się światła latarek i jasnyniebieskie błyski fleszy, w których wszystko zastygało na ułamek sekundy w bezruchu. Ponownie połączyłem się z moją sierżant i kazałem jej przekazać, żeby otworzono kostnicę i poproszono patologa o stawienie się w niej z samego rana. Po trzydziestu minutach karetka cofnęła się na pobocze i moi ludzie załadowali do niej owinięty w prześcieradła kształt. Następnie zatrzasnęli drzwiczki, klepnęli je otwartymi dłońmi i karetka odjechała. Przystąpiono do opisywania i pakowania do plastikowych torebek dowodów rzeczowych. Miejsce zbrodni ogrodzono policyjną taśmą rozpiętą między drzewami i tworzącą prostokąt o bokach czterdzieści na pięćdziesiąt jardów.

Zostawiwszy techników, żeby skończyli sami, wróciłem do zabudowań bazy i zasięgnąłem języka u strażników, którzy powiedzieli mi, jak dojechać do wydziału psychologii pola walki. Szkoła mieściła się w niskim ceglany budynku z zielonymi drzwiami i oknami, w którym dawno temu, kiedy zbudowano bazę, mogły się znajdować biura dowództwa. Obecnie stał w pewnej odległości od dowództwa, może w połowie drogi do miejsca, gdzie rozlokowały się siły specjalne. Wszędzie dokoła

było ciemno i cicho, ale w centralnym holu i w jednym z okien paliły się światła. Zaparkowałem samochód i wszedłem do środka. W połowie wyłożonego płytkami ponurego korytarza były drzwi z matową szybą na górze. Za szybą, na której widniał namalowany przez szablon napis „płk A. Norton”, paliło się światło. Zapukałem i wszedłem do małego, schludnego, pachnącego kobietą gabinetu. Nie zsalutowałem po raz drugi. Uznałem, że mamy to już za sobą.

Norton siedziała za wielkim dębowym armijnym biurkiem, na którym leżały pootwierane podręczniki. Było ich tyle, że musiała zabrać telefon z blatu i postawić go na podłodze. Przed sobą miała blok żółtego papieru z odręcznymi notatkami. Odbijające się od bloku światło lampy na biurku barwiło jej włosy na żółto.

- Witam - powiedziała.

Usiadłem na krześle przeznaczonym dla gościa.

- Kim on był? - zapytała.

- Nie wiem - odparłem. - Nie sądzę, żebyśmy mogli go zidentyfikować po twarzy. Został zbyt mocno pobity. Trzeba zdjąć odciski palców. Albo zębów. Jeśli jakieś mu zostały.

- Dlaczego pan chciał, żebym mu się przyjrzała?

- Powiedziałem pani dlaczego. Chciałem poznać pani opinię.

- Dlaczego uznał pan, że będę miała jakąś opinię?

- Wydawało mi się, że są tam elementy, które pani zrozumie.

- Nie jestem profilerem.

- Nie chcę, żeby pani nim była. Chcę po prostu kilku informacji, szybko. Chcę wiedzieć, czy moje przypuszczenia idą w dobrym kierunku.

Norton pokiwała głową. Odgarnęła włosy z twarzy.

- Narzuca się oczywisty wniosek, że był homoseksualistą- powiedziała. - Możliwe, że z tego powodu zginął. A jeżeli nawet nie, to napastnicy świetnie znali jego preferencje.

Pokiwałem głową.

- Doszło do amputacji genitaliów - stwierdziła.

- Sprawdziła pani?

- Trochę go przesunęłam - przyznała. - Przepraszam. Wiem, że pan prosił, bym tego nie robiła.

Spojrzałem na nią. Nie miała rękawiczek. Twarda babka. Może reputacja mola książkowego nie była zasłużona.

- Nie musi się pani tym przejmować.

- Podejrzewam, że znajdziemy jego jądra i penisa w ustach. Wątpię, żeby policzki spuchły mu tak mocno w wyniku samego pobicia. To oczywisty symboliczny komunikat, przekazywany przez homofobicznego napastnika. Usunięcie zboczonych narządów, symulacja oralnego seksu.

Pokiwałem głową.

- Podobnie jak nagość i usunięcie identyfikatorów - dodała. - Odebranie dewiantowi znaków armii równa się usunięciu dewianta z armii.

Pokiwałem głową.

- Umieszczenie w odbycie obcego ciała mówi samo za siebie. Pokiwałem głową.

- Jest jeszcze ten płyn na jego plecach - powiedziała.

- Jogurt - mruknąłem.

- Prawdopodobnie truskawkowy - oświadczyła. - Albo malinowy. To stary dowcip. W jaki sposób gej symuluje orgazm?

- Trochę jęczy. A potem oblewa jogurtem plecy kochanka.

- Owszem - odparła. Nie uśmiechnęła się i patrzyła, czy ja to zrobię.
- A rany klute i pobicie? - zapytałem.
- Nienawiść.
- Pasek zawiązany na szyi? Norton wzruszyła ramionami.
- To sugeruje pewną technikę autoerotyczną. Podduszenie powoduje wzmocnienie przyjemności podczas orgazmu.

Pokiwałem głową.

- W porządku - powiedziałem.
- Co w porządku?
- Takie było pani pierwsze wrażenie. Czy sformułowała pani na jego podstawie jakąś opinię?
- A pan?
- Owszem - odparłem.
- Pan pierwszy.
- Myślę, że to zostało sfingowane.
- Dlaczego?
- Za dużo tego wszystkiego. Mamy tu sześć elementów. Nagość, brak identyfikatorów, genitalia, gałąź, jogurt i pasek. Podczas gdy wystarczyłyby dwa. Może trzy. Tak jakby starali się za wszelką ceną pokazać, że chodzi im o to, a nie o coś innego. Jakby za mocno się starali.

Norton się nie odezwała.

- Za dużo tego wszystkiego - powtórzyłem. - To tak, jakby ktoś kogoś zastrzelił, a potem go zadusił, zadźgał, utopił i pobił na śmierć. Tak jakby chcieli udekorować wskazówkami cholerną choinkę.

Norton milczała. Obserwowała mnie, pozostając w kręgu światła. Może mnie oceniała.

- Mam pewne wątpliwości co do paska - rzekła. - Auto-erotyzm nie jest wyłącznie homoseksualny. Fizjologicznie wszyscy mężczyźni mają podobne orgazmy, bez względu na to, czy są gejami, czy nie.

- Cała historia jest sfingowana - powiedziałem. W końcu pokiwała głową.
- Zgadza się z panem. Niegłupi z pana facet.
- Jak na gliniarza? Nie uśmiechnęła się.
- Jako oficerowie wiemy jednak, że do wojska nie wolno przyjmować homoseksualistów - powiedziała. - Więc powinniśmy się upewnić, czy na nasze rozumowanie nie ma wpływu chęć obrony armii.
- Obrona armii należy do moich obowiązków - oświadczyłem.
- Właśnie - zgodziła się Norton.

Wzruszyłem ramionami.

- Ale ja nie zajmuję w tej sprawie stanowiska. Nie mówię, że facet na pewno nie był gejem. Może był. Naprawdę mało mnie to obchodzi. Może jego prześladowcy o tym wiedzieli, a może nie. Twierdzę, że tak czy inaczej nie dlatego go zabili. Chcieli tylko, żeby to wyglądało na powód. W rzeczywistości jednak wcale nie to nimi kierowało, tylko zupełnie co innego. Sfabrykowali więc tropy w raczej świadomy sposób - powiedziałem i na chwilę umilkłem. - W raczej akademicki sposób - dodałem.

Norton stężała.

- W akademicki sposób? - powtórzyła.
- Czy uczycie tutaj takich rzeczy na zajęciach? - zapytałem.
- Nie uczymy, jak zabijać ludzi - odparła.
- Nie o to pytałem. Norton pokiwała głową.
- Mówimy o tym. Musimy. Ucinanie wrogowi członka to najbardziej podstawowa sprawa. To zdarzało się zawsze. Zdarzało się w Wietnamie. Przez ostatnie dziesięć lat Afganki robiły to pojmanym sowieckim żołnierzom. Mówimy, czego to jest symbolem, co komunikuje, mówimy, jaki budzi lęk. Napisano całe książki o lęku przed groteskowymi ranami. To jest zawsze jakiś

komunikat dla żołnierzy wroga. Mówimy o gwałceniu przedmiotami martwymi. Mówimy o wystawianiu na pokaz okaleczonego ciała. Trop zrobiony z porzuconej garderoby to klasyczny przykład.

- Mówicie o jogurcie? Norton potrząsnęła głową.
- Ale to bardzo stary żart.
- A o podduszaniu?
- Nie na kursach psychologii pola walki. Ale większość ludzi tutaj czyta czasopisma. Albo ogląda pornosy na wideo.
- Mówicie o kwestionowaniu męskości przeciwnika?
- Oczywiście. Podważanie męskości wroga to podstawowa idea naszego kursu. Podważanie jego seksualnej orientacji, jurności, potencji. To podstawowa taktyka. I zawsze taka była, wszędzie na przestrzeni dziejów. Ma podwójny cel. Pomniejsza wroga i wzmacnia nas, gdy się z nim porównamy.

Nie odezwałem się.

Spojrzała mi prosto w oczy.

- Chce pan mnie zapytać, czy tam w lesie rozpoznaję efekty naszych lekcji?
- Chyba tak - odparłem.
- Tak naprawdę nie zależało panu na mojej opinii, prawda? - powiedziała. - To wszystko był tylko wstęp. I tak pan już wiedział, co ogląda.

Pokiwałem głową.

- Jak na gliniarza jestem niegłupi.
- Odpowiedź brzmi nie - oznajmiła. - Nie rozpoznaję efektów naszych lekcji tam w lesie. Bezpośrednio.

- Ale to możliwe?
- Wszystko jest możliwe.
- Czy spotkała się pani z generałem Rramerem podczas służby w Fort Irwin? - zapytałem.
- Raz czy dwa razy. Dlaczego pan pyta?
- Kiedy się pani z nim ostatnio spotkała?
- Nie pamiętam.
- Ostatnio nie?
- Nie. Ostatnio nie.
- Jaki charakter miała wasza znajomość?
- Profesjonalny.
- Szkolicie wojska pancerne?
- W Fort Irwin nie stacjonują wyłącznie wojska pancerne - odparła. - Niech pan nie zapomina, że mieści się tam Krajowe Centrum Szkoleniowe. Kiedyś kursanci przyjeżdżali do nas. Teraz my jeździmy do nich.

Nie odezwałem się.

- Dziwi pana, że szkolimy wojska pancerne? Ponownie wzruszyłem ramionami.

- Trochę dziwi. Gdybym jeździł siedemdziesięcotonowym czołgiem, nie potrzebowałbym chyba wsparcia psychologicznego.

Norton się nie uśmiechnęła.

- Szkolimy ich. Z tego, co pamiętam, generałowi Kramerowi nie podobało się, kiedy piechota uzyskiwała coś, czego nie mieli jego ludzie. To była intensywna rywalizacja.
- Kogo pani teraz szkoli?
- Żołnierzy Delta Force - odparła. - Wyłącznie.
- Dziękuję za pomoc.
- W tym, co się dzisiaj stało, nie widzę niczego, za co moglibyśmy być odpowiedzialni.
- Bezpośrednio.
- Z psychologicznego punktu widzenia to dosyć pospolite zachowania.



- W porządku.
  - I nie podoba mi się, że pan o to pytał.
  - W porządku - powtórzyłem. - Dobranoc, pani pułkownik.
- Wstałem z krzesła i ruszyłem w stronę drzwi.
- Jaki był prawdziwy powód? - zapytała. - Skoro to, co widzieliśmy, było na pokaz?
  - Nie wiem - odparłem. - Nie jestem aż taki mądry.
- Zatrzymałem się na chwilę w swoim sekretariacie i sierżant, która miała małego synka, dała mi kawę. W gabinecie czekała na mnie Summer. Przyszła po swoje wykazy, ponieważ sprawa Kramera została zamknięta.
- Sprawdziłaś inne kobiety? - zapytałem. - Poza Norton? Pokiwała głową.
  - Wszystkie mają alibi. To najlepsza noc w roku na alibi. Nikt nie spędza sylwestra samotnie.
  - Ja spędzałem - odparłem.
- Nie skomentowała tego. Złożyłem papiery, wsadziłem je z powrotem do teczki i odpiąłem dołączoną z przodu kartkę.
- Mam nadzieję, że z twoją mamą wszystko w porządku. Schowałem kartkę do szuflady i oddałem jej teczkę.
- Co ci powiedziała Norton? - zapytała.
  - Zgodziła się ze mną, że to było regularne zabójstwo upozorowane tak, by wyglądało na porachunki z gejem. Zapytałem, czy pewne symbole nie zostały zaczerpnięte z kursu psychologii pola walki. Nie udzieliła mi jednoznacznej odpowiedzi. Oświadczyła, że z psychologicznego punktu widzenia to dosyć pospolite zachowania. Nie spodobało jej się, że o to zapytałem.
  - I co teraz? Ziewnąłem. Byłem zmęczony.
  - Będziemy nad tym pracować tak jak nad każdą inną sprawą. Nie wiemy nawet, kim jest ofiara.
- Mam nadzieję, że dowiemy się jutro. Na pokładzie o siódmej, w porządku?
- W porządku - odparła i ruszyła z teczką pod pachą w stronę drzwi.
  - Zadzwoń do Rock Creek - powiedziałem. - Poprosiłem pracownika sekretariatu, żeby znalazł kopię rozkazu przenoszącego mnie tutaj z Panamy.
  - I co?
  - Powiedział, że jest na nim podpis Garbera.
  - Ale?
  - To niemożliwe. Garber zadzwonił tutaj w sylwestra i był zdziwiony, że odebrałem telefon.
  - Dlaczego pracownik sekretariatu cię okłamał?
  - Nie sądzę, żeby to zrobił. Sądzę, że podpis na rozkazie jest sfalszowany.
  - Czy to możliwe?
  - To jedyne wytłumaczenie. Garber nie mógł zapomnieć, że czterdzieści osiem godzin wcześniej mnie tu przeniósł.
  - Więc o co w tym wszystkim chodzi?
  - Nie mam pojęcia. Ktoś gdzieś rozgrywa partię szachów. Mój brat powiedział, że powinienem dowiedzieć się, komu zależało tak bardzo, żebym znalazł się tutaj, że wyciągnął mnie z Panamy i zastąpił jakimś dupkiem. Więc próbowałem się tego dowiedzieć. A teraz przyszło mi do głowy, że być może powinniśmy zadać to samo pytanie w sprawie Garbera. Komu tak bardzo zależało, żeby odszedł z Rock Creek, że zastąpił go dupkiem?
  - Ale dowództwo w Korei to awans, prawda?
  - Garber zasłużył sobie na to. Bez dwóch zdań - odparłem. - Tyle że trochę na to za wcześnie. To stanowisko dla jednogwiazdkowego generała. Departament Obrony musi to przepchnąć przez Senat. Dlatego takie rzeczy dzieją się na jesieni, nie w styczniu. To był paniczny krok, podjęty pod wpływem chwili.
  - Ale taka partia szachów nie miałaby sensu - zauważyła Summer. - Po co sprowadzać ciebie i przynosić jego? Te dwa ruchy neutralizują się wzajemnie.
  - Może partię rozgrywają dwie osoby. Coś w rodzaju przeciągania liny. Jest ten dobry i ten zły.

Coś zyskujemy, coś tracimy.

- Ale ten zły mógłby z łatwością wygrać. Mógłby cię zwolnić. Albo posłać za kratki. Ma na ciebie skargę złożoną przez cywila.

Nie odezwałem się.

- To się nie trzyma kupy - stwierdziła Summer. - Ten, kto gra po twojej stronie, pozwolił odejść Garberowi, ale jednocześnie jest dość wpływowy, żeby zatrzymać cię tutaj, mimo że złożono na ciebie skargę. Dość wpływowy, żeby Willard wiedział, że nic ci nie zrobi. Wiesz, co to oznacza?

- Tak - odparłem. - Wiem. Spojrzała mi prosto w oczy.

- To by oznaczało, że jesteś widziany jako ktoś ważniejszy od Garbera. Garber odszedł, ale ty nadal tu jesteś - powiedziała i spuściła wzrok.

- Możesz mówić szczerze - oświadczyłem.

- Nie jesteś ważniejszy od Garbera. To niemożliwe. Ponownie ziewnąłem.

- Nie będę się o to spierał. Nie w tej kwestii. Nie chodzi o wybór pomiędzy mną i Garberem.

Przez chwilę milczała i pokiwała głową.

- Nie - zgodziła się. - Nie chodzi o to. Chodzi o wybór pomiędzy Fort Bird i Rock Creek. Fort Bird został uznany za ważniejszy. To, co dzieje się w tej bazie, jest istotniejsze niż to, co dzieje się w dowództwie jednostki specjalnej.

- Zgoda - odparłem. - Ale co się tutaj, do diabła, dzieje?

9

Uczyliem pierwszy nieporadny krok na drodze, by to odkryć, minutę po siódmej nazajutrz rano w prosektorium Fort Bird. Spałem tylko trzy godziny i nie zjadłem śniadania. Nie istnieje wiele żelaznych i niezmiennych reguł, których trzeba przestrzegać w wojskowym śledztwie. W większości opiera się ono na instynkcie i improwizacji. Ale jedna z niewielu obowiązujących reguł brzmi: nie jedz nic przed wejściem do wojskowego prosektorium.

Przeznaczoną na śniadanie godzinę spędziłem nad raportem z miejsca zbrodni. Był dosyć gruby, ale nie znalazłem w nim użytecznych informacji. Wymieniono w nim i dokładnie opisano wszystkie odnalezione części munduru. Opisano zwłoki. Zapisano godzinę i temperaturę. Tysiące słów poparte były kilkudziesięcioma polaroidowymi fotografiami. Ale ani słowa, ani fotografie nie powiedziały mi tego, co chciałem wiedzieć.

Schowałem raport do szuflady i zadzwoniłem do biura komendanta, żeby dowiedzieć się, czy nie mamy zgłoszeń o samowolnym zejściu z posterunku lub nieusprawiedliwionej nieobecności. Niewykluczone, że zabity już został uznany za zaginionego i dzięki temu uda się szybciej ustalić jego tożsamość. Ale nie było żadnych raportów. Nic nie odbiegało od normy. Życie w bazie toczyło się zwykłym torem.

Poranek był chłodny.

Budynek kostnicy zbudowany został w czasach Eisenhowera i nadal była w nim kostnica. Nie czekało nas szczególnie skomplikowane zadanie. To nie był świat cywilny. Wiedzieliśmy, że ofiara nie poślizgnęła się na skórce od banana. Nie zależało mi aż tak bardzo na ustaleniu, która rana okazała się śmiertelna. Chciałem się tylko dowiedzieć, o której godzinie zginął i jak się nazywał.

Za głównym wejściem znajdował się wyłożony kafelkami hol, z drzwiami pośrodku oraz po lewej i prawej stronie. Drzwi po lewej prowadziły do biura. Drzwi po prawej do chłodni. Ja udałem się na wprost, gdzie zgrzytały noże, wyły piły elektryczne i pluskała woda.

Pośrodku sali stały dwa metalowe, nieckowate stoły. Nad nimi były jaskrawe jarzeniówki, pod nimi głośnie otwory odpływowe. Dokoła wisały na łańcuchach spożywcze wagi do ważenia wyciętych narzędzi, stały stalowe wózki z pustymi szklanymi słojami gotowymi na ich przyjęcie oraz inne wózki z gotowymi do użycia, leżącymi na zielonych chustach rzędami noży, pił, kleszczy i nożyc. Całe wnętrze wyłożono białymi płytkami, w chłodnym powietrzu unosił się słodkawy zapach formaldehydu.

Stół po prawej stronie był czysty i pusty. Stół po lewej otaczali ludzie. Był tam patolog, jego asystent i sekretarz robiący notatki. Summer stała trochę z tyłu, wszystko obserwując. Byli chyba w połowie sekcji. Używano wszystkich narzędzi. Część szklanych słoików już zapełniono. Z otworu odpływowego dochodził odgłos ssania. Między trzema mężczyznami widziałem nogi zabitego. Zmyto z nich cały brud i krew. W świetle jarzeniówek wydawały się sinobiałe.

Stałem obok Summer i spojrzałem na trupa. Leżał na plecach. Z głowy zdjęli mu górną część czaszki. Przecieli skórę na czole i ściągnęli ją w dół. Leżała wewnętrzną stroną do góry niczym odgarnięta z łóżka kołdra, sięgając jego podbródka. Kości policzkowe i gałki oczne były odsłonięte. Lekarz kroił jego mózg, najwyraźniej czegoś szukając. Wcześniej przeciął piłą kości czaszki i podniósł ją jak pokrywkę.

- Co już wiemy? - zapytałem.

- Mamy odciski palców - powiedział.

- Przefaksowałam je - oznajmiła Summer. - Dzisiaj będziemy wiedzieli.

- Przyczyna śmierci?

- Uderzenie tępym narzędziem - odparł doktor. - W tył głowy. Trzy mocne uderzenia, jak się zdaje, czymś w rodzaju łyżki do opon. Wszystkie te teatralne obrażenia zostały zadane po śmierci. Czysta dekoracja.

- Jakież obrażenia zadane przy próbie stawiania oporu?

- Ani jednego. To był atak z zaskoczenia. Zupełnie niespodziewany. Nie było żadnego oporu, żadnej walki.

- Ilu napastników?

- Nie jestem jasnowidzem. Wszystkie śmiertelne obrażenia zadane były prawdopodobnie przez tę samą osobę. Nie mogę powiedzieć, czy nie stało tam i się nie przyglądało więcej osób.

- A jak się panu wydaje?

- Jestem naukowcem, nie wróżką.

- Tylko jeden napastnik - mruknęła Summer. - Takie mam wrażenie.

Pokiwałem głową.

- Czas śmierci? - zapytałem.

- Trudno mieć absolutną pewność - rzekł doktor. - Najprawdopodobniej między dziewiątą i dziesiątą wieczór.

Pokiwałem ponownie głową. Dziewiąta albo dziesiąta wieczorem pasowała. Kilka godzin po zmierzchu, kilka godzin przed spodziewanym odkryciem zwłok. Dużo czasu, żeby zwabić ofiarę, a potem ukryć się gdzie indziej, kiedy ogłoszony zostanie alarm.

- Czy zabito go w miejscu odkrycia zwłok? - zapytałem. Patolog pokiwał głową.

- Albo w bezpośredniej bliskości - odparł. - Żadne oznaki medyczne nie wskazują, że było inaczej.

- W porządku - powiedziałem i rozejrzałem się dokoła. Złamana gałąź leżała na wózku. Obok niej stał słoik z penisem i dwoma jądrami.

- W ustach? - zapytałem.

Patolog ponownie pokiwał głową. Nie odezwał się.

- Jakiego rodzaju nóż? - zapytałem.

- Chyba Ka-Bar - odparł.

- Wspaniale - mruknąłem. W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat wyprodukowano ich dziesiątki milionów. Były równie pospolite jak medale.

- Cios nożem zadała osoba praworęczna - powiedział doktor.

- A łyżką do opon?

- Też.

- W porządku - mruknąłem.

- Płynem był jogurt - oświadczył lekarz.

- Truskawkowy czy malinowy?

- Nie sprawdzałem smaku.

Obok słoików z narzędziami leżał mały plik zdjęć z polaroida. Wszystkie przedstawiały miejsce, w którym zadano śmiertelne rany. Pierwsze zrobiono zaraz po odkryciu zwłok. Włosy faceta były względnie długie, brudne i zlepione krwią i trudno było zobaczyć jakieś szczegóły. Na drugim zmyto krew i brud. Na trzecim włosy ścięto nożyczkami. Na czwartym zostały równo zgolone maszynką.

- Nie sądzi pan, że to łom? - zapytałem.

- To prawdopodobne - zgodził się doktor. - Może nawet bardziej niż łyżka do opon. Swoją drogą, zrobiłem gipsowy odlew. Kiedy przyniesie mi pan narzędzie zbrodni, powiem panu „tak” albo „nie”.

Dałem krok do przodu i przyjrzałem się uważniej ciału. Było bardzo czyste, miejscami białe, miejscami szare, jeszcze gdzie indziej różowe. Pachniało niewyraźnie mydłem, a także krwią i innymi substancjami organicznymi. Krocze było zmasakrowane - prawdziwa jatka. Rany klute na ramionach i barkach

głębokie i oczywiste. Widziałem mięśnie i kości. Krawędzie ran były sine i zimne. Ostrze wbiło się w środek tatuażu na lewym ramieniu. Orzeł trzymał na nim w szponach zwój z napisem Matka. Ogólnie rzecz biorąc, facet nie wyglądał najlepiej. Ale był w lepszym stanie, niż się obawiałem.

- Myślałem, że będzie bardziej spuchnięty i posiniaczony - powiedziałem.

Lekarz zerknął na mnie.

- Mówiłem panu. Wszystkie te drastyczne obrażenia zadane zostały już po śmierci. Serce nie biło, nie było ciśnienia krwi, krew nie płynęła i dlatego nie ma opuchlizn i zasinień. A także silnego krwawienia. Grawitacja sprawiła, że trochę jej wyciekło. Gdyby dźgali go, kiedy żył, popłynęłaby strumieniami.

Odwrócił się do stołu i umieścił pokrywę czaszki tam, gdzie było jej miejsce. Klepnął ją dwa razy, żeby lepiej przywarła, po czym wytarł miejsce łączenia gąbką. Następnie naciągnął z powrotem twarz, przyklepał ją, wcisnął i przyglądał i kiedy odsunął ręce, zobaczyłem sierżanta sił specjalnych, z którym rozmawiałem w klubie, wpatrującego się niewidzącym wzrokiem w wiszące nad nim jasne światła.

Wziąłem hunwee i minąwszy szkołę psychologii pola walki Andrei Norton, pojechałem do koszar Delta Force. Mieściły się prawie w całości w zabudowaniach, w których wcześniej, dopóki armia nie zamknęła wszystkich swoich złoczyńców w Fort Leavenworth, znajdowało się więzienie. Pozostałe po nim mury i ogrodzenie z siatki świetnie służyły nowemu celowi. Obok stał olbrzymi hangar lotniczy z drugiej wojny światowej. Wyglądał, jakby przywleczono go tutaj z jakiejś zamkniętej bazy i zmontowano na nowo, żeby pomieścić wszystkie te ich skrzynie z wyposażeniem, ciężarówką, uzbrojone hunwee, a może nawet kilka śmigłowców sił szybkiego reagowania.

Wartownik przy wewnętrznej bramie wpuścił mnie do środka i pojechałem prosto do biura adiutanta. O wpół do ósmej rano

panował tam już spory ruch, co dało mi do myślenia. Adiutant siedział przy swoim biurku. Był kapitanem. W odwróconym do góry nogami świetle Delta Force sierżanci są gwiazdami, a oficerowie siedzą w domu i odrabiają pracę domową.

- Brakuje wam kogoś? - zapytałem.

Adiutant uciekł spojrzeniem w bok, co jeszcze bardziej dało mi do myślenia.

- Zakładam, że zna pan odpowiedź na to pytanie - odparł. - W przeciwnym razie po co by pan się tu zjawiał?

- Ma pan dla mnie nazwisko?

- Nazwisko? Myślałem, że go pan aresztował.

- Nie chodzi o aresztowanie.

- Więc o co?

- Często zdarzało się, że go aresztowano?

- Nie. To dobry żołnierz.
- Jak się nazywa?

Kapitan nie odpowiedział. Zamiast tego pochylił się, wysunął szufladę i wyjął z niej teczkę. Podał mi ją. Podobnie jak wszystkie akta osobowe Delt, które oglądałem, podane w niej do użytku publicznego informacje były bardzo skąpe. W środku znajdowały się tylko dwie kartki. Na pierwszej było nazwisko, stopień oraz numer identyfikacyjny, a także podstawowe fakty dotyczące kariery wojskowej niejakiego Christophera Carbone'a. Był nieżonaty i służył w siłach zbrojnych od szesnastu lat: cztery lata w dywizji piechoty, cztery w dywizji desantowej, cztery w kompanii rangersów i cztery w oddziale Delta. Był ode mnie o pięć lat starszy. Miał stopień starszego sierżanta sztabowego. Nie było żadnej wzmianki o udziale w działaniach zbrojnych i nadanych odznaczeniach lub orderach.

Na drugiej kartce były atramentowe odciski palców i kolorowa fotografia mężczyzny, z którym rozmawiałem wcześniej w klubie i którego zostawiłem przed chwilą na stole w kostnicy.

- Gdzie on jest? - zapytał kapitan. - Co się stało?
- Ktoś go zabił.
- Co?!
- Padł ofiarą zabójstwa - odparłem.
- Kiedy?
- Wczoraj wieczorem, między dziewiątą i dziesiątą.
- Gdzie?
- Na skraju lasu.
- Jakiego lasu?
- Naszego. W bazie.
- Jezu Chryste. Dlaczego?

Włożyłem kartki z powrotem do teczki i wsadziłem ją pod pachę.

- Nie wiem dlaczego - odparłem. - Na razie.
- Jezu Chryste - powtórzył. - Kto to zrobił?
- Nie wiem - odparłem. - Na razie.
- Jezu Chryste - powiedział facet po raz trzeci.
- Najbliższa rodzina? - zapytałem.

Kapitan przez chwilę milczał. Wypuścił z płuc powietrze.

- Ma chyba gdzieś matkę. Dam panu znać.
- Niech pan mi nie daje znać. To pan ją zawiadomi. Nie odezwał się.
- Czy Carbone miał tu jakichś wrogów? - zapytałem.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Jakież tarcia?
- Na przykład?
- Związane z jego stylem życia. Kapitan wbił we mnie wzrok.
- Co pan sugeruje?
- Czy był gejem?
- Co takiego? Oczywiście, że nie. Nie odezwałem się.
- Twierdzi pan, że Carbone był ciotą? - wyszeptał kapitan. Przypomniałem sobie Carbone'a, który siedział, uśmiechając

się szeroko i trzymając w ręku piwo, w odległości sześciu stóp od sceny, sześciu stóp od pełnącej na łokciach i kolanach dziewczyny z wypiętym w górę tyłkiem i ocierającymi się o deski sutkami. Jak na geja spędzał wolny czas w dość dziwny sposób. Ale po chwili przypomniałem sobie jego lekko nieobecny wzrok i wyraz zakłopotania na twarzy, kiedy splawił brunetkę.

- Nie wiem, kim był Carbone.
- Więc niech pan się łaskawie przyznaj - warknął jego kapitan. - Panie majorze.

Pojechałem z teczką Carbone'a z powrotem do kostnicy, zabrałem stamtąd Summer i poszedłem z

nią do kantyny na śniadanie. Usiedliśmy sami w rogu, daleko od innych. Ja zjadłem jajka na bekonie i grzanekę. Summer zjadła owsiankę z owocami i przejrzała teczkę. Ja piłem kawę, Summer herbatę.

- Patolog mówi, że to napad na geja - powiedziała. - Uważa, że to oczywiste.
- Myli się.
- Carbone nie był żonaty.
- Ja też nie. Ty też nie masz męża. Jesteś lesbijką?
- Nie.
- No widzisz.
- Ale mylny trop musi być oparty na czymś prawdziwym, tak? Gdyby sprawcy wiedzieli na przykład, że był hazardzistą, wsadziliby mu do ust żetony albo rozsypali dokoła karty. Wtedy moglibyśmy dojść do wniosku, że chodziło o karciane długi. Rozumiesz, o co mi chodzi? Mylny trop nie ma sensu, jeśli na niczym się nie opiera. Coś, co można odrzucić w pięć minut, nie jest sprytne, ale głupie.
- Jaka masz teorię?
- Był gejem, ktoś o tym wiedział, ale nie dlatego go zabito. Pokiwałem głową.
- Nie dlatego - mruknąłem. - Powiedzmy, że był gejem. Służył od szesnastu lat. Przetrwiał końcówkę lat siedemdziesiątych i lata osiemdziesiąte. Więc dlaczego to zdarzyło się teraz? Czasy się zmieniają, zmieniają na lepsze, on nauczył się lepiej to ukrywać, chodził z kumplami do klubów ze striptizem. Nie ma powodu, żeby nagle zdarzyło się to właśnie teraz. Powinno się zdarzyć wcześniej. Przed czterema, ośmioma, dwunastoma, szesnastoma laty. Za każdym razem, kiedy przechodził do nowej jednostki i ludzie poznawali go bliżej.
- Więc jaki jest powód?
- Nie mam pojęcia.
- Co więcej, to może nas postawić w kłopotliwej sytuacji. Podobnie jak śmierć Kramera w motelu. Pokiwałem ponownie głową.
- Fort Bird okazuje się bardzo kłopotliwym miejscem.
- Uważasz, że dlatego się tu znalazłeś? Z powodu Carbone'a?
- Możliwe. Zależy, o co chodzi w tej sprawie.

Poprosiłem Summer, żeby sporządziła i przesłała odpowiednie powiadomienia i raporty, i wróciłem do swojego gabinetu. Plotka rozchodziła się szybko. W sekretariacie zastałem trzech sierżantów Deltę, którzy czekali na mnie, żeby się czegoś dowiedzieć. Wyglądali jak typowi faceci z sił specjalnych. Drobni, szczupli, żyłaści, trochę niechlujni, twardzi jak gwoździe. Dwaj z nich byli starsi od trzeciego. Młody miał brodę. Był opalony, jakby właśnie wrócił z ciepłych krajów. Wszyscy chodzili tam i z powrotem po sekretariacie, w którym siedziała moja sierżant - matka małego synka. Domyśliłem się, że wzięła dodatkową zmianę. Patrzyła na nich, jakby w każdej chwili mogli przestać chodzić i ją zaatakować. W porównaniu z nimi wydawała się bardzo cywilizowana, niemal wytworna. Wprowadziłem ich do mojego gabinetu, zamknąłem drzwi i usiadłem za biurkiem. Nie kazałem im usiąść.

- Czy to prawda? O sierżancie Carbonie? - zapytał jeden ze starszych sierżantów.
- Został zabity - odpowiedziałem. - Nie wiem kto, nie wiem dlaczego.
- Kiedy?
- Wczoraj wieczorem, między dziewiątą i dziesiątą.
- Gdzie?
- Tutaj.
- To zamknięta baza. Pokiwałem głową.
- Sprawca nie jest cywilem.
- Słyszeliśmy, że był porządnie pokiereszowany.

- Bardzo.
- Kiedy będzie pan wiedział, kto to był?
- Mam nadzieję, że wkrótce.
- Ma pan jakieś tropy?
- Nic konkretnego.
- Czy kiedy pan się dowie, my też się dowiemy?
- Chcecie tego?
- A jak pan myśli?
- Po co?
- Wie pan po co.

Pokiwałem głową. Gej czy heteryk, Carbone należał do budzącej największy na świecie postrach kompanii. Jego kumple zamierzali go pomścić. Przez sekundę poczułem ukłucie zazdrości. Gdyby to mnie skasowali w lesie zeszłej nocy, wątpię, czy trzej twardziele zjawiliby się o ósmej rano w którymś gabinecie, rwąc się do boju. Przyjrzałem się uważnie całej trójce. Ten konkretny sprawca może znaleźć się po same uszy w gównie, pomyślałem. Wystarczy, że podam im jego nazwisko.

- Muszę zadać wam kilka rutynowych pytań - powiedziałem, po czym zapytałem o to, o co zwykle się pyta. Czy Carbone miał jakichś wrogów? Czy były jakieś różnice zdań? Groźby? Bójki? Trzej faceci zgodnie potrząsali głowami, udzielając negatywnych odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Coś jeszcze? - zapytałem. - Coś, co mogło go narazić na atak?

- Na przykład co? - odparł cicho jeden z dwóch starszych.

- Cokolwiek - odpowiedziałem. Nie chciałem posunąć się dalej.

- Nie - stwierdzili wszyscy trzej.

- Macie jakieś teorie? - zapytałem.

- Niech pan się przyjrzy rangersom. Znajdzie kogoś, kto nie ukończył szkolenia Deltę i uważa, że musi coś udowodnić - powiedział młody, po czym wyszli, a ja zostałem, analizując ich ostatni komentarz.

Któryś z rangersów uważający, że musi coś udowodnić? Wątpiłem w to. Mało prawdopodobne. Sierzanci Deltę nie wychodzą do lasu z ludźmi, których nie znają, i nie obrywają od nich łomem w tył głowy. Odbywają długie i trudne szkolenie, żeby coś takiego nie mogło im się przytrafić, żeby było po prostu wykluczone. Gdyby któryś z rangersów zadarł z Carbone'em, to rangersa znaleźlibyśmy pod drzewem. Gdyby dwóch rangersów poszło z nim do lasu, znaleźlibyśmy dwóch martwych rangersów. Albo odkrylibyśmy na ciele Carbone'a rany, które świadczyłyby o tym, że stawiał opór. Nie sprzedałby tanio swojej skóry.

A zatem poszedł tam z kimś, kogo znał i komu ufał. Wyobraziłem sobie, że był rozluźniony, pewnie gawędził, być może uśmiechał się, tak jak to robił w klubie. Może prowadził dokądś swojego zabójcę, odwrócony do niego plecami, nic nie podejrzewając. A potem wyobraziłem sobie łyżkę do opon albo łom wyjmowany spod płaszcza, zataczający łuk, uderzający go z głuchym łoskotem. I jeszcze raz. I jeszcze. Trzeba było trzech mocnych uderzeń, żeby go załatwić. Trzech uderzeń zadanych z zaskoczenia. A faceta pokroju Carbone'a niełatwo było zaskoczyć.

Zadzwoił telefon. Podniosłem słuchawkę. To był pułkownik Willard, dupek urzędujący w biurze Garbera w Rock Creek.

- Gdzie pan teraz jest? - zapytał.

- W swoim gabinecie - odparłem. - Jak inaczej mógłbym odebrać telefon?

- Niech pan tam zostanie - powiedział. - Nigdzie nie chodzi, nic nie robi, do nikogo nie dzwoni. To rozkaz. Niech pan tam po prostu siedzi i czeka.

- Na co?

- Jadę na południe - powiedział i rozłączył się. Odłożyłem słuchawkę na widelki.

Zostałem w gabinecie. Nigdzie nie poszedłem, nic nie zrobiłem, do nikogo nie zadzwoniłem. Moja sierżant przyniosła mi filiżankę kawy. Wypiłem ją. Willard nie kazał mi umrzeć z pragnienia.

Po godzinie usłyszałem jakiś głos w sekretariacie i chwilę później wszedł do mnie młody sierżant

Delty, sam. Ten z brodą i opalenizną. Kazałem mu usiąść i przeanalizowałem otrzymany rozkaz. Nigdzie nie chodzić, nic nie robić, do nikogo nie dzwonić. Rozmowę z tym facetem można było chyba uznać za robienie czegoś, a zatem czyn zabroniony. Z drugiej strony, formalnie rzecz biorąc, oddychanie też było robieniem czegoś. Podobnie jak przemiana materii. Rosły mi włosy, rosła broda, rosło dwadzieścia paznokci. Traciłem na wadze. Niemożliwością było nierobienie niczego. Uznałem zatem, że ta część rozkazu była figurą retoryczną.

- Czym mogę służyć, sierżancie? - zapytałem.
- Wydaje mi się, że Carbone był gejem - oświadczył.
- Wydaje się panu?
- No dobrze, był gejem.
- Kto jeszcze o tym wiedział?
- Wszyscy wiedzieliśmy.
- I co?
- I nic. Uznałem po prostu, że powinien pan wiedzieć.
- Pana zdaniem to ma jakieś znaczenie? Sierżant potrząsnął głową.
- Nam to nie przeszkadzało. I ktokolwiek go zabił, to nie był ktoś z nas. To nie był nikt z jednostki. Niemożliwe. Nie robimy takich rzeczy. Poza jednostką nikt nie wiedział. Więc to nie mógł być powód.
- W takim razie po co mi pan o tym mówi?
- Bo pewnie i tak by pan to odkrył. Powinien pan być na to przygotowany. Nie chciałem, żeby to była niespodzianka.
- Dlaczego?
- W tej sytuacji może pan to zachowa w tajemnicy. Ponieważ to nie ma znaczenia.

Nie odezwałem się.

- To splami jego pamięć - stwierdził sierżant. - I źle się stanie. Był fajnym facetem i dobrym żołnierzem. Bycie gejem nie powinno być przestępstwem.
- Zgadza się - odparłem.
- Armia musi się zmienić.
- Armia nie znosi zmian.
- Mówią, że to psuje zwartość oddziału - powiedział. - Powinni tu przyjechać i zobaczyć, jak funkcjonował nasz szwadron. Z Carbone'em w samym środku.
- Nie zdołałem zachować tego w tajemnicy - oświadczyłem. - Może zrobiłbym to, gdybym mógł. Ale biorąc pod uwagę, jak wyglądało miejsce zbrodni, wszyscy rozumieją, co jest grane.
- Sugeruje pan, że to było zabójstwo na tle seksualnym? Nie mówił pan tego wcześniej.
- Chciałem zachować to w tajemnicy - odparłem.
- Poza jednostką nikt o tym nie wiedział.
- Ktoś musiał. Albo sprawca jest z waszego oddziału.
- To niemożliwe. Absolutnie nie ma mowy.
- Musi być możliwe albo jedno, albo drugie. Czy Carbone widywał się z kimś z zewnątrz?
- Nie, nigdy.
- Więc żył w celibacie przez szesnaście lat? Facet przez chwilę milczał.
- Tak naprawdę to nie wiem - odparł w końcu.
- Ktoś wiedział. Ale ja też nie uważam, żeby to był powód. Moim zdaniem ktoś próbował tylko sprawić wrażenie, że to jest powód. Może uda nam się przynajmniej tyle wyjaśnić.

Sierżant potrząsnął głową.

- To będzie jedyna rzecz, którą o nim zapamiętają.
- Przykro mi.
- Nie jestem gejem - oświadczył.
- Naprawdę nie interesuje mnie, czy pan jest, czy nie.
- Mam żonę i dziecko - poinformował mnie i wyszedł, a ja ponownie zastosowałem się do rozkazu



Willarda.

Spędziłem ten czas na rozmyślaniach. Na miejscu przestępstwa nie znaleziono żadnej broni. Żadnych ważnych dowodów rzeczowych. Strzępów ubrania pozostawionych na krzaku, śladów stóp na ziemi, kawałka skóry napastnika pod paznokciami Carbone'a. Wszystko to można było łatwo wyjaśnić. Broń została zabrana przez napastnika ubranego najprawdopodobniej w mundur polowy, którego właściwości służba kwatermistrzowska definiuje bardzo wyraźnie po to, by nie spruł się i nie zostawiał nitek. Fabryki tekstylne w całym kraju muszą spełnić surowe wymagania dotyczące podatności na rozdarcie i strzępienie wojskowego diagonalu i popeliny. Ponieważ ziemia była zamrożona, nie zostały na niej żadne ślady. W Karolinie Północnej mrozy trwają mniej więcej przez miesiąc i byliśmy właśnie w połowie tego okresu. I Carbone'a zaatakowano z zaskoczenia. Nie miał czasu odwrócić się i rzucić na swojego zabójcę.

Nie było więc dowodów materialnych. Ale sytuacja miała również swoje plusy. Mieliśmy zamkniętą pulę możliwych podejrzanych. Przestępstwo wydarzyło się na terenie bazy, a armia jest dość dobra w stałym rejestrowaniu, kto jest w środku, a kto na zewnątrz. Mogliśmy poprosić o długi na kilka jardów wydruk i sprawdzić każde nazwisko na zwykłej zasadzie: mógł albo nie mógł tego zrobić. A potem zestawić wszystkich, którzy mogli, i zabrać się do pracy, mając za narzędzie świętą trójcę każdego detektywa: okazję, fizyczną zdolność i motyw. Dwa pierwsze elementy nie liczyły się tak bardzo: wszyscy, którzy mogli to zrobić, mieli z samej definicji okazję. I wszyscy wojskowi są

fizycznie zdolni do uderzenia z tyłu łyżką do opon niepodejrzewającej niczego ofiary. To prawdopodobnie ekwiwalent najbardziej podstawowego warunku przyjęcia do armii.

Rzecz sprowadzała się zatem do motywu, czyli do tego, od czego zaczęliśmy. Jaki był powód?

Przesiedziałem w gabinecie kolejną godzinę. Nigdzie nie poszedłem, nic nie robiłem, do nikogo nie zadzwoniłem. Moja sierżant przyniosła mi kolejną kawę. Napomknąłem, że mogłaby w moim imieniu zadzwonić do porucznik Summer i zasugerować, by do mnie wpadła.

Summer zjawiała się po pięciu minutach. Miałem jej masę rzeczy do zlecenia, lecz ona sama wszystko przewidziała. Zamówiła listę całego personelu bazy oraz rejestr wyjść i wejść, żebyśmy mogli dodać i odjąć nazwiska. Kazała zapieczętować do przeszukania kwaterę Carbone'a. Umówiła nas na rozmowę z jego dowódcą, abyśmy mogli sobie wyrobić lepszą opinią na temat jego życia zawodowego i osobistego.

- Doskonale - pochwaliłem ją.

- O co chodzi z tym Willardem? - zapytała.

- To prawdopodobnie próba pokazania, kto tu jest ważniejszy. Ponieważ sprawa jest poważna, chce przyjechać i sam poprowadzić śledztwo. Żeby mi przypomnieć, że podpadłem.

Okazało się jednak, że nie miałem racji.

I

Willard pojawił się w końcu po dokładnie czterech godzinach. Usłyszałem jego głos w sekretariacie. Moja sierżant nie zaproponowała mu kawy. Dostatecznie dobrze znała się na ludziach, żeby tego nie robić. Drzwi do mojego gabinetu otworzyły się i Willard wszedł do środka. Nie spojrzął na mnie. Po prostu zamknął za sobą drzwi, odwrócił się i usiadł na krześle dla gościa. Usiadł i natychmiast zaczął się wiercić. Równocześnie skubał się za nogawki na kolanach, jakby paliły mu skórę.

- Wczorajszy dzień - zaczął. - Chcę mieć pełną relację o tym, co pan robił. Chcę to usłyszeć z pańskich ust.

- Przyjechał pan tutaj, żeby zadawać mi pytania?

- Tak - odparł. Wzruszyłem ramionami.

- Do drugiej byłem na pokładzie samolotu - odparłem. - Do piątej byłem z panem.

- A potem?

- Wróciłem tutaj o jedenastej.

- Trwało to sześć godzin? Ja przyjechałem tutaj w cztery.

- Przyjechał pan zapewne samochodem. Ja jechałem dwoma autobusami i okazją.
- A potem?
- Rozmawiałem z moim bratem przez telefon.
- Pamiętam pańskiego brata - rzucił Willard. - Pracowałem z nim.

Pokiwałem głową.

- Wspominał o tym.
- A potem?
- Rozmawiałem z porucznik Summer - odparłem. - Prywatnie.
- A potem?
- Około północy zostało odnalezione ciało Carbone'a. Pokiwał głową, zaszurał nogami, poskubał nogawki i zrobił nieszczęśliwą minę.

- Zachował pan bilety autobusowe? - zapytał.

- Wątpię.

Willard się uśmiechnął.

- Pamięta pan, kto pana podwiózł do bazy?
- Wątpię. Dlaczego miałbym?
- Bo może będę chciał to wiedzieć. Żeby udowodnić, że nie popełniłem błędu.

Nie odezwałem się.

- Pan za to popełnia błędy - powiedział.

- Naprawdę?

Willard pokiwał głową.

- Nie potrafię stwierdzić, czy jest pan idiotą, czy robi to pan celowo - oświadczył.
- Co robię?
- Chce pan postawić w kłopotliwej sytuacji wojska lądowe?
- Co takiego?
- Jaką mamy, ogólnie rzecz biorąc, sytuację? - zapytał.
- Niech pan mi powie, pułkowniku.
- Kończy się zimna wojna. Nadchodzą wielkie zmiany. Nie ma mowy o utrzymaniu status quo. Z tego względu każdy rodzaj sił zbrojnych chce się pokazać z jak najlepszej strony. I wie pan co?
- Co?

- Wojska lądowe są zawsze na ostatnim miejscu. Siły powietrzne mają swoje wspaniałe samoloty. Marynarka ma okręty podwodne i lotniskowce. Piechota morska jest nie do ruszenia. A my siedzimy po uszy w gównie, dosłownie. Zawsze na ostatnim miejscu. Wojska lądowe są nudne, Reacher. Tak uważają w Waszyngtonie.

- I co z tego?

- Ten cały Carbone był cwelem. Był cholernym pedrylem, na litość boską. Elitarna jednostka ma w swoim składzie zboczeńców? Myśli pan, że ludzie powinni o tym wiedzieć? W takim momencie? Powinien pan to uznać za incydent podczas szkolenia.

- To byłaby nieprawda.

- A kogo to obchodzi?

- Nie został zabity z powodu swojej orientacji.

- Oczywiście, że z tego powodu.

- Zajmuję się tymi sprawami zawodowo. I twierdzę, że nie został zabity z tego powodu.

Willard spiorunował mnie wzrokiem. Przez chwilę milczał.

- Dobrze - mruknął. - Jeszcze do tego wrócimy. Kto oprócz pana widział ciało?

- Moi ludzie - odparłem. - Plus pułkownik ze szkoły psychologii pola walki, której opinię chciałem poznać. Plus patolog.

Willard pokiwał głową.

- Pan zajmie się swoimi ludźmi. Ja powiem psycholożce i patologowi.

- Co pan powie?
- Że uznamy to za incydent podczas szkolenia. Zrozumieją to. Nikomu nic się nie stało, nikt nie jest winien. Nie będzie śledztwa.
- Chyba pan żartuje.
- Uważa pan, że wojska lądowe chcą, żeby to się wydało? Teraz? Że w Delcie przez cztery lata służył nielegalny żołnierz? Odbiło panu?
- Sierżanci chcą, żeby odbyło się śledztwo.
- Jestem pewien, że ich dowódca wcale tego nie chce. Niech pan mi wierzy. To pewne jak amen w pacierzu.
- Będzie pan mi musiał dać bezpośredni rozkaz - oświadczyłem. - Niepozostawiający żadnych wątpliwości.
- Niech pan mi patrzy na usta. Nie będzie pan prowadził śledztwa w sprawie cioty. Napisze pan raport, w którym stwierdzi pan, że zginął w wypadku podczas szkolenia. Nocne manewry, bieg przełajowy, ćwiczenia, cokolwiek. Potknął się, upadł i uderzył w głowę. Sprawa zamknięta. To rozkaz.
- Będę tego potrzebował na piśmie - powiedziałem.
- Niech pan dorośnie.

Siedzieliśmy przez chwilę, piorunując się wzrokiem. Ja siedziałem spokojnie, Willard wiercił się i skubał nogawki. Zaciśnąłem pięść tak, żeby tego nie widział. Wyobraziłem sobie, że uderzam go w środek piersi. Byłem przekonany, że potrafię zatrzymać jednym ciosem jego wredne serce. Mógłbym to uznać za wypadek podczas szkolenia. Mógłbym powiedzieć, że ćwiczył wstawanie i siadanie na krześle i nagle poślizgnął się i uderzył mostkiem w róg biurka.

- O której godzinie zmarł? - zapytał.
- Między dziewiątą i dziesiątą wieczorem - odparłem.
- A pana nie było w bazie przed jedenastą?
- Już pan o to pytał i otrzymał odpowiedź.
- Może pan to udowodnić?

Pomyślałem o wartownikach przy bramie. Zapisali mnie przy wejściu.

- A muszę? - zapytałem.

Willard znów umilkł. Przechylił się w lewo na krześle.

- Następna sprawa - powiedział. - Twierdzi pan, że pedzio nie został zabity dlatego, że był pedziem. Jakie ma pan dowody?
- Na miejscu zbrodni pozostawiono zbyt wiele wskazujących na to tropów.
- Żeby ukryć prawdziwy motyw? Pokiwałem głową.
- Tak uważam.
- Jaki był prawdziwy motyw?
- Nie wiem. Żeby go odkryć, trzeba przeprowadzić śledztwo.
- Pospekulujmy - powiedział Willard. - Załóżmy, że hipotetyczny sprawca osiąga coś, dokonując zabójstwa. Niech pan mi powie co.
- To co zwykle - odparłem. - Zapobiega jakimś działaniom sierżanta Carbone'a. Tuszuje przestępstwo, w którym sierżant Carbone brał udział albo o którym wiedział.
- Innymi słowy, zamyka mu usta.
- Zamyka jakąś sprawę. Tak to widzę.
- I tym zajmuje się pan zawodowo.
- Owszem. Taki jest mój zawód.
- Jak zlokalizowałby pan sprawcę?
- Prowadząc śledztwo. Willard pokiwał głową.
- Co by pan zrobił, gdyby pan go odnalazł, zakładając, że potrafiłby pan to zrobić?
- Zamknąłbym go w areszcie - odparłem. Żeby go chronić,

pomyślałem. Przypomniałem sobie kumpli Carbone'a, chodzących niespokojnie tam i z powrotem,

gotowych do akcji.

- I pana zdaniem podejrzani byliby wszyscy, którzy w tym momencie przebywali w bazie? Pokiwałem głową. W chwili, gdy to mówiłem, porucznik Summer przerzucała prawdopodobnie ryzy papieru.

- Zweryfikowani na podstawie listy personelu i rejestru wyjść i wejść z głównej bramy.

- Fakty - powiedział Willard. - Można by pomyśleć, że fakty będą bardzo ważne dla kogoś, kto zajmuje się tymi sprawami zawodowo. Ta baza zajmuje powierzchnię prawie stu tysięcy akrów. Po raz ostatni była grodzona siatką w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim. Dowiedziałem się tego dosyć łatwo i panu też nie sprawiłoby to wielkiej trudności. Nie przyszło panu do głowy, że nie wszyscy przebywający w tej bazie musieli przejść przez główną bramę? Nie przyszło panu do głowy, że ktoś zarejestrowany jako nieobecny mógł przeskoczyć przez ogrodzenie?

- Mało prawdopodobne - odparłem. - Musiałby przejść ponad dwie mile w kompletnej ciemności, a teren jest stale patrolowany.

- Patrole mogłyby nie zauważyć wyszkolonego mężczyzny.

- Mało prawdopodobne - powtórzyłem. - I w jaki sposób spotkałby się z sierżantem Carbone'em?

- W umówionym wcześniej miejscu.

- To nie było żadne umówione miejsce. Po prostu pobocze drogi.

- Mogli to ustalić na mapie.

- Mało prawdopodobne - powiedziałem po raz trzeci.

- Ale możliwe?

- Wszystko jest możliwe.

- Więc jakiś mężczyzna mógł się spotkać z pedziem, zabić go, przeskoczyć ponownie przez ogrodzenie i wejść do bazy przez główną bramę, gdzie został odnotowany?

- Wszystko jest możliwe - powtórzyłem.

- Ile musiałoby upłynąć czasu? Między zabójstwem i zarejestrowaniem na wartowni?

- Nie wiem. Musiałbym obliczyć dystans, jaki przeszedł.

- Może biegł?

- Może biegł.

- W takim razie gdyby przechodził przez bramę, byłby zdyszany.

Nie odezwałem się.

- Niech pan strzela - powiedział Willard. - Ile czasu?

- Godzinę albo dwie. Pokiwałem głową.

- Więc jeśli pedzio został skasowany o dziewiątej albo dziesiątej, zabójca zostałby zarejestrowany o jedenastej?

- Możliwe.

- Motywem byłoby ukrećenie łba jakiejś sprawie. Pokiwałem głową. Nic nie powiedziałem.

- Podróż, która zwykle trwa cztery godziny, zajęła panu sześć. Daje to panu dwie godziny zapasu, co tłumaczy pan mętnie tym, że podróżował pan powoli.

Nie odezwałem się.

- Tymczasem sam pan przed chwilą przyznał, że dwie godziny starczą aż nadto, żeby dokonać tego czynu. W szczególności dwie godziny między dziewiątą i jedenastą, które, tak się składa, są tymi samymi dwiema godzinami, z których nie potrafi pan zdać relacji.

Nie odezwałem się. Willard się uśmiechnął.

- Gdy przekraczał pan bramę, był pan zdyszany - oznajmił. - Sprawdziłem to.

Nie odpowiedziałem.

- Ale jaki mógł pan mieć motyw? - kontynuował Willard. - Zakładam, że nie znał pan zbyt dobrze Carbone'a. Zakładam, że nie obraca się pan w tym samych kręgach co on. Przynajmniej taką mam nadzieję.

- Traci pan czas - powiedziałem. - I popełnia pan duży błąd. Ponieważ tak naprawdę nie chce pan mieć we mnie wroga.

- Nie chcę?
- Nie - odparłem. - Tak naprawdę pan nie chce.
- Jakiej sprawie chciał pan ukrećić łeb? - zapytał. Nie odpowiedziałem.
- Interesujące jest to, że starszy sierżant sztabowy Christo-pher Carbone był żołnierzem, który złożył na pana skargę.

Udowodnił mi to, wyjmując kopię skargi z kieszeni. Rozłożył ją, wygładził i przesunął w moją stronę po biurku. Na górze była sygnatura sprawy, data, miejsce i godzina złożenia skargi. Drugiego stycznia, o godzinie 8.45, w biurze komendanta bazy Fort Bird. Niżej było składające się z dwóch akapitów zaprzysiężone oświadczenie. Przeczytałem spisane sztywnym, oficjalnym stylem zdania. Osobiście widziałem, jak będący na służbie major żandarmerii Reaehar kopie pierwszego cywila w prawe kolano. Bezpośrednio potem major Reaehar uderzył drugiego cywila głową w twarz. Z tego, co wiem, obie napaści były niesprowokowane. Nie widziałem żadnych prób samoobrony. Niżej był podpis, a także napisane na maszynie nazwisko Carbone'a i jego numer identyfikacyjny - ten sam numer, który zapamiętałem z jego akt. Spojrzałem na wiszący na ścianie cichy, powolny zegar i przypomniałem sobie, jak Carbone wyszedł z baru na parking, przyglądał mi się przez sekundę, a potem dołączył do grupki mężczyzn opierających się o samochody i popijających piwo z butelek.

- Delta Force dba o swoich ludzi - powiedział Willard. - Wszyscy o tym wiemy. Podejrzewam, że to składa się na otaczającą ich legendę. I co teraz zrobią? Jeden z ich kolegów został pobity na śmierć po złożeniu skargi na przemądrzałego majora żandarmerii. Przemądrzałemu majorowi zależy na ratowaniu własnego tyłka i nie potrafi wytłumaczyć, co robił w krytyczny wieczór. Nie odezwałem się.

- Dowództwo Delty dostanie własną kopię - kontynuował Willard. - To standardowa procedura, gdy wpływa skarga o charakterze dyscyplinarnym. W całej bazie będzie dużo kopii. Więc wieści szybko się rozejdą. I ludzie zaczną zadawać pytania. Co mam im odpowiedzieć? Mogę oświadczyć, że pozostaje pan poza wszelkim podejrzeniem. Ale mogę też zasugerować, że jest pan podejrzany, ale z powodu pewnych technicznych trudności nie mogę się panu dobrać do skóry. Widzę już, jak zareagują na tego rodzaju krzyżującą niesprawiedliwość. Nie odezwałem się.

- To jedyna skarga, jaką kiedykolwiek złożył Carbone - powiedział Willard. - W ciągu szesnastu lat służby. To też sprawdziłem. I to całkiem logiczne. Tego rodzaju facet nie lubi się wychylać. Ale chłopakom w Delcie da to do myślenia. Skoro Carbone po raz pierwszy w życiu zdecydował się na coś takiego, dojdą do wniosku, że znaliście się już wcześniej. Pomyślą, że były między wami jakieś nieporozumienia. Raczej nie poczują do pana z tego powodu większej sympatii.

Ciągle milczałem.

- Więc co powinienem zrobić? - zapytał Willard. - Czy mam tam pójść i zasugerować, że jest pan niestety nietykalny? Czy może dojdziemy do porozumienia? Ja nie napuszczę na pana chłopaków z Delty, a pan będzie się trzymał moich zaleceń?

Nie odezwałem się.

- Tak naprawdę nie sędzę, żeby pan go zabił - dodał Willard. - Nawet pan nie posunąłby się tak daleko. Ale nie przeszkadzałoby mi, gdyby pan to zrobił. Pedryle w armii zasługują na to, żeby ich zabić. Dostali się tutaj, udając kogoś innego. Problemem byłoby wyłącznie to, że zrobił pan to z niewłaściwego powodu.

- To czczy groźba - stwierdziłem. - Nie powiedział mi pan, że to on złożył skargę. Nie pokazał mi pan jej wczoraj. Nigdy nie wymienił pan jego nazwiska.

- W kantynie Delty nie uwierzą w to nawet przez sekundę. Jest pan śledczym z jednostki specjalnej. Zajmuje się pan takimi sprawami zawodowo. Co za problem wyciągnąć nazwisko z tej masy papierów, do której ich zdaniem mamy dostęp.

Milczałem.

- Niech pan się obudzi, majorze - powiedział Willard. - Działa zgodnie z wytycznymi. Garbera nie

ma. Będziemy teraz załatwiać sprawy po mojemu.

- Popelnia pan błąd - odparłem. - Robiąc sobie ze mnie wroga.

Willard potrząsnął głową.

- Nie zgadzam się. Nie popełniam błędu. I nie robię sobie z pana wroga. Sprowadzam po prostu tę jednostkę do pionu. Kiedyś jeszcze mi podziękujecie. Wszyscy. Świat się zmienia. Ja widzę sytuację z szerszej perspektywy.

Nadal milczałem.

- Pomóżcie armii, pomożecie sobie. Nie odezwałem się.

- Umowa stoi? - zapytał.

Nie odpowiedziałem. Willard mrugnął do mnie.

- Myślę, że stoi - powiedział. - Nie jest pan aż taki głupi. Wstał, wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi. A ja

zostałem tam i patrzyłem, jak sztywny winyl na siedzeniu krzesła powoli powraca do pierwotnego kształtu. Towarzyszył temu cichy syk zasysanego z powrotem powietrza.

10

Świat się zmienia. Zawsze byłem samotnikiem, lecz w tym momencie samotność zaczęła mi doskwierać. I zawsze byłem cynikiem, lecz w tym momencie poczułem się beznadziejnie naiwny. Obie moje rodziny odsuwały się ode mnie, jedna z powodu bezlitosnych praw chronologii, a druga, ponieważ jej solidne stare cnoty jakby wyparowały. Czułem się jak człowiek, który budzi się sam na opustoszałej wyspie i odkrywa, że reszta świata odpłynęła w nocy łodziami. Miałem wrażenie, że stoję na brzegu, obserwując znikające na horyzoncie kształty. Miałem wrażenie, jakbym mówił po angielsku i zdał sobie nagle sprawę, że wszyscy poza mną mówią zupełnie innym językiem. Świat się zmieniał. Nie chciałem tego.

Summer pojawiła się trzy minuty później. Zgadywałem, że chowała się gdzieś za rogiem, czekając na wyjście Willarda. Miała harmonię wydruków pod pachą i elektryzujące wiadomości na końcu języka.

- Vassell i Coomer przyjechali tu ponownie wczoraj wieczorem - oznajmiła. - Odnotowano ich na bramie.

- Usiądź - powiedziałem.

Umilkła zaskoczona i usiadła na tym samym krześle, na którym siedział wcześniej Willard.

- Jestem toksyczny - oświadczyłem. - Powinnaś stąd natychmiast wyjść.

- O co ci chodzi? - zapytała.

- Mieliśmy rację - powiedziałem. - Fort Bird to bardzo kłopotliwe miejsce. Najpierw Kramer, teraz Carbone. Willard zamyka obie sprawy, żeby nie przysparzać armii kłopotów.

- Nie może zamknąć sprawy Carbone'a.

- Wypadek podczas szkolenia - odparłem. - Potknął się, wywrócił i uderzył w głowę.

- Że co?

- Willard traktuje to jako rodzaj testu. Chce sprawdzić, czy działam zgodnie z wytycznymi.

- A ty działasz zgodnie z wytycznymi? Nie odpowiedziałem.

- Te rozkazy są nielegalne - stwierdziła Summer. - Trzeba je za takie uznać.

- Jesteś gotowa je zakwestionować? - zapytałem, ale nie odpowiedziała.

Jedynym praktycznym sposobem zakwestionowania nielegalnego rozkazu jest niewykonanie go i trafienie pod sąd wojenny, co oznacza pojedynek z facetem stojącym o wiele wyżej w hierarchii przed obliczem sędziego, który wie, że zdaniem armii rozkazy nigdy nie powinny być podważane.

- A zatem nic się w ogóle nie wydarzyło - powiedziałem. - Odnieś tutaj wszystkie papiery i zapomnij, że kiedykolwiek słyszałaś o mnie, o Kramerze i o sierżancie Carbonie.

Summer milczała.

- I porozmawiaj z ludźmi, którzy tam byli wczoraj w nocy. Powiedz im, żeby zapomnieli o tym, co

widzieli.

Summer wbiła wzrok w podłogę.

- A potem wróć do kantyny i zaczekaj na następny przydział. Popatrzyła na mnie.

- Mówisz serio? - zapytała.

- Absolutnie. To rozkaz.

Przez chwilę się we mnie wpatrywała.

- Nie jesteś człowiekiem, za jakiego cię miałam - oświadczyła.

Pokiwałem głową.

- Zgadza się - powiedziałem. - Nie jestem.

Summer wyszła, a ja odczekałem chwilę i wziąłem harmonię wydruków, które zostawiła. Było tego sporo. Znalazłem kartkę, która mnie interesowała, i wbiłem w nią wzrok.

Nie lubię zbiegów okoliczności.

Vassell i Coomer wjechali do Fort Bird główną bramą o osiemnastej czterdzieści pięć tego samego wieczoru, kiedy zginął Carbone. Wyjechali o dwudziestej drugiej. Spędzili tutaj trzy godziny i piętnaście minut dokładnie w porze, gdy zginął Carbone.

Która była jednocześnie porą kolacji.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do klubu oficerskiego. Sierżant w kantynie obiecał, że kierownik do mnie oddzwoni. Następnie zadzwoniłem do mojej sierżant i poprosiłem, żeby dowiedziała się, kto jest moim odpowiednikiem w Fort Irwin, i połączyła mnie z nim. Cztery minuty później weszła, niosąc mi kubek kawy.

- Jest w tej chwili zajęty - powiedziała. - Będzie dostępny za pół godziny. Nazywa się Franz.

- To niemożliwe - odparłem. - Franz jest w Panamie. Osobiście z nim tam rozmawiałem.

- Major Calvin Franz - oświadczyła. - Tak mi powiedzieli.

- Niech pani do nich oddzwoni. Sprawdzi jeszcze raz.

Sierżant zostawiła kawę na moim biurku i wróciła do sekretariatu. Po czterech minutach pojawiła się ponownie i oznajmiła, że jej informacje były prawdziwe.

- Major Calvin Franz - powtórzyła. - Stacjonuje tam od dwudziestego dziewiątego grudnia.

Spojrzałem na kalendarz. Był piąty stycznia.

- Pan też jest tutaj od dwudziestego dziewiątego grudnia - zauważyła.

Zmierzyłem ją wzrokiem.

- Niech pani obdzwoni inne bazy - poleciłem. - Tylko duże. Proszę zacząć od Fort Benning, a potem według alfabetu. Niech mi pani dostarczy nazwiska komendantów żandarmerii i poda, od jak dawna pełnią tę funkcję.

Skinęła głową i wycofała się do sekretariatu. Tymczasem zadzwonił kierownik kantyny. Zapytałem go o Vassella i Coomera. Potwierdził, że zjedli kolację w klubie. Vassell zamówił halibuta, Coomer wolał stek.

- Jedli sami? - zapytałem.

- Nie, majorze, towarzyszyła im grupa wyższych oficerów - odparł facet.

- Byli umówieni?

- Nie, majorze, odnieśliśmy wrażenie, że spotkali się przypadkiem. Najprawdopodobniej w barze, przy aperitifach. Z całą pewnością nie mieliśmy wcześniejszej rezerwacji.

- Jak długo tam byli?

- Usiedli przy stoliku przed wpół do ósmej i wyszli tuż przed dziesiątą.

- Nikt nie odszedł na jakiś czas od stolika?

- Nie, panie majorze, mieliśmy ich na oku.

- Przez cały czas?

- Zwracaliśmy na nich pilną uwagę, majorze. Rzecz w tym, że był wśród nich generał.

Rozłączyłem się i zadzwoniłem na wartownię. Zapytałem, kto odprawiał Vassella i Coomera przy wjeździe i wyjeździe. Podali mi nazwisko sierżanta. Powiedziałem, żeby go znaleźli i kazali do mnie oddzwonić.

Przez jakiś czas czekałem.

Facet z wartowni zadzwonił do mnie pierwszy. Potwierdził, że był na służbie przez cały wczorajszy wieczór i osobiście widział, jak Vassell i Coomer przybyli o szóstej czterdzieści pięć i opuścili bazę o dziesiątej.

- Samochodem? - zapytałem.
- Dużym, czarnym sedanem, majorze. Służbowym samochodem z Pentagonu.
- Czy to był grand marquis?
- Chyba tak, majorze.
- Był z nimi kierowca?
- Prowadził pułkownik - odparł facet. - To znaczy pułkownik Coomer. Generał Vassell siedział z przodu obok niego.
- W samochodzie byli tylko oni dwaj?
- Tak jest, majorze.
- Na pewno?
- Z całą pewnością, majorze. Nie ma co do tego wątpliwości. W nocy używamy latarek. Czarny sedan, numery Departamentu Obrony, dwaj oficerowie z przodu, okazali odpowiednie legitymacje, tylne siedzenie puste.
- W porządku, dziękuję - powiedziałem i rozłączyłem się. Telefon prawie natychmiast zadzwonił ponownie. Telefonował Calvin Franz z Kalifornii.
- Reacher? - zdziwił się. - Co ty tam, do diabła, robisz?
- Mógłbym ci zadać to samo pytanie.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

- Nie mam zielonego pojęcia, co tu robię - odparł w końcu. - W Irwin nic się nie dzieje. Mówią mi, że tak tu na ogół jest. Ale pogoda w porządku.
- Sprawdziłeś, kto wydał rozkaz przeniesienia?
- Jasne - odparł. - Ty nie? Miałem największy ubaw od czasów Grenady i nagle przenoszą mnie, żebym gapił się na piaski Mojave? Wydawało mi się, że to była osobista inicjatywa Garbera. Myślałem, że go czymś wkurzyłem. Teraz nie jestem już tego taki pewien. Mało prawdopodobne, żebyśmy wkurzyli go obaj.
- Jak brzmiały dokładnie twoje rozkazy?
- Czasowe objęcie funkcji komendanta żandarmerii.
- Czy stary komendant jest w Irwin?
- Nie. Został czasowo przeniesiony tego samego dnia, kiedy tu przyjechałem.
- Więc jesteś pełniącym obowiązki?
- Na to wygląda.
- Ja też.
- Co się dzieje?
- Nie mam pojęcia - odparłem. - Powiem ci, jeśli kiedykolwiek się dowiem. Ale najpierw muszę cię o coś zapytać. Trafiłem na pułkownika i jednogwiazdkowego generała, którzy wybierali się ponoć do ciebie na konferencję wojsk pancernych pierwszego stycznia. Vassell i Coomer. Czy w ogóle tam dotarli?
- Konferencja została odwołana - odparł Franz. - Dowiedzieliśmy się, że ich dwugwiazdkowy generał odwalił gdzieś kitę. Nazywał się bodaj Kramer. Najwyraźniej uznali, że nie ma sensu tego ciągnąć bez niego. A może nie potrafią w ogóle bez niego główkować. Albo zbyt ich zaabsorbowało, kto ma objąć po nim schedę.
- Więc Vassell i Coomer nie dotarli w ogóle do Kalifornii?
- Nie dotarli do Fort Irwin - odparł Franz. - To wiem na pewno. Nie mogę się wypowiadać na temat całej Kalifornii. To duży stan.
- Kto jeszcze miał wziąć udział w konferencji?
- Szychy z wojsk pancernych. Kilku stacjonuje tutaj. Kilku zjawiało się i odjechało. Kilku w ogóle



się nie pojawiło.

- Obiło ci się o uszy, jaki był program?
- Nie sędzę. Czy to ważne?
- Nie wiem. Vassell i Coomer twierdzą, że żadnego nie było.
- Zawsze jest jakiś program.
- Też mi się tak wydaje.
- Będę na nasłuchu.

- Szczęśliwego Nowego Roku - powiedziałem, po czym rozłączyłem się i przez jakiś czas siedziałem bez ruchu. Intensywnie się zastanawiałem. Calvin Franz był porządnym facetem. Ściśle rzecz biorąc, był jednym z najlepszych w tej branży. Nic nie potrafiło wytrącić go z równowagi. Gdy wyjeżdżałem z Pa

namy, byłem spokojny, mając świadomość, że go tam zostawiam. Ale już go tam nie było. Nie było tam ani mnie, ani jego. Więc kto został, do cholery?

Wypiłem do końca kawę, wyszedłem z kubkiem do sekretariatu i postawiłem go przy ekspresie. Moja sierżant rozmawiała przez telefon. Miała przed sobą zapisaną kartkę. Podniosła palec, jakby miała dla mnie ważne wiadomości, po czym znowu zaczęła notować. Wróciłem do siebie. Pięć minut później weszła do gabinetu, trzymając w ręku kartkę. Trzyście linijek, trzy kolumny. W trzeciej kolumnie były cyfry. Prawdopodobnie daty.

- Dojechałam do Fort Rucker - powiedziała. - I dałam sobie spokój. Ponieważ wylania się oczywista prawidłowość.
- Słucham - odparłem.

Odczytała mi nazwy trzynastu baz, w porządku alfabetycznym. Następnie nazwiska oficerów, którzy dowodzili w nich żandarmerią. Znałem wszystkie trzystaście, łącznie z moim i Franza. Następnie daty, kiedy zostali przeniesieni. Wszystkie były takie same. Dwudziestego dziewiątego grudnia. Osiem dni temu.

- Niech pani poda jeszcze raz te nazwiska - powiedziałem. Przeczytała je ponownie. Pokiwałem głową. Gdyby ktoś chciał

wybrać doborową drużynę spośród wojskowych gliniarzy i gdyby główkował nad tym przez całą noc, wymieniłby właśnie te osoby. Nie miałem co do tego wątpliwości. To była pierwsza liga, najlepsi z najlepszych. Do ich składu można by jeszcze z pewnością dołączyć jakieś dziesięć osób, ale byłem pewien, że dwóch znajdziemy w kolejnych bazach, a ośmiu w innych ważnych placówkach na całym świecie. I nie miałem wątpliwości, że wszyscy pełnili swoje funkcje od ośmiu dni. Nasi strzelcy wyborowi. Nie chciałbym określać, jakie zajmowałem wśród nich miejsce, ale ogólnie rzecz biorąc, jeśli chodzi o pracę w terenie, stanowiliśmy elitę wojskowych gliniarzy.

- Dziwne - mruknąłem.

I było to rzeczywiście dziwne. Przeniesienie jednego dnia tak wielu funkcjonariuszy wymagało szczególnej determinacji i planowania, a zrealizowanie tego w trakcie operacji Słuszna Sprawa wskazywało, że komuś bardzo na tym zależało. W gabinecie zrobiło się nagle bardzo cicho, tak jakby za chwilę miało się stać coś niedobrego.

- Jadę do koszar Delty - oznajmiłem.

Pojechałem tam hunwee, bo nie chciałem iść pieszo. Nie wiedziałem, czy ten dupek Willard wyjechał już z bazy, a nie chciałem znów na niego trafić. Wartownik wpuścił mnie na teren dawnego więzienia i udałem się prosto do biura adiutanta. Nadal siedział za swoim biurkiem. Sprawiał wrażenie nieco bardziej zmęczonego niż wczesnym rankiem, kiedy byłem u niego po raz pierwszy.

- To był wypadek podczas szkolenia - powiedziałem. Facet pokiwał głową.
- Tak słyzałem.
- Jakiego rodzaju szkolenie odbywał? - zapytałem.
- Nocne manewry.
- Sam?

- No to ćwiczenia z ucieczki i uniku.
- W bazie?
- No dobrze, więc uprawiał jogging. Spalał kalorie po świątecznym obżarstwie. Cokolwiek.
- To musi być koszerne. - Moje nazwisko znajdzie się pod tym raportem.

Kapitan pokiwał głową.

- Więc niech pan zapomni o joggingu. Nie sądzę, żeby Carbone dużo biegał. Miał raczej dryg do gimnastyki. Wielu z nich ma.
- Wielu z nich? Spojrzał mi prosto w oczy.
- Wielu żołnierzy Deltę - odparł.
- Czy miał jakąś specjalizację?
- Wszyscy są wszechstronni. Są dobrzy we wszystkim.
- Nie specjalizował się w łączności? Albo medycynie?
- Wszyscy znają się na łączności. I wszyscy przeszli szkolenie medyczne. To przykrywka. Jeśli któryś z nich zostanie złapany w pojedynkę, może zawsze twierdzić, że jest lekarzem kompanii. Może to go uratować przed kulą. I gdyby ktoś chciał ich sprawdzić, mogą wykazać się wiedzą.
- Czy są jakieś szkolenia medyczne, które odbywają się nocą?

Kapitan potrząsnął głową.

- Raczej nie.
- Czy mógł sprawdzać w nocy sprzęt łącznościowy?
- Mógł wyjechać w nocy, żeby przetestować pojazd - powiedział kapitan. - Miał dryg do mechaniki. Pilnował, żeby pojazdy jednostki były w należytym stanie. Można to od biedy uznać za specjalizację.
- W porządku - powiedziałem. - Może wymieniał oponę i samochód zsunął się z podnośnika i zmiążdżył mu głowę?
- Mnie to pasuje - oświadczył kapitan.
- Nierówny teren, miękkie miejsce pod podnośnikiem. Takie rzeczy mogą być niestabilne.
- Mnie to pasuje - powtórzył kapitan.
- Napiszę, że moi ludzie odholowali pojazd z powrotem.
- W porządku.
- Co to był za pojazd?
- Jaki pan chce.
- Wasz dowódca jest gdzieś w pobliżu?
- Wyjechał. Na święta.
- Jak się nazywa?
- Nie zna go pan.
- Pozwoli pan, że sam to ocenię.
- Pułkownik Brubaker.
- David Brubaker? - odparłem. - Znam go.

Co było w jakiejś części prawdą. Znałem go ze słyszenia. Był naprawdę zajadłym ewangelistą sił specjalnych. Jego zdaniem my wszyscy moglibyśmy zwinąć namioty i wrócić do domu, pozostawiając cały świat po ochroną jego elitarnych jednostek. Może pozostawiłby kilka eskadr helikopterów, żeby przerzucały jego ludzi z miejsca na miejsce. I jedno biuro w Pentagonie, żeby załatwiali broń, jakiej chciał.

- Kiedy wraca? - zapytałem.
- Jutro w ciągu dnia.
- Zadzwoił pan do niego? Kapitan potrząsnął głową.
- Nie będzie chciał się w to mieszać. I nie będzie chciał z panem rozmawiać. Ale dopilnuję, żeby wydał przepisy dotyczące bezpieczeństwa, kiedy tylko dowiemy się dokładnie, co to był za wypadek.
- Zmiążdżony przez pojazd. Tak to wyglądało. To powinno mu się spodobać. Przepisy dotyczące

bezpiecznego prowadzenia pojazdów mechanicznych są krótsze od tych dotyczących obchodzenia się z bronią.

- Gdzie?

- W podręczniku pola walki. Kapitan się uśmiechnął.

- Brubaker nie korzysta z podręcznika pola walki - powiedział.

- Chciałbym obejrzeć kwaterę Carbone'a - oznajmiłem.

- Po co?

- Bo muszę ją wyczyścić. Jeżeli mam podpisać, że to był wypadek drogowy, nie mogę zostawić żadnych innych tropów.

Carbone rezydował podobnie jak cała jego jednostka samodzielnie, w jednej z dawnych cel. Mierzące sześć na osiem stóp pomieszczenie z pomalowanymi betonowymi ścianami miało własną umywalkę i toaletę. W środku była standardowa wojskowa prycza, szafka na buty i półka długości łóżka. Ogólnie była to całkiem porządna kwatera jak na sierżanta. Dużo osób zamieniłoby się z nim w okamgnieniu.

Summer kazała zawiesić na drzwiach policyjną taśmę. Ściągnąłem ją, zwinąłem w kulkę, wsadziłem do kieszeni i wszedłem do środka.

Oddział Delta sił specjalnych zasadniczo różni się od reszty armii, jeśli chodzi o podejście do spraw dyscypliny i jednolitości. Między szarżami panują bardzo swobodne stosunki. Nikt w ogóle nie pamięta o salutowaniu. Schłodność nie jest w cenie. Mundur nie obowiązuje. Jeśli ktoś czuje się wygodnie w starym modelu kurtki, nikt nie zabrania mu jej nosić. Jeśli woli buty do biegania New Balance od zwyczajnych wojskowych buciorów, nosi je. Jeśli armia kupuje czterysta tysięcy pistoletów Beretta, ale facet z Deltę lubi bardziej siga, strzela z siga.

Dlatego Carbone nie miał pełnej szafy czystych i wyprasowanych mundurów. Nie zobaczyłem w niej elegancko poukładanych, wypranych podkoszulków. Pod łóżkiem nie stały wyglansowane buty. Jego ubranie zajmowało trzy czwarte długości zawieszanej nad łóżkiem półki. Nie było tego wiele. Większość w oliwkowozielonym wojskowym kolorze, ogólnie jednak nie były to rzeczy, które można aktualnie zafasować u kwatermistrza. Zobaczyłem zieloną bandanę, parę starych zielonych podkoszulków tak spranych, że wydawały się niemal przezroczyste, kilka elementów oryginalnej wojskowej odzieży na zimną pogodę oraz kilka spłowiałych sztuk standardowego munduru polowego. Na żadnej nie było oznaczeń jednostki ani pułku. Obok T-shirtów leżała porządnie zwinięta kamizelka taktyczna ALICE. Nazwa ta jest skrótem i oznacza All-Purpose Lightweight Carrying Equipment, czyli Lekkie Oporządzenie Wielofunkcyjne - tak właśnie nazywają w armii nylonowy pas, do którego można przyczepić różne rzeczy.

Jedną czwartą półki zajmowały książki i mała kolorowa fotografia w mosiężnych ramkach. Przedstawiała starszą kobietę, podobną z wyglądu do Carbone'a. Z pewnością mama. Przypomniałem sobie jego przebitą nożem tatuaż. Orzeł trzymający w szponach zwój z napisem Matka. Przypomniałem sobie własną matkę wyganiającą nas do małej windy, kiedy uściskaliśmy się na pożegnanie.

Przyjrzałem się książkom. W jego kolekcji było pięć tanich wydań i jedna cienka, wysoka książka w twardych okładkach. Nie rozpoznałem żadnego z tytułów ani autorów. Wszystkie miały popękane grzbiety i pożółkłe kartki i opowiadały o prototypowych samolotach albo zaginionych okrętach podwodnych. Samotny tomik w twardych okładkach był pamiątkową publikacją wydaną z okazji trasy koncertowej Rolling Stonesów. Sądząc po kroju czcionki na grzbiecie, miał mniej więcej dziesięć lat.

Podniosłem materac z pryczy i zajrzałem pod spód, ale niczego nie znalazłem. Zajrzałem do rezerwuaru w toalecie i pod umywalkę. Nic. Otworzyłem szafkę. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, była leżąca na górze złożona skórzana kurtka. Pod nią leżały dwie białe koszule z przypinanym kołnierzykiem i dwie pary niebieskich dżinsów. Bawełniana garderoba była znoszona i miękka, kurtka niezbyt droga i niezbyt tania. Razem stanowiły typowy przydziewek żołnierza wychodzącego w sobotni wieczór na miasto. Wysrać się, ogolić, wziąć prysznic, wskoczyć w

cywilne łachy, wsiąść do czyjejs bryki, zaliczyć parę barów i trochę się zabawić.

Pod dzinsami leżał portfel, nieduży, z brązowej skóry pasującej do kurtki. Podobnie jak garderoba przeznaczony był na typowy sobotni wypad. Znalazłem w nim czterdzieści trzy dolary, dość, by starczyło na kilka kolejek i rozpoczęcie zabawy, wojskową legitymację i wydane w Karolinie Północnej prawo jazdy, na wypadek gdyby zabawa skończyła się w jeepie żandarmerii albo cywilnym radiowozie. Oraz nieotwarty kondom, na wypadek gdyby zabawa się rozkręciła.

Za plastikowym okienkiem tkwiła fotografia dziewczyny, może siostry, może kuzynki, może przyjaciółki. Może nikogo ważnego. Z pewnością rodzaj kamuflażu.

Pod portfelem było pudełko po butach do połowy wypełnione amatorskimi zdjęciami w formacie sześć na cztery cale. Wszystkie przedstawiały grupki żołnierzy, na niektórych był sam Carbone. Mężczyźni stali i pozowali spleceni ramionami niczym członkowie zespołu rewiowego. Niektóre zdjęcia zrobiono pod pra

żącym słońcem. Mężczyźni mrużyli oczy i uśmiechali się, nadzy do pasa, w czapkach na głowach. Inne zrobiono w dżungli. Jeszcze inne na zrujnowanych, zaśnieżonych ulicach. Na wszystkich widać było to samo braterstwo broni. Tym ludziom udało się cało wyjść z akcji i cieszyli się z tego. W mającej sześć na osiem stóp celi Carbone'a nie było nic więcej. Nic znaczącego, nic odbiegającego od normy, nic, co wyjaśniałoby, dlaczego zginął. Nic, co pozwoliłoby poznać jego życie, naturę, pasje czy zainteresowania. Żył, trzymając wszystko zapięte na ostatni guzik niczym te koszule zarezerwowane na sobotni wieczór.

Ruszyłem z powrotem do mojego humvee. Mijając róg, stanąłem twarz w twarz z młodym sierżantem z brodą i opalenizną. Stał mi na drodze i nie chciał się przesunąć.

- Zrobił pan ze mnie idiotę - powiedział.

- Naprawdę?

- W sprawie Carbone'a. Pozwalając mi mówić to, co powiedziałem. Podoficer dyżurny pokazał nam ciekawe dokumenty.

- I co?

- I teraz się zastanawiamy.

- Tylko się nie przemęczcie.

- Myśli pan, że to zabawne? Nie będzie pan tak myślał, jeśli przekonamy się, że to pan.

- To nie ja.

- To pan tak mówi. Pokiwałem głową.

- Ja tak mówię. A teraz zjeżdż mi z drogi.

- Bo co?

- Bo skopię ci tyłek. Podeszedł do mnie bliżej.

- Myślisz, że uda ci się skopać mi tyłek? Nie poruszyłem się.

- Podejrzewacie, że skopałem tyłek Carbone'owi. A on był prawdopodobnie dwa razy lepszym od ciebie żołnierzem.

- Nie zorientujesz się nawet, kiedy będzie po tobie - powiedział.

Nie odezwałem się.

- Możesz mi wierzyć - dodał.

Spojrzałem w bok. Wierzyłem mu. Jeśli Delta zagięła na mnie parol, nawet się nie zorientuję, kiedy będzie po mnie. To prawda. Za kilka tygodni, kilka miesięcy albo kilka lat wejść gdzieś w ciemną alejkę i nagle z mroku wyłoni się cień i nóż wbije mi się w żebra albo kark pęknie z głośnym trzaskiem, który odbije się echem od ceglanego muru. I to będzie koniec.

- Masz tydzień - powiedział facet.

- Na co?

- Żeby udowodnić nam, że to nie ty. Nie odezwałem się.

- Twój wybór - dodał facet. - Udowodnij nam albo postaraj się żyć pełnią życia przez te siedem dni. Upewnij się, że zrealizowałeś wszystkie życiowe ambicje. I nie pisz długiej książki.

Wróciłem samochodem do mojego biura i zaparkowałem tuż przed wejściem. Sierżant - matka małego synka - zniknęła. Jej miejsce zajął drobny śniady kapral, który moim zdaniem pochodził z Luizjany. Dzbanek z kawą był zimny i pusty. Na moim biurku leżały dwie wiadomości. Pierwsza brzmiała: Telefonował major Franz. Prosił, żeby pan się odezwał. Druga brzmiała: Oddzwonił do pana detektyw Clark. Najpierw zadzwoniłem do Franza w Kalifornii.

- Reacher? - zapytał. - Popytałem się o program konferencji wojsk pancernych.

- I co?

- Nie było żadnego programu. Tak brzmi ich wersja i trzymają się jej.

- Ale?

- Ale obaj wiemy, że to bzdura. Zawsze jest jakiś program.

- Więc udało ci się coś odkryć?

- Niezupełnie - odparł. - Ale mogę potwierdzić nadejście szyfrowanego faksu z Niemiec późnym wieczorem trzydziestego grudnia, jak również wzmożoną aktywność kserokopiarek po południu trzydziestego pierwszego. A w dzień Nowego Roku, po otrzymaniu wiadomości o Kramerze, w robocie była niszczar-ka i spalarka. Rozmawiałem z facetem od spalarki. Dostarczono mu do spalania jedną torbę wypełnioną ścinkami z mniej więcej sześćdziesięciu arkuszy.

- Jak bezpieczna jest ich bezpieczna linia faksu?

- A jak byś chciał, żeby była bezpieczna?

- Najbardziej, jak to możliwe. Ponieważ moim zdaniem to wszystko może mieć sens pod warunkiem, że program był ściśle tajny. Naprawdę ściśle tajny. A skoro był ściśle tajny, czy w ogóle by go zapisywali?

- To jest dwunasty korpus, Reacher. Przez czterdzieści lat byli na pierwszej linii frontu. Wszystko, czym się zajmowali, było tajne.

- Ile osób miało wziąć udział w tej konferencji?

- Rozmawiałem z kantyną. Poprosili o piętnaście drugich śniadań.

- Sześćdziesiąt kartek, piętnaście osób. To znaczy, że program miał cztery strony.

- Na to wygląda. Ale wszystko uleciało z dymem.

- Nie wszystko. Nie oryginał, który przefaksowano z Niemiec - powiedziałem.

- Oryginał też tam spalili.

- Nie, moim zdaniem Kramer miał go przy sobie, kiedy umarł.

- Więc gdzie jest teraz?

- Nikt tego nie wie. Zniknął.

- Warto go szukać?

- Nikt tego nie wie - powtórzyłem. - Z wyjątkiem faceta, który go napisał, a teraz nie żyje. A także Vassella i Coomera. Musieli go widzieć. Być może pomagali pisać.

- Vassell i Coomer wrócili do Niemiec. Dziś rano. Pierwszym lotem z lotniska Dullesa. Mówili o tym tutejsi sztabowcy.

- Spotkałeś już tego nowego faceta, Willarda? - zapytałem.

- Nie.

- Staraj się go unikać. To dupek.

- Dzięki za ostrzeżenie. Czym sobie na niego zasłużyliśmy?

- Nie mam pojęcia - odparłem, po czym rozłączyłem się

i zadzwoniłem do Wirginii, do detektywa Clarka. Kazano mi chwilę poczekać. W końcu usłyszałem kliknięcie, odgłosy z pokoju odpraw i w słuchawce odezwał się głos.

- Clark.

- Reacher - przedstawiłem się. - Siły zbrojne Stanów Zjednoczonych, Fort Bird. Chciał pan ze mną mówić?

- Z tego, co pamiętam, to pan chciał ze mną mówić - odparł Clark. - Chciał pan raport na temat

postępów w sprawie. Tyle że nie ma żadnych postępów. Trafiliśmy na mur. Prawdę mówiąc, szukamy pomocy.

- Nie mogę nic zrobić. To wasza sprawa.

- Wolałbym, żeby nie była.

- Co macie? - zapytałem.

- Dużo niczego. Sprawca wszedł i wyszedł, być może niczego nie dotykając. Na pewno miał rękawiczki. Ziemia była zamrznięta. Zostawił kilka kamyków z podjazdu i ścieżki, ale w żadnym wypadku nie można tego uznać za ślad buta.

- Sąsiedzi coś widzieli?

- Większość była poza domem albo pijana. To działo się w sylwestra. Wysłałem swoich ludzi, żeby popytali w sąsiedztwie, niestety na nic nie trafiliśmy. Ulicą przejechało kilka samochodów, ale to w końcu nic dziwnego: ludzie wyjeżdżali i wracali z imprez.

- Jakies ślady opon na podjeździe?

- Nic znaczącego. Nie odezwałem się.

- Ofiara została zabita łomem - powiedział Clark. - Prawdopodobnie tym samym, którym wyważono drzwi.

- Domyśliłem się - odparłem.

- Po ataku sprawca wytarł łom o dywan, a potem umył go w kuchennym zlewem. Znaleźliśmy resztki w rurze odpływowej. Żadnych śladów na kranie. Jak mówiłem, był w rękawiczkach.

Nie odezwałem się.

- Nie mamy jeszcze czegoś - powiedział Clark. - Dowodów, które świadczyłyby, że wasz generał w ogóle tam mieszkał.

- Dlaczego?

- Sprawdziliśmy dom bardzo dokładnie. Zebraliśmy odciski palców ze wszystkich pomieszczeń, zebraliśmy włosy i włókna ze wszystkiego łącznie ze zlewem i odpływem w kabine prysznicowej. Wszystko należało do ofiary z wyjątkiem dwóch zabłąkanych odcisków. Już myśleliśmy, że mamy drania, ale z bazy danych wynika, że odciski należą do męża. Współczynnik jej śladów do jego sugeruje, że w ciągu ostatnich pięciu lat prawie w ogóle go tam nie było. Czy to normalne?

- Dużo czasu spędzał w bazie - odparłem. - Ale chyba wracał na święta każdego roku. Wieść gminna głosi, że w małżeństwie nie najlepiej się działo.

- Tacy ludzie powinni się po prostu rozwieść - rzekł Clark. - To nie jest chyba coś, co zaszkodziłoby w karierze generałowi.

- Chyba nie.

Clark milczał prawie przez całą minutę. Zastanawiał się.

- Jak źle się działo w tym małżeństwie? - zapytał w końcu. - Wystarczająco źle, żebyśmy mogli wziąć pod uwagę męża jako sprawcę?

- Nie zgadza się czas - powiedziałem. - Kiedy to się stało, generał był już martwy.

- Mogło chodzić o pieniądze?

- Ładny dom. Należał chyba do niej.

- Może zapłacił komuś, żeby ją zabił. Może zrobił to już dawno temu...

Facet rzeczywiście chwycił się brzytwy.

- Musiałby to załatwić podczas pobytu w Niemczech. Clark nic na to nie odpowiedział.

- Kto prosił pana o raport w sprawie postępów sprawy? - zapytałem.

- Wy - odparł. - Godzinę temu.

- Nie przypominam sobie, żeby to zrobił.

- Nie pan osobiście. Pańscy ludzie. Ta mała czarna laska, którą poznałem na miejscu przestępstwa. Pańska porucznik.

Byłem zajęty i nie mogłem z nią rozmawiać. Dała mi numer, ale gdzieś go zawieruszyłem. Więc oddzwoniłem pod numer, który dał mi pan na samym początku. Zrobiłem coś nie tak?

- Nie - odparłem. - Świetnie pan zrobił. Przykro mi, że nie możemy wam pomóc.

Rozłączyłem się, przez chwilę siedziałem nieruchomo, a potem połączyłem się z moim kapralem.

- Poproś do mnie porucznik Summer.

Summer pojawiła się po dziesięciu minutach w mundurze polowym. Wyraz jej twarzy i mowa ciała świadczyły, że trochę się mnie boi i jednocześnie nieco mną pogardza. Poczekiałem, aż usiądzie, i przeszedłem od razu do rzeczy.

- Oddzwonił detektyw Clark - powiedziałem. Nie odezwała się.

- Nie wykonałaś mojego bezpośredniego rozkazu. Nadal milczała.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Dlaczego dałeś mi taki rozkaz?

- A jak myślisz?

- Bo wykonujesz dyrektywy Willarda.

- Jest moim dowódcą. Powiniennem wykonywać jego dyrektywy.

- Nie zgadzam się.

- Jesteś w wojsku, Summer. Nie możemy nie wykonywać rozkazów tylko dlatego, że się z nimi nie zgadzamy.

- Nie tuszujemy też ewidentnych afer tylko dlatego, że nam kazali.

- Robimy to - odparłem. - Stale to robimy. Zawsze to robiliśmy.

- No to nie powinniśmy tego robić.

- Kto mianował cię szefem sztabu?

- To nieuczciwe w stosunku do Carbone'a i pani Kramer - powiedziała. - Byli niewinnymi ofiarami.

Przez chwilę milczałem.

- Dlaczego zaczęłaś od pani Kramer? - zapytałem. - Uważasz, że jest ważniejsza od Carbone'a?

Summer potrząsnęła głową.

- Nie zaczęłam od pani Kramer. Zająłam się nią w drugiej kolejności. Zaczęłam od Carbone'a. Sprawdziłam listę personelu i rejestr wyjść i wejść i zaznaczyłam sobie, kto był i kogo nie było w tym czasie na terenie bazy.

- Oddałaś mi te papiery.

- Ale najpierw je skopiowałam.

- Jesteś idiotką - powiedziałem.

- Dlaczego? Bo się nie wystraszyłam?

- Ile masz lat?

- Dwadzieścia pięć.

- Okay. Więc za rok będziesz miała dwadzieścia sześć. Będziesz dwudziestosześcioletnią czarną kobietą zwolnioną dyscyplinarnie z jedynej pracy, jaką kiedykolwiek miałaś. Tymczasem cywilny rynek pracy będzie pękał w szwach z powodu redukcji w siłach zbrojnych i będziesz współzawodniczyła z ludźmi z piersiami pełnymi medali i kieszeniami pełnymi rekomendacji. I co wtedy zrobisz? Będziesz przymierała głodem? Pójdiesz pracować w klubie ze striptizetn razem z Sin?

Nie odezwała się.

- Powinnaś zostawić to mnie.

- Nic nie robięś.

- Cieszę się, że doszłaś do takiego wniosku. Taki miałem plan.

- Co takiego?

- Mam zamiar powalczyć z Willardem. Albo on, albo ja. Nie odezwała się.

- Pracuję dla wojska - dodałem. - Nie dla Willarda. Wierzę w wojsko. Nie wierzę w Willarda. Nie pozwolę mu wszystkiego zniszczyć.

Nie odezwała się.

- Powiedziałem mu, żeby nie robił sobie ze mnie wroga. Ale on mnie nie posłuchał.

- Wielki krok - mruknęła.

- Ty już go uczyniłaś.
- Dlaczego mnie z tego wyłączyłeś?
- Bo jeśli to spieprzę, nie chcę, żeby ktoś poszedł na dno razem ze mną.
- Chroniłeś mnie. Pokiwałem głową.
- Więc nie rób tego. Potrafię o siebie zadbać. Nie odezwałem się.
- Ile masz lat? - zapytała.
- Dwadzieścia dziewięć.
- To w przyszłym roku będziesz miał trzydzieści. Będziesz trzydziestoletnim białym facetem dyscyplinarnie zwolnionym z jedynej pracy, jaką kiedykolwiek wykonywałeś. I podczas gdy ja jestem dość młoda, żeby zacząć wszystko od początku, ty już nie. Wojsko jest dla ciebie wszystkim, nie jesteś przystosowany do życia w społeczeństwie, nigdy nie funkcjonowałeś w cywilnym świecie i do niczego się nie nadajesz. Więc może to ty, a nie ja powinieneś schować się w krzaki.

Nie odezwałem się.

- Powinieneś to ze mną przedyskutować - powiedziała.
  - To osobisty wybór - odparłem.
  - Ja dokonałam już wyboru. Chyba o tym wiesz. Wygląda na to, że detektyw Clark przypadkiem mnie wydał.
  - To właśnie mam na myśli. Jeden przypadkowy telefon i wylatujesz stąd na zbity pysk. To gra o dużą stawkę.
  - A ja gram w nią razem z tobą, Reacher. Więc zapoznaj mnie z najnowszymi faktami.
- Pięć minut później wiedziała to co ja. Same pytania, żadnych odpowiedzi.
- Podpis Garbera był sfałszowany - oświadczyła. Pokiwałem głową.
  - A podpis Carbone'a, na jego skardze? Też sfałszowany? - zapytała.
  - Niewykluczone - mruknąłem i wyjąłem z szuflady biurka kopię, którą dał mi Willard. Wyglądziłem ją na podkładce i podałem jej. Złożyła ją równo i schowała do wewnętrznej kieszeni.
  - Dam do sprawdzenia charakter pisma - powiedziała. - Mnie będzie to łatwiej zrobić niż tobie.
  - Nic nie będzie teraz łatwe ani dla mnie, ani dla ciebie. Powinnaś sobie z tego jasno zdawać sprawę. Powinnaś sobie jasno zdawać sprawę z tego, co robisz.
  - Zdaję sobie sprawę. Załatwmy to.

Przez minutę siedziałem w milczeniu. Po prostu na nią patrzyłem. Na jej twarzy igrał lekki uśmiešek. Była cholernie twarda. Ale dorastała w końcu w zabitej deskami Alabamie, oglądając wysadzane w powietrze i płonące kościoły. Obecna sytuacja, w której musiała uważać wyłącznie na Willarda i bandę mścicieli z Deltę, dla niej mogła stanowić swoisty postęp.

- Dziękuję - powiedziałem. - Że stanęłaś po mojej stronie.
- To nie ja stanęłam po twojej stronie. To ty stanęłeś po mojej. Zadzwoił telefon i podniosłem słuchawkę.
- Mam na linii policję stanową Karoliny Północnej - oświadczył siedzący za drzwiami kapral z Luizjany. - Chcą rozmawiać z oficerem dyżurnym. Chce pan odebrać?
- Niekoniecznie - odparłem. - Ale nie mam chyba wyboru.

W słuchawce rozległo się jedno, a następnie drugie kliknięcie i usłyszałem głos dyspozytora, który zawiadomił mnie, że policjant patrolujący autostradę I-95 znalazł porzuconą na poboczu zieloną brezentową teczkę. W środku był portfel, po którym zidentyfikowano właściciela jako generała Kennetha R. Kramera z armii Stanów Zjednoczonych. Dyspozytor oświadczył, że dzwoni do Fort Bird, ponieważ ta baza leży najbliżej miejsca, gdzie odnaleziono teczkę. I w razie gdybym chciał po nią kogoś wysłać, informuje mnie, gdzie się aktualnie znajduje.

Summer prowadziła. Wzięliśmy hunwee, którego zostawiłem przed biurem, bo nie chcieliśmy



tracić czasu na wypożyczenie normalnego sedana. Odbiło się to trochę na jej stylu jazdy. Hunwee to duży, powolny pojazd, który nadaje się do wielu rzeczy, ale nie do szybkiej jazdy gładką asfaltową szosą. Wydawała się bardzo drobna za kierownicą. W środku było niesamowicie głośno. Silnik huczał, opony mlaskały. Minęła czwarta po południu, dzień był szary i zaczynało zmierzchać.

Pojechaliśmy na północ w stronę motelu Kramera, skręciliśmy na wschód na wielopoziomowym skrzyżowaniu, a następnie znowu na północ w I-95. Po piętnastu milach mineliśmy miejsce obsługi podróżnych i zacząłem wypatrywać posterunku policji stanowej. Znaleźliśmy go dwanaście mil dalej - niski jednopiętrowy ceglany budynek z lasem wysokich anten radiowych na dachu. Miał jakieś czterdzieści lat. Cegły były żółtoszare. Nie sposób było stwierdzić, czy na początku były żółte i wyblakły na słońcu, czy na początku były białe i poszarzały od spalin. Na całej długości budynku zamontowane były litery z nierdzewnej stali, składające się na utrzymany w stylu art deco napis Policja Stanowa Karoliny Północnej.

Zaparkowaliśmy przed podwójnymi szklanymi drzwiami. Summer zgasła silnik i po sekundzie wysiedliśmy. Przecieliśmy

wąski chodnik, otworzyliśmy drzwi budynku i weszliśmy do środka. To był typowy policyjny posterunek, zbudowany, by pełnił dokładnie tę, a nie inną funkcję, z podłogą z linoleum froterowanym co wieczór bez względu na to, czy to było potrzebne. Ściany pomalowano wieloma warstwami farby nałożonej bezpośrednio na betonowe płyty. W gorącym powietrzu unosił się niewyraźny zapach potu i parzonej kawy.

Za ladą w recepcji siedział oficer dyżurny. Byliśmy w mundurach polowych, a za szklanymi drzwiami widać było naszego hunwee, więc dość szybko połapał się, o co chodzi. Nie poprosił nas o legitymacje ani nie zapytał, w jakiej przyjechaliśmy sprawie. Nie zastanawiał się, dlaczego generał Kramer nie pofatygował się osobiście. Zerknął tylko na mnie, trochę dłużej przyglądał się Summer, a potem nachylił się i wyjął spod lady teczkę. Była w przezroczystej plastikowej torbie. Nie w specjalnej torbie na dowody, ale w zwykłej torbie na zakupy z wydrukowaną pośrodku na czerwono nazwą sklepu.

Sama teczka pod każdym względem pasowała do torby frakowej Kramera. Ten sam kolor, ten sam wzór, ten sam stopień zużycia i brak monogramu. Otworzyłem ją i zajrzałem do środka. Był w niej portfel. Bilety lotnicze. Paszport. Spięty spinaczem plan podróży, składający się z trzech kartek. Jakaś książka w twardych okładkach.

Nie było programu konferencji.

Zamknąłem teczkę i położyłem ją na ladzie. Byłem rozczarowany, ale nie zaskoczony.

- Czy była w tej plastikowej torbie, kiedy znalazł ją wasz gliniarz? - zapytałem.

Facet za ladą potrząsnął głową. Patrzył na Summer, nie na mnie.

- Sam włożyłem ją do torby - oznajmił. - Żeby się nie pobrudziła. Nie wiedziałem, jak szybko ktoś się po nią zgłosi.

- Gdzie dokładnie została znaleziona? - zapytałem go. Facet chwilę się zastanawiał, po czym oderwał wzrok od

Summer i przesunął tłustym paluchem po otwartej księdze,

w której w odpowiedniej linii zapisany został kod słupka milowego. Następnie odwrócił się i tym samym tłustym paluchem przesunął po mapie. Mapa była długa i wąska niczym szeroka na pięć cali wstęga i przedstawiała w dużej skali biegnącą przez Karolinę Północną część autostrady I-95, pokazując każdą jej milę od granicy z Karoliną Południową aż do granicy z Wirginia. Palec faceta zawisł nad nią przez chwilę, a potem w zdecydowany sposób wskazał określone miejsce.

- Tutaj - powiedział. - Na północnym poboczu, milę za miejscem obsługi podróżnych, mniej więcej jedenaście mil od miejsca, w którym teraz jesteśmy.

- Można ustalić, jak długo tam leżała?

- Nie za bardzo - odparł. - W zasadzie nie szukamy śmieci na poboczu. Mogła tam leżeć od miesiąca.

- Więc jak została znaleziona?
- Podczas rutynowego zatrzymania. Policjant zobaczył ją, idąc z radiowozu do samochodu, który zatrzymał.
- Kiedy to dokładnie było?
- Dzisiaj - odparł facet. - Na początku drugiej zmiany. Zaraz po dwunastej.
- Nie leżała tam od miesiąca - powiedziałem.
- Kiedy ją zgubił?
- W sylwestra.
- Gdzie?
- Została ukradziona z miejsca, w którym się zatrzymał.
- A gdzie się zatrzymał?
- W motelu, mniej więcej trzydzieści mil na południe stąd.
- Więc złodzieje jechali na północ.
- Chyba tak.

Facet zapytał mnie wzrokiem o pozwolenie, po czym wziął teczkę w obie ręce i zbadał ją niczym koneser, który studiuje rzadki okaz. Obrócił ją do światła i przyjrzał jej się z każdej strony.

- Styczeń - powiedział. - W nocy osadza się wilgoć. I jest tak zimno, że boimy się gołoledzi. W związku z tym sypimy sól. O tej porze roku na poboczu autostrady rzeczy szybko się starzeją. A ta teczka wydaje się stara i znoszona, lecz niezbyt zniszczona. Ma trochę brudu i piasku w splocie tkaniny. Ale niewiele. Na pewno nie leżała tam od sylwestra, tyle mogę powiedzieć. Moim zdaniem mniej niż dwadzieścia cztery godziny. Jedna noc, nie więcej.

- Może pan to zagwarantować? - zapytała Summer. Facet potrząsnął głową i położył teczkę na ladę.

- Nie, to tylko przypuszczenie.
- W porządku - powiedziałem. - Dzięki.
- Musicie podpisać odbiór.

Skinąłem głową. Facet obrócił swoją księgę i pchnął ją w moją stronę. Na piersi, na naszywce na prawej kieszeni miałem wyblakły napis Reacher, ale wydawało mi się, że nie zwrócił na to większej uwagi. Jego wzrok przyciągały przede wszystkim kieszenie Summer. Nagryzmołem więc w odpowiedniej rubryce Kramer, wziąłem teczkę i ruszyłem w stronę drzwi.

- Dziwna kradzież - rzekł facet. - W portfelu nadal jest karta American Express i pieniądze. Spisaliśmy zawartość.

Nie odpowiedziałem. Wyszedłem po prostu na zewnątrz i wsiałem do hunwee.

Summer zaczęła na przerwę w ruchu, po czym przecięła trzy pasma autostrady i skręciła na porośnięty trawą środkowy pas. Zjechała na dół, pokonała rów odpływowy i przejechała na drugą stronę. Przez chwilę czekała, a potem skręciła na jezdnię i ruszyła na południe. To było coś, do czego humvee świetnie się nadawał.

- Co powiesz na to? - odezwała się. - Wczoraj o dziesiątej wieczorem Vassell i Coomer wyjeżdżają z Fort Bird z teczką. Kierują się na północ na lotnisko Dullesa albo do Waszyngtonu. Wyjmują z teczki program konferencji i wyrzucają ją przez okno samochodu.

- Podczas pobytu w Bird przez cały czas siedzieli w klubie oficerskim.
- Więc przekazał im ją jeden z oficerów, którzy jedli z nimi kolację. Powinniśmy sprawdzić, z kim siedzieli. Może była tam jedna z kobiet z listy dysponujących własnym hunwee.
- Wszystkie mają alibi.
- Tylko pozornie. Przyjęcia sylwestrowe są dosyć chaotyczne.

Wyrząłem przez okno. Szybko się ściemniało. Nadchodził wieczór. Świat był zimny i mroczny.

- Sześćdziesiąt mil - powiedziałem. - Teczka została znaleziona sześćdziesiąt mil na północ od Fort Bird. To godzina jazdy. Gdyby dostali teczkę w bazie, wyjęliby program i wyrzucili ją znacznie szybciej.

Summer milczała.

- I zatrzymaliby się na parkingu, żeby to zrobić. Wyrzuciliby teczkę do pojemnika na śmieci. Tak byłoby bezpieczniej. Wyrzucanie teczki przez okno samochodu jest podejrzane.

- Może naprawdę nie było programu.

- To byłby pierwszy taki przypadek w historii wojskowości.

- Więc może naprawdę nie był taki ważny.

- Zamówili w Irwin torby z lunchem. Dwugwiazdkowi i jednogwiazdkowi generałowie, a także pułkownicy mieli zamiar popracować w czasie lunchu. To chyba też pierwszy taki przypadek w historii wojskowości. To miała być ważna konferencja, Summer, wierz mi.

Nie odezwała się.

- Zawróć znowu o sto osiemdziesiąt stopni - powiedziałem. - Przez środkowy pas. Pojedziemy trochę na północ. Chcę sprawdzić to miejsce obsługi podróżnych.

Miejsce obsługi podróżnych było podobne do innych, które oglądałem na amerykańskich autostradach międzystanowych. Północna i południowa nitka autostrady oddalały się od siebie, tworząc pośrodku drugi szeroki bąbel. Z budynków korzystały podróżujący w obu kierunkach. Dlatego miały dwie frontowe ściany i ani jednej tylnej. Wzniesiono je z cegieł i otoczono rabatami kwiatów i pozbawionymi liści drzewami. Były tam dystrybutory z benzyną i ukośne miejsca parkingowe. W tym momencie miejsce nie wydawało się ani zbyt zatłoczone, ani zbyt puste. Kończyły się ferie świąteczne. Rodziny wracały do domu, szykując się do szkoły i do pracy. Miejsca parkingowe były zajęte może w jednej trzeciej. Ciekawe, w jaki sposób je zajmowano. Zamiast ryzykować i podjechać bliżej, ludzie stawiali samochody na pierwszym wolnym miejscu, które zobaczyli, mimo że mieli stamtąd zdecydowanie dalej do barów i toalet. Być może taka jest ludzka natura. Charakteryzuje ją brak poczucia bezpieczeństwa.

Przed głównym wejściem znajdował się mały półokrągły plac. W środku widziałem jasne neony barów szybkiej obsługi. Na zewnątrz stało sześć koszy na śmieci, wszystkie raczej niedaleko drzwi. Wszędzie było sporo ludzi, zaglądających do środka i wyglądających na zewnątrz.

- Za duży ruch - stwierdziła Summer. - To do niczego nie prowadzi.

Pokiwałem głową.

- Dałbym sobie już dawno spokój, gdyby nie pani Kramer - powiedziałem.

- Carbone jest ważniejszy. Powinniśmy ustalić priorytety.

- Mam wrażenie, jakbyśmy dawali za wygraną.

Z miejsca obsługi podróżnych pojechaliśmy na północ, a potem Summer znowu przejechała przez środkowy pas i ruszyła na południe. Usiadłem najwygodniej, jak można to zrobić w wojskowym pojeździe, żeby odpocząć w drodze powrotnej. Po mojej lewej stronie rozciągała się ciemność, po prawej zachodziło blade słońce. Droga sprawiała wrażenie mokrej. Summer nie przejmowała się chyba zbyt perspektywą gołoledzi.

Przez pierwsze dwadzieścia minut nic nie robiłem. A potem zapaliłem górne światło i przeszukałem dokładnie teczkę Kra-mera. Nie spodziewałem się w niej czegoś znaleźć i okazało się, że miałem rację. Jego paszport był standardowy, wydany przed siedmiu laty. Na zdjęciu wyglądał tylko trochę lepiej niż martwy na łóżku w motelu. Miał dużo pieczętek wjazdowych i wyjazdowych z Niemiec i Belgii. Przyszłe pole walki i kwatera główna. Nie odwiedził żadnego innego kraju. Był prawdziwym specjalistą. W ciągu ostatnich siedmiu lat koncentrował się wyłącznie na ostatnim na świecie wielkim teatrze działań pancernych i jego strukturze dowodzenia. Bilety lotnicze zgadzały się z tym, co mówił Garber. Z Frankfurtu na lotnisko Dullesa i z lotniska krajowego w Waszyngtonie do Los Angeles, tam i z powrotem. Wszystkie w klasie turystycznej, ze zniżką dla pracowników rządowych, zarezerwowane na trzy dni przed pierwszym wylotem.

Plan podróży zgadzał się co do joty z biletami. Numery miejsc sugerowały, że Kramer preferuje fotele przy przejściu. Może z racji wieku miał kłopoty z pęcherzem. Była również rezerwacja pojedynczego pokoju w hotelu oficerskim w Fort Irwin, do którego nigdy nie dotarł.

W portfelu miał trzydzieści siedem dolarów i sześćdziesiąt siedem marek w małych, różnych

nominałach. Ważność standardowej zielonej karty American Express wygasła za półtora roku. Z wytłoczonego napisu wynikało, że ma ją od 1964 roku. Uznałem, że jak na oficera wyrobił ją sobie dość wcześnie. W tamtych czasach większość używała gotówki albo wojskowych bonusów. Kramer musiał mieć poważne podejście do finansów.

Znalazłem również prawo jazdy wydane w Wirginii. Jako adres stały podał dom w Green Valley, mimo że prawie tam nie bywał. Była standardowa legitymacja wojskowa i zdjęcie pani Kramer za plastikowym okienkiem. Przedstawiało znacznie młodszą wersję kobiety, którą widziałem martwą na podłodze w jej domu. Miało co najmniej dwadzieścia lat. Całkiem ładnie wyglądała na nim. Miała długie kasztanowate włosy, które na

spłowiejały ze starości fotografii mogły się wydawać lekko pomarańczowe. W portfelu nie było nic więcej. Żadnych pokwitowań, żadnych rachunków z restauracji, paragonów, numerów telefonów, luźnych karteluszków. Nie zdziwiło mnie to. Generałowie są często schludnymi, dobrze zorganizowanymi ludźmi. Potrzebny im jest talent do prowadzenia walki, ale również talent biurokratyczny. Zgadywałem, że biurko i kwatery Kramera będą podobne do jego portfela. Będzie w nich wszystko, czego potrzebował, i nic ponadto.

Książka w twardej okładce była akademicką monografią bitwy o Kursk wydaną przez jakiś uniwersytet na środkowym zachodzie. Bitwa o Kursk toczyła się w lipcu 1943 roku. Była ostatnią wielką ofensywą nazistowskich Niemiec w drugiej wojnie światowej i ich pierwszą druzgoczącą klęską w otwartym polu. Okazała się największą bitwą z udziałem czołgów, jaką widział kiedykolwiek świat, i jednocześnie ostatnią, jaką zobaczy, chyba że ludzie Kramera postawią na swoim. Nie zdziwił mnie dokonany przez niego wybór lektury. Musiał się obawiać, że otrze się o prawdziwą apokalipsę, co najwyżej czytając o setkach tygrysów, panter i T-34, które przed tyłu lata kręciły się z rykiem i chrzęstem w chmurach dławiącego letniego pyłu.

W teczce nie było nic więcej, poza kilkoma strzępami papieru w miejscach zszycia. Można było odnieść wrażenie, że Kramer opróżniał ją, przewracał do góry dnem i wytrząsał po każdym powrocie z podróży. Włożyłem wszystko z powrotem, zapiałem małe paseczki i położyłem teczkę na podłodze przy nogach.

- Porozmawiaj z facetem ze stołówki - powiedziałem. - Kiedy wrócimy. Dowiedz się, kto siedział przy stole razem z Vassellem i Coomerem.

- Okay - odparła Summer, jadąc dalej.

Dotarliśmy do Bird w porze kolacji. Zjedliśmy ją w kantine razem z kilkoma innymi żandarmami. Jeśli Willard miał wśród nich szpicli, nie spostrzegliby nic poza parą zmęczonych ludzi, niczym się specjalnie niezajmujących. Ale Summer wymknęła się między daniami i wróciła z błyskiem w oku, który zapowiadał, że uzyskała ciekawe informacje. Zjadłem deser i wypłem kawę dość powoli, żeby nikt nie pomyślał, że mam do załatwienia coś pilnego. A potem wstałem, wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza i przystanąłem na chodniku. Summer pojawiła się pięć minut później. Można by pomyśleć, że łączy nas sekretny romans.

- Tylko jedna kobieta jadła kolację z Vassellem i Coome-rem - powiedziała.

- Kto?

- Podpułkownik Andrea Norton.

- Ta z psychologii pola walki?

- Ta sama.

- Była na sylwestrze. Summer się skrzywiła.

- Wiesz, jak wyglądają te imprezy. Bar w mieście, setki osób, bez przerwy wchodzi i wychodzą ludzie, hałas, zamęt, drinki, znikające pary. Mogła się wymknąć.

- Gdzie był ten bar?

- Trzydzieści minut jazdy od motelu.

- W takim razie musiałyby zniknąć co najmniej na godzinę.

- To możliwe.

- Czy była w barze o północy? Czy trzymała innych za ręce i śpiewała Auld Lang Syne Ten, kto

stał obok niej, mógłby to z całą pewnością potwierdzić.

- Ludzie mówią, że tam była. Ale właściwie mogła zdążyć przed północą. Chłopak z recepcji powiedział, że hunwee odjechał o jedenastej dwadzieścia pięć. Miałaby jeszcze pięć minut w zapasie. Wyglądałoby to nawet naturalnie. Wiesz, kiedy ma wybić dwunasta, wszyscy nagle znowu się pojawiają. Impreza zaczyna się od nowa.

Nie odezwałem się.

- Zabrała teczkę, żeby sprawdzić, czy nie ma w niej czegoś trefnego - kontynuowała Summer. - Jej numeru telefonu, nazwiska, fotografii. Albo pamiątnika. Nie chciała skandalu. Ale kiedy już to zrobiła, nie potrzebowała innych rzeczy. Kiedy ją poproszono, z radością je oddała.

- Skąd Vassell i Coomer wiedzieliby, kogo zapytać?

- Trudno ukryć romans w tym akwarium.

- To nie ma sensu - zauważyłem. - Skoro ludzie wiedzieli o Kramerze i Norton, po co ktoś miałby jeździć do domu w Wirginii?

- No dobrze, więc może nie wiedzieli. Może to była tylko jedna z ewentualności. Może coś, co zdaniem ludzi dawno się skończyło.

Pokiwałem głową.

- Co możemy od niej uzyskać?

- Potwierdzenie, że Vassell i Coomer umówili się z nią wczoraj wieczorem, żeby odebrać teczkę. To świadczyłoby o tym, że jej szukali, a zatem są podejrzani w sprawie pani Kramer.

- Nie dzwoniłi nigdzie z hotelu i nie mieli czasu dotrzeć tam sami. Więc nie bardzo wiem, jak mamy ich podejrzewać w sprawie pani Kramer. Co jeszcze możemy uzyskać?

- Możemy się dowiedzieć, co się stało z programem konferencji. Dowiedzieć się, czy Vassell i Coomer go odzyskali. Wtedy przynajmniej wojsko odetchnie z ulgą, bo będziemy mieli pewność, że program nie wylądował w koszu na śmieci i nie wyłowi go stamtąd jakiś dziennikarz.

Pokiwałem w milczeniu głową.

- Niewykluczone, że Norton go widziała - dodała Summer. - A nawet przeczytała. Może nam opowie, co w nim jest takiego nadzwyczajnego.

- To kuszące.

- Jasne.

- Nie możemy tam po prostu pójść i jej zapytać?

- Jesteś ze sto dziesiątej specjalnej. Możesz pytać wszystkich o wszystko.

- Nie mogę się pojawić na radarze Willarda.

- Ona nie wie, że kazał ci się trzymać z daleka od tej sprawy.

- Wie. Willard rozmawiał z nią po śmierci Carbone'a.

- Moim zdaniem powinniśmy z nią pogadać.

- To nie będzie łatwa rozmowa - odparłem. - Najprawdopodobniej się obrazi.

- Tylko jeśli poprowadzimy to nie tak, jak trzeba.

- Jakie są szanse, że poprowadzimy to tak, jak trzeba?

- Może uda nam się wykorzystać sytuację. To wszystko jest dla niej trochę zenujące. Nie będzie chciała, żeby to nagłośniono.

- Nie możemy jej zbyt mocno naciskać, bo skontaktuje się z Willardem.

- Boisz się go?

- Boję się tego, co może nam zrobić w sensie biurokratycznym. Nikomu nie pomożemy, jeśli przeniesie nas oboje na Alaskę.

- Ty decydujesz.

Przez dłuższą chwilę milczałem. Przyszła mi ponownie na myśl książka Kramera. Przypominało to sytuację z 13 lipca 1943 roku, przełomowego dnia bitwy o Kursk. Byliśmy niczym Aleksander Wasilewski, sowiecki marszałek. Jeśli zaatakujemy teraz, w tej minucie, będziemy musieli atakować bez przerwy, aż przeciwnik pójdzie w rozsypkę i wojna zostanie wygrana. Jeśli przerwiemy choć na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu, będziemy musieli znowu ustąpić pola.

- Dobrze - powiedziałem. - Do dzieła.

Znaleźliśmy Andreę Norton w klubie oficerskim i zapytaliśmy, czy mogłaby poświęcić nam minutkę w swoim biurze. Widziałem, że nie ma pojęcia, o co może chodzić. Oświadczyłem, że to sprawa poufna. Nadal była zdezorientowana. Willard powiedział jej, że sprawa Carbone'a jest zamknięta, i nie wiedziała, o czym jeszcze chcemy z nią porozmawiać. Ale zgodziła się. Oświadczyła, że spotka się tam z nami za pół godziny.

Summer i ja spędziliśmy te pół godziny w moim gabinecie nad spisami osób, które były bądź nie w bazie w momencie

śmierci Carbone'a. Zajmowały całe jardy komputerowego papieru elegancko złożonego w grubą mniej więcej na cal harmonię. W każdej linijce wydrukowano tam bladym tuszem nazwisko, stopień i numer. Prawie przy każdym nazwisku był ptaszek.

- Co oznaczają te ptaszki? - zapytałem. - W bazie czy poza bazą?

- W bazie - odparła.

Pokiwałem głową. Tego się bałem. Przekartkowałem harmonię kciukiem.

- Ile tego jest? - zapytałem.

- Prawie tysiąc dwieście.

Pokiwałem ponownie głową. Nie było nic straszliwie trudnego w przekopaniu się przez tysiąc dwieście nazwisk i znalezieniu jednego winnego. W policyjnych aktach na całym świecie pełno jest większych grup podejrzanych. W Korei zdarzały się sprawy, kiedy podejrzani byli wszyscy członkowie stacjonujących tam amerykańskich sił zbrojnych. Ale podobne przypadki wymagają zaangażowania nieograniczonych zasobów ludzkich i środków materialnych. I wymagają pełnej współpracy wszystkich służb. Nie można tego prowadzić za plecami dowódcy, w tajemnicy, we dwójkę.

- To niemożliwe - powiedziałem.

- Nic nie jest niemożliwe - odparła Summer.

- Musimy załatwić to w inny sposób.

- Jak?

- Co zabrał ze sobą sprawca?

- Nic.

- Błąd. Zabrał siebie.

Summer wzruszyła ramionami i przesunęła palcami po skraju swojego wydruku. Harmonia papieru urosła, a potem skurczyła się, kiedy powietrze uszło pomiędzy kartek.

- Wybierz nazwisko - powiedziała.

- Zabrał nóż Ka-Bar - dodałem.

- Tysiąc dwieście nazwisk, tysiąc dwieście noży Ka-Bar.

- Zabrał łyżkę do opon albo łom.

Summer pokiwała głową.

- I jogurt - powiedziałem. Nie odezwała się.

- Cztery rzeczy - kontynuowałem. - Siebie, nóż, tępe narzędzie i jogurt. Skąd wziął jogurt?

- Ze swojej lodówki na kwaterze - odparła Summer. - Albo z kuchni. Albo z bufetu. Albo z kantyny. Albo z jakiegoś sklepu poza bazą.

Wyobraziłem sobie mężczyznę łapiącego z trudem oddech, idącego szybkim krokiem, być może spoconego, zaciskającego w prawej ręce zakrwawiony nóż i łom, a w lewej pusty pojemnik po jogurcie, potykającego się po ciemku, zerkającego w dół, ciskającego na ziemię pojemnik, chowającego nóż do kieszeni, a łom pod płaszcz.

- Powinniśmy poszukać pojemnika po jogurcie - powiedziałem.

Summer się nie odezwała.

- Musiał go wyrzucić - dodałem. - Niezbyt blisko miejsca zabójstwa, ale też niezbyt daleko.

- W czym nam to pomoże?

- Na pojemniku będzie jakiś kod produktu. Być może termin przydatności do spożycia. Tego

rodzaju rzeczy. To nas może zaprowadzić do miejsca, gdzie został kupiony - powiedziałem i na chwilę umilkłem. - Mogą na nim się znajdować odciski palców - dodałem.

- Facet miał na rękach rękawiczki. Potrzaśnałem głową.

- Widziałem ludzi otwierających jogurt. Ale nigdy nie widziałem, żeby robili to w rękawiczkach. Jogurt ma foliowe zamknięcie. Z małym języczkiem, który trzeba pociągnąć.

- Mamy tam tysiące akrów.

Pokiwałem głową. Kwadrat pierwszy. Normalnie wystarczył jeden telefon, żeby wszyscy służący w bazie szeregowcy zaczęli przeczesywać na czworakach teren, wlepiając wzrok w ziemię i skubiąc palcami każde źdźbło trawy. A potem robiliby to samo następnego dnia i jeszcze następnego, aż do chwili, gdy jeden z nich znalazłby to, czego szukamy. Z zasobami ludzkimi, którymi dysponuje armia, można naprawdę znaleźć igłę w stogu siana. Można znaleźć obie części złamanej igły. Można znaleźć mikroskopijny odprysk chromu, który odpadł przy pęknięciu.

Summer spojrzała na wiszący na ścianie zegar.

- Pół godziny minęło - oświadczyła.

Do ośrodka psychologii pola walki podjechaliśmy naszym humvee i zostawiliśmy go na miejscu parkingowym zarezerwowanym prawdopodobnie dla kogoś innego. Minęła dziewiąta wieczorem, na dworze było chłodno. Summer zgasila silnik i wysiedliśmy.

Zabrałem ze sobą teczkę Kramera.

Doszliśmy wyłożonym kafelkami starym korytarzem do drzwi Norton. W gabinecie paliło się światło. Zapukałem i weszliśmy do środka. Norton siedziała za biurkiem. Wszystkie podręczniki stały z powrotem na półkach. Na biurku nie było bloku do pisania. Żadnych ołówków ani długopisów. Niczego. Krąg światła z lampy padał na idealnie pusty drewniany blat.

Miała trzy krzesła dla gości. Wskazała, żebyśmy na nich usiedli. Summer zajęła to z prawej, ja to z lewej strony. Oparłem teczkę Kramera o środkowe krzesło, tak żeby Norton miała ją przed sobą. Nawet na nią nie spojrzała.

- W czym mogę pomóc? - zapytała.

Rozmyślnie poprawiłem teczkę tak, żeby znalazła się w pozycji pionowej.

- Proszę nam opowiedzieć o wczorajszym przyjęciu - powiedziałem.

- Jakim przyjęciu?

- Jadła pani kolację z kilkoma sztabowcami wojsk pancernych, którzy odwiedzili bazę.

Norton pokiwała głową.

- Z Yassellem i Coomerem. I co z tego?

- Służyli pod generałem Kramerem. Ponownie pokiwała głową.

- Tak słyszałam.

- Proszę nam opowiedzieć o posiłku.

- O jedzeniu?

- O atmosferze - odparłem. - O rozmowie. O nastroju.

- To była zwykła kolacja w klubie oficerskim.

- Ktoś dał Vassellowi i Coomerowi teczkę.

- Naprawdę? Teczkę? W charakterze prezentu? Nie odpowiedziałem.

- Nie przypominam sobie tego - powiedziała Norton. - Kiedy?

- Podczas kolacji - odparłem. - Albo kiedy wychodzili. Nikt się nie odezwał.

- Teczkę? - powtórzyła Norton.

- Czy to była pani? - zapytała Summer.

Norton posłała jej pytające spojrzenie. Albo rzeczywiście nie wiedziała, o co chodzi, albo była świetną aktorką.

- Co czy to byłam ja? - zapytała.

- Czy to pani dała im tę teczkę?

- Dlaczego miałabym im dać teczkę? Prawie ich nie znałam.

- To znaczy?
  - Spotkałam ich raz czy dwa przed wielu laty.
  - W Irwin?
  - Chyba tak.
  - Dlaczego zjadła pani z nimi kolację?
  - Byłam w barze. Zaprośili mnie. Niegrzecznie byłoby odmówić.
  - Wiedziała pani wcześniej, że przyjadą? - zapytałam.
  - Nie. Nie miałam pojęcia. Zdziwiło mnie, że nie są w Niemczech.
  - Więc знаła ich pani dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, gdzie stacjonują.
  - Kramer był dowódcą wojsk pancernych w Europie. To byli jego sztabowcy. Nie podejrzewam, by stacjonowali na Hawajach.
- Nikt się nie odezwał. Obserwowałam oczy Norton. Przyglądała się wcześniej teczce Kramera najwyżej pół sekundy. Dokładnie tyle, żeby uznać, że jestem facetem, który przyniósł jakąś teczkę, i natychmiast o tym zapomnieć.
- Co się tutaj dzieje? - zapytała. Nie odpowiedziałam.
  - Proszę mi powiedzieć.
  - Należy do generała Kramera - powiedziałam, wskazując teczkę. - Zgubił ją w sylwestra i dzisiaj się odnalazła. Próbuje odkryć, gdzie była w międzyczasie.
  - Gdzie ją zgubił?
- Summer poruszyła się na krześle.
- W motelu - odpowiedziała. - W trakcie intymnego spotkania z kobietą z tej bazy. Kobieta prowadziła humvee. Dlatego szukamy kobiety, która знаła Kramera, która ma do stałej dyspozycji humvee, która była poza bazą w sylwestra i która uczestniczyła we wczorajszej kolacji.
  - Byłam jedyną kobietą uczestniczącą we wczorajszej kolacji.
- Zapadła cisza.
- Summer pokiwała głową.
- Wiemy o tym. I przyrzekamy, że zachowamy całą sprawę w tajemnicy. Chcemy jednak, żeby pani powiedziała, komu dała pani tę teczkę.
- W pokoju znowu zapadła cisza. Norton patrzyła na Summer, jakby ta opowiedziała jej dowcip z nie całkiem zrozumiałą puentą.
- Myślicie, że spałam z generałem Kramerem? - zapytała w końcu.
- Summer milczała.
- No więc nie, nie spałam. Boże broń. Nikt się nie odezwał.
  - Nie wiem, czy się śmiać, czy płakać - dodała. - Jestem naprawdę w rozterce. To kompletnie absurdalne oskarżenie. Jestem zdumiona, że je wysunęliście.
- Nikt się przez dłuższy czas nie odzywał. Norton uśmiechała się, jakby nasze postępowanie przede wszystkim ją rozbawiło. Nie rozgniewało. W końcu zamknęła oczy i po chwili je otworzyła, jakby wymazywała tę rozmowę z pamięci.
- Czy coś zginęło z tej teczki? - zapytała mnie. Nie odpowiedziałam.
  - Niech pan mi pomoże zrozumieć - dodała. - Próbuje odkryć sens tej niezwyklej wizyty. Czy coś zginęło z tej teczki?
  - Vassell i Coomer twierdzą, że nie.
  - Ale?
  - Nie wierzę im.
  - Chyba powinien pan wierzyć. To wyżsi oficerowie. Nie odezwałem się.
  - A co twierdzi pana nowy dowódca?
  - Nie chce tego drążyć. Obawia się skandalu.
  - Powinien pan stosować się do jego zaleceń.
  - Jestem śledczym. Muszę zadawać pytania.
  - Wojsko jest jak rodzina - powiedziała. - Wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.



- Czy Vassell i Coomer wyjechali stąd wczoraj z tą teczką? - zapytałem.
- Norton ponownie zamknęła oczy. Z początku myślałem, że jest poirytowana, ale potem zdałem sobie sprawę, że przypomina sobie wczorajszą scenę w klubie oficerskim, przy szatni.
- Nie - odpowiedziała. - Żaden z nich nie wyszedł z teczką.
- Jest pani tego całkowicie pewna?
- Absolutnie.
- W jakim nastroju byli przy kolacji? Norton otworzyła oczy.
- Odprężeni - odparła. - Tak jakby spędzali bezproduktywnie czas.
- Powiedzieli, dlaczego ponownie przyjechali do Fort Bird?
- Wczoraj w południe odbył się pogrzeb generała Kramera.
- Nie wiedziałem o tym.
- Z tego, co wiem, ze szpitala Waltera Reeda przekazano zwłoki, a Pentagon zajął się szczegółami.
- Gdzie go pochowano?
- Na cmentarzu Arlington - odparła. - A gdzieżby indziej?
- To trzysta mil stąd.
- Mniej więcej. W linii prostej.
- Więc dlaczego przyjechali tu na kolację?
- Nie wiem. Nie powiedzieli mi. Nie odezwałem się.
- Coś jeszcze? - zapytała. Potrząsnąłem głową.
- W motelu? - powiedziała. - Czy wyglądam na kobietę, która zgodziłaby się spotkać z mężczyzną w motelu?
- Nie odpowiedziałem.
- Żegnam - powiedziała.
- Wstałem. Summer zrobiła to samo. Zabrałem teczkę Kramera ze środkowego krzesła i wymaszerowałem z pokoju. Summer wyszła w ślad za mną.
- Uwierzyłeś jej? - zapytała Summer.
- Siedzieliśmy w humvee przed ośrodkiem psychologii pola walki. Silnik pracował i z otworów wentylacyjnych leciało śmierdzące ropą gorące powietrze.
- Absolutnie - odparłem. - Zaraz na początku, kiedy nie spojrzała na teczkę. Gdyby widziała ją wcześniej, na pewno by się zmieszała. I z całą pewnością uwierzyłem jej w sprawie motelu. Żeby się z nią przespać, trzeba by wynająć apartament w Ritzu.
- Więc czego się dowiedzieliśmy?
- Niczego - powiedziałem. - Kompletnie niczego.
- Nie, dowiedzieliśmy się, że Bird jest bardzo atrakcyjnym miejscem. Vassell i Coomer wciąż tu przyjeżdżają, bez żadnego wyraźnego powodu.
- Nie musisz mi tego mówić.
- I tego, że zdaniem Norton jesteśmy rodziną.
- My, oficerowie - powiedziałem. - A czego się spodziewałaś?
- Ty jesteś oficerem. Ja jestem oficerem. Pokiwałem głową.
- Spędziłem cztery lata w West Point - oznajmiłem. - Powinienem być mądrzejszy. Powinienem zmienić nazwisko i wstąpić tu jako szeregowiec. Trzy awanse. Byłbym teraz starszym kapralem. Może nawet sierżantem. Żałuję, że nim nie jestem.
- Co teraz?
- Zerknąłem na zegarek. Zbliżała się dziesiąta.
- Idziemy spać - odparłem. - Jutro skoro świt zaczynamy szukać pojemnika po jogurcie.

Nigdy w życiu nie jadłem jogurtu, ale widziałem, jak robią to inni, i odniosłem wrażenie, że pakowany jest w małe pojemniki o szerokości mniej więcej dwóch cali, co oznaczało, że na jardzie

kwadratowym zmieściłoby się ich około trzystu. Co oznaczało, że można by zmieścić ich z półtora miliona na jednym akrze. Co oznaczało, że można by zmieścić ich sto pięćdziesiąt miliardów na terenie całej bazy Fort Bird. Co oznaczało, że szukanie jednego można było porównać do szukania jednej endosporii wąglika na stadionie Jankesów. Obliczyłem to wszystko, biorąc prysznic i ubierając się po ciemku przed świtem.

Następnie usiadłem na łóżku i czekałem, aż niebo choć trochę się rozjaśni. Nie było sensu wychodzić i tracić jedną szansę na sto pięćdziesiąt miliardów tylko dlatego, że było zbyt ciemno, by cokolwiek spostrzec. Siedząc, doszedłem do wniosku, że możemy zwiększyć prawdopodobieństwo sukcesu, inteligentnie zawężając teren, na którym powinniśmy prowadzić poszukiwania. Facet z jogurtem podążał oczywiście z punktu A do punktu B. Wiedzieliśmy, gdzie leży punkt A. Punkt A był tam, gdzie został zabity Carbone. Istniała również ograniczona liczba miejsc, które mogliśmy uznać za punkt B. Punktem B była albo dziura w ogrodzeniu, albo jakieś miejsce pośród głównych zabudowań bazy. A zatem, jeśli będziemy sprytni, może uda nam się

zwiększyć szansę do jednej milionowej i znaleźć tę rzecz po stu latach, a nie po tysiącu.

Chyba że leżała już wylizana do czysta w norze jakiegoś wygłodniałego szopa pracza.

Spotkałem się z Summer na parkingu kolumny transportowej. Była w świetnym humorze i kipiała energią, ale w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy. Nie było o czym z wyjątkiem tego, że zadanie, jakie sobie postawiliśmy, jest nie do wykonania. I zgadywałem, że żadne z nas nie chce tego powiedzieć na głos. Dlatego się nie odzywaliśmy. Wzięliśmy tylko pierwszego lepszego humvee i wyjechaliśmy z parkingu. Tym razem dla odmiany ja usiadłem za kierownicą i przejechałem ten sam trzy-minutowy odcinek drogi, który pokonałem trzydzieści sześć godzin wcześniej.

Według licznika humvee przejechaliśmy dokładnie półtorej mili. Według kompasu posuwaliśmy się na południowy zachód. W miejscu zabójstwa na niektórych drzewach nadal były strzepy policyjnej taśmy. Zaparkowaliśmy dziesięć jardów od drogi i wysiedliśmy. Wdrapałem się na maskę humvee i usiadłem na dachu nad przednią szybą. Spojrzałem na zachód i północ, a potem odwróciłem się i spojrzałem na wschód i południe. Było zimno. Wiał wiatr. Świat dookoła był brązowy, martwy i ogromny. Wschodzące słońce - blade i słabe.

- Dokąd on się skierował?! - zawołałem.

- Na północny wschód! - odkrzyknęła Summer. Sądząc po jej głosie, była tego całkowicie pewna.

- Dlaczego?! - zawołałem.

Summer wdrapała się na maskę i usiadła koło mnie.

- Odjechał jakimś pojazdem - powiedziała.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie zostawił go tutaj, a wątpię, żeby przyszli piechotą.

- Dlaczego?

- Ponieważ gdyby szli piechotą, to zdarzyłoby się bliżej punktu wyjścia. Żeby tu skądkolwiek dojść, trzeba iść co najmniej

trzydzieści minut. Nie bardzo sobie wyobrażam sprawcę, który chowa łom albo łyżkę do opon przez pół godziny. Trzymając ją pod płaszczem, poruszałby się jak robot. Carbone na pewno by się zorientował. Więc przyjechali tutaj. Samochodem sprawcy. Miał broń pod kurtką albo na tylnym siedzeniu. Może leżały tam również nóż i jogurt.

- Skąd wyjechali?

- To nie ma znaczenia. W tym momencie obchodzi nas wyłącznie to, gdzie sprawca odjechał później. Jeśli miał samochód, nie ruszył w stronę ogrodzenia. Możemy założyć, że nie ma w nim dziur wielkości pojazdu. Może wielkości człowieka albo jelenia, lecz nic tak dużego, by można było przejechać ciężarówką albo samochodem.

- W porządku - powiedziałem.

- W związku z tym wrócił do bazy. Nie mógł pojechać gdzie indziej. Nie mógł po prostu jeździć w kółko. Odjechał tą drogą, zaparkował i poszedł sobie.

Pokiwałem głową. Spojrzałem na niebo na zachodzie. Odwróciłem się i spojrzałem na północ i wschód, tam, dokąd biegła z powrotem droga. Półtorej mili. Wyobraziłem sobie aerodynamikę pustego pojemnika po jogurcie. Z lekkiego plastiku, w kształcie kubka, z oderwanym częściowo foliowym zamknięciem, które łopocze niczym spadochron. Wyobraziłem sobie, jak go ciskam, mocno. Poleciałby i zatrzymał się w powietrzu. Pokonałby najwyżej dziesięć stóp. Droga długości półtorej mili, dziesięć stóp pobocza po lewej, od strony kierowcy. Poczulem, że szansę zwiększyły się do jednej tysięcznej. A potem zdałem sobie sprawę, że skurczyły się ponownie do jednej miliardowej.

- Mam dobrą i złą wiadomość - powiedziałem. - Ponieważ jeśli masz rację, to zmniejsza się teren poszukiwań o jakieś dziewięćdziesiąt pięć procent. Może jeszcze więcej. I to jest plus.

- Ale?

- Ale czy w ogóle wyrzucił pojemnik, jeśli jechał samochodem?

Summer się nie odezwała.

- Mógł go rzucić na podłogę - oznajmiłem. - Albo na tylne siedzenie.

- Nie zrobiłby tego, gdyby to był pojazd z kolumny transportu.

- Więc może zabrał go ze sobą i wyrzucił do śmietnika po tym, jak zaparkował. Albo zabrał go do domu.

- Może. Prawdopodobieństwo, że go wyrzucił, wynosi pięćdziesiąt procent.

- W najlepszym razie trzydzieści - odparłem.

- Tak czy owak powinniśmy szukać.

Pokiwałem głową, a potem złapałem dłońmi pałąk nad przednią szybą i zeskoczyłem na ziemię.

Był styczeń i warunki oceniałem jako całkiem dobre. Luty byłby lepszy. W umiarkowanym klimacie półkuli północnej wszelka wegetacja ustaje dopiero w lutym. Roślinności wtedy prawie nie widać. Ale styczeń też był w porządku. Zarośla były niskie, ziemia płaska i brązowa, koloru zeschniętych paproci i liści. Nie było śniegu. Teren był równy, neutralny i jednolity. Tworzył dobre tło. Uznałem, że pojemnik na jogurt powinien być jask-rawobiały. Względnie kremowy. Ewentualnie różowy, jeżeli jogurt jest truskawkowy albo malinowy. Tak czy inaczej powinien dobrze kontrastować z tłem. Nie będzie na przykład czarny. Nikt nie pakuje nabiału w czarne opakowania. Więc jeśli tam leży i podejdziemy blisko, znajdziemy go.

Sprawdziliśmy pas szerokości dziesięciu stóp dokoła miejsca zabójstwa. Nie znaleźliśmy niczego. Cofnęliśmy się więc do drogi i ruszyliśmy nią na północny wschód. Summer szła pięć stóp od prawego skraju drogi. Ja szedłem pięć stóp na prawo od niej. Rozglądając się na lewo i prawo, powinniśmy sprawdzić pas szerokości piętnastu stóp, w tym szczególnie dokładnie, bo używając dwóch par oczu, pięć stóp między nami, czyli tam, gdzie według mojej aerodynamicznej teorii powinien wylądować pojemnik.

Szliśmy powoli, dwa razy wolniej niż normalnie. Stawiałem krótkie kroki i wpadłem w swoisty rytm, obracając przy każdym z nich głowę. Robiąc to, czułem się dość głupio. Musiałem wyglądać jak pingwin. Ale metoda była skuteczna. Po chwili włączyłem jakby autopilota i ziemia pod stopami zaczęła mi się zlewać w jedną plamę. Nie widziałem pojedynczych liści, gałązek i źdźbeł trawy. Wyłączałem wszystko, co miało prawo tam być. Oczekiwałem, że coś, czego tam być nie powinno, rzuci mi się od razu w oczy.

Szliśmy tak przez dziesięć minut i niczego nie znaleźliśmy.

- Zamieniamy się? - zapytała Summer. Zamieniliśmy się miejscami i ruszyliśmy dalej.

Widzieliśmy

miliony ton leśnych odpadów i nic więcej. Bazy wojskowe utrzymywane są w idealnym porządku. Cotygodniowy patrol śmieciowy to świętość. Po drugiej stronie ogrodzenia potykałoby się o najróżniejsze rzeczy. Wewnątrz nie było niczego. Absolutnie. Szliśmy przez kolejne dziesięć minut, pokonując kolejne trzysta jardów, i ponownie zamieniliśmy się miejscami. Idąc powoli, trochę zmarzłem. Wlepiąłem wzrok w ziemię jak maniak. Uznałem, że właśnie teraz mamy

największe szansę. Półtorej mili to dwa tysiące sześćset czterdzieści jardów. Doszedłem do wniosku, że pierwsze i ostatnie kilkaset nie są zbyt obiecujące. Na początku facet będzie myślał wyłącznie o ucieczce. Później, blisko budynków zda sobie sprawę, że musi być opanowany, zwarty i gotowy. To właśnie środkowy odcinek był tym, na którym najprawdopodobniej pozbędzie się różnych rzeczy. Każdy rozsądny facet zatrzymałby się, wziął głęboki oddech i przemyślał sytuację. Otworzyłby szybę i poczuł na twarzy podmuch zimnego powietrza. Zwolniłem i spojrzałem jeszcze uważniej, na lewo i prawo, na lewo i prawo. Niczego nie zauważyłem.

- Czy był zakrwawiony? - zapytałem.

- Może trochę - odparła idąca po mojej prawej stronie Summer.

Nie spojrzałem na nią. Wbijałem wzrok w ziemię.

- Mógł mieć krew na rękawiczkach - dodała. - I na butach.

- Mniej, niż się spodziewał. Jeżeli nie był lekarzem, mógł się spodziewać obfitego krwawienia.

- Więc?

- Więc nie wziął samochodu z kolumny transportu. Spodziewał się krwi i bał się, że zabrudzi nią wnętrze pojazdu, którym ktoś mógł jechać następnego dnia.

- Skoro miał własny samochód, rzucił pojemnik na tylne siedzenie. W takim razie niczego tutaj nie znajdziemy.

Pokiwałem głową. Nie odezwałem się. Szedłem dalej.

Pokonaliśmy cały środkowy odcinek i niczego nie znaleźliśmy. Dwa tysiące jardów pełne materii organicznej i ani jednego wytworzonego przez człowieka przedmiotu. Ani jednego peta, ani jednego papierka, ani jednej zardzewiałej puszki lub butelki. To naprawdę dobrze świadczyło o komendancie. Ale było bardzo frustrujące. Zatrzymaliśmy się, widząc stojące w odległości trzystu jardów budynki bazy.

- Chcę się cofnąć - powiedziałem. - Chcę jeszcze raz sprawdzić środkową część.

- Dobrze - odparła. - W tył zwrot.

Odwróciła się i zamieniliśmy się miejscami. Zdecydowaliśmy, że będziemy pokonywać trzystujardowe odcinki w odwrotnym ustawieniu. Tam gdzie poprzednio szedłem bliżej drogi, teraz szedłem bardziej z boku i vice versa. Bez jakiegoś wyraźnego powodu uznaliśmy po prostu, że patrzymy na świat z różnych perspektyw i powinniśmy się zamienić. Byłem o ponad stopę wyższy od niej i proste prawa trygonometrii powodowały, że widziałem o stopę dalej w każdym kierunku. Summer miała głowę bliżej ziemi i twierdziła, że ma oko do szczegółów.

Szliśmy z powrotem powoli, nie przyspieszając.

Nic na pierwszym odcinku. Zmieniliśmy się. Byłem teraz dziesięć stóp od drogi. Spoglądałem w lewo i prawo. Wiatr wiał

nam w twarz i oczy zaczęły mi łzawić z zimna. Włożyłem ręce do kieszeni.

Nic na drugim odcinku. Ponownie zamieniliśmy się miejscami. Teraz szedłem pięć stóp od drogi, równoległe do jej skraju. Nic na trzecim odcinku. Kolejna zmiana. Idąc, liczyłem w pamięci. Do tej pory sprawdziliśmy pas szerokości piętnastu stóp na długości dwóch tysięcy trzystu czterdziestu jardów. To dawało jedenaście tysięcy siedemdziesiąt jardów kwadratowych, czyli trochę ponad dwa i cztery dziesiąte akra. Prawie dwa i pół akra na sto tysięcy. Szansę jak jeden do czterdziestu tysięcy. Wyższe, niż kiedy jedzie się do miasta i wydaje dolara na loterię. Ale niewiele wyższe.

Szliśmy dalej. Wiatr wiał coraz mocniej i byliśmy coraz bardziej zziębnięci. Niczego nie zobaczyliśmy.

I nagle coś dostrzegłem.

Daleko po mojej prawej stronie. Może dwadzieścia stóp ode mnie. To nie był pojemnik po jogurcie. Coś innego. O mało tego nie zignorowałem, ponieważ leżało daleko poza strefą prawdopodobieństwa. Żaden lekki, nieaerodynamiczny plastikowy przedmiot nie doleciałby tak daleko, wyrzucony przez okno z jadącego drogą samochodu. Dlatego moje oczy dostrzegły go, a mózg przetworzył informację i natychmiast ją odrzucił na podstawie zaprogramowanego algorytmu.

A potem wrócił do niej. Kierowany czysto zwierzęcym instynktem.

Ponieważ przedmiot wyglądał jak wąż. Jaszczurcza część mego mózgu szepnęła „wąż” i targnął mną pierwotny lęk, dzięki któremu dawno temu przeżyli moi pozostający na niższych szczeblach ewolucji przodkowie. To wszystko trwało ułamek sekundy. Lęk został natychmiast ukojony. Nowoczesna, wykształcona część mojego umysłu wystąpiła do przodu i powiedziała: „W styczniu nie ma tu węży, chłopie. O wiele za zimno”. Wypuściłem z ust powietrze, dałem następny krok do przodu, a potem stanąłem i zerknąłem w tamtą stronę z czystej ciekawości.

W zeschłej trawie widać było czarny zakrzywiony przedmiot. Pasek? Ogrodowy wąż? Ale ten przedmiot leżał między sztywnymi brązowymi łądogami głębiej, niż mogłoby leżeć coś zrobionego ze skóry, tkaniny lub gumy. Tkwił na samym dole, przy korzeniach. Zatem był ciężki. Musiał być ciężki, skoro przeleciał tak daleko od drogi. Czyli był metalowy. Pełny, nie rurkowy. Z tego względu wydawał się obcy. Sprzęt wojskowy rzadko kiedy jest zakrzywiony.

Podszedłem bliżej. Przykucnąłem.

To był łom.

Pomalowany na czarno łom umazany na jednym z końców krwią, do której przylepiły się włosy.

Zostałem przy nim i posłałem Summer po nasz samochód. Musiała do niego przez całą drogę biec, bo wróciła wcześniej, niż się spodziewałem, lekko zdyszana.

- Mamy torebki na dowody rzeczowe? - zapytałem.

- To nie jest dowód rzeczowy - odparła. - Wypadki podczas szkolenia nie wymagają zbierania dowodów rzeczowych.

- Nie mam zamiaru iść z tym do sądu - rzekłem. - Nie chcę po prostu dotykać tego łomu. Nie chcę, żeby były na nim moje odciski palców. To mogłoby dać Willardowi do myślenia.

Summer zajrzała do bagażnika.

- Nie ma torebek - oznajmiła.

Nie odpowiedziałem. Normalnie traktuje się dowody rzeczowe z wyjątkową ostrożnością, żeby nie znalazły się na nich inne odciski, włosy lub włókna. Mogłoby to wpłynąć na wyniki śledztwa. Jeśli policjant nie dochowa tych zasad, może nieźle oberwać od prokuratora. Tym razem, ze względu na Willarda, motywacja musiała być inna. Gdybym skrewił, mogło mnie to zaprowadzić na ławę oskarżonych. Okazja, fizyczna zdolność, motyw oraz moje odciski palców na broni. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Gdyby wersja wypadku na szkoleniu nie przeszła, Willard wykorzystałby wszystko, co wpadłoby mu w ręce.

- Moglibyśmy tu sprowadzić technika - powiedziała Summer.

Stała dokładnie za moimi plecami. Wyczuwałem jej obecność.

- Nie mogę angażować w to nikogo więcej - odparłem. - Nie chcę nawet angażować ciebie.

Obeszła mnie, przykucnęła obok i wygładziła żdźbła trawy rękoma, żeby mieć lepszy widok.

- Nie dotykaj tego - mruknąłem.

- Nie miałam takiego zamiaru.

Przyjrzelśmy się oboje z bliska łomowi. Był wykuty ze stalowego ośmiokątnego pręta i wyglądał na narzędzie wysokiej jakości. Fabrycznie nowe. Pomalowany błyszczącą czarną farbą z rodzaju tych, którymi ludzie malują łodzie albo samochody, kształtem przypominał nieco altowy saksofon. Główny trzon długości mniej więcej trzech stóp był skrzywiony w literę S, nieznacznie z jednej strony i bardziej z drugiej. Oba końce były spłaszczone i miały pośrodku nacięcie do wyciągania gwoździ z drewnianych desek. Cały łom odznaczał się opływową, dopracowaną, prostą i brutalną formą.

- Prawie nieużywany - powiedziała Summer.

- Nigdy nieużywany. Przynajmniej na budowie - odparłem i wyprostowałem się. - Nie musimy zdejmować z niego odcisków palców. Możemy założyć, że facet miał rękawiczki, kiedy go używał. Summer stanęła obok mnie.

- Grupa krwi też nie jest nam potrzebna - doszła do wniosku. - Możemy założyć, że to krew Carbone'a.

Nie odezwałem się.

- Moglibyśmy to po prostu tu zostawić - dodała.

- Nie - powiedziałem. - Tego nie możemy zrobić. Nachyliłem się, rozwiązałem sznurowadło prawego buta,

wyciągnąłem je z dziurek i związałem węzłem marynarskim w pętlę o średnicy mniej więcej piętnastu cali. Założyłem ją na prawą dłoń i przesunąłem dolną część po ziemi, aż zaczepiła się o końcówkę łomu. Wówczas zacisnąłem pięść, podniosłem ostrożnie z trawy ciężkie stalowe narzędzie i stanąłem z nim niczym przechwalający się złowioną rybą wędkarz.

- Chodźmy - powiedziałem i trzymając kołyszący się łagodnie w powietrzu łom, pokuśtykałem w rozsznurowanym bucie do samochodu. Siadając na przednim fotelu tuż przy tunelu wału napędowego, oparłem łom o podłogę tak, żeby nie dotykał moich nóg podczas jazdy.

- Dokąd? - zapytała Summer.

- Do kostnicy - zarządziłem.

Miałem nadzieję, że patolog i jego ekipa będą jedli śniadanie, ale wszyscy siedzieli w budynku i pracowali. Na samego lekarza natknęliśmy się w holu wejściowym. Niósł dokądś teczkę z aktami. Spojrzał na nas, a potem na dyndające na moim sznurowadle trofeum. Zajęło mu pół sekundy zrozumienie, co to jest, a drugie pół, że stawia to nas wszystkich w bardzo niezręcznej sytuacji.

- Możemy przyjść później - zasugerowałem. Kiedy pana nie będzie.

- Nie. Chodźmy do mojego gabinetu - odparł i ruszył przodem. Był niskim, śniadym mężczyzną z krótkimi nogami, energicznym, kompetentnym, trochę starszym ode mnie. Wydawał się dość miły. I domyślałem się, że nie jest głupi. Medycy na ogół nie są głupi. Zanim staną się tym, kim chcą zostać, muszą się wyuczyć wielu skomplikowanych rzeczy. I domyślałem się, że nie jest niemoralny. Medycy bardzo rzadko są niemoralni. W głębi serca są naukowcami, a naukowcy przejawiają na ogół zainteresowanie faktami i cenią sobie prawdę. Albo odznaczają się przynajmniej jakimś rodzajem wrodzonej ciekawości. Wszystko to dobrze rokowało, ponieważ nastawienie tego faceta było kluczowe. Mógł usunąć się nam z drogi, ale mógł też nas wydać, wykonując jeden telefon.

Jego gabinet mieścił się w zwykłym kwadratowym pokoju, wypełnionym stalowymi szarymi biurkami i szafkami na akta. Było w nim dość ciasno. Na ścianach wisiały oprawione w ramki dyplomy, półki ugięły się pod ciężarem książek i podręczników. Nie było żadnych okazów w słojach. Żadnych dziwnych rzeczy zamarynowanych w formaldehydzie. Równie dobrze mógł to być gabinet wojskowego prawnika - o tym, że jest inaczej, świadczyły tylko dyplomy wydane przez szkoły medyczne, nie prawnicze.

Patolog usiadł na obrotowym krześle i położył akta na biurku. Summer zamknęła drzwi i oparła się o nie. Ja stanąłem pośrodku gabinetu z łomem wiszącym w powietrzu. Wszyscy przyglądaliśmy się sobie. Czekaliśmy, kto zrobi pierwszy ruch.

- Carbone zginął w wypadku podczas szkolenia - oświadczył doktor, jakby przesuwając swój pionek o dwa pola do przodu.

Pokiwałem głową.

- Nikt tego nie kwestionuje - odparłem, jakbym przesuwając własny pionek.

- Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy - rzekł doktor. Powiedział to jednak takim tonem, jakby trudno mu było

uwierzyć, że takie kanty są możliwe.

Usłyszałem, że Summer wypuszcza z płuc powietrze. Najwyraźniej zyskaliśmy sojusznika. Był to jednak sojusznik, który nie za bardzo chciał się angażować. Sojusznik, który chciał się z nami bawić w skomplikowane szarady. I nie mogłem go o to zbyt winić. W zamian za czesne musiał odsłużyć kilka lat w wojsku. Dlatego był ostrożny. Dlatego był sojusznikiem, którego życzenia musieliśmy respektować.

- Carbone upadł i uderzył się w głowę - powiedziałem. - Sprawa jest zamknięta. Zwyczajny

wypadek, bardzo niefortunny dla wszystkich zainteresowanych.

- Ale?

Podniosłem trochę wyżej łom.

- Wydaje mi się, że to jest przedmiot, o który uderzył się głową.

- Trzy razy?

- Być może parę razy się odbił. Może pod liśćmi były

zeschłe gałęzie, które sprawiły, że ziemia była nieco sprężysta, tak jak trampolina.

- O tej porze roku teren może być zdradliwy - przytaknął doktor.

- Śmiertelnie zdradliwy - dodałem i opuściłem niżej łom. Czekałem.

- Dlaczego pan to tutaj przyniósł? - zapytał doktor.

- Być może do wypadku przyczyniło się czyjeś zaniedbanie - wyjaśniłem. - Ten, kto zostawił to w miejscu, w którym przewrócił się Carbone, zasłużył sobie być może na reprimendę.

Doktor pokiwał ponownie głową.

- Zaśmiecanie bazy to poważne wykroczenie - rzucił.

- W naszej armii - dodałem.

- Co pan chce, żebym zrobił?

- Nic - odparłem. - Przyszliśmy po prostu, żeby panu pomóc. Ponieważ sprawa jest zamknięta, uznaliśmy, że nie zechce pan zagracać gabinetu tymi gipsowymi odciskami, które pan zrobił. Okolicy rany. Uznaliśmy, że możemy pana wyręczyć i wyrzucić je do śmieci.

Doktor po raz trzeci pokiwał głową.

- Rzeczywiście, moglibyście mnie wyręczyć - powiedział. - Zaoszczędziłoby mi to fatygi.

Przez dłuższy czas w ogóle się nie odzywał. A potem odsunął od siebie akta, otworzył jakąś szufladę, położył na blacie arkusze czystego białego papieru i poukładał na nim sześć szkiełek laboratoryjnych.

- Ten przedmiot wydaje się ciężki - powiedział do mnie.

- Jest ciężki - potwierdziłem.

- Może go pan gdzieś położy. Da odpocząć ramionom.

- To rada lekarza?

- Mógłby uszkodzić pan sobie więzadła.

- Gdzie mógłbym go położyć?

- Na jakiegokolwiek płaskiej powierzchni, którą ma pan w zasięgu wzroku.

Dałem krok do przodu i położyłem ostrożnie łom na biurku,

na arkuszach papieru i szkiełkach laboratoryjnych. Wysunąłem spod niego pętlę i rozwiązałem węzeł. Ukucnąłem, przewlokłem ponownie sznurowadło przez wszystkie dziurki buta i zawiązałem go. Podnosząc wzrok, zobaczyłem, że doktor wziął do ręki szkiełko laboratoryjne i poskrobał nim koniec łomu w miejscu, w którym były zlepione krwią włosy.

- Niech to szlag. Pobrudziłem to szkiełko. To z mojej strony gruba nieostrożność - powiedział, po czym popełnił tę samą nieostrożność z pięcioma kolejnymi szkiełkami. - Czy interesują nas odciski palców? - zapytał.

Potrząsnąłem głową.

- Zakładamy, że użyto rękawiczek - odpowiedziałem.

- Powinniśmy to chyba sprawdzić - odparł. - Zaniedbanie, które przyczyniło się do wypadku, to poważna sprawa.

Doktor wysunął kolejną szufladę, wyciągnął lateksową rękawiczkę z pudełka, naciągnął ją na dłoń, wzbijając w górę obłoczek talku, po czym wziął łom i wyszedł z gabinetu.

Wrócił po niespełna dziesięciu minutach. Nadal miał na dłoni rękawiczkę. Łom był wymyty do czysta, pokrywająca go czarna farba lśniła. Można by pomyśleć, że jest całkiem nowy.

- Żadnych odcisków - oświadczył doktor.

Położył łom na swoim krześle, po czym wysunął szufladę z szafki na akta i wyjął z niej proste pudełko z brązowej tektury. Otworzył je i wyciągnął dwa kredowobiałe gipsowe odlewy. Oba

miały mniej więcej sześć cali długości oraz nazwisko Carbone zapisane ręcznie czarnym tuszem na odwrocie. Jeden był pozytywem, utworzonym przez przyłożenie mokrego gipsu do rany, drugi negatywem utworzonym poprzez przyłożenie mokrego gipsu do pozytywu. Negatyw pokazywał kształt rany, którą zadała broń, pozytyw kształt samej broni.

Doktor położył pozytyw na krześle równoległe do łomu. Odlew był biały i miał niewielkie dziurki powstałe w procesie formowania, ale poza tym odwzorowywał kształt gładkiego czarnego żelaza. Był identyczny. Ten sam przekrój, ta sama grubość, te same kontury.

Doktor położył na biurku negatyw. Był trochę większy i mniej równy od pozytywu. Stanowił dokładną replikę tylnej części rozbitej głowy Carbone'a. Doktor wziął do ręki łom. Zważył go w dłoni. Uniósł go na próbę. Opuścił bardzo powoli, pozorując pierwsze uderzenie. A potem zrobił to ponownie, pozorując drugie. I po raz trzeci, pozorując ostatnie. Dotknął łomem gipsu. Trzecia i czwarta rana były najlepiej zarysowane. W odlewie widniało w tym miejscu wyraźne, głębokie na trzy czwarte cała zagłębienie. Łom idealnie do niego pasował.

- Sprawdzę krew i włosy - powiedział doktor. - Choć w zasadzie wiemy już, jakie będą wyniki.

Podniósł łom i ponownie go opuścił. Żelazo weszło precyzyjnie i głęboko w odlew. Doktor przez chwilę ważył je w dłoni, a potem złapał przy prostszym końcu i zamachnął się, niczym baseballista szykujący się do odbicia szybkiej piłki. A potem zamachnął się ponownie, silniej, jakby chciał zadać krótki mocny cios. Łom wydawał się w jego rękach wielki. Wielki i trochę za ciężki. Trudny do opanowania.

- Bardzo silny mężczyzna - oświadczył. - Energiczny zamach. Duży, wysoki facet, praworęczny i bardzo silny. Ale można chyba tak opisać wiele osób w tej bazie.

- Nie było żadnego faceta - odparłem. - Carbone upadł i uderzył się w głowę.

Doktor uśmiechnął się lekko i znowu zważył łom w dłoniach.

- Na swój sposób jest elegancki. Czy to nie brzmi dziwnie? Wiedziałem, co ma na myśli. To był ładny kawałek stali: miał

wszystko, czego trzeba, żadnych zbędnych rzeczy. Podobnie jak rewolwer Colt Detective Special, nóż Ka-Bar albo karaluch.

Doktor wsunął go do długiej stalowej szuflady. Metal zazgrzytał o metal, a potem rozległ się stłumiony brzęk, kiedy go puścił i łom pokonał ostatni cal.

- Przechowam go tutaj - powiedział. - Jeśli pan chce. Tak będzie bezpieczniej.

- W porządku - odparłem. Doktor zasunął szufladę.

- Jest pan praworęczny? - zapytał.

- Tak, jestem.

- Pułkownik Willard powiedział, że pan to zrobił. Aleja mu nie wierzę.

- Dlaczego?

- Był pan bardzo zaskoczony, kiedy zobaczył pan, kto to jest. Kiedy naciągnąłem z powrotem jego twarz na czaszkę. Widać było u pana wyraźną reakcję. Ludzie nie potrafią udawać takich rzeczy.

- Powiedział pan o tym Willardowi? Doktor pokiwał głową.

- Niezbyt to pasowało do jego teorii. Ale specjalnie się nie zniechęcił. I jestem pewien, że ma już kolejną teorię, która to tłumaczy.

- Będę na siebie uważał - odparłem.

- Przyszło również do mnie kilku sierżantów Delty. Rozeszły się plotki. Moim zdaniem powinien pan na siebie bardzo uważać.

- Taki mam plan.

- Naprawdę bardzo uważać - zaznaczył doktor.

Wsiedliśmy z powrotem do hunwee. Summer włączyła silnik, wrzuciła bieg i czekała, wciskając hamulec.

- Do służby kwatermistrzostwa - zarządziłem.

- To nie był sprzęt wojskowy - odparła.

- Wydawał się drogi. Wystarczająco drogi dla Pentagonu.



- Byłby zielony. Pokiwałem głową.
- Prawdopodobnie. Ale musimy to sprawdzić. Wcześniej czy później musimy mieć wszystko elegancko poukładane.

Summer zdjęła stopę z hamulca i ruszyła do budynku kwatermistrzostwa. Przebywała w Bird o wiele dłużej ode mnie i wiedziała, gdzie co się mieści. Zaparkowała przed budynkiem typowego magazynu. Wiedziałem, że w środku będzie długa lada, a za nią niedostępny dla postronnych osób skład wypełniony wielkimi belami ubrań, oponami, kocami, niezbędnikami, saperkami i innego rodzaju sprzętem.

Weszliśmy do środka i zastaliśmy za ladą młodego faceta w nowym mundurze polowym - pogodnego, karmionego kukurydzą wiejskiego chłopaka. Sprawiał wrażenie, jakby pracował w sklepie żelaznym swojego taty i jakby to było jego życiowe marzenie. Tryskał entuzjazmem. Powiedziałem mu, że interesuje nas sprzęt budowlany. Otworzył katalog wielkości ośmiu ksiązek telefonicznych. Znalazł odpowiedni dział. Zapytałem go o łomy. Polizał palec, odwrócił kilka stron i znalazł dwie pozycje. Łom, ogólnego użytku, długi, z odgiętym jednym końcem oraz łom, ogólnego użytku, krótki, z dwoma odgiętymi końcami. Poprosiłem, żeby pokazał nam egzemplarz drugiego.

Zostawił nas i znikł między wysokimi regałami. Czekaliśmy, wdychając charakterystyczny dla wojskowych magazynów zapach starego kurzu, świeżej gumy i wilgotnej bawełny. Wrócił po pięciu minutach z armijnym łomem i z głuchym łupnięciem położył go na ladzie. Summer miała rację. Łom był pomalowany na kolor oliwkowozielony. I kompletnie różnił się od tego, który zostawiliśmy w gabinecie patologa. Miał inny przekrój, był o sześć cali krótszy, trochę cieńszy, trochę inaczej wygięty. Sprawiał wrażenie starannie zaprojektowanego. Stanowił prawdopodobnie doskonały przykład tego, jak to się robi w wojsku. Przed laty zajmował pewnie dziewięćdziesiątą dziewiątą pozycję na sporządzonej przez kogoś liście nowego wyposażenia. Powołana została podkomisja, w skład której wchodziłi eksperci z dawnych batalionów saperskich. Opracowano specyfikację określającą długość, wagę i trwałość. Zbadano zmęczenie materiałowe metalu. Rozważono obszary zastosowania. Oceniono stopień łamliwości podczas mroźnych zim w północnej Europie. Wzięto pod uwagę plastyczność w gorącym równikowym klimacie. Sporządzono dokładne rysunki. Następnie ogłoszono przetarg. Fabryki w Pensylwanii i Alabamie dostarczyły koszt

torisy. Wykuto prototypy, które intensywnie i wyczerpująco przetestowano. Do produkcji zakwalifikowano tylko jeden zwycięski produkt. Dostarczono farbę, po czym dokładnie określono i starannie monitorowano jej gęstość oraz sposób, w jaki została nałożona. Następnie o całej sprawie kompletnie zapomniano. Ale efekt tych długich deliberacji wciąż był produkowany, w tysiącach egzemplarzy rocznie bez względu na to, czy był potrzebny, czy nie.

- Dziękuję, żołnierzu - powiedziałem.

- Chcecie go zabrać? - zapytał.

- Nie, chcieliśmy go tylko zobaczyć.

Wróciliśmy do mojego gabinetu. Był późny ranek szarego dnia i ogarnęło mnie poczucie bezcelowości. Jak dotąd nowa dekada nie okazała się dla mnie zbyt udana. W tym momencie, po sześciu dniach jej trwania, nie byłem wielkim fanem lat dziewięćdziesiątych.

- Napiszesz raport o wypadku? - zapytała Summer.

- Dla Willarda? Jeszcze nie.

- Dzisiaj się go spodziewa. Pokiwałem głową.

- Wiem. Ale chcę, żeby jeszcze raz mnie o niego poprosił.

- Dlaczego?

- Chyba dlatego, że to fascynujące doświadczenie. Podobne do obserwowania robaków rojących się w czymś, co zdechło.

- Co takiego zdechło?

- Mój entuzjazm, żeby wstać z łóżka dziś rano.

- Jedno zepsute jabłko niewiele znaczy.
  - Może - odparłem. - Jeżeli to tylko jedno jabłko. Nie odezwała się.
  - Łomy - powiedziałem. - Mamy dwie oddzielne sprawy, w których występują łomy, a ja nie lubię zbiegów okoliczności. Nie widzę jednak, co może je łączyć. Nie sposób ich ze sobą powiązać. Carbone'a dzieliły całe miliony mil od pani Kramer, w każdym możliwym sensie. Żyli w kompletnie różnych światach.
  - Łączą ich Vassell i Coomer - powiedziała. - Interesowało ich to, co mogło się znajdować w domu pani Kramer, i byli tu w Fort Bird w czasie, gdy zamordowano Carbone'a. Pokiwałem głową.
  - To właśnie doprowadza mnie do szaleństwa - przyznałem. - To idealny związek, ale nic z niego nie wynika. Odebrali tylko jeden telefon w Waszyngtonie, byli za daleko, żeby zrobić coś osobiście pani Kramer, i nie zadzwonili do nikogo z hotelu. I to prawda, byli tutaj wieczorem, kiedy zginął Carbone, ale siedzieli w klubie oficerskim i jedli stek i rybę, co może poświadczyć kilkunastu świadków.
  - Kiedy znaleźli się tu za pierwszym razem, mieli kierowcę. Majora Marshalla, pamiętasz? A za drugim razem przyjechali sami. To wydaje mi się trochę tajemnicze. Jakby przybyli tu z jakiegoś sekretnego powodu.
  - Nie ma nic tajemniczego w siedzeniu w barze, a potem jedzeniu kolacji w restauracji klubu oficerskiego. Przez cały czas byli na widoku.
  - Ale dlaczego nie mieli kierowcy? Dlaczego przyjechali sami? Zakładam, że Marshall był z nimi na pogrzebie. Mimo to woleli przejechać sami ponad trzysta mil? A potem trzysta mil z powrotem?
  - Może Marshall nie mógł z nimi jechać.
  - Jest ich ulubieńcem. Jest do dyspozycji, kiedy tylko chcą.
  - Po co tu w ogóle przyjechali? Wyprawili się bardzo daleko, żeby zjeść zwykłą kolację.
  - Przyjechali po teczkę, Reacher. Norton się myli. Musi się mylić. Ktoś im ją dał. Wyjechali stąd z nią.
  - Nie sądzę, żeby Norton się myliła. Przekonała mnie.
  - Więc może odebrali ją na parkingu. Norton nie musiała tego widzieć. Zakładam, że nie wyszła na ziąb, żeby im pomachać. Ale wyjechali z teczką, to pewne. Po co mieliby w innym razie wracać szczęśliwi do Niemiec?
  - Może dali sobie po prostu spokój. I tak musieli zresztą wrócić do Niemiec. Nie mogli tu siedzieć bez końca. Muszą teraz walczyć o schedę po Kramerze.
- Summer milczała.
- Nieważne - mruknąłem. - Między jedną a drugą sprawą nie ma żadnego związku.
  - Wszystko jest dziełem przypadku. Pokiwałem głową.
  - Zajmiemy się nimi później. Carbone jest ważniejszy.
  - Czy wrócimy tam poszukać pojemnika po jogurcie?
  - Nie. Jest w samochodzie sprawcy albo w jego śmieciach.
  - Mógłby nam się przydać.
  - Zamiast tego zajmiemy się łomem. Jest fabrycznie nowy. Został prawdopodobnie kupiony w tym samym czasie co jogurt.
  - Nie mamy ludzi.
  - Załatwi to dla nas detektyw Clark z Green Valley. W tym momencie szuka prawdopodobnie swojego łomu. Sprawdza sklepy z artykułami żelaznymi. Poprosimy, żeby poszerzył krąg i ramy czasowe poszukiwań.
  - To dla niego mnóstwo dodatkowej roboty. Pokiwałem głową.
  - Musimy zaproponować mu coś w zamian. Musimy go trochę nabrać. Powiemy, że pracujemy nad czymś, co może mu się przydać.
  - Na przykład? Uśmiechnąłem się.
  - Wymyślimy coś. Możemy mu podrzucić nazwisko Andrei Norton. Pokażemy mu, jaka z nas

kochająca rodzina.

Zadzwoiłem do detektywa Clarka. Nie podałem mu nazwiska Andrei Norton. Zamiast tego uraczyłem go kilkoma kłamstwami. Powiedziałem mu, że przypomniałem sobie uszkodzenia na drzwiach pani Kramer i rany na jej głowie i uznałem, że musiano je zadać łomem, a tak się składa, że mieliśmy szereg włamań

w bazach wzdłuż wschodniego wybrzeża, w trakcie których również użyto łomów, więc czy w związku z tym nie moglibyśmy skorzystać z wyników jego poszukiwań, które niewątpliwie prowadził, starając się ustalić pochodzenie broni z Green Valley. Clark nic na to nie odpowiedział, a ja przerwałem milczenie, mówiąc mu, że w wojskowych składach nie mamy aktualnie ogólnie dostępnych łomów, w związku z czym jestem przekonany, że nasi sprawcy mieli cywilne źródło zaopatrzenia. Następnie zacząłem głądzić o tym, że nie chcemy dublować jego wysiłków, ponieważ mamy bardziej obiecującą linię śledztwa, na której pragnęlibyśmy się skupić. Clark nadal się nie odzywał, czekając jak każdy gliniarz, żebym powiedział, co konkretnie mam do zaoferowania. Powiedziałem mu, że kiedy będziemy mieć już nazwisko, profil albo rysopis, on też je dostanie, tak szybko, jak dane idą faksem. Wtedy się ożywił. Był zdesperowany, stał w miejscu. Zapytał, czego dokładnie chcę. Powiedziałem, że bardzo by nam pomógł, poszerzając swoje poszukiwania do promienia trzystu mil wokół Green Valley i sprawdzając zakupy w sklepach z artykułami żelaznymi dokonane pomiędzy sylwestrowym wieczorem a na przykład czwartym stycznia.

- Na czym polega wasza obiecująca linia śledztwa? - zapytał.

- Całkiem prawdopodobne, że sprawa pani Kramer ma coś wspólnego z wojskiem. Niewykluczone, że podamy wam sprawcę na talerzu.

- Naprawdę by mi się to spodobało - oznajmił.

- Kooperacja - powiedziałem. - Dzięki niej kręci się ten świat.

- Jasna sprawa - zgodził się.

Robił wrażenie uszczęśliwionego. Kupił wszystko, co mu powiedziałem. Obiecał, że poszerzy poszukiwania i będzie mnie informował na bieżąco. Odłożyłem słuchawkę i telefon natychmiast zadzwonił ponownie. Odebrałem go i usłyszałem głos kobiety: ciepły, intymny, z południowym akcentem. Poprosiła mnie o 10-33 i 10-16 z komendy żandarmerii w Fort Jackson, co oznaczało, żebym był gotowy na odbiór szyfrowanego połączenia od mojego odpowiednika w Karolinie Południowej. Trzymając przy uchu słuchawkę, słyszałem przez chwilę elektroniczny szum. A potem rozległo się głośne kliknięcie i mój odpowiednik z Karoliny Południowej oznajmił, że pułkownik David C. Bru-baker, komendant sił specjalnych w Fort Bird, został znaleziony dziś rano z dwoma pociskami w głowie w alejce zakazanej dzielnicy Columbii, która jest stolicą Karoliny Południowej i leży dwieście mil od hotelu z polem golfowym w Karolinie Północnej, gdzie pułkownik spędzał ferie świąteczne wraz z żoną. I według miejscowych ratowników nie żył już od dwóch dni.

14

Mój odpowiednik w Fort Jackson nazywał się Sanchez. Znałem go dość dobrze i zdecydowanie lubiłem. Był sprytny i znał się na tym, co robił. Przetawiałem telefon na tryb głośnomówiący, żeby Summer mogła wziąć udział w rozmowie, i gawędziliśmy przez chwilę o jurysdykcji. Robiliśmy to bez większego entuzjazmu. Jurysdykcja zawsze stanowi szarą strefę i wiedzieliśmy, że stoimy tutaj na z góry przegranej pozycji. Brubaker był na wakacjach, ubrany po cywilnemu, znaleziono go w alejce w mieście i z tego względu rościła sobie do niego prawa policja z Columbii. Nie mogliśmy na to nic poradzić. Policja z Columbii zawiadomiła w dodatku FBI, ponieważ Brubakera widziano po raz ostatni w ośrodku golfowym w Karolinie Północnej i nadawało to sprawie wymiar międzystanowy, co automatycznie włączało w sprawę Biuro. Każdy żołnierz jest poza tym, formalnie rzecz biorąc, pracownikiem państwowym, a zabójstwo pracownika państwowego jest ścigane z osobnego paragrafu, co dawało im sposobność dodatkowego oskarżenia sprawcy, gdyby

jakimś cudem udało się go złapać. Ani Sancheza, ani mnie, ani Summer nie obchodziły różnice między sądami stanowymi i federalnymi, ale wszyscy wiedzieliśmy, że jeśli sprawą zajęło się FBI, znalazła się kompletnie poza naszym zasięgiem. Zgodziliśmy się, że w najlepszym razie mogą nam udostępnić swoją dokumentację,

a i to wyłącznie dla celów informacyjnych i z czystej kurtuazji. W tym momencie Summer skrzywiła się i odwróciła, a ja wyłączyłem tryb głośnomówiący, podniosłem słuchawkę i ponownie zacząłem rozmawiać z Sanchezem bez świadków.

- Co ci mówi intuicja? - zapytałem go.

- To był ktoś, kogo znał - odparł Sanchez. - Nielatwo zaskoczyć w alejce tak dobrego żołnierza Deltę, jakim był Brubaker.

- Jaka broń?

- Ratownicy uważają, że to był pistolet kalibru dziewięć milimetrów. Można im wierzyć, bo oglądają dużo ran postrzałowych. W tej części miasta mają najwyraźniej dużo interwencji w każdy piątek i sobotę.

- Dlaczego tam się znalazł?

- Nie mam pojęcia. Najprawdopodobniej z kimś się umówił. Z kimś, kogo znał.

- Kiedy to było?

- Ciało jest zimne jak kamień, skóra lekko zielonkawa, stężenie ustąpiło. Twierdzą, że od dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin. Możemy to śmiało wypośrodkować. Powiedzmy, że doszło do tego przedwczoraj w środku nocy. Może o trzeciej albo czwartej nad ranem. Znaleźli go śmieciarze dziś o dziesiątej rano. Cotygodniowy wywóz śmieci.

- Gdzie byłś dwudziestego ósmego grudnia?

- W Korei. A ty?

- W Panamie.

- Dlaczego nas przenieśli?

- Wciąż myślę, że niedługo się dowiemy - odparłem.

- Dzieje się coś dziwnego - stwierdził Sanchez. - Sprawdziłem, bo byłem ciekaw, i okazało się, że to dotyczy ponad dwudziestu z nas, na całym świecie. I na wszystkich rozkazach jest podpis Garbera, ale nie sądzę, żeby był autentyczny.

- Na pewno nie jest autentyczny - powiedziałem. - Dzieje się coś u ciebie poza tą historią z Brubakerem?

- Zupełnie nic. Najspokojniejszy tydzień w mojej karierze.

Rozłączyliśmy się. Przez dłuższy czas siedziałem bez ruchu. Columbia w Karolinie Południowej leży jakieś dwieście mil od Fort Bird. Trzeba pojechać na południowy zachód autostradą, przekroczyć granicę stanu, znaleźć biegnącą na zachód I-20 i niedługo jest się na miejscu. Zwłoki Carbone'a znaleźliśmy przedwczoraj w nocy. Wszedłem z gabinetu Andrei Norton zaraz po drugiej nad ranem. Do tego momentu mogła mi dać alibi. Potem o siódmej zjawiłem się w kostnicy, żeby być świadkiem sekcji. Mógł to potwierdzić lekarz. Miałem więc alibi do późnych godzin nocnych i od rana. Nie miałem go jednak w ciągu pięciu godzin między drugą i siódmą, a właśnie w tym czasie zginął Brubaker. Czy mogłem w pięć godzin przejechać czterysta mil i z powrotem?

- Co jest? - zapytała Summer.

- Chłopcy z Deltę są przekonani, że to ja załatwiłem Carbone'a. Zastanawiam się, czy nie dojdą do wniosku, że ukatrupiłem również Brubakera. Czy twoim zdaniem można przejechać czterysta mil w pięć godzin?

- Ja chyba dałabym radę - odparła. - Średnia prędkość podróżna osiemdziesiąt mil na godzinę. Zależy oczywiście od rodzaju samochodu, którym bym jechała, konstrukcji drogi, ruchu, pogody i gliniarzy. Tak czy inaczej to możliwe.

- Wspaniale.

- Ale trudne.

- Lepiej żeby takie było. Zabicie Brubakera to dla nich jak targnięcie się na samego Boga.

- Pojedziesz tam przekazać im wiadomość? Pokiwałem głową.

- Chyba będę musiał. To kwestia szacunku. Ale ty poinformuj za mnie komendanta, dobrze?

Adiutant sił specjalnych był dupkiem, ale również człowiekiem. Kiedy powiedziałem mu o Brubakerze, zastygł w bezruchu i mocno pobałdł, co świadczyło nie tylko o obawach przed biurokratycznymi komplikacjami. Z tego, co słyszałem, Brubaker był surowy, wyniosły i autorytarny, ale traktował żołnierzy i całą jednostkę jak ojciec. I był ojcem jednostki, jeśli chodziło o jej koncepcję. Siły specjalne, a zwłaszcza Delta Force, nie były zawsze popularne w Pentagonie i na Kapitolu. Armia nie znosi zmian i bardzo długo przyzwyczajają się do nowych rzeczy. Pomysł bandy niesubordynowanych tropicieli i zabójców początkowo niezbyt dobrze się sprzedawał, a Brubaker był jednym z tych, którzy zajmowali się sprzedażą, i od tego czasu nigdy nie odpuścił. Jego śmierć musiała dotknąć siły specjalne w ten sam sposób, w jaki śmierć prezydenta dotyka cały naród.

- Już ta historia z Carbone'em była wystarczająco fatalna. Ale to jest nie do uwierzenia. Czy istnieje jakiś związek?

Spojrzałem na niego.

- Dlaczego miałby istnieć jakiś związek? - zdziwiłem się. - Carbone zginął w wypadku podczas szkolenia.

Nie odezwał się.

- Dlaczego Brubaker był w hotelu? - zapytałem.

- Bo lubi grać w golfa. Ma od dawna dom niedaleko Fort Bragg, ale nie lubi tam grać.

- Gdzie jest ten hotel?

- Na obrzeżach Raleigh.

- Często tam jeździł?

- Kiedy tylko miał okazję.

- Czy jego żona gra w golfa? Adiutant pokiwał głową.

- Grają razem - odparł. - To znaczy grali - poprawił się po chwili, po czym umilkł i spojrzał w bok. Spróbowałem wyobrazić sobie Brubakera. Nigdy się nie spotkaliśmy, ale znałem podobnych do niego ludzi. Jednego dnia mówią o tym, jak ustawić kierunkową minę przeciwpiechotną, żeby małe kulki eksplodowały pod właściwym kątem i z maksymalną skutecznością raziły szeregi przeciwnika, a już nazajutrz, ubrani w pastelowe koszule z małymi krokodylami na piersi, grają w golfa z żonami i jeżdżą z nimi elektrycznymi

samochodzikami, uśmiechając się i trzymając je być może za ręce. Znałem wielu podobnych facetów. Jednym z nich był mój ojciec. Z tym że on akurat nie grał w golfa. Mój stary obserwował ptaki. Odwiedził wiele krajów na całym świecie i widział wiele ptaków.

Wyprostowałem się.

- Niech pan do mnie dzwoni, jeśli będzie pan mnie potrzebował. Rozumie pan, jeśli będę mógł w jakiś sposób pomóc.

Adiutant pokiwał głową.

- Dziękuję, że nas pan odwiedził - odparł. - Zawsze to lepsze od telefonu.

Wróciłem do gabinetu. Summer tam nie było. Zmarnowałem ponad godzinę, ślęcząc nad jej spisem personelu. Idąc na skróty, wykreśliłem z niej patologa. Wykreśliłem Summer. Wykreśliłem Andree Norton, a następnie wszystkie kobiety. Dowody medyczne określały wyraźnie wzrost i siłę napastnika. Wykreśliłem personel klubu oficerskiego. Ich komendant twierdził, że przez cały czas ciężko harowali, zajmując się gośćmi. Wykreśliłem kucharzy, barmanów i wartowników przy bramie. Wykreśliłem wszystkich, którzy byli w tym czasie hospitalizowani. Wykreśliłem siebie. I wykreśliłem Carbone'a, ponieważ to nie było samobójstwo.

A potem policzyłem pozostałe ptaszki i zapisałem na kartce liczbę 973. Nasz krąg podejrzanych. Wbiłem wzrok w przestrzeń. Zadzwoił telefon. Podniosłem słuchawkę. To był ponownie Sanchez, z Fort Jackson.

- Właśnie zadzwonili do mnie z policji w Columbi - powiedział. - Poinformowali mnie o swoich wstępnych ustaleniach.
- I co?
- Ich lekarz sądowy niekoniecznie się ze mną zgadza. Brubaker nie zginął między trzecią i czwartą nad ranem. To zdarzyło się przedwczoraj o godzinie pierwszej dwadzieścia trzy.
- To bardzo precyzyjne określenie czasu.
- Pocisk trafił go w zegarek.
- Strzaskany zegarek? Nie polegałbym na czymś takim.
- Nie, dowody są bezsporne. Zrobili wiele innych testów. O tej porze roku trudno zmierzyć aktywność owadów, co byłoby pomocne, ale zawartość żołądka wskazuje, że śmierć nastąpiła dokładnie pięć lub sześć godzin po zjedzeniu ciężkostrawnej kolacji.
- Co mówi jego żona?
- Zniknął o ósmej wieczorem, po ciężkostrawnej kolacji. Wstał od stołu i nigdy już nie wrócił.
- Jak zareagowała?
- W ogóle nie zareagowała - odparł Sanchez. - Facet służył w siłach specjalnych. W ciągu ich małżeństwa stale zniknął bez wyjaśnienia w środku kolacji, w środku nocy, na kilka dni albo tygodni, i nigdy nie mówił później, gdzie był i po co. Zdażyła się do tego przyzwyczaić.
- Czy ktoś do niego zadzwonił?
- Żona zakłada, że tak. Nie jest pewna. Po obiedzie poszła do centrum odnowy biologicznej. Wcześniej zaliczyli dwadzieścia siedem dołków.
- Nie możesz do niej sam zadzwonić? Porozmawia z tobą chętniej niż z cywilnymi gliniarzami.
- Mogę spróbować.
- Coś jeszcze? - zapytałem.
- Broń miała kaliber dziewięć milimetrów - powiedział. - Wystrzelono dwa pociski, oba przeszły na wylot, eleganckie rany wlotowe, fatalne wylotowe.
- Pociski pełnopłaszczowe.
- Strzały oddane z bliska. Na skórze ślady po prochu. I kopeć. Nie odezwałem się. Nie bardzo mogłem sobie to wyobrazić.
- Wystrzelono dwa pociski? Z bliska? Więc jeden z pocisków trafił go, wyszedł, zawrócił i rozwalil mu zegarek?
- Czy trzymał ręce na głowie? - zapytałem.
- Strzelono do niego z tyłu, Reacher. Dwa razy w tył głowy. Bang, bang, dziękuję i dobranoc. Druga kula musiała przejść przez głowę i trafić go w zegarek. Opadająca trajektoria. Wysoki zabójca.
- Nie odezwałem się.
- No dobrze - mruknął Sanchez. - Jak to wszystko jest możliwe? Znałeś go?
- Nigdy go nie spotkałem.
- Facet naprawdę się wyróżniał. Prawdziwy zawodowiec. I miał łeb nie od parady. Potrafił odkryć i wykorzystać każdą sposobność, każdą okazję, każdy słaby punkt przeciwnika.
- Ale dał sobie strzelić w tył głowy?
- Na pewno znał sprawcę. Musiał go znać. Inaczej nie odwracałby się do niego plecami w środku nocy, w ciemnej alejce.
- Myślisz o kimś z Fort Jackson?
- To masa ludzi.
- Nie musisz mi mówić.
- Czy miał wrogów w Fort Bird?
- Nic mi o tym nie wiadomo - odparłem. - Miał wrogów na wyższych szczeblach dowodzenia.
- Te ciapciaki nie spotykają się z ludźmi w ciemnych alejkach w środku nocy.
- Gdzie była ta alejka?
- W zakazanej części miasta.

- Ktoś coś słyszał?  
- Nikt - odparł Sanchez. - Policja z Columbii przeczesła okolicę, ale bez rezultatu.  
- To dziwne.  
- To cywile. Czego się po nich spodziewasz?  
- Poznałeś już Willarda? - zapytałem.  
- Właśnie do nas jedzie. Wygląda na aktywnego sukinsyna.  
- Co to za alejka?  
- Uczęszczana przez dziwki i dealerów cracku. Włodarze Columbii woleliby nie pisać o tym w swoich turystycznych broszurach.  
- Willard nie znosi kłopotliwych sytuacji. Czegoś, co psułoby pozytywny wizerunek.  
- Wizerunek Columbii? A co go on obchodzi?  
- Wizerunek armii - odparłem. - Nie spodoba mu się, że Brubaker znalazł się w tym samym miejscu co dziwki i dealerzy. Pułkownik elitarniej formacji. Uważa, że to, co dzieje się z Sowietami, spowoduje u nas małe trzęsienie ziemi. Uważa, że potrzebujemy teraz dobrego PR-u. Uważa, że widzi wszystko z szerszej perspektywy.  
- Szersza perspektywa jest taka, że nie mam dostępu do tej sprawy. Więc pytanie brzmi, czy Willard ma jakieś doświadczenia do miejscowej policji albo FBI. Bo tego będzie potrzebował.  
- Po prostu szykuj się na kłopoty - powiedziałem.  
- Czekają nas siedem chudych lat?  
- Nie aż tak dużo.  
- Dlaczego?  
- Takie mam przeczucie.  
- Odpowiada ci, że jestem łącznikiem? Może powinienem ich skierować bezpośrednio do ciebie? Formalnie rzecz biorąc, Brubaker jest z twojego terenu.  
- Załatwiał to dalej - odparłem. - Ja mam inne rzeczy na głowie.  
Rozłączyliśmy się i z powrotem zająłem się listą Summer. Dziewięćset siedemdziesiąt trzy osoby. Dziewięćset siedemdziesiąt dwie niewinne, jedna winna. Ale która?  
Summer wróciła w ciągu następnej godziny. Weszła do środka i podała mi kartkę. Była to kopia zamówienia broni, które starszy sierżant sztabowy Christopher Carbone złożył przed czterema miesiącami. Poprosił o pistolet Heckler & Koch P7. Być może lubił pistolety maszynowe H&K, które były na wyposażeniu Delty, i z tego względu chciał mieć P7 jako broń krótką. Chciał, żeby była dostosowana do standardowych dziewięćmilimetro-owych naboju Parabellum. Poprosił o trzynastostrzałowy magazynek i trzy zapasowe. Złożone na standardowym formularzu zamówienie zawierało absolutnie rozsądne żądanie.  
Byłem pewien, że zostało spełnione. Nie było żadnych politycznych przeciwwskazań. Heckler & Koch to niemiecka firma, a ostatnim razem, kiedy sprawdzałem, Niemcy należały do NATO. Nie powinno być również problemów z kompatybilnością. Dziewięćmilimetro-owe parabellum były standardowymi nabojami NATO. Amerykańska armia nie narzekała na ich brak. Mielibyśmy całe magazyny zawałone nimi od sufitu do podłogi. Moglibyśmy codziennie aż do końca świata wydawać milion wypełnionych nimi trzynastostrzałowych magazynków.  
- O co chodzi? - zapytałem.  
- Popatrz na podpis na dole - powiedziała Summer, po czym wyjęła z kieszeni i podała mi kopię skargi Carbone'a. Rozłożyłem ją na biurku obok formularza zamówienia. Spojrzałem na jeden i drugi dokument.  
Oba podpisy były identyczne.  
- Nie jesteśmy grafologami - mruknąłem.  
- Nie musimy nimi być. Podpisy są takie same, Reacher. Uwierz mi.  
Pokiwałem głową. Nasz sierżant podpisywał się C. Carbone i wszystkie cztery duże litery C były bardzo charakterystyczne. Szybkie, wydłużone, z zawijasem. Małe e na końcu każdego podpisu też było charakterystyczne. Składało się z małego okrągłego kółka i ogonka, który biegł w prawo,

daleko poza samo nazwisko, horyzontalnie i z fantazją. Środek podpisu, a-r-b-o-n, był szybki, płynny i prosty. Był to śmiały, dumny, czytelny i zdecydowany podpis, wyrobiony bez wątpienia w ciągu drugich lat podpisywania rachunków, czeków, umów wynajmu i dokumentów samochodowych. Każdy podpis można oczywiście podrobić, ale ten stawiał ewentualnemu fałszerzowi wyjątkowe wymagania. Wymagania, których jak się domyśliłem, nie sposób było spełnić między północą i godziną 8.45 rano w bazie w Karolinie Północnej.

- No dobrze - powiedziałem. - Skarga jest autentyczna. Zostawiłem ją na biurku. Summer przekreśliła ją i przeczytała, chociaż musiała to zrobić wcześniej wiele razy.

- Jej ton jest zimny - oceniła. - To jak nóż w plecy.

- Jest dziwaczna - odparłem. - To w niej mnie najbardziej uderza. Nigdy wcześniej nie spotkałem tego faceta. Jestem tego całkowicie pewien. Poza tym należał do Delt. Nie znajdziesz tam raczej pacyfistów. Dlaczego miałby poczuć się dotknięty? To nie jemu złamałem nogę.

- Może to sprawa osobista. Może grubas był jego przyjacielem. Potrząsnąłem głową.

- Wówczas by się wtrącił. Nie dopuścił do walki.

- To jedyna skarga, jaką złożył w ciągu całej szesnastoletniej służby.

- Rozmawiałaś z ludźmi?

- Najróżniejszymi. Stacjonującymi tutaj i gdzie indziej.

- Byłaś ostrożna?

- Bardzo. I to jedyna skarga, jaką kiedykolwiek na ciebie złożono.

- To też sprawdziłaś? Summer pokiwała głową.

- Aż do czasów, kiedy nosiłeś koszulę w zębach.

- Chciałaś wiedzieć, z jakiego rodzaju facetem masz do czynienia?

- Nie, chodziło mi o to, by pokazać ludziom z Delt, że nie miałaś wcześniej takich incydentów. Z Carbone'em i z nikim innym.

- Teraz ty mnie bronisz?

- Ktoś musi cię bronić. Właśnie stamtąd wracam. Chłopcy są porządnie wkurzeni.

Pokiwałem głową. Brubaker.

- Nie dziwię im się - powiedziałem. Wyobraziłem sobie ich samotne więzienne baraki, niegdyś służące temu, by nie wypuszczać tych, co byli w środku, później, by nie wpuszczać tych z zewnątrz, a teraz, by utrzymać w ryzach ich wściekłość, kipiącą jak w szybkowarze. Wyobraziłem sobie gabinet Bruba-kera, gdziekolwiek się mieścił, cichy i opuszczony. Wyobraziłem sobie pustą celę Carbone'a.

- Więc gdzie jest nowy P siedem Carbone'a? - zapytałem. - Nie znalazłem go w jego kwaterze.

- W ich zbrojowni - odparła Summer. - Wyczyszczony, naoliwiony i załadowany. Pobierają tam i oddają osobistą broń. Mają taką klatkę wewnątrz hangaru. Powinieneś go zobaczyć. To istna grota Aladyna. Specjalne opancerzone hunwee od ściany do ściany, a poza tym ciężarówka, materiały wybuchowe, granatniki, miny, noktowizory. Mogliby sami uzbroić środkowoafrykańskie państewko.

- To mnie bardzo podnosi na duchu - stwierdziłem.

- Przepraszam.

- Dlaczego napisał tę skargę?

- Nie wiem - odparła.

Wyobraziłem sobie Carbone'a w klubie ze striptizem w noc sylwestrową. Wszedłem tam i zobaczyłem grupkę czterech mężczyzn, których wziąłem za sierżantów. Przypadkowa dynamika tłumu sprawiła, że trzech z nich znaleźli się dalej, a jeden bliżej mnie. Nie wiedziałem, kto to będzie, oni nie wiedzieli, że się tam zjawię. Nigdy wcześniej żadnego nie spotkałem. Nasze spotkanie nie mogło być bardziej przypadkowe. Mimo to Carbone zakablował mnie z powodu banalnej burdy podobnej do tysiąca innych, które musiał wcześniej oglądać. Podobnej do setki innych, w których bez wątpienia brał udział. Pokażcie mi dowolnego żołnierza, który twierdzi, że nigdy nie bił się z



cywilnie w barze, a powiem wam, że to kłamca.

- Jesteś katoliczką? - zapytałem.

- Nie, dlaczego pytasz? - zdziwiła się Summer.

- Zastanawiałem się, czy znasz łacinę.

- Nie tylko katolicy znają łacinę. Chodziłam do szkoły.

- No dobrze, cui bono? - zapytałem.

- Kto na tym korzysta? Z czego, ze skargi?

- To zawsze dobry sposób, żeby poznać motyw - powiedziałem. - Można dzięki niemu wyjaśnić większość rzeczy. W historii, polityce, we wszystkim.

- Coś w rodzaju „kto na tym zarobił”?

- Mniej więcej - odparłem. - Tyle że moim zdaniem w tym wypadku nie chodziło o pieniądze. Ale Carbone musiał w jakiś sposób z tego skorzystać. W innym razie po co by to robił?

- Może to był odruch moralny. Może to nim kierowało.

- Nie, jeśli to była jego pierwsza skarga w ciągu szesnastu lat. Musiał oglądać o wiele gorsze rzeczy. Złamałem tylko jedną nogę i jeden nos. Nic wielkiego. To jest armia, Summer. Zakładam, że przez wszystkie te lata nie pomylił jej z kółkiem różańcowym.

- Nie wiem - powtórzyła. Pokazałem jej kartkę z napisaną liczbą 973.

- To nasz krąg podejrzanych - powiedziałem.

- Carbone był w barze do ósmej - oznajmiła. - To też sprawdziłam. Wyszedł sam. Nikt go od tego czasu nie widział.

- Ktoś mówił, w jakim był nastroju?

- Ludzie z Deltę nie mają nastrojów. Zbyt niebezpieczne jest okazywanie uczuć.

- Czy coś pił?

- Jedno piwo.

- Więc wyszedł po prostu z kantyny o ósmej, niczym niezderwowany, niczym się nie martwiąc?

- Na to wygląda.

- Znał faceta, z którym się spotkał - stwierdziłem. Summer się nie odezwała.

- Kiedy cię nie było, zadzwonił Sanchez - powiedziałem. - Pułkownik Brubaker oberwał w tył głowy. Dwa strzały, z bliskiej odległości, z tyłu.

- Więc on też znał faceta, z którym się spotkał.

- To bardzo prawdopodobne. O pierwszej dwadzieścia trzy w nocy. Pocisk trafił w jego zegarek. Od trzech i pół do czterech i pół godziny po śmierci Carbone'a.

- To powinno przekonać ludzi z Deltę. O pierwszej dwadzieścia trzy byłeś na terenie bazy.

- Owszem - zgodziłem się. - Z Andrea Norton.

- Postaram się, żeby to do nich dotarło.

- Nie uwierzą ci.

- Myślisz, że jest jakiś związek między Carbone'em i Bru-bakerem? - zapytała.

- Zdrowy rozsądek podpowiada, że jest. Jednak nie bardzo wiem, na czym miałyby polegać. I czemu służyć. To znaczy, jasne, obaj byli żołnierzami Deltę. Ale Carbone był tutaj, a Bru-baker tam. Brubaker był graczem dużego kalibru, a Carbone nikim ważnym, facetem, który trzymał się na uboczu. Pewnie uważał, że powinien.

- Myślisz, że będziemy mieli kiedykolwiek gejów w wojsku?

- Już teraz mamy gejów w wojsku. Zawsze ich mieliśmy. W drugiej wojnie światowej zachodni alianci mieli czternaście milionów ludzi w mundurach. Z czystej statystyki wynika, że co najmniej milion to byli geje. i o ile dobrze pamiętam, wygraliśmy tę wojnę, wygraliśmy ją w pięknym stylu.

- To będzie wielki krok.

- Zrobili ten sam krok, przyjmując do służby czarnych żołnierzy. I kobiety. Wszyscy marudzili i kręcili nosami. To podkopie morale, podkopie spójność oddziału. Było to brednią wówczas i jest brednią teraz. Prawda? Służysz w wojsku i dobrze sobie radzisz.

- Jesteś katolikiem? Potrząsnąłem głową.

- Moja matka nauczyła nas łaciny. Dbała o naszą edukację. Uczyła nas różnych rzeczy, mnie i mojego brata.

- Powinieneś do niej zadzwonić.

- Dlaczego?

- Zapytać, co z jej nogą.

- Może później - odparłem.

Zająłem się ponownie listą personelu, a Summer wyszła i wróciła z mapą wschodnich Stanów Zjednoczonych. Przypięła ją do ściany pod zegarem i zaznaczyła lokalizację Fort Bird czerwoną pineską. Następnie zaznaczyła Columbię w Karolinie

Południowej, gdzie znaleziono Brubakera. Oraz Raleigh w Karolinie Północnej, gdzie grał w golfa ze swoją żoną. Dałem jej z biurka przezroczystą plastikową linijkę, a ona sprawdziła, jaka jest podziałka mapy i zaczęła przeliczać odległości i czasy.

- Pamiętaj, że nie wszyscy jeżdżą tak szybko jak ty - zaznaczyłem.

- Nikt nie jeździ tak szybko jak ja - odparła.

Między Raleigh i Columbią było cztery i pół cala. Zaokrągliła to do pięciu, ponieważ autostrada US1 lekko się wiała, i przystawiła linijkę do skali na mapie.

- Dwieście mil - oznajmiła. - Więc jeśli Brubaker wyjechał z Raleigh po kolacji, mógł łatwo zdążyć do Columbii przed północą. Dojechał tam mniej więcej godzinę przed śmiercią.

Następnie sprawdziła dystans między Fort Bird i Columbią. Wyszło jej sto pięćdziesiąt mil, mniej, niż się spodziewałem.

- Trzy godziny. Z zapasem - oznajmiła i spojrzała na mnie. - To mógł być ten sam facet - powiedziała. - Jeżeli Carbone został zabity między dziewiątą i dziesiątą, ten sam facet mógł być w Columbii już około północy i czekać na Brubakera.

Oparła mały palec o pineskę wbitą w Fort Bird.

- Carbone - powiedziała i oparła palec wskazujący o pineskę Columbii. - Brubaker. Nie da się zaprzeczyć, że taka była kolejność.

- Nie da się zaprzeczyć, że to tylko domysł - odparłem. Nie odezwała się.

- Czy wiemy na pewno, że Brubaker pojechał z Raleigh samochodem? - zapytałem.

- Możemy założyć, że tak.

- Powinniśmy to skonsultować z Sanchezem. Sprawdzić, czy znaleźli gdzieś jego auto. I czy jego żona potwierdzi, że je zabrał.

- Dobrze - odparła i wyszła do sekretariatu, żeby zadzwonić, zostawiając mnie z niekończącymi się listami personelu. Pojawiła się dziesięć minut później. - Pojechał samochodem - poinformowała mnie. - Jego żona powiedziała Sanchezowi, że

mieli w hotelu dwa samochody. Jego i jej. Zawsze tak robili, bo on musiał stale gdzieś wyjeżdżać, a ona bała się, że zostanie bez środka lokomocji.

- Co to za samochód? - zapytałem. Zakładałem, że tego też się dowiedziała.

- Chevrolet impala SS.

- Fajny wóz.

- Wyjechał po kolacji i żona myślała, że wrócił do Bird. To byłoby normalne. Ale samochód nie został do tej pory odnaleziony. Przynajmniej według policji z Columbii i FBI.

- Okay - powiedziałem.

- Sanchez uważa, że nie mówią mu wszystkiego. Ma wrażenie, że wiedzą coś, czego on nie wie.

- To też normalne.

- Naciska ich, ale to nie jest łatwe.

- Nigdy nie jest łatwe.

- Zadzwoń do nas - dodała - jak tylko dowie się czegoś więcej.

Telefon zadzwonił trzydzieści minut później. Ale nie był od Sancheza. I nie chodziło o Brubakera ani o Carbone'a. Dzwonił detektyw Clark z Green Valley w Wirginii. W związku ze sprawą pani Kramer.

- Mam coś - oznajmił.

Wydawał się bardzo zadowolony z siebie. Przystąpił do szczegółowego opisywania poczynionych przez siebie czynności. Robiły wrażenie dosyć inteligentnych. Korzystając z mapy, ustalił wszelkie możliwe dojazdy do Green Valley w promieniu trzystu mil. Następnie wziął książki telefoniczne, zestawiał listę sklepów z artykułami żelaznymi położonych w pobliżu tych tras i kazał swoim ludziom dzwonić do nich po kolei, zaczynając od środka sieci. Uznał, że w zimie sprzedaż łomów nie będzie rewelacyjna. Duże remonty zaczynają się na wiosnę. Nikt nie chce, żeby mu powiększać kuchnię, kiedy na dworze jest zimno. W związku

z tym nie spodziewał się wielu trafień. Po trzech godzinach nie miał żadnych. Po Bożym Narodzeniu ludzie kupowali wiertarki i elektryczne śrubokręty. Kilka osób kupiło piły łańcuchowe, żeby móc pociąć drewno do palenia w kominku. Ci, którzy chcieli się zabawić w pionierów, zakupili siekiery. Nikogo jednak nie interesowały narzędzia tak prozaiczne i toporne jak łomy.

Clark zmienił zatem całkowicie podejście i zagłębił się w swoje kryminalne bazy danych. Początkowo miał zamiar poszukać raportów na temat innych przestępstw, w których wyważono drzwi łomami. Miał nadzieję, że zawęzi w ten sposób obszar poszukiwań. Nie znalazł niczego, co spełniałoby jego parametry. Jednak zamiast tego znalazł na swoim komputerze w NCIC- raport o włamaniu do małego sklepu z artykułami żelaznymi w Sperryville w Wirginii. Samotny sklep mieścił się na końcu ślepej uliczki. Według właściciela frontowa szyba została wybita w nocy z trzydziestego pierwszego grudnia na pierwszego stycznia. Ponieważ było święto, w kasie nie zostawiono pieniędzy. Właściciel twierdził, że skradziono tylko jeden łom.

Summer podeszła ponownie do mapy i wcisnęła pineskę pośrodku Sperryville w Wirginii. Miejscowość była tak mała, że plastikowy lepek pineski całkowicie ją zasłonił. Następnie wbiła kolejną pineskę w Green Valley. Dwie pineski znalazły się ćwierć cala od siebie. Prawie się dotykały. Odległość między oznaczonymi przez nie miejscami wynosiła dziesięć mil.

- Spójrz na to - powiedziała.

Wstałem i podszedłem bliżej. Spojrzałem na mapę. Sperryville mieściło się na zakręcie drogi, która biegła na południowy zachód do Green Valley i dalej. W przeciwnym kierunku można było nią dojechać właściwie tylko do Waszyngtonu. W związku z czym Summer wbiła pineskę w Waszyngton. Dotknęła jej małym

- National Crime Information Center

palcem, po czym oparła środkowy palec na Sperryville i wskazujący na Green Valley.

- Vassell i Coomer - powiedziała. - Wyjechali z Waszyngtonu, ukradli łom i włamali się do domu pani Kramer w Green Valley.

- Nie zrobili tego - odparłem. - Dopiero co przyjechali z lotniska. Nie mieli samochodu. I nie zadzwonili po żaden samochód. Sama sprawdzałaś billingi.

Summer się nie odezwała.

- To są sztabowcy, którzy całe życie spędzili za biurkiem - dodałem. - Nie potrafiliby się włamać do sklepu z artykułami żelaznymi, nawet gdyby zależało od tego ich życie.

Summer odsunęła dłoń od mapy. Usiadłem z powrotem za biurkiem i złożyłem listy personelu w elegancki plik.

- Musimy skoncentrować się na sierżancie Carbonie - powiedziałem.

- W takim razie potrzebujemy nowego planu. Detektyw Clark nie będzie dłużej szukał łomów. Znalazł już ten, który go interesował.

Pokiwałem głową.

- Wracamy do tradycyjnych, uświęconych czasem metod prowadzenia śledztwa - oświadczyłem.

- To znaczy?

- Tak naprawdę to nie wiem. Studiowałem w West Point, nie w wojskowej szkole policyjnej.

Zadzwoił mój telefon i podniosłem słuchawkę. Ten sam ciepły kobiecy głos z południowym akcentem, który słyszałem wcześniej, wyrecytował ten sam komunikat „10-33,10-16 z Jack-son”, który również słyszałem wcześniej. Potwierdziłem odbiór, włączyłem tryb głośnomówiący, po

czym odchyliłem się do tyłu na krześle i chwilę czekałem. W pokoju zabrzmiał elektroniczny szum, a następnie rozległo się kliknięcie.

- Reacher? - odezwał się Sanchez.
- I porucznik Summer - odparłem. - Włączyłem głośnik.
- W pokoju jest ktoś jeszcze?
- Nie.
- Drzwi zamknięte?
- Tak. Co jest grane?
- Skontaktowała się z nami znowu policja z Columbi, oto co jest grane. Przekazują mi informacje małymi dawkami. I świetnie się przy tym bawią. Można powiedzieć, że boki zrywają.
- Dlaczego?
- Ponieważ Brubaker miał w kieszeni heroinę, oto dlaczego. Trzy torebki brown sugar za dychę. I gruby plik gotówki. Twierdzą, że to była transakcja narkotykowa, która poszła nie tak.

15

Urodziłem się w roku 1960, wskutek czego miałem siedem lat podczas Lata Miłości, trzynaście, kiedy zakończyliśmy nasze efektywne zaangażowanie w Wietnamie i piętnaście, kiedy się stamtąd ostatecznie wycofaliśmy. Co oznaczało, że nie brałem udziału we flircie amerykańskiej armii z narkotykami. Ominęły mnie lata ciężkiego Purpurowego Zamroczenia. Doszłusowałem dopiero w późniejszej, stabilnej fazie. Podobnie jak wielu żołnierzy od czasu do czasu popalałem trawkę, zapewne w wystarczającej ilości, by wiedzieć, który gatunek jest lepszy i skąd go wziąć, ale w żadnym wypadku nie tyle, by na liście amerykańskich konsumentów gandzi znaleźć się wysoko. Traktowałem całą sprawę dorywczo. Byłem jednym z tych, którzy kupowali, nie sprzedawali.

Ale jako żandarm widziałem dużo tego towaru, a także sporo transakcji. Udanych i nieudanych. Wiedziałem, jakimi zasadami się rządzą. I jedno było dla mnie pewne: jeśli transakcja kończy się tym, że jeden z kontrahentów leży martwy na ziemi, na pewno nie znajdziecie nic w jego kieszeniach. Ani gotówki, ani towaru. Koniec kropka. Dlaczego miałyby być inaczej? Jeżeli ginie kupujący, wówczas sprzedawca wieje z niesprzedanym towarem i forszą kupującego. Jeśli ginie sprzedawca, kupujący bierze cały towar za darmo. Pieniądze za towar wracają razem z nim do domu. W każdym wypadku ktoś osiąga wysoki zysk za cenę kilku kulek.

- Wciskają ci kit, Sanchez - powiedziałem. - Podrzucili mu towar i forszę.
  - Oczywiście, że podrzucili. Wiem o tym.
  - Dałeś im to do zrozumienia?
  - A po co? To cywile, ale nie są aż tak głupi.
  - Więc z czego tak się cieszą?
  - Bo to im daje wolną rękę. Jeśli nie zdołają zamknąć sprawy, mogą po prostu odłożyć na półkę. To Brubaker będzie miał zszarganą opinię, nie oni.
  - Znaleźli jakichś świadków?
  - Ani jednego.
  - Padły strzały - powiedziałem. - Ktoś musiał coś słyszeć.
  - Nie według gliniarzy.
  - Willard dostanie małpiego rozumu.
  - To najmniejszy z naszych problemów.
  - Masz jakieś alibi? - zapytałem.
  - Ja? A jest mi potrzebne?
  - Willard będzie szukał sposobu, żeby cię przycisnąć. Użyje wszystkiego, co mu przyjdzie na myśl, żeby trzymać cię w karchach.
- Sanchez nie odpowiedział od razu. Jakieś urządzenie wzmocniło elektroniczny szum na linii, żeby wypełnić milczenie.

- Moim zdaniem jestem na sto procent kryty - oświadczył w końcu. - To nie ja, ale policja z Columbii wysuwa zarzuty.

- Po prostu bądź ostrożny - odparłem.

- Możesz być tego pewien.

Rozłączyłem się. Summer intensywnie się zastanawiała. Miała zamyśloną minę i poruszała dolną wargą.

- Co jest? - zapytałem.

- Jesteś pewien, że to sfabrykowali?

- Na sto procent.

- Okay - odparła. - Dobrze. - Nadal stała przy mapie. Przyłożyła do niej ponownie dłoń. Mały palec na pinesce wbitej

w Fort Bird, wskazujący na Columbii. - Zgadzą się, że to sfabrykowali. Jesteśmy tego pewni. W takim razie mamy pewną prawidłowość. Narkotyki i pieniądze w kieszeni Brubakera są tym samym co gałąź w tyłku Carbone'a i jogurt na jego plecach. Czyli podrzuceniem mylnego tropu. Zamaskowaniem prawdziwego motywu. Powtarza się ten sam modus operandi. To nie są już zgadywanki. Ten sam sprawca załatwił obu. Zabił tutaj Carbone'a, wskoczył do samochodu, pojechał do Columbii i zabił tam Brubakera. Wszystko pasuje. Czas, odległości, sposób myślenia tego faceta.

Popatrzyłem, jak stoi przy mapie. Jej mała brązowa dłoń była rozczapierzona niczym rozgwiazda. Miała przezroczysty lakier na paznokciach. Błyszczały jej oczy.

- Dlaczego wyrzucił łom? - zapytałem. - Po załatwieniu Carbone'a, ale przed załatwieniem Brubakera?

- Ponieważ wolał pistolet - odparła. - Jak każdy normalny człowiek. Ale wiedział, że tutaj nie może go użyć. Gdyby strzelał w odległości mili od zabudowań bazy, w środku nocy, wszyscy byśmy tam pobiegli. Za to w zakazanej dzielnicy w dużym mieście nikt się specjalnie nie przejmie. Tak też się zresztą i stało.

- Czy mógł być tego pewien?

- Nie - odparła. - Nie do końca. Umówił się wcześniej na spotkanie, więc wiedział, dokąd jedzie. Ale nie mógł do końca wiedzieć, co tam zastanie. Podejrzewam, że chętnie wziąłby ze sobą zapasową broń. Ale łom był już wtedy pokryty krwią i włosami Carbone'a. Nie można go było oczyścić. Sprawca się spieszył. Ziemia była zmarznięta. Nie było kęp miękkiej trawy, o którą mógłby wytrzeć łom. Dlatego nie mógł go trzymać w samochodzie. Może bał się, że w drodze na południe zatrzyma go przypadkowy patrol. Więc go wyrzucił.

Pokiwałem głową. Łomu rzeczywiście trzeba było się pozbyć. Pistolet był bardziej niezawodną bronią przeciwko sprawnemu i czujnemu przeciwnikowi. Zwłaszcza w wąskiej miejskiej alejce, różniącej się od otwartej przestrzeni, gdzie załatwił Carbone'a.

Ziewnąłem. Zamknąłem oczy. Od otwartej przestrzeni, gdzie załatwił Carbone'a. Otworzyłem z powrotem oczy.

- Zabił Carbone'a tutaj - powtórzyłem za Summer. - A potem wskoczył do samochodu, pojechał do Columbii i zabił tam Brubakera.

- Zgadza się - odpowiedziała.

- Ale twoim zdaniem już wcześniej był w samochodzie?

- Tak - odparła. - Tak myślę.

- Twoim zdaniem pojechał polną drogą razem z Carbone'em, uderzył go w głowę, popracował nad miejscem zbrodni, a potem wrócił samochodem do zabudowań bazy. Twoje rozumowanie było całkiem przekonujące. I znalezienie łomu jakby je potwierdziło.

- Dziękuję.

- A potem uznaliśmy, że zaparkował samochód i poszedł swoją drogą.

- Zgadza się - powtórzyła.

- Ale on nie mógł zaparkować samochodu i pójść swoją drogą. Ponieważ teraz twierdzimy, że

zamiast tego pojechał prosto do Columbii w Karolinie Południowej. Spotkać się z Bru-bakerem. Trzy godziny jazdy. Spieszył się. Nie miał czasu do stracenia.

- Zgadza się.

- Więc nie zaparkował samochodu. Nie wcisnął nawet hamulca. Zamiast tego pojechał prosto w kierunku bramy. Z bazy nie można wyjechać inaczej. Wyjechał główną bramą, Summer, zaraz po tym, jak zabił Carbone'a, między dziewiątą i dziesiątą wieczorem.

- Sprawdź rejestr wyjazdów - odparła. - Kopia leży na twoim biurku.

Sprawdziliśmy rejestr razem. W związku z operacją Słuszną Sprawa we wszystkich krajowych bazach podniesiono poziom alertu o jeden stopień, co oznaczało, że wszystkie wejścia i wyjścia odnotowywane były szczegółowo w oprawnych księgach z paginacją wydrukowaną w górnym prawym rogu każdej kartki. Mieliśmy dobrą kserokopię strony z czwartego stycznia. Byłem pewien, że jest autentyczna. I bez wątplenia dokładna. Żandarmeria ma sporo wad, ale nie należy do nich bałagan w papierach.

Summer wzięła ode mnie kopię i przykleiła ją taśmą do ściany przy mapie. Stanęliśmy obok siebie i przyjrzelśmy się jej. Była podzielona na sześć rubryk, w których wpisywano datę, czas wjazdu, czas wyjazdu, numer rejestracyjny, nazwiska osób podróżujących pojazdem oraz cel podróży.

- Ruch był nieduży - stwierdziła Summer.

Nie odezwałem się. Nie mogłem wiedzieć, czy dziewiętnaście wpisów oznacza duży, czy nieduży ruch. Byłem w Fort Bird nowy i upłynęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni pełniłem gdziekolwiek służbę przy bramie. Z pewnością jednak wydawał się nieduży w porównaniu z sylwestrem.

- W większości ludzie zgłaszający się z powrotem na służbę - oceniła Summer.

Pokiwałem głową. Czternaście razy zaznaczono czas wjazdu, ale brak było wpisu w rubryce rejestrującej wyjazd. To oznaczało, że czternaście osób wjechało do bazy i w niej pozostało. Wróciło do pracy po kilku dniach, które spędziły poza bazą z okazji świąt. Albo z jakiejś innej okazji. Ja też tam byłem: 04-01-90, 23.02, Reacher, J., mjr, PDB. Czwartego stycznia 1990 roku, dwudziesta trzecia zero dwie, major J. Reacher, powrót do bazy. Z Paryża, via dawne biuro Garbera w Rock Creek. W rubryce „numer rejestracyjny” zanotowano „pieszo”. Była tam również moja sierżant, wracająca na nocną zmianę z miejsca zamieszkania poza bazą. Przyjechała o wpół do dziesiątej, prowadząc jakieś auto z rejestracją z Karoliny Północnej.

Czternaście osób wjechało i zostało.

Tylko pięć wyjechało.

Trzy pozycje dotyczyły normalnych dostaw żywności. Prawdopodobnie duże ciężarówki. Wojskowa baza potrzebuje dużo

zarcia. Trzeba wykarmić mnóstwo głodnych gęb. Trzy ciężarówki dziennie wydawały mi się odpowiednią liczbą. Wjazd każdej z nich został odnotowany w którymś momencie w ciągu wczesnego popołudnia, a następnie godzinę albo nieco później odnotowano jej wyjazd. Ostatnia wyjechała tuż przed trzecią.

Potem następowała siedmiogodzinna przerwa.

Jako przedostatni odnotowani zostali Vassell i Coomer, opuszczający bazę po kolacji w klubie oficerskim. Przejechali przez bramę o 22.01. Ich wjazd odnotowano o 18.45 i wtedy również wpisano do rejestru numer rejestracyjny ich pojazdu z Departamentu Obrony, a także nazwiska i stopnie. Cel wizyty został określony jako „kurtuazyjny”.

Pięć wyjazdów. Cztery do skreślenia.

Został tylko jeden.

Wpis dotyczący jedynej innej osoby, która wyjechała z Fort Bird czwartego stycznia, był następujący: 04-01-90, 22.11, Tri-fonow, S., sierż. W odpowiedniej rubryce wpisano numer rejestracyjny samochodu osobowego z Karoliny Północnej. Nie wpisano czasu wjazdu. Rubryka dotycząca celu była pusta. Oznaczało to, że sierżant Trifonow był w bazie przez cały dzień albo przez cały tydzień i opuścił ją jedenaście minut po dwudziestej drugiej. Nie zapisano żadnego celu podróży, ponieważ nie było wyraźnej dyrektywy nakazującej pytanie żołnierza, po co wyjeżdża.

Zakładano, że opuszcza bazę, żeby czegoś się napić, coś zjeść albo zabawić się w jakiś inny sposób. Pytanie o cel wartownicy zadawali ludziom próbującym dostać się do środka, a nie próbującym się wydostać.

Sprawdziliśmy ponownie, żeby mieć absolutną pewność. Z tym samym wynikiem. Oprócz trzech ciężarówek dostawczych wczesnym popołudniem, a później generała Vassella i pułkownika Coomera w prowadzonym przez któregoś z nich mercurym grand marquisie oraz sierżanta Trifonowa w jakimś innym samochodzie, czwartego stycznia nikt nie opuścił bazy w jakimkolwiek pojeździe ani na piechotę.

- No dobrze - rzekła Summer. - Sierżant Trifonow. Kimkolwiek jest, to on.

- To musi być on.

Zadzwoiłem na wartownię. Odebrał ten sam facet, z którym rozmawiałem wcześniej, kiedy sprawdzałem Vassella i Coomera. Poznałem jego głos. Poprosiłem go, żeby przejrzał swój rejestr, zaczynając od strony następującej bezpośrednio po tej, na którą patrzyliśmy. Poprosiłem, żeby sprawdził, kiedy dokładnie sierżant Trifonow wrócił do Fort Bird. Uprzedziłem, że mogło to być po wpół do piątej rano piątego stycznia. Przez chwilę czekałem. Słyszałem, jak facet odwraca sztywne pergaminowe kartki rejestru. Robił to powoli, uważnie każdą sprawdzając.

- Dokładnie o godzinie piątej, majorze - powiedział w końcu. - Piątego stycznia, godzina piąta zero zero, sierżant Trifonow, powrót do bazy. - Usłyszałem, jak znowu obraca kartkę. - Wyjechał o dwudziestej drugiej jedenaście poprzedniego wieczoru.

- Zapamiętałeś go?

- Wyjechał mniej więcej dziesięć minut po tych sztabowcach z wojsk pancernych, o których pytał mnie pan wcześniej. Spieszył się z tego, co pamiętam. Nie zaczekał, aż szlaban podniesie się do końca. Przecisnął się pod nim.

- Jaki miał samochód?

- Chyba corvette. Niezbyt nowa. Ale wyglądała całkiem nieźle.

- Czy byłeś nadal na posterunku, kiedy wrócił?

- Tak, majorze.

- Zapamiętałeś coś z tego momentu?

- Nic, co by odbiegało od normy. Oczywiście z nim rozmawiałem. Ma obcy akcent.

- Jak był ubrany?

- W cywilne ciuchy. Chyba skórzaną kurtkę. Uznałem, że nie jest na służbie.

- Czy jest teraz w bazie?

Usłyszałem ponownie obracające się kartki. Wyobraziłem sobie

palec sunący powoli po rubrykach zapisanych po piątej rano piątego stycznia.

- Nie wypisaliśmy go ponownie, majorze - powiedział facet. - Aż do teraz. Więc musi być gdzieś na terenie.

- Okay - odparłem. - Dziękuję, żołnierzu. Odłożyłem słuchawkę. Summer spojrzała na mnie.

- Wrócił o piątej rano - oznajmiłem. - Trzy i pół godziny po tym, jak zatrzymał się zegarek Brubakera.

- Trzy i pół godziny jazdy - powiedziała.

- I jest teraz w bazie.

- Kim on jest?

Zadzwoiłem do dowództwa. Zadałem pytanie. Powiedzieli mi, kim jest. Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem Summer prosto w oczy.

- Jest żołnierzem Deltą - powiedziałem. - Uciekinierem z Bułgarii. Dali mu funkcję instruktora. Zna się na rzeczach, o których nasi ludzie nie mają pojęcia.

!

Wstałem zza biurka i podszedłem do wiszącej na ścianie mapy. Przystawiłem własne palce do pinesek. Mały palec do Fort Bird, wskazujący do Columbii. Tak jakbym przez sam dotyk uprawomocniał teorię. Sto pięćdziesiąt mil. Trzy godziny i dwanaście minut, żeby tam się dostać,

trzy godziny i trzydzieści siedem minut, żeby wrócić. Wykonałem kilka działań w pamięci. Średnia szybkość czterdzieści siedem mil na godzinę tam i czterdzieści jeden z powrotem. W nocy, pustymi drogami, za kierownicą chevroleta corvette. Mógł to zrobić z zaciągniętym ręcznym hamulcem.

- Nie powinniśmy go zgarnąć? - zapytała Summer. Potrząsnąłem głową.

- Nie - powiedziałem. - Zrobię to sam. Pojadę tam.

- Czy to rozsądne?

- Pewnie nie. Ale nie chcę, żeby ci faceci pomyśleli, że zaleźli mi za skórę.

Summer przez chwilę się nie odzywała.

- Pojadę z tobą - powiedziała.

- No dobrze - zgodziłem się.

Była piąta po południu, dokładnie trzydzieści sześć godzin po tym, jak Trifonow wrócił do bazy. Było szaro i zimno. Wzięliśmy krótką broń, kajdanki oraz torebki na dowody rzeczowe. Poszliśmy na parking kolumny transportu i znaleźliśmy hunwee z drucianą siatką za przednimi fotelami i bez wewnętrznych klamek z tyłu. Summer siadła za kierownicą. Zaparkowaliśmy przed koszarami Delt i wartownik przepuścił nas przez bramę. Obchodząc dokoła główny budynek, zatrzymałem się przed wejściem do ich klubu podoficerskiego. Summer stanęła koło mnie.

- Wchodzisz tam? - zapytała.

- Tylko na chwilę.

- Sam? Pokiwałem głową.

- Potem pójdziemy do ich zbrojowni.

- Niezbyt rozsądne - oceniła. - Powinam tam wejść razem z tobą.

- Po co?

- Żeby być świadkiem.

- Czego?

- Tego, co z tobą zrobią. Uśmiechnąłem się lekko.

- Cudownie - mruknąłem.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Lokal był dość zatłoczony, światła przyćmione, w powietrzu unosił się dym. Panował spory hałas. A potem ludzie zobaczyli mnie i zrobiło się cicho. Ruszyłem do przodu. Ludzie stali tam, gdzie stali. Nieruchomo. A potem odwrócili się przodem do mnie. Przepychałem się, kolejno ich mijając, jednego po drugim. Nikt nie ustępował mi z drogi. Zderzali się ze mną ramionami, z prawej

i lewej strony. Ja zderzałem się z nimi, w milczeniu. Mam sześć stóp i pięć cali wzrostu i ważę dwieście trzydzieści funtów. Mam spore szansę w konkursie na przepychanie.

Przeszedłem przez hol wejściowy i skręciłem do baru. Tam spotkało mnie to samo. Szybko zrobiło się cicho. Ludzie odwrócili się w moją stronę. Wbijali we mnie wzrok. Przeszedłem przez salę, przepychając się i obijając o ich łokcie i barki. Słyszał tylko sapanie, szuranie stóp po podłodze i miękkie uderzenia ramion o ramiona. Wbijałem wzrok w przeciwległą ścianę. Młody facet z brodą i opalenizną stanął mi na drodze. W ręku trzymał szklankę piwa. Szedłem dalej przed siebie, a on pochylił się w prawo. Zderzyliśmy się ze sobą i połowa piwa z jego szklanki wylała się na linoleum.

- Wylałeś mi piwo - powiedział.

Zatrzymałem się. Spojrzałem na podłogę. A potem spojrzałem mu w oczy.

- Zliż je - odparłem.

Przez chwilę staliśmy twarzą w twarz. Po chwili ruszyłem dalej. Czuję, jak swędzą mnie plecy. Wiedziałem, że na mnie patrzy. Ale nie zamierzałem się odwrócić. W żadnym wypadku. Chyba że usłyszałbym brzęk tłuczonej za mną o stół butelki.

Nie usłyszałem brzęku butelki. Doszedłem do przeciwległej ściany. Dotknąłem jej niczym pływak dopływający do końca basenu. Odwróciłem się i ruszyłem w drugą stronę. Podróż powrotna była podobna. Na sali było cicho. Trochę przyspieszyłem. Przepychałem się szybciej przez tłum. Uderzałem mocniej o ramiona. Impet ma swoje plusy. Dziesięć kroków od holu ludzie zaczęli



powoli usuwać mi się z drogi. Trochę się cofali.

Uznałem, że skutecznie się ze sobą porozumieliśmy. W związku z tym w holu zacząłem się lekko odchyłać z obranego wcześniej prostego toru. Ludzie rewanżowali mi się tym samym. Zbliżając się do wyjścia, szedłem już niczym normalny cywilizowany człowiek przeciskający się przez tłum. Zatrzymałem się przy drzwiach. Odwróciłem. Powoli, grupa po grupie, omiotłem wzrokiem twarze na sali. Policzyłem do dziesięciu. W końcu

odwróciłem się do nich wszystkich plecami i wyszedłem na świeże, chłodne powietrze.

Summer nie było przy wyjściu.

Rozejrzałem się dokoła i sekundę później zobaczyłem, jak wychodzi przez służbowe drzwi dziesięć stóp dalej. Mogła przez nie dojść na zaplecze baru. Domyśliłem się, że kryła mnie z tym.

- Teraz już wiesz - powiedziała.

- Co takiego?

- Co czuł pierwszy czarny żołnierz. I pierwsza kobieta.

Pokazała mi, jak dojść do starego hangaru, gdzie mieściła się zbrojownia. Pokonaliśmy dwadzieścia stóp po zamiecionym betonie i weszliśmy do środka przez umieszczone z boku drzwi dla personelu. Nie żartowała, mówiąc o afrykańskim państwku. Pod dachem hangaru paliły się łukowe lampy, oświetlając niewielką flotę specjalistycznych pojazdów oraz potężne sterty wszelkiego rodzaju przenośnej broni, jaką można sobie wyobrazić. Domyśliłem się, że w Pentagonie David Brubaker musiał być bardzo skutecznym lobbystą.

- Tam - powiedziała Summer, prowadząc mnie do zagrody o boku mniej więcej piętnastu stóp. Podobna do psiego wybiegu miała trzy ściany i sufit z jakiegoś rodzaju siatki. Przy otwartych drucianych drzwiach wisiała kłódka zaczepiona pałakiem o drut. Za drzwiami ustawiono wysokie biurko. Za biurkiem stał facet w mundurze polowym. Nie zasalutował nam. Nie stanął na baczność. Ale też się nie odwrócił. Stał tam i przyglądał się nam z obojętnym wyrazem twarzy, co jak na żołnierza Delty stanowiło maksymalne dostosowanie się do obowiązującej etykiety.

- W czym mogę pomóc? - zapytał, jakby był ekspedientem w sklepie, a ja jego klientem. Na regałach zajęto plecami leżały egzemplarze broni palnej najróżniejszych marek. Zobaczyłem pięć różnych modeli broni automatycznej. Było tam kilka M-16, A1 i A2. Były zwykłe pistolety. Niektóre nowe i świeże, inne

stare i zużyte. Poukładane porządnie i precyzyjnie, ale bez przesady. Były narzędziami pracy, i tylko tym. Na biurku przed facetem leżał rejestr.

- Bierze je pan na przechowanie i wydaje? - zapytałem.

- Jak na zamkniętym parkingu - potwierdził facet. - Regulamin bazy nie pozwala trzymać osobistej broni na kwaterze. - Mówiąc to, popatrzył na Summer. Domyśliłem się, że wyjaśnił jej to już wcześniej, kiedy szukała należącego do Carbone'a nowego P siedem.

- Jakiej broni używa sierżant Trifonow? - zapytałem.

- Trifonow? Preferuje steyra GB.

- Pokaż mi.

Facet podszedł do regału z pistoletami i wrócił z czarnym steyrem GB, trzymając go za lufę. Pistolet sprawiał wrażenie naoliwionego i dobrze utrzymanego. Miałem już przygotowaną torbę na dowody i wrzucił go prosto do niej. Zamknąłem torbę na suwak i przyjrzałem się broni przez plastik.

- Dziewięć milimetrów - powiedziała Summer. Pokiwałem głową. To była porządna spluwa, ale producentom

zabrakło szczęścia. Steyr-Daimler-Puch zaprojektował ją, spodziewając się sporych zamówień od austriackiej armii, lecz pojawiła się konkurencyjna firma Glock i zgarnęła wszystkie kontrakty. GB został sierotką niczym Kopciuszek. I niczym Kopciuszek miał wiele bezspornych zalet. Mieścił osiemnaście naboju, czyli stosunkowo dużo, ale nienaładowany ważył niespełna dwa i pół funta, czyli stosunkowo mało. Można go było rozłożyć i złożyć w dwanaście sekund, czyli stosunkowo szybko. Przede wszystkim jednak miał bardzo sprytny system odprowadzania gazów. Broń

automatyczna wykorzystuje eksplozję gazu w komorze do wyrzucenia łuski i wprowadzenia następnego naboju. Ale w realnym świecie niektóre naboje są stare, słabe albo źle zmontowane. Nie eksplodują z tą samą siłą. Kiedy włożysz niespełniający norm, zbyt słaby nabój do niektórych pistoletów, mechanizm zacina się i następny nabój nie wchodzi do komory. Kiedy włoży się zbyt mocny nabój, pistolet potrafi

ekspłodować w rękę. Ale steyr był zaprojektowany tak, by działać skutecznie z każdą amunicją. Gdybym był żołnierzem sił specjalnych korzystającym z wątpliwej jakości naboju dostarczonego mi przez partyzantów, do których dołączyłem, użyłbym steyra. Chciałbym mieć pewność, że broń, z której strzelam, odda dziesięć strzałów na dziesięć.

Nacisnąłem przez plastik zatrzask za spustem, potrząsnąłem torbą i magazynek wypadł z kolby. Było w nim szesnaście naboju. Przeładowałem i wyrzuciłem nabój z komory. A zatem Trifonow wyjechał z dziewiętnastoma kulami. Osiemnastoma w magazynku i jedną w komorze. Wrócił z siedemnastoma. Szesnastoma w magazynku i jedną w komorze. A zatem wystrzelił dwie.

- Macie tu telefon? - zapytałem.

Facet wskazał głową budkę w rogu hangaru, dwadzieścia a stóp od jego stanowiska. Podeszedłem tam i zadzwoniłem do mojej sierżant. Odebrał facet z Luizjany. Kapral. Sierżant z nocnej zmiany była prawdopodobnie nadal w domu, w swojej przyczepie. Kładła synka do łóżka, brała prysznic, szykowała się do wyjazdu do pracy.

- Połącz mnie z Sanchezem w Fort Jackson - powiedziałem. Trzymałem słuchawkę przy uchu i czekałem. Jedną minutę.

Dwie.

- Co jest? - odezwał się Sanchez.

- Czy znaleźli łuski? - zapytałem.

- Nie - odparł. - Sprawca musiał posprzątać po sobie.

- Szkoda. Moglibyśmy porównać je z bronią.

- Znaleźliście zabójcę?

- Trzymam właśnie w rękę jego pistolet. Naładowany steyr GB, bez dwóch wystrzelonych pocisków.

- Kto to jest?

- Powiem ci później. Pozwólmym dla odmiany pomęczyć się cywilom.

- Jeden z naszych?

- Niestety.

Sanchez się nie odezwał.

- Znaleźli pociski? - zapytałem.

- Nie - odparł.

- Dlaczego? Przecież to zdarzyło się w alejce, tak? Jak daleko mogły polecieć? Utkwiły gdzieś w ceglach.

- W takim razie do niczego nam się nie przydadzą. Spłaszczony nie nadadzą się do identyfikacji.

- Były pełnopłaszczowe - powiedziałem. - Nie pękły. Moglibyśmy je przynajmniej zważyć.

- Nie znaleźli ich.

- A szukają?

- Nie wiem.

- Udało im się trafić na jakichś świadków?

- Nie.

- Znaleźli samochód Brubakera?

- Nie.

- Musi gdzieś tam być, Sanchez. Facet wyruszył na południe i przyjechał tam o północy albo o pierwszej. Wyróżniającym się samochodem. Nie szukają go?

- Są rzeczy, które przede mną ukrywają. Czuję to.

- Czy Willard już do was dotarł?

- Spodziewam się go lada chwila.

- Powiedz mu, że sprawa Brubakera jest rozwiązana. I powiedz, że słyszałeś, że ta druga historia to nie był wcale wypadek podczas szkolenia. To powinno mu poprawić humor - oświadczyłem i rozłączyłem się.

Podszedłem z powrotem do drucianej klatki zbrojowni. Sum-mer weszła do środka i stanęła obok faceta przy biurku. Przeglądali razem jego rejestr.

- Popatrz na to - powiedziała i pokazała dwoma palcami wskazującymi dwa oddzielne wpisy.

Trifonow pobrał swojego steyra GB o dziewiętnastej trzydziści czwartego stycznia. Zdał go z powrotem piętnaście po piątej rano piątego stycznia. Miał duży niezgrabny podpis. Był Bułgarem. Zgadywałem, że w szkole uczył się cyrylicy i nie przywykł jeszcze do łacińskiego alfabetu.

- Po co go pobrał? - zapytałem.

- Nie pytamy o powód - odparł facet. - Po prostu wykonujemy papierkową robotę.

Wyszliśmy z hangaru i ruszyliśmy w stronę koszar. Z boku minęliśmy parking. Stało na nim czterdzieści albo pięćdziesiąt samochodów. Typowe żołnierskie bryki. Niewiele importowanych. Kilka poobijanych sedanów w kolorze wanilii, ale w większości pick-upy i potężne sportowe wozy z Detroit, niektóre z namalowanymi gwiazdami i płomieniami, inne z podniesionym tyłem, chromowanymi kołami i grubymi oponami. Był tylko jeden chevrolet corvette. Czerwony, zaparkowany osobno w końcu rzędu, trzy miejsca parkingowe od innych.

Zboczyliśmy z drogi, żeby mu się przyjrzeć.

Miał okołodziesięciu lat. Robił wrażenie nieskazitelnie czystego, wewnątrz i z zewnątrz. Był umyty i nawoskowany, starannie, dzień albo dwa dni wcześniej. Miał czyste nadkola i lśniące czarne opony. Trzydzieści stóp dalej na ścianie hangaru wisiał zwinięty wąż. Nachyliliśmy się i zajrzeliśmy do środka. Wnętrze wyglądało, jakby spryskano je środkiem nabłyszczającym, wytarto i odkurzono. Samochód był dwuosobowy, ale za przednimi fotelami znajdowała się niewielka półka. Niewielka, ale dość duża, żeby schować tam pod płaszczem łom. Summer uklękła i przejechała palcami pod progiem. Nie ubrudziła ich.

- Nie ma błota z polnej drogi - powiedziała. - Ani krwi na siedzeniach.

- Ani pojemnika po jogurcie na podłodze - dodałem.

- Posprzątał po sobie.

Wyszliśmy na chwilę przez ich główną bramę i zostawiliśmy pistolet Trifonowa w naszym hunwee. A potem zawróciliśmy i weszliśmy z powrotem do środka.

Nie chciałem angażować w to adiutanta. Zależało mi na tym, żeby zgarnąć stamtąd Trifonowa, zanim ktokolwiek zorientuje

się, co jest grane. Weszliśmy więc do kantyny przez kuchenne drzwi i kazałem komuś z obsługi znaleźć Trifonowa i wyprowadzić go przez kuchnię pod jakimś pretekstem. Następnie wyszliśmy na dwór i czekaliśmy. Facet z obsługi wyszedł pięć minut później i oznajmił, że Trifonowa nie ma w kantynie.

Skierowaliśmy się więc do koszar. Żołnierz, który wyszedł spod prysznic, powiedział nam, gdzie szukać. Minęliśmy pusty pokój Carbone'a. Trifonow kwaterował trzy cele dalej. Podeszliśmy tam. Drzwi były otwarte. Facet był u siebie. Siedział na wąskiej pryczy i czytał książkę.

Nie wiedziałem, czego się spodziewać. Z tego, co wiedziałem, Bułgaria nie miała sił specjalnych. W wojskach Układu Warszawskiego nie było zbyt wielu naprawdę elitarnych jednostek. Czechosłowacja miała niezłą brygadę desantową, Polska dywizje wodno- i powietrznodesantowe. W samym Związku Radzieckim było kilka formacji tak zwanych wysotników. Poza tym we wschodniej części Europy taktyka zasadała się głównie na liczbie. Rzucając do walki jak najwięcej żołnierzy i zakładając, że dwie trzecie można spisać na straty, musi się w końcu wygrać.

Więc kim był ten facet?

Siły specjalne NATO podczas selekcji i szkolenia kładą duży nacisk na wytrzymałość. Każą ludziom biec pięćdziesiąt mil z pełnym obciążeniem, wliczając w to kuchenny zlew. Nie dają im spać przez tydzień i każą pokonywać diabelsko trudny teren. Z tego względu elitarne oddziały

NATO składają się z małych żylastych facetów, zbudowanych jak maratończycy. Ale ten Bułgar był olbrzymi. Był co najmniej tak duży jak ja. Może nawet większy. Mógł mieć sześć stóp i sześć cali wzrostu i dwieście pięćdziesiąt funtów wagi. Miał ogoloną głowę, wielkie dłonie i dużą kwadratową twarz, którą można było uznać za brutalnie prostacką lub całkiem przystojną w zależności od oświetlenia. To, które zapewniała w tym momencie jarzeniówka pod sufitem celi, nie było dla niego zbyt korzystne. Wydawał się zmęczony. Miał przenikliwe oczy, osadzone głęboko i blisko siebie w ciemnych oczodołach. Kilka lat starszy ode mnie, niedawno skończył trzydziestkę. Ubrany był w nowy zielony mundur polowy bez naszywki z nazwiskiem, oznaczeń stopnia i godła jednostki.

- Powstań, żołnierzu - powiedziałem.

Trifonow odłożył ostrożnie książkę na łóżko, okładką do góry, otwartą na stronie, na której przerwał lekturę, jakby chciał zaznaczyć to miejsce.

Założyliśmy mu kajdanki i bez problemów zaprowadziliśmy do hunwee. Był duży, lecz spokojny. Wydawał się pogodzony z losem. Tak jakby wiedział, że wcześniej czy później zdradzą go różne rejestry, w których zapisywano jego życie.

Przewieźliśmy go i zaprowadziliśmy do mojego biura bez żadnego incydentu. Kazaliśmy mu usiąść, zdjęliśmy kajdanki i zapięliśmy je ponownie tak, że jego prawy nadgarstek został przykuty do nogi krzesła. Potem wyjęliśmy drugie kajdanki i zrobiliśmy to samo z lewym. Miał wielkie nadgarstki, grubości kostki u nogi przeciętnego mężczyzny.

Summer stanęła przy mapie i popatrzyła na pineski. Chciała skierować ku nim jego wzrok i dać mu do zrozumienia, że wiemy.

Usiadłem za biurkiem.

- Jak się nazywasz? - zapytałem. - Do protokołu.

- Trifonow. - Miał wyraźnie obcy, gardłowy akcent.

- Imię?

- Sławi.

- Sławi Trifonow - powtórzyłem. - Stopień?

- W domu byłem pułkownikiem. Tutaj jestem sierżantem.

- W domu, to znaczy gdzie?

- W Sofii - odparł. - W Bułgarii.

- Jesteś bardzo młody jak na pułkownika.

- Byłem bardzo dobry w tym, co robiłem.

- A co robiłeś? Trifonow nie odpowiedział.

- Masz ładny samochód - stwierdziłem.

- Dziękuję - odparł. - Zawsze o takim marzyłem.

- Gdzie pojechałeś nim nocą czwartego stycznia? Nie odpowiedział.

- W Bułgarii nie ma sił specjalnych - powiedziałem.

- Nie - odparł. - Nie ma.

- Więc co tam robiłeś?

- Służyłem w regularnym wojsku.

- Co robiąc?

- Byłem łącznikiem między bułgarską armią, bułgarską tajną policją i naszymi przyjaciółmi, sowieckimi wysotnikami.

- Zdobyte kwalifikacje?

- Przez pięć lat szkoliłem się w GRU.

- Czyli gdzie? Trifonow się uśmiechnął.

- Chyba pan wie.

Pokiwałem głową. Sowieckie GRU było czymś pośrednim między żandarmerią i Delta Force. Byli dość twardzi, gotowi z równą furią walczyć z wrogiem wewnętrznym, jak zewnętrznym.

- Dlaczego tu przyjechałeś? - zapytałem.

- Do Ameryki? Czekam.
- Na co?
- Na koniec sowieckiej okupacji mojego kraju. Który nastąpi już wkrótce. Wtedy tam wrócę. Jestem dumny z mojego kraju. To piękne miejsce, w którym mieszkają piękni ludzie. Jestem nacjonalistą.
- Czego uczysz w Delcie?
- Rzeczy, które są już nieaktualne. Jak walczyć przeciwko ludziom tak wyszkolonym jak ja. Ale ta bitwa jest chyba skończona. Wygraliście ją.
- Musisz nam powiedzieć, co robiłeś w nocy czwartego stycznia.

Trifonow milczał.

- Dlaczego uciekłeś z kraju?
- Bo byłem patriotą - odparł.
- Nawróciłeś się w ostatniej chwili?
- Zawsze byłem patriotą. Ale groziło mi zdemaskowanie.
- Jak uciekłeś?
- Przez Turcję. Poszedłem do mieszczącej się tam amerykańskiej bazy.
- Opowiedz mi o nocy czwartego stycznia. Nie odezwał się.
- Mamy twój pistolet - powiedziałem. - Pobrałeś go. Wyjechałeś z bazy jedenaście po dziesiątej i wróciłeś o piątej rano.

Trifonow milczał.

- Oddałeś dwa strzały. Milczenie.
- Dlaczego umyłeś samochód?
- Bo to piękny samochód. Myję go dwa razy w tygodniu. Zawsze. Taki samochód był moim marzeniem.
- Byłeś kiedyś w Kansas?
- Nie.
- No więc tam właśnie pojedziesz. Nie wrócisz do domu, do Sofii. Pojedziesz do Fort Leavenworth.
- Dlaczego?
- Wiesz dlaczego - odparłem.

Trifonow się nie poruszył. Siedział kompletnie nieruchomo. Z rękoma przykutymi do krzesła na wysokości kolan musiał się porządnie schylić. Ja też się nie poruszałem. Nie bardzo wiedziałem, co robić. Naszych ludzi z Deltę szkolono, żeby opierali się podczas śledztwa. Szkolono ich, żeby nie dali się złamać narkotykami, biciem, depriacją sensoryczną i czymkolwiek, co można jeszcze wymyślić. Ich instruktorów zachęca się, żeby stosowali rękoczyny podczas szkolenia. W związku z tym nie mogłem sobie wyobrazić, przez co przeszedł Trifonow w trakcie pięciu lat spędzonych w GRU. Właściwie niewiele mogłem mu zrobić. Nie chciałem walić ludzi po mordach. Miałem jednak wrażenie, że facet nie piśnie ani słowa, nawet jeśli pokroję go na kawałki.

Odwołałem się zatem do tradycyjnych technik policyjnych. Kłamstw i przekupstwa.

- Niektórzy ludzie uważają, że Carbone przynosił nam wstyd - powiedziałem. - Rozumiesz, przynosił wstyd armii. Więc nie musimy tego zbyt głęboko drażyć. Jeśli puścisz farbę, wyślemy cię z powrotem do Turcji. Możesz tam poczekać, aż nadejdzie pora, żeby wrócić do domu i być patriotą.
- To pan zabił Carbone'a. Ludzie tak mówią.
- Ludzie się mylą - odparłem. - Nie było mnie tam. I nie zabiłem Brubakera. Bo też mnie tam nie było.
- Mnie też tam nie było - oświadczył.

Siedział kompletnie nieruchomo. Nagle coś do niego dotarło. Zaczął poruszać oczyma. Spojrzał w lewo, a potem w prawo. Spojrzał na mapę na ścianie. Na wbite w nią pineski. Na Summer. Na mnie. Poruszył ustami. Zobaczyłem, jak mówi do siebie Carbone. A potem Brubaker. Nie wydał

dźwięku, ale czytałem z jego warg.

- Niech pan zaczeka - powiedział.

- Na co?

- Nie - powiedział.

- Co nie?

- Nie, panie majorze.

- Powiedz mi, Trifonow.

- Myśli pan, że mam coś wspólnego z Carbone'em i Bru-bakerem?

- Uważasz, że nie masz? Trifonow znowu umilkł. Opuścił wzrok.

- Powiedz mi, Trifonow - ponagliłem go.

- To nie byłem ja - odparł, podnosząc wzrok. Siedziałem, obserwując jego twarz. Prowadziłem różnego

rodzaju przesłuchania od sześciu lat i Trifonow był co najmniej tysięcznym facetem, który spojrzał mi prosto w oczy i powiedział: „To nie byłem ja”. Problem polegał na tym, że jakiś procent z tego tysiąca mówił prawdę. I przyszło mi na myśl, że być może Trifonow też do nich należy. Coś w nim takiego było. Opadły mnie bardzo złe przeczucia.

- Będziesz musiał to udowodnić - oświadczyłem.

- Nie mogę.

- Będziesz musiał. Albo nigdy nie wyjdiesz z pierdła. Mogliby darować ci Carbone'a, ale nigdy w życiu nie darują ci Brubakera.

Nie odezwał się.

- Zacznijmy od początku - powiedziałem. - Gdzie byłeś w nocy czwartego stycznia?

Trifonow potrząsnął głową.

- Gdzieś byłeś. To nie ulega wątpliwości. Ponieważ nie było cię tutaj. Wymeldowałeś się i zameldowałeś z powrotem. Ty i twój pistolet.

Nie odezwał się. Po prostu na mnie spoglądał. Wpatrywałem się w niego bez słowa. Zmagając się sam ze sobą, zapadł w desperackie milczenie. Poruszał się na krześle. Prawie niewidocznie. Wykonywał drobne gwałtowne ruchy w prawo i w lewo. Tak jakby walczył z dwoma przeciwnikami, jednym z lewej, drugim z prawej strony. Jakby wiedział, że musi mi powiedzieć, i zdawał sobie sprawę, że nie może. Dygotał na krześle niczym idealny przykład kogoś, kto znalazł się między młotem i kowadłem.

- Czy popełniłeś jakieś przestępstwo w nocy czwartego stycznia? - zapytałem.

Spojrzał na mnie swoimi głęboko osadzonymi oczyma.

- No dobrze - powiedziałem. - Czas się zdecydować. Czy to było gorsze przestępstwo niż strzelenie Brubakerowi w głowę?

Nie odezwał się.

- Czy pojechałeś do Waszyngtonu i zgwałciłeś dwie dziesięcioletnie wnuczki prezydenta, jedną po drugiej?

- Nie - odparł.

- Dam ci pewną wskazówkę. W miejscu, w którym siedzimy, to byłaby jedyna zbrodnia gorsza od strzelenia Brubakerowi w głowę.

Nie odezwał się.

- Mów - ponagliłem go.

- To była prywatna sprawa - oświadczył.

- Jakiego rodzaju prywatna sprawa?

Nie odpowiedział. Summer westchnęła i odsunęła się od mapy. Zaczęło do niej docierać, że cokolwiek złego zrobił Trifonow, nie miało to nic wspólnego z Cołumbiąw Karolinie Południowej. Spojrzała na mnie i uniosła brwi. Trifonow poruszył się na krześle. Jego kajdanki zabrzęczały o metalowe nóżki.

- Co się ze mną stanie? - zapytał.

- To zależy od tego, co zrobiłeś - odparłem.
- Dostałem list - powiedział.
- Odebranie poczty to nie zbrodnia.
- Od znajomego znajomego.
- Opowiedz mi o tym liście.
- W Sofii mieszka pewien mężczyzna...

Siedząc tam zgarbiony, z rękoma przykutymi do nóg krzesła, opowiedział nam o liście. Ujął to w taki sposób, jakby uważał, że w całej historii jest coś specyficznie bułgarskiego. Ale w rzeczywistości wcale tak nie było. Taką historię mógł opowiedzieć każdy z nas.

W Sofii mieszkał pewien mężczyzna. Miał siostrę. Siostra była odnoszącą umiarkowane sukcesy gitnastyczką, która poprosiła o azyl podczas akademickich zawodów w Kanadzie, a później osiedliła się w Stanach, wyszła za Amerykanina i uzyskała obywatelstwo. Jej mąż okazał się złym człowiekiem. Siostra pisała o tym do brata, który został w Bułgarii. Długie, nieszczęśliwe listy. O biciu, gwałtach, okrucieństwie i izolacji. Jej życie zmieniło się w piekło. Komunistyczni cenzorzy przekazywali listy, ponieważ wszystko, co stawiało w złym świetle Amerykę, było dla nich w porządku. Brat mieszkający w Sofii miał znajomego, który miał dostęp do siatki dysydentów. Znajomy miał adres Trifonowa w Fort Bird w Karolinie Północnej. Przed ucieczką do Turcji Trifonow kontaktował się z tą siatką. Znajomy wziął list od brata z Sofii i przekazał go człowiekowi, który kupował części do maszyn w Austrii. Facet od części pojechał do Austrii i nadał list. List dotarł do Fort Bird. Trifonow otrzymał go drugiego stycznia, wczesnym rankiem w punkcie odbioru poczty. Na kopercie było zapisane cyrylicą jego nazwisko, masa zagranicznych znaczków i nalepki Luftpost.

Przeczytał list, siedząc samotnie w swoim pokoju. Wiedział, czego się od niego spodziewają. Narodowa lojalność sprawiła, że czas, przestrzeń i brak więzów pokrewieństwa straciły znaczenie. Miał wrażenie, że to jego własną siostrę poniewiera jakiś facet. Kobieta mieszkała niedaleko miejsca o nazwie Cape Fear, Przylądek Strachu, co zważywszy na okoliczności, wydało mu się właściwą nazwą. Poszedł do biura kompanii i odszukał na mapie, gdzie to jest.

Następny wolny wieczór miał czwartego stycznia. Opracował plan i ułożył sobie w myślach przemówienie, skupiające się na tym, jak bardzo niewskazane jest pastwienie się nad Bułgarką, która ma mieszkających nieopodal znajomych.

- Nadal masz ten list? - zapytałem. Trifonow skinął głową.
- Ale nie będziecie mogli go przeczytać. Jest napisany po bułgarsku.
- Co miałeś na sobie tamtego wieczoru?
- Cywilne ciuchy. Nie jestem głupi.
- Co dokładnie?
- Skórzaną kurtkę. Niebieskie džinsy. Koszulę. Amerykańskie. To jedyne cywilne ciuchy, które mam.
- Co zrobiłeś temu facetowi? Potrząsnął głową. Nie chciał odpowiedzieć.
- No dobrze - mruknąłem. - Jedziemy wszyscy do Cape Fear.

Posadziliśmy skutego kajdankami Trifonowa na tylnym siedzeniu. Summer prowadziła. Cape Fear leżał na wybrzeżu atlantyckim, mniej więcej sto mil na południowy wschód. Jazda hunwee była męcząca. Na pewno inaczej jechałoby się chevroletem corvette. Chociaż nie pamiętałem, żebym kiedykolwiek nim jechał. Nie znałem nikogo, kto by go miał.

I nigdy nie byłem na Cape Fear. To jedno z wielu miejsc w Ameryce, których nigdy nie odwiedziłem. Ale oglądałem film. Nie pamiętałem dokładnie gdzie. Pewnie gdzieś w namiocie. Film był czarno-biały i Gregory Peck miał w nim jakiś problem z Robertem Mitchumem. Był nawet ciekawy, ale ogólnie denerwujący. Chłopcy na widowni często gwizdali. Robert Mitchum powinien zostać załatwiony w ciągu pierwszych piętnastu minut. Oglądanie, jak cywile miotają się bezradnie przez dziewięćdziesiąt minut, żeby wydłużyć całą historię, nie przypadła do gustu żołnierzom.

Zanim dotarliśmy w pobliże celu, zupełnie się ściemniło. Na obrzeżach Wilmington minęliśmy znak reklamujący miasto jako historyczny, malowniczy stary port, ale zignorowaliśmy go, ponieważ siedzący z tyłu Trifonow kazał nam skręcić w lewo w stronę jakichś moczarów. Jechaliśmy przez pewien czas po ciemku przez kompletne odludzie, a potem skręciliśmy ponownie w lewo w kierunku miejscowości o nazwie Southport.

- Cape Fear jest za Southport - oświadczyła Summer. - To wyspa na oceanie. Jest tam chyba most. Ostatecznie jednak okazało się, że nasz cel znajduje się w sporej odległości od wybrzeża. Nie dotarliśmy nawet do Southport. Kiedy mijaliśmy po prawej stronie skupisko przyczep, Trifonow dał nam ponownie znak. Cały prostokątny teren wyglądał, jakby ktoś osuszył część bagien, żeby urządzić staw, a potem wysypał gruz i ziemię na obszarze dwóch boisk do futbolu. Do otoczonej rowami melioracyjnymi okolicy doprowadzono prąd i stało tam mniej więcej sto przyczep. W naszych reflektorach widać było, że niektóre są podwójnej szerokości kolosami, z przybudówkami, ogródkami i płótkami. Inne były zwyczajne i poobijane. Kilka opuszczonych zsunęło się z bloczków, na których stały. Znajdowaliśmy się jakieś dziesięć mil od brzegu, ale sztormy mają daleki zasięg.

- To tutaj - powiedział Trifonow. - Skręćcie w prawo.

Środkiem biegła szeroka droga, w prawo i lewo odchodziły od niej węższe. Trifonow pokierował nas przez labirynt i zatrzymaliśmy się przed przechyloną zieloną przyczepą, która okres świetności miała już za sobą. Farba łuszczyła się ze ścian, papa zwijała z dachu. Z komina unosił się dym, za oknami widać było niebieskawą poświatę telewizora.

- Ma na imię Elena - powiedział Trifonow. Zostawiliśmy go zamkniętego w hunwee i zapukaliśmy do

drzwi Eleny. Kobieta, która je otworzyła, stanowiła podręcznikowy przykład molestowanej żony. Była w fatalnym stanie. Miała złamany nos i stare poślizgi siniaki wokół oczu i wzdłuż linii szczęki. Jej postawa sugerowała, że jest cała obolała i być może ktoś złamał jej ostatnio żebra. Miała cienką podomkę i męskie buty na nogach. Była jednak schludna i umyta i porządnie związała z tyłu włosy. W jej oczach dostrzegłem przekorny błysk. Być może dumy albo satysfakcji, że udało jej się przetrwać. Zerknęła na nas nerwowo, stłamszona biedą, cierpieniem i statusem cudzoziemki.

- Tak? - zapytała. - W czym mogę pomóc? - Miała akcent podobny do Trifonowa, lecz o wiele miłszy tembr głosu.

- Musimy z panią porozmawiać - powiedziała spokojnie Summer.

- O czym?

- O tym, co zrobił dla pani Sławi Trifonow - oświadczyłem.

- On nic nie zrobił - odparła pośpiesznie.

- Ale zna pani to nazwisko. Przez chwilę milczała.

- Proszę, wejdźcie - powiedziała w końcu.

W środku spodziewałem się chyba jakiegoś pobojuwiska. Może porozrzucanych pustych butelek, pełnych popielniczek, brudu i bałaganu. Ale w przyczepie panował porządek. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Było zimno, lecz czysto. I nie było w niej nikogo poza nią.

- Męża nie ma w domu? - zapytałem. Elena potrząsnęła głową.

- Gdzie jest? Nie odpowiedziała.

- Domyślam się, że w szpitalu - odezwała się Summer. - Mam rację?

Elena tylko na nią popatrzyła.

- Pan Trifonow pomógł pani - powiedziała Summer. - Teraz pani musi pomóc jemu.

Elena się nie odezwała.

- Jeśli nie robił tutaj czegoś dobrego, był gdzie indziej i robił coś złego. Tak to wygląda. Więc muszę się od pani dowiedzieć, jak było.

Nie odezwała się.

- To jest bardzo, bardzo ważne - dodałem.

- A jeśli obie rzeczy były złe? - zapytała.



- Tych rzeczy nie da się porównać - odparłem. - Niech mi pani wierzy. Nawet w przybliżeniu. Więc proszę mi powiedzieć, co dokładnie się wydarzyło. Dobrze?

Nie odpowiedziała od razu. Wszedłem w głąb przyczepy. Telewizor był nastawiony na kanał PBS, dźwięk ściszony. Czulem zapach środków czyszczących. Pozbyła się męża i zaczynała nową fazę swojego życia z wiadrem, mopem i telewizją edukacyjną.

- Nie wiem dokładnie, co się stało - powiedziała. - Pan Trifonow przyszedł tutaj i po prostu zabrał mojego męża.

- Kiedy?

- Przedwczoraj o północy. Powiedział, że dostał list od mojego brata z Sofii.

Pokiwałem głową. O północy. Wyjechał z Fort Bird o 22.11 i pojawił się tu po godzinie i czterdziestu dziewięciu minutach. Sto mil chevroletem corvette, ze średnią szybkością pięćdziesięciu pięciu mil na godzinę. Spojrzałem na Summer. Pokiwała głową.

- Jak długo tu był?

- Tylko kilka minut. Był bardzo grzeczny. Przedstawił się i powiedział mi, co robi i dlaczego.

- To wszystko?

Elena kiwnęła głową.

- Co miał na sobie?

- Skórzaną kurtkę. Dżinsy.

- Jakim przyjechał samochodem?

- Nie wiem, jak się nazywa. Czerwony i niski. Sportowy. Z huczącą rurą wydechową.

- W porządku - powiedziałem, po czym skinąłem na Summer i cofnęliśmy się pod drzwi.

- Czy mój mąż wróci? - zapytała Elena. Przypomniałem sobie Trifonowa, kiedy go po raz pierwszy

zobaczyłem. Sześć stóp i sześć cali wzrostu, dwieście pięćdziesiąt funtów wagi, ogolona głowa. Grube nadgarstki, wielkie dłonie, płonące oczy i pięć lat w GRU.

- Bardzo w to wątpię - odparłem.

Wsiadliśmy z powrotem do hunwee. Summer uruchomiła silnik. Odwróciłem się do siedzącego za drucianą siatką Trifonowa.

- Gdzie zostawiłeś tego faceta? - zapytałem.

- Na drodze do Wilmington - odparł.

- Kiedy?

- O trzeciej rano. Zatrzymałem się przy budce telefonicznej i zadzwoniłem pod dziewięćset jedenaście. Nie podałem nazwiska.

- Spędziłeś z nim trzy godziny. Trifonow pokiwał powoli głową.

- Chciałem mieć pewność, że zrozumiał, o co chodzi. Summer wyjechała spomiędzy przyczep i skręciła na północny

zachód w kierunku Wilmington. Minęliśmy znak turystyczny na obrzeżach miasta i pojechaliśmy dalej, szukając szpitala. Znaleźliśmy go ćwierć mili dalej. Piętrowy budynek wyglądał całkiem porządnie i miał osłoniętą szeroką wiatą podjazd dla ambulansów. Summer zaparkowała na miejscu zarezerwowanym dla lekarza o hinduskim nazwisku i wysiedliśmy. Otworzyłem tylne drzwi,

wypuściłem na zewnątrz Trifonowa, zdjąłem mu kajdanki i schowałem je do kieszeni.

- Jak się nazywał ten facet? - zapytałem.

- Pickles.

Weszliśmy wszyscy do środka i pokazałem siedzącemu za biurkiem sanitariuszowi odznakę jednostki specjalnej. Prawdę mówiąc, nie daje mi ona żadnych specjalnych praw ani przywilejów w cywilnym świecie, ale facet zareagował, jakbym miał nieograniczone pełnomocnictwa, czyli dokładnie tak, jak reaguje większość cywili.

- Wczesnym rankiem piątego stycznia - powiedziałem. - Przyjęliście kogoś kilka minut po trzeciej. Facet przejrzał karty w kartotekowej szafce po swojej prawej stronie i wysunął dwie z nich.

- Mężczyzna czy kobieta? - zapytał.

- Mężczyzna.

Wsunął jedną z kart z powrotem i wysunął drugą.

- Tożsamość nieustalona - powiedział. - Ubogi mężczyzna, bez dokumentów i ubezpieczenia, twierdzi, że nazywa się Pickles. Gliniarze znaleźli go na drodze.

- To nasz człowiek - rzekłem.

- Wasz człowiek? - zapytał, spoglądając na mój mundur.

- Będziemy mogli uiścić za niego rachunek - oświadczyłem.

To go zainteresowało. Zerknął na inne karty, jakby chciał powiedzieć „jeden opłacony, zostało jeszcze dwustu”.

- Jest na oddziale pooperacyjnym - oznajmił, wskazując windę. - Na pierwszym piętrze.

Został za biurkiem, a my pojechaliśmy wszyscy troje na górę. Wysiedliśmy z windy i kierując się znakami, ruszyliśmy w stronę oddziału pooperacyjnego. Pielęgniarka przy drzwiach zatrzymała nas. Pokazałem jej moją odznakę.

- Pickles - powiedziałem.

Skierowała nas do izolatki z zamkniętymi drzwiami, po drugiej stronie holu.

- Tylko pięć minut - zastrzegła. - Jest bardzo chory. Trifonow się uśmiechnął. Otworzyliśmy drzwi izolatki. Światło

w środku było przyćmione. Na łóżku leżał facet. Spał. Trudno było stwierdzić, czy jest duży, czy mały. Niewiele go było widać. Prawie cały był w gipsie. Nogi miał na wyciągach, na oba kolana założono mu wielkie opatrunki, jakie zwykle zakłada się na rany postrzałowe. Naprzeciwko jego łóżka wisiała na wysokości oczu długa podświetlarka, prawie w całości wypełniona zdjęciami rentgenowskimi. Włączyłem w niej światło i przyjrzałem się odbitkom. Na każdej była na marginesie data i nazwisko Pickles. Przedstawiały jego ręce, żebra, klatkę piersiową i nogi. W ludzkim ciele jest ponad dwieście dziesięć kości i wyglądało na to, że Pickles ma złamane prawie wszystkie. Same te zdjęcia musiały poważnie nadweryżyć budżet szpitalnej radiologii.

Zgasilem podświetlarkę i kopnąłem dwa razy nogę łóżka. Leżący na nim facet poruszył się i zbudził. Zamrugał oczyma w przyćmionym świetle i mina, jaką zrobił na widok Trifonowa, była najlepszym alibi, jakiego potrzebował Bułgar. Na twarzy Picklesa malowało się skrajne przerażenie.

- Wy dwoje zaczekajcie za drzwiami - powiedziałem. Summer wyprowadziła Trifonowa na korytarz, a ja podszedłem do wezłowania łóżka.

- Jak się masz, dupku? - zapytałem.

Pickles był biały jak kreda. Trząsł się i pocił pod gipsem.

- To był ten facet - powiedział. - Ten, co tu stał. On mi to zrobił.

- Co takiego ci zrobił?

- Postrzelił mnie w nogi.

Pokiwałem głową. Spojrzałem na opatrunki. Miał przestrzelone rzepki. Dwa kolana, dwie kule. Dwa wystrzelone naboje.

- Z przodu czy z boku? - zapytałem.

- Z boku.

- Z przodu jest gorzej - powiedziałem. - Miałeś szczęście. Choć wcale na nie nie zasłużyłeś.

- Nic nie zrobiłem.

- Naprawdę? Przed chwilą widziałem się z twoją żoną.

- Cudzoziemska dziwka.

- Nie mów tak.

- To jej wina. Nie robi tego, co jej każe. Mężczyzny trzeba słuchać. Tak piszą w Biblii.

- Zamknij się.

- Nie ma pan zamiaru czegoś zrobić?

- Owszem - odparłem. - Patrz.

Machnąłem ręką, jakbym chciał zgonić muchę z prześcieradła, i trzepnąłem go lekko w bok prawego kolana. Pickles krzyknął, a ja wyszedłem na korytarz. Pielęgniarka spojrzała w moją stronę.

- Jest bardzo chory - powiedziałem.

Zjechaliśmy na dół windą i ominęliśmy sanitariusza na izbie przyjęć, wychodząc głównym wejściem. Podeszliśmy w milczeniu do hunwee. Otworzyłem tylne drzwi przed Trifonowem, jednak zanim wszedł, podałem mu rękę.

- Przepraszam - powiedziałem.

- Czy będę miał kłopoty? - zapytał.

- Nie z mojej strony - odparłem. - Gramy w tej samej drużynie. Ale miał pan sporo szczęścia. Mógł go pan trafić w tętnicę udową. Mógł go pan zabić. Mielibyśmy wtedy inną sytuację.

Trifonow lekko się uśmiechnął. Był spokojny.

- Szkoliłem się pięć lat w GRU - oznajmił. - Wiem, jak zabijać ludzi. I wiem, jak tego nie robić.

16

Oddaliśmy Trifonowowi jego steyra i wysadziliśmy go przy bramie Delta Foree. Prawdopodobnie zdał broń w hangarze, wrócił do swojego pokoju, wziął do ręki książkę i podjął lekturę w przerwany miejscu. Zostawiliśmy humvee na parkingu żandarmerii i udaliśmy się do mojego gabinetu. Summer podeszła od razu do ściany, na której nadal wisiał przyklejony taśmą rejestr z wartowni.

- Vassell i Coomer - powiedziała. - To jedyni ludzie, którzy wyjechali poza tym tamtej nocy z bazy.

- Udali się na północ - odparłem. - Jeśli twierdzisz, że wyrzucili teczkę z samochodu, musisz przyjąć do wiadomości, że pojechali na północ. Nie pojechali na południe, do Columbi.

- Okay - mruknęła. - Więc Carbone'a i Brubakera nie załatwił ten sam facet. Nie ma między nimi związku. Straciliśmy po prostu mnóstwo czasu.

- Witaj w realnym świecie - powiedziałem.

Realny świat okazał się znacznie bardziej wkurzający, kiedy dwadzieścia minut później zadzwonił telefon. To była moja

sierżant. Matka małego synka. Miała na linii Sancheza, który dzwonił z Fort Jackson. Przełączyła go.

- Willard przyjechał i wyjechał - zakomunikował mi. - Niewiarygodne.

- Mówiłem ci.

- Czepiał się wszystkich i każdego z osobna.

- Ale ty jesteś kryty.

- Dzięki Bogu.

- Powiedziałaś mu o moim facecie? - zapytałem po chwili.

- Prosiłeś, żebym to zrobił. Nie powinienem?

- To było pudło. Na początku dobrze się zapowiadało, ale później nic z tego nie wyszło.

- Jedzie w tej chwili na północ, żeby usłyszeć od ciebie raport. Wyjechał stąd przed dwiema godzinami. Będzie bardzo rozczarowany.

- Cudownie.

- Co teraz zrobisz? - zapytała Summer.

- Kim jest Willard? - odparłem. - W gruncie rzeczy?

- Karierowiczem - powiedziała.

- Zgadza się.

Formalnie rzecz biorąc, w hierarchii wojskowej jest dwadzieścia sześć stopni. Rekrut otrzymuje stopień szeregowca i jeśli nie zrobi czegoś głupiego, po roku zostaje automatycznie starszym

szeregowcem. Jeśli do czegoś się nadaje, po dwóch, a nawet trochę wcześniej, kapralem. Potem drabina prowadzi aż do pięciogwiazdkowego generała armii, chociaż z wyjątkiem Jerzego Waszyngtona i Dwighta Davida Eisenhowera nie znałem nikogo, kto kiedykolwiek dotarłby tak wysoko. Jeśli policzy się wszystkich starszych i młodszych sierżantów sztabowych oraz czterech chorążych, major taki jak ja ma siedem stopni nad sobą i osiemnaście pod sobą. Co daje majorowi takiemu jak ja spore doświadczenie, jeśli idzie o niesubordynację, zarówno okazywaną jemu, jak i okazywaną przez niego. Z milionem ludzi na dwu dziesięciu sześciu oddzielnych szczeblach kariery niesubordynacja jest prawdziwą formą sztuki. Którą uprawia się oczywiście bez świadków.

Odesłałem więc Summer i czekałem samotnie na Willarda. Trochę się buntowała, w końcu jednak zdołałem ją przekonać, że jedno z nas nie powinno się ujawniać. Poszła zjeść późną kolację. Moja sierżant przyniosła mi sandwicza. Z rostbefem i serem szwajcarskim, na białym chlebie, z odrobiną majonezu i musztardy. Wołowina była różowa. To był dobry sandwicz. Potem przyniosła mi kawę. Byłem w połowie drugiej filiżanki, kiedy pojawił się Willard.

Wszedł od razu do mojego gabinetu, zostawiając otwarte drzwi. Nie wstałem. Nie zasalutowałem. Nie przestałem popijać kawy. Zgodnie z moimi oczekiwaniami zignorował to. Był dobrym taktikiem. Z tego, co wiedział, miałem podejrzanego o zabójstwo Brubakera, dzięki czemu moglibyśmy odebrać tę sprawę policji z Columbi i zdusić w zarodku spekulacje o związkach elitarnego pułkownika z dealerami narkotyków. Zamierzał więc zacząć miło i serdecznie. A może chciał zaprzyjaźnić się z jednym ze swoich podwładnych. Usiadł i zaczął skubać nogawki spodni. Na jego twarzy pojawił się porozumiewawczy uśmiech, jakbyśmy właśnie przeżyli jakieś wspólne fascynujące doświadczenie.

- Wspaniale się jechało z Jackson - powiedział. - Fenomenalne drogi.

Nie odezwałem się.

- Kupiłem sobie niedawno starego pontiaca GTO - powiedział. - Świetna bryka. Założyłem nowy tłumik i chromowane rury wydechowe. Zapiardała jak skurwysyn.

Nie odezwałem się.

- Lubisz sportowe wozy? - zapytał.

- Nie - odparłem. - Wolę jeździć autobusem.

- Nie ma w tym nic zabawnego.

- No dobrze, ujmę to inaczej. Odpowiadają mi rozmiary mojego penisa. Nie potrzebuję kompensować sobie braków w tej dziedzinie.

Willard pobladł, a następnie poczerwieniał. Jego twarz przybrała odcień corvette'y Trifonowa. Spojrzał na mnie spode łba, jakby był prawdziwym twardzielem.

- Opowiedz mi o postępach w sprawie Brubakera - powiedział.

- Nie zajmuję się tą sprawą.

- Sanchez powiedział mi, że znalazłeś sprawcę.

- To był fałszywy alarm - odparłem.

- Na pewno?

- Absolutnie.

- Kogo podejrzewałeś?

- Twoją byłą żonę.

- Co?

- Ktoś powiedział mi, że sypiała z połową pułkowników w całej armii. Takie miała hobby. Więc doszedłem do wniosku, że robiła to również z Brubakerem. Miałem pięćdziesiąt procent szans.

Willard wbił we mnie wzrok.

- Żartowałem - powiedziałem. - To nie był nikt ważny. Zwykła pomyłka.

Willard spojrział w bok. Był wściekły. Wstałem i zamknąłem drzwi do gabinetu. Usiadłem z powrotem za biurkiem. Twarzą do niego.

- Twoja bezczelność jest niesłychana - stwierdził.  
- Więc złóż skargę, Willard. Zwróć się do kogoś wyższego w hierarchii i powiedz, że zraniłem twoje uczucia. Ciekawe, czy ktoś ci uwierzy. Czy ktoś uwierzy, że nie potrafisz uporać się sam z taką sytuacją? Prześledź dzieje tej notatki w swojej teczce personalnej. Pomyśl, jakie wrażenie wywrze to na komisji przygotowującej twój awans na jednogwiazdkowego generała.

Willard zaczął się wiercić na krześle. Przekręcił się w prawo i w lewo i rozejrzał po pokoju. Utkwił wzrok w mapie Summer.

- Co to jest? - zapytał.

- Mapa - odparłem.

- Mapa czego?

- Wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

- Co oznaczają te pineski?

Nie odpowiedziałem. Willard wstał, podszedł do ściany i zaczął kolejno dotykać pinesek palcami. Waszyngton, Sper-ryville i Green Valley. A potem Raleigh, Fort Bird, Cape Fear i Columbia.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał.

- To zwykłe pineski - odparłem. Wyciągnął tę, która była wbita w Green Valley.

- Pani Kramer. Mówiłem ci, żebyś się tym nie zajmował - rzekł, po czym powyciągał inne pineski i rzucił je na podłogę. Nagle zobaczył rejestr wjazdów i wyjazdów. Przejrzał go i zatrzymał się przy nazwiskach Vassella i Coomera. - Od nich też kazałem ci się odczepić - powiedział i ściągnął rejestr ze ściany. Razem z taśmą od ściany odpadły łuski farby. Następnie oderwał mapę. Od ściany znowu odpadła farba. Po pineskach zostały w tynku niewielkie dziurki, które same sprawiały wrażenie mapy. Albo konstelacji. - Zrobiłeś dziury w ścianie - oznajmił. - Nie życzę sobie, żeby niszczone w ten sposób wojskową własność. To jest nieprofesjonalne. Co pomyślą sobie osoby odwiedzające ten gabinet?

- Pomyślą, że na ścianie wisiała mapa - odparłem. - To ty ją ściągnąłeś i narobiłeś bałaganu.

Willard rzucił zgnieciony arkusz na podłogę.

- Chcesz, żebym poszedł do koszar Delty? - zapytał.

- Chcesz, żebym ci skręcił kark? - odparłem. To sprawiło, że się trochę wyciszył.

- Ty też powinieneś pomyśleć o ewentualnym awansie - powiedział w końcu. - Sądziś, że zostaniesz podpułkownikiem, dopóki pełnię swoją funkcję?

- Nie - odparłem. - Raczej wątpię. Ale z drugiej strony nie sędzę, żebyś pełnił ją zbyt długo.

- Przemyśl sprawę. To fajna niszka. Wojsko zawsze będzie potrzebowało gliniarzy.

- Ale nie zawsze będzie potrzebowało takich bezmyślnych dupków jak ty.

- Mówisz do oficera wyższego rangą. Rozejrzałem się dokoła.

- Ale co takiego mówię? Nie widzę żadnych świadków. Nie odpowiedział.

- Masz problemy z autorytetem - powiedziałem. - Oglądanie, jak próbujesz je rozwiązać, byłoby zabawne. Może chciałbyś je rozwiązać jak mężczyzna z mężczyzną, na sali gimnastycznej? Chcesz spróbować?

- Masz bezpieczny faks? - zapytał.

- Oczywiście - odparłem. - Stoi w sekretariacie. Minałeś go, wchodząc tutaj. Co się z tobą dzieje? Jesteś nie tylko głupi, ale i ślepy?

- Masz przy nim stać jutro dokładnie o godzinie dziewiątej zero zero. Przyślę ci zestaw rozkazów na piśmie.

Sporunował mnie po raz ostatni wzrokiem, po czym wyszedł z gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi tak mocno, że zatrzęsła się cała ściana, a przeciąg uniósł mapę i rejestr z wartowni cał nad podłogę. Nie ruszyłem się z biurka. Zadzwoiłem do mojego brata w Waszyngtonie, ale nie odebrał. Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do matki. Doszedłem jednak do wniosku, że nie mam nic do powiedzenia. O czymkolwiek bym z nią nie rozmawiał, domyśli się, że zatelefonowałem, żeby dowiedzieć się, czy jeszcze żyje. Będzie wiedziała, że o tym właśnie myślę.

Wstałem więc z krzesła, podniosłem z podłogi mapę i wygładziłem ją. Przykleiłem ją z powrotem

taśmą do ściany. Podniosłem wszystkie pineski i umieściłem tam, gdzie były wcześniej. Powiesiłem obok wykaz z wartowni. A potem ściągnąłem go ze ściany. Do niczego nie mógł mi się przydać. Zmiałem go w kulkę i wyrzuciłem do śmieci. Mapę zostawiłem na ścianie. Moja sierżant przyniosła mi kolejną kawę. Pomyślałem przez chwilę o ojcu jej dziecka. Gdzie był? Czy był agresywnym mężem? Jeśli tak, leżał prawdopodobnie pochowany gdzieś na moczarach. Względnie na kilku moczarach, w kilku kawałkach. Zadzwoił telefon i sierżant odebrała go za mnie. Po chwili podała mi słuchawkę.

- Detektyw Clark - powiedziała. - Z Wirginii. Przeciągnąłem kabel dokoła biurka i ponownie usiadłem.

- Robimy postępy - oznajmił Clark. - Łom ze Sperryville jest na pewno naszą bronią. Mamy identyczny egzemplarz ze sklepu i nasz lekarz sądowy potwierdził, że pasuje.

- Dobra robota - pochwaliłem go.

- Chcę powiedzieć, że nie mogę szukać dalej. Znaleźliśmy nasz łom, więc nie możemy dalej szukać waszego. Nie mógłbym wyjaśnić wydatków na nadgodziny.

- Jasne - odparłem. - Przewidzieliśmy to.

- Więc jesteś teraz zdany tylko na siebie, chłopie. I bardzo mi z tego powodu przykro.

Nie odpowiedziałem.

- Coś nowego u was? Ma pan dla mnie jakieś nazwisko? Uśmiechnąłem się. Nie możesz zapomnieć, że obiecałem ci nazwisko, pomyślałem. Chłopie. Nie mam ci się za co rewanżować. Niezależnie od tego, że nigdy nie było żadnego nazwiska.

- Dam panu znać - obiecałem.

Summer pojawiła się po kolejnych trzydziestu minutach. Powiedziałem jej, żeby na resztę nocy wzięła sobie wolne. Dodałem, że spotkamy się na śniadaniu w kantynie. Dokładnie o dziewiątej, kiedy miały nadejść rozkazy Willarda. Przewidywałem, że zjemy długi obfity posiłek, mnóstwo jajek, mnóstwo kawy, i wrócimy do biura wolnym krokiem kwadrans po dziesiątej.

- Przesunąłeś mapę - powiedziała.

- Willard zdarł ją ze ściany. Przykleiłem ją z powrotem.

- Jest niebezpieczny.

- Może. A może nie - odparłem. - Czas pokaże. Summer wróciła na swoją kwaterę, a ja wróciłem na moją.

Miałem pokój w skrzydle dla nieżonatych oficerów. Przypominało to typowy motel. Od uliczki nazwanej imieniem jakiegoś dawno zmarłego wojaka odznaczonego Medalem Honoru odchodziła alejka, która prowadziła do moich drzwi. Przy uliczce stały co dwadzieścia jardów latarnie. Ta najbliższej moich drzwi się nie paliła. Nie mogła się palić, ponieważ ktoś stłukł ją kamieniem. Widziałem na alejce odłamki szkła. I trzech kryjących się w cieniu facetów. Pierwszym z nich był sierżant Delty z brodą i opalenizną. Kiedy go mijałem, postukał palcem w cyferblat zegarka. Drugi facet zrobił to samo. Trzeci tylko się uśmiechnął. Wszedłem do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Nie słyszałem, jak odeszli. Nie spałem zbyt dobrze.

Rano już ich nie było. Bez przeszkód dotarłem do kantyny. O dziewiątej rano jadalnia była w zasadzie pusta, co stanowiło plus. Złe było to, że żarcie, które zostało do jedzenia, kisiło się już jakiś czas w ladach grzewczych. Biorąc jednak pod uwagę wszystkie za i przeciw, uznałem, że sytuacja jest korzystna. Byłem w większym stopniu samotnikiem niż smakoszem. Summer i ja usiedliśmy naprzeciwko siebie przy małym stoliku pośrodku sali i w dwójkę zjedliśmy prawie wszystko, co zostało. Summer skonsumowała mniej więcej funt kaszy i dwa funty ciastek. Była mała, ale mogła dużo zjeść. To nie ulegało wątpliwości. Potem bez pośpiechu popijaliśmy kawę i dotarliśmy do mojego biura dwadzieścia po dziesiątej. W środku było piekło. Dzwoniły wszystkie telefony. Mój kapral z Luizjany miał zgębnioną minę.

- Niech pan nie odbiera telefonu - powiedział. - To pułkownik Willard. Chce natychmiastowego

potwierdzenia, że otrzymał pan jego rozkazy. Jest wściekły jak jasna cholera.

- Co to za rozkazy?

Kapral skoczył do swojego biurka i podał mi faks. Telefony dalej dzwoniły. Nie wziąłem do ręki kartki, ale przeczytałem ją nad ramieniem mojego kaprała. Były tam dwa gęste akapity. Willard polecał mi sprawdzić w kwatermistrzostwie wykazy wszystkich dostaw oraz rejestry ich wewnętrznej dystrybucji. Opierając się na nich, miałem spisać, co dokładnie powinno się znajdować w magazynach bazy. Następnie miałem to zweryfikować, dokonując fizycznego przeszukania magazynów. Następnie miałem sporządzić listę wszystkich brakujących artykułów i zaproponować w formie pisemnej, w jaki sposób ustalić, gdzie się obecnie znajdują. Miałem potraktować ten rozkaz jako pilny i bezzwłocznie go wykonać. A wcześniej jeszcze zadzwonić do niego, żeby potwierdzić jego otrzymanie, natychmiast po tym, jak zostanie mi doręczony.

Była to klasyczna kara poprzez pracę. W dawnych wrednych czasach rozkazywali ci malować na białą węgiel, wsypywać piasek do worków łyżeczkami do herbaty albo szorować podłogę szczoteczką do zębów.

Miałem do czynienia z nowoczesnym odpowiednikiem podobnych szykan. Bezmyślnym zadaniem, którego wykonanie musiałyby mi zająć dwa tygodnie. Uśmiechnąłem się.

Telefony nie przestawały dzwonić.

- W ogóle nie otrzymałem tego rozkazu - powiedziałem. - Nie ma mnie tutaj.

- Gdzie pan jest?

- Powiedz mu, że ktoś rzucił opakowanie po gumie do żucia na rabatkę przed biurem dowódcy bazy. Powiedz, że nie mogę pozwolić, aby wojskowe nieruchomości były tak traktowane. Powiedz, że od świtu jestem na tropie sprawcy.

Wyprowadziłem Summer z powrotem na dwór, daleko od dzwoniących telefonów.

- Dupek - powiedziałem.

- Powinieneś się przyczać - odparła. - Będzie teraz wszędzie dzwonił.

Stałem w miejscu. Rozejrzałem się dokoła. Zimna pogoda. Szare budynki, szare niebo.

- Weźmy sobie dzień wolny - powiedziałem. - Pojedźmy gdzieś.

- Mamy rzeczy do zrobienia. Pokiwałem głową. Carbone. Kramer. Brubaker.

- Nie mogę tutaj zostać - stwierdziłem. - Więc nie możemy nic zdziałać w sprawie Carbone'a.

- Chcesz jechać do Columbii?

- To nie jest nasza sprawa - odparłem. - Nie uda nam się odkryć niczego, czego nie odkryłyby Sanchez.

- Za zimno na plażę.

Ponownie pokiwałem głową. Nagle zapragnąłem, żeby nie było za zimno na plażę. Chętnie zobaczyłbym Summer na plaży. W bikini. Najlepiej bardzo skąpym.

- Musimy pracować - dodała.

Spojrzałem na południowy zachód, tam gdzie kończyły się budynki bazy. Na horyzoncie zobaczyłem zimne i bezlistne drzewa. Trochę bliżej ujrzałem wysoką sosnę, szarą i uśpioną. Uświadomiłem sobie, że niedaleko tego miejsca znaleźliśmy Carbone'a.

Carbone.

- Pojedźmy do Green Valley - powiedziałem. - Złożmy wizytę detektywowi Clarkowi. Moglibyśmy go poprosić o notatki dotyczące łomu. Zaczął drążyć dla nas sprawę. Może dałoby się doprowadzić ją do końca. Czterogodzinna jazda może w tym momencie okazać się dobrym posunięciem.

- I czterogodzinna jazda z powrotem.

- Moglibyśmy zjeść lunch. Może obiad. Moglibyśmy samowolnie oddalić się z posterunku.

- Znajdą nas. Potrząsnąłem głową.

- Nikt mnie nigdy nie znajdzie - oświadczyłem.

Zaczekałem na chodniku, a Summer oddaliła się i podjechała pięć minut później zielonym chevroletem, z którego korzystaliśmy wcześniej. Stała tuż przy krawężniku i otworzyła szybę,

zanim zdążyłem ruszyć się z miejsca.

- Czy to roztropne? - zapytała.

- Tylko to nam zostało - odparłem.

- Nie, miałam na myśli, czy powinni cię odnotować na bramie. Czas wyjazdu: dziesiąta trzydzieści. Willard będzie mógł to sprawdzić.

Nie odezwałem się. Summer się uśmiechnęła.

- Mógłbyś się schować w bagażniku - powiedziała. - I wyjść z niego, kiedy przejedziemy przez bramę.

Potrząsnąłem głową.

- Nie zamierzam się chować. Nie z powodu takiego dupka jak Willard. Jeśli sprawdzi rejestr wyjazdów, powiem mu, że polowanie na faceta, który zaśmiecił trawnik, przekroczyło granice stanu. Albo granice kraju. Moglibyśmy pojechać na Tahiti.

Usiadłem obok niej, odsunąłem fotel maksymalnie do tyłu i zacząłem znowu rozmyślać o bikini. Summer zdjęła nogę z hamulca i ruszyła główną drogą. Zwolniła i zatrzymała się przed bramą. Żandarm podszedł do nas z podkładką. Zanotował nasz numer rejestracyjny, a my pokazaliśmy mu nasze odznaki. Zerknął do środka samochodu i sprawdził puste tylne siedzenie. A potem skinął do swojego partnera w budce i barierka przed nami podniosła się bardzo powoli. To był gruby szlaban z przeciwwagą, pomalowany w czerwono-białe pasy. Summer zaczekała, aż ustawi się w pionowej pozycji, po czym wcisnęła gaz do dechy i odjechaliśmy, zostawiając za sobą chmurę rządowego niebieskiego dymu z tylnych opon chevroleta.

Pogoda się poprawiała w miarę, jak jechaliśmy na północ. Wychynęliśmy spod warstwy niskich szarych chmur w jasne zimowe słońce. Samochód był wojskowy i nie mieliśmy radia.

Wyłącznie czarną zaślepkę tam, gdzie w cywilnym modelu byłyby lale długie i ultrakrótkie oraz otwór na kasetę. W związku z czym od czasu do czasu rozmawialiśmy, a resztę podróży spędziliśmy w bezmyślnym milczeniu. Czuję się wolny i to było dziwne. Prawie całe życie spędziłem tam, gdzie mnie przydzielono, każdą minutę każdego dnia. Teraz czuję się niczym wagarowicz. Na zewnątrz świat zajmował się swoimi sprawami - chaotyczny, nieporządkny i niezdiscyplinowany, a ja na krótko stałem się jego częścią. Pół leżąc, pół siedząc, patrzyłem, jak przede mną przepływa, jaskrawy i stroboskopowy. Przypadkowe obrazy ukazywały się niczym rozbłyśki słońca na rzece.

- Nosisz bikini czy kostium jednoczęściowy? - zapytałem.

- Bo co?

- Po prostu chciałem wiedzieć - odparłem. - Myślałem o plaży.

- Za zimno na plażę.

- W sierpniu nie będzie.

- Myślisz, że jeszcze tu będziesz w sierpniu?

- Nie - odparłem.

- Szkoda - mruknęła. - Nigdy się nie dowiesz, co noszę.

- Mogłabyś mi wysłać zdjęcie.

- Dokąd?

- Pewnie do Fort Leavenworth. Do bloku o maksymalnym rygorze.

- Nie, gdzie będziesz? Serio?

- Nie mam pojęcia. Do sierpnia mamy jeszcze osiem miesięcy.

- Które miejsce z tych, gdzie służyłeś, było najlepsze? Uśmiechnąłem się i udzieliłem jej odpowiedzi, którą dają każdemu, kto o to pyta.

- Obecne jest najlepsze.

- Nawet z Willardem, który się na ciebie uwziął?

- Willard to pikuś. Odejdzie przede mną.

- Dlaczego tu się w ogóle znalazł?



Poruszyłem się na fotelu.

- Mój brat uważa, że naśladowują taktykę wielkich korporacji. Ci, którzy nic nie wiedzą, nie zaangażują się w utrzymywanie status quo.

- Więc facet, który pisał algorytmy pozwalające ocenić zużycie paliwa, ląduje tutaj i w pierwszym tygodniu ma na głowie dwóch martwych żołnierzy. I nie chce prowadzić śledztwa w żadnej z tych spraw.

- Ponieważ to byłoby staroświeckie podejście. Musimy iść z postępem. Musimy widzieć szerszy obraz - powiedziałem.

Summer uśmiechnęła się i o wiele za szybko skrzyła w zjazd do Green Valley.

Komenda policji Green Valley mieściła się na północ od centrum. Budynek był większy, niż się spodziewałem, ponieważ samo miasto było większe, niż się spodziewałem. Składało się z ładnego śródmieścia, które widzieliśmy już wcześniej, poza tym jednak wybrzuszało się na północ, sięgając centrami handlowymi i dzielnicami przemysłowymi aż do samego Sperryville. Posterunek wydawał się dość duży, by pomieścić dwudziestu lub trzydziestu gliniarzy. Zbudowano go tak, jak buduje się w miejscach, gdzie ziemia jest tania. Długi i rozległy, składał się z parterowego środka i dwóch skrzydeł, dołączonych pod kątem prostym, tak że cały budynek miał kształt litery U. Fasady wykonane z udającego kamień betonu. Pośrodku był brązowy trawnik, po jego obu stronach miejsca parkingowe. Na trawniku znajdował się maszt, na nim flaga Stanów Zjednoczonych, sponiewierana przez pogodę i zwisająca smętnie z powodu braku chociażby najłżejszego podmuchu. Cały budynek miał w sobie coś dostojnego i wydawał się nieco spłowiały w jasnym blasku słońca.

Zaparkowaliśmy na parkingu z prawej strony między dwoma białymi radiowozami. Wysiedliśmy, weszliśmy do środka i zapytaliśmy faceta przy biurku o detektywa Clarka. Facet wykonał wewnętrzny telefon i skierował nas do lewego skrzydła. Brudny korytarz doprowadził nas do pomieszczenia wielkości boiska do koszykówki. Prawie całą jego powierzchnię zajmowała zagroda dla detektywów. Drewniany płatek otaczał przestrzeń, w której ustawiono cztery krzesła dla gości. Przy drzwiczkach było biurko recepcjonistki, a za nim w rogu gabinet porucznika i trzy pary dosuniętych do siebie, zawalonych papierami biurka z telefonami. Przy ścianach stały szafki na akta. Okna były brudne i zasłonięte przekrzywionymi i połamanymi żaluzjami.

Przy biurku nie siedziała recepcjonistka. W pomieszczeniu znajdowali się dwaj detektywi, obaj w tweedowych sportowych marynarkach i obaj odwrócenie do nas plecami. Jednym z nich był Clark. Rozmawiał przez telefon. Zagrzechotałem zasuwką przy drzwiczkach. Faceci odwrócili się w naszą stronę. Na twarzy Clarka odmalowało się zaskoczenie, lecz potem dał nam znak, żebyśmy weszli. Przysunęliśmy sobie krzesła i usiedliśmy przy jego biurku, każde przy innym boku. Detektyw nadal rozmawiał przez telefon. Czekaliśmy. Wykorzystałem czas, rozglądając się po pokoju. Gabinet porucznika miał szklane ściany od pasa w górę. Stało tam wielkie biurko. Nikt przy nim nie siedział. Ale zobaczyłem leżące na nim dwa gipsowe odciski podobne do tych, które zrobił nasz patolog. Nie wstałem i nie poszedłem ich obejrzeć, bo mogło się to wydać niegrzeczne.

Clark zakończył rozmowę, odłożył słuchawkę i zanotował coś na bloku żółtego papieru. Następnie odetchnął głęboko i odsunął swoje krzesło od biurka, żeby mieć nas oboje na widoku. Nic nie powiedział. Wiedział, że nie składamy mu towarzyskiej wizyty. Z drugiej strony nie chciał zapytać prosto z mostu, czy mamy dla niego nazwisko. Nie chciał wyjść na głupka, gdyby okazało się, że nie mamy.

- Wpadliśmy przejazdem - powiedziałem.

- Okay - odparł.

- Potrzebna jest nam drobna pomoc.

- Jaka pomoc?

- Pomyśleliśmy, że mógłby nam pan dać swoje notatki na temat łomu. Teraz, kiedy znalazł pan swój, już pan ich nie potrzebuje.

- Notatki?

- Spisał pan wszystkie sklepy z artykułami żelaznymi. Moglibyśmy zaoszczędzić trochę czasu, podejmując poszukiwania tam, gdzie pan je zakończył.

- Mogłem je przesłać faksem - oświadczył.

- Jest ich prawdopodobnie dużo. Nie chcieliśmy sprawiać panu kłopotu.

- Mogło mnie nie być.

- I tak tędy przejeżdżaliśmy.

- Okay - powtórzył. - Notatki w sprawie łomu. Obrócił się na krześle, wstał, podszedł do szafki z aktami

i wrócił z grubą na pół cala zieloną tekturową teczką. Rzucił ją na biurko. Wylądowała z głuchym łupnięciem.

- Powodzenia - powiedział, siadając z powrotem za biurkiem.

Dałem znak Summer, która wzięła teczkę. Otworzyła ją. W środku było mnóstwo kartek. Przejrzała je. Skrzywiła się. Podała mi. Była to bardzo długa lista miejsc położonych od New Jersey do Karoliny Północnej. Nazwiska, adresy i numery telefonów. Mniej więcej przy pierwszych dziewięćdziesięciu były ptaszki oznaczające, że je sprawdzono. Po nich było około czterystu bez ptaszków.

- Musicie uważać - powiedział Clark. - W niektórych sklepach nazywają je łomami, a w innych łapkami. Musicie się upewnić, że wasz rozmówca wie, o co wam chodzi.

- Mają różne rozmiary?

- Dużo różnych rozmiarów. Nasz jest całkiem duży.

- Mogę go zobaczyć? Macie go w magazynie dowodów rzeczowych?

- Nie ma go w magazynie - odparł Clark. - To nie jest broń, którą się posłużono. To po prostu identyczny egzemplarz

wypożyczony ze sklepu w Sperryville. Nie możemy z nim iść do sądu.

- Ale pasuje do waszych gipsowych odcisków?

- Jak rękawiczka.

Clark ponownie wstał, wszedł do gabinetu swojego porucznika i zabrał odciski z jego biurka, po czym trzymając każdy w jednej ręce, przyniósł je i położył na swoim. Były bardzo podobne do naszych: pozytyw i negatyw, tak jak u nas. Głowa pani Kramer była znacznie mniejsza od głowy Carbone'a, jeśli chodzi o średnicę. Z tego względu łom zetknął się z nią na mniejszym obwodzie i odcisk śmiertelnej rany był nieco krótszy od naszego. Ale tak samo głęboki i paskudny. Clark podniósł go i przesunął palcem po wgłębieniu.

- Bardzo mocne uderzenie - stwierdził. - Szukamy wysokiego, silnego, praworęcznego faceta. Widział pan kogoś takiego?

- Za każdym razem, kiedy patrzę w lustro - odparłem. Odlew samej broni też był nieco krótszy od naszego. Poza

tym jednak wydawał się bardzo podobny. Taki sam kredowy przekrój, upstrzony tu i ówdzie mikroskopijnymi bąbelkami, ogólnie jednak prosty, gładki i brutalny.

- Czy mogę zobaczyć sam łom? - zapytałem.

- Jasne - odparł Clark, po czym pochylił się i wysunął szufladę z biurka. Zostawił ją otwartą i przesunął krzesło, żebym mógł bliżej podejść. Pochyliłem się i zobaczyłem czarny zakrzywiony przedmiot, taki sam jak ten, który oglądałem poprzedniego ranka. Identyczny kształt, kontur, kolor i rozmiar, identyczny pazur do wyciągania gwoździ. Taki sam połysk, taka sama precyzja. Pod żadnym względem nie różnił się od tego, który zostawiliśmy w kostnicy Fort Bird.

Przejechaliśmy dziesięć mil do Sperryville. Zajrzałem do wykazu Clarka, żeby znaleźć adres sklepu z artykułami żelaznymi. Figurował na piątym miejscu, ponieważ był blisko Green

Valley. Nie został jednak odhaczony. Zamiast tego widniała przy nim notatka ołówkiem: brak odpowiedzi. Domyślałem się, że właściciel miał na głowie szklarza i firmę ubezpieczeniową. Domyślałem się, że podwładni Clarka zadzwoniliby tam ponownie, gdyby nie znaleźli w bazie danych tego, czego szukali.

Sperryville nie było dużym miasteczkiem, po prostu je więc objechaliśmy, szukając adresu. Znaleźliśmy kilka sklepów przy głównej ulicy i przejechawszy nią trzy razy, zauważyliśmy nazwę naszej uliczki na zielonej tabliczce. Była to w zasadzie wąska, ślepa alejka, która biegła między dwoma szalowanymi budynkami, a potem rozszerzała się, tworząc niewielkie podwórko. Przy jego końcu ujrzelśmy sklep z artykułami żelaznymi. Przypominał małą parterową stodołę, odmalowaną, żeby sprawiała bardziej miejskie wrażenie. Typowy rodzinny biznes. Na starym szyldzie widniało nazwisko właściciela. Nic nie wskazywało na to, żeby należał do jakiejś sieci franszizowej. Mieliśmy przed sobą typową amerykańską małą firmę, przechodzącą z pokolenia na pokolenie i w pojedynkę radzącą sobie raz w lepszych, raz w gorszych czasach.

I było to wprost wymarzone miejsce dla nocnego włamywacza. Ciche, odizolowane, niewidoczne dla osób przemierzających się główną ulicą, bez mieszkań na pierwszym piętrze. Po lewej stronie drzwi było okno wystawowe, oddzielone od nich tylko framugą. W szybie była dziura w kształcie półksiężyca, którą zasłonięto prowizorycznie kawałkiem przyciętej odpowiednio dykty. Domyśliłem się, że wybito ją podeszwą buta. Znajdowała się blisko drzwi. Wysoki facet mógł wsadzić lewą rękę w dziurę aż po pachę i dość łatwo dosięgnąć zasuwki. Musiał jednak najpierw wyciągnąć rękę na całą długość, a potem powoli i ostrożnie zgiąć ją w łokciu, żeby nie podrzeć ubrania. Wyobraziłem sobie, jak przyciska po ciemku lewy policzek do zimnej szyby, oddychając ciężko i macając na osłep palcami.

Zaparkowaliśmy dokładnie przed sklepem. Wysiedliśmy i przez minutę oglądaliśmy wystawę. Za szybą było sporo artykułów. Ten, kto je tam poustawiał, nie powinien raczej liczyć, że zlecą mu aranżację świątecznych wystaw w Saksie na Piątej Alei. Ponieważ ta wystawa nie miała w sobie nic ze sztuki. Żadnego projektu. Żadnej pokusy. Wszystko było porządnie poukładane na ręcznie zrobionych półkach. Każdy towar miał cenę. Komunikat był jednoznaczny: Oto, co mamy. Jeśli chcesz którejs z tych rzeczy, wejdź i kup ją. Ogólnie artykuły sprawiały jednak wrażenie wysokiej jakości. Było wśród nich kilka dziwnych przedmiotów. Nie miałem pojęcia, do czego mogą służyć. Nie znałem się zbyt dobrze na narzędziach. Tak naprawdę nigdy żadnych nie używałem, może z wyjątkiem noży. Ale było dla mnie jasne, że to, co oferowano w tym sklepie, zostało wybrane bardzo starannie.

Weszliśmy do środka. Przy drzwiach wisiał dzwonek, który nas zaanonsował. Wewnątrz panował taki sam porządek jak na wystawie. Narzędzia ustawiono na regałach i półkach, część leżała w koszach. Podłogę zbito z szerokich desek. W powietrzu unosił się niewyraźny zapach oleju maszynowego. W sklepie było cicho. Ani jednego klienta. Za ladą stał facet w wieku sześćdziesięciu, siedemdziesięciu lat. Usłyszał dzwonek i patrzył na nas wyczekująco. Był średniego wzrostu, szczupły i lekko zgarbiony. Miał zapinany szary sweter i okrągłe okulary. Nadawały mu inteligentny wygląd, ale także wygląd osoby, która nie przywykła posługiwać się czymś większym od małego śrubokrętu. Wyglądał w tych okularach jak ktoś, dla kogo sprzedawanie narzędzi jest zajęciem zastępczym, a tym właściwym praca na uniwersytecie, gdzie prowadzi wykłady na temat ich wzornictwa, historii oraz rozwoju.

- Czym mogę służyć? - zapytał.

- Przyjechaliśmy tu w sprawie skradzionego łomu - powiedziałem. - Albo skradzionej łapki, jeśli woli ją pan tak nazywać.

- Łomu - odparł. - Moim zdaniem nazwa „łapka” jest w odniesieniu do tego akurat narzędzia nieco niepoważna.

- Okay, więc jesteśmy tu w sprawie skradzionego łomu - oświadczyłem.

Mężczyzna lekko się uśmiechnął.

- Jesteście wojskowymi. Czy ogłoszono stan wojenny? - zapytał.

- Prowadzimy równoległe śledztwo - wyjaśniła Summer.

- Jesteście z żandarmerii?

- Tak - odparła Summer i podała mu nasze nazwiska i stopnie. W zamian podał nam swoje nazwisko, które zgadzało się z szyldem nad jego drzwiami.

- Potrzebujemy kilku informacji - powiedziałem. - Na temat sprzedaży łomów.

Mężczyzna zrobił taką minę, jakby go to zaciekało, ale niezbyt podekscytowało. Tak jakbyśmy zapytali eksperta kryminalistyki o linie papilarne zamiast DNA. Odniosłem wrażenie, że rozwój tego akurat narzędzia zatrzymał się wieki temu.

- Od czego mam zacząć? - zapytał.

- Ile jest różnych rodzajów łomów?

- Kilkanaście - odparł. - Jest co najmniej sześciu producentów, z którymi gotów byłbym robić interesy. I mnóstwo innych, z którymi wolałbym ich nie robić.

Rozejrzałem się po sklepie.

- Ponieważ uznaje pan tylko wysoką jakość - rzekłem.

- Właśnie. Nie mogę konkurować ceną z wielkimi sieciami. Dlatego muszę oferować absolutnie najwyższą jakość i obsługę.

- Ma pan swoją niszę - powiedziałem. Mężczyzna ponownie kiwnął głową.

- Najmniejsze łomy pochodzą z Chin - oznajmił. - Masowa produkcja, żeliwo, żelazo zgrzewne, niskiej jakości stal. Nie byłbym zainteresowany.

- Więc co pan ma na składzie?

- Importuję trochę łomów ze stali tytanowej z Europy - odparł. - Bardzo drogie, ale bardzo mocne. Co ważniejsze,

wyjątkowo lekkie. Zaprojektowane dla policji i dla straży pożarnej. Albo do prac podwodnych, gdzie problemem mogłaby się okazać korozja. I w ogóle dla każdego, kto potrzebuje czegoś małego, trwałego i łatwego w transporcie.

- Ale to nie był jeden z tych łomów, które ukradziono. Mężczyzna potrząsnął głową.

- Nie, łomy ze stali tytanowej to sprzęt specjalistyczny. Inne oferowane przeze mnie mieszczą się w głównym nurcie.

- Mógłby pan powiedzieć o nich coś więcej?

- To mały sklep. Muszę bardzo uważnie wybierać, co mam na składzie. Pod pewnymi względami jest to trudne, ale z drugiej strony przyjemne, ponieważ wybór jest czymś, co wyzwala. Decyzja należy tylko do mnie, do nikogo więcej. Więc oczywiście, jeśli chodzi o łomy, wybrałbym wysokowęglową chromowaną stal. Następne pytanie brzmi, czy powinna być jednokrotnie, czy dwukrotnie hartowana. Szczerze opowiadałbym się za dwukrotnie hartowaną, ze względu na moc. I wolałbym, żeby pazur był bardzo wąski, ze względu na użyteczność. W związku z tym powinien być ze stali nawęglanej, ze względu na bezpieczeństwo. W pewnych sytuacjach to kwestia życia albo śmierci. Niech pan sobie wyobrazi pracującego na wysokiej krokwi mężczyznę, któremu pękł pazur. Spadłby z dachu.

- Chyba tak - zgodziłem się. - Zatem odpowiednia stal, dwukrotnie hartowana, z utwardzonym pazurem. Co pan wybrał?

- W przypadku jednego z łomów, który mam na składzie, poszedłem właściwie na kompromis. Preferowany przeze mnie producent nie wytwarza nic krótszego od osiemnastu cali. Tymczasem ja potrzebowałem oczywiście czegoś dwunasto-calowego.

Musiałem zrobić głupią minę.

- Do ćwieków i kotwi - wyjaśnił facet. - Jeśli pracuje pan w ograniczonej przestrzeni o boku dwunastu cali, nie może pan używać osiemnastocalowych łomów, prawda?

- Chyba nie - odparłem.

- Więc używam dwunastocalowego łomu o przekroju pół cala, chociaż wiem, że jest tylko raz hartowany. Ale moim zdaniem to wystarczy. Jeśli chodzi o siłę. Kiedy długość dźwigni wynosi tylko dwanaście cali, siła generowana przez daną osobę nie jest aż tak duża.

- Okay - mruknąłem.

- Oprócz tego konkretnego narzędzia oraz specjalistycznego sprzętu ze stali tytanowej zamawiam towar wyłącznie w bardzo starej firmie z Pittsburgha o nazwie Fortis. Produkują dla mnie dwa modele. Osiemnastocalowy i trzystopowy. Oba o przekroju trzech czwartych cala. Z

wysokowęglowej, podwójnie hartowanej, chromowanej stali, z pazurem ze stali nawęglanej, pokryte wysokiej jakości farbą.

- Skradziono panu łom trzystopowy - powiedziałem. Mężczyzna popatrzył na mnie, jakbym był jasnowidzem.

- Detektyw Clark pokazał mi egzemplarz, który mu pan pożyczył - wyjaśniłem.

- Rozumiem - mruknął.

- Więc czy trzydziestoszesciocałowy fortis o przekroju trzech czwartych cala jest rzadki?

Facet skrzywił się, jakbym go lekko rozczarował.

- Sprzedają jeden w ciągu roku - odparł. - Dwa, jeśli mam szczęście. Są drogie. A coraz rzadziej zwraca się niestety uwagę na jakość. Gorsza moneta wypiera lepszą.

- Czy tak samo jest wszędzie?

- Wszędzie? - powtórzył.

- W innych sklepach. W całym regionie. Z trzydziestoszesciocałowymi fortisami?

- Przepraszam - powiedział. - Być może nie wyraziłem się jasno. Są produkowane dla mnie. Na podstawie mojego projektu. Zgodnie z moją specyfikacją. To narzędzia robione na zamówienie.

Wbiłem w niego wzrok.

- Można je kupić tylko w tym sklepie? Facet pokiwał głową.

- To przywilej niezależności.

- Nie ma ich nigdzie indziej? Facet ponownie pokiwał głową.

- Są wyjątkowe. Nie znajdzie pan takich samych na całym świecie.

- Kiedy sprzedał pan ostatnio jakiś?

- Jakies dziewięć miesięcy temu.

- Czy schodzi z niego farba?

- Wiem, o co panu chodzi - odparł. - I odpowiedź brzmi: oczywiście tak. Jeśli znajdzie pan taki, który wygląda na nowy, to jest ten, który skradziono w sylwestra.

Dla celów porównawczych wypożyczyliśmy od niego identyczny egzemplarz, na tych samych zasadach co detektyw Clark. Był pokryty olejem maszynowym i na środkowym odcinku owinięty pergaminem. Położyliśmy go niczym trofeum na tylnym siedzeniu chevroleta. A potem zjedliśmy w samochodzie hamburgery, kupione w barze dla zmotoryzowanych sto jardów na północ od sklepu z artykułami żelaznymi.

- Wymień trzy nowe fakty, jakie poznaliśmy - powiedziałem.

- Po pierwsze, pani Kramer i Carbone zostali zabici tym samym tępym narzędziem. Po drugie, będziemy teraz odchodzić od zmysłów, próbując ustalić, co łączy te dwa zabójstwa.

- A po trzecie?

- Nie wiem.

- Po trzecie, nasz sprawca dobrze zna Sperryville. Znalazłabyś ten sklep po ciemku, w pośpiechu, jeśli nie znałabyś świetnie miasta?

Summer spojrzała przez przednią szybę. Wylot alejki był ledwo widoczny. W dodatku wiedzieliśmy, gdzie go szukać. I był jasny dzień.

- Skupmy się na narzędziu - powiedziała, zamykając oczy. - Zapomnijmy o całej reszcie. Wyobraźmy je sobie.

Wykonany na zamówienie łom. Jedyne taki pod słońcem. Wyniesiono go tą alejką, tuż obok. Następnie o godzinie drugiej w nocy pierwszego stycznia znalazł się w Green Valley. A później o dziewiątej wieczorem czwartego stycznia był na terenie Fort Bird. Odbił podróż. Wiemy, gdzie się zaczęła, i wiemy, gdzie się skończyła. Nie wiemy dobrze, gdzie był w międzyczasie, ale bez wątplenia po drodze przejechał przez pewien konkretny punkt: główną bramę Fort Bird. Nie wiemy kiedy, ale mamy pewność, że tak było. Summer otworzyła oczy.

- Musimy tam wrócić - oświadczyła. - Musimy przejrzeć na nowo wykazy na wartowni. Najwcześniej mógł przejechać przez bramę o szóstej rano pierwszego stycznia, ponieważ z Green Valley do Bird są cztery godziny drogi. Najpóźniej mógł przejechać przez bramę, powiedzmy o

ósmej wieczorem czwartego stycznia. To daje nam osiemdziesiąt sześć godzin. Musimy sprawdzić każdego, kto wjechał w tym okresie do bazy. Ponieważ wiemy z całą pewnością, że łom wjechał na teren, i wiemy z całą pewnością, że nie zrobił tego sam.

Nie odezwałem się.

- Przykro mi - powiedziała. - To będzie masa nazwisk.

Poczucie, że wybraliśmy się na wagary, kompletnie się ulotniło. Wyjechaliśmy z miasta i ruszyliśmy na wschód, szukając autostrady I-95. Znalazłszy ją, skręciliśmy na południe, w kierunku Fort Bird. W kierunku Willarda wiszącego na telefonie. W kierunku rozwścieczonych żołnierzy Delt. Zaraz po przekroczeniu granicy Karoliny Północnej wsunęliśmy się z powrotem pod pokrywą szarych chmur. Niebo pociemniało. Summer włączyła reflektory. Minęliśmy po drugiej stronie budynek policji stanowej. Minęliśmy miejsce, gdzie odnaleziono teczkę Kramem. Milę później minęliśmy miejsce obsługi podróżnych. Skręciliśmy w autostradę biegnącą ze wschodu na zachód i zjechaliśmy z niej przy motelu Kramera. Zostawiliśmy go za sobą i pokonaliśmy

ostatnie trzydzieści mil, które dzieliły nas od bramy Fort Bird. Na wartowni zapisano nas dokładnie o godzinie 19.30. Powiedziałem im, żeby skopiowali swoje wykazy, poczynając od godziny 6.00 pierwszego stycznia i kończąc na 20.00 czwartego stycznia i niezwłocznie dostarczyli mi do biura kopię tego liczącego osiemdziesiąt sześć godzin wycinka życia bazy.

W moim gabinecie było bardzo cicho. Poranna nerwówka dawno się skończyła. Na posterunku była ponownie sierżant, matka małego synka. Wyglądała na zmęczoną. Zdałem sobie sprawę, że niewiele śpi. Pracowała przez całą noc, a potem bawiła się pewnie przez cały dzień ze swoim dzieckiem. Życie nie głaskało jej po głowie. Zdażyła już nastawić ekspres z kawą. Domyśliłem się, że była jej potrzebna tak samo jak mnie. Może nawet bardziej.

- Faceci z Delt się burzą - powiedziała. - Wiedzą, że aresztował pan tego Bułgara.

- Nie aresztowałem go. Zadałem mu tylko parę pytań.

- Najwyraźniej nie widzą różnicy między jednym i drugim. Ludzie przychodzili tu i wychodzili, szukając pana.

- Byli uzbrojeni?

- Oni nie muszą być uzbrojeni. Nie ci faceci. Powinien pan zakazać im opuszczania koszar. Może pan to zrobić. Jest pan pełniącym obowiązki komendanta żandarmerii.

Potrząsnąłem głową.

- Coś jeszcze?

- Ma pan zadzwonić do pułkownika Willarda przed północą. W przeciwnym razie uzna, że oddalił się pan samowolnie z posterunku - oświadczyła. - Powiedział, że nie żartuje.

Pokiwałem głową. To był oczywisty następny krok Willarda. Oskarżenie mnie o samowolne oddalenie się nie zaszkodziłoby mu jako dowódcy. Nie odniesiono by wrażenia, że nie panuje nad podwładnymi. Oskarżenie o samowolne oddalenie się zawsze kładzie się cieniem na sprawcy, nikim innym.

- Coś jeszcze? - powtórzyłem.

- Sanchez prosił o dziesięć-szesnaście - powiedziała. - Do Fort Jackson. I znowu dzwonił pański brat.

- Zostawił wiadomość?

- Nie.

- Okay - odparłem.

Wszedłem do swojego gabinetu. Podniosłem słuchawkę telefonu. Summer podeszła do mapy. Dotknęła palcami pinasek. Z Waszyngtonu do Sperryville, ze Sperryville do Green Valley. Z Green Valley do Fort Bird. Wykręciłem numer brata. Odebrał po drugim dzwonku.

- Dzwoniłem do mamy - powiedział. - Jeszcze się trzyma.

- Powiedziała „wkrótce”, Joe. To nie znaczy, że mamy zorganizować codzienne czuwanie.

- To może stać się szybciej, niż sądzimy. I niż chcemy.
- Jak się czuje?
- Miała drżący głos.
- U ciebie wszystko w porządku?
- W porządku - odparł. - A u ciebie?
- Na razie rok nie jest dla mnie zbyt udany.
- Teraz ty powinieneś do niej zadzwonić - powiedział.
- Zrobię to. Za parę dni.
- Zadzwon jutro.

Rozłączył się i przez minutę siedziałem w milczeniu. A potem wcisnąłem widelki i poprosiłem moją sierżant, żeby połączyła mnie z Sanchezem. W Fort Jackson. Przycisnąłem słuchawkę do ucha i czekałem. Summer patrzyła na mnie.

- Codzienne czuwanie? - zapytała.
- Czeka, aż zdejmą jej gips - wyjaśniłem. - Niezbyt dobrze to znosi.

Summer przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, a potem odwróciła się do mapy. Włączyłem tryb głośnomówiący i odłożyłem słuchawkę na aparat. Usłyszeliśmy kliknięcie, a potem głos Sancheza.

- Zamęczałem policję w Columbii w sprawie samochodu Brubakera - powiedział.
- Jeszcze go nie znaleźli?
- Nie - odparł. - I niezbyt się przykładali do poszukiwań. Co było dla mnie niezrozumiałe. Więc zamęczałem ich dalej.
- I co?
- W końcu puścili farbę.
- To znaczy?
- Brubaker nie został zabity w Columbii - powiedział Sanchez. - Ciało zostało tam podrzucone.

17

Sanchez powiedział nam, że policyjni patologowie w Columbii odkryli na ciele Brubakera zagadkowe plamy opadowe, które ich zdaniem świadczyły, że był martwy już trzy godziny przed porzuceniem jego zwłok w alejce. Plamy opadowe powstają w wyniku tego, co dzieje się z krwią danej osoby po śmierci. Serce przestaje bić, ciśnienie krwi spada, a sama krew pod wpływem zwykłej grawitacji ścieka i opada w te części ciała, które położone są najniżej. Po jakimś czasie zabarwia skórę na wątrobiany siny kolor. Trzy do sześciu godzin później kolor utrwała się niczym na wywołanej fotografii. Zabity, który padł na plecy, będzie miał bladą pierś i purpurowosiny grzbiet. Ktoś, kto padł na brzuch, odwrotnie. Ale u Brubakera plamy były na całym ciele. Lekarze sądowi z Columbii uznali, że po śmierci leżał przez trzy godziny na plecach, a potem położono go w alejce na brzuchu. Byli dosyć pewni co do tych trzech godzin, ponieważ właśnie po takim czasie plamy opadowe zaczynają się utrwalać. Oświadczyli, że miał wcześniej utrwalone plamy na plecach i główne plamy utrwalone na brzuchu. Miał również szeroki pas pośrodku pleców, gdzie jego ciało zostało po śmierci częściowo przysmażone.

- Leżał w bagażniku samochodu - powiedziałem.
- Dokładnie nad tłumikiem - dodał Sanchez. - Trzygodzinna podróż, wysoka temperatura.
- To sporo zmienia.
- I wyjaśnia, dlaczego nie udało się odnaleźć jego samochodu w Columbii.
- Ani żadnych świadków. Żadnych łusek ani nabożów.
- Co to dla nas oznacza? - zapytał.
- Trzy godziny w samochodzie? - zapytałem. - Nocą, kiedy drogi są puste? Że mogli go zabić wszędzie w promieniu dwustu mil.
- To dosyć duży obszar - przyznał Sanchez.
- Sto dwadzieścia pięć tysięcy mil kwadratowych - odparłem. - W przybliżeniu. Pi razy promień

do kwadratu. Co robi z tym wszystkim policja w Columbi?

- Pozbyli się tego jak gorącego ziemniaka. Sprawę przejęło FBI.
- Co sądzą w Biurze o tej historii z narkotykami?
- Są lekko sceptyczni. Uważają, że heroina to nie nasza specjalność. Ich zdaniem bardziej pasuje do nas marihuana i amfetamina.
- Sam chętnie zażyłbym w tej chwili jedną i drugą.
- Z drugiej strony wiedzą, że chłopcy z Deltę podróżują po całym świecie. Do Pakistanu, Ameryki Południowej. A stamtąd właśnie pochodzi heroina. Więc trzymają to w zanadrzu, na wypadek gdyby nie udało im się odkryć niczego więcej, dokładnie tak jak kombinowała policja z Columbi.
- Marnują czas. Heroina? Facet pokroju Brubakera prędzej by skołał.
- Ich zdaniem, może tak właśnie to wyglądało. Sanchez się rozłączył. Wyłączyłem głośnik i odłożyłem słuchawkę.
- To się zdarzyło chyba na północy - powiedziała Sum-mer. - Brubaker wyjechał z Raleigh. Powinniśmy szukać jego samochodu gdzieś w pobliżu.
- To nie jest nasza sprawa - przypomniałem jej.
- No dobrze, więc powinno go szukać FBI.
- Jestem pewien, że już to robią.

Rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili otwały się i do gabinetu wszedł kapral żandarmerii z plikiem kartek pod pachą. Zasalutował elegancko, dał krok do przodu i położył kartki na moim biurku. Następnie dał krok do tyłu i ponownie zasalutował.

- Kopia rejestru z wartowni, majorze - powiedział. - Od pierwszego do czwartego stycznia, w żądanych godzinach.

Zrobił w tył zwrot, wymaszerował z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Spojrzałem na zostawiony przez niego plik. Było w nim może siedem kartek. Nie najgorzej.

- Zabierajmy się do pracy - oświadczyłem.

|

Znowu pomogła nam operacja Słuszna Sprawa. Podniesienie alertu o jeden stopień oznaczało, że wiele urlopów zostało odwołanych. Bez istotnego powodu, ponieważ w Panamie nie działo się nic poważnego, ale tak właśnie funkcjonuje wojsko. Nie ma sensu wymyślać różnych stopni alertu, jeśli nie można ich potem podwyższać i obniżać, i nie ma sensu tego robić, jeśli nie wiążą się z tym określone konsekwencje. Nie ma sensu urządzać inscenizacji za granicą, jeśli cała firma nie poczuje przy okazji dreszczyku emocji.

I nie ma sensu odwoływać urlopów, jeśli nie można wypełnić ludziom inaczej czasu. W związku z tym w bazie odbyły się dodatkowe szkolenia i ćwiczenia z gotowości bojowej. Większość była męcząca i zaczynała się wczesnym rankiem. I dlatego - na szczęście dla nas - prawie wszyscy, którzy wyjechali świętować Nowy Rok, stosunkowo wcześnie wrócili do bazy. Wszyscy musieli zameldować się o trzeciej, czwartej bądź piątej rano, ponieważ po szóstej nie odnotowano prawie żadnego ruchu na wartowni.

W ciągu interesujących nas osiemnastu godzin pierwszego stycznia do bazy wjechało dziewiętnaście osób. Wśród nich również major Reacher i porucznik Summer, wracający z Green Valley i Waszyngtonu po wizycie u wdowy oraz w szpitalu Waltera Reeda. Skreśliliśmy się z listy. Drugiego stycznia poza nami do bazy wjechało szesnaście osób. Trzeciego stycznia dwanaście. Czwartego stycznia przed godziną dwudziestą siedemnaście. Łącznie dawało to sześćdziesiąt dwa nazwiska w ciągu osiemdziesięciu sześciu godzin. Było wśród nich dziewięciu cywilnych kierowców ciężarówek dostawczych. Skreśliliśmy ich. Jedenaście nazwisk się powtarzało. Ludzie wyjeżdżali, wjeżdżali i ponownie wyjeżdżali. Niczym dojeżdżający do pracy cywile. Należała do nich moja sierżant. Skreśliliśmy ją, bo była kobietą. W dodatku niską. Poza tym powtarzające się nazwiska oznaczały, że mamy łącznie mniej osób.



Ostatecznie na liście znalazło się ich czterdzieści jeden. Mieliśmy ich nazwiska, stopnie i inicjały imienia. Nie sposób było stwierdzić, które nazwisko należy do mężczyzny, a które do kobiety. Nie sposób było stwierdzić, którzy mężczyźni są wysocy, silni i praworęczni.

- Popracuję nad plcią - powiedziała Summer. - Nadal mam ogólny wykaz personelu. Są w nim pełne imiona.

Pokiwałem głową. Niech się tym zajmie. Sam podniosłem słuchawkę telefonu, zlokalizowałem patologa i poprosiłem, żeby spotkał się ze mną zaraz w kostnicy.

Pojechałem do niego chevroletem, bo nie chciałem, żeby widziano, jak spaceruję z łomem w ręku. Zaparkowałem przed wejściem do kostnicy i czekałem. Facet pojawił się w ciągu kilku minut. Szedł od strony klubu oficerskiego. Prawdopodobnie przerwałem mu deser. Albo nawet główne danie. Wysiadłem z samochodu, pochyliłem się i zabrałem łom z tylnego siedzenia. Lekarz przyjrzał mu się i wpuścił mnie do środka. Najwyraźniej zrozumiał, co chcę zrobić. Otworzył swój gabinet, zapalił światło i otworzył kluczem szufladę. Wysunął ją i wyjął łom, którym zabito Carbone'a. Położył go na biurku. Ja położyłem obok wypożyczony egzemplarz. Odwinałem pergamin. Ustawiłem jeden łom równolegle do drugiego. Były identyczne.

- Czy jest wiele rodzajów łomów? - zapytał patolog.

- Więcej, niż pan sobie wyobraża - odparłem. - Miałem właśnie wyczerpujący wykład na ten temat.

- Te dwa wyglądają tak samo.

- Są takie same. Jak dwie krople wody. Może pan być tego pewien. Są robione na zamówienie. Jedyne takie pod słońcem.

- Spotkał pan kiedyś Carbone'a?

- Przelotnie.

- Jakiej był postury?

- To znaczy?

- Czy się garbił?

Wróciłem myślami do mrocznego wnętrza baru. Oświetlonego zimnym światłem parkingu. Potrząsnąłem głową.

- Nie był dość wysoki, żeby się garbić - powiedziałem. - Był chudym, krępy facetem, trzymającym się dość prosto. Tak jakby stał na piętach. Sprawiał wrażenie wysportowanego.

- Okay.

- Dlaczego pan pyta?

- To było uderzenie skierowane w dół. Nie dokładnie z góry na dół jak przy rąbaniu drewna, ale w pierwszej fazie horyzontalne, a po zetknięciu się z celem ukośne. Carbone miał siedemdziesiąt cali wzrostu. Rana znajdowała się sześćdziesiąt pięć cali nad ziemią przy założeniu, że się nie garbił. Ale zadano ją z góry. Więc napastnik był wysoki.

- Już nam pan to mówił - zauważyłem.

- Nie, rzecz w tym, że był naprawdę wysoki. Wszystko to sobie przeanalizowałem. I policzyłem. Facet musiał mieć sześć stóp i cztery albo nawet pięć cali.

- Tak jak ja - powiedziałem.

- I był tak samo ciężki jak pan. Niełatwo jest tak paskudnie rozwalić czaszkę.

Odtworzyłem w pamięci miejsce zabójstwa. Porośnięte było niskimi kępami zeschłej trawy. Na ziemi leżały gdzieniegdzie

grube konary, ale teren był w zasadzie płaski. Nie było mowy, żeby jeden facet stał wyżej od drugiego.

- Sześć stóp i cztery albo pięć cali - powtórzyłem. - Gotów jest pan to poświadczyć?

- W sądzie?

- To był wypadek podczas szkolenia - powiedziałem. - Nie idziemy z tym do sądu. Ta sprawa pozostanie wyłącznie między nami. Czy marnuję czas, szukając ludzi niższych niż sześć stóp i

cztery cale?

Doktor nabrał powietrza i wypuścił je z płuc.

- Dla bezpieczeństwa powiedzmy, sześć stóp i trzy cale - odparł. - Gotów jestem to poświadczyć.

- Okay - mruknąłem.

Patolog wygonił mnie z gabinetu, zgasił światło i zamknął drzwi na klucz.

Kiedy wróciłem do siebie, Summer siedziała za moim biurkiem, leniuchując. Skończyła już analizę płci. Nie zajęło jej to dużo czasu. Lista personelu była wszechstronna, dokładna i alfabetyczna, jak większość wojskowej dokumentacji.

- Trzydziestu trzech mężczyzn - powiedziała. - Dwudziestu trzech żołnierzy kontraktowych, dziesięciu oficerów.

- Skąd są?

- Z różnych jednostek. Urlopy dla Delta Force i rangersów zostały w całości cofnięte, ale dostają przepustki na wieczór. Carbone też wjechał do bazy i wyjechał z niej pierwszego stycznia.

- Możemy go skreślić.

- No dobrze, trzydziestu dwóch mężczyzn - odparła. - Jest wśród nich patolog.

- Jego też skreśl.

- Więc trzydziestu jeden. I dalej mamy wśród nich Vassella i Coomera. Wjechali i wyjechali pierwszego, a potem wjechali i wyjechali czwartego stycznia.

- Skreśl ich - powiedziałem. - Jedli kolację. Rybę i stek.

- Dwudziestu dziewięciu. Dwudziestu dwóch żołnierzy kontraktowych, siedmiu oficerów.

- Okay - mruknąłem. - Teraz idź do dowództwa i wyciągnij ich dane medyczne.

- Po co?

- Żeby dowiedzieć się, jakiego są wzrostu.

- Nie dowiemy się, jakiego wzrostu był kierowca, który przywiózł tutaj Vassella i Coomera w dzień Nowego Roku. Major Marshall. Był gościem. Nie będzie tu jego danych.

- Nie było go tutaj w dniu, kiedy zginął Carbone - zauważyłem. - Więc też możesz go skreślić.

- Dwadzieścia osiem - powiedziała.

- Wyciągnij dwadzieścia osiem kart zdrowia - odparłem. Przesunęła w moją stronę niewielką karteczkę, na której zapisałem wcześniej liczbę 973. Nasz pierwotny krąg podejrzanych.

- Robimy postępy - stwierdziła.

Pokiwałem głową. Summer uśmiechnęła się i wstała. Kiedy wyszła z gabinetu, zająłem jej miejsce za biurkiem. Krzesło było ciepłe od jej ciała. Po chwili przestałem to odczuwać i podniosłem słuchawkę telefonu. Poprosiłem moją sierżant, żeby połączyła mnie z kwatermistrzem. Kilka minut trwało, zanim go znalazła. Domyślałem się, że musiała go wyciągnąć z kantyny. Domyśliłem się, że jemu również, podobnie jak patologowi, zepsułem kolację. Ale ja też nic jeszcze nie jadłem.

- Tak, majorze? - zapytał nieco poirytowanym tonem.

- Mam pytanie, szefie - odparłem. - O coś, co tylko pan będzie wiedział.

- To znaczy?

- Jaki jest średni wzrost i średnia waga amerykańskiego żołnierza płci męskiej?

Facet przez chwilę się nie odzywał, ale wyczułem, że już się na mnie nie gniewa. Służba kwatermistrzowska kupuje rocznie miliony mundurów i dwa razy tyle butów, wszystko z budżetu państwa, więc można się założyć, że znają wymiary i wagę

swoich podopiecznych z dokładnością do pół cala i połowy uncji. Nie stać ich na to, żeby tego nie wiedzieć, dosłownie. I uwielbiają popisywać się tą wiedzą.

- Żaden problem - odparł facet. - Średni wzrost mężczyzn między dwudziestym i pięćdziesiątym dziewiątym rokiem życia wynosi w Stanach Zjednoczonych pięć stóp i dziewięć i pół cala. Średnia waga sto siedemdziesiąt osiem funtów. W armii mamy więcej Latynosów niż w całej populacji, co obniża średnią wzrostu o cały cal, do pięciu stóp i ośmiu i pół cala. Za to więcej ćwiczymy, co podnosi średnią wagę o trzy funty, do stu osiemdziesięciu jeden, ponieważ mięśnie są generalnie cięższe od tłuszczu.

- To dane z tego roku?
- Z ubiegłego - powiedział. - Ten rok ma dopiero kilka dni.
- Jaki jest rozkład statystyczny wzrostu?
- Czego pan szuka?
- Ilu facetów ma sześć stóp i trzy cale lub więcej?
- Jeden na dziesięciu - odparł. - W całej armii jest ich może dziewięćdziesiąt tysięcy. Tyłu, ilu jest kibiców na finałach Superbowl. W bazie tej wielkości może stu dwudziestu. Tyłu, ilu mieści się w średniej wielkości samolocie.
- Okay, szefie, dziękuję - powiedziałem i rozłączyłem się. Jeden na dziesięciu. Summer wróci z dwudziestoma ośmioma kartami zdrowia. Dziewięć na dziesięć z nich będzie dotyczyło facetów zbyt małych, by mogli nas obchodzić. Więc przy dwudziestu ośmiu, jeśli będziemy mieli szczęście, tylko dwóm z nich trzeba będzie się przyjrzeć. Jeśli będziemy mieć pecha, trzem. Dwóm albo trzem z pierwotnej liczby dziewięćset siedemdziesięciu trzech. Robimy postępy. Spojrzałem na zegar. Dwudziesta trzydzieści. Uśmiechnąłem się do siebie. Masz przesrane, Willard, pomyślałem. Okazało się jednak, że przesrane mamy my, nie Willard. Statystyka wycięła nam numer i Summer wróciła z dwudziestoma ośmioma kartami zdrowia, z których wynikało, że wszystkich dwudziestu ośmiu facetów jest niskich. Najwyższy mający sześć stóp i ewentualnie jeden cal wzrostu, był kapelanem chudym jak paździor i ważącym sto sześćdziesiąt funtów. Kiedy byłem dzieckiem, mieszkaliśmy raz przez miesiąc w bungalowie gdzieś poza bazą. Nie było w nim stołu w jadalni. Matka zadzwoniła i kazała go dostarczyć. Przyjechał zapakowany w płaski karton. Próbowałem pomóc go złożyć. Były tam wszystkie części. Laminowany blat, cztery chromowane nogi i cztery wielkie stalowe śruby. Rozłożyliśmy je na podłodze w jadalni. Blat, cztery nogi i cztery śruby. Ale nie potrafiliśmy tego wszystkiego zmontować. Za żadne skarby. Projekt był zupełnie niezrozumiały. Nic do siebie nie pasowało. Klęczeliśmy obok siebie i usiłowaliśmy to rozpracować. Po zakurzonej podłodze biegały karaluchy. Pod palcami czułem gładkie, zimne chromy i ostre krawędzie laminowanego blatu. Nie mogliśmy tego złożyć. Przyszedł Joe, próbował i nie dał rady. Przyszedł mój tato, próbował i nie dał rady. Przez miesiąc jedliśmy w kuchni. Aż do wyprowadzki próbowaliśmy zmontować ten stół. Teraz miałem uczucie, jakbym znowu się z tym zmagał. Nic się nie łączyło. Wszystko wyglądało z początku jak trzeba, a potem wszystko się zacinało i przestawało pasować.
- Łom nie wszedł tu sam - powiedziała Summer. - Wniósł go jeden z tych dwudziestu ośmiu facetów. To oczywiste. Nie mógł się tu dostać w inny sposób. Nie odezwałem się.
- Idziemy na kolację? - zapytała.
- Lepiej mi się myśli, kiedy jestem głodny - odparłem.
- Skończyły nam się rzeczy, o których moglibyśmy myśleć. Pokiwałem głową. Zebrałem razem dwadzieścia osiem kart zdrowia i wyrównałem ich brzegi. Położyłem na nich sporządzoną przez Summer oryginalną listę trzydziestu trzech. Listę trzydziestu trzech mężczyzn, z której skreśliliśmy Carbone'a, ponieważ nie zadał sobie sam ciosu łomem i nie popełnił samobójstwa. Z której skreśliliśmy patologa, ponieważ trudno było uwierzyć, że jest podejrzany, a także ponieważ był niski i nie potrafił mocno zamachnąć się łomem. Z której skreśliliśmy Vassella i Coomera oraz ich kierowcę, Marshalla, ponieważ mieli zbyt dobre alibi. Vassell i Coomer opychali się w kantynie, a Marshall w ogóle tu nie przyjechał.
- Dlaczego Marshall tu nie przyjechał? - zapytałem. Summer pokiwała głową.
- To od początku nie dawało mi spokoju - przyznała. - Tak jakby Vassell i Coomer coś przed nim ukrywali.
- Nie mieli co ukrywać, skoro zjedli tu tylko kolację.

- Ale Marshall musiał być razem z nimi na pogrzebie Kramem. Więc musieli mu wyraźnie powiedzieć, że ma ich nie odwozić do Fort Bird. Wydać rozkaz, żeby wysiadł z samochodu i został w domu.

Pokiwałem głową. Wyobraziłem sobie długi sznur czarnych rządowych limuzyn na cmentarzu Arlington pod ołowianoszarym niebem. Wyobraziłem sobie ceremonię, składanie flagi i salut honorowy. Pochód ludzi wracających do samochodów, mężczyźni z obnażonymi głowami i postawionymi kołnierzami płaszczy, które chronią ich przed zimnem, a być może śniegiem. Wyobraziłem sobie Marshalla otwierającego tylne drzwiczki mer-cury'ego, najpierw przed Vassellem, potem przed Coomerem. Musiał odwieźć ich z powrotem do Pentagonu, a potem wysiadł i patrzył, jak Coomer siada za kierownicą.

- Powinniśmy z nim porozmawiać - oznajmiłem. - Dowiedzieć się, co dokładnie mu powiedzieli. Jaki podali mu powód. To musiał być trochę niezręczny moment. Marshall musiał poczuć się wykluczony.

Podniosłem słuchawkę telefonu i połączyłem się z moją sierżant. Poprosiłem, żeby zdobyła telefon majora Marshalla. Powiedziałem jej, że jest sztabowcem dwunastego korpusu i stacjonuje w Pentagonie. Odparła, że zaraz oddzwoni. Summer i ja czekaliśmy w milczeniu. Gapiłem się na mapę na ścianie. Uznałem, że powinniśmy wyjąć pineskę z Columbi. Psuła obraz. Urubaker nie został tam zastrzelony. Zabito go gdzie indziej. Na północ, południe, wschód albo zachód od tego miejsca.

- Masz zamiar zadzwonić do Willarda? - zapytała Summer.

- Pewnie tak - odparłem. - Może jutro.

- Nie przed północą?

- Nie chcę mu dawać tej satysfakcji.

- To ryzykowne.

- Jestem kryty - odparłem.

- To może nie trwać wiecznie.

- Nieważne. Wkrótce zgłoszą się do mnie chłopcy z Delty. W porównaniu z tym cała reszta to drobiazg.

- Zadzwoń do Willarda dziś wieczorem - powiedziała. - Dobrze ci radzę.

Popatrzyłem na nią.

- Z czystej przyjaźni - dodała. - Samowolne oddalenie się z posterunku to ciężki zarzut. Nie ma sensu pogarszać sytuacji.

- Okay.

- Dlaczego nie miałbyś tego zrobić już teraz?

- Okay - powtórzyłem i sięgnąłem po słuchawkę, ale zanim położyłem na niej rękę, do gabinetu zajrzała moja sierżant. Poinformowała nas, że major Marshall nie stacjonuje już na terenie Stanów Zjednoczonych. Jego tymczasowe oddelegowanie do Pentagonu skończyło się wcześniej, niż przewidywano. Został wezwany z powrotem do Niemiec. Wyleciał z Bazy Sił Powietrznych Andrews późnym rankiem piątego stycznia.

- Na czyj rozkaz? - zapytałem.

- Generała Vassella - odparła.

- Okay - powiedziałem i sierżant zamknęła za sobą drzwi.

- Piątego stycznia - powtórzyła Summer.

- Nazajutrz rano po śmierci Carbone'a i Brubakera.

- On coś wie.

- Nawet go tutaj nie było.

- Dlaczego mieliby go potem stąd ewakuować?

- To zbieg okoliczności.

- Nie lubisz zbiegów okoliczności. Pokiwałem głową.

- Okay - powiedziałem. - Lećmy do Niemiec.

Ponieważ było wykluczone, by Willard zaaprobował jakąkolwiek moją wyprawę za granicę, poszedłem do gabinetu komendanta i zabrałem z biurka pisarza kompanii plik voucherów podróżnych. Przyniosłem je do własnego gabinetu i opatrzyłem wszystkie swoim podpisem w rubryce „komendant” oraz podrobionym podpisem Leona Garbera w rubryce „zaaprobowane przez”.

- Łamiemy prawo - zauważyła Summer.

- To jest bitwa o Kursk - odparłem. - Nie możemy się teraz zatrzymać.

Zawahała się.

- Twój wybór - powiedziałem. - Wchodzisz w to albo nie. Bez żadnej presji z mojej strony.

Milczała.

- Te vouchery wrócą dopiero po miesiącu albo dwóch - wyjaśniłem. - Do tego czasu albo nie będzie tu Willarda, albo nas. Nie mamy nic do stracenia.

- Okay - mruknęła.

- Idź się spakować. Na trzy dni.

Summer wyszła, a ja poprosiłem moją sierżant, żeby ustaliła, kto ma objąć w moim zastępstwie funkcję komendanta. Podała mi nazwisko kapitan, którą widziałem w klubie oficerskim. Tej z przetrąconą ręką. Napisałem jej notatkę wyjaśniającą, że nie będzie mnie przez trzy dni. Poinformowałem ją, że przejęła dowództwo. Następnie podniosłem słuchawkę telefonu i zadzwoniłem do Joego.

- Jadę do Niemiec - zakomunikowałem mu.

- W porządku - odparł. - Baw się dobrze. Bezpiecznej podróży.

- Nie mogę pojechać do Niemiec, nie zatrzymując się w drodze powrotnej w Paryżu. Rozumiesz, w zaistniałych okolicznościach.

- Tak - odparł po chwili. - Chyba nie możesz.

- To nie byłoby w porządku - dodałem. - Ale nie powinna myśleć, że martwię się o nią bardziej niż ty. To też nie byłoby w porządku. Więc ty też powinieneś przyjechać.

- Kiedy?

- Przyleć nocnym lotem za dwa dni. Będę na ciebie czekał na Roissy-Charles de Gaulle. Wybierzemy się do niej

razem.

Summer czekała na mnie przed moją kwaterą. Zanieśliśmy torby do chevroleta. Oboje byliśmy w mundurach polowych, ponieważ uznaliśmy, że najlepiej skorzystać z nocnego transportu z bazy powietrznej Andrews. Za późno było na cywilny nocny lot, a nie chcieliśmy czekać całą noc na wylot w porze śniadania. Wsiedliśmy do samochodu i podjechaliśmy do bramy. Prowadziła oczywiście Summer. Na zewnątrz ostro przyspieszyła, a potem gnała równo, mniej więcej dziesięć mil szybciej od innych samochodów jadących w naszym kierunku.

Odsunąłem się do tyłu w fotelu i patrzyłem na drogę. Obserwowałem pobocza, centra handlowe i mijane przez nas samochody. Po przejechaniu trzydziestu mil na północ minęliśmy motel Kramera.

Na wielopoziomowym skrzyżowaniu skręciliśmy

na wschód w stronę I-95. Minęliśmy miejsce obsługi podróżnych, a potem, milę dalej, miejsce, w którym znaleziono teczkę. Zamknąłem oczy.

Przespałem całą drogę do Andrews. Dotarliśmy tam grubo po północy. Zaparkowaliśmy na specjalnym parkingu i wymieniliśmy dwa vouchery na miejsca w C-130 startującym do Frankfurtu o trzeciej nad ranem. Czekaliśmy na odlot w holu z wiszącymi pod sufitem jarzeniówkami i winylowymi ławkami, na których siedziała typowa zbieranina przejezdnych. Wojsko zawsze jest w ruchu. Zawsze, o każdej porze dnia i nocy, ktoś gdzieś jedzie. Nikt nie rozmawiał. Nikt nigdy nie rozmawia. Wszyscy po prostu tam siedzieliśmy, sztywni, zmęczeni i odrętwiali.

Technik załadunku przyszedł po nas trzydzieści minut przed startem. Wymaszerowaliśmy na płytę lotniska i weszliśmy po rampie do samolotu. Środek przestrzeni ładunkowej wypełniony był paletami z ładunkiem. Usiedliśmy na rozkładanych parcianych krzeselkach i oparliśmy się plecami o ścianę kadłuba. Uznałem, że wolę jednak pierwszą klasę w Air France. Wojska transportowe nie miały stewardes i nie podawały parzonej w czasie lotu kawy.

Niedługo potem wystartowaliśmy, kierując się na zachód, pod wiatr. Następnie zawróciliśmy o sto osiemdziesiąt stopni nad Waszyngtonem i ruszyliśmy na wschód. W samolocie nie było okien, ale wiedziałem, że lecimy nad miastem. Gdzieś tam w dole spał Joe.

Ponieważ na dużej wysokości ściana kadłuba bardzo się ochłodziła, wszyscy pochyliliśmy się do przodu i oparliśmy łokcie na kolanach. Panował zbyt wielki hałas, żeby rozmawiać. Gapiłem się na paletę z amunicją czołgową tak długo, aż jej obraz zaczął mi się rozmazywać przed oczyma i zasnąłem. Nie było wygodnie, ale jedną z rzeczy, których człowiek uczy się w wojsku, jest umiejętność spania w każdym miejscu. Obudziłem

się może z dziesięć razy i spędziłem większą część podróży w stanie obniżenia aktywności życiowej. Pomagały je osiągnąć ryk silników i szum powietrza. Było względnie spokojnie. Mniej więcej w sześćdziesięciu procentach tak spokojnie jak w łóżku.

Po prawie ośmiu godzinach w powietrzu zaczęliśmy schodzić do lądowania. Nad głowami nie mieliśmy głośników. Nie usłyszeliśmy krzepiącego komunikatu pilota. Odnotowaliśmy wyłącznie zmianę tonu silników, ostry przechył w dół i klucie w uszach. Dokoła mnie ludzie zaczęli wstawać i przeciągać się. Summer oparła się plecami o skrzynię z amunicją i ocierała się o nią niczym kot. Wyglądała całkiem nieźle. Miała zbyt krótkie włosy, żeby się potargały, i błyszczały jej oczy. Sprawiała wrażenie zdeterminowanej, jakby wiedziała, że wróci z Niemiec z tarczą lub na tarczy, i już się z tym pogodziła.

Wszyscy ponownie usiedliśmy i trzymaliśmy się parcianych pasów podczas lądowania. Koła dotknęły pasa, zawyły przełączone na wsteczny ciąg silniki i zazgrzytały hamulce. Napięły się pasy mocujące palety. A potem silniki przeszły z powrotem na normalny ciąg i przez dłuższy czas kołowaliśmy. W końcu zatrzymaliśmy się, opuszczono rampę i w luku pojawiło się zmierzchające niebo. W Niemczech była piąta po południu, sześć godzin później niż na wschodnim wybrzeżu Stanów, godzinę później niż w Greenwich. Konałem z głodu. Nie jadłem nic od hamburgera w Sperryville poprzedniego dnia. Summer i ja wstaliśmy, złapaliśmy nasze torby i ustawiliśmy się w kolejce. Było zimno - mniej więcej tak samo jak w Karolinie Północnej.

Znajdowaliśmy się w samym środku zamkniętej wojskowej strefy lotniska we Frankfurcie. Wojskowym autobusem dojechaliśmy do cywilnego terminalu. Od tego momentu byliśmy zdani na siebie. Na kilku naszych współpasażerów czekał transport, ale my nie mieliśmy tego szczęścia. Dołączyliśmy do tłumu cywili czekających na taksówkę i posuwaliśmy się w niej, noga za nogą, do przodu. Kiedy nadeszła nasza kolej, daliśmy kierowcy voucher podróży i kazaliśmy się wieźć na wschód do dwunastego korpusu. Wydawał się zadowolony z kursu. Mógł wymienić voucher na twardą walutę w każdej bazie armii amerykańskiej i nie miałem wątpliwości, że przy bramie znajdzie kilku wojskowych wybierających się do Frankfurtu, żeby spędzić wieczór w mieście. Nie będzie wracał na pusto. Zarabiał na amerykańskiej armii całkiem nieźle, podobnie jak czyniło to przez czterdzieści pięć lat wielu Niemców. Prowadził mercedesa.

Podróż zajęła nam trzydzieści minut. Jechaliśmy na wschód przez przedmieścia. Były podobne do wielu innych zachodnio-niemieckich miejscowości. Szerokie połacie ziemi zajmowały budynki w kolorze jasnego miodu, wzniesione jeszcze w latach pięćdziesiątych. Nowe dzielnice biegły z zachodu na wschód, śladami tras, którymi leciały bombowce. Żaden kraj nie przegrał wojny tak doszczętnie, jak przegrały ją Niemcy. Podobnie jak wszyscy oglądałem zdjęcia zrobione w 1945 roku. Klęska nie jest dość dobitnym słowem. Lepszym byłaby apokalipsa. Cały kraj został rozbity w pył przez niszczycielską siłę. Ślady tego, co się stało, pozostaną tu na zawsze, zapisane w architekturze. I pod architekturą. Za każdym razem, kiedy firma telefoniczna kładzie podziemny kabel, odnajdują czaszki i kości, filizanki, pociski oraz zardzewiałe panzerfausty. Za każdym

razem, gdy kopie się ziemię pod nowe fundamenty, przy koparce dyżuruje ksiądz. Urodziłem się w Berlinie, otoczony przez Amerykanów i całe mile kwadratowe gruzów i ruin. To oni zaczęli, zwykliśmy powtarzać.

Podmiejskie uliczki były schludne i czyste. Na parterach domów mieściły się skromne sklepy, na piętrach mieszkania. W oknach wystawowych pełno było lśniących artykułów. Białe labliczki z nazwami ulic zapisano archaicznym krojem pisma, które trudno odczytać. Tu i tam rzucały się w oczy małe znaki drogowe amerykańskiej armii. Nie sposób było daleko zajechać, nie widząc jednego z nich. Kierowaliśmy się strzałkami prowadzącymi do dwunastego korpusu. Teren zabudowany skończył się i przez kilka mil jechaliśmy wśród pól uprawnych, które sprawiały wrażenie fosy, warstwy izolacyjnej. Niebo na wschodzie było ciemne.

Dwunasty korpus stacjonował w typowym dla minionego okresu miejscu. W latach trzydziestych dwudziestego wieku jacyś nazistowscy przemysłowcy zbudowali tu na odludziu zajmującą tysiąc akrów fabrykę. W jej skład wchodziły imponujące budynki dyrekcji i rzędy ciągnących się za nimi przez setki metrów niskich metalowych hal. Hale były raz za razem równane z ziemią podczas bombardowań. Budynki dyrekcji nie ucierpiały tak bardzo. Jakaś znużona amerykańska dywizja pancerna rozbiła tu obóz w 1945 roku. Przywieziono wychudłe mieszkanki Frankfurtu w chustkach na głowach i spłowiałych kolorowych sukienkach, by uprzątnęły gruz w zamian za jedzenie. Miały do dyspozycji taczki i łopaty. Potem wojska inżynieryjne odremontowały budynek dyrekcji i wywoziły gruz. Napływały kolejne dotacje z Pentagonu. W 1953 roku to była modelowa baza: czyste ceglane budynki, lśniąca biała farba i porządne ogrodzenie dokoła. Na masztach powiewały flagi, w wartowniach dyżurowali strażnicy. Były tu kantyny, wojskowe kliniki, sklepy, koszary, warsztaty i magazyny. A przede wszystkim było tu ponad tysiąc akrów płaskiej równiny, którą w 1953 roku zajęły prawie w całości amerykańskie czołgi. Wszystkie stały zwrócone na wschód, gotowe walczyć o korytarz Fuldy.

Kiedy dotarliśmy tam trzydzieści siedem lat później, było zbyt ciemno, żeby coś zobaczyć. Wiedziałem jednak, że w gruncie rzeczy niewiele się zmieniło. Czołgi będą inne, ale na tym koniec. Shermany M4, które wygrały drugą wojnę światową, odeszły dawno w przeszłość, z wyjątkiem dwóch muzealnych eksponatów stojących po obu stronach bramy niczym symbole. Ustawiono je odpowiednio oświetlone na betonowych pochyłych rampach, przodem do góry, jakby nadal były w ruchu i pokonywały wzniesienie. Pięknie odmalowane błyszczącą zieloną farbą, z jasnymi białymi gwiazdami po bokach, wyglądały o wiele lepiej niż podczas wojny. Za nimi ciągnęła się długa aleja z pomalowanymi na biało krawężnikami, a u jej szczytu stał budynek dawnej dyrekcji, w którym mieściło się obecnie dowództwo bazy. Za nim stały hangary z czołgami, Abramsami M1A1, ustawionymi jeden obok drugiego, po sto w jednym rzędzie, kosztującymi cztery miliony dolarów sztuka.

Wysiedliśmy z taksówki i podeszliśmy do wartowni. Moja odznaka jednostki specjalnej wystarczyła, żeby wpuszczono nas do środka. Dawała nam prawo wstępu do każdej bazy z wyjątkiem wewnętrznego kręgu w Pentagonie. Trzymając nasze torby, ruszyliśmy alejką.

- Byłeś już tutaj? - zapytała mnie Summer. Potrząsnąłem głową.
- Byłem w Heidelbergu, w bazie piechoty - odparłem. - Wiele razy.
- To blisko stąd?
- Niedaleko.

Szerokie kamienne stopnie prowadziły do drzwi. Gmach przypominał budynek stanowego parlamentu w jakimś małym stanie w Ameryce. Był w idealnym stanie. Weszliśmy do środka. Tuż za frontowymi drzwiami siedział za biurkiem żołnierz. Nie z żandarmerii. Zwykły szeregowiec z dwunastego korpusu. Pokazaliśmy mu swoje legitymacje.

- Czy w waszym hotelu oficerskim znajdują się dla nas kwatery? - zapytałem.
- Oczywiście, panie majorze - odparł.
- Dwa pokoje - powiedziałem. - Na jedną noc.

- Zadzwoń do nich. Proszę kierować się znakami - oznajmił, wskazując korytarz za swoimi plecami. Liczne drzwi prowadziły w głąb kompleksu. Zerknąłem na zegarek. Wskazywał dokładnie dwunastą w południe: nadal nastawiony był na czas Wschodniego Wybrzeża. W zachodnich Niemczech była szósta wieczorem. Już po zmierzchu.

- Chcę się zobaczyć z waszym komendantem żandarmerii - powiedziałem. - Jeszcze urzęduje? Facet skorzystał z telefonu i uzyskał odpowiedź na moje pytanie. Pokazał nam prowadzące na piętro szerokie schody.

- Na prawo - powiedział.

Weszliśmy na górę i skręciliśmy w prawo. Po obu stronach długiego korytarza znajdowały się drewniane drzwi z matowymi szybami. Znaleźliśmy te, które nas interesowały, i weszliśmy do środka. Wylądowaliśmy w sekretariacie, w którym urzędował sierżant. Pomieszczenie praktycznie nie różniło się od tego w Fort Bird. Taka sama farba, taka sama podłoga i meble, taka sama temperatura i zapach. Taka sama kawa nalewana z takiego samego ekspresu. Sierżant także nie różnił się od innych, jakich widziałem wcześniej. Spokojny, kompetentny, pełen stoicyzmu, skłonny wierzyć, że to on właściwie rządzi w tym miejscu, co być może nie mijало się za bardzo z prawdą. Kiedy weszliśmy, siedział za swoim biurkiem i podniósł wzrok. Po sekundzie wiedział już, kim jesteśmy i czego chcemy.

- Rozumiem, że chce pan się zobaczyć z majorem - powiedział.

Pokiwałem głową. Sierżant podniósł słuchawkę i połączył się ze swoim zwierzchnikiem.

- Proszę wchodzić - oznajmił.

Weszliśmy do gabinetu i zobaczyłem, że za biurkiem siedzi niejaki Swan. Znałem go dość dobrze. Ostatni raz widziałem go na Filipinach, trzy miesiące wcześniej, gdy rozpoczynał tam służbę, która miała potrwać rok.

- Nie mów - powiedziałem. - Przenieśli cię tutaj dwudziestego dziewiątego grudnia.

- Odmroziłem sobie tyłek - odparł. - Miałem tylko letnie ciuchy. Trzy dni trwało, zanim w dwunastym korpusie znaleźli mi zimowy mundur.

Nie zdziwiło mnie to. Swan był niski i szeroki. Prawie kwadratowy. W wykresach w kwatermistrzostwie miał prawdopodobnie własny centyl.

- Jest tu twój komendant? - zapytałem. Swan potrząsnął głową.

- Czasowo przeniesiony - powiedział.

- Twoje przeniesienie podpisał Garber?

- Podobno.

- Połapałeś się w tym?

- Nie, nawet w przybliżeniu.

- Ja też nie.

Swan wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: Człowieku, to przecież armia, co możemy poradzić?

- To porucznik Summer - powiedziałem.

- Z jednostki specjalnej? - zapytał. Summer potrząsnęła głową.

- Ale jest w porządku - dodałem.

Swan wyciągnął krótką rękę nad biurkiem i uściśnił sobie dłoń.

- Chcę pogadać z facetem o nazwisku Marshall - oświadczyłem. - Majorem. Służy w sztabie korpusu.

- Jest w opałach?

- Ktoś na pewno jest. Mam nadzieję, że Marshall pomoże mi ustalić kto. Znasz go?

- Nigdy o nim nie słyszałem - odparł Swan. - Dopiero I u przyjechałem.

- Wiem - mruknąłem. - Dwudziestego dziewiątego grudnia.

Uśmiechnął się, wzruszył ponownie ramionami i polecił przez telefon swojemu sierżantowi, żeby znalazł majora Marshalla i powiedział mu, że chcę się z nim spotkać, kiedy będzie miał wolną chwilę. Rozejrzałem się dokoła, kiedy czekał na odpowiedź. Gabinet Swana robił wrażenie



cudzego i tymczasowego, tak samo jak mój w Karolinie Północnej. Na ścianie wisiał taki sam zegar. Elektryczny, bez sekundnika. Nie tykał. Było na nim dziesięć po szóstej.

- Coś się tu dzieje? - zapytałem.

- Niewiele - odparł Swan. - Jakiś facet z kawalerii powietrznej pojechał na zakupy do Heidelbergu i wpadł pod samochód. No i oczywiście zginął Kramer. To trochę nimi wstrząsnęło.

- Kto obejmie po nim schedę?

- Chyba Vassell.

- Poznałem go - powiedziałem. - Nieciekawy facet.

- To zatruty kielich. Sytuacja się zmienia. Powinieneś posłuchać ich rozmów. Naprawdę są przynębeni.

- Utrzymanie status quo nie wchodzi w grę - powiedziałem. - Tak słyszałem.

Zadzwoił telefon. Swan słuchał przez minutę rozmowy i odłożył słuchawkę.

- Marshalla nie ma w bazie - oświadczył. - Bierze udział w nocnych ćwiczeniach gdzieś w terenie. Wróci rano.

Summer spojrzała na mnie. Wzruszyłem ramionami.

- Zjedźcie ze mną kolację - zaproponował Swan. - Czuję się samotny z tymi wszystkimi kawalerzystami. W klubie oficerskim za godzinę?

i

Zanieśliśmy bagaż do hotelu oficerskiego i odnaleźliśmy swoje pokoje. Mój przypominał ten, w którym zmarł Kramer, tyle że był czystszy. Wnętrze nie różniło się od typowego amerykańskiego motelu. Dawno temu jakaś nasza sieć hotelowa wygrała najprawdopodobniej przetarg, a potem dostarczyli drogą lotniczą całe wyposażenie i sprzęt, łącznie z umywalkami, sedesami i wieszakami na ręczniki.

Ogoliłem się, wziąłem prysznic i włożyłem czysty mundur polowy. Kiedy z pozostawionej nam przez Swana godziny minęło pięćdziesiąt pięć minut, zapukałem do pokoju Summer. Była czysta i świeża. Jej pokój nie różnił się od mojego, tyle że pachniał już kobietą. W powietrzu unosił się przyjemny zapach wody toaletowej.

Bez trudu znaleźliśmy klub oficerski. Zajmował parter w jednym ze skrzydeł głównego budynku. Wnętrze prezentowało się wytwornie, z wysokim sufitem i misterną sztukaterią. Były tam hol, bar i restauracja. Swana znaleźliśmy w barze. Towarzyszył mu podpułkownik w mundurze wyjściowym i odznaką piechoty na kołnierzu. Na naszywce widniało nazwisko Simon. Przedstawił nam się. Wyczułem, że zje z nami kolację. Oznajmił, że jest oficerem łącznikowym oddelegowanym z wojsk piechoty. Dodał,

że w Heidelbergu stacjonuje facet z wojsk pancernych pełniący tę samą funkcję co on.

- Długo pan tu jest? - zapytałem.

- Dwa lata - odparł i to mnie ucieszyło. Potrzebny był mi ktoś, kto zna miejscowe realia, a Swan był w nich zorientowany nie lepiej niż ja w tym, co się dzieje w Fort Bird. Od razu zdałem sobie sprawę, że Simon nie towarzyszy nam przypadkiem. Swan musiał domyślić się, o co mi chodzi, i zapewnił mi to nieproszony, laki był z niego facet.

- Miło pana poznać, pułkowniku - powiedziałem i skinąłem głową Swanowi, bezgłośnie mu dziękując. Napiliśmy się amerykańskiego piwa z wysokich zmrożonych szklanek, następnie zaś przeszliśmy do restauracji. Swan zarezerwował dla nas miejsca. Kelner posadził nas przy stoliku w rogu. Siadłem w miejscu, z którego miałem widok na całą salę. Nie zobaczyłem nikogo, kogo znałem. Na sali nie było Vassella ani Coomera.

Menu należało do absolutnie standardowych. To samo mielibyśmy do wyboru w każdym amerykańskim klubie oficerskim na świecie. W takim miejscu nie chodzi o to, żeby zapoznać cię z lokalną kuchnią. Masz się w nim poczuć jak w domu, w samym środku tego, co wojsko uważa za Amerykę. Z dań głównych była ryba i stek. Ryba pochodziła prawdopodobnie z Europy, ale stek przyleciał z pewnością przez Atlantyk. Jacyś politycy z jednego z rolniczych stanów ubili przypuszczalnie świetny interes z Pentagonem.

Przez kilka chwil prowadziliśmy luźną pogawędkę. Narzekaliśmy na niski żołd i świadczenia. Mówiliśmy o ludziach, których znaliśmy. Wspomnieliśmy o operacji Słuszna Sprawa w Panamie. Podpułkownik Simon poinformował nas, że był dwa dni wcześniej w Berlinie i wziął sobie betonowy kawałek muru. Miał zamiar zatopić go w plastikowym sześcianie i przekazać następnym pokoleniom niczym dziedzictwo.

- Zna pan majora Marshalla? - zapytałem go.

- Dość dobrze - odparł.

- Kim dokładnie jest?

- Czy to oficjalna rozmowa?

- Niekoniecznie.

- To planista. Facet z zacięciem strategicznym, ktoś, kto patrzy daleko. Generał Kramer chyba go lubił. Zawsze trzymał go przy sobie, zrobił z niego swojego oficera wywiadu.

- Ma w tej dziedzinie jakieś przygotowanie?

- Formalnie nie. Ale z pewnością pracował w tym charakterze.

- Więc należy do wewnętrznego kręgu? Słyszałem, jak Kramera, Vassella i Coomera wymienia się jednym tchem. Ale nie Marshalla.

- Należy do tej samej drużyny - rzekł Simon. - To pewne. Ale wie pan, jacy są wyżsi oficerowie. Kiedy kogoś potrzebują, nie są skłonni się do tego przyznać. Więc trochę go poniżają. Facet jest ich chłopcem na posyłki, wozi ich, ale kiedy przychodzi co do czego, pytają go o radę.

- Czy po śmierci Kramera awansuje? Może na miejsce zajmowane przez Coomera?

Simon wydał wargi.

- Powinien. Jest fanatykiem wojsk pancernych, jak oni wszyscy. Ale tak naprawdę nikt nie wie, co się wydarzy. Kramer umarł w najmniej dla nich odpowiednim momencie.

- Świat się zmienia - powiedziałem.

- I co to był za świat - skomentował Simon. - Świat Kramera w zasadzie odchodzi w przeszłość. Skończył West Point w pięćdziesiątym drugim, a bazy podobne do tej były gotowe już w pięćdziesiątym trzecim i przez prawie czterdzieści lat stanowiły centrum wszechświata. Nie uwierzyłby pan, jak mocno są okopane. Wie pan, kto zrobił najwięcej w tym kraju?

- Kto?

- Nie wojska pancerne. Nie piechota. W tym przedstawieniu główny udział biorą wojska inżynieryjne. Dawne czołgi Shermana ważyły trzydzieści osiem ton i miały dziewięć stóp szerokości. Dzisiejsze Abramsy M jeden A jeden ważą siedemdziesiąt ton i mają jedenaście stóp szerokości. Przez czterdzieści lat, na

każdym etapie modernizacji wojska inżynieryjne miały coś do roboty. Poszerzali drogi, setki mil, na obszarze całych zachodnich Niemiec. Wzmacniali mosty. Do diabła, budowali całkiem nowe drogi i mosty. Dziesiątki mostów. Jeśli się chce, żeby nawała siedemdziesiąctotonowych czołgów ruszyła na wschód do boju, Irzeba mieć pewność, że utrzymają je drogi i mosty.

- Rozumiem - mruknąłem.

- Miliardy dolarów - podjął Simon. - I oczywiście wiedzieli, którymi drogami i mostami się zająć. Wiedzieli, skąd i dokąd pojedziemy. Rozmawiali ze strategami, analizowali mapy, wylewali i zbroili beton. A potem zbudowali przydrożne stacje wszędzie tam, gdzie były potrzebne. Stałe zbiorniki paliwa, składy amunicji, warsztaty, setki instalacji wzdłuż dokładnie ustalonych szlaków. Więc jesteśmy tu okopani. Wmurowani w ziemię. Bitewne pola zimnej wojny są dosłownie wykute w kamieniu, Reacher.

- Ludzie powiedzą, że zainwestowaliśmy i wygramy. Simon pokiwał głową.

- I będą mieli rację. Ale co dalej?

- Kolejne inwestycje - powiedziałem.

- Zgadza się - odparł. - Podobnie jak w marynarce, gdzie wielkie krążowniki zostały wyparte przez lotniskowce. Koniec jednej ery, początek następnej. Abramsy są jak krążowniki. Wspaniałe, ale przestarzałe. Możemy się nimi posłużyć tylko na specjalnie zbudowanych drogach, w kierunkach,

na których zaplanowaliśmy atak.

- Są mobilne - wtrąciła Summer. - Jak każdy czołg.

- Niezbyt mobilne - odrzekł Simon. - Gdzie będzie następna bitwa?

Wzruszyłem ramionami. Żałowałem, że nie ma ze mną brata. Uył dobry w te geopolityczne klocki.

- Na Bliskim Wschodzie? - zapytałem. - Może w Iranie albo Iraku? Oba kraje liżą rany, będą kombinowały, co dalej robić.

- Albo na Bałkanach - dodał Swan. - Kiedy Związek

Radziecki w końcu upadnie, ten rejon będzie jak szybkar, w którym od czterdziestu pięciu lat rosło ciśnienie.

- Okay - zgodził się Simon. - Przyjrzyjmy się Bałkanom. Na przykład Jugosławii. To będzie pierwsze miejsce, w którym się coś wydarzy, to jasne. W tym momencie czekają na pierwszy strzał. Co w tej sytuacji robimy?

- Wysyłamy wojska desantowe - odparł Swan.

- Okay - powtórzył Simon. - Posyłamy tam osiemdziesiątą drugą i sto pierwszą. Są lekko uzbrojone, możemy zainstalować tam trzy bataliony w ciągu tygodnia. Ale co zrobimy, kiedy już tam się znajdziemy? Możemy tylko starać się powstrzymać rozwój sytuacji. Musimy czekać na ciężki sprzęt. I to jest nasz pierwszy problem. Abrams waży siedemdziesiąt ton. Nie można go przewieźć drogą powietrzną. Trzeba go załadować na pociąg, a potem na statek. I to jest dobra wiadomość. Ponieważ nie wysyłamy tylko czołgu. Na każdą tonę czołgu trzeba wysłać cztery tony paliwa i innego sprzętu. Te sukinsyny spalają galon ropy na pół mili. Poza tym potrzebujemy zapasowych silników, amunicji, licznych załóg serwisowych. Logistyka ciągnie się całymi milami. To tak jakby przesuwac żelazną górę. Jeśli chcecie wysłać dość brygad czołgów, żeby ich obecność się naprawdę liczyła, trzeba minimum sześciu miesięcy przygotowań, i to przy założeniu, że będzie się tyrało przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- A tymczasem oddziały desantowe znajdą się po szyję w gównie - dokończyłem.

- Nie musi mi pan tego mówić - odparł Simon. - To są moi chłopcy i martwię się o nich. Lekko uzbrojeni spadochroniarze, postawieni przeciwko jakimkolwiek wojskom pancernym, będą padali jak muchy. To będzie bardzo długie i bardzo trudne sześć miesięcy. A potem zrobi się jeszcze gorzej. Ponieważ co się stanie, kiedy w końcu dotrą tam ciężkie brygady? To, że zjadą ze statków i utkną dwie przecznice dalej. Drogi nie są dość szerokie, mosty nie są dość mocne. Nie wyjadą w ogóle z portu. Ugrzęzną tam w błocie, a piechota będzie ginęła daleko od nich.

Nikt się nie odezwał.

- Albo weźmy Bliski Wschód - kontynuował Simon. - Wszyscy wiemy, że Irak chce odzyskać Kuwejt. Przypuśćmy, że tam wejdą. Na dłuższą metę to dla nas łatwe zwycięstwo, ponieważ dla czołgów otwarta pustynia nie różni się od europejskich stepów, z tą różnicą, że jest gorętsza i bardziej zapyłona. Nasze wojenne plany powinny się tam sprawdzić. Ale czy w ogóle do tego dojdzie? Nasza piechota będzie tam tkwiła przez całe sześć miesięcy. Kto zagwarantuje, że Irakijczycy nie zmiażdżą ich w ciągu pierwszych dwóch tygodni?

- Siły powietrzne - powiedziała Summer. - Helikoptery szturmowe.

- Bardzo bym chciał - mruknął Simon. - Samoloty i helikoptery są cholernie seksowne, ale same niczego nie wygrywają. Nigdy nie odniosły zwycięstwa i nigdy nie odniosą. Wygrywają wojska lądowe.

Uśmiechnąłem się. W tym, co mówił, pobrzmiewała po części typowa duma piechociarza. Ale trudno było odmówić mu racji.

- Więc co się wydarzy? - zapytałem.

- To samo, co wydarzyło się w marynarce wojennej w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku - odparł Simon. - Z dnia na dzień krążowniki przeszły do historii i hitem sezonu stały się lotniskowce. Jeśli chodzi o nas, musimy się zintegrować. Musimy zrozumieć, że nasze lekkie jednostki są zbyt bezbronne, a nasze ciężkie jednostki za wolne. Należy wyrzucić do kosza cały ten podział na lekkie i ciężkie. Potrzebne nam są zintegrowane brygady szybkiego reagowania z

opancerzonymi pojazdami lżejszymi niż dwadzieścia ton i dość małymi, żeby zmieściły się w brzuchu C-sto trzydzieści. Musimy szybciej docierać na pole walki i mądrzej walczyć. Przestać planować ustawione bitwy między stadami dinozaurów. - Simon się uśmiechnął. - Krótko mówiąc, musimy oddać dowodzenie piechocie - dodał.

- Czy kiedykolwiek rozmawiał pan o tym wszystkim z ludźmi pokroju Marshalla?

- Z ich strategiami? To niemożliwe.

- A jak oni widzą przyszłość?

- Nie mam zielonego pojęcia. I nie obchodzi mnie to. Przyszłość należy do piechoty.

Na deser była szarlotka, a potem napiliśmy się kawy. Jak zwykle świetnie zaparzonej. Przestaliśmy mówić o przyszłości i zaczęliśmy znowu gawędzić o sprawach dnia dzisiejszego. Kelnerzy kręcili się dokoła w milczeniu. Kolejny wieczór w klubie oficerskim, cztery tysiące mil od poprzedniego.

- Marshall będzie tutaj o świcie - powiedział mi Swan. - Wypatruj pojazdu zwiadowczego przy końcu pierwszej wjeżdżającej kolumny.

Pokiwałem głową. Domyśliłem się, że świt w styczniu we Frankfurcie będzie około godziny siódmej. Nastawiłem budzik w głowie na szóstą. Podpułkownik Simon życzył nam dobrej nocy i oddalił się. Summer odsunęła krzesło od stołu i rozparła się na nim, jeśli tak mała osoba może w ogóle rozprzeć się na krześle. Swan pochylił się do przodu i oparł łokcie o stół.

- Myślisz, że mają tu jakieś narkotyki? - zapytałem.

- Chcesz trochę?

- Brown sugar. Nie dla siebie. Swan pokiwał głową.

- Ludzie mówią, że można ją dostać od tureckich gastarbeiterów. Mógłby ją dostarczyć jeden z dealerów, którzy rozprawdzają speed.

- Spotkałeś kiedyś faceta o nazwisku Willard? - zapytałem go.

- Nowego szefa? Dostałem od niego notę. Nigdy go nie spotkałem. Ale niektórzy z tutejszych znają go. Ekspert od wywiadu, miał coś wspólnego z wojskami pancernymi.

- Pisał algorytmy - powiedziałem.

- Czego dotyczyły?

- Zużycia paliwa sowieckich T-osiemdziesiąt. To miało nam powiedzieć, jakiego rodzaju ćwiczenia przeprowadzają.

- I teraz kieruje sto dziesiątą? Pokiwałem głową.

- Wiem - mruknąłem. - To dziwne.

- Jak mu się to udało?

- Najwyraźniej ktoś go lubił.

- Powinniśmy się dowiedzieć kto. Zacząć mu wysyłać obelżywe listy.

Pokiwałem ponownie głową. Prawie milion ludzi w armii, budżet wynoszący setki miliardów dolarów, a w końcu wszystko sprowadzało się do tego, kto kogo lubi. I co można poradzić?

- Idę do łóżka - oznajmiłem.

Mój pokój w hotelu oficerskim był tak typowy, że minutę po wejściu i zamknięciu drzwi zapomniałem, gdzie jestem. Powiesiłem mundur w szafie, umyłem się i wskoczyłem pod kołdrę. Pościel pachniała tym samym detergentem, którego armia używa wszędzie. Pomyślałem o mojej matce w Paryżu i bracie w Waszyngtonie. Matka leżała już pewnie w łóżku. Joe nadal pracował, robiąc to, co robił. Powiedziałem sobie „szósta rano” i zamknąłem oczy.

Zaczęło świtać o 6.50. O tej porze stałem już z Summer przy wschodniej bramie dwunastego korpusu. W rękach trzymaliśmy kubki z kawą. Ziemia była zmarznięta, w powietrzu unosiła się mgielka. Niebo było szare, krajobraz miał kolor pastelowej zieleni. Teren był niski, lekko pofalowany i nudny jak w wielu miejscach I Łuropy. Tu i ówdzie rosły kępy niewielkich drzew. Uśpiona zimowa ziemia wydzielala chłodne organiczne zapachy. Było bardzo cicho.

Za bramą droga - szeroka i zrobiona ze zbrojonego betonu - ikręcała na północny wschód, w mgłę, w kierunku Rosji. Kamienne krawężniki miejscami zostały nadgryzione przez czołgowe gaśnice.

Opadły od nich wielkie kawały w kształcie klinów. Czołg jest niełatwym pojazdem do prowadzenia.

Czekaliśmy. Nadal panowała cisza.

W końcu je usłyszeliśmy.

Co jest najbardziej charakterystycznym dźwiękiem dwudziestego wieku? Można by nad tym długo debatować. Ktoś powie, że powolne brzęczenie silnika samolotu. Być może samotnego myśliwca wspinającego się po lazurowym niebie w 1940 roku. Albo wizg szybkiego odrzutowca przelatującego tuż nad głowami, wizg, od którego dygocze ziemia. A może łoskot łopat helikoptera. Albo ryk w pełni obciążonego boeinga 747, który unosi się w powietrze. Wszystkie te odgłosy z pewnością mogłyby się zakwalifikować. Są charakterystyczne dla dwudziestego wieku i nie rozbrzmiewały nigdy wcześniej. Nigdy, na przestrzeni całych dziejów. Niepoprawni optymiści mogliby lobbować na rzecz piosenki Beatlesów. Za chórkami yeah, yeah, yeah, zagłuszonym przez zbiorowy krzyk widowni. Mam sporo sympatii dla takiego wyboru. Ale piosenka i krzyk nigdy by się nie zakwalifikowały. Muzyka i entuzjazm istniały od początków świata. Nie zostały wynalezione po roku 1900.

Nie, najbardziej charakterystycznym dźwiękiem dwudziestego wieku jest zgrzyt i chrzęst czołgu jadącego brukowaną ulicą. Ten dźwięk słychać było w Warszawie, Rotterdamie, Stalingradzie i Berlinie. A potem ponownie w Budapeszcie, Pradze, Seulu i Sajgonie. To brutalny dźwięk. Dźwięk strachu. Mówi

o potężnej, druzgoczącej przewadze siły. A także o bezdusznej i wyniosłej obojętności. Gąsienice czołgów zgrzytają chrzęszcząc i sam ten dźwięk oznajmia, że nie można ich zatrzymać. Mówi człowiekowi, że jest słaby i bezsilny wobec maszyny. A potem jedna gąsienica zatrzymuje się, a druga kręci dalej, czołg obraca się i rusza prosto na ciebie, rycząc i zgrzytając. To jest prawdziwy dźwięk dwudziestego wieku.

Usłyszeliśmy kolumnę abramsów dwunastego korpusu na długo przedtem, zanim ją zobaczyliśmy. Hałas docierał do nas przez mgłę. Usłyszeliśmy chrzęst gąsienic i wycie turbin. Usłyszeliśmy zgrzyt kół zębatach i poczuliśmy przez podeszwy butów szybki basowy łomot, kiedy kolejne ogniwa gąsienic zsuwały

się z rolek i kładły na ziemi. Usłyszeliśmy chrzęst żwiru i kamieni miażdżonych przez ich ciężar.

A potem je zobaczyliśmy. Prowadzący kolumnę czołg zamajaczył przed nami we mgle. Jechał szybko, lekko się kołysząc, płasko przy ziemi. Za nim wyłonił się z rykiem następny i jeszcze jeden. Jechały jeden za drugim, gęsiego, niczym jakaś piekielna armada. Tworzyły wspaniały widok. Abrams M1A1 wyewoluował niczym rekin do stanu absolutnej perfekcji. Jest niekwestionowanym królem dżungli. Żaden inny czołg na świecie nie może nawet spróbować go zniszczyć. Jest osłonięty pancerzem zbudowanym z warstwy zubożonego uranu wciśniętej między dwie walcowane stalowe płyty. Ten pancerz jest ciężki i nie do sforsowania. Rakiety i pociski artyleryjskie lub kinetyczne odbijają się od niego jak piłka. Ale główna przewaga abramsa polega na tym, że żadna rakietka i żaden pocisk artyleryjski lub kinetyczny nie zdoła go osiągnąć. Stoi daleko od przeciwnika i obserwuje, jak jego pociski nie dolatują do celu. A potem obraca swoje potężne działo, odpala pocisk i sekundę później półtorej mili dalej napastnik wylatuje w powietrze i płonie. To wyjątkowo nieuczciwa przewaga.

Prowadzący kolumnę czołg przetoczył się koło nas. Jedenaście stóp szerokości, dwadzieścia sześć długości, dziewięć i pół wysokości. Siedemdziesiąt ton. Jego silnik zaryczał, pod ciężarem zatrzęsała się ziemia. Gąsienice zazgrzytały, zagrzechotały i za-szorowały po betonie. A potem minął nas drugi czołg. A za nim trzeci, czwarty i piąty. Hałas był ogłuszający. Powietrze wypełnił potężny łoskot metalu. Wieże czołgów pochylały się, kołysały i podrygiwały. Wszędzie dokoła unosiły się kłęby spalin.

W formacji było razem dwadzieścia czołgów. Przejechały przez bramę i hałas i vibracje stopniowo zaczęły się zmniejszać. Po krótkiej przerwie z mgły przed nami wyłonił się pojazd zwiadowczy. To był humvee uzbrojony w wyrzutnię pocisków przeciwpancernych TOW-2. Siedziało w nim dwóch

facetów. Stałem im na drodze i podniosłem rękę. Nie znałem Marshalla i widziałem go tylko raz, w ciemnym wnętrzu grand marquisa

przed budynkiem dowództwa Fort Bird, lecz mimo to byłem pewien, że żaden z nich nim nie jest. Zapamiętałem Marshalla jako wielkiego i śniadego, a ci faceci byli mali, co jest bardziej typowe dla pancerniaków. Jediną rzeczą, której nieco brakuje we wnętrzu abramsa, jest przestrzeń.

Humvee zatrzymał się tuż przede mną i podszedłem do okna kierowcy. Summer stanęła po stronie pasażera. Kierowca opuścił szybę i popatrzył na mnie.

- Szukam majora Marshalla - powiedziałem. Kierowca był kapitanem tak samo jak jego pasażer. Obaj mieli

na sobie kombinezony czołgowe z nomeksu, kominiarki oraz kevlarowe hełmofony. W kieszonkach na rękawach pasażera tkwiły długopisy. Do ud miał przypięte pokryte notatkami clipboardy. Wyniki jakichś testów celności.

- Marshalla tu nie ma - oświadczył kierowca.

- Więc gdzie jest?

- A kto pyta?

- Potrafisz czytać - odparłem. Miałem na sobie mundur polowy z poprzedniego dnia. Na jego kołnierzu był liść dębu, a na naszywce nazwisko Reacher.

- Z jakiej jednostki? - zapytał facet.

- Lepiej, żebyś tego nie wiedział.

- Marshall poleciał do Kalifornii. Pilne przeniesienie do Fort Irwin.

- Kiedy?

- Nie wiem dokładnie.

- Przypomnij sobie.

- W którymś momencie w nocy.

- To nie jest zbyt dokładna informacja.

- Naprawdę nie wiem.

- Jakiego rodzaju pilną sytuację mają w Fort Irwin?

- Tego też nie wiem. Skinąłem głową i cofnąłem się.

- Możecie jechać - powiedziałem.

Hunwee ruszył i Summer stanęła koło mnie pośrodku drogi.

Czuć było zapach diesla i spalin. Beton pod naszymi stopami porznięty był do białego przez gąsienice.

- Na próżno przyjechaliśmy - powiedziała Summer.

- Niekoniecznie - odparłem. - To zależy od tego, kiedy wyjechał Marshall. Jeśli po telefonie od Swana, to nam coś mówi.

Próbując odkryć, kiedy dokładnie major Marshall opuścił dwunasty korpus, byliśmy odsyłani trzy razy z jednego biura do drugiego. Wylądowaliśmy w końcu w należącym do Vassella gabinecie na pierwszym piętrze. Samego Vassella nie było. Rozmawialiśmy z kolejnym kapitanem, jak się zdaje, dowódcą kompanii administracyjnej.

- Major Marshall odleciał cywilnym lotem o godzinie dwudziestej trzeciej - oznajmił. - Z Frankfurtu na lotnisko Dullesa. Po siedmiu godzinach przerwy leci z Waszyngtonu do Los Angeles. Osobiście wydałem mu vouchery.

- Kiedy?

- Kiedy stąd wyjeżdżał.

- Czyli dokładnie kiedy?

- Wyjechał stąd trzy godziny przed startem.

- O ósmej wieczorem. Kapitan pokiwał głową.

- Punktualnie.

- Powiedziano mi, że bierze udział w nocnych manewrach.

- Taki był plan. Został zmieniony.

- Dlaczego?

- Nie wiem dokładnie.

W dwunastym korpusie „nie wiem dokładnie” było chyba standardową odpowiedzią na każde pytanie.

- Co takiego wydarzyło się w Fort Irwin?

- Nie wiem dokładnie. Uśmiechnąłem się.

- Kiedy wydano rozkaz Marshallowi?

- O siódmej.

- Na piśmie?

- Nie, ustnie.

- Kto go wydał?

- Generał Vassell.

- Czy Vassell osobiście kontrasygnował vouchery podróżne? Kapitan kiwnął głową.

- Tak jest - potwierdził.

- Muszę z nim porozmawiać.

- Poleciał do Londynu.

- Do Londynu? - zdziwiłem się.

- Na zorganizowane ad hoc spotkanie z brytyjskim ministrem obrony.

- Kiedy wyjechał?

- Pojechał na lotnisko razem z majorem Marshalllem.

- Gdzie jest pułkownik Coomer?

- W Berlinie - poinformował mnie facet. - Poluje na pamiątki.

- Niech pan mi nie mówi - mruknąłem. - Pojechał na lotnisko razem z Vassellem i Marshalllem.

- Nie. Pojechał pociągiem.

- Cudownie - odparłem.

Summer i ja poszliśmy do klubu oficerskiego na śniadanie. Dostaliśmy ten sam narożny stół, który zajmowaliśmy poprzedniego wieczoru. Usiedliśmy obok siebie, plecami do ściany i obserwowaliśmy salę.

- No dobrze - oznajmiłem. - Z biura Swana zadzwoniono o osiemnastej dziesiąt z prośbą o informację, gdzie dokładnie znajduje się Marshall. Pięćdziesiąt minut później dostał rozkaz przeniesienia do Irwin. Godzinę później znikł z bazy.

- A Vassell zwał do Londynu - dopowiedziała za mnie Summer. - Coomer wskoczył do pociągu do Berlina.

- Do nocnego pociągu. Kto podróżuje dla samej frajdy nocnym pociągiem?

- Wszyscy mają coś do ukrycia - powiedziała.

- Oprócz mnie i mojej małpy.

- Co?

- To Beatlesi - odparłem. - Jedno z charakterystycznych brzmień tego stulecia.

Summer uważnie mi się przyjrzała.

- Co takiego ukrywają? - zapytała.

- Ty mi powiedz.

Położyła ręce na stole dłońmi w dół. Wzięła głęboki oddech.

- W jakiejś części to widzę - powiedziała.

- Ja też.

- Program konferencji. To była druga strona tego, o czym mówił wczoraj wieczorem pułkownik Simon. Ślinił się na myśl, że piechota odbierze wojskom pancernym kilka punktów. Kramer musiał się tego spodziewać. Dwugwiazdkowi generałowie nie są głupi. Dlatego konferencja w Fort Irwin w dniu Nowego Roku była poświęcona zwalczaniu przeciwnika. Chodziło o to, żeby stawić opór. Nie chcą oddać tego, co mają.

- Bo mają cholernie dużo - stwierdziłem.

- Podobnie jak kapitanowie krążowników, dawno temu.
  - Więc co było w programie konferencji?
  - Częściowo obrona, częściowo atak - odparła. - To oczywisty sposób rozegrania sprawy. Argumenty przeciwko wprowadzeniu zintegrowanych jednostek, kpiny z lekkich pojazdów pancernych, zachwalanie własnej specjalistycznej wiedzy.
  - Zgoda - powiedziałem. - Ale to za mało. Pentagon będą od dziś zasypywać tonami takich papierów. Za i przeciw, jeżeli, jednakowoż, z drugiej strony, zanudzą nas tym na śmierć. W tym programie musiało być coś więcej. Coś, co każe im tak desperacko odzyskać kopię Kramera. Co to było?
  - Nie wiem.
  - Ja też nie.
  - I dlaczego uciekli wczoraj wieczorem? - zapytała Summer. - Przecież musieli już dawno zniszczyć kopię Kramera i wszystkie inne kopie. W związku z tym mogliby łączyć w żywe oczy, opowiadając o jej treści, po prostu, żeby cię uspokoić. Mogli ci nawet dać spreparowany później dokument. Proszę bardzo, mogliby powiedzieć, oto ten program, może pan go sprawdzić.
  - Uciekli z powodu pani Kramer. Summer pokiwała głową.
  - Moim zdaniem to Vassell i Coomer ją zabili. Kramer wykitował, piłeczka znalazła się na ich boisku i w tych okolicznościach zdali sobie sprawę, że mają obowiązek odnaleźć zagubione papiery. Pani Kramer była przypadkową ofiarą.
  - To byłoby całkiem przekonujące - odparłem - gdyby nie fakt, że żaden z nich nie wydaje się szczególnie wysoki i silny.
  - Obaj są o wiele wyżsi i silniejsi od pani Kramer. Poza tym, w krytycznej sytuacji sprawca może wpaść w panikę. Wyniki sekcji nie muszą być wtedy jednoznaczne. I nie wiemy, jak dobrym specjalistą jest patolog z Green Valley. Może to jakiś rodzinny doktor, który na dwa lata zatrudnił się w biurze koronera i na niczym się nie zna?
  - Nie można tego wykluczyć - przyznałem. - Ale nadal nie rozumiem, jak to możliwe. Jeśli odejmie się jazdę z Waszyngtonu i dziesięć minut na odnalezienie tego sklepu i kradzież łomu, zostaje im dziesięć minut na reakcję. Poza tym nie mieli samochodu i nie zamówili go przez telefon.
  - Mogli wziąć taksówkę. Albo limuzynę. Bezpośrednio z hotelu. I nigdy nie uda nam się jej namierzyć. W sylwestra jest największy ruch w całym roku.
  - To musiałyby być długie kursy. Spory zarobek. Kierowca powinien go zapamiętać.
  - W sylwestra taksówki i limuzyny z Waszyngtonu jeżdżą po trzech stanach. Trafiają się najdziwniejsze kursy. To możliwe.
  - Nie sądzę - odpowiedziałem. - Nie bierze się taksówki, żeby włamać się najpierw do sklepu, a potem do czyjegoś domu.
  - Kierowca nie musiał niczego widzieć. Vassell albo Coomer, względnie obaj, mogli podejść pieszo do tego sklepu w Sperryville i pięć minut później wrócić z łomem schowanym pod płaszczem.
- Tak samo mogło to wyglądać w domu pani Kramer. Taksówka została na podjeździe. Wszystko rozegrało się na tyłach.
- Zbyt duże ryzyko. Waszyngtońscy taksówkarze czytają gazety, podobnie jak wszyscy. A biorąc pod uwagę korki, jeszcze bardziej regularnie. Kierowca, który przeczyta o tym, co zdarzyło się w Green Valley, od razu przypomni sobie dwóch pasażerów.
  - Ich zdaniem ryzyko nie było takie duże. Nie sądzili, że dojdzie do zabójstwa. Nie spodziewali się, że pani Kramer będzie w domu. Myśleli, że jest w szpitalu. I uznali, że w waszyngtońskich gazetach na pewno nie będą pisali o dwóch banalnych włamaniach w Sperryville i Green Valley. Pokiwałem głową. Przypomniałem sobie, co powiedział przed kilkoma dniami detektyw Clark. Wysłałem swoich ludzi, żeby popytali w sąsiedztwie. Ulicą przejechało kilka samochodów.
  - Może - mruknąłem. - Może rzeczywiście powinniśmy sprawdzić taksówki.



- To najgorsza noc w roku - stwierdziła Summer. - Jeśli chodzi o alibi.
- To naprawdę niesamowite - powiedziałem. - Nie uważasz? Brać taksówkę, żeby zrobić coś takiego?
- Trzeba mieć nerwy ze stali.
- Skoro mają nerwy ze stali, dlaczego uciekli zeszłej nocy? Summer przez chwilę milczała.
- To naprawdę nie ma sensu - oświadczyła wreszcie. - Ponieważ nie można uciekać bez końca. Muszą o tym wiedzieć. Muszą wiedzieć, że prędzej czy później powinni się odwrócić i zaatakować.
- Zgoda. I powinni to zrobić właśnie teraz. Tutaj. To ich terytorium. Nie rozumiem, dlaczego tego nie zrobili.
- To będzie diabelski kontratak. Cała ich kariera zawisła na włosku. Powinieneś bardzo uważać.
- Ty też - powiedziałem. - Nie tylko ja.
- Najlepszą obroną jest atak.
- Zgoda - odparłem.
- Więc dobierzemy się im do skóry?
- Żebyś wiedziała.
- Którym chcesz się zająć w pierwszej kolejności?
- Marshall - powiedziałem. - Na nim zależy mi najbardziej.
- Dlaczego?
- To proste - odparłem. - Trzeba ścigać tego, którego odesłali najdalej, ponieważ widzą w nim najsłabsze ogniwo.
- Co teraz? - zapytała. Potrząsnąłem głową.
- Teraz pojedziemy do Paryża - powiedziałem. - Muszę odwiedzić mamę.

19

Spakowaliśmy ponownie nasze torby, opuściliśmy pokoje w hotelu oficerskim i złożyliśmy ostatnią kurtuazyjną wizytę Swanowi. Miał dla nas ciekawe wiadomości.

- Mam was oboje aresztować - oznajmił.
- Dlaczego?
- Opuściliście samowolnie posterunek. Willard wysłał za wami list gończy.
- Na cały świat?
- Nie, skontaktował się tylko z tą bazą. Znaleźli wasz samochód w Andrews i Willard rozmawiał z dowództwem wojsk transportowych. Stąd wiedział, że tu przyleciliście.
- Kiedy dostałeś teleks?
- Godzinę temu.
- Kiedy stąd wyjechaliście?
- Godzinę wcześniej.
- Dokąd się udaliście?
- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że wróciliście do bazy.
- Dzięki - powiedziałem.
- Lepiej nie mów mi, dokąd naprawdę jedziecie.
- Do Paryża - odparłem. - Sprawy osobiste.
- Co się dzieje?
- Chciałbym to wiedzieć.
- Chcesz, żebym ci wezwał taksówkę?
- Byłbym wdzięczny.

Dziesięć minut później siedzieliśmy w kolejnym mercedesie zmierzającym tam, skąd przyjechaliśmy.

Z Frankfurtu nad Menem do Paryża mieliśmy do wyboru samolot Lufthansy i Air France. Zdecydowałem się na Air France. Uznałem, że ich kawa będzie lepsza i że jeśli Willard będzie

chciał sprawdzać cywilne listy pasażerów, zacznie od Lufthansy. Uznałem, że nie stać go na nic mądrzejszego.

Wymieniliśmy dwa kolejne sfałszowane vouchery podróżne na dwa miejsca w klasie turystycznej w samolocie startującym o dziesiątej. Zaczekaliśmy w poczekalni przy samym wejściu do samolotu. Byliśmy w mundurach polowych, ale zanadto się nie wyróżnialiśmy. Amerykańskie mundury przewijały się na całym lotnisku. Widziałem kilku przechadzających się parami żandarmów z dwunastego korpusu. Raczej się tym jednak nie przejmowałem. Uznałem, że to rutynowa współpraca z cywilnymi gliniarzami. Miałem wrażenie, że teleks od Willarda pozostanie na biurku Swana jeszcze przez godzinę albo dwie.

Weszliśmy punktualnie na pokład i wcisnęliśmy nasze torby do schowków nad głowami. Usiedliśmy w fotelach i zapięliśmy pasy. Oprócz nas w samolocie było kilkunastu wojskowych. Paryż zawsze stanowił popularny cel urlopowych wycieczek dla ludzi stacjonujących w Niemczech. Nadal było mgliście i pochmurno, ale nie spowodowało to żadnego opóźnienia. Punktualnie wystartowaliśmy, nabraliśmy wysokości nad szarym miastem i poleciliśmy na południowy zachód nad pastelowymi polami i wielkimi połaciami lasu. A potem przebiliśmy się przez chmury ku słońcu i nie widzieliśmy już niżej ziemi.

Lot trwał krótko. Zaczęliśmy schodzić w dół, kiedy piłem drugą kawę. Summer sączyła sok. Robiła wrażenie zdenerwo

wanej. Częściowo podekscytowanej, częściowo zmartwionej. Domyśliłem się, że nigdy wcześniej nie była w Paryżu. I że nigdy wcześniej nie oddaliła się samowolnie z posterunku. Widziałem, że jej to ciąży. Prawdę mówiąc, mnie też trochę ciążyło. To wszystko komplikowało. Nie było potrzebne. Nie dziwiło mnie jednak, że na mnie spadło. Nie ulegało wątpliwości, że taki właśnie będzie następny krok Willarda. Domyślałem się, że będą nas teraz poszukiwać na całym świecie. Albo wyślą za nami normalne listy gończe.

Wylądowaliśmy na Roissy-Charles de Gaulle i wysiedliśmy z samolotu o wpół do dwunastej. Na lotnisku panował tłok. Na postoju taksówek działy się dantejskie sceny podobnie jak wówczas, gdy wylądowałem tu razem z Joem. Daliśmy więc sobie spokój i poszliśmy na przystanek navette. Stanęliśmy w kolejce i wsiedliśmy do małego autobusu-zatłoczonego i niewygodnego. Ale w Paryżu było cieplej niż we Frankfurcie. Świeciło rozwodnione słońce i wiedziałem, że miasto będzie wyglądało wspaniale.

- Byłaś już tutaj? - zapytałem.

- Nigdy - odpowiedziała Summer.

- Nie wyglądaj przez okno przez pierwsze dwanaście mil - powiedziałem. - Zaczekaj, aż miniemy Peripherique.

- Co to takiego?

- Coś w rodzaju obwodnicy. Tak jak Beltway. Za nim zaczyna się lepsza część.

- Twoja mama mieszka w środku? Pokiwałem głową.

- Przy jednej z najładniejszych alei w mieście. Tam gdzie są wszystkie ambasady. Niedaleko wieży Eiffla.

- Pojedziemy prosto do niej?

- Jutro - odparłem. - Najpierw zabawimy się w turystów.

- Dlaczego?

- Muszę poczekać, aż dojedzie tu mój brat. Nie mogę do niej pójść sam. Musimy to zrobić razem.

Nic na to nie odpowiedziała. Tylko na mnie spojrzała. Autobus ruszył z miejsca. Summer przez całą drogę wyglądała przez okno. Obserwując odbicie jej twarzy w szybie, spostrzegłem, że jest tego samego zdania co ja. Za Peripherique zaczynała się lepsza część.

Wysiedliśmy na Place de L'Opera i stojąc na chodniku, poczekaliśmy, aż rozejdą się pozostali pasażerowie. Uznałem, że najpierw powinniśmy znaleźć sobie jakiś hotel i zostawić w nim torby.

Ruszyliśmy na południe Rue de la Paix, minęliśmy Place Vendôme i dotarliśmy aż do Tuileries. Następnie skręciliśmy w prawo i doszliśmy do Champs Elysees. Być może są ładniejsze ulice, po

których można spacerować z ładną kobietą w leniwy dzień pod bladym zimowym słońcem, ale w tamtym momencie nie przychodziły mi na myśl żadne inne. Skręciliśmy w lewo w Rue Marbeuf i wyszliśmy na Avenue George V naprzeciwko hotelu George V.

- Pasuje ci? - zapytałem.

- Wpuszczą nas do środka? - zapytała.

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Przeszliśmy przez ulicę i facet w cylindrze otworzył przed

nami drzwi. Dziewczyna w recepcji miała w klapie zakietu bukiet małych flag oznaczających języki, w których mówiła. Użyłem francuskiego, co sprawiło jej przyjemność. Dałem jej dwa vouchery i poprosiłem o dwa pokoje. Nie wahała się ani chwili i dała nam klucze, zupełnie jakbym płacił złotym kruszcem albo kartą kredytową. Hotel George V był jednym z tych miejsc, w których widzieli już wszystko. A jeśli nie widzieli, nie mieli zamiaru się do tego przyznawać.

Pokoje, które dała nam wielojęzyczna recepcjonistka, wychodziły oba na poradnie i z obu widać było częściowo wieżę Eiffla. Jeden miał wystrój w odcieniu jasnoniebieskim, a salon i łazienkę wielkości kortu tenisowego. Drugi, położony troje drzwi dalej, był w odcieniu bladożółtym i miał żelazny wąski balkonik.

- Wybieraj - powiedziałem.

- Wezmę ten z balkonikiem - zdecydowała Summer. Zostawiliśmy na górze nasze torby, umyliśmy się i piętnaście

minut później spotkaliśmy w holu. Byłem gotów na lunch, ale Summer miała inne plany.

- Chcę kupić coś do ubrania - powiedziała. - Turyści nie chodzą w mundurach polowych.

- Ja chodzę - odparłem.

- Więc odpuść sobie trochę. Zaszalej. Dokąd powinniśmy pójść?

Wzruszyłem ramionami. W Paryżu nie można przejść trzech kroków, żeby nie trafić na jakiś sklep z ciuchami. Ale w większości trzeba by zapłacić miesięczną pensję za sztukę garderoby.

- Moglibyśmy spróbować w Bon Marche - powiedziałem.

- Co to takiego?

- Dom towarowy - odparłem. - W dosłownym tłumaczeniu oznacza taniochę.

- Dom towarowy nazywa się Taniocha?

- To coś dla mnie.

- Jest jakieś inne miejsce?

- Samaritaine - powiedziałem. - Nad rzeką, przy Pont Neuf. Na górze jest taras z widokiem.

- Chodźmy tam.

Spacer wzdłuż rzeki aż do czubka Ile de la Cite zajął nam całą godzinę, ponieważ przystawaliśmy, żeby przyjrzeć się różnym rzeczom. Minęliśmy Luwr i małe zielone stragany ustawione przy brzegu rzeki.

- Co znaczy Pont Neuf? - zapytała Summer.

- Nowy Most - odparłem.

Przyjrzała się wiekowemu kamiennym filarom.

- To najstarszy most w Paryżu - wyjaśniłem.

- Więc dlaczego nazywają go nowym?

- Bo kiedyś był nowy.

Weszliśmy do ciepłego wnętrza domu towarowego. Jak we wszystkich tego rodzaju miejscach na dole sprzedawano kos

metryki. Powietrze było przesycone ich zapachem. Summer zaprowadziła mnie piętro wyżej do działu odzieży damskiej. Usiadłem w wygodnym fotelu i dałem jej się rozejrzeć. Nie było jej dobre pół godziny. Pojawiła się z powrotem w zupełnie nowym wydaniu. Czarne półbuty, czarna obcisła spódniczka, szaro-biały sweter Bretona, szary wełniany zakiet. I beret. Wyglądała bombowo. Mundur polowy i buty trzymała w torbie Samaritaine.

- Teraz ty - oświadczyła, zabierając mnie do działu męskiego. Jedyne spodnie o odpowiedniej

wewnętrznej długości nogawki była tam algierska podróbka amerykańskich niebieskich dżinsów, więc to jakby nadało ton. Kupiłem do nich niebieski sweter i czarną bawełnianą kanadyjkę. Zachowałem swoje wojskowe buty. Pasowały do dżinsów i do kurtki.

- Kup sobie beret - powiedziała, więc kupiłem beret, czarny, ze skórzaną lamówką. Zapłaciłem za wszystko dolarami po całkiem dobrym kursie i przebrałem się w kabinie. Włożyłem wojskowy mundur do torby na zakupy. Przejrzałem się w lustrze, przechyliłem beret na bakier i wyszedłem z przebieralni.

Summer nie odezwała się ani słowem.

- Teraz lunch - zarządziłem.

Poszliśmy do kafejki na dziewiątym piętrze. Było za zimno, żeby usiąść na tarasie, ale zajęliśmy miejsca przy oknie, przez które widać było mniej więcej to samo. Na wschodzie widzieliśmy katedrę Notre-Dame, na południu wieżę Montpamasse. Nadal świeciło słońce. Miasto było wspaniałe.

- Jak Willard znalazł nasz samochód? - zapytała Summer. - Skąd w ogóle wiedział, gdzie go szukać? Stany Zjednoczone to duży kraj.

- Nie szukał go - odparłem. - Ktoś powiedział mu, gdzie może go znaleźć.

- Kto?

- Vassell - powiedziałem. - Albo Coomer. W dwunastym korpusie sierżant Swan podał przez telefon moje nazwisko. Dlatego pozbywając się Marshalla z bazy, zadzwonili jednocześnie do Willarda w Rock Creek i poinformowali go, że pojawiłem się w Niemczech i znowu im się naprzykrzam. Pytali go, dlaczego, do diabła, pozwolił mi tam przyjechać. I prosili, żeby mnie odwołał.

- Nie mogą dyktować, gdzie ma się udać śledczy z jednostki specjalnej.

- Teraz mogą, dzięki Willardowi. Są starymi kumplami. Właśnie to sobie uświadomiłem. Swan właściwie nam to powiedział, ale początkowo to do mnie nie dotarło. Willard skumał się z pancernymi w czasach, kiedy służył w wywiadzie. Z kim rozmawiał przez wszystkie te lata? Na temat sowieckiego zużycia paliwa? Z pancernymi. Łączą ich bliskie związki. Dlatego tak się przejął Kramerem. Nie obchodziło go, że ta sprawa stawia w niekorzystnym świetle siły zbrojne. Martwił się, że ucierpi wizerunek wojsk pancernych.

- Bo to jego ludzie.

- Zgadza się. I dlatego Vassell i Coomer uciekli zeszłej nocy. Nie uciekli na dobre. Dają po prostu Willardowi czas i sposobność, żeby się z nami uporał.

- Willard wie, że nie podpisał naszych voucherów podróży. Pokiwałem głową.

- Z całą pewnością.

- Więc jesteśmy teraz w poważnych opałach. Opuściliśmy samowolnie posterunek i podróżujemy, posługując się sfałszowanymi voucherami.

- Nic nam nie robią.

- Tak uważasz?

- Nic nam nie robią, kiedy będziemy mieli wyniki.

- A będziemy mieli?

Nie odpowiedziałem na jej pytanie.

Po lunchu przeszliśmy na drugą stronę rzeki i ruszyliśmy okrężną drogą z powrotem do hotelu. W niezobowiązujących strojach, z torbami Samaritaine w rękach, wyglądaliśmy zupełnie jak turyści. Brakowało nam tylko aparatu fotograficznego. Obejrzeliśmy wystawy sklepowe na Boulevard Saint Germain i zajrzeliśmy do Ogrodu Luksemburskiego. Obejrzeliśmy Les Invalides i Ecole Militaire. Następnie podeszliśmy w górę Avenue Bosquet i znalazłem się pięćdziesiąt jardów od domu matki. Nie powiedziałem o tym Summer. Kazałaby mi ją odwiedzić. Potem przeszliśmy Pont de L'Alma na drugą stronę Sekwany, wypiliśmy kawę w bistro przy Avenue New-York i wróciliśmy do hotelu.

- Czas na sjętę - powiedziała Summer. - A potem kolacja.

Z chęcią zgodziłem się na drzemkę. Byłem porządnie zmęczony. Położyłem się do łóżka w jasnoniebieskim pokoju i po kilku minutach zasnąłem.

Summer obudziła mnie dwie godziny później, dzwoniąc ze swojego pokoju. Chciała wiedzieć, czy znam jakieś restauracje. W Paryżu jest mnóstwo restauracji, ale byłem ubrany jak kretyn i miałem w kieszeni niecałe trzydzieści dolców. Zdecydowałem się więc na knajpę, która, jak pamiętałem, mieściła się przy Rue Vernet. Uznałem, że jeśli wejść w dzinsach i swetrze, ludzie nie będą się na mnie gapić i nie stracę tam fortuny. Poza tym mogliśmy dojść do niej spacerkiem. Odpadała zapłata za kurs.

Spotkaliśmy się w holu na dole. Summer nadal wyglądała wspaniale. Jej spódniczka i żakiet pasowały równie dobrze na wieczór, jak na popołudnie. W przeciwieństwie do mnie zrezygnowała z beretu. Ruszyliśmy pod górę w stronę Champs Elysees. W połowie drogi Summer zrobiła coś dziwnego. Wzięła mnie za rękę. Robiło się ciemno, wokół nas spacerowały pary i domyśliłem się, że wydało jej się to naturalne. Mnie też wydało się naturalne. Dopiero po minucie zdałem sobie sprawę, że to zrobiła. A ściśle rzecz biorąc, że może w tym być coś złego. Jej również zajęło to minutę, po której zaczerwieniła się, spojrzała na mnie i puściła moją rękę.

- Przepraszam - powiedziała.

- Nie ma za co - odparłem. - To było przyjemne.

- Zrobiłam to zupełnie machinalnie.

Idąc dalej, skręciliśmy w Rue Vernet. Weszliśmy do restauracji. Był wczesny styczniowy wieczór i właściciel znalazł nam od razu stolik w rogu. Stały na nim kwiaty i zapalona świeczka. Zamówiliśmy wodę i pichet czerwonego wina, żeby czegoś się napić i zastanowić nad wyborem dań.

- Czujesz się tu jak w domu - powiedziała Summer.

- Niekoniecznie - odparłem. - Nigdzie nie czuję się jak w domu.

- Mówisz nieźle po francusku.

- Mówię również nieźle po angielsku. Co wcale nie oznacza, że czuję się jak w domu w Karolinie Północnej.

- Ale lubisz pewne miejsca bardziej od innych. Pokiwałem głową.

- To jest w porządku.

- Czy ty w ogóle myślisz drugoplanowo?

- Mówisz jak mój brat. Chce, żebym miał jakiś plan.

- Wszystko się zmieni.

- Zawsze będą potrzebowali gliniarzy - powiedziałem.

- Gliniarzy, którzy oddalili się samowolnie z posterunku?

- Wystarczy, że rozwiążemy sprawę - odparłem. - Pani Kramer albo Carbone'a. A może Brubakera. Mamy trzy kawałki tortu. Trzy szansę.

Summer nie odpowiedziała.

- Odpręż się. Na czterdzieści osiem godzin wyłączyliśmy się ze spraw tego świata. Zabawmy się. Zamartwianie się nic nam nie pomoże. Jesteśmy w Paryżu.

Summer pokiwała głową. Ob serwowałem jej twarz. Patrzyłem, jak próbuje od siebie wszystko odsunąć. W świetle świec jej oczy były pełne ekspresji. Wyglądało to tak, jakby miała przed sobą masę kłopotów, być może zapakowanych w wysokie pudła, jedno na drugim. Widziałem, jak przeciska się między nimi i chroni w spokojnym miejscu w rogu garderoby.

- Napij się wina - powiedziałem. - Baw się dobrze.

Moja ręka leżała na blacie stołu. Summer wyciągnęła swoją, uściśnęła moją dłoń i podniosła kieliszek.

- Zawsze będziemy mieli Karolinę Północną - rzekła.

Zamówiliśmy po trzy dania z polecanego w karcie menu dnia. Następnie spożywaliśmy je przez trzy godziny. Staraliśmy się unikać tematów służbowych. Zamiast tego rozmawialiśmy o sprawach osobistych. Summer zapytała mnie o rodzinę. Opowiedziałem jej trochę o Joem i jeszcze mniej o

matce. Ona opowiedziała mi o swoich rodzicach, rodzeństwie i tylu kuzynach, że wkrótce pogubiłem się, kto jest kto. Obserwowałem głównie jej twarz w blasku świecy. Jej skóra miała odcień miedzi przełamanej czystym czarnym hebanem. Oczy były jak węgle. Linia szczęki delikatna niczym porcelana. Wydawała się niezwykle delikatna i mała jak na żołnierza. Ale potem przypomniałem sobie jej odznaki strzeleckie. Miała ich więcej ode mnie.

- Czy poznam twoją mamę? - zapytała.

- Jak chcesz - odparłem. - Ale jest bardzo chora.

- Nie chodzi tylko o złamaną nogę? Potrząsnąłem głową.

- Ma raka - powiedziałem.

- W jakim stadium?

- Najgorszym możliwym. Summer pokiwała głową.

- Domyśliłam się, że to musi być coś takiego. Byłeś bardzo zmartwiony, kiedy stąd poprzednio wróciłeś.

- Naprawdę?

- To musiało ci doskwierać. Teraz to ja pokiwałem głową.

- Bardziej, niż się spodziewałem.

- Nie lubisz jej?

- Bardzo ją lubię. Ale nikt nie żyje wiecznie. Kiedy się nad tym zastanowić, tego rodzaju rzeczy nie powinny nikogo zaskakiwać.

- Nie powinnam chyba do niej chodzić. Nie wypada, żebym ją odwiedzała. Powinieneś do niej pójść tylko z bratem. Tylko we dwóch.

- Lubi poznawać nowych ludzi.

- Może nie czuć się najlepiej.

- Zaczekamy i zobaczymy. Może będzie chciała pójść na lunch.

- Jak wygląda?

- Strasznie.

- W takim razie nie będzie chciała poznawać nowych ludzi. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Kelner przyniósł

rachunek. Policzyliśmy naszą gotówkę, zapłaciliśmy po połowie i zostawiliśmy przyzwoity napiwek. Wracając do hotelu, przez cały czas trzymaliśmy się za ręce. Wydawało się to czymś oczywistym. Mieliśmy oboje masę kłopotów, częściowo wspólnych, częściowo osobnych. Facet w cylindrze otworzył przed nami drzwi i życzył nam bonne nuit. Dobrej nocy. Pojechaliśmy windą na górę, stojąc obok siebie i nie dotykając się. Kiedy wysiedliśmy na czwartym piętrze, Summer musiała skrócić w lewo, jaw prawo. Był to niezręczny moment. Nie odzywaliśmy się. Widziałem, że chce ze mną pójść; ja ze swojej strony cholernie chciałem pójść z nią. Wyobraziłem sobie jej pokój. Żółte ściany, zapach perfum. Łóżko. Wyobraziłem sobie, jak zdejmuję jej sweter przez głowę. Rozpinam suwak nowej spódniczki i słyszę, jak opada na podłogę. Domyśliłem się, że ma jedwabną podszewkę. Domyśliłem się, że wydaje szeleszczący dźwięk.

Wiedziałem, że to nie będzie w porządku. Ale i tak już oddaliliśmy się samowolnie z posterunku. Tkwieliśmy po uszy w gównie. Poza całą resztą dodałoby to nam otuchy, przyniosło pociechę.

- O której godzinie rano? - zapytała.

- Ja wstaję wcześniej - odparłem. - Muszę być o szóstej na lotnisku.

- Pojadę z tobą. Dotrzymam ci towarzystwa.

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Staliśmy jak wryci w miejscu.

- Musimy wstać o czwartej - stwierdziła.

- Chyba tak - zgodziłem się. - Koło czwartej.

- W takim razie chyba dobranoc - powiedziała.

- Śpij dobrze - odparłem.

Skręciłem w prawo. Nie obejrzałem się. Usłyszałem, jak jej drzwi otwierają się i zamykają sekundę

po moich.

Była jedenasta wieczorem. Położyłem się do łóżka, ale nie zasnąłem. Po prostu leżałem i przez godzinę gapiłem się w sufit. Przez okno wpadała poświata wielkiego miasta, zimna, żółta i zamglona. Widziałem pulsowanie złotych światel z jakiegoś przyjęcia na wieży Eiffla. Błyskały i gasły, nie za szybko i nie za wolno, nieprzerwanie. Raz na sekundę zmieniały wzór na sztukaterii nad moją głową. Słyszałem dobiegający z daleka zgrzyt hamulców, ujadanie małego psa, czyjeś samotne kroki i klakson samochodu. W końcu miasto umilkło i otoczyła mnie cisza, która wyła głośno jak syrena. Podniosłem rękę i spojrzałem na zegarek. Była północ. Położyłem rękę z powrotem na łóżku i poczułem się nagle tak bardzo samotny, że zabrakło mi tchu.

Zapaliłem lampkę i obróciłem się na łóżku, żeby sięgnąć po telefon. Na małej tabliczce pod przyciskami wydrukowane były instrukcje. Żeby połączyć się z gościem w innym pokoju, proszę wcisnąć 3 i numer pokoju. Wcisnąłem trójkę i numer jej pokoju. Summer odebrała po pierwszym dzwonku.

- Nie śpisz? - zapytałem.

- Nie - odparła.

- Dotrzymać ci towarzystwa?

- Tak.

Wciągnąłem dżinsy i sweter i wyszedłem na bosaka na korytarz. Zapukałem do jej drzwi. Summer otworzyła mi, wysunęła rękę i wciągnęła mnie do środka. Była nadal kompletnie ubrana.

Nadal w spódnicy i swetrze. Pocałowała mnie mocno przy drzwiach, a ja pocałowałem ją jeszcze mocniej. Drzwi zamknęły się za nami. Usłyszałem syk samozamykacza i trzaśnięcie zamka. Podeszliśmy do łóżka.

Miała na sobie ciemnoczerwoną bieliznę. Była uszyta z jedwabiu albo satyny. Wszędzie czułem jej perfumy. Ich zapach unosił się w pokoju i emanował z jej ciała. Była drobna, delikatna, szybka i silna. Przez okno wpadała ta sama miejska poświata. Teraz rozgrzewała mnie, dodawała mi energii. Widziałem światła wieży Eiffla odbijające się na suficie. Dostosowaliśmy swój rytm do ich rytmu, nie za szybkiego, nie za wolnego, nieprzerwanego. A potem odwróciliśmy się do nich plecami i przytuliliśmy do siebie, wypaleni i zdyszani, bliscy sobie, lecz milczący, tak jakbyśmy nie do końca zdawali sobie sprawę, co zrobiliśmy.

Przespałem się godzinę i obudziłem w tej samej pozycji. Miałem silne poczucie, że coś straciłem i coś zyskałem, ale nie potrafiłem sobie uświadomić co dokładnie. Summer spała, wtulona mocno w zagłębienie mojego ciała. Ładnie pachniała i była ciepła. Robiła wrażenie gibkiej, silnej i spokojnej. Oddychała powoli. Lewą rękę trzymałem pod jej ramionami, prawą na jej biodrze. Jej na wpół otwarta dłoń spoczywała w mojej.

Obróciłem głowę i popatrzyłem na grę światel na suficie. Usłyszałem ciche brzęczenie skutera, które dobiegało z odległości ponad mili, z drugiej strony Arc de Triomphe. Usłyszałem szczekanie psa. Poza tym miasto było ciche. Dwa miliony ludzi spały. Joe był w powietrzu, gdzieś na łuku Wielkiego Koła, i zbliżał się być może do Islandii. Nie potrafiłem wyobrazić sobie twarzy matki. Zamknąłem oczy i próbowałem ponownie zasnąć.

Budzik w mojej głowie zadzwonił o czwartej. Summer nadal spała. Wysunąłem spod niej rękę, postarałem się przywrócić

krażenie w ramieniu, po czym wstałem z łóżka i podreptałem po dywanie do łazienki. Potem włożyłem spodnie i sweter i obudziłem Summer pocałunkiem.

- Pobudka wstać, pani porucznik - powiedziałem. Summer podniosła wysoko ręce i wygięła plecy w łuk. Prześcieradło zsunęło się jej do bioder.

- Dzień dobry - przywitała mnie i znowu ją pocałowałem. - Lubię Paryż. Dobrze się tu bawiłam.

- Ja też.

- Bardzo dobrze.

- W holu za pół godziny - powiedziałem.

Wróciłem do swojego pokoju i zamówiłem kawę. Zdażyłem wziąć prysznic i ogolić się, nim ją przyniesiono. Odebrałem tacę przy drzwiach, okryty tylko ręcznikiem. Następnie włożyłem świeży mundur polowy, nałapałem sobie pierwszą filiżankę i zerknąłem na zegarek. W Paryżu było dwadzieścia po czwartej, co oznaczało, że na wschodnim wybrzeżu Stanów jest dwadzieścia po dwudziestej drugiej, grubo po godzinach urzędowania. Na zachodnim wybrzeżu była jednak dopiero dziewiętnasta dwadzieścia, dość wcześnie, by zastać za biurkiem ciężko pracującego faceta. Zerknąłem ponownie na tabliczkę na telefonie, wcisnąłem dziesiątkę, żeby wyjść na miasto, i wybrałem jedyny numer, którego nauczyłem się w życiu na pamięć i który należał do centrali w Rock Creek w Wirginii. Operator odebrał po pierwszym dzwonku.

- Mówi Reacher - powiedziałem. - Potrzebny mi numer komendanta żandarmerii w Fort Irwin.  
- Panie majorze, w mocy jest rozkaz pułkownika Willarda, nakazujący panu natychmiastowy powrót do bazy.

- Wróć tam najszybciej, jak to możliwe. Ale wprawdzie muszę dostać ten numer.

- Gdzie pan obecnie przebywa, panie majorze?

- W burdelu w Sydney, w Australii - odparłem. - Daj mi ten numer.

Facet zrobił to. Powtórzyłem go sobie w pamięci, wcisnąłem

ponownie dziesiątkę i wybrałem. Sierżant CaMna Franza odebrał po drugim dzwonku.

- Chcę mówić z Franzem - powiedziałem.

Ilozległo się kliknięcie i przez moment trwała cisza. Zacząłem się już przygotowywać na długie czekanie, kiedy odezwał się Franz.

- Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił - oznajmiłem.

- Co takiego?

- Masz tam u siebie faceta z dwunastego korpusu, niejakiego Marshalla. Znasz go?

- Nie.

- Chcę, żeby tam został, dopóki sam do ciebie nie dotrę. To bardzo ważne.

- Nie mogę powstrzymać ludzi przed opuszczeniem bazy, chyba że ich aresztuję.

- Powiedz mu po prostu, że dzwoniłem z Berlina. To powinno wystarczyć. Dopóki będzie przekonany, że jestem w Niemczech, nie ruszy się z Kalifornii.

- Dlaczego?

- Bo tak mu kazano.

- Facet cię zna?

- Nie osobiście.

- Więc stawia mnie to w nieco niezręcznej sytuacji. Nie mogę podejść do faceta, którego nigdy nie spotkałem, i powiedzieć: hej, mam ważną wiadomość, inny facet, z którym się nigdy nie spotkałeś, niejaki Reacher, chce, żebyś wiedział, że utknął w Berlinie.

- Postaraj się to załatwić subtelnie - odparłem. - Powiedz mu, że prosiłem, byś zadał mu w moim imieniu pewne pytanie, ponieważ sam w żaden sposób nie mogę tu dotrzeć.

- Jakie pytanie?

- Zapytaj go o dzień pogrzebu Kramera. Czy był w Arlington? Co robił przez pozostałą część dnia? Dlaczego nie zawiózł swoich zwierzchników do Karoliny Północnej? Jak wytłumaczyli mu fakt, że chcą tam jechać sami?

- To są cztery pytania.

- Nieważne, po prostu postaraj się sprawić wrażenie, że zadajesz je w moim imieniu, ponieważ sam nie wybieram się do Kalifornii.

- Gdzie mam do ciebie oddzwonić?

Spojrzałem na telefon i przeczytałem mu numer hotelu George V.

- To Francja - zauważył. - Nie Niemcy.

- Marshall nie musi tego wiedzieć - odparłem. - Będę tu później.

- Kiedy przyjeżdżasz do Kalifornii?

- Mam nadzieję, że w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin.



- Okay - powiedział. - Coś jeszcze?
- Tak. Zadzwoń w moim imieniu do Fort Bird i poprosz moją sierżant, żeby zebrała dane o generale Vassellu i pułkowniku Coomerze. W szczególności chcę wiedzieć, czy któryś z nich jest związany w jakiś sposób z miastem Sperryville w Wirginii. Czy się tam urodził, dorastał, czy ma rodzinę. Wszystko, co by oznaczało, że wie, jakie są tam sklepy. Niech ma dla mnie te informacje, kiedy się z nią skontaktuję.
- Okay - powtórzył. - To wszystko?
- Nie - odparłem. - Powiedz jej także, żeby zadzwoniła do detektywa Clarka w Green Valley i poprosiła, by przefaksował to, czego udało mu się dowiedzieć od sąsiadów na temat sylwestrowej nocy. Będzie wiedziała, o czym mówię.
- Cieszę się, że ktoś będzie to wiedział - skomentował Franz i w słuchawce zapadła cisza. Zapisywał to, co mu powiedziałem. - To wszystko? - zapytał.
- Na razie - odparłem.

Rozłączyłem się i szedłem do holu mniej więcej pięć minut po Summer. Czekala na mnie. Była ode mnie o wiele szybsza. Nie musiała się jednak golić i nie sądzę, żeby do kogoś dzwoniła i wypila kawę. Podobnie jak ja była ubrana w mundur polowy i udało jej się jakoś wyczyścić buty, względnie dała je do czyszczenia, bo lśniły.

Nie mieliśmy pieniędzy, żeby pojechać na lotnisko taksówką, w związku z czym ruszyliśmy pieszo przez pogrążony w mroku Paryż na Place de L'Opera i złapaliśmy autobus. Był mniej zatłoczony niż ostatnim razem, lecz tak samo niewygodny. Przez chwilę obserwowaliśmy uśpione miasto, a potem minęliśmy Peripherique i zaczęliśmy powoli przemierzać posępne przedmieścia.

Dotarliśmy do Roissy-Charles de Gaulle tuż przed szóstą. W terminalu panował wielki ścisk. Domyśliłem się, że lotniska mają własne zmienne strefy czasowe. O szóstej było tu pewnie tłoczniej niż po południu. Wszędzie kłębili się ludzie. Wsiadali z samochodów i autobusów, wchodzili z zaczerwienionymi oczyma na halę, taszczyli ze sobą bagaże. Można by pomyśleć, że w ruchu jest cały świat.

Na tablicy przylotów zaznaczono, że samolot Joego już wylądował. Podeszliśmy do drzwi, przez które pasażerowie wychodzili po odprawie celnej, i zajęliśmy pozycje w tłumie witających i czekających. Spodziewałem się, że Joe pojawi się jeden z pierwszych. Wszedł na pewno szybko z samolotu i nie musiał czekać na bagaż. Nic go nie opóźni.

Najpierw zobaczyliśmy kilku maruderów z poprzednich lotów. Były to w większości rodziny, które guzdrały się z powodu małych dzieci, i osoby czekające na odbiór bagażu o nietypowych rozmiarach. Ludzie w tłumie zwracali się ku nim z nadzieją, a potem z powrotem odwracali, uświadomiwszy sobie, że to nie ci, na których czekają. Przez jakiś czas patrzyłem, jak to robią. Można było w tym dostrzec ciekawą dynamikę. Subtelne zmiany pozy wystarczały, żeby okazać zainteresowanie, a następnie jego brak. Powitanie, a następnie odrzucenie. Półobrót w stronę danej osoby i półobrót w bok. Czasami było to zaledwie przestąpienie z nogi na nogę.

Ostatni maruderzy mieszały się z pierwszymi pasażerami z samolotu Joego. Byli wśród nich biznesmeni, którzy przemycali

szybkim krokiem, niosąc teczki i torby frakowe, a także elegancko ubrane młode kobiety w szpilkach i ciemnych okularach. Modelki? Aktorki? Call-girls? Byli państwowi urzędnicy, amerykańscy i francuscy. Rozpoznawałem ich po tym, jak wyglądali. Elegancy i poważni, w większości w okularach, ale w butach, garniturach i płaszczach, które nie były najwyższej jakości. Najprawdopodobniej niskiego szczebla dyplomaci. W końcu przyleciał samolot z Waszyngtonu.

Joe wszedł chyba dwunasty. Był w tym samym palcie, które widziałem poprzednio, ale w innym garniturze i innym krawacie. Wyglądał dobrze. Szedł szybko i niósł czarną skórzaną torbę. Górował o głowę nad innymi pasażerami. Wszedł przez drzwi, stanął w miejscu i rozejrzał się dokoła.

- Wygląda zupełnie jak ty - szepnęła Summer.
- Ale ja jestem sympatyczniejszy - powiedziałem.

Od razu mnie zobaczył, bo ja też jestem o głowę wyższy od wszystkich. Wskazałem miejsce z boku. Joe precyzyjnie przeszedł przez tłum i ruszył w tamtą stronę. Zatoczyliśmy krąg i dołączyliśmy do niego.

- Porucznik Summer - powiedział. - Bardzo miło panią poznać.

Nie widziałem, żeby spojrzał na naszywkę na jej mundurze, gdzie było napisane Summer, USArmy. Lub na belki porucznika na jej ramieniu. Musiał zapamiętać jej nazwisko i stopień z naszej rozmowy.

- Dobrze się czujesz? - zapytałem.

- Jestem zmęczony - odparł.

- Chcesz śniadanie?

- Zjemy w mieście.

Kolejka do taksówek miała milę długości i posuwała się bardzo wolno. Zignorowaliśmy ją i ponownie ruszyliśmy prosto do navette. Spóźniliśmy się na jeden autobus i stanęliśmy jako pierwsi w kolejce do następnego. Przyjechał po dziesięciu minutach. Joe pytał w tym czasie Summer o wrażenia z wizyty w Paryżu. Udzieliła mu wyczerpujących odpowiedzi, nie wspomniała jednak o tym, co wydarzyło się o północy. Ja stałem przy krawężniku, plecami do jezdni, obserwując niebo na wschodzie nad dachem terminalu. Zapowiadał się kolejny słoneczny dzień. Był dziesiąty stycznia - na razie najbardziej pogodny dzień, jaki przeżyłem w nowej dekadzie.

Wsiadliśmy do autobusu i zajęliśmy trzy miejsca ustawione bokiem naprzeciwko regału na bagaże. Summer usiadła w środku, Joe bliżej przodu autobusu, ja bliżej tyłu. Siedzenia były małe i niewygodne, zrobione z twardego plastiku. Nie było miejsca na nogi. Kolana Joego sięgały mu do uszu; jego głowa kiwała się podczas jazdy. Obawiałem się, że pakując go do autobusu po całonocnym locie przez Atlantyk, nie okazałem zbyt gorąco braterskich uczuć. Miałem z tego powodu trochę wyrzutów sumienia. Ale przecież nie różniłem się od niego rozmiarami. I też niewiele spałem. Poza tym byłem splukany. I wydawało mi się, że jazda autobusem jest lepsza niż stanie przez godzinę w kolejce do taksówki.

Joe rozchmurzył się nieco, kiedy przecięliśmy Peripherique i otoczył nas miejski splendor Hausmanna. Słońce weszło już dość wysoko i miasto skąpane było w miodowozłotym świetle. Kafelki były zatłoczone, chodnikami szli miarowym krokiem ludzie, niosąc bagietki i gazety. Prawo gwarantuje paryżanom trzydziestopięciogodzinny tydzień pracy i wiele z pozostałych stu trzydziestu trzech godzin spędzają błogo, nie zajmując się niczym szczególnym. Relaksujące było samo ich oglądanie.

Wysiedliśmy w znajomym miejscu na Place de L'Opera i ruszyliśmy na południe tą samą trasą, którą pokonywaliśmy tydzień wcześniej, przecinając rzekę przy Pont de la Concorde, skręcając na zachód w Quai d'Orsay, a potem na południe w Avenue Rapp. Kiedy dotarliśmy do Rue de PUniverte, skąd widać wieżę Eiffla, Summer nagle się zatrzymała.

- Pójdę obejrzeć wieżę - oznajmiła. - Wy idźcie dalej i odwiedźcie swoją mamę.

Joe spojrzał na mnie. Czy ona wie? Pokiwałem głową. Wie.

- Dziękuję, pani porucznik - powiedział. - Pójdziemy zobaczyć, jak się czuje. Jeśli mama będzie w dobrej formie, może zjemy razem lunch.

- Zadzwońcie do mnie do hotelu - odparła.

- Wiesz, jak tam dojść? - zapytałem.

Summer odwróciła się i pokazała na północ wzdłuż alei.

- Przez tamten most i w górę po lewej stronie. Prosto jak strzełił. Uśmiechnąłem się. Nieźle orientowała się w terenie. Joe wydawał się lekko skonsternowany. Widział wskazany przez nią kierunek i wiedział, jaki hotel się tam mieści.

- Mieszkacie w hotelu George Piąty? - zapytał.

- Czemu nie?

- Koszty pokrywa wojsko?

- Tak jakby.
- Zdziwiająca.

Summer stanęła na palcach, pocałowała mnie w policzek i podała rękę Joemu. Stojąc w promieniach bladego słońca, które grzało nam ramiona, patrzyliśmy, jak oddała się w stronę wieży. W tym samym kierunku podążała już wąska strużka turystów. Widzieliśmy rozpakowujących towar sprzedawców pamiątek. Stojąc w miejscu, obserwowaliśmy ich z daleka. Patrzyliśmy, jak Summer robi się coraz mniejsza i mniejsza.

- Jest bardzo miła - stwierdził Joe. - Gdzie ją znalazłeś?
- W Fort Bird.
- Rozgryzłeś już, co się tam dzieje?
- Jestem trochę bliżej rozwiązania.
- Miałem nadzieję, że już to zrobiłeś. Jesteś tam prawie dwa tygodnie.
- Pamiętasz tego faceta, o którego cię pytałem? Willarda? Utrzymywał, zdaje się, bliskie stosunki z dowództwem wojsk pancernych?

Joe pokiwał głową.

- Na pewno bezpośrednio się z nimi kontaktowałeś. Przekazywał swoje dane ich wywiadowi.
- Pamiętasz jakiegoś nazwiska?
- W wojskach pancernych? Nie bardzo. Nigdy nie zwracałem większej uwagi na Willarda. Nie mieścił się w głównym nurcie. Jego działania miały marginalne znaczenie.
- Słyszałeś kiedykolwiek o facecie o nazwisku Marshall?
- Nie, nie pamiętam go - odparł Joe.

Nie odezwałem się. Joe odwrócił się i spojrzał na południe. Owinął się szczelniej płaszczem i odwrócił twarz do słońca.

- Chodźmy - powiedział.
- Kiedy ostatnio do niej dzwoniłeś?
- Przedwczoraj. Potem była twoja kolej.

Ruszyliśmy ulicą, ramię przy ramieniu, dostosowując nasz krok do spacerowego tempa idących obok ludzi.

- Zjemy najpierw śniadanie? - zapytałem. - Nie chcemy jej obudzić.
- Wpuści nas pielęgniarka.

Minęliśmy pocztę. Stał przed nią samochód z rozbitym błotnikiem i przebitą oponą, porzucony przez kogoś w połowie na chodniku i w połowie na jezdni. Zeszliśmy na jezdnię, żeby go ominąć. Czterdzieści jardów przed sobą zobaczyliśmy zaparkowany w drugim rzędzie duży czarny pojazd. Przyjrzelśmy się mu.

- Un corbillard - powiedział Joe. Karawan.

Nie odrywaliśmy od niego wzroku. Próbowaliśmy ustalić, przy jakim stoi budynku. Staraliśmy się ocenić odległość. Nie ułatwiała tego czołowa perspektywa. Zerknąłem w górę na linię dachów. Pierwsza była siedmiopiętrowa fasada z piaskowca w stylu belle epoque. Potem skromniejsza i niższa sześciopiętrowa kamienica matki. Opuściłem wzrok do poziomu ulicy. Do poziomu karawanu. Stał dokładnie na wysokości bramy.

Puściliśmy się biegiem.

Na chodniku stał mężczyzna w czarnym jedwabnym kapeluszu. Brama do budynku matki była otwarta. Zerknęliśmy na faceta w kapeluszu i weszliśmy na podwórko. Konsjerzka stała w progu swojej klitki. Miała w ręku chusteczkę i łzy w oczach. Nie zwróciła na nas uwagi. Podeszliśmy do windy. Pojechaliśmy na piąte piętro. Winda wspinała się w górę boleśnie powoli.

Drzwi do mieszkania stały otworem. Wewnątrz zobaczyłem trzech mężczyzn w czarnych płaszczach. Weszliśmy do środka. Mężczyźni w czarnych płaszczach odsunęli się w milczeniu. Z kuchni wyszła dziewczyna o błyszczących oczach. Była blada. Widząc nas, stanęła w miejscu, a potem powoli podeszła, żeby się przywitać.

- Co...? - zapytał Joe. Nie odpowiedziała.
- Kiedy? - zapytałem.
- Zeszłej nocy - odparła. - Bardzo spokojnie. Mężczyźni w płaszczach zorientowali się chyba, kim jesteśmy, i wyszli na korytarz. Byli bardzo cisi. W ogóle nie hałasowali. Joe dał niepewny krok do przodu i usiadł na sofie. Ja nie ruszyłem się z miejsca. Stałem dalej pośrodku pokoju.
- Kiedy? - powtórzyłem.
- O północy - powiedziała dziewczyna. - We śnie. Zamknąłem oczy. Otworzyłem je chwilę później. Dziewczyna nadal tam stała, wpatrując się we mnie.
- Była pani z nią? - zapytałem. Pokiwała głową.
- Przez cały czas - powiedziała.
- Był tu doktor?
- Kazała mu odejść.
- Co się stało?
- Powiedziała, że czuje się dobrze. Poszła do łóżka o jedenastej. Przespała godzinę, a potem po prostu przestała oddychać. Spojrzałem w sufit.
- Czy cierpiała?
- Pod koniec już nie.
- Ale powiedziała, że czuje się dobrze.
- Nadeszła jej pora. Widziałam takie rzeczy wcześniej. Popatrzyłem na nią, a potem odwróciłem wzrok.
- Chce pan ją zobaczyć? - zapytała dziewczyna.
- Joe? - zapytałem, ale mój brat potrząsnął głową i został na sofie. Wszedłem do sypialni. Obok łóżka stała na obitych aksamitem podpórkach mahoniowa trumna. Była pusta i wyściełana białym jedwabiem. Ciało matki wciąż leżało na łóżku. Pościel wokół niej była zasłana. Głowa spoczywała delikatnie na poduszce, skrzyżowane na piersi ręce leżały na kółdrze. Miała zamknięte oczy. Trudno ją było rozpoznać.
- „Czy stresuje pana widok zmarłych?” - zapytała mnie wcześniej Summer.
- „Nie” - odparłem.
- „Dlaczego?” - zapytała.
- „Nie wiem” - przyznałem.
- Nigdy nie widziałem zwłok ojca. Kiedy zmarł, znajdowałem się gdzie indziej. To było coś z sercem. Lekarze w szpitalu wojskowym starali się, jak mogli, ale sprawa była przegrana od samego początku. Przyleciałem rankiem w dniu pogrzebu i odleciałem wieczorem tego samego dnia. Pogrzeb, pomyślałem. Zajmie się tym Joe.
- Stałem przy łóżku matki przez pięć długich minut z otwartymi, suchymi oczyma. A potem odwróciłem się i poszedłem do salonu. Znowu zrobiło się w nim tłoczno. Wrócili croque-morts. Kara-waniarze. Na sofie siedział obok Joego sztywno wyprostowany starszy pan. O mebel przed sobą oparł dwie kule. Miał przerzedzające się siwe włosy i ciemny, ciężki garnitur ze wstążką w butonierce. Była czerwono-biało-niebieska i symbolizowała może Croix de Guerre albo Medaille de la Resistance. Na kościstych kolanach trzymał małe tekturowe pudełko, związane spłowiałym czerwonym sznurkiem.
- To monsieur Lamonnier - powiedział Joe. - Przyjaciel rodziny. Staruszek złapał swoje kule i zaczął się z trudem podnosić, ale dałem mu znak, żeby się nie fatygował, i podszedłem bliżej. Mógł mieć siedemdziesiąt pięć albo osiemdziesiąt lat. Był szczupły, wysuszony i stosunkowo wysoki jak na Francuza.
- To pana nazywała Reacher - powiedział. Pokiwałem głową.
- To ja - odparłem. - Ale nie przypominam sobie pana.

- Nigdy się nie spotkaliśmy. Ale znałem pana matkę od bardzo dawna.
  - Dziękuję, że pan zaszedł.
  - Ja też jestem panu za to wdzięczny. Touche, pomyślałem.
  - Co jest w tym pudełku? - zapytałem.
  - Rzeczy, których nie chciała tu trzymać - odparł staruszek. - Ale które, moim zdaniem, w takiej chwili jak ta powinni tu odnaleźć jej synowie.
- Podał mi pudełko, jakby było w nim święte brzemie. Wziąłem je i wsadziłem pod pachę. Nie było ani zbyt ciężkie, ani zbyt lekkie. Zgadywałem, że jest w nim książka. Może stary, oprawny w skórę pamiętnik. I trochę innych rzeczy.
- Chodźmy na śniadanie, Joe - powiedziałem.
- Szliśmy szybko i bez celu. Skręciliśmy w Rue Saint Dominique i minęliśmy, nie zatrzymując się, dwie kafejki przy końcu Rue de l'Exposition. Przecieliśmy na światłach Avenue Bosquet, a potem skręciliśmy w lewo w Rue Jean Nicot. Joe zatrzymał się przy kiosku i kupił papierosy. Uśmiechnąłbym się, gdybym był w stanie to zrobić. Patronem ulicy był facet, który odkrył nikotynę.
- Zapaliliśmy razem na chodniku, a potem daliśmy nurka do pierwszej napotkanej kafejki. Mogliśmy zacząć rozmawiać.
- Nie powinienes na mnie czekać - powiedział Joe. - Mogłeś ją po raz ostatni zobaczyć.
  - Czułem, że coś się dzieje - mruknąłem. - Wczoraj o północy coś poczułem.
  - Mogłeś być razem z nią.
  - Teraz już za późno.
  - Mnie by to nie przeszkadzało.
  - Ale jej tak.
  - Powinniśmy tu zostać tydzień temu.
  - Nie chciała, żebyśmy zostali, Joe. Nie przewidziała tego w swoich planach. Była niezależna, miała prawo do prywatności. Była matką, ale nie tylko.
- Joe nic na to nie odpowiedział. Kelner przyniósł nam kawę i mały wiklinowy koszyczek z croissantami. Wyczuł chyba nastrój, bo zostawił tacę i dyskretnie się wycofał.
- Zajmiesz się pogrzebem? - zapytałem. Joe pokiwał głową.
  - Postaram się, żeby odbył się za cztery dni - powiedział. - Możesz zostać?
  - Nie - odparłem. - Ale wrócę.
  - Dobrze - mruknął. - Zostanę tu koło tygodnia. Będę chyba musiał znaleźć jej testament. Trzeba sprzedać jej mieszkanie. Chyba że chcesz je zachować?
- Potrząsnąłem głową.
- Nie chcę go. A ty?
  - Nie bardzo wiem, w jaki sposób mógłbym je wykorzystać.
  - To nie byłoby z mojej strony w porządku, gdybym poszedł do niej sam - powiedziałem.
- Joe milczał.
- Widzieliśmy ją w zeszłym tygodniu - kontynuowałem. - Byliśmy wszyscy razem. Spędziliśmy miło czas.
  - Tak uważasz?
  - Dobrze się bawiliśmy. Tak jak tego chciała. Dlatego zadała sobie tyle trudu. Dlatego poprosiła, żebyśmy pojechali do Poli-doru. Przecież właściwie nic tam nie zjadła.
- Joe wzruszył tylko ramionami. Wypiliśmy w milczeniu kawę. Spróbowałem croissanta. Nie był zły, ale nie miałem apetytu. Odłożyłem go z powrotem do koszyka.
- Życie - mruknął Joe. - Jaka to porąbana rzecz. Ktoś żyje sześćdziesiąt lat, robi najprzeróżniejsze rzeczy, poznaje najprzeróżniejsze rzeczy, a potem wszystko się kończy. Tak jakby w ogóle się nie wydarzyło.
  - Zawsze będziemy ją pamiętać.
  - Nie, zapamiętamy tylko fragmenty. Te, które chciała ujawnić. Czubek góry lodowej. O reszcie

wiedziała tylko ona. I dlatego reszta już nie istnieje. Od teraz.

Wypaliliśmy obaj jeszcze po papierosie i siedzieliśmy w milczeniu. A potem wróciliśmy powoli, ramię przy ramieniu, trochę wypaleni i trochę pogodzeni z sobą.

Kiedy znaleźliśmy się przy jej domu, trumna była już w karawanie. Musieli ją postawić pionowo w windzie. Konsjerżka stała na chodniku obok staruszka ze wstążką w butonierce, który opierał się na kulach. Pielęgniarka też tam była, stała z boku. Karawaniarze wpatrywali się w ziemię ze splecionymi z przodu dłońmi.

- Zabierają ją do depôt mortuaire - powiedziała pielęgniarka.

Do zakładu pogrzebowego.

- Okay - mruknął Joe.

Nie zostałem z nimi. Pożegnałem się z pielęgniarką i konsjerżką i wymieniłem uścisk dłoni ze starszym panem. A potem skinąłem głową bratu i ruszyłem przed siebie ulicą. Nie obejrzałem się. Przeszedłem na drugą stronę Sekwany mostem de L'Alma i doszedłem Avenue George V do hotelu. Wjechałem na górę windą i wszedłem do swojego pokoju. Nadal miałem pod pachą pudełko starszego pana. Położyłem je na biurku i stanąłem nieruchomo, zupełnie nie wiedząc, co robić dalej.

Wciąż tam stałem, kiedy dwadzieścia minut później zadzwonił telefon. To był Calvin Franz. Telefonował z Fort Irwin w Kalifornii. Musiał dwa razy powtórzyć swoje nazwisko. Za pierwszym razem nie mogłem sobie przypomnieć, kim jest.

- Rozmawiałem z Marshalllem - powiedział.

- Z kim?

- Z twoim facetem z dwunastego korpusu. Nie odezwałem się.

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

- Przepraszam - odparłem. - Nic mi nie jest. Rozmawiałeś z Marshalllem.

- Był na pogrzebie Kramera. Zawiózł tam Vassella i Coomera i odwiózł ich z powrotem. A potem, jak twierdzi, nie woził ich przez pozostałą część dnia, ponieważ po południu miał bardzo ważne spotkanie w Pentagonie.

- Ale?

- Nie uwierzyłem mu. To chłopak na posyłki. Gdyby Vassell i Coomer kazali mu się odwiedzić, odwiózłby ich bez względu na to, jak ważne miałyby spotkania.

- I co?

- I wiedząc, że będziesz mi wiercił dziurę w brzuchu, jeśli tego nie sprawdzę, sprawdziłem.

- I?

- To ważne spotkanie, o którym mówił, musiał chyba odbyć z samym sobą w toalecie, ponieważ nikt inny go nie widział.

- Więc co robił zamiast tego?

- Nie mam pojęcia. Ale na pewno coś robił. Po prostu zbyt gładko odpowiadał na moje pytania. To znaczy, to wszystko zdarzyło się przed sześciu dniami. Kto, do diabła, pamięta, w jakich spotkaniach uczestniczył przed sześciu dniami? Ale ten facet twierdzi, że pamięta.

- Powiedziałeś mu, że jestem w Niemczech?

- Chyba o tym już wiedział.

- Powiedziałeś mu, że się stamtąd nie ruszę?

- Sprawiał wrażenie przekonanego, że w najbliższym czasie nie uda ci się dotrzeć do Kalifornii.

- Ci faceci to starzy kumple Willarda - powiedziałem. - Obiecał im, że nie pozwoli, bym dobrał im się do skóry. Dowodzi sto jedenastą specjalną, jakby to była prywatna jednostka wojsk pancernych.

- Swoją drogą sprawdziłem życiorysy Vassella i Coomera, bo mnie zaciekawili. Nie ma nic, co by sugerowało, że którykolwiek z nich słyszał o miejscowości Sperryville w Wirginii.

- Jesteś tego pewien?

- Absolutnie. Vassell pochodzi z Missisipi, a Coomer jest z Illinois. Żaden z nich nigdy nie mieszkał ani nie służył w pobliżu Sperryville.

Przez chwilę milczałem.

- Czy są żonaci? - zapytałem w końcu.
- Żonaci? - odparł Franz. - Owszem, mają żony i dzieci. Ale to miejscowe dziewczyny. Żadnych teściów w Sperryville.
- Okay - powiedziałem.
- Więc co zamierzasz zrobić?
- Jadę do Kalifornii.

Odłożyłem słuchawkę na widelki i poszedłem do pokoju Summer. Zapukałem i otworzyła mi. Wróciła ze zwiedzania.

- Zmarła zeszłej nocy - powiedziałem.
  - Wiem - odparła Summer. - Właśnie zadzwonił do mnie twój brat z mieszkania. Chciał, żebym sprawdziła, czy nic ci nie jest.
  - Nic mi nie jest - zapewniłem ją.
  - Bardzo mi przykro - powiedziała. Wzruszyłem ramionami.
  - Takie rzeczy nie stanowią niespodzianki - stwierdziłem.
  - Kiedy to się stało?
  - O północy. Po prostu się poddała.
  - Mam wyrzuty sumienia. Powinieneś do niej wczoraj pójść zamiast spędzać dzień ze mną. Nie powinniśmy robić całych tych śmiesznych zakupów.
  - Odwiedziłem ją tydzień temu. Spędziliśmy miło czas. Lepiej, że ostatni raz był w zeszłym tygodniu.
  - Mnie zależałoby na każdej dodatkowej chwili.
  - To od początku musiała być arbitralna data - powiedzia
- łem. - Mogłem do niej pójść wczoraj, być może po południu. Wtedy żałowałbym, że nie zostałem na wieczór. Gdybym został na wieczór, żałowałbym, że nie zostałem do północy.
- O północy byłeś tutaj ze mną. Z tego powodu też mam wyrzuty sumienia.
  - Nie miej ich. Ja niczego nie żałuję. Moja matka też nie miałaby mi za złe. Była w końcu Francuzką. Gdyby wiedziała, że mam taki wybór, nalegałaby.
  - Tylko tak mówisz.
  - Nie była chyba zbyt tolerancyjna. Ale zawsze chciała, żebyśmy byli szczęśliwi.
  - Czy poddała się, bo została sama? Potrząsnąłem głową.
  - Chciała zostać sama, żeby móc się poddać. Summer się nie odezwała.
  - Wyjeżdżamy - powiedziałem. - Polecimy nocnym samolotem.
  - Do Kalifornii?
  - Najpierw na wschodnie wybrzeże - odparłem. - Są pewne rzeczy, które muszę sprawdzić.
  - Jakie rzeczy? - zapytała.

Nie powiedziałem jej. Roześmiałyby się, a w tym momencie nie zniósłbym, że ktoś się ze mnie śmieje.

Summer spakowała torbę i poszliśmy do mojego pokoju. Usiadłem na łóżku i zacząłem bawić się sznurkiem, którym obwiązane było pudełko monsieur Lamonniera.

- Co to takiego? - zapytała.
- Przyniósł to pewien starszy pan. Powiedział, że to coś, co powinniśmy znaleźć wśród rzeczy matki.
- Co jest w środku?
- Nie wiem.
- Otwórz je.

Przesunąłem pudełko po kołdrze.

- Ty je otwórz.

Patrzyłem, jak jej małe szczupłe palce rozwiązują stary zaciśnięty węzeł. Lakier na jej paznokciach lśnił w świetle dnia. W końcu zsunęła sznurek i podniosła pokrywkę. Pudełko było płytke,

zrobione z grubej, topornej tektury, której się już nie widuje. W środku znajdowały się trzy rzeczy. Mniejsze pudełko, podobne do szkatułki, zrobione z tektury obojętnej granatowym czerpanym papierem, a także książka i krajak do sera - zwykły kawałek drutu, z rączkami po obu stronach. Rączki były zrobione ze starego ciemnego drewna. Można zobaczyć podobne krajaki w każdej epicerie we Francji. Tyle że w tej drut został wymieniony. Był za gruby do sera. Wyglądał jak fortepianowa struna i był cały pozwijany i skorodowany, jakby przechowywano go od bardzo dawna.

- Co to jest? - zapytała Summer.

- Wygląda jak garota - powiedziałem.

- Książka jest po francusku - zauważyła. - Nie potrafię jej przeczytać.

Podala mi ją. Książka miała cienką papierową obwolotę. To nie była powieść, ale reportaż albo literatura faktu. Pachniała stęchlizną i miała pozaginane i pożółkłe ze starości rogi. Tytuł miał coś wspólnego z koleją. Za stroną tytułową zamieszczono mapkę francuskich połączeń kolejowych w latach trzydziestych. W pierwszym rozdziale opisywano, jak wszystkie linie z północy zbiegały się w Paryżu, a potem ponownie rozchodziły na południe. Nie można było nigdzie dojechać, nie mijając po drodze stolicy. Wydawało mi się to logiczne. Francja była stosunkowo małym państwem z bardzo dużym miastem pośrodku. W większości krajów wygląda to podobnie. Stolica jest zawsze centralnym punktem ich komunikacji.

Obróciłem książkę w dłoniach. Na tylnej części obwoloty była fotografia autora - młodszego o czterdzieści lat monsieur Lamonniera. Rozpoznałem go bez trudu. W notce pod zdjęciem napisano, że stracił obie nogi na wojnie w maju 1940 roku. Przypomniałem sobie, jak sztywno siedział na sofie mojej matki.

I jego kule. Musiał mieć protezy. Drewniane nogi. To, co brałem za kościste kolana, musiało być skomplikowanymi mechanicznymi stawami. W notce pisano również, że Lamonnier stworzył Le Chemin de Fer Humain. Ludzkie linie kolejowe. Otrzymał Medal Ruchu Oporu od prezydenta Charles'a de Gaulle'a oraz Krzyż Jerzego od Brytyjczyków i Medal za Wzorową Służbę od Amerykanów.

- Co to za książka? - zapytała Summer.

- Wygląda na to, że poznałem właśnie dawnego bohatera Resistance.

- Co to ma wspólnego z twoją matką?

- Może ten Lamonnier był dawno temu jej sympatią.

- I chce teraz opowiedzieć o tym tobie i Joemu? Jakim był wspaniałym facetem? W takim momencie? To byłoby trochę samolubne, nie sądzisz?

Przeczytałem kilka fragmentów. Podobnie jak w większości francuskich książek autor posługiwał się dziwną konstrukcją, tak zwanym czasem przeszłym historycznym używanym wyłącznie w piśmie. Utrudniało to lekturę komuś, kto nie był rodowitym Francuzem. I z początku narracja nie była zbyt zajmująca. Autor tłumaczył dosyć mozolnie, że pasażerowie przyjeżdżający pociągami z północy na Gare du Nord musieli, jeśli wybierali się dalej na południe, przebyć Paryż pieszo, metrem albo taksówką, żeby dostać się na inne dworce, takie jak Gare d'Austerlitz lub Gare de Lyon, i wsiąść do pociągu jadącego na południe.

- Książka opowiada o czymś, co nazywa się ludzkimi liniami kolejowymi - powiedziałem. - Tyle że na razie niewiele jest w niej o ludziach.

Podalem ją Summer, która ponownie ją przekartkowała.

- Jest podpisana - stwierdziła.

Pokazała mi pustą pierwszą stronę. Była na niej stara wyblakła dedykacja. Niebieskim atramentem, eleganckim charakterem pisma. A Beatrice de Pierre. Dla Beatrice od Pierre'a.

- Twoja matka miała na imię Beatrice? - zapytała Summer.

- Nie - odparłem. - Nazywała się Josephine. Josephine Moutier, a potem Josephine Reacher.

Summer oddała mi ponownie książkę.

- Słyszałam chyba o tych ludzkich liniach kolejowych - powiedziała. - To się działo w czasie



drugiej wojny światowej. Chodziło o ratowanie załóg bombowców, które zostały zestrzelone nad Belgią i Holandią. Lokalne placówki ruchu oporu zgarniały lotników i przekazywały ich aż do granicy hiszpańskiej. Dzięki temu mogli wrócić do domu i znowu wziął udział w akcji. To było ważne, ponieważ brakowało wyszkolonych załóg. A poza tym ratowało się w ten sposób ludzi przed obozami jenieckimi.

- To by wyjaśniało medale Lamonniera - rzekłem. - Od każdego z alianckich rządów.

Położyłem książkę na łóżku i pomyślałem, że powinienem się spakować. Doszedłem do wniosku, że wyrzucę dzinsy, sweter i kurtkę z Samaritaine. Nie potrzebowałem ich ani nie chciałem. A potem ponownie spojrzałem na książkę i dostrzegłem, że niektóre kartki mają inne brzegi. Otworzyłem ją w tych miejscach i znalazłem kilka wyblakłych fotografii. Większość stanowiły zdjęcia portretowe zrobione w zakładzie fotograficznym i reprodukowane po sześć na jednej stronie. Poza tym było tam kilka zdjęć z akcji, zrobionych z ukrycia. Pokazywały alianckich lotników ukrywających się w piwnicach oświetlonych stojącymi na beczkach świecami, grupki poprzebieranych w pożyczone chłopskie ubrania mężczyzn wędrujących wiejskimi drogami i pirenejskich przewodników na tle ośnieżonych szczytów. Jedno ze zdjęć przedstawiało dwóch mężczyzn i stojącą między nimi dziewczynkę, niewiele większą od dziecka. Trzymała obu mężczyzn za ręce i uśmiechała się wesoło, prowadząc ich ulicą wielkiego miasta. Z pewnością Paryża. Beatrice de service a ses travaux, brzmiał podpis pod fotografią. Beatrice na służbie, wykonująca swoją pracę. Beatrice mogła mieć koło trzynastu lat.

Byłem przekonany, że Beatrice to moja matka.

Przejrzałem portrety zrobione w atelier i znalazłem ją. Wy

glądała tam na szesnaście lat. Beatrice en 1947, głosił podpis. Beatrice w 1947 roku. Przejrzałem ponownie książkę i odtworzyłem z grubsza historię, którą opowiadał Lamonnier. Ludzkie linie kolejowe napotykały dwa główne problemy taktyczne. Nie było nim samo odnalezienie zestrzelonych lotników. Spadali z nieba, w dosłownym znaczeniu tego słowa, na terenie całych Niderlandów, po kilkunastu każdej bezksiężycowej nocy. Jeśli pierwsi docierali do nich ludzie z ruchu oporu, mieli jakieś szansę. Jeśli uprzedził ich Wehrmacht, nie mieli żadnych. To była kwestia szczęścia. Jeśli je mieli i ruch oporu przejmował ich przed Niemcami, ukrywano ich, wymieniano mundury na jakieś przekonujące przebranie, dawano podrobione dokumenty, kupowano bilety kolejowe, kurier eskortował ich do Paryża i wracali do domu.

Albo i nie.

Pierwszym problemem taktycznym była możliwość kontroli w pociągu, w trakcie pierwszej podróży. To byli jasnowłosi, wykarmieni kukurydzą chłopcy z Ameryki, rudzi Brytyjczycy ze Szkocji i inni, którzy nie przypominali śniadych, wychudłych, udreńczonych okupacją Francuzów. Wyróżniali się. Nie mówili po francusku. Stosowano wiele wybiegów. Udawali, że śpią, że są chorzy, niemi albo głusi. Wszystkie rozmowy prowadzili za nich kurierzy.

Drugim problemem taktycznym był tranzyt przez sam Paryż. W stolicy Francji roilo się od Niemców. Wszędzie można było trafić na kontrolę. Niezgrabni, zagubieni cudzoziemcy od razu rzucali się w oczy. Prywatne auta właściwie zniknęły. Trudno było złapać taksówkę. Brakowało benzyny. Mężczyźni idący w towarzystwie innych mężczyzn wzbudzali podejrzenia. Lotników eskortowały więc kobiety. Jednym z pomysłów, na który wpadł Lamonnier, było wykorzystanie dziewczynki, którą znał. Mała spotykała się z lotnikami na Gare du Nord i prowadziła ich ulicami miasta do Gare de Lyon. Śmiała się, podskakiwała i trzymała ich za ręce, tak jakby byli jej starszymi braćmi albo składającymi wizytę wujkami. Jej zachowanie zaskakiwało i rozbrajało. Przechodziła z lotnikami przez punkty kontrolne niczym duch. Miała trzynaście lat.

Wszyscy w konspiracji mieli swoje pseudonimy. Jej brzmiał Beatrice. Lamonniera Pierre.

Wyjąłem z pudła granatowe pudełeczko i otworzyłem je. W środku było odznaczenie, Medaille de la Resistance. Medal ruchu oporu. Był złoty i miał fikuśną czerwono-biało-niebieską wstążeczkę. Obróciłem go w palcach. Z tyłu miał elegancko wygrawerowane nazwisko. Josephine Moutier. Moja matka.

- Nigdy ci o tym nie powiedziała? - zapytała Summer. Potrząsnąłem głową.  
- Ani słowa. Nigdy - odparłem i zajrzałem ponownie do pudła. O co chodziło, do diabła, z tą garotą? - Zadzwoń do Joego - powiedziałem. - Powiedz mu, że do niego idziemy. I żeby sprowadził z powrotem Lamonniera.

Piętnaście minut później byliśmy w mieszkaniu matki. Lamonnier już tam na nas czekał. Może w ogóle nie wychodził. Dałem pudełko bratu i powiedziałem, żeby sprawdził zawartość. Był ode mnie szybszy, bo zaczął od medalu. Nazwisko na odwrocie wyjaśniło mu, o co chodzi. Obrócił w dłoniach książkę i zerknął na Lamonniera, rozpoznając w nim autora z fotografii. A potem przejrzał tekst. Obejrzał zdjęcia. Spojrzał na mnie.

- Czy kiedykolwiek ci o tym wspomniała? - zapytał.

- Nigdy. A tobie?

- Nigdy - odparł.

- Do czego posłużyła ta garota? - zapytałem Lamonniera. Nie odpowiedział.

- Niech nam pan powie - poprosiłem.

- Została zdemaskowana - oznajmił. - Przez ucznia z jej szkoły. Chłopca w jej wieku. Wrednego chłopaka, syna kolaborantów. Dręczył ją, opowiadając, co ma zamiar zrobić.

- I co zrobił?

- Z początku nic. Dla waszej matki była to wyjątkowo stresująca sytuacja. Potem zaczął domagać się różnych niegodziwości za cenę dalszego milczenia. Wasza matka naturalnie odmówiła. Zagroził, że na nią doniesie. Udała więc, że się zgadza. Umówiła się z nim późnym wieczorem pod Pont des Invalides. Musiała się wymknąć z domu. Najpierw jednak zabrała z kuchni krajkę do sera. Zamieniła w nim drut na strunę z fortepianu ojca. To była chyba struna G. Po tylu latach nadal jej brakuje. Spotkała się z tym chłopcem i zadusiła go.

- Co takiego? - zapytał Joe.

- Zadusiła go.

- Miała trzynaście lat. Lamonnier pokiwał głową.

- W tym wieku fizyczne różnice między dziewczynkami i chłopcami nie stanowią jeszcze znaczącej przeszkody.

- Miała trzynaście lat i zabiła faceta?

- To były dramatyczne czasy.

- Co się dokładnie wydarzyło? - zapytałem.

- Użyła garoty. Tak jak zaplanowała. To nie jest trudne narzędzie. Trzeba mieć tylko odwagę i determinację. Następnie użyła oryginalnego drutu, żeby przywiązać balast do jego paska, i zrzuciła go do Sekwany. Chłopak zniknął, a ona była bezpieczna. Ludzkie linie kolejowe też były bezpieczne.

Joe wbił w niego wzrok.

- Pozwolił jej pan na to?

Lamonnier wzruszył ramionami. W wymowny, galijski sposób, dokładnie tak, jak to robiła moja matka.

- Nic o tym nie wiedziałem - oznajmił. - Powiedziała mi dopiero po fakcie. Podejrzewam, że w pierwszej chwili nie pozwoliłbym jej tego zrobić. Ale nie mogłem tego sam załatwić. Nie miałem nóg. Nie mogłem zejść pod most, nie byłem zdolny do walki. Miałem człowieka, który wykonywał od czasu do czasu wyroki śmierci, ale był zajęty gdzie indziej. Chyba w Belgii. Nie mogłem ryzykować i na niego czekać. Biorąc to wszystko pod uwagę, myślę, że w końcu bym się zgodził. To były dramatyczne czasy, a my mieliśmy do wykonania ważne zadanie.

- Czy to się naprawdę wydarzyło? - zapytał Joe.

- Wiem, że tak - odparł Lamonnier. - Ryby przegryzły pasek chłopaka. Wypląnął kilka dni później w dole rzeki. To był nerwowy tydzień. Ale nic złego się nie stało.

- Jak długo dla pana pracowała? - zapytałem.

- Przez cały tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci. Była wyjątkowo dobra. Ale jej twarz stała się

dobrze znana. Z początku stanowiła jej atut. Wydawała się taka młoda i niewinna. Jak ktoś mógł podejrzewać kogoś takiego? Potem stała się obciążeniem. Zнали ją wszyscy szkopi. I ilu braci, kuzynów i wujków może mieć jedna dziewczynka? Musiałem zrezygnować z jej usług.

- To pan ją zwerbował?

- Zgłosiła się na ochotnika. Wierciła mi dziurę w brzuchu tak długo, aż się zgodziłem.

- Ilu ludzi uratowała?

- Osiemdziesięciu mężczyzn - odparł Lamonnier. - Była moją najlepszą paryską kurierką. Prawdziwym fenomenem. Lepiej było nie myśleć o konsekwencjach. Przez cały rok straszliwie ryzykowała, ale ani razu mnie nie zawiodła.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Jak pan się w to zaangażował? - zapytałem.

- Byłem inwalidą wojennym - odparł. - Jednym z wielu. Pod względem medycznym stanowiliśmy dla nich zbyt wielkie obciążenie. Nie nadawaliśmy się na robotników przymusowych. Dlatego pozwolili nam zostać w Paryżu. Ale chciałem coś zrobić. Fizycznie nie byłem zdolny do walki, mogłem jednak zająć się sprawami organizacyjnymi. Do tego nie trzeba sprawności fizycznej. Wiedziałem, że załogi bombowców są na wagę złota. Postanowiłem, że pomogę im wrócić do domu.

- Dlaczego moja matka przez całe życie ani razu o tym nie wspomniała?

Lamonnier ponownie wzruszył ramionami. Znużony, niepewny, po wszystkich tych latach nadal nie potrafił sobie tego do końca wytłumaczyć.

- Chyba z wielu powodów - odparł. - W tysiąc dziewięć

set czterdziestym piątym Francja była podzielonym krajem. Wielu brało udział w ruchu oporu, inni kolaborowali, jeszcze inni nic nie robili. Większość była za oddzieleniem wszystkiego grubą kreską. A ona chyba się wstydziła, że zabiła tego chłopaka. Ciężko jej to na sumieniu. Powtarzałem, że nie miała wyboru. To nie było dobrowolne działanie. Mówiłem jej, że tak należało postąpić. Ale ona wołała o wszystkim zapomnieć. Musiałem ją błagać, żeby przyjęła medal.

Joe, ja i Summer nic nie powiedzieliśmy. Siedzieliśmy wszyscy w milczeniu.

- Chciałem, żeby jej synowie wiedzieli - oświadczył La-monnier.

Summer i ja wróciliśmy do hotelu. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Czułem się jak ktoś, kto nagle odkrywa, że został adoptowany. Nie byłem człowiekiem, za którego się uważałem. Przez całe życie sądziłem, że jestem, kim jestem, z powodu ojca, zawodowego oficera piechoty morskiej. Teraz poczułem w sobie inne geny. Mój ojciec nie zabił wroga w wieku trzynastu lat. Zrobiła to moja matka. Żyła w dramatycznych czasach, stanęła na wysokości zadania i zrobiła to, co konieczne. W tym momencie zatęskniłem za nią jeszcze bardziej. W tym momencie poczułem, że będzie mi jej zawsze brakować. Poczułem się pusty. Straciłem coś, z czego posiadania nigdy nie zdawałem sobie sprawy.

Znieśliśmy nasze torby do holu i wymeldowaliśmy się z hotelu. Oddaliśmy klucze i wielojęzyczna recepcjonistka przygotowała długi i szczegółowy rachunek. Musiałem go podpisać. Domyśliłem się, że jestem w opałach, kiedy tylko go zobaczyłem. Był skandalicznie wysoki. Wyobrażałem sobie, że wojsko może mi wybaczyć sfalszowane vouchery, jeśli będę miał wyniki. Teraz nie byłem już tego taki pewien. Obawiałem się, że taryfa hotelu George V może sprawić, iż zmienią zdanie. Ten rachunek

zdecydowanie pogorszył sytuację. Byliśmy tam tylko jedną noc, ale obciążono nas za dwie, ponieważ późno się wymeldowaliśmy. Moja kawa dostarczona przez obsługę pokojową kosztowała tyle co posiłek w bistrze. Telefon do Rock Creek kosztował tyle co trzydzielniowy lunch w najlepszej restauracji w mieście. Telefon do Franza w Kalifornii kosztował tyle co pięciodaniowy obiad. Telefon Summer do Joego, który przebywał w odległym o niecałą milę mieszkaniu matki i którego poprosiła o sprowadzenie tam monsieur Lamonniera, trwał niecałe dwie minuty i kosztował tyle, ile kawa przyniesiona do pokoju. Obciążono nas także za połączenia przychodzące. Jedno było od Franza do mnie, drugie od Joego do Summer, kiedy poprosił ją, żeby sprawdziła, czy nic mi nie

jest. Ten drobny przykład braterskiej troski kosztował rząd Stanów Zjednoczonych pięć doliców. Takiego rachunku hotelowego jeszcze w życiu nie widziałem.

Wielojęzyczna recepcjonistka wydrukowała dwie kopie. Jedną podpisałem i oddałem, a drugą włożyła do wytłaczanej koperty hotelu George V i dała mi do ręki. Na pamiątkę, powiedziała. Na rozprawę przed sądem wojennym, pomyślałem, wkładając kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyjąłem ją stamtąd sześć godzin później, kiedy w końcu uświadomiłem sobie, kto co i jak zrobił.

20

Powędrowaliśmy znaną drogą na Place de L'Opera i wsiedliśmy do autobusu jadącego na lotnisko. Jechałem nim po raz szósty w ciągu tygodnia. Szósta podróż nie była wygodniejsza od pozostałych pięciu. Właśnie ta niewygodna pobudziła mnie do myślenia.

Wysiedliśmy przy hali odlotów międzynarodowych i znaleźliśmy stanowisko biletowe Air France. Wymieniliśmy dwa vou-chery na dwa miejsca do Waszyngtonu w samolocie startującym o jedenastej wieczorem. To oznaczało długie czekanie. Zrzuciliśmy sobie torby na plecy i ruszyliśmy na poszukiwanie baru. Summer nie była w nastroju do rozmów. Najprawdopodobniej nie wiedziała, co powiedzieć. Ale prawdę mówiąc, nie czułem się w tym momencie najgorzej. Życie toczyło się tak samo, jak toczy się zawsze, dla każdego. Wcześniej czy później każdy zostaje sierotą. Nie ma przed tym ucieczki. Tak działo się przez tysiące pokoleń. Nie było sensu się z tego powodu zamartwiać.

Wypiliśmy po butelce piwa i rozejrzeliśmy się za miejscem, w którym można by coś zjeść. Ominęło mnie śniadanie i lunch i domyślałem się, że Summer też nic nie miała w ustach. Za małymi bezcłowymi sklepikami znaleźliśmy lokal podobny do bistra z ogródkiem. Policzyliśmy nasze ostatnie dolary, sprawdziliśmy menu i stwierdziliśmy, że stać nas na jedno danie na osobę plus sok dla niej, kawa dla mnie i napiwek dla kelnera. Zamówiliśmy steakfrites, który okazał się porządnym befsztykiem z cienkimi frytkami i majonezem. We Francji można dostać dobre żarcie naprawdę wszędzie. Nawet na lotnisku.

Po godzinie ruszyliśmy w stronę wejścia do samolotu. Było nadal wcześnie i poczekalnia była prawie pusta. Zaledwie kilku tranzytowych pasażerów, obkupionych albo splukanych tak jak my. Usiedliśmy daleko od nich i wbiliśmy wzrok w przestrzeń.

- Powrót nie jest miły - rzekła Summer. - Na wyjeździe można zapomnieć o tym, w jakim człowiek utkwiał gównie.

- Musimy tylko rozwiązać tę sprawę.

- Nie rozwiążemy jej. Minęło już dziesięć dni i nadal jesteśmy w lesie.

Pokiwałem głową. Dziesięć dni od śmierci pani Kramer, sześć dni od śmierci Carbone'a. Pięć dni, odkąd chłopcy z Deltę dali mi tydzień na oczyszczenie swojego imienia.

- Nic nie mamy - powiedziała Summer. - Nawet tego, co powinno dać się łatwo ustalić. Nie odnaleźliśmy nawet tej kobiety z motelu Kramera. To nie powinno być trudne.

Pokiwałem głową. Miała rację. To nie powinno być trudne.

Poczekalnia wypełniła się pasażerami i weszliśmy na pokład czterdzieści minut przed startem. Summer i ja mieliśmy miejsca za parą starszych ludzi siedzących w pierwszym rzędzie. Żałowałem, że nie możemy się z nimi zamienić. Przydałoby mi się trochę więcej miejsca. Wystartowaliśmy punktualnie i w ciągu pierwszej godziny było mi coraz ciasniej i niewygodniej. Stewardesa podała posiłek, którego nie mogłem zjeść, nawet gdybym chciał, bo nie miałem dość miejsca, żeby poruszać łokciami i manewrować sztućcami.

Jedna myśl prowadziła do następnej.

Pomyślałem o Joem lecącym do Francji poprzedniej nocy. Kupił na pewno bilet w klasie turystycznej. To nie ulegało wątpliwości. Urzędnik państwowy udający się w prywatną podróż nie leci inaczej. Było mu ciasno i niewygodnie przez całą długą noc, trochę bardziej niż mnie, ponieważ był o cal wyższy. W związku z tym znowu poczułem wyrzuty sumienia, że kazałem mu

jechać do miasta autobusem. Przypomniałem sobie twarde plastikowe siedzenia i to, jak kołysała mu się głowa podczas jazdy. Powinienem szarpnąć się na taksówkę z miasta i kazać kierowcy poczekać przy krawężniku. Powinienem zdobyć w jakiś sposób trochę gotówki.

Jedna myśl prowadziła do następnej.

Wyobraziłem sobie Kramera, Vassella i Coomera lecących z Frankfurtu w sylwestra. Liniami American Airlines. Odrzutowcem Boeinga. Nie ma tam więcej miejsca niż w innych odrzutowcach. Wyobraziłem sobie wczesny wyjazd z bazy dwunastego korpusu. Długi lot do Waszyngtonu. Wyobraziłem sobie, jak wychodzą z samolotu, zeszywniali, odwodnieni i zdrewniali.

Jedna myśl prowadziła do następnej.

Wyjąłem z kieszeni kopertę z rachunkiem z hotelu George V. Otworzyłem ją i przeczytałem rachunek. Po chwili zrobiłem to ponownie. Sprawdziłem każdą linijkę i każdą pozycję.

Rachunek za hotel, samolot, autobus do miasta.

Autobus do miasta, samolot, rachunek za hotel.

Zamknąłem oczy.

Pomyślałem o tym, co mówili mi Sanchez, adiutant Delta Force, detektyw Clark, Andrea Norton i sama Summer. Pomyślałem o tłumie oczekujących i witających się w hali przylotów lotniska Roissy-Charles de Gaulle. Pomyślałem o Sperryville w Wirginii. Pomyślałem o domu pani Kramer w Green Valley.

Na koniec kostki domina ułożyły się w sposób, który nikogo nie stawiał w korzystnym świetle. A już w najmniejszym stopniu mnie, ponieważ popełniłem wiele błędów, w tym jeden bardzo poważny, którego konsekwencje, bez wątpienia, będę długo odczuwał.

Zastanawiałem się nad moimi starymi błędami tak intensywnie, że nie zdołałem uniknąć następnego. Analizowałem przez cały czas przeszłość i ani chwili nie poświęciłem przyszłości. Nie pomyślałem o środkach zaradczych. O tym, co czeka nas na lotnisku Dullesa. Wylądowaliśmy o drugiej w nocy, przeszliśmy przez odprawę celną i wpadliśmy prosto w pułapkę zastawioną przez Willarda.

W tym samym miejscu co przed sześciu dniami stali trzej chorążowie z biura szefa żandarmerii. Dwóch chorążych sztabowych i jeden starszy chorąży sztabowy. Zobaczyłem ich. Oni zobaczyli nas. Przez sekundę zastanawiałem się, jak, u diabła, udało się tego dokonać Willardowi. Czy wysłał ludzi, którzy czekali na nas dzień i noc na każdym lotnisku w kraju? Czy skontrolował wszystkie vouchery podróżne wydane na Europę? Czy mógł to sam zorganizować? Czy zaangażował w to FBI? Departament Obrony? Departament Stanu? Interpol? NATO? Nie miałem pojęcia. Zakarbo wałem sobie w pamięci, że któregoś dnia powinienem się dowiedzieć.

Przez następną sekundę zastanawiałem się, jaką podjąć decyzję w zaistniałej sytuacji.

Dalsza zwłoka nie wchodziła w grę. Nie teraz. Nie w rękach Willarda. Przez następne dwadzieścia cztery albo czterdzieści osiem godzin potrzebowałem swobody ruchu, swobody działania. Później mogłem złożyć wizytę Willardowi. I wiedziałem, że z radością to zrobię. Ponieważ będę mógł mu wtedy spuścić manto i go aresztować.

Starszy chorąży podszedł do nas. Jego podwładni zabezpieczali tyły.

- Mam rozkaz założyć wam obojgu kajdanki - powiedział.

- Niech pan zignoruje rozkaz - odparłem.

- Nie mogę.

- Niech pan się postara.

- Nie mogę - powtórzył. Pokiwałem głową.

- Dobrze, zawrzemy umowę - powiedziałem. - Jeśli spróbujesz numeru z kajdankami, połamię ci ręce. Jeśli zaprowadzisz nas bez nich do samochodu, pójdziemy grzecznie.

Widać było, że się zastanawia. Był uzbrojony, podobnie jak jego podwładni. My nie mieliśmy broni. Ale nikt nie chce strzelać do ludzi pośrodku lotniska. Do nieuzbrojonych ludzi z własnej jednostki. Miałyby po czymś takim wyrzuty sumienia. I czekałoby go dużo papierkowej roboty. Nie

chciał również walki na pięści. Nie kiedy ich było trzech, a nas dwoje. Ja byłem za duży, a Summer za mała, żeby to było uczciwe.

- Umowa stoi? - zapytał.

- Tak jest - skłamałem.

- Więc chodźmy.

Ostatnim razem szedł przede mną, a jego dwaj chorążowie eskortowali mnie po bokach. Miałem szczerą nadzieję, że zachowają się podobnie. Domyślałem się, że dwaj chorążowie uważają się za naprawdę twardych sukinsynów i być może nawet mają rację, ale wiedziałem, że najwięcej kłopotów będę miał ze starszym chorążym. Wyglądał na faceta, który wie, co robi. Nie miał jednak oczu z tyłu głowy. Dlatego miałem nadzieję, że pójdzie przodem.

Zrobił to. Summer i ja ruszyliśmy obok siebie, trzymając w rękach torby, a dwaj chorążowie ustawili się po bokach, lekko z tyłu, formując coś w rodzaju strzały. Starszy chorąży prowadził. Wyszliśmy na dwór. Skręciliśmy w stronę zastrzeżonego pasa, gdzie poprzednio zaparkowali. Minęła druga w nocy i drogi przy terminalu były kompletnie puste. Z latarni padało na jezdnię żółte światło. Niedawno spadł deszcz. Ziemia była mokra.

Przecieliśmy pas przeznaczony dla prywatnych samochodów oraz chodnik z przystankami autobusowymi i ruszyliśmy dalej w mrok. Po lewej stronie widziałem zarys piętrowego parkingu, a daleko po prawej zielonego chwoleca caprice. Skręciliśmy w jego stronę. Zeszliśmy na jezdnię. O każdej innej porze dnia nie pozwoliłyby na to samochody. Ale w tym momencie wszędzie panowały spokój i cisza. Minęła druga w nocy.

Rzuciłem na ziemię moją torbę i odsunąłem Summer, żeby mi nie przeszkadzała. Stałem jak wryty w miejscu, odgiąłem gwałtownie prawy łokieć do tyłu i trafiłem nim mocno w twarz

prawego chorążego. Nie zmieniając pozycji stóp, zamachnąłem się w drugą stronę, zupełnie jakbym wykonywał szybkie ćwiczenie typu calisthenics i trafiłem lewym łokciem lewego chorążego. Dopiero wówczas dałem krok do przodu i ruszyłem na spotkanie starszego chorążego, który usłyszał hałas i odwrócił się w moją stronę. Trafiłem go lewym prostym w pierś. Obaj byliśmy w ruchu i cios zrobił na nim duże wrażenie. Poprawiłem prawym sierpowym w podbródek, nokautując go, i odwróciłem się do pozostałych dwóch, żeby sprawdzić, co robią. Leżeli obaj na plecach i mieli zakrwawione twarze. Złamane nosy, obłuzowane zęby. Potężny szok i zaskoczenie. Wszystko to gruntownie ich zamroczyło. Byłem zadowolony. Byli dobrzy, ale ja byłem lepszy. Sprawdziłem starszego chorążego. Raczej nie reagował. Przykucnąłem przy chorążych i wyjąłem im z kabur beretty, a potem zabrałem ją starszemu chorążemu i założyłem sobie wszystkie trzy pistolety na palec wskazujący. Drugą ręką poszukałem kluczyków do samochodu. Miał je w kieszeni chorąży po prawej stronie. Wyjąłem je i rzuciłem Summer. Podniosła się już z ziemi. Wyglądała na lekko zaniepokojoną.

Dałem jej trzy beretty, złapałem za kołnierz starszego chorążego i zaciągnąłem go do najbliższej wiaty przystankowej. Następnie wróciłem po jego podwładnych i zawlokłem ich w to samo miejsce. Ułożyłem wszystkich twarzami do ziemi. Byli przytomni, ale zamroczeni. Silne ciosy w głowę mają w rzeczywistości poważniejsze następstwa, niż to pokazują w filmach. Ja też z trudem oddychałem. Prawie dyszałem. Czułem przyływ adrenaliny. Jakiś rodzaj opóźnionej reakcji. Walka tak działa na obie strony.

Przykucnąłem przy starszym chorążym.

- Przepraszam, szefie - powiedziałem - ale weszliście mi w drogę.

Nie odpowiedział. Po prostu się we mnie wpatrywał. Na jego twarzy widać było gniew, szok, zranioną dumę, dezorientację.

- Teraz posłuchaj - dodałem. - Posłuchaj mnie uważnie. W ogóle nas nie widzieliście. Nie było nas tutaj. W ogóle nie przylecieliśmy. Czekaliście kilka godzin, ale się nie pojawiliśmy. Kiedy wróciliście na parking, okazało się, że jakiś złodziej rąbnął wam w nocy samochód. Tak to wyglądało. Jasne?

Facet próbował coś powiedzieć, ale miał trudności z formułowaniem myśli.

- Tak, wiem. Historyjka nie jest zbyt przekonująca i wyjdziecie na idiotów. Ale jak będzie wyglądało, kiedy przyznacie się, że pozwoliliście nam uciec? Że nie skuliście nas kajdankami, tak jak mieliście przykazane?

Nie odezwał się.

- Taka jest wasza wersja - powiedziałem. - Nie pojawiliśmy się i ukradziono wam samochód. Trzymajcie się jej albo opowiem, że dała wam radę sama pani porucznik. Dziewczyna, która waży dziewięćdziesiąt funtów. Ona jedna na was trzech. Ludziom się to spodoba. Oszaleją, kiedy to usłyszą. I wiesz, jak taka historia może się przyczepić do człowieka.

Nie odezwał się.

- Wasz wybór - oświadczyłem.

Facet wzruszył ramionami. Nie odezwał się.

- Przepraszam - powtórzyłem. - Szczerze. Zostawiłem ich tam, złapałem nasze torby i pobiegłem do ich

samochodu. Summer otworzyła go i wsiedliśmy do środka. Odpaliła silnik i ruszyliśmy z miejsca.

- Jedź powoli - powiedziałem.

Poczekaliśmy, aż znajdziemy się na wysokości przystanku, otworzyłem szybę i cisnąłem beretty na chodnik. Ich historyjka nie byłaby nic warta, gdyby oprócz samochodu stracili broń. Trzy pistolety wylądowały koło trzech facetów i wszyscy po-czołgali się na czworakach w ich stronę.

- Teraz szybko! - zawołałem.

Summer wcisnęła gaz do dechy, zapiszczały opony i sekundę później znaleźliśmy się poza zasięgiem strzału. Nie zwolniła ani trochę i wyjechaliśmy z lotniska, pędząc mniej więcej dziewięćdziesiąt mil na godzinę.

- Nic ci się nie stało? - zapytałem.

- Na razie.

- Przepraszam, że cię popchnąłem.

- Powinniśmy po prostu uciec - powiedziała. - Mogliśmy ich zgubić na lotnisku.

- Potrzebowaliśmy samochodu - wyjaśniłem. - Mam dosyć jeżdżenia autobusem.

- Ale teraz przekroczyliśmy wszelkie granice.

- Z całą pewnością - odparłem.

Zerknąłem na zegarek. Zbliżała się trzecia w nocy. Jechaliśmy na południe, zmierzając szybko donikąd. W ciemności. Potrzebowaliśmy jakiegoś celu.

- Znasz mój numer w Fort Bird? - zapytałem.

- Jasne - odparła Summer.

- Okay, zatrzymaj się w następnym miejscu, gdzie będzie telefon.

Jakieś pięć mil dalej zauważyła czynną dwadzieścia cztery godziny na dobę stację benzynową, oświetloną tak rzeświście, że unosiła się nad nią luna. Sprawdziliśmy ją. Za dystrybutorami znajdował się mały sklepik spożywczy, ale był zamknięty. W nocy trzeba było płacić za benzynę w kuloodpornym okienku. Przy kompresorze wisiał płatny telefon w przymocowanym do ściany aluminiowym pudle. Po bokach ktoś wywiercił w nim dziurki w kształcie telefonów. Summer wykręciła numer Fort Bird i oddała mi słuchawkę. Usłyszałem jeden sygnał, a potem odebrała moja sierżant. Kobieta z nocnej zmiany. Ta z małym synkiem.

- Mówi Reacher - powiedziałem.

- Tkwi pan po uszy w gównie - oświadczyła.

- I to jest ta dobra wiadomość.

- Jaka jest ta zła?

- Znajdziesz się tam razem ze mną. Kto siedzi teraz z twoim dzieckiem?

- Dziewczyna z sąsiedztwa. Z sąsiedniej przyczepy.

- Może zostać godzinę dłużej?

- Dlaczego?

- Chcę, żebyś się ze mną spotkała. Przywiozła mi pewne rzeczy.

- To będzie pana kosztowało.
  - Ile?
  - Dwa dolary za godzinę. Tyle bierze opiekunka.
  - Nie mam dwóch dolarów. To jest to, co chciałem, żebyś przywiozła. Pieniądze.
  - Chce pan, żebym dała panu pieniądze?
  - Pożyczyła - uściśliłem. - Na kilka dni.
  - Ile?
  - Tyle, ile masz.
  - Gdzie i kiedy?
  - Kiedy skończysz zmianę. W knajpie przy klubie ze strip-tizem.
  - Co pan chce, żebym przyniosła?
  - Billingi telefoniczne - odpowiedziałem. - Wszystkie połączenia wychodzące z Fort Bird od północy w sylwestra aż do jakiegoś trzeciego stycznia. I wojskową książkę telefoniczną. Muszę porozmawiać z Sanchezem, Franzem i różnymi innymi ludźmi. I chcę mieć dane osobowe majora Marshalla. Tego faceta z dwunastego korpusu. Niech ci przefaksują skądś kopię.
  - Co jeszcze?
  - Chcę wiedzieć, gdzie Vassell i Coomer zaparkowali swój samochód, kiedy przyjechali tutaj na kolację czwartego stycznia. Sprawdź, czy ktoś to zauważył.
  - Dobrze - mruknęła. - To wszystko?
  - Nie. Chcę wiedzieć, gdzie major Marshall był drugiego i trzeciego stycznia. Skontaktuj się z facetem od voucherów i sprawdź, czy Marshall jakieś pobrał. I chcę numer telefonu do hotelu Jefferson w Waszyngtonie.
  - To cholernie dużo rzeczy do zrobienia w trzy godziny.
  - Dlatego proszę ciebie, a nie tego faceta z dziennej zmiany. Jesteś od niego lepsza.
  - Niech pan da spokój - powiedziała. - Pochlebstwem nic pan ze mną nie zdziała.
  - Mam nadzieję, że nie masz racji - odparłem.
- Wsiedliśmy z powrotem do samochodu i pojechaliśmy dalej. Kierowaliśmy się na wschód w stronę międzystanowej I-95. Kazałem Summer zwolnić. Znając jej styl jazdy, obawiałem się, że jeśli nie zdejmie nogi z gazu, dotrzemy do knajpy na długo przed moją sierżant, a tego nie chciałem. Moja sierżant powinna się tam pojawić około wpół do siódmej. Chciałem tam dojechać trochę później, może o szóstej czterdzieści. Zamierzałem sprawdzić, czy nie spełniła obywatelskiego obowiązku, nie doniosła na mnie i nie zastawiła pułapki. Było to mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Należało podjechać i sprawdzić. Nie chciałem siedzieć przy stoliku i popijać kawy, kiedy pojawi się Willard.
- Po co ci te wszystkie rzeczy? - zapytała Summer.
  - Wiem, co przydarzyło się pani Kramer - odparłem.
  - Skąd?
  - Rozgryzłem to. Powinienem to zrobić już na samym początku. Ale nie przemyślałem tego. Nie miałem dość wyobraźni.
  - Nie wystarczy wyobrazić sobie, co mogło się stać.
  - Wystarczy - powiedziałem. - Czasami tylko o to chodzi. Czasami to jedyna rzecz, która pozostaje śledczemu. Trzeba sobie wyobrazić, co ludzie musieli zrobić. Sposób, w jaki musieli myśleć i postępować. Trzeba postawić się na ich miejscu.
  - Na którym miejscu?
  - Vassella i Coomera. Wiemy, kim są. Wiemy, co to za ludzie. Z tego względu możemy domyślić się, co zrobili.
  - A co zrobili?
  - Wstali wcześniej i przez cały dzień lecieli z Frankfurtu. W sylwestra. Byli w mundurach wyjściowych, żeby dostać lepsze miejsca. Może im się udało, jeśli lecieli z Niemiec liniami American Airlines. Może nie. Tak czy inaczej nie mieli pewności,



że tak się stanie. Musieli być przygotowani na to, że spędzą osiem godzin w klasie turystycznej.

- I co z tego?

- Czy faceci pokroju Vassella i Coomera czekali w kolejce do taksówki na lotnisku Dullesa? Albo pojechali do miasta autobusem? Wymęczeni i zdrętwiali po locie?

- Nie - odparła Summer. - Nie zrobiliby ani jednego, ani drugiego.

- Właśnie. Nie zrobiliby ani jednego, ani drugiego. Są na to o wiele za ważni. Nie przyszłoby im to nawet do głowy. Nigdy w życiu. Na facetów takich jak oni musi czekać kierowca z samochodem.

- Kto?

- Marshall - odparłem. - Oto kto. Ich błękitnooki chłopak na posyłki. Już tam był, do ich usług. Musiał odebrać ich z lotniska. Być może także Kramera. Czy Kramer dojechał autobusem na parking Hertza? Wątpię. Moim zdaniem zawiózł go tam Marshall. A potem zawiózł Vassella i Coomera do hotelu Jefferson.

- I co?

- I został tam z nimi, Summer. Podejrzewam, że miał tam zarezerwowany pokój. Może chcieli, żeby był na miejscu i zawiózł ich nazajutrz rano na lotnisko krajowe. W końcu on też z nimi jechał. Do Fort Irwin. A może chcieli po prostu z nim pilnie porozmawiać. Tylko w trójkę: Vassell, Coomer i Marshall. Niewykluczone, że łatwiej im było rozmawiać bez Kramera. A Marshall miał im wiele do powiedzenia. Oddelegowali go do Pentagonu w listopadzie. Sama mi o tym powiedziałaś. W listopadzie zaczął się chwiać mur i pojawiły się pierwsze sygnały alarmowe. Więc wysłali go w listopadzie do Pentagonu, żeby się wywiedział, co w trawie piszczy. Taką mam hipotezę. Ale tak czy inaczej Marshall został z Vassellem i Coomerem w hotelu Jefferson. Jestem tego pewien.

- Dobrze, i co dalej?

- Marshall był w hotelu, jego samochód stał na parkingu.

I wiesz co? Sprawdziłem nasz rachunek z Paryża. Złupili nas za wszystko. Zwłaszcza za rozmowy telefoniczne. Ale nie za każdą. Rozmowy z pokoju do pokoju w ogóle nie były uwzględnione. Zadzwońska do mnie o szóstej w sprawie kolacji. A potem ja zadzwoniłem do ciebie o północy, bo czułem się samotny. Tych telefonów nie ma nigdzie na rachunku. Wciśnij trójkę, żeby połączyć się z innym pokojem, i dzwonisz za darmo. Wciśnij dziewiątkę i włącza się komputer. Na rachunku Vassella i Coomera nie było żadnych połączeń wychodzących i dlatego doszliśmy do wniosku, że nigdzie nie dzwonili. Ale oni dzwonili. To oczywiste. Dzwonili z pokoju do pokoju. Vassell dostał wiadomość z dwunastego korpusu w Niemczech i zadzwonił do Coomera, żeby przedyskutować, co mają robić w tej sytuacji. A potem jeden albo drugi podniósł słuchawkę i zadzwonił do pokoju Marshalla. Zadzwońska do swojego chłopca na posyłki i kazali mu zbiec na dół i wskoczyć do samochodu.

- To zrobił Marshall? Pokiwałem głową.

- Wysłali go nocą, żeby posprzątał po nich bałagan.

- Możemy to udowodnić?

- Możemy od czegoś zacząć - odparłem. - Założę się, że potwierdzą się trzy rzeczy. Po pierwsze, zadzwonimy do hotelu Jefferson i dowiemy się, że Marshall miał zarezerwowany pokój w sylwestra. Po drugie, z akt osobowych Marshalla będzie wynikać, że mieszkał kiedyś w Sperryville w Wirginii. I po trzecie, okaże się, że jest wysoki, ciężki i praworęczny.

Summer milczała. Zaczęły jej się poruszać powieki.

- Czy to wystarczy? - zapytała. - Czy rozwiązanie zabójstwa pani Kramer wystarczy, żebyśmy wyszli z tego cało?

- Wyjdą na jaw kolejne rzeczy - odparłem.

Obserwując jadącą powoli Summer, miałem wrażenie, że znalazłem się w równoległym wszechświecie. Krajobraz za oknami przesuwał się z dwa razy mniejszą niż zwykle prędkością.

Potężny silnik chevroleta pracował niemal na jałowym biegu. Prawie nie słychać było opon. Mijaliśmy znajome miejsca. Posterunek policji stanowej, pobocze, gdzie odnaleziono teczkę

Kramera, i miejsce obsługi podróżnych. W końcu zjechaliśmy z autostrady za wielopoziomowym skrzyżowaniem i omiotłem spojrzeniem stację benzynową, knajpę, parking przed klubem i motel. Mrok i mgłę rozświetlało żółte światło latarni i wszystko było dość dobrze widoczne. Nie widziałem śladu zasadzki. Summer skręciła na parking i powoli go objechała. Stały na nim trzy osiemnastokołowce przypominające leżące na brzegu wieloryby, a także kilka aut osobowych, które sprawiały wrażenie porzuconych. Miały wyblakły lakier, miękkie opony i klapnięte resory. Był tam również stary pick-up Forda z przymocowanym do kanapy dziecięcym fotelikiem. Domyśliłem się, że należy do mojej sierżant. Poza tym nic. O szóstej czterdzieści rano świat był mroczny, nieruchomy i cichy.

Zostawiliśmy samochód za budynkiem klubu i ruszyliśmy przez parking do restauracji. Miała zaparowane szyby. W środku paliło się silne jasne światło. Przypominała jeden z obrazów Hoppera. Moja sierżant siedziała sama w boksie. Kiedy weszliśmy do środka i zajęliśmy miejsce koło niej, podniosła z podłogi torbę na zakupy. Pełno w niej było różnych rzeczy.

- Najpierw to, co najważniejsze - powiedziała. Wsadziła rękę do torby, wyjęła z niej nabój i postawiła go na

sztorc na stoliku przede mną. Parabellum kalibru dziewięć milimetrów. Standardowy nabój NATO. Pełnopłaszczowy. Do broni krótkiej lub pistoletu maszynowego. Na lśniącej mosiężnej łusce były jakieś zadrapania. Wziąłem nabój do ręki. Przyjrzałem mu się uważnie. Wryto na nim kilka liter. Topornych i nierównych. Ktoś zrobił to szybko i od ręki. Napisał na łusce Reacher.

- Nabój z moim nazwiskiem - powiedziałem.

- Od Delty - oznajmiła moja sierżant. - Przesyłka dostarczona osobiście, wczoraj.

- Przez kogo?

- Tego młodego z brodą.

- Urocze - mruknąłem. - Przypomnij mi, żebym skopał mu tyłek.

- Niech pan sobie z tego nie żartuje. Są cholernie wkurzeni.

- Uwzięli się na niewłaściwego faceta.

- Potrafi pan to udowodnić?

Nie odpowiedziałem. Wiedzieć i potrafić to udowodnić to dwie różne sprawy. Schowałem nabój do kieszeni i położyłem ręce na stole.

- Może i potrafię - mruknąłem.

- Wiesz także, kto zabił Carbone'a? - zapytała Summer.

- Nie wszystko naraz - odparłem.

- Oto pańskie pieniądze - oznajmiła sierżant. - To wszystko, co udało mi się zdobyć.

Sięgnęła ponownie do swojej torby i położyła na stole czterdzieści siedem dolarów.

- Dzięki - powiedziałem. - Powiedzmy, że jestem ci winien pięćdziesiąt. Trzy dolce odsetek.

- Pięćdziesiąt dwa - poprawiła mnie. - Niech pan nie zapomina o opiekunce do dziecka.

- Co masz jeszcze?

Sierżant wyjęła harmonię drukowanego papieru z jasnoniebieskimi paskami i dziurkami po bokach. Były na nim całe rzędy liczb.

- Billingi telefoniczne - oznajmiła, po czym dała mi karteczkę z zapisanym na niej numerem zaczynającym się od 202 oraz zwój papieru faksowego. - Numer hotelu Jefferson i dane osobowe majora Marshalla - powiedziała.

Następnie dała mi wojskową książkę telefoniczną - zieloną, grubą, zawierającą numery telefonów do wszystkich naszych baz i posterunków na całym świecie. Następnie kolejny zwój faksów. Był to raport detektywa Clarka z ulicznego wywiadu przeprowadzonego w sylwestra w Green Valley.

- Franz z Kalifornii powiedział mi, że pan tego chciał - powiedziała.

- Wspaniale. Dziękuję za wszystko.

Sierżant pokiwała głową.

- Lepiej, by pan naprawdę wierzył, że jestem lepsza od faceta z dziennej zmiany. I żeby ktoś im o tym powiedział, zanim zaczną się redukcje.

- Ja im powiem - zapewniłem ją.
  - Pan niech tego lepiej nie robi. Rekomendacja od pana nic mi nie pomoże. Będzie pan albo martwy, albo za kratkami.
  - Przecież przywiozłaś mi te wszystkie rzeczy - powiedziałem. - Jeszcze mnie nie skreśliłaś.
- Nie odezwała się.
- Gdzie Vassell i Coomer zaparkowali swój samochód? - zapytałem.
  - Czwartego stycznia? - odparła. - Nikt nie wie tego na pewno. Pierwszy nocny patrol widział służbowy samochód stojący samotnie na końcu parkingu. Ale to nie jest pewna informacja. Nie spisali numeru, więc auto nie zostało zidentyfikowane. A drugi nocny patrol w ogóle nic nie pamięta. Dlatego jeden raport przeczy drugiemu.
  - Co dokładnie widział facet z pierwszego patrolu?
  - Nazwał to samochodem służbowym.
  - Czy to był czarny grand marquis?
  - To było coś czarnego - odparła. - Tyle że wszystkie samochody służbowe są czarne albo zielone.
- Nie ma nic niezwykłego w czarnym samochodzie.
- Ale stał na uboczu. Sierżant pokiwała głową.
  - Samotnie, na samym końcu parkingu. Jednak drugi facet tego nie potwierdził.
  - Gdzie był major Marshall drugiego i trzeciego stycznia?
  - To było łatwiejsze - odparła. - Dwa vouchery podróżne. Do Frankfurtu drugiego i z powrotem trzeciego.
  - Przenocował w Niemczech. Sierżant ponownie pokiwała głową.
  - Zgadza się.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Kelner podszedł do nas z bloczkiem i ołówkiem. Spojrzałem na menu i na leżące na stole czterdzieści siedem dolarów i zamówiłem jajka i kawę za dwa dolce. Summer zrozumiała, co jest grane, i zamówiła sok i herbatniki. Taniej się nie dało, jeżeli nie chcieliśmy paść z nóg.

- To wszystko? - zapytała moja sierżant. Pokiwałem głową.
- Dziękuję. Jestem ci naprawdę wdzięczny. Summer wstała, żeby ją wypuścić.
- Ucałuj ode mnie swojego synka - powiedziałem. Moja sierżant stała przez chwilę bez ruchu, koścista i żyłasta.

Twarda jak dziób dzięcioła. Nie spuszczała ze mnie oczu.

- Właśnie umarła moja mama - dodałem. - Ktoregoś dnia twój syn zapamięta ranki takie jak ten.
- Skinęła głową i podeszła do drzwi. Po minucie zobaczyliśmy, jak odjeżdża pick-upem - drobna, samotna postać za kierownicą. Przejechała za oknem i zniknęła w porannej mgle. Został po niej obłoczek spalin, który wkrótce rozpląnął się w powietrzu.

Ułożyłem papiery w logicznym porządku i zacząłem od danych osobowych Marshalla. Jakość faksu nie była najlepsza, ale dało się go przeczytać. Była tam jak zwykle masa informacji. Na pierwszej stronie przeczytałem, że Marshall urodził się we wrześniu 1958 roku. Wynikało z tego, że ma trzydzieści jeden lat. Nie miał żony ani dzieci. I żadnych ekszów. Zgadywałem, że jego oblubienicą była armia. Miał sześć stóp i cztery cale wzrostu, ważył dwieście dwadzieścia funtów. Wojsko musi to wiedzieć, żeby kwatermistrz mógł obliczyć swoje centyle. Był praworęczny. Wojsko musi to wiedzieć, ponieważ samopowtarzalne karabiny snajperskie produkowane są dla osób praworęcznych. Leworęczni nie zostają na ogół snajperami. Szufladkowanie zaczyna się w armii od pierwszego dnia.

Obróciłem stronę.

Marshall urodził się w Sperryville, w Wirginii i chodził tam do przedszkola, podstawówki i szkoły średniej.

Uśmiechnąłem się. Summer posłała mi pytające spojrzenie. Przesunąłem do niej faks i pokazałem palcem istotne wiadomości. A potem podałem jej kartkę z numerem hotelu Jef-ferson.

- Znajdź jakiś telefon - powiedziałem.

Znalazła jeden zaraz za drzwiami, na ścianie przy kasie. Zobaczyłem, że wrzuca do otworu dwie ćwierćdolarówki, wybiera numer, mówi coś i czeka. Zobaczyłem, że podaje swoje nazwisko, stopień i jednostkę, a później słucha. Zobaczyłem, że znowu coś mówi. I znowu czeka. I znowu słucha. Wrzuciła do otworu kolejne ćwierćdolarówki. To była długa rozmowa. Domyśliłem się, że przełączają ją z miejsca na miejsce. A potem zobaczyłem, że mówi dziękuję. i odwiesza słuchawkę. Zobaczyłem, że wraca do mnie, z ponurą i zarazem zadowoloną miną.

- Miał tam pokój - oznajmiła. - Sam go zarezerwował dzień wcześniej. Razem trzy pokoje, dla niego, dla Vassella i dla Coomera. I uiszczył opłatę za parking.

- Rozmawiałaś z parkingowym? Summer pokiwała głową.

- To był czarny mercury. Wjechał zaraz po lunchu, wyjechał za dwadzieścia pierwsza w nocy, wrócił dwadzieścia po trzeciej i wyjechał ostatecznie po śniadaniu pierwszego stycznia.

Przekartkowałem papiery i znalazłem faks od detektywa Clarka z Green Valley. Raport z rozmów z sąsiadami. Mówili o dość znacznym ruchu pojazdów. Był sylwester i wiele osób wybierało się na przyjęcia i wracało z nich. Tuż przed drugą w nocy ktoś dostrzegł przed domem pani Kramer taksówkę.

- Samochód służbowy można pomylić z taksówką - powiedziałem. - Rozumiesz, zwyczajny czarny sedan, czysty, ale sfatygowany, duży przebieg, z wyglądu podobny do forda crown victorii.

- Całkiem możliwe - rzekła Summer.

- Bardzo prawdopodobne - oświadczyłem.

Zapłaciliśmy rachunek, zostawiliśmy dolara napiwku i przeliczyliśmy, ile zostało z sumy, którą pożyczyła mi sierżant. Uznałiśmy, że będziemy musieli tanio jadać, ponieważ potrzebowaliśmy pieniędzy na benzynę i na telefon. Oraz na inne wydatki.

- Dokąd teraz? - zapytała Summer.

- Na drugą stronę ulicy - odparłem. - Do motelu. Za-szyjemy się na cały dzień. Trochę popracujemy, a potem się prześpiemy.

Zostawiliśmy chevroleta schowanego za barem i przeszliśmy przez ulicę. Obudziliśmy chudego recepcjonistę i poprosiliśmy go o pokój.

- Jeden? - zapytał.

Pokiwałem głową. Summer się nie sprzeciwiała. Wiedziała, że nie stać nas na dwa. I wspólny pokój nie był dla nas czymś nowym. W Paryżu świetnie się dogadaliśmy w sprawie noclegu.

- Piętnaście dolców - powiedział chudzielec. Wręczyłem mu pieniądze, a on uśmiechnął się i dał mi klucz

do pokoju, w którym umarł Kramer. Domyśliłem się, że to z jego strony rodzaj żartu. Nic nie powiedziałem. Nie miałem nic przeciwko. Uznałem, że pokój, w którym ktoś umarł, jest lepszy od tych wynajmowanych na godziny.

Ruszyliśmy razem alejką, otworzyliśmy drzwi i weszliśmy do środka. Pokój był nadal zimny, wilgotny i nędzny. Zwłoki zostały zabrane, ale poza tym wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem.

- To nie jest George Piąty - oceniła Summer.

- Z całą pewnością - mruknąłem.

Postawiliśmy torby na podłodze i położyłem papiery od mojej sierżant na łóżku. Kołdra była lekko wilgotna. Pomajstrowałem

przy grzejniku przy oknie, z którego zaczęło płynąć ciepłe powietrze.

- Co teraz? - zapytała Summer.

- Billingi telefoniczne - odparłem. - Szukam numeru z kodem kierunkowym dziewięćset dziewięć.

- To będzie rozmowa lokalna. Fort Bird też ma kierunkowy dziewięćset dziewięć.

- Wspaniale - mruknąłem. - Będziemy mieli miliony rozmów lokalnych.

Rozłożyłem wydruki na łóżku i zacząłem szukać. Nie było milionów rozmów lokalnych, ale naliczyłem ich kilka setek. Zacząłem od północy w sylwestra. Ignorowałem numery, pod które

dzwoniono z więcej niż jednego telefonu. Uznałem, że należą do klubów, barów i firm taksówkarskich. Ignorowałem numery, które miały ten sam numer centrali co Fort Bird. Należały do żołnierzy, którzy mieszkali poza bazą, pełnili akurat służbę i dzwonili do swoich współmałżonków i dzieci, żeby życzyć im szczęśliwego Nowego Roku. Koncentrowałem się na numerach, które się wyróżniały. Na numerach w innych miastach w Karolinie Północnej. Konkretnie rzecz biorąc, szukałem numeru w innym mieście, pod który zadzwoniono tylko raz trzydzieści albo czterdzieści minut po północy. To był mój cel. Przeglądałem wydruki cierpliwie, linijka po linijce, szukając go. Nie spieszyło mi się. Miałem cały dzień.

Znalazłem go na trzeciej stronie. Figurował pod godziną dwunastą trzydzieści dwie. Trzydzieści dwie minuty po tym, jak rok 1989 skończył się i zaczął się rok 1990. Mniej więcej o tej godzinie się go spodziewałem. Połączenie trwało prawie piętnaście minut. Tego też się spodziewałem. Ten numer wydawał się obiecujący. Przejrzałem dalsze. Sprawdziłem następne dwadzieścia, trzydzieści minut. Żadne inne połączenie nawet w przybliżeniu nie pasowało tak dobrze do mojej koncepcji. Cofnąłem się i przystawiłem palec do numeru, który podobał mi się najbardziej. To był mój najlepszy typ. Moja ostatnia nadzieja.

- Masz długopis? - zapytałem.

Summer dała mi jeden z tych, które trzymała w kieszeni.

- Masz ćwierćdolarówki? - zapytałem. Pokazała mi pięćdziesiąt centów. Zapisałem wybrany przeze mnie numer telefonu na karteluszku, na którym był już numer hotelu Jefferson, i podałem jej. - Zadzwoń tam - powiedziałem. - Dowiedz się, kto odbierze. Musisz przejść z powrotem do restauracji. Telefon w motelu jest zepsuty.

Nie było jej mniej więcej osiem minut. Umyłem w tym czasie zęby. Mam pewną teorię: jeśli nie masz czasu się wyspać, weź zamiast tego prysznic. Jeśli nie masz czasu wziąć prysznic, umyj zęby.

Zostawiłem szczoteczkę do zębów w szklance w łazience i wpuściłem do pokoju Summer. Wraz z nią wpadło do środka zimne, wilgotne powietrze.

- To był ośrodek golfowy w Raleigh - oświadczyła.

- To mi wystarcza - odparłem.

- Brubaker - dodała. - Tam właśnie był Brubaker. Na urlopie.

- Pewnie tańczył - powiedziałem. - Nie sądzisz? O wpół do pierwszej w sylwestra? Recepcjonista musiał go prawdopodobnie ściągać z sali balowej. Dlatego połączenie trwało piętnaście minut. Jego rozmówca w większości czekał.

- Kto zadzwonił do Brubakera?

Na wydruku billingów były kody wskazujące, skąd dzwoniono. Składały się z cyfr i liter i nic dla mnie nie znaczyły. Ale moja sierżant dostarczyła mi klucz. Na kartce za ostatnią harmonią wydruków była lista kodów wraz z objaśnieniami, jakie oznaczają miejsca. Miała rację. Była lepsza od faceta z dziennej zmiany. Ale miała stopień sierżanta, a on zaledwie kaprała, a to właśnie dzięki sierżantom warto służyć w amerykańskiej armii.

Znalazłem objaśnienie kodu na liście.

- Ktoś z automatu telefonicznego w koszarach Delta Force - powiedziałem.

- A więc facet z Deltę zadzwonił do swojego dowódcy - mruknęła Summer. - Co to dla nas oznacza?

- Znaczący jest moment. Sprawa musiała być naprawdę pilna, prawda?

- Kto to był?

- Nie wszystko naraz.

- Nie zamykaj się przede mną.

- Nie zamykam się.

- Owszem, zamykasz się. Wznosisz wokół siebie mur. Nie odezwałem się.

- Zmarła twoja mama, cierpisz i zamykasz się w sobie. Ale nie powinieneś tego robić. Sam sobie z tym nie poradzisz, Reacher. Nie uda ci się przeżyć w samotności całego życia.

Potrząsnąłem głową.

- Nie o to chodzi - powiedziałem. - Rzecz w tym, że to wszystko tylko domysły. Przez cały czas wstrzymuję oddech. Poruszam się po omacku. I nie chcę upaść na twarz. Nie przed tobą. Przestałabyś mnie szanować.

Summer nic na to nie odpowiedziała.

- Wiem. Już teraz mnie nie szanujesz, bo widziałas mnie nago - dodałem i po chwili się uśmiechnęła. - Ale będziesz musiała do tego przywyknąć. Bo to się wkrótce powtórzy. Mam na myśli zaraz. Na pozostałą część dnia bierzemy sobie wolne.

Łóżko było okropne. Materac uginał się pośrodku, pościel była wilgotna. Może nawet gorzej niż wilgotna. W takim jak ten motelu, jeżeli nie wynajęto pokoju po śmierci Kramera, z całą pewnością nie zmieniono też pościeli. Kramer właściwie w niej nie spał, ale zmarł na niej. Najprawdopodobniej wydzielił z siebie najróżniejsze płyny fizjologiczne. Summer chyba to nie przeszkadzało. Ale nie widziała go tutaj, szarobiałego i martwego.

Z drugiej strony, czego można się spodziewać za piętnaście doliczów? Poza tym Summer odwróciła moją uwagę od pościeli. Odwróciła w sposób zasadniczy. Byliśmy porządnie zmęczeni, ale nie aż tak zmęczeni. Za drugim razem spisaliśmy się dobrze. Drugi raz jest często najlepszy. Nauczyło mnie tego doświad

czenie. Człowiek nie może się tego doczekać i jeszcze mu się to nie znudziło.

Potem zasnęliśmy jak niemowlaki. Grzejnik podwyższył w końcu temperaturę w pokoju. Pościel się zagrzała. Odgłosy przejeżdżających autostradą pojazdów były kojące. Stanowiły coś w rodzaju białego szumu. Byliśmy bezpieczni. Nikomu nie przyszłoby do głowy nas tam szukać. Kramer dokonał dobrego wyboru. Była to świetna kryjówka. Stoczyliśmy się oboje do zagłębienia w materacu i mocno uścisnęliśmy. W końcu uznałem, że to najlepsze łóżko, w jakim zdarzyło mi się spać.

Obudziliśmy się znacznie później, bardzo głodni. Minęła szósta wieczorem. Za oknem było już ciemno. Stycziowe dni mijały jeden za drugim, a my nie zwracaliśmy na nie większej uwagi. Wzięliśmy prysznic, ubraliśmy się i poszliśmy na drugą stronę ulicy coś zjeść.

Kombinowaliśmy, żeby dostać jak najwięcej kalorii za jak najniższą cenę, ale mimo to wydaliśmy razem kolejnych osiem doliczów. Nazłopałem się kawy. W restauracji mieli zasadę gratisowych dolewek, którą bezwzględnie wykorzystałem. Następnie rozbiłem obóz niedaleko kasy i zacząłem dzwonić. Zajrzałem do wojskowej książki telefonicznej i znalazłem numer Sancheza w Jackson.

- Słyszałem, że tkwisz po uszy w gównie - rzucił na wstępie.

- Tymczasowo - odparłem. - Masz jakieś nowe wiadomości o Brubakerze?

- To znaczy?

- To znaczy, czy znaleźli już jego samochód?

- Owszem, znaleźli. I był bardzo daleko od Columbii.

- Pozwól, że zgadnę - powiedziałem. - Trochę ponad godzinę jazdy na północ od Fort Bird, gdzieś na południowy wschód od Raleigh. Może w Smithfield, w Karolinie Północnej.

- Skąd o tym wiesz, do diabła?

- Takie miałem przeczucie - odparłem. - To musiało być gdzieś blisko miejsca, gdzie I-dziewięćdziesiąt pięć spotyka się z US siedemdziesiąt. Na głównym trakcie. Czy ich zdaniem właśnie tam zginął?

- Nie ma co do tego wątpliwości. Został zabity w swoim samochodzie. Ktoś zastrzelił go z tylnego siedzenia. Przednia szyba była wybita dokładnie przed kierowcą, a odłamki szkła pochłapane krwią i mózgiem. Na kierownicy były plamy, których nikt nie rozmazał. Z tego wynika, że nikt nie prowadził samochodu po tym, jak Brubaker został zabity. Z tego wynika, że tam właśnie go zastrzelono. W jego samochodzie. W Smithfield w Karolinie Północnej.

- Znaleźli łuski?

- Żadnych łusek. I żadnych innych dowodów rzeczowych z wyjątkiem normalnego szajsu, który znajduje się w takich miejscach.

- Mają już jakąś teorię?  
- To był parking przy miejscowej fabryce. Bardzo dużej, z wielkim parkingiem, zajęтым w dzień, ale pustym w nocy. Uważają, że spotkały się tam dwa samochody. Brubaker przyjechał pierwszy, potem pojawił się drugi samochód, wysiadło z niego przynajmniej dwóch facetów, wsiadli do samochodu Brubakera, jeden z przodu, drugi z tyłu, przez chwilę tam siedzieli, być może zamienili parę słów, a potem ten facet z tyłu wyciągnął broń i strzelił. Ich zdaniem to by wyjaśniało, dlaczego zniszczeniu uległ zegarek Brubakera. Ich zdaniem, pułkownik trzymał lewą rękę na kierownicy, tak jak to się robi, kiedy siedzi się w samochodzie. Tak czy inaczej sprawcy wyciągnęli martwego Brubakera z samochodu, wsadzili go do bagażnika drugiego auta, zawieźli do Columbii i tam zostawili.

- Z prochami i pieniędzmi w kieszeni.

- Nadal nie wiedzą, skąd pochodzą prochy.

- Dlaczego sprawcy nie przestawili jego samochodu? -

zapytałem. - To trochę głupie: przewozić go do Karoliny Południowej i zostawiać samochód tam, gdzie był.

- Nikt nie wie dlaczego. Gdyby jechali pokrwawionym samochodem z wybitą przednią szybą, wzbudzaliby podejrzenia. A może sprawcy czasami są po prostu głupi.

- Masz w notatkach, co mówiła pani Brubaker o odebranych przez niego telefonach?

- Po kolacji czwartego?

- Nie, wcześniej - odparłem. - W sylwestra. Mniej więcej pół godziny po tym, jak wszyscy wzięli się za ręce i zaśpiewali Aułd Lang Syne.

- Może. Wszystko skrzętnie notowałem. Pójdę zobaczyć.

- Pospiesz się - powiedziałem. - Korzystam z płatnego telefonu.

Usłyszałem, jak kładzie słuchawkę na biurku. I jakieś ciche szmery w jego gabinecie. Czekałem. Wsunąłem kolejną ćwierćdolarówkę do automatu. Wydaliśmy już dwa dolary na telefony. Plus dwanaście na jedzenie i piętnaście na pokój. Zostało nam osiemnaście doków. Z których, na co miałem nadzieję, wkrótce wydam kolejnych dziesięć. Zacząłem żałować, że wojsko kupuje wielkie ośmiocyndrowe chevrolety caprice. Mały czterocyndrowy samochód podobny do tego, który wynajął Kramer, zawiózłby nas o wiele dalej za marne osiem dolców.

Usłyszałem, że Sanchez podnosi z powrotem słuchawkę.

- Okay, w sylwestra - powiedział. - Powiedziała mi, że wyciągnęli go z balu o wpół do pierwszej w nocy. I że potem był trochę poirytowany.

- Powiedział jej coś na temat samego telefonu?

- Nie. Ale pani Brubaker twierdziła, że lepiej po nim tańczył. Jakby go to podrajcowało. Jakby był na jakimś tropie. Był podekscytowany.

- Poznała to po sposobie, w jaki tańczył?

- Byli małżeństwem od bardzo dawna, Reacher. Przez tyle czasu można poznać drugą osobę.

- Okay - powiedziałem. - Dzięki, Sanchez. Muszę kończyć.

- Uważaj na siebie.

- Zawsze uważam - odparłem, po czym odwiesiłem słuchawkę i wróciłem do stolika.

- Dokąd teraz? - zapytała Summer.

- Teraz pójdziemy tam, gdzie rozbierają się dziewczyny - odparłem.

Z restauracji do klubu ze striptizem było parę kroków. Przy budynku nie stało zbyt wiele samochodów. Było jeszcze wcześnie. Dopiero za kilka godzin miało się zrobić tłocznie. Miejscowi nadal siedzieli w domu, zjadając kolację i oglądając wiadomości sportowe. Faceci w Fort Bird kończyli posiłek w kantynie, brali prysznic, przebierali się, umawiali we dwóch albo trzech, szukali kluczyków do samochodu, ustalali, kto będzie prowadził. Mimo to miałem się na baczności. Nie chciałem wpaść na ludzi z Delta Force. Nie gdzieś na dworze po ciemku. Czas był zbyt cenny, by go marnować.

Otworzyliśmy drzwi i weszliśmy do środka. Za kasą siedział ktoś nowy. Może przyjaciel albo

krewniak grubasa. Nie znałem go. On nie znał mnie. I byliśmy w mundurach polowych. Bez symbolu jednostki. Nic nie wskazywało, że jesteśmy z żandarmerii. Więc nowy facet ucieszył się na nasz widok. Uznał, że zwiększymy troszeczkę jego dochód w trakcie pierwszej godziny. Minęliśmy go bez przeszkód.

Lokal był wypełniony najwyżej w jednej dziesiątej. W związku z tym sprawiał zupełnie inne wrażenie. Wydawał się pusty, przestronny i zimny. Niczym jakiś zakład produkcyjny. Bez tłumy muzyka była głośniejsza i bardziej blaszana. W wielu miejscach parkiet zionął pustką. Rzuciły się w oczy całe puste akry. Setki niezajętych krzeseł. Występowała tylko jedna dziewczyna na głównej scenie. Była skapana w czerwonym świetle, ale robiła wrażenie oziębłej i apatycznej. Zobaczyłem, że Summer

przygląda się jej i przechodzi ją dreszcz. I co wtedy zrobisz? - zapytałem ją wcześniej. Pójdiesz pracować w klubie razem z Sin? Z bliska nie była to zbyt pociągająca perspektywa.

- Po co tu przyszliśmy? - zapytała.

- Żeby poznać klucz do wszystkiego - odparłem. - Mój największy błąd.

- To znaczy?

- Patrz.

Podszedłem do drzwi do garderoby. Dwa razy w nie zapukałem. Otworzyła mi dziewczyna, której nie znałem. Przysunęła drzwi do siebie i wystawiła zza nich głowę. Może była naga.

- Chcę się widzieć z Sin - powiedziałem.

- Nie ma jej tu.

- Jest - odparłem. - Musi odpracować Boże Narodzenie.

- Jest zajęta.

- Dziesięć dolarów - powiedziałem. - Dziesięć dolarów za rozmowę. Bez dotykania.

Dziewczyna zniknęła i drzwi się za nią zamknęły. Stałem z boku, żeby pierwszą osobą, którą zobaczy Sin, była Summer. Czekaliśmy. I czekaliśmy. W końcu drzwi otworzyły się ponownie i Sin wyszła na zewnątrz. Była w krótkiej, obcisłej sukience. Różowej i połyskującej. Na przezroczystych szpilkach wydawała się całkiem wysoka. Dałem krok do przodu i stanąłem między nią i drzwiami do garderoby. Odwróciła się i zobaczyła mnie. Złapana w pułapkę.

- Tylko kilka pytań - powiedziałem. - Nic więcej. Wyglądała lepiej, niż kiedy ją widziałem ostatni raz. Siniaki

na twarzy miały już dziesięć dni i prawie znikły. Umalowała się chyba mocniej niż poprzednio. Ale był to jedyny znak, że miała jakieś kłopoty. W jej oczach była pustka. Prawdopodobnie właśnie się naszprycowała. Między palcami stóp. Wszystko, żeby tylko przetrwać noc.

- Dziesięć dolarów - powiedziała.

- Usiądźmy - zaproponowałem.

Znaleźliśmy stolik daleko od głośników. Było tam względnie cicho. Wyjąłem z kieszeni dziesięciodolarowy banknot i podniosłem go. Nie dałem go jej.

- Pamiętasz mnie? - zapytałem. Kiwnęła głową.

- Pamiętasz tamtą noc? Kolejne kiwnięcie.

- Okay, chodzi tylko o jedno. Kto cię pobił?

- Ten żołnierz - odparła. - Ten, z którym wcześniej pan rozmawiał.

Trzymając mocno w palcach dziesięciodolarowy banknot, wyciągnąłem z niej wszystko, krok po kroku. Powiedziała nam, że ześlizgnąwszy się z mojego kolana, udała się na poszukiwanie dziewczyn, które mogłyby coś wiedzieć. Udało jej się poszeptać na osobności z większością. Ale żadna o niczym nie wiedziała. Nie miały żadnych informacji, ani z pierwszej, ani z drugiej ręki. Nie krążyły żadne plotki. Nikt nie wiedział o żadnych kłopotach, które mogłyby mieć w motelu jedna z ich koleżanek. Zasięgnęła języka w prywatnych pokojach, ale tam też nic się nie



dowiedziała. Wróciła do garderoby. Nikogo tam nie było. Interes się kręcił. Wszystkie dziewczyny były albo na scenie, albo po drugiej stronie ulicy w motelu. Wiedziała, że powinna pytać dalej. Ale nie było żadnych plotek. Doszła do wniosku, że gdyby coś się naprawdę wydarzyło, ktoś musiałby coś słyszeć. Postanowiła więc dać sobie spokój i wypiąć się na mnie. I wtedy właśnie do garderoby wszedł żołnierz, z którym wcześniej rozmawiałem. Opisała nam dość wiernie Carbone'a. Jak większość dziwki nauczyła się rozpoznawać twarze. Klienci, którzy korzystają ponownie z usług tej samej prostytutki, lubią być rozpoznawani. Czują się wtedy wyjątkowi. Dają wyższe napiwki. Carbone ostrzegł ją, żeby nie mówiła nic żadnemu wojskowemu gliniarzowi. Zakomunikowała nam o tym z takim samym naciskiem, z jakim on zrobił to dziesięć dni wcześniej. Nic żadnemu gliniarzowi. A potem, żeby wzięła sobie do serca jego słowa, uderzył ją dwa razy mocno i szybko, z forhendu i bekhendu. Ciosy ją ogłuszyły. Zupełnie się ich nie spodziewała. Można było odnieść wrażenie, że jej zaimponowały. Porównywała je jakby z innymi, które otrzymała. Niczym koneser. I patrząc na nią, doszedłem do wniosku, że obrywała dość często.

- Powtórz jeszcze raz - powiedziałem. - To był tamten żołnierz, nie właściciel.

Spojrzała na mnie, jakbym postradał zmysły.

- Właściciel nigdy nas nie bije. Zarabiamy dla niego pieniądze.

Dałem jej dziesięć dolców i zostawiliśmy ją przy stoliku.

- Co to oznacza? - zapytała Summer.

- Wszystko.

- Skąd wiedziałeś?

Wzruszyłem ramionami. Siedzieliśmy ponownie w motelowym pokoju Kramera, składając papiery, pakując nasze rzeczy, szykując się do dalszej drogi.

- Źle to zrozumiałem - oznajmiłem. - Zacząłem chyba zdawać sobie z tego sprawę w Paryżu. Kiedy czekaliśmy na Joego na lotnisku. Ci ludzie. Obserwowali pasażerów wychodzących z odprawy, żeby ich przywitać albo zignorować. Podobnie wyglądało to tamtej nocy w barze. Wszedłem, jestem dużym facetem, więc ludzie widzą, że nadchodzę. Przez ułamek sekundy byli zaciekawieni. Ale nie znali mnie i nie spodobało im się to, kim jestem, więc odwracali się z powrotem i ignorowali mnie. Wszystko to okazywali w bardzo subtelny sposób, wyłącznie językiem ciała. Z wyjątkiem Carbone'a. On mnie nie zignorował. Odwrócił się w moją stronę. Myślałem, że to zwykły przypadek, ale to nieprawda. Myślałem, że to ja go wybrałem, lecz chyba w tym samym stopniu on wybrał mnie.

- To musiał być przypadek. Carbone cię nie znał.

- Nie znał mnie osobiście, ale potrafił rozpoznać odznakę żandarmerii. Służył w wojsku od szesnastu lat. Wiedział, co widzi.

- Więc dlaczego się do ciebie odwrócił?

- Było w tym chwilowe zawahanie. Jakby się zająknął. Odwracał się już w bok, a potem zmienił zdanie i spojrzał prosto na mnie. Chciał, żebym do niego podszedł.

- Dlaczego?

- Ponieważ chciał się dowiedzieć, po co tam przyszedłem.

- I powiedziałeś mu? Pokiwałem głową.

- Patrząc wstecz, owszem, zrobiłem to. Nie wprost. Chciałem, żeby ludzie przestali się przejmować, więc powiedziałem, że to nie ma nic wspólnego z obecnymi, po prostu coś zginęło po drugiej stronie ulicy i może ma to coś wspólnego z jedną z prostitutek. Był bardzo sprytnym facetem. Bardzo subtelny. Złapał mnie na haczyk jak rybę i po prostu to ze mnie wyciągnął.

- Dlaczego miałoby go to obchodzić?

- Mówiłem o tym kiedyś Willardowi. Powiedziałem mu, że różne rzeczy dzieją się po to, żeby zakończyć inne rzeczy. Carbone chciał, żeby zakończyło się moje dochodzenie. Taki miał cel. Więc zaczął szybko kombinować. Szybko i sprytnie. Do Deltę nie przyjmują głupców, to pewne. Poszedł i pobił dziewczynę, żeby zamknąć jej usta, gdyby przypadkiem coś wiedziała. A potem

wyszedł i dał mi do zrozumienia, że to sprawka właściciela. Nie musiał nawet kłamać. Po prostu pozwolił mi tak sądzić. Nakręcił mnie jak mechaniczną zabawkę i pchnął w pożądanym przez siebie kierunku. Palnąłem właściciela w ucho i poszliśmy się trzaskać na parkingu. Carbone już tam był i mnie obserwował. Zobaczył, że załatwiam faceta tak, jak sądził, że go załatwię, a potem napisał skargę. W ten sposób o wszystko zadbał. Zamknął sprawę z obu stron. Wiedział, że dziewczyna nie puści pary z gęby, i myślał, że wyeliminował mnie z gry, ponieważ będzie się przeciwko mnie toczyło postępowanie dyscyplinarne. Był z niego naprawdę sprytny facet. Żałuję, że go wcześniej nie spotkałem.

- Dlaczego chciał cię powstrzymać? Jaki miał motyw?

- Nie chciał, żebym dowiedział się, kto zabrał teczkę.

- Dlaczego? Usiadłem na łóżku.

- Dlaczego nie udało nam się odnaleźć kobiety, z którą Kramer się tu spotkał?

- Nie wiem.

- Ponieważ nie było żadnej kobiety - odparłem. - Kramer spotkał się tu z Carbone'em.

Summer wbiła we mnie wzrok.

- Kramer też był gejem - dodałem. - On i Carbone byli kochankami.

- Carbone zabrał teczkę z tego pokoju - powiedziałem. - Uważał, że musi utrzymać w tajemnicy ich związek. Być może obawiał się, że w teczce są na jego temat jakieś kompromitujące materiały. Podobne motywy przypisywaliśmy naszej mitycznej kobiecie. A może Kramer przechwalał się tym, co planują na konferencji w Irwin. Mówił, że wojska pancerne nie dadzą się zagonić do narożnika. I może Carbone'a to zaciekało. Albo nawet zaniepokoiło. Był piechociarzem od szesnastu lat. Facet, który służy w Delta Force, musi być bardzo lojalny wobec własnej jednostki. Może nawet bardziej niż wobec swojego kochanka.

- Nie wierzę w to - rzekła Summer.

- A powinnaś - odparłem. - Wszystko pasuje jak ulał. Dała nam to do zrozumienia Andrea Norton. Moim zdaniem wiedziała o Kramerze. Świadomie czy może podświadomie. Oskarżyliśmy ją, a ona nawet się nie oburzyła, pamiętasz? Zamiast tego ją to rozbawiło. Albo wprawiło w konsternację. Specjalizowała się w psychologii seksualnej, znała tego faceta, być może wyczuła wibracje, profesjonalnie. Albo wyczuła brak wibracji osobiście. Wyobrażaliśmy ją sobie w łóżku z Kramerem, a jej po prostu nie mieściło się to w głowie. W związku z tym się nie rozłościła. To się po prostu nie trzymało kupy. Poza tym wiedzieliśmy, że małżeństwo Kramera to fikcja. Nie mieli dzieci. Nie mieszkał w domu od pięciu lat. Detektyw Clark z Green Valley dziwił się, dlaczego się nie rozwiedli. Rozwód nie jest czymś, co zaszkodziłoby w karierze generałowi, powiedział mi kiedyś. Odparłem, że nie, nie jest. Ale bycie gejem tak. Z całą pewnością. Bycie gejem cholernie zaszkodziłoby generałowi. Dlatego podtrzymywał przy życiu swoje małżeństwo. To była przykrywka, na użytek wojska. Podobnie jak fotografia dziewczyny w portfelu Carbone'a.

- Nie mamy żadnych dowodów.

- Ale może uda nam się jakieś znaleźć. Oprócz zdjęcia dziewczyny Carbone miał w portfelu kondom. Mogę się założyć, że jest z tej samej paczki co kondom, który zdjęto Kramerowi w szpitalu Waltera Reeda. I stawiam kolejnego dolara przeciwko dziesięciu, że uda nam się przekopać przez stare rozkazy i ustalić, kiedy i gdzie się spotykali. Na tych czy innych wspólnych manewrach, tak jak myśleliśmy od samego początku. Poza tym Carbone był w Delta Force kimś w rodzaju mechanika. Powiedział mi to ich adiutant. Miał dostęp do całej stajni humvee, o każdej godzinie dnia i nocy. Więc stawiam kolejnego dolara, że w sylwestra wyjechał samotnie jednym z nich z bazy.

- Czy został zabity z powodu teczki? Ostatecznie? Tak jak pani Kramer?

Potrząsnąłem głową.

- Żadne z nich nie zginęło wyłącznie z powodu teczki - powiedziałem.

Summer tylko na mnie spojrzała.

- Później - mruknąłem. - Nie wszystko naraz.
- Ale przecież Carbone miał teczkę. Sam to powiedziałeś. Uciekł z nią.

Pokiwałem głową.

- I po powrocie do Bird sprawdził jej zawartość. Znalazł program konferencji. Przeczytał go. I coś, co w nim znalazł, sprawiło, że natychmiast zadzwonił do swojego dowódcy.

- To on zadzwonił do Brubakera? Jak to rozegrał? Nie mógł przecież powiedzieć: „Hej, spałem właśnie z generałem i zgadnij, co takiego znalazłem?”.

- Mógł powiedzieć, że znalazł program konferencji gdzie indziej. Na przykład na chodniku. Ale właściwie nie zdziwiłbym się, gdyby Brubaker wiedział o związku Kramera i Carbone'a. To możliwe. Delta to jedna wielka rodzina, a Brubaker bardzo się interesował swoimi podwładnymi. Więc niewykluczone, że wiedział. I wykorzystywał tę sytuację. Dla celów wywiadowczych. Ci faceci niesamowicie ze sobą rywalizują. Sanchez powiedział mi, że Brubaker potrafił wszystko obrócić na swoją korzyść. Więc może przymknął oko na związek Kramera i Carbone'a pod warunkiem, że ten ostatni będzie mu przekazywać, o czym gadają w łóżku.

- To straszne. Pokiwałem głową.

- To rodzaj prostytucji. Mówiłem ci, że nikt nie wyjdzie z tego zwycięsko. Wszyscy będą wyglądali fatalnie.

- Oprócz nas. Jeśli rozwiążemy tę sprawę.

- Ty wyjdiesz z tego obronną ręką. Ja nie.

- Dlaczego?

- Poczekaj, to zobaczysz - odparłem.

Zanieśliśmy nasze torby do chevroleta, który nadal stał schowany za budynkiem baru. Wsadziliśmy je do bagażnika. Parking był bardziej zatłoczony niż wcześniej. Wieczór się rozkręcał. Spojrzałem na zegarek. Prawie ósma wieczór na wschodnim wybrzeżu, prawie piąta na zachodnim. Przez chwilę stałem w miejscu, podejmując decyzję. Jeśli zatrzymamy się choć na sekundę, żeby zaczerpnąć oddechu, znowu nas prześcigną.

- Muszę wykonać jeszcze dwa telefony - oznajmiłem.

Wziąłem ze sobą wojskową książkę telefoniczną i ponownie weszliśmy do restauracji. Wyciągnąłem z kieszeni wszystkie drobne, jakie miałem, i uzbierałem kupkę miedziaków. Summer dorzuciła do niej ćwierćdolarówkę i pięciocentówkę. Kasjer wymienił nam miedź na srebro. Wrzuciłem dwie ćwierćdolarówki do automatu i wystukałem numer Franza w Fort Irwin. Piąta po południu - w połowie jego dnia pracy.

- Czy uda mi się wjechać przez twoją główną bramę? - zapytałem go.

- Dlaczego miałyby się nie udać?

- Ściga mnie Willard. Jest gotów ostrzec ludzi wszędzie, gdzie jego zdaniem mogę się pojawić.

- Jeszcze się ze mną nie kontaktował.

- Może powinieneś na dzień albo dwa wyłączyć swój teleks.

- Jaki jest twój spodziewany czas przyjazdu?

- W którymś momencie jutro.

- Twoi kumple już tu są. Właśnie przyjechali.

- Nie mam żadnych kumpli.

- Vassell i Coomer. Świeżo z Europy.

- W jakim celu?

- Ćwiczenia.

- Marshall nadal tam jest?

- Jasne. Pojechał na lotnisko, żeby ich odebrać. Wrócili wszyscy razem. Jak jedna wielka szczęśliwa rodzina.

- Chcę, żebyś zrobił dla mnie dwie rzeczy - powiedziałem.

- Masz na myśli dwie kolejne rzeczy.

- Chcę, żeby mnie też ktoś odebrał z lotniska. Jutro, pierwszy przylot z Waszyngtonu. Chcę, żebyś

kogoś po mnie przysłał.

- Co jeszcze?

- Chcę, żebyś kazał komuś zlokalizować samochód służbowy, którym jeździli tutaj Vassell i Coomer. To czarny mercury grand marquis. Marshall pobrał go trzydziestego pierwszego grudnia. W tej chwili jest albo w garażu w Pentagonie, albo na parkingu w Andrews. Niech ktoś go znajdzie i dokładnie prze-trzepie w poszukiwaniu śladów.

- Czego szukamy?

- Czegokolwiek.

- Okay - odparł Franz.

- Do zobaczenia jutro.

Rozłączyłem się i przerzuciłem kartki wojskowej książki telefonicznej z litery F jak Fort Irwin na literę P jak Pentagon. Znalazłem Biuro Szefa Sztabu pod B i przytrzymałem tam przez chwilę palec.

- Vassell i Coomer są w Fort Irwin - poinformowałem Summer.

- Dlaczego? - zapytała.

- Ukrywają się - odparłem. - Myślą, że nadal jestem w Europie. Wiedzą, że Willard pilnuje lotnisk. Chcą przeczekać.

- Czy aż tak bardzo nam na nich zależy? - zapytała Summer. - Nie wiedzieli o pani Kramer. To jasne. Kiedy powiedziała im o niej wtedy w twoim gabinecie, byli zszokowani. Prawdopodobnie zgodzili się na włamanie, ale nie na straty uboczne.

Pokiwałem głową. Miała rację. Tamtego wieczoru w moim gabinecie byli zaskoczeni. Coomer pobrał i zapytał, czy to było włamanie. To pytanie wynikało z nieczystego sumienia. Oznaczało, że Marshall jeszcze im nie powiedział. Naprawdę złe wiadomości zachował dla siebie. Wrócił do hotelu w Waszyngtonie dwadzieścia po trzeciej w nocy i powiedział im, że teczki tam nie było, ale nie wspomniał, co jeszcze się wydarzyło. Vassell i Coomer musieli się tego domyślić dopiero tamtego wieczoru w moim gabinecie, grubo po fakcie. Jazda z powrotem z pewnością była interesująca. Musiały paść ostre słowa.

- To wyłącznie sprawka Marshalla - stwierdziła Summer. - Po prostu wpadł w panikę.

- Formalnie rzecz biorąc, to był spisek - powiedziałem. - Z prawnego punktu widzenia wina jest wspólna.

- Trudno to będzie udowodnić.

- To problem Wojskowego Biura Śledczego.

- Dowody nie są zbyt mocne.

- Mają i inne grzechy na sumieniu - powiedziałem. - Wierz mi, walnięcie w głowę pani Kramer to najmniejsze z ich zmartwień.

Wrzuciłem kolejną ćwierćdolarówkę i wystukałem numer Biura Szefa Sztabu, głęboko w czeluściach Pentagonu. Odebrała kobieta. Miała typowy waszyngtoński głos. Niezbyt wysoki, niezbyt niski, kulturalny, elegancki, bez śladu akcentu. Domyśliłem się, że jest pracującą do późna wyższą urzędniczką, że ma około pięćdziesięciu lat, przetykane siwizną blond włosy i upudrowaną twarz.

- Proszę to zapisać - powiedziałem jej. - Jestem majorem zandarmerii, nazywam się Reacher. Zostałem niedawno przeniesiony z Panamy do Fort Bird w Karolinie Północnej. Dzisiaj o północy będę stał przy punkcie kontrolnym pierścienia E w waszym budynku. Wyłącznie od szefa sztabu zależy, czy się tam ze mną spotka - oznajmiłem i przerwałem.

- Czy to wszystko? - zapytała.

- Tak - odparłem, po czym odwiesiłem słuchawkę i schowałem pozostałe piętnaście centów do kieszeni. Zamknąłem książkę telefoniczną i wsadziłem ją pod pachę. - Chodźmy - powiedziałem.

Po drodze zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej i zatankowaliśmy za osiem dolarów. Następnie ruszyliśmy na północ.

- Wyłącznie od szefa sztabu zależy, czy się tam z tobą spotka? - zapytała Summer. - Co ty

kombinujesz, do diabła?

Jechaliśmy I-95, od Waszyngtonu dzieliły nas jeszcze trzy godziny jazdy. Może dwie i pół, zważywszy na fakt, że to Summer siedziała za kierownicą. Było ciemno i na drodze roilo się od samochodów. Skończył się poświęteczny kac. Cały świat wracał do pracy.

- Mamy do czynienia z bardzo poważną aferą - oznajmiłem. - Po co w innym wypadku Carbone dzwoniłby do Brubakera w trakcie balu? Każda inna sprawa mogłaby spokojnie poczekać. To poważna afera i zamieszani są w nią poważni ludzie. To pewne. Po co w innym wypadku przenosiliby tego

samego dnia z miejsca na miejsce dwudziestu funkcjonariuszy jednostki specjalnej?

- Jesteś majorem - powiedziała. - Podobnie jak Franz, Sanchez i pozostali. Może cię przenieść każdy pułkownik.

- Ale przeniesiono również wszystkich komendantów żandarmerii. Zostali usunięci z drogi. Żeby pozwolić nam działać. A większość komendantów to pułkownicy.

- No dobrze, w takim razie mógł to zrobić każdy generał brygady.

- Falszując podpisy na rozkazach.

- Każdy może sfalszować podpis.

- Z nadzieją, że ujdzie mu to później na sucho? Nie, cała operacja została zorganizowana przez kogoś, kto wiedział, że jest bezkarny. Przez kogoś, kto jest nie do ruszenia.

- Przez szefa sztabu? Potrząsnąłem głową.

- Nie, moim zdaniem przez zastępcę szefa sztabu. W tym momencie zastępcą szefa jest facet, który wywodzi się z piechoty. I możemy zakładać, że to w miarę rozsądny gość. Nie mianują durni na to stanowisko. Zobaczył, jak zawalił się mur berliński, przeanalizował to i doszedł do wniosku, że wkrótce zawali się cała reszta. Cały ustanowiony wcześniej porządek.

- I?

- I zaczął się obawiać jakiegoś posunięcia ze strony wojsk pancernych. Czegoś dramatycznego. Jak już powiedzieliśmy, ci faceci mają wszystko do stracenia. Wydaje mi się, że zastępca szefa przewidywał kłopoty, więc poprzemienił nas, żeby mieć właściwych ludzi we właściwych miejscach i dzięki nim zatrzymać wszystko, zanim się zacznie. I moim zdaniem miał prawo się martwić. W wojskach pancernych dostrzeżono zagrożenie i planowano kontratak. Pancerniacy nie chcieli zintegrowanych jednostek dowodzonych przez piechociarzy. Chcieli, żeby wszystko zostało po staremu. Więc wydaje mi się, że na tej konferencji w Irwin mieli zamiar zrobić coś dramatycznego. Coś złego. Dlatego tak się przejęli zaginięciem programu.

- Ale zmiana się dokonuje. Nie można jej powstrzymać.

- Nikt nigdy nie przyjmuje tego do wiadomości - odparłem. - Nikt nigdy nie przyjmował tego do wiadomości w przeszłości i nikt nigdy nie będzie tego robił w przyszłości. Pojedź do dowództwa marynarki wojennej i zaręczam ci, że znajdziesz schowane gdzieś miliony ton papierów sprzed pięćdziesięciu lat, których autorzy dowodzą, że krążowników nie da się zastąpić i że lotniskowce okażą się beużyteczną kupą złomu. Przekonasz się, że admirałowie pisali stustronicowe traktaty, wkładając w to całe serce i duszę i przysięgając, że proponowana przez nich strategia jest jedyną możliwą.

Summer się nie odezwała.

- Przejrzyj nasze stare raporty - dodałem z uśmiechem - a przekonasz się, że dziadek Kramera upierał się, że czołgi nigdy nie zastąpią koni.

- Co dokładnie planowali? Wzruszyłem ramionami.

- Nie widzieliśmy programu konferencji. Ale pewnych rzeczy możemy się domyślić. W grę wchodzi oczywiście dyskredytowanie kluczowych przeciwników. Wykorzystanie wszelkich możliwych brudów. Prawie oczywista zmowa z przemysłem obronnym. Pomogłoby, gdyby udało się nakłonić czołowych producentów do oświadczenia, że nie można wyprodukować bezpiecznych lekkich pojazdów pancernych. Mogliby wykorzystać publiczną propagandę. Powiedzieć ludziom, że ich synowie i córki będą wysyłani na wojnę w blaszanych puszkach, które można przedziurawić

śrutem na zające. Mogliby spróbować zastraszyć Kongres. Oświadczyć, że stworzenie powietrznej floty transportowej, która wpłynie na losy wojny, będzie kosztowało setki miliardów dolarów.

- To są standardowe zagrywki.

- Więc może planowali coś więcej. Jeszcze tego nie wiemy. Zawał serca Kramera sprawił, że cała sprawa nie wypaliła. W tym momencie.

- Uważasz, że mogą spróbować jeszcze raz?

- A ty byś nie spróbowała? Gdybyś miała wszystko do stracenia?

Summer zdjęła jedną rękę z kierownicy, położyła ją na kolanie i odwróciła się lekko w moją stronę. Poruszały się jej powieki.

- Więc dlaczego chcesz się zobaczyć z szefem sztabu? - zapytała. - Jeśli masz rację, zastępca jest po twojej stronie. On cię tu przeniósł. To on cię ochrania.

- To partia szachów - odparłem. - Przeciąganie liny. Po jednej stronie ten dobry, po drugiej ten zły. Dobry przeniósł mnie tutaj, zły odesłał Garbera. Przeniesienie Garbera jest trudniej niż mnie, a zatem ten zły przewyższa stopniem dobrego. Jedyną osobą, która przewyższa rangą zastępcę szefa sztabu, jest szef sztabu. To stanowisko rotacyjne. Skoro zastępca szefa wywodzi się z piechoty, szef jest z wojsk pancernych. A zatem gra o wysoką stawkę.

- Szef sztabu jest tym złym? Pokiwałem głową.

- Więc dlaczego chcesz się z nim spotkać?

- Bo jesteśmy w wojsku, Summer - odparłem. - Musimy stawiać czoło naszym wrogom, nie przyjaciółom.

Im bliżej było do Waszyngtonu, tym mniej ze sobą rozmawialiśmy. Znałem swoje mocne i słabe strony i byłem dość młody, beczelny i głupi, by uważać, że mogę się zmierzyć z każdym. Ale stanięcie twarzą w twarz z szefem sztabu to zupełnie inna historia. Należał do rasy nadludzi. Nad nią nie było już nic. W trakcie mojej służby pełniło tę funkcję trzech generałów i z żadnym z nich się w tym czasie nie spotkałem. Z tego, co pamiętałem, nigdy z żadnym się nie spotkałem. Nie spotkałem się również z żadnym zastępcą szefa, asystentem sekretarza i żadną inną osobą z tych wysokich kręgów. Należeliśmy do odmiennych gatunków. Coś sprawiało, że różnili się od nas wszystkich.

Choć przecież zaczęli tak samo. Teoretycznie mógłbym być jednym z nich. Tak jak oni studiowałem w West Point. Przez dziesięciolecia West Point nie była jednak niczym więcej jak wojskową szkołą techniczną. Żeby ubiegać się o pracę w sztabie, trzeba było zostać po West Point wysłanym do jakiejś lepszej uczelni. Do Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona, Stanfordu, Harvardu, Yale, MIT lub Princeton, albo nawet zagranicznego uniwersytetu w rodzaju Oxfordu lub Cambridge w Anglii. Trzeba było dostać stypendium Rhodesa. Otrzymać tytuł magistra lub doktora ekonomii, nauk politycznych albo stosunków międzynarodowych. Być stypendystą programu White House Fellows. I w tym punkcie nasze drogi się rozeszły. Zaraz po ukończeniu West Point spojrziałem w lustro i zobaczyłem faceta, który jest lepszy w rozwalaniu głów niż w połykaniu książek. Inni ludzie też na mnie popatrzyli i doszli do tego samego wniosku. W wojsku szufladkowanie zaczyna się od pierwszego dnia. Więc tamci poszli swoją drogą, a ja swoją. Oni ruszyli w stronę pierścienia E i Zachodniego Skrzydła, a ja w stronę mrocznych alejek Seulu i Manili. Gdyby weszli na moje terytorium, czołgaliby się przede mną na brzuchu. To, jak ja zachowam się na ich terytorium, miało się dopiero okazać.

- Idę tam sam - powiedziałem.

- Nie pójdziesz sam - odparła Summer.

- Pójdę. Możesz to traktować, jak chcesz. Jako radę od przyjaciela albo rozkaz od zwierzchnika. Ale zostajesz w samochodzie. To nie podlega dyskusji. Jeśli będę musiał, przykuję cię kajdankami do kierownicy.

- Działamy razem.

- Ale wolno nam okazać odrobinę inteligencji. To nie będzie przypominać spotkania z Andrea Norton. Ryzyko jest ogromne. Nie ma powodu, żebyśmy oboje spłonęli na stosie.

- Zostałbyś w samochodzie? Na moim miejscu?

- Na twoim miejscu, schowałbym się pod nim - odparłem. Nie odpowiedziała. Po prostu jechała dalej, tak samo szybko

jak zawsze. Po jakimś czasie dotarliśmy do Beltway i zgodnie ze wskazówkami zegara ruszyliśmy obwodnicą w stronę Arlington.

Środki bezpieczeństwa w Pentagonie były na nieco wyższym poziomie niż zwykle. Może ktoś obawiał się, że niedobitki armii Norwegi przeprowadzą jakąś akcję zaczepną dwa tysiące mil na północ od Panamy. Udało nam się jednak bez przeszkód wjechać na parking. Był prawie pusty. Summer zatoczyła długie koło i zatrzymała się niedaleko głównego wejścia. Zgasiła silnik i zaciągnęła ręczny hamulec. Zrobiła to nieco energiczniej niż trzeba. Domyślałem się, że pragnie mi dać coś do zrozumienia. Zerknąłem na zegarek. Była za pięć dwunasta.

- Będziemy się kłócić? - zapytałem. Summer wzruszyła ramionami.

- Powodzenia - powiedziała. - I daj mu popalić. Wysiadłem z samochodu, zamknąłem za sobą drzwiczki i przez

chwilę stałem nieruchomo w miejscu. W ciemności za mną wznosiła się bryła budynku. Powiadają, że Pentagon jest największym kompleksem biurowym na świecie, i w tym momencie gotów byłem w to uwierzyć. Ruszyłem w jego stronę. Do drzwi prowadziła długa rampa. Strzeżony hol wejściowy miał wielkość boiska do koszykówki. Pokazałem wartownikom moją odznakę jednostki specjalnej i skierowałem się w stronę środka kompleksu. Jest tam pięć koncentrycznych korytarzy w kształcie pięciokąta, nazywanych pierścieniami. Każdy z nich ma własne posterunki kontrolne. Moja odznaka pozwoliła mi przebrnąć przez pierścień B, C i D, ale za żadne skarby nie zdołałbym dotrzeć do pierścienia E. Zatrzymałem się przed ostatnim posterunkiem i skinąłem głową wartownikowi. Odwzajemnił mi się tym samym. Przywykł do widoku czekających tu ludzi.

Oparłem się o ścianę. Gładko pomalowany beton był chłodny i śliski. W budynku panowała cisza. Nie słyszałem nic poza szumem wody w rurach, cichym szmerem powietrza w przewo dach grzewczych i regularnego oddechu strażnika. Podłogi wyłożone były lśniącymi płytkami linoleum. Jarzeniówki i ich odbicie tworzyły długi podwójny obraz biegnący aż do punktu, w którym zakręcał korytarz.

Czekałem. Widziałem zegar w budce strażnika. Wskazówki minęły północ. Pięć minut po północy. Dziesięć minut. Czekałem. Przyszło mi do głowy, że rzucone przeze mnie wyzwanie zostało zignorowane. Ci faceci byli politykami. Być może rozgrywali bardziej skomplikowane gry, niż mogłem sobie wyobrazić. Może mieli więcej ogłady, wyrafinowania i cierpliwości. Może znalazłem się jednak trochę poza swoją ligą.

A może kobieta o typowym waszyngtońskim głosie wyrzuciła moją wiadomość do kosza.

Czekałem.

Piętnaście minut po północy usłyszałem w oddali stukot obcasów o linoleum. To były eleganckie półbuty, ich szybki rytm wskazywał jednocześnie na pośpiech i rozluźnienie. Jak u kogoś, kto ma dużo spraw na głowie, ale nie wpada w panikę. Nie widziałem tego kogoś. Stukot obcasów docierał do mnie zza zakrętu korytarza. Wyprzedzał mojego rozmówcę niczym wczesny sygnał ostrzegawczy.

Wśluchiwałem się w ten dźwięk, obserwując miejsce, w którym powinien się pojawić, dokładnie tam, gdzie jarzeniówki wiszące pod sufitem spotykały się ze swoimi odbiciami na podłodze. Stukot stawał się coraz głośniejszy. Mężczyzna wyłonił się nagle zza rogu i przeszedł przez flarę światła. Szedł prosto w moją stronę, nie zwalniając, ale też nie przyspieszając, nadal mając wiele spraw na głowie, lecz nie wpadając w panikę. Podszedł bliżej. Szef sztabu we własnej osobie. Miał na sobie oficjalny wieczorowy ubiór: krótką niebieską marynarkę zwężoną w pasie, niebieskie spodnie z dwoma złotymi lampasami po bokach, muszkę, a także złote spinki przy kołnierzyku i w mankietach, oraz skomplikowane, wyszywane złotem zawijasy na rękawach i ramionach. Udekorowany od stóp do głów złotymi insygniami, odznakami, szarfami i miniaturowymi wersjami medali, miał

mniej więcej pięć stóp i dziewięć cali wzrostu i ważył sto osiemdziesiąt funtów, dokładnie tyle, ile statystyczny żołnierz nowoczesnej armii.

Kiedy znalazł się dziesięć stóp ode mnie, trzasnąłem obcasami i zsalutowałem. To był czysty odruch warunkowy. Tak jakby katolik witał papieża. Szef sztabu nie odwzajemnił salutu. Po prostu na mnie spojrział. Może regulamin zabraniał salutowania, kiedy ktoś miał na sobie ubiór wieczorowy. Albo kiedy był bez czapki na terenie Pentagonu. A może był po prostu niegrzeczny.

Podał mi rękę, którą uściśnąłem.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie - powiedział. - Dziękuję, że pan zaczekał. Byłem w Białym Domu. Na oficjalnej kolacji z naszymi przyjaciółmi z zagranicy. Chodźmy do mojego gabinetu.

Przeprowadził mnie przez posterunek przy pierścieniu E i skręciliśmy w lewo. Po kilkudziesięciu krokach weszliśmy do sekretariatu i zobaczyłem kobietę o typowym waszyngtońskim głosie. Wyglądała mniej więcej tak, jak ją sobie wyobraziłem, ale tembr głosu miała jeszcze przyjemniejszy niż przez telefon.

- Kawy, majorze? - zapytała.

Miała świeżo zaparzony dzbanek. Domyśliłem się, że włączyła go o jedenastej pięćdziesiąt trzy, żeby przestał pyrkotać dokładnie o dwunastej. Domyśliłem się, że w sekretariacie szefa sztabu panują właśnie takie zwyczaje. Dała mi spodeczek i filiżankę zrobione z przezroczystej cienkiej porcelany. Bałem się, że pęknie mi w dłoni niczym skorupka jajka. Miała na sobie cywilne ubranie. Ciemny kostium tak surowy, że był bardziej oficjalny od munduru.

- Proszę, tędy - powiedział szef sztabu, zapraszając mnie do gabinetu.

Moja filiżanka zabręczała na spodeczku. Wnętrze gabinetu było zaskakująco proste. Miał ściany z takiego samego malowanego betonu jak pozostałe części budynku. Stalowe biurko tego samego typu, który widziałem w gabinecie patologa w Fort Bird.

- Niech pan siada - powiedział. - Jeśli nie ma pan nic przeciwko, chciałbym, żeby nie trwało to zbyt długo. Jest późno.

Nie odezwałem się. Szef sztabu obserwował mnie.

- Otrzymałem pańską wiadomość - oświadczył. - Otrzymałem i zrozumiałem.

Nie odezwałem się.

- Główni współpracownicy Norwegi są wciąż na wolności - rzekł, próbując przełamać pierwsze lody. - Jak pan sądzi, dlaczego?

- Trzydzieści tysięcy mil kwadratowych - odparłem. - Mnóstwo miejsca, żeby się schować.

- Czy dorwiemy ich wszystkich?

- Niewątpliwie - powiedziałem. - Ktoś ich sprzeda.

- Jest pan cynikiem.

- Realistą - odparłem.

- Co ma mi pan do powiedzenia, majorze?

Upiłem łyk kawy. Światła były przyćmione. Zdałem sobie nagle sprawę, że jestem w samym środku najlepiej zabezpieczonego budynku na świecie, późno w nocy, sam na sam z najwyższym rangą żołnierzem w tym kraju. I mam zamiar rzucić mu w twarz poważne oskarżenie. A o tym, że tu właśnie jestem, wie poza mną tylko jedna osoba, która w tym momencie siedzi już być może zamknięta w celi.

- Dwa tygodnie temu byłem w Panamie - powiedziałem. - A potem zostałem przeniesiony.

- Dlaczego pańskim zdaniem został pan przeniesiony? Wzięłem głęboki oddech.

- Myślę, że zastępca szefa sztabu chciał mieć konkretne osoby w pewnych konkretnych miejscach, ponieważ obawiał się kłopotów - oświadczyłem.

- Jakiego rodzaju kłopotów?

- Wewnętrznego przewrotu dokonanego przez pana dawnych kumpli z wojsk pancernych.

Szef sztabu milczał przez dłuższą chwilę.

- Czy te obawy miałyby realne podstawy? - zapytał w końcu.

Pokiwałem głową.



- W dniu Nowego Roku w Fort Irwin miała się odbyć pewna konferencja. Uważam, że jej program był z całą pewnością kontrowersyjny, prawdopodobnie sprzeczny z prawem, być może ocierający się o zdradę stanu.

Szef sztabu milczał.

- Cały plan leżał w gruzach - podjąłem - ponieważ zmarł generał Kramer. Fiasko pociągnęło jednak za sobą pewne dalsze problemy. W związku z tym zainterweniował pan osobiście, odwołując pułkownika Garbera z jednostki sto dziesiątej i mianując na jego miejsce osobę niekompetentną.

- Dlaczego miałbym to robić?

- Żeby wszystko potoczyło się naturalnym torem i śledztwo utkwilo w miejscu.

Szef sztabu milczał przez kolejną długą chwilę. W końcu się uśmiechnął.

- Trafna analiza - stwierdził. - Upadek sowieckiego komunizmu musiał doprowadzić do napięć w amerykańskich siłach zbrojnych. Te napięcia musiały się zmanifestować w postaci najprzeróżniejszych wewnętrznych spisków i planów. Trzeba było przewidzieć te spiski i plany i podjąć kroki, by zduśić ewentualne problemy w zarodku. I tak jak pan powiedział, musiało dojść do napięć na samej górze, napięć, które doprowadziły do pewnych posunięć i kontrposunięć.

Nie odezwałem się.

- Tak jak w partii szachów - powiedział. - Zastępca szefa wykonuje pewien ruch, a ja nań odpowiadam. Przypuszczam, że musiał pan dojść do tego wniosku, ponieważ szukał pan dwóch wysokich oficerów, z których jeden jest wyższy rangą od drugiego.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Czy się mylę? - zapytałem.

- Tylko w dwóch szczegółach - odparł. - Naturalnie ma

pan rację co do tego, że nadchodzą wielkie zmiany. CIA trochę zbyt późno dostrzegła, że sowieckie imperium chyli się ku upadkowi, w związku z tym mieliśmy tylko niecały rok, żeby przeanalizować sytuację. Ale niech mi pan wierzy, przeanalizowaliśmy ją. Jesteśmy teraz w jedynej w swoim rodzaju sytuacji. Przypominamy boksera wagi ciężkiej, który bardzo długo trenował do walki o mistrzostwo świata, a potem pewnego ranka obudził się i dowiedział, że jego przeciwnik padł trupem. To bardzo oszałamiające uczucie. Ale odrobiliśmy pracę domową.

Szef sztabu pochylił się, otworzył szufladę, wyjął z niej z trudem olbrzymi, gruby co najmniej na trzy cale segregator i położył go z głuchym odgłosem na biurku. Na zielonej okładce widniało odbite czarnym tuszem długie słowo. Odwrócił segregator, żebym mógł je przeczytać. TRANSFORMACJA, głosił napis.

- Pański pierwszy błąd polegał na tym, że stał pan za blisko - powiedział. - Trzeba się cofnąć i spojrzeć na to z szerszej perspektywy. Z góry. Zmiany nie dotyczą tylko wojsk pancernych. Wszyscy się zmieniają. Oczywiście zmierzamy w kierunku jednostek zintegrowanych o wysokiej mobilności. Ale błędem byłoby widzieć w nich jednostki piechoty z doczepionymi kilkoma dzwonekami i gwizdkami. To będzie coś zupełnie nowego. Coś, co nie istniało nigdy wcześniej. Może zintegrujemy z nimi helikoptery szturmowe i powierzmy dowodzenie facetom z sił powietrznych. Może przejdziemy na broń elektroniczną i dowodzić będą faceci od komputerów.

Nie odezwałem się.

Szef sztabu położył dłoń na segregatorze.

- Chodzi mi o to, że wszyscy wyjdą z tego poturbowani. Owszem, wojska pancerne zostaną pod względem profesjonalnym zdewastowane. Nie ma co do tego wątpliwości. Ale to samo stanie się z piechotą, artylerią, wojskami transportowymi, wsparciem logistycznym i całą resztą. W przypadku jednych zmiany będą większe, w przypadku innych mniejsze. Obejmą prawdopodobnie i żandarmerię. Wszystko się zmieni, majorze. Nie zostanie kamień na kamieniu. Nie odezwałem się.

- Nie chodzi o współzawodnictwo między pancernymi i piechotą. Musi pan to zrozumieć. To grube uproszczenie. Chodzi

o współzawodnictwo wszystkich ze wszystkimi. Obawiam się, że nie będzie w nim zwycięzców. Ale z tego samego powodu nie będzie przegranych. Może pan o tym myśleć właśnie w ten sposób.

Wszyscy siedzimy w tej samej łódce - powiedział  
i zabrał dłoń z segregatora.

- Na czym polegał mój drugi błąd? - zapytałem.

- To ja przeniosłem pana z Panamy - oświadczył. - Nie zastępca szefa. On nic o tym nie wiedział. Osobiście wybrałem dwudziestu funkcjonariuszy i oddelegowałem ich tam, gdzie moim zdaniem mogą mi się przydać. Rozmieściłem ich w różnych miejscach, ponieważ moim zdaniem nie wiadomo było, kto mrugnie pierwszy. Lekkie jednostki czy ciężkie jednostki? Nie sposób było tego przewidzieć. Kiedy ich dowódcy zaczną kombinować, wszyscy dojdą do wniosku, że mają wszystko do stracenia. Pana wysłałem na przykład do Fort Bird, ponieważ niepokoiłem się nieco o Davida Brubakera. Jest bardzo dynamiczny.

- Ale pierwsi mrugnęli pancerniacy - powiedziałem. Szef sztabu pokiwał głową.

- Najwyraźniej - mruknął. - Skoro pan tak mówi. Szansę od początku rozkładały się pół na pół. I jestem chyba lekko rozczarowany. To byli moi ludzie. Ale nie będę ich bronił. Poszedłem wyżej. Zostawiłem ich za sobą. Nie przeszkadza mi, jeśli posypią się wióry.

- Więc dlaczego przesunął pan Garbera?

- Nie zrobiłem tego.

- Więc kto to zrobił?

- Kto przewyższa mnie rangą?

- Nikt - odparłem.

- Chciałbym - mruknął.

Nie odezwałem się.

- Ile kosztuje karabin M-szesnaście? - zapytał.

- Nie wiem - odparłem. - Chyba niewiele.

- Kupujemy je za mniej więcej czterysta dolarów - oświadczył. - A ile kosztuje bojowy czołg Abrams M jeden A jeden?

- Około czterech milionów.

- Więc niech pan pomyśli o dużych producentach broni - powiedział. - Po czyjej oni są stronie? Lekkich czy ciężkich jednostek?

Nie odpowiedziałem. Uznałem, że pytanie jest retoryczne.

- Kto przewyższa mnie rangą? - zapytał ponownie.

- Sekretarz obrony - odparłem. Szef sztabu pokiwał głową.

- Mały podły człowieczek. Polityk. Partiom politycznym potrzebne są fundusze na kampanię. A producenci broni potrafią przewidywać przyszłość tak jak wszyscy inni.

Nie odezwałem się.

- Ma pan wiele do przemyślenia - rzekł szef sztabu, po czym schował wielki segregator z napisem TRANSFORMACJA z powrotem do szuflady i wyjął o wiele mniejszą kopertę, na której widniało słowo Argon.

- Wie pan, co to jest argon? - zapytał.

- To gaz szlachetny - odparłem. - Używają go w gaśnicach. Tworzy warstwę nisko nad płomieniami i nie pozwala im się rozprzestrzeniać.

- Dlatego nadałem operacji taki kryptonim. Operacja Argon polegała na przeniesieniu was wszystkich pod koniec grudnia.

- Dlaczego posłużył się pan podpisem Garbera?

- Jak zasugerował pan w innym kontekście, chciałem, żeby sprawy potoczyły się naturalnym torem. Podpisane przez szefa sztabu rozkazy dotyczące żandarmerii wzbudziłyby uzasadnione podejrzenia. Wszyscy zaczęliby się grzeczniej zachowywać albo wyczuliliby zagrożenie i zeszli do podziemia. To utrudniłoby mi pracę, osiągnięcie mojego celu.

- Pańskiego celu?

- Chciałem oczywiście zapobiec temu, co się stanie. To był mój priorytet. Ale byłem poza tym ciekaw, majorze. Chciałem zobaczyć, kto mrugnie pierwszy. - Szef sztabu podał mi teczkę. - Jest

pan śledczym jednostki specjalnej - oświadczył. - Statut jednostki sto dziesiątej nadaje jej nadzwyczajne uprawnienia. Jeśli podejmie pan taką decyzję, ma pan prawo aresztować każdego żołnierza, w tym również mnie, tu w moim gabinecie. Więc niech pan przeczyta akta operacji Argon. Moim zdaniem dowodzą one, że mam czyste ręce. Jeśli pan się ze mną zgodzi, proszę załatwić to, co pan ma do załatwienia gdzie indziej.

Szef sztabu wstał zza biurka, uścisnęliśmy sobie ponownie dłonie, po czym wyszedł. Zostawił mnie samego w swoim gabinecie, w sercu Pentagonu, w środku nocy.

Trzydzieści minut później siedziałem ponownie z Summer w samochodzie. Wyłączyła wcześniej silnik, żeby oszczędzać benzynę, i w środku było zimno.

- I co? - zapytała.

- Jeden kluczowy błąd - odparłem. - Przeciaganie liny nie odbywało się między zastępcą szefa i szefem. Brali w nim udział sam szef i sekretarz obrony.

- Jesteś pewien? Pokiwałem głową.

- Widziałem akta. Były tam notatki służbowe i rozkazy z ostatnich dziewięciu miesięcy. Na różnego rodzaju papierze, napisane na różnych maszynach, różnymi długopisami. Nie ma mowy, żeby podrobili to wszystko w cztery godziny. To była przez cały czas inicjatywa szefa sztabu. Od początku był koszerny.

- I jak to przyjął?

- Zważywszy na okoliczności, dość dobrze. Ale nie wydaje mi się, żeby miał ochotę mi pomóc.

- W czym?

- W opalach, w których się znalazłem.

- Czyli?

- Poczekaj, to zobaczysz. Summer tylko na mnie spojrzała.

- Dokąd teraz? - zapytała.

- Do Kalifornii - odpowiedziałem.

22

Na lotnisko dotarliśmy na oparach benzyny. Zostawiliśmy chwoleto na długoterminowym parkingu i ruszyliśmy pieszo do terminalu. Odległość wynosiła mniej więcej milę. Nie chodziły żadne autobusy. W środku nocy lotnisko było praktycznie opustoszałe. Wewnątrz terminalu musieliśmy wywołać kasjera z pokoiku na zapleczu. Dałem mu nasze ostatnie skradzione vouchery i zarezerwował nam miejsca na pierwszy poranny lot do Los Angeles. Mieliśmy przed sobą kilka godzin czekania.

- Jaki jest cel misji? - zapytała Summer.

- Trzy aresztowania - odparłem. - Vassella, Coomera i Marshalla.

- Pod jakim zarzutem?

- Wielokrotnego morderstwa. Pani Kramer, Carbone'a i Bru-bakera.

Summer spojrzała na mnie.

- Możesz to udowodnić? Potrząsnąłem głową.

- Wiem dokładnie, co się wydarzyło. Wiem kiedy, jak, gdzie i dlaczego. Ale nie mogę niczego udowodnić. Będziemy musieli oprzeć się na zeznaniach.

- Nie złożą ich.

- Potrafię je od nich wyciągnąć - odparłem. - Są sposoby.

Summer się skrzywiła.

- To jest wojsko, Summer, a nie kółko różańcowe.

- Opowiedz mi o sierżancie Carbonie i pułkowniku Bruba-kerze.

- Muszę coś zjeść - odparłem. - Jestem głodny.

- Nie mamy pieniędzy - zauważyła.

W większości barów i restauracji były i tak spuszczone kraty. Miałem nadzieję, że nakarmią nas w samolocie. Zanieśliśmy nasze torby do poczekalni z mającym dwadzieścia stóp oknem, za którym widać było tylko czarną noc. Można tu było usiąść na długich winylowych ławach z zamocowanymi blisko siebie poręczami, które nie pozwalały ludziom położyć się i zasnąć.

- Opowiedz mi - powtórzyła Summer.

- To nadal jest szereg dzikich domysłów, jeden po drugim.

- Pozwól, że sama to ocenię.

- W porządku, zacznijmy od pani Kramer. Dlaczego Marshall pojechał do Green Valley?

- Ponieważ to było pierwsze miejsce, które powinien sprawdzić.

- Wcale nie. To było ostatnie miejsce, które powinien sprawdzić. W ciągu ostatnich pięciu lat Kramer prawie w ogóle tam nie bywał. Jego sztabowcy musieli o tym wiedzieć. Podróżowali z nim wielokrotnie wcześniej. Mimo to podjęli szybką decyzję i Marshall pojechał prosto do Green Valley. Dlaczego?

- Bo Kramer powiedział im, dokąd jedzie?

- Zgadza się - odparłem. - Powiedział im, że jedzie do żony, by ukryć, że w rzeczywistości spotyka się z Carbone'em. Ale z drugiej strony, dlaczego musiał im cokolwiek mówić?

- Nie wiem.

- Bo jest pewna kategoria ludzi, którym trzeba coś powiedzieć.

- Jaka kategoria?

- Przypuśćmy, że jesteś bogatym facetem podróżującym ze swoją kochanką. Jeśli nie spędzasz z nią jednej nocy, musisz jej coś powiedzieć. A jeśli powiesz, że odwiedzasz żonę, by za chować pozory, kochanka musi to przyjąć do wiadomości. Może jej się to nie podobać, ale musi to przyjąć do wiadomości. Ponieważ od czasu do czasu spodziewa się czegoś takiego. To należy do układu.

- Kramer nie miał kochanki. Był gejem.

- Miał Marshalla - powiedziałem.

- Nie - mruknęła. - To absurd. Pokiwałem głową.

- Kramer go zdradzał. Marshall był jego kochankiem. Tworzyli stały związek. Marshall nie był oficerem wywiadu, ale Kramer dokooptował go do sztabu, żeby mieć majora przy sobie. Byli parą. Ale Kramer rozglądał się na boki. Poznał gdzieś Carbone'a i zaczął się z nim spotkać za plecami Marshalla. Kiedy w sylwestra powiedział Marshallowi, że jedzie zobaczyć się z żoną, Marshall mu uwierzył. Tak jak uwierzyłaby kochanka bogatego faceta. Dlatego pojechał do Green Valley. Był święcie przekonany, że Kramer tam pojechał. Był jedyną osobą na świecie, która nie miała co do tego żadnych wątpliwości. To on powiedział Vassellowi i Coomerowi, gdzie jest Kramer. Ale generał go okłamał. Tak jak to się zdarza w innych związkach.

Summer przez dłuższą chwilę milczała. Wpatrywała się po prostu w noc.

- Czy to miało wpływ na to, co się tam wydarzyło? - zapytała w końcu.

- Myślę, że w pewnym sensie tak - odparłem. - Myślę, że pani Kramer porozmawiała sobie z Marshalllem. Musiała go znać z okresu, kiedy przebywała w bazie w Niemczech. Prawdopodobnie wiedziała wszystko o nim i swoim mężu. Żony generałów na ogół są niegłupie. Może wiedziała nawet, że jest jeszcze jeden facet. Była wkurzona i zaczęła się z nim drażnić. Drwić, że on też nie potrafi utrzymać przy sobie faceta. A Marshall się wściekł i ją walnął. Może dlatego nie powiedział o tym od razu Vassellowi i Coomerowi. Ponieważ szkody uboczne nie wynikały z tego, że się włamał. Wynikały również z przebiegu kłótni. Dlatego powiedziałem, że pani Kramer nie zginęła wyłącz

nie z powodu teczki. Moim zdaniem zginęła, ponieważ droczyła się z zazdrosnym facetem, który stracił nad sobą panowanie.

- To są wszystko luźne domysły.

- Pani Kramer nie żyje. To nie są domysły.

- Ale cała reszta tak.

- Marshall ma trzydzieści jeden lat, nie był żonaty.
- To o niczym nie świadczy.
- Wiem - odparłem. - Wiem. Nie ma żadnych dowodów. Dowody są towarem, którego nam dotkliwie brakuje.

Summer przez chwilę milczała.

- Co stało się potem? - zapytała.
- Potem Vassell, Coomer i Marshall zaczęli na serio szukać teczki. Mieli nad nami przewagę, ponieważ wiedzieli, że szukają mężczyzny, nie kobiety. Drugiego stycznia Marshall poleciał z powrotem do Niemiec i przeszukał gabinet i kwaterę Kramera. Znalazł coś, co wskazywało na Carbone'a. Pamiętnik, list albo zdjęcie. A może nazwisko i numer w notesie. Cokolwiek. Przyleciał z powrotem trzeciego, opracowali plan i zadzwonili do Carbone'a. Zaszantażowali go. Umówili się na wymianę następnego dnia. Teczka za list, fotografię albo cokolwiek to było. Carbone zgodził się. Pasowało mu to, ponieważ nie chciał się ujawniać, a poza tym i tak zadzwonił już do Brubakera i poinformował go o programie konferencji. Nie miał nic do stracenia i wszystko do zyskania. Może był już wcześniej w podobny sposób szantażowany. Może więcej niż raz. Biedak był gejem w wojsku od szesnastu lat. Ale tym razem nie skończyło się to dla niego dobrze. Ponieważ Marshall zabił go podczas wymiany.

- Marshall? Przecież w ogóle go tam nie było.

- Był - odparłem. - Sama do tego doszłaś. Pamiętasz, co mi powiedziałaś, kiedy wyjeżdżaliśmy z bazy, żeby zobaczyć się z detektywem Clarkiem w sprawie łomu? Kiedy Willard ścigał mnie przez telefon? Coś mi wtedy zaproponowałaś.

- Co takiego?

- Marshall siedział w bagażniku samochodu, Summer. Coomer prowadził, Vassell siedział na miejscu pasażera, a Marshall

był w bagażniku. Tak przejechali przez bramę. Potem zaparkowali tyłem na samym końcu parkingu przy klubie oficerskim. Tyłem, ponieważ przed wyjściem z samochodu Coomer zwolnił zatrząsk bagażnika. Marshall przytrzymuje klapę od wewnątrz, a Vassell i Coomer wchodzi do środka, żeby mieć żelazne alibi. Marshall czeka tymczasem prawie dwie godziny w bagażniku, aż zrobi się zupełnie cicho. Wtedy wyłazi na zewnątrz, siada za kierownicą i odjeżdża. Dlatego pierwszy patrol zapamiętał samochód, a drugi nie. Samochód najpierw tam stał, a potem go nie było. Marshall zabiera Carbone'a w jakimś umówionym wcześniej miejscu i jadą razem do lasu. Carbone trzyma teczkę. Marshall otwiera bagażnik i daje Carbone'owi kopertę albo coś innego. Carbone odwraca się, żeby sprawdzić w świetle księżyca, czy dostał to, co mu obiecali. Zrobiłby to nawet facet tak ostrożny jak żołnierz Deltę. Cała jego kariera zawisła na włosku. Stojący za nim Marshall wyjmując łom i uderza go. Nie tylko z powodu teczki. I tak by ją dostał. Wymiana doszła do skutku. A Carbone nie może puścić pary z gęby. Marshall wali go łodem także dlatego, że jest na niego wściekły. Jest zazdrosny. Również dlatego go zabija. A potem zabiera kopertę i teczkę i wrzuca je do bagażnika. Resztę znamy. Wiedział od samego początku, co robi, i odpowiednio się zaopatrzył, żeby skierować śledztwo w ślepą uliczkę. Potem jedzie z powrotem pod klub oficerski. Po drodze wyrzuca łom. Parkuje w tym samym miejscu co przedtem i chowa się w bagażniku. Vassell i Coomer wychodzą z klubu i odjeżdżają.

- A co potem?

- Jadą i jadą. Są podekscytowani i spięci. Ale wiedzą już, co ich niebieskooki faworyt zrobił pani Kramer. Dlatego są podenerwowani i zaniepokojeni. Długo nie mogą znaleźć odpowiedniego miejsca, żeby wypuścić z bagażnika faceta, który może być cały zakrwawiony. Znajdują je dopiero po godzinie jazdy na północ. Parkują daleko od innych samochodów i wypuszczają Marshalla. Ten wręcza im teczkę i ruszają dalej. Przeszukanie teczki zajmuje im sześćdziesiąt sekund. Milę dalej wyrzucają ją przez okno.

Summer siedziała w milczeniu. Zastanawiała się. Drgały jej dolne powieki.

- To tylko teoria - stwierdziła.

- Czy potrafisz wyjaśnić w lepszy sposób wszystko, o czym wiemy?

Przez chwilę się nad tym zastanawiała, a potem potrząsnęła głową.

- A Brubaker? - zapytała.

Z głośników pod sufitem poinformowano nas, że możemy wejść na pokład samolotu. Złapaliśmy torby i ustawiliśmy się w kolejce. Na dworze było jeszcze ciemno. Policzyłem innych pasażerów. Miałem nadzieję, że będzie trochę wolnych miejsc i zostanie im trochę śniadań. Byłem bardzo głodny. Ale nie wyglądało to najlepiej. Mieliśmy niemal komplet. Domyślałem się, że w styczniu, kiedy mieszka się w Waszyngtonie, moc przyciągania LA jest całkiem spora. Ludzie nie potrzebują jakichś szczególnych powodów, żeby tam się spotkać.

- A Brubaker? - powtórzyła Summer.

Weszliśmy na pokład i znaleźliśmy nasze miejsca: przy oknie i pośrodku. Miejsce przy przejściu było już zajęte przez zakonnice. Starą. Miałem nadzieję, że niedosłyszającą. Nie chciałem, żeby mnie podsłuchiwała. Zakonnica podkurczyła kolana i przepuściła nas. Wskazałem Summer miejsce pośrodku. Sam usiadłem przy oknie. Zapiąłem pas. Przez chwilę milczałem. Obserwowałem to, co działo się na płycie lotniska. Zaaferowani faceci robili coś w światłach reflektorów. A potem odsunęliśmy się od rękawa i zaczęliśmy kołować. Nie było kolejki do startu. Po dwóch minutach znaleźliśmy się w powietrzu.

- Nie jestem pewien co do Brubakera - przyznałem. - W jaki sposób został w to wszystko wplątany? Czy on zadzwonił do nich, czy oni do niego? Wiedział o programie konferencji już trzydzieści minut po pomocy Nowego Roku. Taki dynamiczny facet jak on mógł sam spróbować wyrzucić na kogoś presję. A może Vassell i Coomer zabezpieczali się przed najgorszym scenariuszem. Mogli zakładać, że podoficer pokroju Carbone'a musiał zadzwonić do swojego dowódcy. Więc nie jestem pewien, kto zadzwonił pierwszy. Może doszło do wzajemnej wymiany gróźb i Vassell i Coomer zaproponowali współpracę w celu znalezienia wyjścia, na którym wszyscy by skorzystali.

- To znaczy jakiego?

- Kto to może wiedzieć? Te zintegrowane jednostki będą czymś nietypowym. Brubaker z pewnością zyskałby na popularności, ponieważ już wcześniej postulował nietypową broń i taktykę. Więc może Vassell i Coomer przekonali go, że szukają strategicznego sojuszu. Tak czy owak ustalili, że spotkają się późnym wieczorem czwartego stycznia. Miejsce musiał zaproponować Brubaker. Musiał je mijać mnóstwo razy, w drodze z Bird do ośrodka golfowego i z powrotem. I musiał się czuć dość pewnie. Gdyby miał jakieś obawy, nie pozwoliłby usiąść za sobą Marshallowi.

- Skąd wiesz, że to Marshall za nim siedział?

- To kwestia protokołu - odparłem. - Brubaker był pułkownikiem, który rozmawia z generałem i innym pułkownikiem. Vassellowi zaproponowałby przedni fotel, a Coomerowi tylny, od strony pasażera, żeby obracając się, mógł widzieć ich obu. Marshall mógł być niewidoczny, ponieważ się nie liczył. Był tylko majorem. Kto by się nim przejmował?

- Czy od początku mieli zamiar go zabić? Czy to wynikło podczas rozmowy?

- Z pewnością mieli taki zamiar. Przygotowali cały plan. Odległe miejsce, w którym chcieli porzucić ciało, heroinę, którą Marshall zdobył w trakcie krótkiego pobytu w Niemczech. Mieli naładowany pistolet. Więc wcale się nie myliliśmy, choć wpadliśmy na to całkiem przypadkowo. Ci sami ludzie, którzy zabili Carbone'a, wyjechali z bazy przez główną bramę i zabili Brubakera. Prawie nie wciskając hamulców.

- Podwójna próba skierowania śledztwa na fałszywe tory - powiedziała Summer. - Ta historia z heroiną i porzucenie ciała na południu, nie na północy.

- Amatorszczyzna. Medycy w Columbii powinni byli natychmiast spostrzec te plamy opadowe i oparzenia od tłumika. Vassell i Coomer mieli po prostu szczęście, że lekarze nie powiedzieli nam o tych śladach od razu. Poza tym zostawili samochód Brubakera na północy. To było poważne potknięcie.

- Musieli być zmęczeni. Stres, napięcie, cała ta jazda. Przyjechali z cmentarza Arlington, potem pojechali do Smithfield, potem z powrotem do Waszyngtonu, na lotnisko Dullesa. To daje razem osiemnaście godzin w samochodzie. Nic dziwnego, że popełniali czasem jakiś błąd. Ale uszłoby to im na sucho, gdybyś nie zignorował Willarda.

Pokiwałem głową. Nic nie powiedziałem.

- Sprawa jest bardzo cienka - stwierdziła Summer. - W gruncie rzeczy niewiarygodnie cienka. To nie są nawet poszlaki. To wyłącznie czyste spekulacje.

- Nie musisz mi o tym mówić. Dlatego potrzebne nam są zeznania.

- Musisz wszystko dokładnie przemyśleć, zanim zdecydujesz się na konfrontację z którymś z nich. Przy tak słabym materiale dowodowym może się okazać, że to ty pójdziesz do więzienia. Za uporczywe nękanie.

Usłyszałem za sobą jakiś ruch i pojawiła się stewardesa ze śniadaniami. Podała jedno zakonniczy, jedno Summer i jedno mnie. To był żalorny posiłek. Zimny sok, gorąca szynka i kanapka z serem. To wszystko. Zrozumiałem, że kawę podadzą później. Miałem taką nadzieję. Skończyłem wszystko mniej więcej w trzydzieści sekund. Summer zajęło to trzydzieści jeden. Ale zakonnica nie tknęła swojej tacki. Zostawiła ją przed sobą. Trąciłem Summer w bok.

- Zapytaj ją, czy będzie jadła - powiedziałem.

- Nie mogę - odparła.

- Ma obowiązek czynić dobro. Bycie zakonnicą właśnie na tym polega.

- Nie mogę - powtórzyła.

- Możesz. Summer westchnęła.

- No dobrze, za chwilę - powiedziała.

Ale zaważyła sprawę. Zbyt długo czekała. Zakonnica ściągnęła folię i zaczęła żuć kanapkę.

- Cholera - zakląłem.

- Przepraszam - mruknęła Summer. Popatrzyłem na nią.

- Coś ty powiedziała?

- Że przepraszam.

- Nie, wcześniej. Jaka była ostatnia rzecz, jaką powiedziałaś?

- Że nie mogę jej ot tak poprosić. Potrząsnąłem głową.

- Nie. Zanim podano nam śniadanie.

- Powiedziałam, że to bardzo cienka sprawa. Niewiarygodnie cienka.

- Wcześniej.

Zobaczyłem, że odtwarza taśmę w swojej głowie.

- Powiedziałam, że Vassellowi i Coomerowi uszłoby to na sucho, gdybyś nie zignorował Willarda.

Pokiwałem głową. Zastanawiałem się przez minutę nad tym faktem. A potem zamknąłem oczy.

Otworzyłem je ponownie w Los Angeles. Samolot wylądował i obudziło mnie łupnięcie kół o ziemię i pisk opon sunących po betonie. A potem pilot włączył ciąg wsteczny oraz hamulce i w pierś wpiły mi się pasy bezpieczeństwa. Na dworze właśnie świtało. Brzask wydawał się brązowy, tak jak tu się często dzieje. Przez głośniki usłyszeliśmy, że w Kalifornii jest siódma rano. Podążaliśmy na zachód przez dwa pełne dni i każda doba miała nie dwadzieścia cztery, ale dwadzieścia osiem godzin. Trochę się przespałem i nie czułem się zmęczony. Ale nadal byłem głodny.

Wyszliśmy z samolotu i podeszliśmy do miejsca odbioru bagaży. Tam właśnie czekali na pasażerów kierowcy. Rozejrzałem się dokoła. Zorientowałem się, że Calvin Franz nikogo nie przysłał. Zamiast tego przyjechał sam. Ucieszyło mnie to. Zrobiło mi się miło na sercu na jego widok. Poczulem, że znaleźliśmy się w dobrych rękach.

- Mam dla ciebie wiadomości - powiedział. Przedstawiłem go Summer. Podał jej rękę i wziął od niej torbę.

Domyśliłem się, że częściowo wynikało to z grzeczności, a częściowo z chęci, żebyśmy trochę szybciej ruszyli do jego humvee. Stało zaparkowane w strefie, gdzie obowiązywał absolutny zakaz

zatrzymywania, ale nie zbliżał się do niego żaden gliniarz. Pomalowane na kolory kamuflażowe humvee wywierają taki wpływ na policję. Wsiadliśmy do środka. Pozwoliłem Summer siedzieć z przodu. Częściowo wynikało to z grzeczności, a częściowo z tego, że chciałem się wyciągnąć z tyłu. Byłem cały zdrętwiały po locie.

- Znaleźli grand marquisa - oznajmił Franz. Uruchomił potężny silnik Diesla i ruszył z miejsca. Fort Irwin

leżał na północ od Barstow, co oznaczało, że musieliśmy przejechać mniej więcej trzydzieści mil w poprzek miasta. Ocenilem, że biorąc pod uwagę poranny ruch, zajmie to nam około godziny. Zobaczyłem, że Summer obserwuje, jak Franz prowadzi samochód. W jej oczach widać było zawodową aprobatę. Jej zajęłoby to prawdopodobnie trzydzieści pięć minut.

- Był w bazie Andrews - dodał Franz. - Porzucony tam piątego stycznia.

- Kiedy Marshall został odwołany do Niemiec - powiedziałem.

Franz pokiwał głową za kierownicą.

- Tak wynika z tego, co zapisali przy bramie. Zaparkowany przez Marshalla z pieczęcią wojsk transportowych w dowodzie wydania pojazdu. Nasi ludzie przekazali sprawę FBI. Tak było szybciej. Musieli im przypomnieć, że są nam winni niejedną przysługę. Biuro pracowało nad tym całą noc. Z początku niechętnie, ale potem bardzo się zainteresowali. Wygląda na to, że odkryli dowody związane ze sprawą, nad którą pracują.

- Brubaker - powiedziałem.

Franz ponownie pokiwał głową.

- Zostało go trochę na macie w bagażniku. Konkretnie krew i mózg. Wytarto je papierowym ręcznikiem, ale niezbyt dokładnie.

- Coś więcej? - zapytałem.

- Wiele rzeczy. Była tam również krew pochodząca skądś indziej, drobny ślad zostawiony przez zakrwawiony rękaw marynarki albo ostrze noża.

- Należała do Carbone'a - powiedziałem. - Marshall zostawił te ślady, kiedy jechał w bagażniku.

Znaleźli nóż?

- Nie - odparł Franz. - Ale wszędzie w bagażniku są odciski palców Marshalla.

- To by się zgadzało - mruknąłem. - Spędził tam kilka godzin.

- Pod matą był pojedynczy żołnierski identyfikator - dodał Franz. - Tak jakby ktoś przerwał łańcuszek i jeden z nich zsunął się i spadł.

- Należał do Carbone'a? - zapytałem.

- Nie inaczej.

- Amatorszczyzna - oceniłem. - Coś jeszcze?

- W większości typowe rzeczy. W samochodzie panował nieporządek. Dużo włosów, włókien, opakowań po batonach, puszek po napojach, tego rodzaju rzeczy.

- Jakies pojemniki po jogurcie?

- Jeden - odparł Franz. - W bagażniku.

- Truskawkowym czy malinowym?

- Truskawkowym. Odciski Marshalla na folii. Wygląda na to, że go wypił.

- Otworzył go, ale nie wypił - powiedziałem.

- Była też pusta koperta - oświadczył Franz. - Zaadresowana do Kramera w dwunastym korpusie w Niemczech. Nadana pocztą lotniczą rok temu. Bez adresu nadawcy. W takiej kopercie wysyła się zdjęcia, ale w środku nic nie było.

Nie odezwałem się. Franz spojrzał na mnie w lusterku.

- Czy to dobre wiadomości? - zapytał. Uśmiechnąłem się.

- Pomogą nam przejść od czystych spekulacji do procesu poszlakowego.

- To wielki krok dla ludzkości - powiedział.

W tym momencie przestałem się uśmiechać i uciekłem spojrzeniem w bok. Pomyślałem o sierżancie Carbonie, o pułkowniku Brubakerze i o pani Kramer. A także o pani Reacher. W



pierwszych dniach stycznia 1990 roku na całym świecie umierali ludzie.

Dotarcie do Fort Irwin zajęło nam ostatecznie ponad godzinę. Uznałem, że to, co ludzie mówią o autostradach w Los Angeles, to szczerą prawdą. Zajmująca dużą część pustyni Mojave baza wyglądała tak samo jak zwykle i panował w niej ten sam co zwykle ruch. Zawsze stacjonował tutaj ten czy inny pułk kawalerii pancernej, pełniący rotacyjnie funkcję gospodarza, kiedy na ćwiczenia przybywały inne jednostki. Szkolenia odbywały się w prawdziwie pozytywnej atmosferze. Pogoda była zawsze dobra, a ludzie świetnie się czują, gdy mogą bawić się na słońcu dużymi, drogimi zabawkami.

- Chcesz przejść od razu do rzeczy? - zapytał Franz.

- Obserwujesz ich?

- Dyskretnie.

- W takim razie zjedźmy najpierw śniadanie.

Klub oficerski armii Stanów Zjednoczonych jest wymarzonym miejscem dla ludzi, których o mało nie zagłodzono na pokładzie samolotu. Bufet miał milę długości. Menu było takie samo jak w Niemczech, ale w Kalifornii sok pomarańczowy i owoce wydawały się bardziej prawdziwe. Zjadłem tyle co przeciętna kompania strzelecka, ale Summer zjadła jeszcze więcej. Franz jadł już wcześniej. Zatkanowałem tyle kawy, ile zdołałem w sobie zmieścić, i wstałem od stołu.

- Okay - powiedziałem. - Załatwmy to. Wróciliśmy do biura Franza, który zadzwonił do swoich ludzi.

Powiedzieli mu, że Marshall jest już na poligonie, ale Vassell i Coomer siedzą twardo w świetlicy hotelu oficerskiego. Franz

podwiózł nas tam swoim humvee. Wysiedliśmy. Świeciło jasne słońce. Powietrze było ciepłe i unosił się w nim pył. Czulem zapach małych, kłujących pustynnych roślin, które rosły jak wzrokiem sięgnąć.

Hotel oficerski w Fort Irwin wyglądał tak, jakby wybudował go ten sam przedsiębiorca budowlany, który wygrał przetarg na hotel w siedzibie dwunastego korpusu w Niemczech. Piaszczysty dziedziniec otaczały rzędy identycznych pokoi. Z boku były wspólne pomieszczenia: świetlice, pokoje telewizyjne, sale do gry w ping-ponga. Franz wszedł pierwszy, odsunął się na bok i zobaczyliśmy Vassella i Coomera siedzących obok siebie w dwóch obitych skórą fotelach. Zdałem sobie sprawę, że widziałem ich wcześniej tylko raz, kiedy weszli do mojego biura w Bird. Nieproporcjonalnie krótko, zważywszy na to, ile czasu o nich rozmyślałem.

Obaj mieli na sobie świeżo wyprasowane mundury polowe w pustynnym kamuflażu. Wyglądali w nich równie nienaturalnie jak w leśnym kamuflażu. Nadal robili wrażenie dwóch zabłąkanych rotarian. Vassell wciąż był łysy, a Coomer wciąż miał na nosie okulary.

Obaj podnieśli wzrok i spojrzeli na mnie.

Wzięłem głęboki oddech.

Wyżsi oficerowie.

Uporczywe nękanie.

Może się okazać, że to ty pójdziesz do więzienia.

- Generale Vassell i pułkownik Coomer - powiedziałem. - Aresztuję was pod zarzutem naruszenia przepisów ujednoliconego wojskowego kodeksu karnego poprzez spiskowanie ze sobą i z innymi osobami w celu popełnienia zabójstwa.

Wstrzymałem oddech.

Ale żaden z nich w ogóle nie zareagował. Żaden się nie odezwał. Po prostu się poddali. Wyglądali na zrezygnowanych. Tak jakby zapadła klamka i stało się nieuniknione. Jakby czekali na tę chwilę od samego początku. Jakby byli przekonani, że do tego dojdzie. Wypuściłem z płuc powietrze.

Powinni przechodzić

przez wszystkie stadia, typowe dla osób, które otrzymały złe wiadomości. Smutek, gniew, zaprzeczenie. Ale ci faceci mieli to już za sobą. To nie ulegało wątpliwości. Znaleźli się u kresu drogi, gotowi pogodzić się z losem.

Dałem znak Summer, żeby dopełniła formalności. W wojskowym kodeksie karnym były najróżniejsze rzeczy, które należało powiedzieć. Wszelkiego rodzaju dobre rady i ostrzeżenia. Summer wyrecytowała je lepiej, niż ja bym to zrobił. Zachowywała się jak profesjonalistka. Vassell i Coomer w ogóle nie zareagowali. Nie było żadnych okrzyków oburzenia, błagań, protestów. Po prostu kiwali posłusznie głowami w odpowiednich miejscach. Pod koniec nieproszeni wstali z foteli.

- Kajdanki? - zapytała mnie Summer. Pokiwałem głową.

- Jasne - odparłem. - I zaprowadź ich do paki. Nie zawoź ich samochodem, niech idą pieszo całą drogę. Niech wszyscy ich zobaczą. Przynieśli wstyd armii.

Po otrzymaniu wskazówek od faceta z kawalerii pancernej wziąłem hunwee Franza, żeby aresztować Marshalla. Miał siedzieć w budce nieopodal nieużywanego celu strzeleckiego. Nieużywanym celem strzeleckim był przestarzały czołg Sheridan. Z tego, co mi powiedziano, był nieźle poobijany. Budka była podobno w lepszym stanie. Nakazano mi trzymać się wyznaczonego szlaku, żeby uniknąć niewypałów i pustynnych żółwi. Gdybym najechał na niewypał, zginąłbym. Gdybym najechał na żółwia, dostałbym naganę od wydziału ochrony środowiska.

Wyjechałem sam z bazy dokładnie o wpół do dziesiątej rano. Nie chciałem czekać na Summer. Miała na głowie formalności związane z zatrzymaniem Vassella i Coomera. Uznałem, że dotarliśmy do kresu długiej podróży, i chciałem mieć to już za sobą. Zabrałem ze sobą wyłącznie pożyczoną broń krótką i była to zła decyzja.

23

Należąca do Fort Irwin część pustyni Mojave była wystarczająco duża, by móc udawać rozległe pustynie Bliskiego Wschodu albo jeśli zignorowało się upał i piasek, bezkresne stopy wschodniej Europy. To oznaczało, że straciłem z oczu główne budynki bazy, zanim jeszcze pokonałem jedną dziesiątą drogi do zapowiadzanego czołgu. Teren wokół mnie był kompletnie pusty. Hunwee wydawał się tam bardzo mały. Był styczeń, w związku z czym powietrze nie falowało od upału, ale temperatura była i tak wysoka. Włączyłem to, co w nieoficjalnej instrukcji humvee nazywa się klimatyzacją 2-40, to znaczy otworzyłem obie szyby i rozpędziłem się do czterdziestu mil na godzinę. Uzyskałem w ten sposób całkiem przyzwoity wiaterek. Jazda hunwee z prędkością czterdziestu mil na godzinę może wydać się szybka z powodu jego rozmiarów. Ale w otaczającym mnie bezkresie miałem wrażenie, że w ogóle się nie poruszam.

Godzinę później nadal jechałem z szybkością czterdziestu mil na godzinę i nadal nie odnalazłem budki. Poligon nie miał końca. Znajdowałem się na jednym z największych na świecie poligonów. To pewne. Może Rosjanie mieli gdzieś jakieś większe miejsce, ale raczej by mnie to zaskoczyło. Może mógłby mnie

o tym poinformować Willard. Uśmiechnąłem się pod nosem

i popędziłem dalej. Po jakimś czasie wjechałem na wzniesienie

i zobaczyłem niżej pustą równinę. Punktik na horyzoncie mógł być budką. Obłoki pyłu mniej więcej pięć mil na zachód mogły być sunącymi czołgami.

Trzymałem się drogi. Nadal jechałem czterdzięci mil na godzinę. Za mną ciągnął się ogon pyłu. Wpadające przez okno powietrze było gorące. Równina miała może trzy mile szerokości. Punktik na horyzoncie stał się plamką, która powiększała się w miarę, jak się do niej zbliżałem. Po przejechaniu mili rozróżniałem trzy oddzielne obiekty. Stary czołg po lewej stronie, budkę obserwacyjną po prawej i pośrodku humvee Marshalla, który stał na zachód od budynku w porannym cieniu. Była to chyba ta sama zwiadowczo-szturmowa wersja humvee, którą widziałem w dwunastym korpusie w Niemczech. Budynek wzniesiono na planie kwadratu z prostych betonowych bloczków. Zamiast okien miał wielkie nieoszlone otwory. Czołg, stary M5 51 z aluminiowym pancierzem, zaczynał swą karierę w woj sku jako pojazd rozpoznawczy. Ważył cztery razy mniej od abramsa i był dokładnie tym typem lekkiego pojazdu opancerzonego, w

którym ludzie w rodzaju podpułkownika Simona widzieli przyszłość armii. Miały go na stanie niektóre nasze dywizje powietrzne. To nie była zła maszyna, lecz ten egzemplarz praktycznie się rozsypywał. Doczepiono do niego ścianki z dykty, żeby przypominał jakiś sowiecki czołg poprzedniej generacji. Nie było sensu szkolić naszych chłopców w strzelaniu do czegoś, czego nadal używali nasi inni chłopcy.

Nie zjeżdżając z drogi, zatrzymałem się mniej więcej trzydzieści jardów na południe od budki. Otworzyłem drzwiczki i wysiadłem. Domyślałem się, że temperatura nie przekracza dwudziestu stopni, ale po Karolinie Północnej, Frankfurcie i Paryżu miałem wrażenie, jakbym znalazł się w Arabii Saudyjskiej.

Zobaczyłem, że Marshall obserwuje mnie przez otwór w ścianie budki.

Widziałem go tylko raz i nigdy twarzą w twarz. Siedział w grand marquisie w dzień Nowego Roku, przed budynkiem

dowództwa Fort Bird, w ciemności, za zabarwioną na zielono szybą. Zrobił na mnie wówczas wrażenie wysokiego i śniadego i potwierdziły to jego dane osobowe. Teraz wyglądał tak samo. Wysoki, ciemny, oliwkowa skóra. Krótko przycięte, gęste czarne włosy. Był w pustynnym kamuflażu i lekko się pochylał, żeby wyjrzeć przez otwór w ścianie.

Stanąłem przy moim hunwee. Facet obserwował mnie w milczeniu.

- Marshall! - zawałałem. Nie zareagował.

- Jesteś tam sam? Żadnej odpowiedzi.

- Tu żandarmeria! - zawałałem głośniej. - Wszyscy natychmiast wyjść z budynku!

Nikt nie odpowiedział. Nikt nie wyszedł. Nadal widziałem przez otwór Marshalla. On nadal widział mnie. Domyśliłem się, że jest sam. Gdyby był tam ktoś jeszcze, wyszedłby na dwór. Nikt inny nie miał powodu się mnie obawiać.

- Marshall! - zawałałem ponownie.

Nagle zniknął z pola widzenia. Po prostu dał krok do tyłu i skrył się w ciemnym wnętrzu. Wyjąłem z kieszeni pożyczony pistolet. Był to nowy egzemplarz beretty M9. Przypomniałem sobie stare strzeleckie credo: Nigdy nie ufaj broni, której osobiście nie sprawdziłeś. Przeładowałem. Zgrzyt zamka odbił się głośnym echem w panującej na pustyni ciszy. Zobaczyłem tuman pyłu na zachodzie. Był chyba trochę większy i trochę bliższy niż wcześniej. Odbezpieczyłem berettę.

- Marshall! - zawałałem.

Nie odpowiedział. Usłyszałem jednak bardzo niewyraźnie cichy głos, a potem trzaski dochodzące z radia. Na dachu budki nie było anteny. Musiał tam mieć przenośną radiostację polową.

Po kogo teraz zadzwonisz, pomyślałem. Po kawalerię?

I nagle to sobie uświadomiłem. Dzwonił po kawalerię. Po pułk kawalerii pancernej. Odwróciłem się i spojrzałem na tuman kurzu na zachodzie. Zorientowałem się, jak wygląda sytuacja.

Byłem pośrodku odludzia, sam na sam z zabójcą. On krył się w budce, ja sterczałem na otwartym terenie. Moja partnerka, ważąca dziewięćdziesiąt funtów kobieta, znajdowała się pięćdziesiąt mil dalej. Jego kumple siedzieli w siedemdziesięcio-tonowych czołgach, które widziałem na horyzoncie.

Zszedłem szybko z drogi. Okrążyłem budkę i stanąłem po jej wschodniej stronie. Znowu zobaczyłem Marshalla. Przechodził od jednego otworu do drugiego i obserwował mnie. Po prostu się na mnie gapił.

- Niech pan wyjdzie z budki, majorze! - zawałałem. Przez dłuższą chwilę trwała cisza.

- Nie mam zamiaru! - odkrzyknął w końcu.

- Niech pan wyjdzie, majorze. Wie pan, dlaczego tu jestem. Marshall ponownie schował się w mroku.

- W tym momencie stawia pan opór przy aresztowaniu! - zawałałem.

Żadnej odpowiedzi. W ogóle żadnego dźwięku. Zacząłem dalej okrążyć budkę. W północnej ścianie nie było otworów. Wyłącznie żelazne drzwi. Zamknięte. Chyba nie miały zamka. Co można tam ukraść? Zgadywałem, że zgodnie z regulaminem Marshall nie powinien być uzbrojony.

Jakiego śmiertelnego wroga mógł się spodziewać obserwator ćwiczeń artyleryjskich? Z drugiej strony sprytny facet, który znajdował się w sytuacji Marshalla, powinien być przygotowany na każdą ewentualność.

Od żelaznych drzwi prowadziły ścieżki do miejsc, w których ludzie zaparkowali swoje pojazdy. Architekt krajobrazu nazwałby je przedeptami. Żaden nie wiódł na północ, w moją stronę. Wszystkie biegly z grubsza na wschód albo zachód. Tam gdzie padał cień rankiem albo tam, gdzie padał cień po południu. Podszedłem do drzwi na odległość dziesięciu jardów i zatrzymałem się. Na pozór była to dobra pozycja. Może lepiej było stanąć tutaj, niż dojść do samych drzwi i ryzykować, że coś mnie zaskoczy. Mogłem tu czekać cały dzień. Żaden problem. Był styczeń. Słońce nie powinno zrobić mi krzywdy. Mogłem czekać, aż Marshall się podda. Albo umrze z głodu. W przeciwieństwie

do niego najadłem się. A jeśli wyjdzie i zacznie strzelać, ja zastrzelę go pierwszy. To też nie powinno mi sprawić kłopotu.

Problem stanowiły otwory w betonowej budce. W pozostałych trzech ścianach. Miały wielkość normalnych okien. Wystarczająco dużych, by przecisnął się przez nie mężczyzna nawet tak duży jak Marshall. Mógł wyjść przez otwór w zachodniej ścianie i pobiec do swojego hunwee. Albo przez otwór w południowej i pobiec do mojego. Pojazdy wojskowe nie mają kluczyków, tylko wielkie czerwone przyciski startera, żeby spanikowani żołnierze mogli wskoczyć do nich i wynosić się, gdzie pieprz rośnie. A ja nie mogłem obserwować jednocześnie zachodniej i południowej ściany. Nie z miejsca, w którym byłem osłonięty.

Czy potrzebowałem osłony?

Czy Marshall był uzbrojony?

Nie miałem pojęcia, jak się tego dowiedzieć.

Nigdy nie ufaj broni, której osobiście nie sprawdziłeś.

Wycelowałem w sam środek żelaznych drzwi i pociągnąłem za spust. Beretta zadziałała. I to całkiem dobrze. Z lufy poszedł płomień wylotowy, rozległ się huk wystrzału, a potem głośny brzęk i pocisk zostawił jasną szczerbę w oddalonym ode mnie o dziesięć jardów metalu.

Poczekalem, aż umilknie echo.

- Marshall! - zawołałem. - Stawiasz opór przy aresztowaniu. Zamierzam obejść tę budkę i zacząć strzelać przez otwory okienne. Albo zginięsz trafiony pociskiem, albo poranią cię rykoszety. Jeśli będziesz chciał, żebym przestał, wystarczy, że wyjdiesz z podniesionymi rękoma.

Znowu usłyszałem trzaski z głośnika radiostacji.

Obszedłem szybko budkę, kierując się na zachód i trzymając pochyloną głowę. Jeśli był uzbrojony, powinien strzelić, ale podejrzewałem, że chybi. Gdyby dano mi do wyboru, z kim mam się strzelać, każdego dnia w tygodniu zdecydowałbym się na jajogłowego planistę. Z drugiej strony całkiem dobrze poradził sobie z Carbone'em i Brubakerem. Poszerzyłem więc nieco

promień mojego obchodu, żeby schować się ewentualnie za jego hunwee. Albo za starym sheridanem.

W połowie drogi zatrzymałem się i strzeliłem. Składanie obietnic, a potem ich niedotrzymywanie nie jest najlepszą taktyką. Celowałem jednak tak, żeby pocisk wewnątrz najpierw odbił się od sufitu i dwóch ścian, a potem dopiero ewentualnie go trafił. Wytraci większość energii i z tego względu nie robi mu dużej krzywdy. Dziewięćmilimetrowe parabellum jest porządnym pociskiem, ale nie ma magicznych właściwości.

Stałem za maską hunwee Marshalla i oparłem rękę, w której trzymałem pistolet, na ciepłym metalu. Kamuflażowy lakier był szorstki, jakby dodano do niego soli. Wycelowałem w budkę. Znajdowałem się teraz w niewielkim zagłębieniu terenu i budka była wyżej. Oddałem kolejny strzał w drugi górny róg okna.

- Marshall! - zawołałem. - Jeśli chcesz popełnić samobójstwo, mogę ci w tym pomóc.

Żadnej odpowiedzi. Wystrzeliłem trzy kule. Zostało mi dwanaście. Sprytny facet położyłby się po prostu na podłodze i czekał, aż skończy mi się amunicja. Wszystkie tory moich pocisków

przebiegały nad nim, ponieważ kryłem się w zagłębieniu. I z powodu okiennych parapetów. Mógłbym spróbować celować tak, by pociski odbiły się od sufitu i od przeciwległej ściany, ale trajektoria rykoszetów nie przypomina gry w bilard. Nie można przewidzieć ich kierunku i nie można na nich polegać.

Zobaczyłem jakiś ruch w oknie.

Miał broń.

I nie był to pistolet. Zobaczyłem, jak w moją stronę wysuwa się wielka szeroka lufa. Czarna. Była chyba gruba jak rynna. Domyśliłem się, że to ithaca mag-10. Niesamowita broń. Jeśli interesuje was potężna broń gładkolufowa, nie znajdziecie nic lepszego od maga-10. Nazywają ją „blokadą drogową”, ponieważ przebija bez trudu cienką karoserię. Pochyliłem się i ustawiłem tak, żeby między mną i budką znajdował się blok silnika hunwee. Starłem się maksymalnie skurczyć.

A potem znowu usłyszałem radio. Ze środka budki. Połączenie

było bardzo krótkie i niewyraźne. Słyszałem głównie trzaski i nie zdołałem zrozumieć konkretnych słów, lecz ich rytm i melodia wskazywały, że rozmówca Marshalla zadaje mu jakieś pytanie. Na przykład „może pan powtórzyć?”. Słyszysz się coś takiego po wydaniu bulwersującego rozkazu.

Usłyszałem to samo pytanie zadane powtórnie. „Może pan powtórzyć?”. A potem usłyszałem głos Marshalla. Ledwie słyszalny. Trzy sylaby. Na przykład „potwierdzam”.

Z kim on rozmawiał i komu wydawał rozkazy?

- Daj spokój, Marshall! - zawołałem. - Jak głęboko chcesz się znaleźć w gównie?

Było to pytanie, które ktoś negocjujący z porywaczem nazwałby „wywierającym presję”. Powinno zdołać porywacza. Jednak z prawnego punktu widzenia nie miało sensu. Wiedziałem, że jeśli Marshall mnie zastrzeli, trafi do Leavenworth na czterysta lat. Jeżeli tego nie zrobi, trafi na trzysta. Praktycznie żadna różnica. Człowiek rozumujący racjonalnie zignorowałby tę odzywkę.

Marshall ją zignorował. Był cholernie racjonalny. Zignorował ją i zamiast tego oddał strzał z ithaki, czyli uczynił dokładnie to, co sam bym zrobił.

Teoretycznie była to chwila, na którą czekałem. Zaraz po strzale z broni długiej, która wymaga kilku czynności, zanim będzie można znowu pociągnąć za spust, napastnik jest bezbronny. Powinienem natychmiast wyskoczyć z ukrycia i odpowiedzieć ogniem. Jednak sama siła uderzenia pocisków ogłuszyła mnie i sprawiła, że spóźniłem się pół sekundy. Śruciny były gęsto skupione i trafiły w przednie koło humvee. Poczulem, że pęka opona. Przedni róg pojazdu opadł o dziesięć cali. W powietrze wzbił się dym i pył. Kiedy spojrzałem pół sekundy później w stronę budki, lufa zniknęła. Strzeliłem w sufit pośrodku okna. Chciałem, żeby pocisk odbił się od niego pionowo i przebił mu czaszkę.

Nie udało mi się tego zrobić.

- Ładuję broń! - zawołał do mnie Marshall.

Przez chwilę się zastanawiałem. Chyba nie mówił prawdy. W magu-10 mieszczą się trzy naboje. Na razie wystrzelił jeden. Chciał pewnie, żebym wyskoczył z ukrycia i go zaatakował. Podczas gdy on wyprostuje się i z uśmiechem zrobi ze mnie mokrą plamę. Zostałem tam, gdzie byłem. W przeciwieństwie do niego nie mogłem powtórnie załadować broni. Oddałem cztery strzały, zostało mi jedenaście.

Usłyszałem ponownie radio. Krótkie trzaski, cztery sylaby, opadająca melodia. Rozkaz przyjęty.

Marshall oddał kolejny strzał. Zobaczyłem, jak czarna lufa przesuwają się w oknie, rozległ się kolejny głośny huk eksplozji i tylny róg hunwee opadł o dziesięć cali. Po prostu siadł. Położyłem się na ziemi i zerknąłem pod spód. Facet strzelał w opony. Humvee może jeździć na flakach. Tak go zaprojektowano. Nie może jednak jeździć na kołach pozbawionych opon. A tak duży śrutowy pocisk nie przebija po prostu opony. On ją zdejmuję. Zrywa ją z dwudziestocalowej felgi i zostawia na niej wyłącznie małe, cienkie strzępy gumy.

Marshall unieszkodliwiał własnego hunwee, żeby potem zwać moim.

Podniosłem się z ziemi i ukucnąłem za maską. Właściwie byłem teraz bezpieczniejszy niż wcześniej. Wielki pojazd przechylił się w dół od strony pasażera i aż do samej ziemi byłem

osłonięty solidną masą metalu. Przywarłem do przedniego błotnika. Między mną i lufą strzelby był ważący sześćset funtów żeliwny blok silnika. Poczulem zapach ropy. Z pękniętego przewodu szybko wyciekało paliwo. Humvee nie miał już opon i wkrótce będzie miał pusty bak. Nie mogłem jednak nasączyć koszuli paliwem, zapalić jej i cisnąć do budki. Nie miałem zapalek. A poza tym ropa nie jest tak łatwopalna jak benzyna. To po prostu tłusta ciecz. Żeby eksplodować, musi wyparować i zostać poddana wysokiemu ciśnieniu. Dlatego właśnie hunwee zaopatrzone w silnik Diesla. Ze względów bezpieczeństwa.

- Teraz naprawdę ładuję broń! - zawołał Marshall.

Odczekałem chwilę. Mówił prawdę czy kłamał? Chyba mówił prawdę. Lecz w gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodziło. Nie zamierzałem go atakować. Miałem lepszy pomysł. Podczoł-gałem się wzduż hunwee i wyjrzałem zza tylnego zderzaka. Na południu widziałem mój pojazd. Na północy prawie cały teren aż do budki. Między nimi znajdowała się otwarta przestrzeń szerokości dwudziestu pięciu jardów. Coś w rodzaju ziemi niczyjej. Żeby dostać się do mojego humvee, Marshall musiałby przebiec dwadzieścia pięć jardów, a ja przez cały czas miałbym go na muszce. Biegłby prawdopodobnie tyłem, ostrzeliwując się. Ale w jego strzelbie mieściły się tylko trzy naboje. Gdyby zechciał prowadzić stały ogień, musiałby strzelać co osiem jardów. Jeśli wystrzela wszystkie trzy na oślep na samym początku, przez resztę drogi będzie bezbronny. Tak czy owak nie mogło mu się udać. To pewne jak amen w pacierzu. Miałem jedenaście nabojów, celny pistolet i stalowy zderzak, na którym mogłem oprzeć dłoń.

Uśmiechnąłem się i czekałem.

I nagle rozpadł się stojący za mną sheridan.

Usłyszałem szum powietrza, zupełnie jakby nadlatywał pocisk wielkości volkswagena, i odwróciłem się akurat na czas, żeby zobaczyć, że staryczołg rozsypuje się niczym uderzony przez pociąg. Podskoczył pół metra w górę, okrywająca go dykta poszła w drzazgi, a wieżyczka spadła z pierścienia, powoli obróciła się w powietrzu i wylądowała na piasku dziesięć stóp ode mnie.

Nie było eksplozji. Wyłącznie basowy chrobot metalu o metal. A potem zapadła złowroga cisza.

Odwróciłem się z powrotem. Zerknąłem na otwarty teren. Marshall nadal siedział w budce. Chwilę później nad moją głową przemknął cień i zobaczyłem w powietrzu pocisk, który wskutek dziwnego złudzenia, jakie ma się w przypadku dalekosiężnej artylerii, poruszał się jakby w zwolnionym tempie. Przeleciał nade mną, zatoczył idealny łuk i wałnął w pustynię pięćdziesiąt jardów dalej, wbijając się głęboko w ziemię i wzniesając wielki tuman pyłu i piasku.

Nie było eksplozji.

Strzelali do mnie ćwiczebnymi pociskami.

W oddali usłyszałem wycie turbin i zgrzyt kół zębatych, rolek i gąsienic. Stłumiony ryk silników pędzących w moim kierunkuczołgów. Usłyszałem niewyraźne bum, kiedy strzeliło wielkie działo. Potem nic, szum w powietrzu, wreszcie chrobot rozdzieranego metalu, kiedy sheridan został trafiony powtórnie. Bez eksplozji. Pocisk ćwiczebny jest tej samej wielkości co normalny, ma tę samą wagę i tyle samo materiału miotającego. W czubku jednak nie ma materiału wybuchowego. To po prostu kawał głupiego metalu. Tak jak pocisk karabinowy, tyle że szerokości pięciu cali i długości ponad stopy.

Marshall zmienił cel ćwiczebny.

O tym właśnie szwargotał z nimi przez radio. Kazał im przerwać to, co robili pięć mil na zachód, ruszyć w jego kierunku i ostrzelać jego pozycję. Nie mogli w to uwierzyć. Może pan powtórzyć? Może pan powtórzyć? Potwierdzam, odparł Marshall.

Zmienił cel ich ćwiczeń, żeby ułatwić sobie ucieczkę.

Ile tam byłoczołgów? Ile zostało mi czasu? Jeśli w pobliżu było dwadzieściaczołgów, trafienie w cel wielkości człowieka nie zajmie im dużo czasu. Najwyżej parę minut. To jasne. Wynikało z praw statystyki. A oberwanie szerokim na pięć cali i długim na stopę pociskiem to żadna przyjemność. Prawie tak samo fatalne mogło się okazać znalezienie się w bezpośredniej bliskości celu. Wążący pięćdziesiąt funtów kawał metalu uderzający w hunwee, za którym się kryłem,

rozparcelowałyby go na fruwające z naddźwiękową prędkością odłamki wielkości małych nożyków. Niepotrzebny materiał wybuchowy - niszcząca była sama energia kinetyczna. Podobny efekt wywarłby wybuchający obok mnie szrapnel.

Usłyszałem nieregularne bum, bum na północny zachód ode mnie. Niskie, głuche dźwięki. Dwa działa oddające strzał w bliskim odstępie czasu. Bliższym niż poprzednio. Jeden pocisk poleciał daleko, ale drugi zszedł w dół i trafił w bok sheridana, przechodząc przez jego aluminiowy pancerz tak, jak kula kalibru

.38 przechodzi przez puszkę. Gdyby mógł to zobaczyć podpułkownik Simon, być może zmieniłby zdanie na temat przyszłości.

Huknęły kolejne działa. Jedno po drugim. Nierówną salwą. Nie usłyszałem eksplozji. Ale brutalny, przerażający fizyczny hałas był chyba jeszcze gorszy. Przypominał jakiś pierwotny jazgot. Powietrze szumiało. Ślepe pociski waliły w ziemię z głębokim bezmyślnym łoskotem. Metal zgrzytał o metal, jakby jacyś starożytni mocarze walczyli na miecze. Wielkie fragmenty sheridana toczyły się i sunęły z brzękiem po piasku. W powietrzu unosił się pył i kurz. Krztusiłem się nim. Marshall nadal siedział w budce. Kucałem, nisko pochylony, i celowałem z beretty w otwarty teren. Czekałem. Starłem się opanować drżenie ręki. Wbijałem desperacko wzrok w otwarty teren. Nie rozumiałem tego. Marshall musiał wiedzieć, że nie może dłużej czekać. Wywołał burzę, istną nawałnicę metalu. Atakowały nas abramsy. Mój hunwee mógł zostać trafiony w każdej chwili. Na jego oczach zniknie zaraz jedyny pojazd, który dawał mu jedyną szansę ucieczki. Uniesie się w powietrze i spadnie na dach. Wynikało to z praw statystyki. Chyba że najpierw zostanie trafiona budka i zawali się wokół niego. Zginie pogrzebany pod stosem gruzu. Stanie się albo jedno, albo drugie. To nie ulegało wątpliwości. Więc dlaczego, do diabła, nie ruszał się z miejsca?

Nagle ukląknęłam i popatrzyłam na budkę.

Domyśliłam się dlaczego.

Chciał popełnić samobójstwo.

Zaproponowałam, że pomogę mu je popełnić, ale on wołał, by pomogły mu w tym czołgi. Widział, że nadjeżdżam, i domyślił się, kim jestem. Podobnie jak Vassell i Coomer przyczał się i siedział dzień po dniu, czekając, aż kłamka zapadnie. W końcu ta kłamka zapadła, z czego zdał sobie sprawę, widząc wyłaniającego się z pustynnego pyłu hunwee. Przemyślał sprawę, podjął decyzję i skontaktował się ze swoimi podwładnymi przez radio.

Zamierzał zginąć i pociągnąć mnie za sobą.

Słyszałam, że czołgi są teraz całkiem blisko. Nie dalej niż osiemset albo dziewięćset jardów. Słyszałam zgrzytanie i chrzęst gąsienic. Nadal jechały z dużą szybkością, rozjeżdżając się promieniście, tak jak o tym piszą w podręczniku. Kołyszac się i tocząc. Wzbijając za sobą pióropusze pyłu. Formując ruchome półkole z wielkimi armatami skierowanymi do środka niczym szprychy.

Schowałam się ponownie za zderzakiem i spojrzałam na moje hunwee. Jeśli do niego pobiegnę, schowany w budce Marshall z pewnością mnie zastrzeli. Nie było co do tego wątpliwości. Dwadzieścia pięć jardów otwartego terenu musiały wydawać mu się równie obiecujące jak mnie.

Czekałam.

Słyszac huk działa i szum lecącego pocisku, zerwałam się i pobiegłam w drugą stronę. Sekundę później usłyszałam kolejny huk i szum. Pierwszy pocisk walnął w sheridana i przewrócił go na dach, drugi trafił w hunwee Marshalla, kompletnie go niszcząc. Padłam na ziemię przy północnym rogu budki. Czołgając się pod samą ścianę, słyszałam, jak odłamki metalu bombardują betonowe bloczki i jak w końcu rozpada się z łoskotem pancerz starego czołgu.

Czołgi znajdowały się teraz bardzo blisko. Warkot ich silników podnosił się i opadał, kiedy wspinały się na wzniesienia i zjeżdżały w dół. Słyszałam zgrzyt gąsienic uderzających o osłony. Słyszałam wycie hydrauliki, kiedy przesuwaly się działa.

Podniosłam się na nogi, wyprostowałam i otarłam kurz z oczu. Podeszedłam do żelaznych drzwi. Zobaczyłam jasny odprysk w miejscu, w którym trafiłam je z beretty. Wiedziałam, że Marshall

może stać przy południowym oknie, patrząc, czy nie biegnę, albo przy zachodnim, wypatrując, czy nie leżę martwy za wrakiem. Wiedziałem, że jest wysoki i praworęczny. Ustawiłem sobie w głowie hipotetyczny cel. Położyłem lewą rękę na klamce i czekałem.

Następne pociski odpalono tak szybko, że usłyszałem huk i szum prawie jednocześnie. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Marshall stał przede mną w jasnym prostokącie okna. Patrzył na południe. Wycelowałem w jego prawą łopatkę, nacisnąłem spust i w tej samej chwili pocisk zerwał dach z budki. Pomieszczenie natychmiast wypełniła chmura pyłu i spadły na mnie belki, fragmenty blachy falistej i fruujące w powietrzu kawałki betonu. Padłem na kolana, a potem na twarz. Przywalił mnie gruz. Nie widziałem Marshalla. Dźwignąłem się z powrotem na kolana i zacząłem machać rękoma, żeby zrzucić z siebie to, co mnie przygniatało. Pył unosił się poszarpaną spiralą w górę i zobaczyłem nad sobą jasny błękit nieba. Wszędzie dokoła słyszałem chrzęst gąsienic. A potem usłyszałem kolejny huk i szum i od budki oderwał się jej przedni róg. Był tam, a chwilę później zniknął. Wydawał się solidny, a chwilę później zmienił się we frunący ku mnie z szybkością dźwięku tuman kurzu. Gorące powietrze ponownie zbiło mnie z nóg.

Podniosłem się i poczołgałem do przodu. Przebijałem się po prostu przez leżące belki i kawałki popękane go betonu. Odgarniałem na bok arkusze poskręcanej blachy. Byłem niczym pług. Niczym buldożer sunący naprzód, odsuwający szczątki na lewo i na prawo. W środku było za dużo pyłu, żeby zobaczyć coś poza światłem słońca. Widziałem je przed sobą. Jasność z przodu, ciemność z tyłu. Czołgałem się dalej.

Znalazłem maga-10. Miał zmiażdżoną lufę. Odrzuciłem go na bok i brnąłem dalej. Znalazłem leżącego na podłodze Marshalla. Nie poruszał się. Odgarnąłem z niego gruz, złapałem za kołnierz, ustawiłem w pozycji siedzącej i dowlokłem do ściany. Oparłem się o nią plecami, podniosłem się i wymacałem okno. Przez cały czas krztusiłem się i plułem pyłem, który wchodził mi do gardła i do oczu. Podciągnąłem Marshalla do okna i wyrzuciłem go na zewnątrz, a potem wyczołgałem się w ślad za nim. Pełznąąc na czworakach, złapałem go ponownie za kołnierz i zacząłem odciągać od budki. Na zewnątrz pył się rozwiewał. Po lewej i prawej stronie, może w odległości trzystu jardów zobaczyłem czołgi. Dużo czołgów. Rozgrzany metal w jaskrawym świetle słońca. Okrzykiwały nas. Ustawiły się w idealnym kręgu, z pracującymi na jałowym biegu silnikami i nisko opuszczonymi, wycelowanymi w nas działami. Usłyszałem ponownie huk i szum

i zobaczyłem jasny płomień wylotowy. Czołg zakołysał się do tyłu pod wpływem siły odrzutu, a pocisk przeleciał dokładnie nad nami. Zobaczyłem go w powietrzu. Usłyszałem, jak przekracza barierę dźwięku z trzaskiem, który brzmiał tak, jakby ktoś komuś łamał szyję. Usłyszałem, jak trafia w ruinę budki. Poczułem, jak w plecy uderza mnie chmura kurzu i grad betonowych odłamków. Padłem na twarz i leżałem nieruchomo, uwięziony na ziemi niczyjej.

A potem oddał strzał kolejny czołg. Zobaczyłem, jak się zakołysał. Siła odrzutu była tak wielka, że jego przód stanął niemal dęba w powietrzu. Pocisk przeleciał z wizgiem nad naszymi głowami. Zacząłem się dalej czołgać. Za sobą ciągnąłem Marshalla i pełzłem po ziemi, jakbym płynął wpraw. Nie miałem pojęcia, co im powiedział przez radio. Nie miałem pojęcia, jakie wydał rozkazy. Musiał ich zapewnić, że się ewakuuje. Może dodał, że mogą również celować w oba pojazdy. To chyba tłumaczyło prośbę o powtórzenie rozkazu. Może powiedział im, że hunwee są spisane na straty. Może w to właśnie trudno im było uwierzyć.

Wiedziałem jednak, że nieprędko przestaną strzelać. Ponieważ nas nie widzieli. Pył kłębił się niczym dym, a z opancerzonego abramsas w ogóle niewiele widać. Człowiek czuje się w nim, jakby spoglądał do przodu przez plastikową torbę z wyciętym na dole małym kwadratowym otworkiem. Zatrzymałem się na chwilę, odgarnąłem pył sprzed oczu, odkaslnąłem i spojrzałem przed siebie. Byliśmy blisko mojego humvee.

Stał na ziemi równo i prosto.

Wydawał się nietknięty.

Na razie.

Wstałem, przebiegłem truchtem ostatnie dziesięć stóp, podciągnąłem Marshalla do drzwi po stronie



pasażera, otworzyłem je i posadziłem go z przodu. Potem przelazłem przez niego i siadłem za kierownicą. Wcisnąłem ten wielki czerwony przycisk, uruchomiłem silnik, wrzuciłem bieg i wdepnąłem gaz tak mocno, że drzwi zamknęły się pod wpływem siły przyspieszenia. Na stępnie zapaliłem światła, dodałem gazu i zaatakowałem. Summer byłaby ze mnie dumna. Pędziłem prosto na Abramsy. Dwieście jardów. Sto jardów. Wybrałem miejsce, dokładnie wycelowałem i przemknąłem pomiędzy dwoma szturmowymi czołgami, pędząc ponad osiemdziesiąt mil na godzinę.

Zwolniłem mniej więcej po mili. Zatrzymałem się po kolejnej mili. Marshall żył. Był jednak nieprzytomny i obficie krwawił. Mój strzał okazał się celny. Kula z beretty przeszła na wylot przez jego bark, zostawiając wielką paskudną ranę postrzałową i gruchocząc łopatkę. Miał poza tym mnóstwo innych obrażeń odniesionych w wyniku zaważenia się budki. Zmieszana z cementowym pyłem krew utworzyła coś w rodzaju czerwonej pasty. Usadziłem go lepiej w fotelu, zapiąłem mocno pasami, po czym rozerwałem zestaw pierwszej pomocy, założyłem mu opaski uciskowe po obu stronach barku, wstrzyknąłem morfinę i napisałem na czole ołówkiem woskowym literę M, tak jak to się robi na polu bitwy. Dzięki temu lekarze nie dadzą mu zbyt dużej dawki, kiedy trafi do szpitala.

Następnie przeszedłem się dokoła samochodu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Po prostu chodziłem przez chwilę bez celu tam i z powrotem, kaszląc, plując i próbując się otrzepać. Byłem obolały i posiniaczony kawałkami betonu. Dwie mile za sobą nadal słyszałem ostrzeliwujące budkę czołgi. Zakładałem, że czekają na rozkaz przerwania ognia. Zgadywałem, że prędzej skończą im się pociski, zanim go otrzymają.

Przez cały czas miałem włączoną klimatyzację 2-40. Mniej więcej w połowie drogi Marshall się ocknął. Zobaczyłem, jak jego podbródek podnosi się z piersi. Zobaczyłem, jak patrzy przed siebie, a potem odwraca się w lewo i spogląda na mnie. Był naszprycowany morfiną i miał bezwładną prawą rękę, lecz mimo to uważałem. Gdyby złapał kierownicę lewą ręką, moglibyśmy wypaść z drogi i najechać na jakiś niewypał. Albo żółwia. Zdjąłem więc prawą rękę z kierownicy, zamachnąłem się i pacnąłem go na odlew pięścią między oczy. To był porządny, solidny cios. Z powrotem go uśpił. Ręczna narkoza. Nie oprzytomniał aż do powrotu do bazy.

Zawiozłem go prosto do znajdującego się na terenie bazy szpitala. Zadzwoiłem do Franza z pokoju pielęgniarek i zamówiłem drużynę wartowników. Zaczekałem na nich i obiecałem awans i medale każdemu, kto pomoże dopilnować, żeby Marshall trafił na salę sądową. Kazałem przeczytać mu jego prawa, kiedy tylko się obudzi. I poleciłem im czuwać, żeby nie popełnił samobójstwa. Następnie zostawiłem ich i pojechałem do biura Franza. Mój mundur polowy był cały podarty i sztywny od kurzu i domyśliłem się, że moja twarz i dłonie nie wyglądają lepiej, ponieważ Franz wybuchnął śmiechem na mój widok.

- Widzę, że gryzipiórki stawiają czasem twardy opór - rzucił.
- Gdzie jest Summer? - zapytałem.
- Wysłała teleks do Wojskowego Biura Śledczego - odparł. - Rozmawia z ludźmi przez telefon.
- Straciłem twoją berettę - poinformowałem go.
- Gdzie?
- W miejscu, w którym odnajdzie ją za sto lat zespół archeologów.
- Czy mój hunwee jest w porządku?
- W lepszym stanie niż Marshalla.

Znalazłem swoją torbę i pusty pokój w hotelu oficerskim i wziąłem długi gorący prysznic. Następnie przełożyłem zawartość kieszeni do nowego munduru polowego i wyrzuciłem do śmieci stary. Każdy kwatermistrz zgodziłby się, że został zniszczony w stopniu, który uniemożliwia jego użycie w przyszłości. Tak przynajmniej zakładałem. Przez chwilę siedziałem na łóżku. Po prostu wdychałem i wydychałem powietrze. Potem wróciłem do biura Franza. Znalazłem tam Summer. Była cała rozpromieniona. W rękę trzymała nową teczkę, w której było już sporo kartek.

- Jesteśmy kryci - oświadczyła. - W Wojskowym Biurze Śledczym powiedzieli, że aresztowania były uzasadnione.
- Przedstawiłaś im nasze argumenty?
- Powiedzieli, że będą potrzebne zeznania. Nie odezwałem się.
- Jutro musimy się spotkać z prokuratorami - dodała.
- Sama to zrobisz - odparłem. - Mnie tam nie będzie.
- Dlaczego nie? Nie odpowiedziałem.
- Dobrze się czujesz?
- Czy Vassell i Coomer zeznają? Summer pokręciła głową.
- Nie powiedzieli ani słowa. Wojskowe Biuro Śledcze przewozi ich dzisiaj do Waszyngtonu. Przydzielono im obrońców.
- Coś jest nie w porządku - powiedziałem.
- Co?
- To potoczyło się o wiele za łatwo. - Przez chwilę się zastanawiałem. - Musimy wracać do Fort Bird. Natychmiast.

Franz pożyczył mi pięćdziesiąt dolców i dał dwa vouchery podróżne. Podpisałem je sam, a kontrasygnatę złożył Leon Garber, mimo że stacjonował tysiące mil dalej, w Korei. Następnie Franz odwiózł nas z powrotem na lotnisko Los Angeles. Wziął służbowy samochód, ponieważ w jego humvee było pełno krwi Marshalla. Ruch był nieduży i szybko dotarliśmy na miejsce. Weszliśmy do hali odlotów i wymieniliśmy vouchery na dwa miejsca w pierwszym samolocie startującym do Waszyngtonu. Nadałem moją torbę na bagaż. Tym razem nie chciałem jej mieć przy sobie. Wystartowaliśmy o trzeciej po południu. Spędziliśmy w Kalifornii dokładnie osiem godzin.

24

Lecąc na wschód, musieliśmy oddać godziny, które zarobiliśmy w drodze na zachód. Kiedy wylądowaliśmy w Waszyngtonie, była jedenasta wieczór. Odebrałem swoją torbę z taśmociągu i pojechaliśmy autobusem na parking długoterminowy. Chevrolet czekał na nas tam, gdzie go zostawiliśmy. Wydaliśmy kilka z otrzymanych od Franza pięćdziesięciu dolarów na benzynę, a potem Summer zawiozła nas do Bird. Jechała tak samo szybko jak zwykle, tą samą co zwykle trasą, I-95, mijając wszystkie nasze stare miejsca: posterunek policji stanowej, pobocze, gdzie znaleziono teczkę, miejsce obsługi podróżnych, wielopoziomowe skrzyżowanie, motel oraz bar ze striptizem. W Fort Bird zapisano nas przy bramie o trzeciej w nocy. W bazie panował spokój. Spowijała ją nocna mgła. Nic się nie poruszało.

- Dokąd? - zapytała Summer.
- Do koszar Delt - odpowiedziałem.

Podjechała do bramy starego więzienia i strażnik wpuścił nas do środka. Zatrzymaliśmy się na ich głównym parkingu. W ciemności zobaczyłem czerwoną corvette Trifonowa. Stała na uboczu, niedaleko ściany, z której wystawał kran z węzem. Wyglądała na bardzo czystą.

- Po co tu przyjechaliśmy? - zapytała Summer.

- Mamy bardzo słabe dowody - powiedziałem. - Sama

tak twierdziłaś. I miałaś rację. Są bardzo słabe. To, co znaleziono w samochodzie, z pewnością pomoże, ale proces będzie czysto poszlakowy. Nie mamy nic, co jednoznacznie wskazywałoby na obecność Vassella, Coomera i Marshalla w którymkolwiek z miejsc zbrodni. Nie możemy udowodnić, że Marshall trzymał w ręku ten łom. Nie możemy udowodnić, że nie zjadł tego jogurtu, żeby się posilić. I zdecydowanie nie możemy udowodnić, że Vassell i Coomer kazali mi cokolwiek zrobić. Kiedy dojdzie co do czego, mogą twierdzić, że był samotnym wilkiem, który wymknął się spod kontroli.

- I co z tego?

- Weszliśmy tam i aresztowaliśmy dwóch wyższych oficerów, mając bardzo słabe i poszlakowe

dowody. Co powinno się zdarzyć?

- Powinni się bronić. Pokiwałem głową.
- Powinni parsknąć śmiechem. Powinni nas wyśmiać. Powinni poczuć się urażeni. Powinni się oburzyć i zagrozić nam konsekwencjami. Powinni nas stamtąd wyrzucić. Ale nic takiego nie zrobili. Po prostu siedzieli sztywno w miejscu. I ich milczenie potwierdzało w pewnym sensie ich winę. Takie odniosłem wrażenie. Tak to przyjąłem.
- Ja też - przyznała Summer.
- Więc dlaczego się nie bronili? Przez chwilę milczała.
- Poczucie winy? - zapytała. Potrząsnąłem głową.
- Oszczędź mi tych bajek.

Summer nie odzywała się jeszcze przez moment.

- Cholera - zaklęła w końcu. - Może po prostu czekają. Może mają zamiar obalić zarzuty w obecności wszystkich. Jutro w Waszyngtonie, kiedy spotkają się ze swoimi adwokatami. Żeby nas zniszczyć. Pokazać, gdzie jest nasze miejsce. Może chcą się na nas odegrać.

Ponownie potrząsnąłem głową.

- O co ich oskarżyłem?
- O spisek w celu popełnienia zabójstwa. Pokiwałem głową.
- Myślę, że mnie źle zrozumieli.
- Mówiłeś jasno i wyraźnie.
- Zrozumieli słowa. Ale nie kontekst. Mówiłem o jednym, a oni myśleli, że mówię o czymś innym.

Myśleli, że mówię

o zupełnie innej sprawie. Przyznali się do udziału w przestępczym spisku, Summer. Przyznali się do czegoś, co ich zdaniem może zostać udowodnione ponad wszelką wątpliwość.

Summer się nie odezwała.

- Program konferencji - powiedziałem. - Nadal nie został odnaleziony. Nie odzyskali go. Carbone wystrychnął ich na dudka. Otworzyli teczkę tam na autostradzie, ale programu w niej nie było. Zniknął.

- Więc gdzie jest?

- Pokażę ci gdzie - odparłem. - Dlatego tu wróciliśmy. Żebyś mogła go jutro wykorzystać w Waszyngtonie. Wesprzeć nim wszystkie inne dowody. Słabe dowody.

Wysiedliśmy z samochodu. Na dworze było zimno. Otworzyliśmy drzwi koszar i weszliśmy do środka. Słyszałem odgłosy wydawane przez śpiących facetów. Czułem w nozdrzach kwaśny zapach męskich sypialni. Idąc labiryntem korytarzy i skręcając po ciemku w lewo i prawo, dotarliśmy w końcu do kwatery Carbone'a. Cella była pusta i nienaruszona. Weszliśmy do środka i zapaliłem światło. Podszedłem do łóżka, wyciągnąłem rękę i przesunąłem palcami po grzbietach książek stojących na półce. Wyjąłem cienką i wysoką książkę poświęconą Rolling Stonesom. Potrząsnąłem nią.

Na podłogę wypadł czterostronicowy program konferencji. Wbiliśmy w niego wzrok.

- Brubaker kazał go schować - powiedziałem. Podniosłem program i podałem go Summer. Zgasilem światło,

wyszedłem na korytarz i stanąłem twarzą w twarz z młodym sierżantem Delty z brodą i opalenizną. Był boso i miał na sobie

bokserki i T-shirt. Sądząc po jego oddechu, przed czterema godzinami pił piwo.

- No, no - mruknął. - Patrzcie, kogo tutaj mamy. Nie odezwałem się.
- Obudziłeś mnie, gadając - powiedział. - Zapalając i gasząc światło.

Nie odezwałem się.

Sierżant zajrzał do celi Carbone'a.

- Przestępca wraca na miejsce zbrodni.
- To nie jest miejsce, w którym zginął.
- Wiesz, o co mi chodzi - odparł, a potem uśmiechnął się i zobaczyłem, że zaciska dłonie w pięści.

Pchnąłem go lewym przedramieniem na ścianę. Jego czaszka uderzyła o beton i oczy zasnuły się na chwilę mgłą. Trzymałem nadal przedramię na jego piersi. Wbiłem łokieć w jego prawy biceps i rozczapierzone palce w lewy. Przygwoździłem go do ściany. Oparłem się na nim całym ciężarem i nie zmieniałem pozycji tak długo, aż zaczął mieć problemy z oddychaniem.

- Zrób mi tę uprzejmość i czytaj w tym tygodniu codziennie gazety - powiedziałem, po czym wsadziłem wolną rękę do kieszeni marynarki i znalazłem nabój. Ten, który wcześniej mi dostarczył. Ten, na którym wyryli moje nazwisko. Złapałem go palcem wskazującym i kciukiem przy samej podstawie. Mosiadz zaśnił w przyćmionym świetle. - Popatrz - powiedziałem i pokazałem mu go. A potem wetknąłem mu nabój do nosa.

Moja sierżant, matka małego synka, siedziała za swoim biurkiem. Nastawiła wcześniej kawę. Nalałem dwa kubki i zaniósłem je do gabinetu. Summer dzierżyła w rękę program niczym Irofeum. Wyjęła spinacz i rozłożyła cztery kartki na moim biurku.

To był oryginalny maszynopis. Nie kserokopie, nie faks i nie fotokopie. To nie ulegało wątpliwości. Między linijkami i na marginesach wpisano odręcznie uwagi i poprawki. Mogłem rozróżnić trzy charaktery pisma. W większości, jak się domyślałem, Kramera, ale również Vassella i Coomera. Mieliśmy do czynienia z projektem będącym podstawą dyskusji. To też nie ulegało wątpliwości. Jego treść była przedmiotem głębokiej analizy i zastanowienia.

Na pierwszej stronie przedstawiono problemy, z jakimi borykają się wojska pancerne. Jednostki zintegrowane, utrata prestiżu. Niebezpieczeństwo, że trzeba będzie przekazać dowodzenie innym. Ton był posepny, lecz mieścił się w normie. I spostrzeżenia były zgodne z tym, co mówił szef sztabu.

Na drugiej i trzeciej stronie zawarto z grubsza to, o czym mówiłem Summer. Proponowane metody zdyskredytowania kluczowych przeciwników, przy użyciu maksymalnej ilości brudów. Niektóre z uwag na marginesach wskazywały na konkretne brudy i wiele z nich było bardzo interesujących. Zastanawiałem się, skąd wzięli tego rodzaju informacje. I czy ludzie z Wojskowego Biura Śledczego pójdą ich tropem. Ktoś pewnie to zrobi. Śledztwa tak właśnie wyglądają. Prowadzą w najróżniejszych kierunkach.

Były tam pomysły społecznych kampanii propagandowych. Większość nie bardzo trzymała się kupy. Ci faceci nie mieli styczności ze społeczeństwem, odkąd wsiedli do autobusu, który zawiózł ich do West Point. Były odniesienia do wielkich producentów broni. Były pomysły politycznych inicjatyw w obrębie Departamentu Armii i Kongresu. Część politycznych pomysłów była zakreślona kółkami i połączona strzałkami z producentami broni. Wiele wskazywało, że politycy są z nimi mocno związani. Najwyraźniej w jedną stronę szły pieniądze, a w drugą przysługi. Wymieniony był z nazwiska sekretarz obrony. Jego wsparcie traktowano jako w zasadzie oczywiste. W jednej z linijek jego nazwisko podkreślono i opatrzone komentarzem „opłacony i kupiony”. Generalnie na trzech pierwszych stronach pełno było rzeczy, których można oczekiwać od aroganckich oficerów broniących zastanego status quo. Rzeczy, które były paskudne, podle i świadczyły o skrajnej desperacji. Nie było tam jednak nic, za co można wsadzić za kratki.

Te rzeczy znajdowały się na czwartej stronie.

Widniał na niej dziwaczny nagłówek: „UBW, Dodatkowa Mila”. Pod spodem był cytat ze Sztuki wojny Sun Tzu: „Nie-przyjęcie bitwy z wrogiem, kiedy zostało się przypartym do muru, oznacza zagładę”. Obok na marginesie widniała dodana ołówkiem notatka, której autorem był, jak sądziłem, Vassell: „Chociaż zimna krew w obliczu katastrofy jest najlepszym świadectwem odwagi dowódcy, energia, z jaką prowadzi pościg, jest najpewniejszym sprawdzianem jego siły woli. Wavell”.

- Kto to jest Wavell? - zapytała Summer.

- Dawny brytyjski marszałek polny - odpowiedziałem. - Z drugiej wojny światowej. Potem został wicekrólem Indii. Był ślepy na jedno oko w wyniku kontuzji, którą odniósł podczas pierwszej wojny światowej.

Pod cytatem z Wavella był inny dopisek ołówkiem, skreślony inną ręką. Prawdopodobnie

Coomera. „Ochotnicy?“, napisał. „Ja? Marshall?“. Te trzy słowa były zakreślane i połączone z nagłówkiem UBW.

- O co tutaj chodzi? - zapytała Summer.

- Czytaj dalej - powiedziałem.

Pod cytatem z Sun Tzu widniała napisana na maszynie lista osiemnastu nazwisk. Znałem większość z nich. Byli wśród nich kluczowi dowódcy batalionów z prestiżowych dywizji, takich jak osiemdziesiąta druga i sto pierwsza, byli ważni sztabowcy z Pentagonu i kilka innych osób. Razem tworzyli ciekawą kombinację, jeśli chodzi o wiek i rangę. W zasadzie nie było tam młodszych oficerów, ale lista nie ograniczała się wyłącznie do wyższych szarż. Było tam kilka wschodzących gwiazd i kilku wolnych strzelców. Paru nazwisk nie znałem. Nigdy nie słyszałem o ludziach, którzy je nosili. Na przykład o facecie o nazwisku Abelson. Nie wiedziałem, kim jest. Przy jego nazwisku był zaznaczony ołówkiem ptaszek. Nikt inny go nie miał.

- Co oznacza ten ptaszek? - zapytała Summer. Zadzwoiłem do mojej sierżant dyżurującej w sekretariacie.

- Słyszałaś kiedyś o facecie o nazwisku Abelson? - zapytałem ją.

- Nie - odparła.

- Dowiedz się, kto to taki - powiedziałem. - To pewnie podpułkownik albo ktoś wyższy rangą.

Spojrzałem z powrotem na listę. Była krótka, lecz dość łatwa do zinterpretowania. Lista osiemnastu kości w szybko ewoluującym szkielecie. Względnie osiemnastu nerwów w skomplikowanym układzie nerwowym. Kiedy się je usunie, cała część armii będzie w jakimś stopniu unieszkodliwiona. Na pewno na dzień dzisiejszy. Ale, co ważniejsze, będzie również unieszkodliwiona jutro. Z powodu wschodzących gwiazd. Z powodu zatrzymanej ewolucji. Z tego, co wiedziałem o ludziach, których nazwiska znałem, ta część armii, która miała zostać unieszkodliwiona, składała się wyłącznie z lekkich jednostek. Ściśle rzecz biorąc, tych jednostek, które spoglądały raczej w stronę dwudziestego pierwszego, a nie dziewiętnastego wieku. W milionowej armii osiemnaście osób to niedużo. Ale stanowiły genialnie wybraną próbkę. Ten wybór musiało poprzedzać dokładne rozpoznanie. Precyzyjne ustawianie celu. Byli tam ludzie, którzy trzymali w rękę sznurki. Analitycy i planiści. Gwiazdorzy. Gdyby ktoś chciał poznać listę ludzi, których obecność lub nieobecność mogła wpłynąć na to, co stanie się w przyszłości, miał ją przed oczyma, napisaną na maszynie, z odpowiednimi odstępami.

Zadzwoił mój telefon. Włączyłem głośnik i usłyszałem głos mojej sierżant.

- Abelson był dowódcą eskadry helikopterów Apache - powiedziała. - Wie pan, tych helikopterów szturmowych. Tych, których wirniki tak głośno łomoczą.

- Był? - zapytałem.

- Zginął dzień przed Nowym Rokiem. Najechał go samochód w Heidelbergu w Niemczech. Sprawca zbiegł z miejsca wypadku.

Wyłączyłem głośnik.

- Swan wspominał o tym - powiedziałem. - Teraz sobie przypomniałem.

- Ptaszek - mruknęła Summer. Pokiwałem głową.

- Jeden odhaczony, zostało siedemnastu.

- Co znaczy skrót UBW?

- Pochodzi z żargonu CIA - odparłem. - „Usunąć bezwarunkowo“.

Nie odezwała się.

- Innymi słowy zabić - dodałem.

Siedzieliśmy w milczeniu przez bardzo długą chwilę. Spojrzałem ponownie na śmieszne cytaty. Bitwa z wrogiem. Przyparty do muru. Świadectwo odwagi dowódcy. Najpewniejszy sprawdzian jego siły woli. Próbowałem wyobrazić sobie, jakiego rodzaju chory kompleks wyższości mógł skłonić ludzi do opatrzenia wzniosłymi cytatami listy osób, których chcieli zabić, by móc zachować swoje stanowiska i prestiż. Nie bardzo mi się to udawało, dałem więc sobie spokój. Złożyłem razem cztery kartki i wcisnąłem z powrotem spinacz w dziurki. Wyjąłem z szuflady

kopertę i wsunąłem do niej program konferencji.

- Ten program był w niewiadomym miejscu od pierwszego stycznia - powiedziałem. - A od czwartego wiedzieli, że przepadł na dobre. Nie było go w teczce i nie znaleźli go przy Brubakerze. Dlatego byli zrezygnowani. Dali za wygraną tydzień temu. Zabili trzy osoby, próbując go odnaleźć, ale wszystko na próżno. Dlatego siedzieli tam, wiedząc, że wcześniej czy później pojawi się i zostaną zdemaskowani.

Przesunąłem kopertę w jej stronę.

- Użyj go - powiedziałem. - Użyj go w Waszyngtonie. Użyj go, żeby dobrać im się do skóry.

Dochodziła już czwarta rano i Summer musiała natychmiast jechać do Pentagonu. Poszedłem do łóżka i przespałem się cztery godziny. Obudziłem się o ósmej. Miałem jeszcze jedną rzecz do załatwienia i wiedziałem dobrze, że jest jeszcze jedna rzecz, którą ktoś musiał załatwić ze mną.

25

Dotarłem do mojego biura o dziewiątej rano. Mojej sierżant nie było już w sekretariacie. Zastąpił ją kapral z Luizjany.

- Przyjechali do pana ludzie z Wojskowego Biura Śledczego - powiedział, wskazując kciukiem drzwi do gabinetu. - Wpuściłem ich do środka.

Pokiwałem głową. Rozejrzałem się za kawą. Nie było jej. Zły początek. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Zobaczyłem dwóch facetów. Jeden z nich siedział na krześle dla gości. Drugi za moim biurkiem. Obaj mieli na sobie mundury wyjściowe i odznaki Wojskowego Biura Śledczego w klapach. Mały złoty wieniec przecięty szablą i strzałą. Facet siedzący na krześle był kapitanem, ten za moim biurkiem podpułkownikiem.

- Gdzie mam usiąść? - zapytałem.

- Gdzie pan chce - odparł podpułkownik. Nie odezwałem się.

- Widziałem teleksy z Fort Irwin - powiedział. - Proszę przyjąć moje szczerze gratulacje, majorze. Wspaniale się pan spisał.

Nie odezwałem się.

- Słyszałem również o programie konferencji - dodał. - Właśnie telefonowano do mnie z biura szefa sztabu. Tu też należą się panu gratulacje. Ta jedna sprawa potwierdza słuszność całej operacji Argon.

- Nie przyszłście tutaj, żeby porozmawiać ze mną o tamtej sprawie.

- Nie - odparł. - Nie po to. Ta dyskusja odbywa się w Pentagonie i bierze w niej udział pani porucznik.

Wziąłem wolne krzesło dla gości i postawiłem je przy ścianie, pod mapą. Usiadłem na nim. Odchyliłem się do tyłu. Podniosłem rękę nad głowę i przez chwilę bawiłem się pineskami. Pułkownik pochylił się do przodu, spojrzał na mnie i czekał. Tak jakby chciał, żebym odezwał się pierwszy.

- Znajduje pan w tym przyjemność? - zapytałem.

- To moja praca.

- Lubi pan swoją pracę?

- Nie zawsze - odparł. Nie odpowiedziałem.

- Ta sprawa jest jak fala na plaży - powiedział. - Wielka fala, która obmywa i zalewa piasek, a potem zatrzymuje się i odpływa, nie zostawiając żadnych śladów.

Nie odezwałem się.

- Tyle że ta fala coś po sobie zostawiła - dokończył. - Zostawiła szczątki wraku dokładnie tam, na linii przyboju, i musimy coś z tym zrobić.

Czekał, aż się odezwę. Zastanawiałem się, czy nie powinienem przez cały czas milczeć. Zmusić go, żeby sam odwalił całą robotę. W końcu jednak wzruszyłem ramionami i dałem za wygraną.

- Skarga na brutalne zachowanie - powiedziałem. Pułkownik pokiwał głową.

- Pułkownik Willard zwrócił na to naszą uwagę. I nie bardzo wiadomo, co z tym zrobić. Zarzut użycia bez upoważnienia voucherów podróźnych można od biedy oddalić, ponieważ dzięki lemu posunął pan do przodu śledztwo. Ze skargą wygląda to inaczej. Ponieważ ci dwaj cywile najwyraźniej nie są związani z całą sprawą.

- Zostałem mylnie poinformowany - oznajmiłem.

- Obawiam się, że to nie zmienia samego faktu.

- Wasz świadek nie żyje.

- Zostawił podpisane oświadczenie. To tak jakby złożył zeznanie przed sądem. Będzie zawsze ważne.

Nie odezwałem się.

- Rzecz sprowadza się do prostego stwierdzenia faktu - powiedział pułkownik. - Do prostej odpowiedzi. Tak albo nie. Czy zrobił pan to, co zarzuca panu Carbone?

Nie odezwałem się. Pułkownik wstał.

- Może pan to omówić ze swoim obrońcą - oznajmił. Zerknąłem na kapitana. Najwyraźniej był moim adwokatem.

Pułkownik wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Kapitan pochylił się w moją stronę, podał rękę i przedstawił się.

- Powinien pan ułatwić pułkownikowi zadanie - powiedział. - Daje panu okazję wyjścia z tego z twarzą. Ta cała historia to farsa.

- Narozrabiałem - mruknąłem. - Wojsko musi dać mi po łapach.

- Myli się pan. Nikt nie chce pana z tego powodu prześladować. Całą sprawę rozdmuchał po prostu Willard. Więc musimy załatwić ją legę artis.

- To znaczy?

- Musi pan po prostu zaprzeczyć. To podważy prawdziwość oświadczenia Carbone'a, a ponieważ nie można doprowadzić do konfrontacji, którą gwarantuje panu szósta poprawka, skarga zostanie automatycznie oddalona.

Siedziałem nieruchomo.

- Jak to zostanie załatwione? - zapytałem.

- Napisze pan oświadczenie, podobnie jak to zrobił Carbone. On mówi czarne, pan mówi białe i problem mamy z głowy.

- To będzie oficjalny dokument?

- Zajmie nam to pięć minut. Możemy to zrobić tutaj. Pański kapral może to przepisać na maszynie i poświadczyć. Cholernie proste.

Pokiwałem głową.

- Jaka jest alternatywa? - zapytałem.

- Musiałby pan mieć nie po kolei w głowie, żeby w ogóle myśleć o jakiejś alternatywie.

- Co się wydarzy?

- To tak jakby przyznał się pan do winy.

- Co się wydarzy? - powtórzyłem.

- Kiedy przyzna się pan do winy? Utrata stopnia i żołdu od dnia, w którym doszło do incydentu. Wydział spraw cywilnych nie pozwoli nam wymierzyć panu niższej kary.

Nie odezwałem się.

- Zostanie pan zdegradowany do stopnia kapitana. I przesunięty do normalnej jednostki żandarmerii, ponieważ w sto dziesiątej nie będą już pana chcieli. Taka jest zwięzła odpowiedź. Ale musiałby pan mieć nie po kolei w głowie, żeby o tym myśleć. Jedyne, co pan musi zrobić, to zaprzeczyć.

Siedziałem tam i myślałem o sierżancie Carbonie. Trzydzieści pięć lat, z tego szesnaście w służbie. Piechota, wojska desantowe, rangersi, Delta. Szesnaście lat harówki. Nie zrobił nic poza próbą zachowania sekretu, którego w ogóle nie powinien zachowywać. Oraz powiadomieniem swojej jednostki o zbliżającym się zagrożeniu. W jednym i drugim nie było nic złego. Ale zginął. Zginął w

lesie i leżał potem martwy na metalowym stole. A potem pomyślałem o grubasie z baru ze striptizem. Tak naprawdę nie przejmowałem się zbytnio farmerem. Złamany nos to nic wielkiego. Za to grubas został poważnie poszkodowany. Z drugiej strony nie należał do najporządniej szych obywateli Karoliny Północnej. Gubernator nie powinien go raczej przedstawić do odznaczenia.

Myślałem o tych dwóch facetach przez dłuższą chwilę. O sierżancie Carbonie i o grubasie na parkingu. A potem pomyślałem o sobie. Wschodząca gwiazda, waśniak ze specjalnej jednostki dochodzeniowej, facet robiący szybką karierę.

- Okay - powiedziałem. - Niech pan sprowadzi z powrotem pułkownika.

Kapitan wstał z krzesła i otworzył drzwi. Przytrzymał je przed pułkownikiem. Zamknął je za nim. Ponownie usiadł obok mnie. Pułkownik minął nas i zasiadł za biurkiem.

- Dobrze, miejmy to już za sobą - oświadczył. - Skarga jest bezpodstawna, prawda?

Spojrzałem na niego w milczeniu.

- Czyżby?

Będziesz postępował właściwie.

- Skarga jest prawdziwa - powiedziałem. Pułkownik wbił we mnie wzrok. - Skarga jest słuszna - dodałem. - W każdym szczególe. Incydent przebiegł dokładnie tak, jak go opisał Carbone.

- Chryste - mruknął pułkownik.

- Zwariował pan? - zapytał kapitan.

- Pewnie tak - odpowiedziałem. - Ale Carbone nie był kłamcą. To nie powinna być ostatnia rzecz, którą wpiszą do jego akt. Zasluguje na coś lepszego. Miał za sobą szesnaście lat służby.

W pokoju zapadła cisza. Wszyscy siedzieliśmy bez ruchu. Czekają ich sporo papierkowej roboty. Ja miałem ponownie zostać kapitanem. Bez widoków na stanowisko w jednostce specjalnej. Ale nie była to dla mnie wielka niespodzianka. Wiedziałem, co mnie czeka, odkąd zamknąłem oczy w samolocie i zobaczyłem, jak zaczynają się sypać kostki domina, jedna po drugiej.

- Mam jedną prośbę - powiedziałem. - Chciałbym dostać dwudniowe odroczenie. Od zaraz.

- Dlaczego?

- Muszę jechać na pogrzeb. Nie chcę błagać mojego nowego dowódcy o urlop.

Pułkownik uciekł spojrzeniem w bok.

- Udzielam - powiedział.

Wróciłem na kwaterę i spakowałem do torby wszystkie swoje rzeczy. Pobrałem żołd i zostawiłem w kopercie pięćdziesiąt dwa dolary dla mojej sierżant. Wysłałem pięćdziesiąt Franzowi. Odebrałem od patologa łom, którego użył Marshall, i dołożyłem

go do tego, który pożyczaliśmy w sklepie. Następnie udałem się do kolumny transportu i rozejrzałem za pojazdem, który mógłbym pożyczyć. Z zaskoczeniem odkryłem, że wciąż stoi tam wynajęty samochód Kramera.

- Nikt nam nie powiedział, co mamy z nim zrobić - oświadczył pracownik.

- Dlaczego?

- Pan mi to powie. To pan prowadzi tę sprawę. Chciałem pojazdu, który nie rzuciłby się w oczy, a mały

czerwony ford wyróżniał się na tle całej tej czerni i oliwkowej zieleni. Po chwili zdałem sobie jednak sprawę, że tam na zewnątrz sytuacja będzie wyglądała odwrotnie. Za bramą bazy to mały czerwony ford nie będzie przyciągał niczyich spojrzeń.

- Odprowadzę go - powiedziałem. - I tak jadę na lotnisko Dullesa.

Nie trzeba było wypełniać żadnych papierów, ponieważ pojazd nie należał do wojska.

Opuściłem Fort Bird dwadzieścia po dziesiątej rano i ruszyłem na północ do Green Valley. Jechałem o wiele wolniej niż wcześniej, ponieważ ford był wolnym samochodem, a ja nie byłem takim kierowcą jak Summer. Nie zatrzymałem się na lunch. Jechałem po prostu przed siebie. Dotarłem na posterunek policji kwadrans po trzeciej po południu. Odnalazłem detektywa Clarka przy jego biurku w zagrodzie. Poinformowałem go, że jego sprawa jest zamknięta i że Summer



zapozna go ze szczegółami. Zabrałem łom, który pożyczył, i przejechałem dziesięć mil do Sperryville. Wcisnąłem się w wąską alejkę i zaparkowałem przed sklepem z artykułami żelaznymi. Okno zostało naprawione. Dykta zniknęła. Zrzuciłem sobie wszystkie trzy łomy na ramię, wszedłem do sklepu i oddałem je starszemu panu za ladą. Następnie wróciłem do samochodu, wyjechałem z miasta i ruszyłem do Waszyngtonu.

Skręciłem w obwodnicę Beltway i przejechałem nią krótki odcinek w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Szukałem najgorszej dzielnicy, jaką uda mi się znaleźć. Miałem spory wybór. Wybrałem teren zabudowany rozpadającymi się magazynami, między którymi biegły wąskie alejki. Znalazłem to, na czym mi zależało, w trzeciej z nich. Zobaczyłem, jak z ceglanego budynku wychodzi wymizerowana dziwka. Wszedłem tam za nią i znalazłem faceta w kapeluszu. Miał to, czego chciałem. Minutę trwało, zanim nabraliśmy do siebie zaufania. W końcu jednak, jak to się wszędzie dzieje, gotówka pomogła przewyciężyć dzielące nas różnice. Zakupiłem trochę marihuany, trochę speedu i dwie działki cracka. Widziałem, że facet nie był zachwycony nabytą przeze mnie ilością. Widziałem, że uznał mnie za amatora.

Następnie pojechałem do Rock Creek w Wirginii. Dotarłem tam przed piątą po południu. Zaparkowałem trzysta jardów przed dowództwem sto dziesiątej jednostki specjalnej, na szczycie wzniesienia. Mogłem stąd widzieć, co dzieje się na parkingu za parkanem. Bez trudu dostrzegłem samochód Willarda. Wszystko mi o nim opowiedział. Klasyczny pontiac GTO. Stał tuż obok tylnego wyjścia. Zsunąłem się w fotelu, otworzyłem szerzej oczy i obserwowałem.

Wyszedł piętnaście po piątej. Urzędowe godziny pracy. Odpałił pontiaca, wrzucił wsteczny bieg i wyjechał ze swojego miejsca parkingowego. Uchyliłem wcześniej szybę, żeby do środka dostało się trochę świeżego powietrza, i chociaż dzieliło nas trzysta jardów, usłyszałem charakterystyczne dudnienie. Typowy dźwięk silnika w układzie V-8. Uznałem, że spodobałby się Summer. Zapamiętałem sobie, że jeśli kiedykolwiek wygram na loterii, powinienem jej kupić pontiaca GTO. Włączyłem silnik ford. Willard wyjechał z parkingu i skręcił

w moją stronę. Kiedy mnie mijał, zsunąłem się jeszcze niżej w fotelu, a potem policzyłem do pięciu, zawróciłem o sto osiemdziesiąt stopni i ruszyłem za nim. Siedzenie go było łatwe. Z opuszczoną szybą mogłem to robić, kierując się wyłącznie słuchem. Jechał dosyć wolno, blisko środkowej linii. Utrzymywałem za nim spory dystans, dbając o to, by nie zobaczył mnie w lusterku. Podążał na wschód, w kierunku przedmieść Waszyngtonu. Zakładałem, że wynajmuje coś w Arlington albo Maclean, z czasów, kiedy pracował w Pentagonie. Miałem nadzieję, że to nie jest mieszkanie. Bardziej prawdopodobny wydawał się dom. Z garażem na sportowy samochód. I to napawało mnie optymizmem.

To był dom. Stał przy wiejskiej uliczce, na ziemi niczyjej na północ od Arlington. Dużo drzew, w większości pozbawionych liści, w części iglastych. Działki miały nieregularne kształty, podjazdy były długie i kręte. Roślinność zaniedbana. Przed wjazdem na ulicę powinni zawiesić tabliczkę: Tylko dla rozwiedzionych lub samotnych pracowników rządowych o średnim dochodzie. To była tego rodzaju okolica. Nie całkiem idealna, ale lepsza od typowego przedmieścia z domami jak spod igły i podwórkami pełnymi bawiących się dzieci i podenerwowanych matek.

Minąłem jego dom, zaparkowałem milę dalej i siedząc w samochodzie, czekałem, aż zapadnie mrok.

O siódmej wieczór wysiadłem z samochodu. Było pochmurnie i mglisto. Żadnych gwiazd ani księżyc. Miałem na sobie mundur polowy w leśnym kamuflażu; byłem tak niewidoczny, jak tylko mogą to sprawić spece w Pentagonie. Zakładałem, że o siódmej domy będą w większości puste. Zakładałem, że wielu pracowników rządowych o średnim dochodzie ma ambicje stać się pracownikami rządowymi o wysokim dochodzie i w związku

z tym starają się zrobić wrażenie na tych, na których powinni je zrobić. Idąc ulicą równoległą do tej, przy której mieszkał Willard, znalazłem dwa sąsiadujące ze sobą zapuszczone podwórka. W żadnym z domów nie paliło się światło. Skręciłem w pierwszy podjazd, obszedłem pogrążony w mroku dom i przeciąłem tylne podwórko. Przez chwilę stałem bez ruchu. Nie zaszczekał żaden

pies. Doszedłem do granicy działki i ruszyłem wzdłuż płotu, aż znalazłem się na wysokości tylnego podwórka Willarda. Pośród stosów zeschniętej, skoszonej trawy stał zapomniany, zardzewiały grill. W wojsku nazwano by to totalnym rozprzężeniem.

Przecisnąłem się między sztachetami, przeciąłem tylne podwórko Willarda, okrążyłem jego garaż i podszedłem do drzwi frontowych. Na werandzie nie paliło się światło. Widok z ulicy był częściowo zasłonięty. Nie idealny, ale i nie najgorszy. Wcisnąłem łokciem dzwonek. Usłyszałem w środku jego dźwięk i po krótkiej chwili czyjeś kroki. Cofnąłem się. Willard otworzył drzwi. Bez żadnej zwłoki. Może czekał na chińskie żarcie. Albo na pizzę.

Pchnąłem go w pierś, żeby się cofnął. Wszedłem za nim do środka i zamknąłem stopą drzwi. Wnętrze domu było ponure, w powietrzu unosił się stęchły odór. Willard ścisnął dłońią słupkę schodów i próbował złapać oddech. Uderzyłem go w twarz i upadł. Kiedy znalazł się na czworakach, kopnąłem go mocno w tyłek i kopałem tak długo, aż pojął, czego od niego chcę, i ruszył, najszybciej jak mógł, w stronę kuchni. Dotarłszy tam, obrócił się i usiadł na podłodze, opierając się plecami o szafkę. W jego oczach widziałem strach, ale również dezorientację. Jakby nie mógł uwierzyć, że to robię. Jakby myślał: to wszystko z powodu postępowania dyscyplinarnego? Nie mieściło się to w jego umyśle biurokraty.

- Słyszałeś o Vassellu i Coomerze? - zapytałem. Przestraszony, pokiwał szybko głową.

- Pamiętasz porucznik Summer? Ponownie pokiwał głową.

- Zwróciła mi uwagę na pewną rzecz - oświadczyłem. - W zasadzie oczywistą. Powiedziała, że uszłoby im to na sucho, gdybym cię nie zignorował.

Willard nie odrywał ode mnie oczu.

- To sprawiło, że zacząłem się zastanawiać - podjąłem. - Co dokładnie zignorowałem?

Nie odezwał się.

- Źle cię oceniłem - powiedziałem. - Przepraszam. Myślałem, że ignoruję nadętego karierowicza i dupka. Myślałem, że ignoruję jakiegoś nerwowego durnego menedżera, któremu wydaje się, że wie lepiej. Ale to nieprawda. Ignorowałem coś zupełnie innego.

Willard dalej się we mnie wpatrywał.

- Sprawa Kramera nie wprawiła cię w zakłopotanie - oświadczyłem. - Nie byłeś oburzony tym, że nękam Vassella i Coomera. Kazać uznać śmierć Carbone'a za wypadek podczas szkolenia, nie występowałeś w obronie honoru armii. Wykonywałeś zadanie, które ci zlecono. Ktoś chciał zatuszować trzy zabójstwa i oddelegowano cię, żebyś to zrobił. Brałeś udział w celowym zacieraniu śladów, Willard. Na tym polegało twoje zadanie. I to właśnie zignorowałem. Jak inaczej nazwać to, co robiłeś, rozkazując mi nie prowadzić śledztwa w sprawie zabójstwa? To było zacieranie śladów, świadome, przemyślane i zaplanowane z wyprzedzeniem. Zaplanowane drugiego stycznia, kiedy Garber został odwołany, a ty zostałeś mianowany. Umieścili cię tam, żeby można było kontrolować to, co zaplanowali na czwartego stycznia. Nie ma innego wytłumaczenia.

Willard milczał.

- Myślałem, że chcieli mieć tutaj kogoś niekompetentnego, żeby wszystko potoczyło się zwykłym torem. Ale oni wymyślili coś lepszego. Umieścili na tym stanowisku sojusznika.

Willard milczał.

- Powinieneś odmówić - powiedziałem. - Gdybyś odmówił, nie zdecydowaliby się tego zrobić i Carbone i Brubaker nadal by żyli.

Willard milczał.

- Zabiłeś ich, Willard. W tym samym stopniu co oni. Ukucnąłem przy nim. Zacisnął pięści na podłodze i przywarł

bliżej plecami do szafki. Miał w oczach klęskę. Podjął jednak ostatnią próbę.

- Nie zdołasz nic udowodnić - powiedział. Tym razem to ja się nie odezwałem.

- Może to jednak była niekompetencja - oznajmił. - Nie pomyślałeś o tym? Jak można udowodnić, jakie były czyjeś intencje?

Milczałem. Jego spojrzenie stwardniało.

- Nie masz do czynienia z idiotami - powiedział. - Nigdzie nie ma żadnych dowodów.  
Wyjąłem z kieszeni berettę Franza. Tę, którą zabrałem na pustynię Mojave. Nie zgubiłem jej. Przyjechała ze mną z Kalifornii. Dlatego ten jeden raz odprawiłem swój bagaż. Nie pozwalają ludziom nosić broni w kabinie. Trzeba mieć na to specjalne zezwolenie.

- Ta spluwa jest spisana na straty - powiedziałem. - Oficjalnie nie istnieje.  
Willard wbił we mnie wzrok.

- Nie bądź głupi - wyjąkał. - Nie zdołasz nic udowodnić.  
- Ty też nie masz do czynienia z idiotą - powiedziałem.  
- Nie rozumiesz - odparł. - To był rozkaz. Z góry. Jesteśmy w wojsku. Wykonujemy rozkazy.  
Potrzęsnałem głową.

- Ta wymówka nigdy nie pomogła żadnemu żołnierzowi.  
- To był rozkaz - powtórzył.  
- Czyj?  
Willard zamknął po prostu oczy i potrząsnął głową.

- Nieważne - mruknąłem. - Wiem dokładnie, kto to był. I wiem, że nie zdołam mu się dobrać do skóry. Nie tam, gdzie teraz jest. Ale mogę się dobrać do skóry tobie. Będiesz moim posłańcem.  
Otworzył oczy.

- Nie zrobisz tego - powiedział.  
- Dlaczego nie odmówiłeś?  
- Nie mogłem odmówić. Trzeba było wybrać, po której jest się stronie. Nie rozumiesz tego?  
Wszyscy musimy to zrobić.  
Pokiwałem głową.

- Chyba tak.  
- Zachowuj się rozsądnie - powiedział. - Proszę.  
- Myślałem, że jesteś jednym zepsutym jabłkiem - oświadczyłem. - Ale zepsuta jest cała skrzynka. Dobre jabłka są nieliczne.  
Wbił we mnie wzrok.

- Przez ciebie straciłem wiarę - powiedziałem. - Przez ciebie i twoich cholernych przyjaciół.  
- W co straciłeś wiarę?  
- We wszystko.  
Podniosłem się. Dałem krok do tyłu. Odbezpieczyłem berettę. Willard wpatrywał się we mnie.

- Żegnaj, pułkowniku Willard - powiedziałem. Przystawiłem sobie lufę do skroni. Willard nie odrywał ode mnie wzroku.

- Żartowałem - mruknąłem i strzeliłem mu w środek czoła.  
To był typowy pełnopłaszczowy pocisk kalibru dziewięć milimetrów. Wbił tylną część jego czaszki w szafkę i pozostawił ją tam pośród potłuczonej porcelany. Wcisnąłem mu do kieszeni marihuanę, speed i crack razem z symbolicznym zwitkiem dolarów. A potem wyszedłem przez tylne drzwi, przecisnąłem się między sztachetami i wróciłem do samochodu. Usiadłem na fotelu kierowcy, otworzyłem torbę i zmieniłem buty. Zdjąłem te, które zostały zniszczone na pustyni Mojave, i włożyłem lepsze. Następnie ruszyłem na zachód, w stronę lotniska Dullesa. Przed samym lotniskiem skręciłem na parking, na który odstawia się wynajęte u Hertza auta. Szefowie wypożyczalni samochodów nie są głupi. Wiedzą, że ludzie je zaśmiecają. Że zostawiają w nich najróżniejsze odpadki. W związku z tym ustawiają przy parkingu wielkie kontenery w nadziei, że wynajmujący zachowują się przyzwoicie i wyrzucą sami przynajmniej część śmieci. W ten sposób oszczędzają na placach. Kiedy skróci się choćby o minutę czas obsługi samochodu, koszty personelu w ciągu roku spadają o pokaźną kwotę. Wyrzuciłem moje stare buty do jednego kontenera, a berettę do drugiego. Biorąc pod uwagę, ile aut wynajmuje Hertz na lotnisku Dullesa, kontenery musiały być opróżniane dość często.

Pokonałem pieszo całą drogę do terminalu. Nie miałem ochoty jechać autobusem. Pokazałem im moją legitymację wojskową i kupiłem za własne pieniądze bilet w jedną stronę na ten sam nocny lot Air France, który wybrał Joe, kiedy świat wyglądał inaczej.

Dotarłem na Avenue Rapp o ósmej rano. Joe powiedział mi, że samochody przyjadą o dziesiątej. Ogoliłem się więc i wziąłem prysznic w łazience dla gości, a potem znalazłem należącą do matki deskę do prasowania i bardzo starannie wyprasowałem swój mundur wyjściowy. Znalazłem również w szafce pastę i wyglansowałem buty. Potem ubrałem się. Przypiąłem do kurtki wszystkie medale, całe cztery rzędy. Robiąc to, stosowałem się ściśle do przepisów rozporządzenia regulującego ich kolejność i rozmieszczenie. Każdy zawisł na wstążce tego, który znajdował się w niższym rzędzie. Wziąłem ściereczkę i wytarłem je. Wytarłem również inne odznaki, w tym również po raz ostatni dębowe liście majora. Następnie wszedłem do pomalowanego na biało salonu, żeby zaczekać.

Joe był w białej koszuli, czarnym krawacie i czarnym garniturze. Nie jestem ekspertem w sprawach ubioru, ale podejrzewałem, że nowym. Uszytym z dobrego materiału. Być może z jedwabiu. A może kaszmiru. Nie wiedziałem. Był wspaniale skrojony. Do tego czarne buty. Wyglądał dobrze. Nigdy nie widziałem, żeby wyglądał lepiej. Jakoś się trzymał. Miał lekko podkrążone oczy. Nie rozmawialiśmy. Po prostu czekaliśmy.

Za pięć dziesiątą wyszliśmy na ulicę. Corbillard przyjechał z depôt mortuaire punktualnie, tak jak zapowiedziano. Za nim stanął czarny citroen. Wsiadliśmy do niego, zamknęliśmy drzwiczki i ruszyliśmy powoli i cicho za karawanem.

- Tylko my? - zapytałem.
- Z innymi spotkamy się na miejscu.
- Kto tam będzie?
- Lamonnier - odparł. - I kilku jej przyjaciół.
- Gdzie to się odbędzie?
- Na Pere Lachaise.

Pokiwałem głową. Pere Lachaise był słynnym starym cmentarzem. Bardzo szczególnym. Podejrzewałem, że matka mogła tam zostać pochowana dzięki swoim zasługom w ruchu oporu. Być może załatwił to Lamonnier.

- Jest oferta na mieszkanie - powiedział Joe.
- Ile dają?
- W dolarach twoja część będzie wynosiła około sześćdziesięciu tysięcy.
- Nie chcę ich - odparłem. - Oddaj moją działkę Lamon-nerowi. Niech znajdzie jakichś starszusków, którzy jeszcze żyją, i przekaże im. Na pewno zna tego rodzaju organizacje.
- Mówisz o starych żołnierzach?
- Niekoniecznie. O wszystkich, którzy postępowali właściwie we właściwym czasie.
- Jesteś pewien? Możesz potrzebować tych pieniędzy.
- Nie chcę ich.
- Okay - odparł. - Twój wybór.

Wyrzałem przez okno. Dzień był szary. Miodowe kolory Paryża zgasiła pogoda. Rzeka była mętna jak roztopione żelazo. Przejechaliśmy przez Place de la Bastille. Pere Lachaise leżał na północnym zachodzie miasta. Niezbyt daleko, ale nie tak blisko, jak mogło się wydawać. Wsiadliśmy z samochodu koło małego kiosku, w którym sprzedawano mapki pokazujące słynne groby. Na Pere Lachaise pochowano różnych sławnych ludzi. Chopina, Moliera, Edith Piaf, Jima Morrisona.

Przy bramie cmentarza czekali ludzie. Była tam konsjerżka z kamienicy mojej matki i dwie inne kobiety, których nie znałem. Karawaniarze wzięli trumnę na ramiona, przez chwilę stali w miejscu, a potem ruszyli wolnym marszem. Joe i ja poszliśmy za nimi, ramię przy ramieniu. Za nami podreptały trzy kobiety. Było zimno. Szliśmy żwirowanymi alejkami między dziwnymi europejskimi mauzoleami i nagrobkami. W końcu dotarliśmy do otwartego grobu. Stos wykopanej

ziemi przykryto zielonym dywanem, który miał chyba udawać trawę. Czekał tam na nas Lamonnier. Domyśliłem się, że dotarł na miejsce przed wyznaczonym czasem. Poruszał się pewnie wolniej niż kondukt pogrzebowy. Przypuszczalnie nie chciał nas zatrzymywać albo znaleźć się w krepującej sytuacji.

Karawaniarze ułożyli trumnę na specjalnych pasach, które wcześniej przygotowano. Następnie ponownie ją podnieśli, ustawili nad grobem i używając pasów, powoli i ostrożnie opuścili do dołu. Jakiś mężczyzna przeczytał kilka zdań z książki. Usłyszałem francuskie słowa i przypomniałem sobie, jak brzmią po angielsku. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Spoczywaj w pokoju. Nie zwracałem na to większej uwagi. Patrzyłem po prostu na trumnę leżącą tam w dole.

Mężczyzna przestał mówić, jeden z grabarzy ściągnął zielony dywan ze stosu ziemi i Joe wziął jej trochę w garść. Przez chwilę ważył ją w dłoni, a potem rzucił na wieko trumny. Uderzyła o drewno. Mężczyzna z książką zrobił to samo. Potem konsjerżka i dwie inne kobiety. Potem Lamonnier. Pochylił się niezgrabnie na swoich kulach, wziął garść ziemi, przez chwilę stał ze łzami w oczach, a potem obrócił po prostu dłoń i ziemia poleciała z niej niczym woda.

Dałem krok do przodu, położyłem rękę na sercu, odpiąłem zpiersi Srebrną Gwiazdę i zważyłem ją w dłoni. Srebrna Gwiazda to piękny medal. Mała srebrna gwiazdka tkwi w środku złotej, która jest znacznie większa i wisi na czerwono-biało-niebieskiej wstążce. Na mojej wygrawerowano z tyłu napis J. Reacher. J jak

Josephine, pomyślałem i rzuciłem ją w dół. Medal uderzył o trumnę, odbił się od niej i wylądował awersem do góry, pobłyskując na szarym tle.

Na Avenue Rapp zamówiłem rozmowę międzynarodową i dostałem rozkaz powrotu do Panamy. Joe i ja zjedliśmy razem lunch i przyrzekliśmy sobie, że będziemy się częściej kontaktować. Następnie udałem się na lotnisko i poleciałem przez Londyn do Miami, skąd dotarłem wojskowym transportem na południe. Jako nowo mianowany kapitan dostałem pod swoje dowództwo kompanię. Kazano nam utrzymywać porządek w Panama City w końcówce operacji Słuszna Sprawa. Było całkiem zabawnie. Chłopcy, którymi dowodziłem, byli całkiem porządni. Służba w terenie odświeżająca. A kawa tak samo dobra jak zawsze. Wysyłają ją wszędzie tam, gdzie stacjonujemy, w puszkach wielkich jak beczki z olejem.

Nigdy nie wróciłem do Fort Bird. Nigdy nie zobaczyłem już mojej sierżant, tej z małym synkiem. Myślałem o niej czasami, kiedy zaczęły się redukcje. I nigdy nie spotkałem się z Summer. Podobno rozegrała kwestię programu konferencji w Fort Irwin tak dobrze, że Wojskowe Biuro Śledcze zażądało kary śmierci za zdradę stanu i wtedy, w zamian za wyrok dożywocia, wyciągnęła z Vassella, Coomera i Marshalla inne zeznania. Słyszałem, że dzień po tym, jak poszli siedzieć do Leavenworth, awansowano ją na kapitana. Więc ona i ja znaleźliśmy się w tym samym przedziale płacowym. Spotkaliśmy się pośrodku. Ale nasze drogi nigdy się już nie skrzyżowały.

I nigdy nie wróciłem do Paryża. Miałem taki zamiar. Myślałem o tym, żeby zejść kiedyś późną nocą pod Pont des Invalides i zaczerpnąć po prostu świeżego powietrza. Ale nigdy do tego nie doszło. Służyłem w wojsku i byłem zawsze tam, gdzie kazał mi być ktoś inny.

Polecamy thrillery z Jackiem Reacherem

WRÓG BEZ TWARZY

Jack Reacher dowiaduje się, że poszukuje go prywatny detektyw - na zlecenie kobiety, której nazwisko nic mu nie mówi. Detektyw i jego sekretarka zostają zamordowani, a Jack postanawia wyjaśnić, co kryje się za tymi zabójstwami. Klientką detektywa okazuje się Jodie - córka zmarłego właśnie generała Garbera, z którą Jacka łączyło kiedyś uczucie. Generał chciał powierzyć Reacherowi zadanie - wyjaśnienia losów amerykańskiego żołnierza zaginionego w Wietnamie. Zadanie nad wyraz niebezpieczne, bo pewien bezwzględny kryminalista, Hak Hobie, bez skrupułów eliminuje wszystkie osoby, które interesują się tą sprawą. Swoją wolność, majątek i status społeczny Hobie zawdzięcza pewnej tajemnicy z czasów wojny wietnamskiej. Nie cofnie się

przed niczym, by prawda o tamtych wydarzeniach nie wyszła na światło dzienne. Jack i Jodie stanowią dla niego śmiertelne zagrożenie...

#### NIC DO STRACENIA

Nadzieja i Rozpacz. Dwa miasteczka połączone dwudziestoma kilometrami nieuczęszczanej szosy gdzieś pośród pustynnych bezkresów Kolorado. I przemierzający ją samotnie Jack Reacher, który chce tylko napić się kawy. Rozpacz okazuje się mało gościnnym miejscem. Bez żadnego powodu czterech osiłków próbuje wyrzucić Jacka z miasta. Policja odstawia go do granicy grożąc, że jeśli wróci, trafi do aresztu. Czy mieszkańcy czegoś się boją? Mają coś do ukrycia? Jeśli tak, to się przeliczyli. Bo Reacher nie ma nic do stracenia. Ani żadnych zahamowań. Dziwne zachowanie przedstawicieli lokalnej władzy wzmacnia tylko jego determinację, by wyjaśnić ponure tajemnice, skrywane przez miasto i położony w pobliżu potężny zakład recyklingu złomu. Tajemnice, które mogą mieć związek z odległą wojną, w której giną tysiące ludzi. Jedyńm sojusznikiem Jacka będzie młoda policjantka z Nadziei...

#### PODEJRZANY

Sierżant Amy Callan i porucznik Caroline Cook miały ze sobą wiele wspólnego. Obie służyły w armii, obie stały się ofiarami napastowania seksualnego, obie musiały zrezygnować ze służby - obie nie żyją. Ich ciała znaleziono we własnych łazienkach, zanurzone w wojskowej farbie maskującej. Żadnych śladów przemocy, żadnych oznak walki. Jack Reacher znał każdą z kobiet. FBI zmusza go do współpracy z grupą dochodzeniową, w skład której wchodzi Julia Lamarr, specjalistka od portretów psychologicznych. Reacher kwestionuje opracowany przez nią motyw zbrodni - zemstę - uważa, że jej przyczyn należy szukać zupełnie gdzie indziej. Jego teoria bierze w łeb, gdy w podobny sposób ginie następna dziewczyna...

seria

BESTSELLERY LITERATURY SENSACYJNEJ